

WOJNA
Z AMERYKA

Tom Clancy



DeKret

WYDAWNICTWO ADAMSKI I BIELINSKI

Tom Clancy

Dekret

Tom trzeci

Przekład: Krzysztof Wawrzyniak

Data wydania: 1999

Data wydania oryginalnego: 1997

Tytuł oryginału: *Executive Orders*

Spis treści

42 Predator i ofiara

43 Odwrót

44 Wylęg

45 Potwierdzenie

46 Wybuch

47 Przypadek Zerowy

48 Krwotok

49 Czas reakcji

50 Raport specjalny

51 Dochodzenie

52 Coś interesującego

53 SOW

54 Przyjaciele i sąsiedzi

55 Otwarcie

56 Zajęcie pozycji

57 Nocne przejście

58 W świetle dnia

59 Zasady wejścia do walki

60 SUMTER

61 Rajd Griersona

62 Gotowi i naprzód!

63 Doktryna Ryana

Epilog. Pokój Prasowy

42

Predator i ofiara

CIA miała oczywiście własne laboratorium fotograficzne. Film nakręcony przez Domingo Chaveza z okna samolotu został opisany niemal dokładnie tak jak w normalnym cywilnym zakładzie, a potem wywołany przy użyciu standardowego ekwipunku. Jednak w tym momencie zakończyły się działania rutynowe. Gruboziarnisty film ASA-120 dał bardzo marny obraz, którego w żaden sposób nie można było przekazać ludziom z siódmego piętra. Pracownicy laboratorium dobrze wiedzieli o redukcjach personelu, a w tej profesji, podobnie jak w każdej innej, ten najpewniej unikał zwolnienia, kto okazywał się niezastąpiony. Dlatego rolka wywołanego filmu została poddana obróbce komputerowej. Każdej klatce wystarczyło poświęcić trzy minuty, aby zdjęcia stały się tak wyraźne, jak gdyby wykonał je wysokiej klasy specjalista w atelier przy użyciu Hasselblada. Nie minęła godzina od dostarczenia filmu, a gotowe już były błyszczące zdjęcia formatu 8x10, na których widać było ajatollaha Mahmuda Hadzi Darjaeiego opuszczającego samolot, uchwycony tak wyraźnie, jak gdyby chodziło o wizerunek do prospektu reklamowego linii lotniczych. Umieszczony w kopercie film powędrował do specjalnego archiwum. Same zdjęcia zachowane zostały w formie cyfrowej, wszystkie zaś ich dane identyfikacyjne — dzień i godzina wykonania, miejsce, fotograf, temat — zasilili odpowiednie bazy danych, dostępne dla ewentualnych zainteresowanych. Laborant od dawna przestał się dziwić temu, co widniało na wywoływanych zdjęciach, chociaż czasami powszechnie znane postacie utrwalone były w pozycjach nigdy nie oglądanych w wiadomościach TV. Jednak nie ten; z tego, co słyszał, Darjaei nie interesował się ani dziewczynami, ani chłopakami, za potwierdzenie czego można było uznać surowy wyraz jego twarzy. Trudno mu było natomiast odmówić gustu, jeśli chodzi o samoloty... Ten wyglądał na *G-IV*. Ciekawe, litery i cyfry na stateczniku pionowym przypominały kod szwajcarski, chociaż...

Zdjęcia powędrowały na górę, ale jeden zestaw został odłożony do zupełnie odmiennej analizy. Dokładnie przyjrzą im się lekarze. Niektóre choroby dają charakterystyczne zewnętrzne symptomy, a Firma zawsze interesowała się zdrowiem przywódców państw.

— Sekretarz stanu Adler wylatuje dziś rano do Pekinu — oznajmił dziennikarzom Ryan.

Arnie nieustannie powtarzał, że jakkolwiek nieprzyjemne mogą być te publiczne wystąpienia, politycznie ma wielkie znaczenie to, aby telewizja pokazywała go w trakcie pełnienia prezydenckich funkcji, gdyż to oznaczało bardziej skuteczne działanie. Jack przypominał sobie konsekwentnie egzekwowaną opinię matki, że dentystę odwiedzać trzeba dwa razy do roku, a także lęk, jaki zapach gabinetu budził w dzieciach. Teraz podobnie zaczynał nienawidzić atmosfery tego pomieszczenia. Ściany były porysowane, niektóre okna przeciekały, a w ogóle ta część Zachodniego Skrzydła Białego Domu była równie schludna i zadbana, jak szatnia w liceum, czego widzowie nie mogli spostrzec na podstawie obrazu telewizyjnego. Chociaż stąd było blisko do jego gabinetu, mało kto troszczył się o solidne posprzątanie sali konferencyjnej.

Współpracownicy prezydenta utrzymywali, że dziennikarze sami są takimi niechlujami, że nie ma to większego znaczenia. Wyglądało zresztą, że istotnie im to nie przeszkadza.

— Czy dowiemy się czegoś więcej o niedawnym incydencie z *Airbusem*?

— Ustalono ostateczną liczbę ofiar. Odnaleziono zapis danych...

— Czy uzyskamy dostęp do czarnej skrzynki?

Dlaczego „czarną” nazywają skrzynkę, która jest naprawdę pomarańczowa? —

zastanawiał się Jack, chociaż przypuszczał, że nigdy nie znajdzie sensownej odpowiedzi na to pytanie.

— Poprosiliśmy o to, a rząd Republiki Chińskiej zadeklarował gotowość pełnej współpracy. Nie było to konieczne, gdyż samolot zarejestrowany jest w Stanach Zjednoczonych, a wyprodukowany został w Europie, doceniamy jednak chęci i dobrą wolę. Mogę dodać, iż życie żadnego z Amerykanów, którzy przeżyli katastrofę nie jest zagrożone, chociaż niektóre z obrażeń są poważne.

— Kto zestrzelił samolot? — spytał inny z reporterów.

— Nadal analizujemy dane i...

— Panie prezydencie, w pobliżu miejsca incydentu znajdowały się dwie jednostki typu *Aegis* Marynarki, więc powinien pan dość dobrze się orientować, co tam zaszło.

Facet odrobił pracę domową.

— Nie chciałbym nic więcej mówić na ten temat. Sekretarz Adler postawi sprawę incydentu podczas rozmów z obydwoma stronami. Przede wszystkim chcemy być pewni, że nie będzie już dalszych ofiar.

— Panie prezydencie, chciałbym powrócić do mojego pytania. Musi pan wiedzieć więcej, niż nam pan mówi. W efekcie tego tragicznego wydarzenia zginęło czternastu obywateli amerykańskich i naród ma prawo otrzymać informacje.

Okropne było to, że facet miał rację, a jeszcze gorsze to, że Ryan musiał robić uniki.

— Nie wiemy jeszcze dokładnie, co się naprawdę wydarzyło. Do czasu, gdy będę dysponował taką wiedzą, nie wolno mi zajmować żadnego jednoznacznego stanowiska.

Z filozoficznego punktu widzenia, miał rację. Wiedział, kto odpalił raketę, nie wiedział

jednak, dlaczego. Wczoraj słusznie na to zwrócił uwagę Adler, doradzając dalsze utrzymywanie tajemnicy.

— Sekretarz stanu Adler powrócił wczoraj z jakiejś podróży. Dlaczego jej cel trzymany jest w tajemnicy?

Plumber drażył kwestię podniesioną poprzedniego dnia. Zabiję w końcu Arnie'ego za to, że mnie nieustannie tak wystawia.

— John, sekretarz przeprowadzał bardzo ważne konsultacje i to wszystko, co mogę powiedzieć na ten temat.

— Czy był na Bliskim Wschodzie?

— Następne pytanie, proszę?

— Panie prezydencie, Pentagon oznajmił, że lotniskowiec „Eisenhower” skierował się na Morze Południowochińskie. Czy to pan wydał rozkaz?

— Tak. Uważamy, że sytuacja wymaga bacznej uwagi z naszej strony, gdyż z regionem tym wiążą się nasze żywotne interesy. Podkreślam, że nie zajmujemy stanowiska w toczącym się konflikcie, a chcemy jedynie chronić swe interesy.

— Czy nasz lotniskowiec znajdzie się tam, aby ochłodzić atmosferę, czy też ją podgrzać?

— To chyba oczywiste, że nie chcemy zaognić sytuacji, lecz ją polepszyć. Dla obu stron korzystne będzie cofnięcie się o krok i zastanowienie nad swymi posunięciami. Zginęli ludzie, a w ich liczbie znaleźli się Amerykanie. To sprawia, że nie możemy pozostać jedynie biernymi obserwatorami. Obowiązkiem rządu i sił zbrojnych jest ochrona amerykańskich interesów i obrona życia amerykańskich obywateli. Nasze jednostki, które zdążają w tamtą stronę, będą obserwowały zdarzenia i przeprowadzały rutynowe zajęcia szkoleniowe. To wszystko.

Żeng Han San spojrział na zegarek i uznał, że to dobry koniec pracowitego dnia: patrzeć jak amerykański prezydent robi dokładnie to, czego się po nim spodziewał. Chiny wypełniły przyrzeczenie dane temu barbarzyńcy Darjaeiemu. Na Oceanie Indyjskim po raz pierwszy od dwudziestu lat nie było amerykańskiego lotniskowca. Amerykański minister spraw zagranicznych wyleci z Waszyngtonu za jakieś dwie godziny. Osiemnaście godzin podróży do Pekinu, potem wymiana frazesów, ale trochę innych od tych oczekiwanych. Zobaczymy, do jakich ustępstw uda się zmusić Amerykę i to marionetkowe państewko tajwańskie. Może do kilku całkiem sporych, skoro Stany Zjednoczone będą musiały zwrócić twarz w inną stronę...

Adler był u siebie w gabinecie. Spakowane torby znalazły się już w samochodzie, którym uda się do Białego Domu, skąd helikopter zabierze go do bazy Andrews, gdy tylko pożegna się z prezydentem i wygłosi krótkie oświadczenie, równie beztreściowe jak płatki owsiane. Nieco dramatyczny wyjazd dobrze będzie wyglądał na ekranach telewizyjnych, jego podróży przyda znamion powagi, a jeśli nawet spowoduje kilka więcej zmarszczek na garniturze, na pokładzie samolotu będzie czekało także i żelazko.

— Co wiemy? — spytał podsekretarza stanu Rutledge’a.

— Pocisk został wystrzelony przez samolot ChRL, co wyraźnie wynika z taśm dostarczonych przez Marynarkę. Nie wiemy, dlaczego tak się stało, ale admirał Jackson jest przekonany, że nie mógł to być przypadek.

— Jak poszło w Teheranie? — spytał jeden z asystentów.

— Trudno powiedzieć — odparł Adler. — Swoje obserwacje spisałem podczas lotu i przesłałem faksem.

Także Adler znajdował się pod presją czasu i nie miał chwili, by dłużej zastanowić się nad swym spotkaniem z Darjaeim.

— Musimy się z nimi zapoznać, jeśli mamy być w czymś przydatni przy opracowywaniu SOW — powiedział Rutledge.

Ten dokument był mu bardzo potrzebny. Przy jego użyciu Ed Kealty będzie mógł

wykazać, że Ryan ciągle stosował stare sztuczki tajniackie, a w dodatku wciągał w to Scotta Adlera. Gdzieś tutaj krył się klucz do skompromitowania Ryana. Robił sprytne uniki, zręcznie ripostował, wszystko zapewne dzięki trenerskiej opiece Arnie'ego van Damma, ale po wczorajszej gafie w sprawie Chin zatrzęsł się cały budynek. Podobnie jak wielu ludzi z Departamentu Stanu, Rutledge wolałby odpuścić Tajwan i nawiązać normalne stosunki z najmłodszym supermocarstwem światowym.

— Cliff, nie wszystko naraz.

Powrócili do kwestii chińskiej. Wszyscy uznali, że na kilka dni problemy związane ze ZRI schodzą na drugi plan.

— Czy Biały Dom chciałby coś zmienić w dotychczasowej chińskiej polityce? — spytał Rutledge.

Adler pokręcił głową.

— Nie, prezydent jest z pewnością bardziej praktykiem niż dyplomatą; rzeczywiście, nie powinien był nazywać Chinami Republiki Chińskiej, z drugiej jednak strony, może dało to trochę do myślenia tym facetom w Pekinie, więc nie jestem pewien, czy to było takie najgorsze. Muszą zrozumieć, że nie można bezkarnie zabijać Amerykanów. Przekroczyli pewną granicę i muszę im dokładnie uzmysłwić, że my tę granicę traktujemy bardzo poważnie.

— Zawsze będą jakieś wypadki — mruknął ktoś.

— Marynarka powiada, że nie był to wypadek.

— Panie sekretarzu — obruszył się Rutledge. — Po jakiego diabła Chińczycy mieliby to robić?

— To właśnie musimy ustalić. Admirał Jackson bardzo dobrze skomentował tę sytuację.

Jeśli jesteś policjantem i masz przed sobą uzbrojonego bandziora, to czy będziesz strzelał do starszej pani na końcu ulicy?

— To by potwierdzało tezę o wypadku — obstawał przy swoim Rutledge.

— Cliff, są wypadki i wypadki. Tutaj zginęli Amerykanie i nie wiem, czy trzeba komukolwiek w tym pokoju przypominać, że naszym obowiązkiem jest potraktować tę sprawę jak najpoważniej.

Była to reprimenda, której się nie spodziewali. Swoją drogą, co działo się z Adlerem?

Zadaniem Departamentu Stanu było zabiegać o pokój, łagodzić konflikty, w których ludzie mogli ginąć tysiącami, a wypadki były tylko wypadkami. Owszem, czasami tragicznymi, ale równie niemożliwymi do całkowitego uniknięcia jak rak czy zawał serca. Państwo nie mogło koncentrować się na drobiazgach.

— Dziękuję, panie prezydencie.

Ryan opuścił podium, raz jeszcze wymknąwszy się dziennikarskim mackom. Spojrzał na zegarek. Niech to diabli. Znowu nie udało się wyprawić dzieci do szkoły ani pocałować Cathy na pożegnanie. Ciekawe, gdzie w konstytucji było zapisane, że prezydent USA, z chwilą objęcia swego urzędu, przestaje być normalnym człowiekiem?

W gabinecie przejrzał dzienny rozkład zajęć. Za godzinę zjawi się Adler przed wyjazdem do Chin. O dziesiątej Winston, aby przedyskutować zmiany w znajdującym się przez ulicę Departamencie Skarbu. O jedenastej omówienie z Arnie'em i Callie wystąpień w przyszłym tygodniu. Obiad z Tonym Bretano. A po obiedzie z kim to spotkanie? Drużyna Mighty Ducks?

Ryan pokręcił głową. Zdobyli Puchar Stanleya, okazja do wspólnej fotografii. Hmmm. Jack uśmiechnął się pod nosem. To powinien załatwić Ed Foley, który był fanatykiem hokeja...

— Spóźniłeś się — powiedział Don Russell, kiedy Pat O'Day pomagał wysiąść Megan.

Inspektor FBI przeszedł obok niego, podał Megan płaszczyk i kocyk, potem się odwrócił.

— W nocy była awaria światła i budzik się zresetował.

— Dzień pełen zajęć?

Pat pokręcił głową.

— Biurowa robota. Muszę zamknąć kilka spraw, wiesz, jak to jest.

Obydwaj wiedzieli. Najczęściej chodziło o sporządzanie i komentowanie raportów, zajęcia czysto urzędnicze, które w przypadku delikatnych spraw musieli wykonywać zaufani agenci.

— Słyszałem, że chciałbyś się spróbować — powiedział Russell.

— Podobno jesteś dobry.

— Chyba rzeczywiście nieży — przyznał agent.

— Ja też staram się trafić w tarczę.

— Lubisz *SigSauera*?

Agent FBI pokręcił głową.

— *Smith 1076*.

— Dziesięć milimetrów.

— Robi większe dziury — zauważył O'Day.

— Mówiąc szczerze, dziewiątka zawsze mi wystarczała — powiedział Russell i obaj się roześmieli.

— Robimy zakład? — spytał agent FBI.

— Ostatni raz zakładałem się w liceum. Trzeba ustalić stawkę.

— Coś poważnego — podsunął O'Day.

— Skrzynka Samuela Adamsa? — rzucił Russell.

— To brzmi poważnie — zgodził się inspektor.

— Co powiesz na Beltsville? — Była to strzelnica Akademii Tajnych Służb. — Na wolnym powietrzu. Pod dachem to zawsze trochę sztuczne.

— Klasyczne zawody strzeleckie?

— Nie robiłem tego od lat. Moi szefowie wolą figurki.

— Jutro?

Dobra rozrywka sobotnia.

— Trochę krótki termin. Muszę sprawdzić, dam ci znać po południu.

— Umowa stoi, Don. I niech wygra lepszy. Podali sobie dłonie.

— Z pewnością wygra lepszy, Pat.

Obaj wiedzieli, kto okaże się lepszy, chociaż jeden z nich musiał się mylić. Obaj wiedzieli także, że tego drugiego chcieliby mieć jako ubezpieczenie i że piwo po zawodach będzie dobrze smakować, niezależnie od wyniku.

Dostępne na rynku cywilnym karabiny nie mogły strzelać ogniem ciągłym. Sprawny rusznikarz potrafiłby temu zaradzić, ale uśpiony agent nie posiadał takich umiejętności.

Gwiazdor i jego ludzie nie bardzo się tym przejęli. Byli strzelcami wyborowymi i wiedzieli, że jeśli nie masz naprzeciw całej armii, z broni maszynowej ważne są trzy pierwsze pociski z serii, potem dziurawisz niebo zamiast przeciwnika, który w tym czasie może trafić w ciebie. Nie będzie czasu ani miejsca na następną serię, ale byli obeznani z bronią, chińską wersją rosyjskiego *Kałasznikowa*. Naboje pośrednie kalibru 7,62 mm, po trzydzieści w jednym magazynku.

Połączyli je po dwa, owijając taśmą, dla sprawdzenia kilkakrotnie wkładając i wyjmując z gniazda magazynku. Kiedy upewnili się co do broni, zajęli się samą akcją. Każdy znał swoje miejsce i swoje zadanie. Każdy wiedział też, na jakie niebezpieczeństwo się naraża, ale nad tym wiele nie myśleli. Gwiazdor widział, że nie bardzo się zastanawiają nad charakterem zadania.

Przez lata funkcjonowania w ruchu terrorystycznym do tego stopnia wygasły w nich ludzkie uczucia, że, chociaż dla większości była to pierwsza prawdziwa akcja, myśleli tylko o tym, jak się w niej spiszą. Jak wypadnie ona sama, to było już mniej istotne.

— Poruszą bardzo wiele tematów — powiedział Adler.

— Tak myślisz? — spytał Jack.

— Idę o zakład. Klauzula najwyższego uprzywilejowania, prawa autorskie, co tylko zechcesz.

Prezydent się skrzywił. Wydawało mu się obrzydliwe to, że problem ochrony praw autorskich Barbary Streisand i jej ostatniej płyty, może być traktowany na równi z rozmyślnym mordowaniem ludzi, ale...

— Tak, tak, Jack. Oni inaczej podchodzą do tych spraw niż my.

— Czytasz w moich myślach?

— Nie zapominaj, że jestem dyplomatą. Myślisz, że zważam tylko na to, co ludzie mówią głośno? Uwierz mi, w ten sposób nigdy niczego nie wynegocjowalibyśmy. To jak długa rozgrywka karciana przy niskich stawkach; nudna, a zarazem wymagająca ciągłej uwagi.

— Myślałem o tych, którzy zginęli...

— Także i ja o nich myślę — zapewnił sekretarz stanu. — Nie można jednak tylko na tym się skoncentrować, gdyż dla ludzi Wschodu jest to oznaką słabości, ale z pewnością nie zapomnę o tym aspekcie całej sprawy.

Ryan się obruszył.

— Powiedz mi, Scott, dlaczego to my mamy zawsze respektować swoistość ich kultury, a nie odwrotnie? — spytał.

— Taka zawsze była postawa Departamentu Stanu.

— To nie jest żadna odpowiedź — upierał się Jack.

— Jeśli zbyt mocno będziemy podnosić sprawę zabitych, panie prezydencie, staniemy się swego rodzaju zakładnikami. Druga strona nabierze wtedy pewności, że wystarczy zagrozić życiu kilku ludzi, żeby wyrzucić na nas presję. W ten sposób zdobywają nad nami przewagę.

— Jeśli im na to pozwolimy. Jesteśmy potrzebni Chińczykom tak jak oni nam, a nawet bardziej, jeśli pamiętać o ich ujemnym bilansie handlowym. Morderstwo to ostry argument, ale my także potrafimy grać ostro. Zawsze się zastanawiałem, dlaczego nigdy tego nie robimy.

Sekretarz stanu poprawił okulary.

— Zasadniczo zgadzam się, sir, ale wymaga to starannego namysłu, a na to nie mamy w tej chwili czasu. Mówi pan o zasadniczej zmianie w polityce amerykańskiej. Nie strzela się z biodra przy tak poważnej sprawie.

— Jak wrócisz, trzeba będzie podczas weekendu spotkać się z kilkoma osobami i zobaczyć, jakie są inne możliwości. To, co robimy, nie podoba mi się z przyczyn moralnych, ale także dlatego, że w ten sposób stajemy się nieco za bardzo przewidywalni.

— Dlaczego?

— Bardzo dobrze, kiedy przestrzega się reguł gry, ale tylko wtedy, jeśli przestrzegają ich wszyscy gracze. Stajemy się łatwym orzechem do zgryzienia, kiedy trzymamy się znanych wszystkim reguł, które jednak nie obowiązują innych. Z drugiej strony, jeśli w odpowiedzi na naruszenie zasad, postąpimy podobnie, wtedy druga strona ma nad czym myśleć. Zgoda, trzeba być przewidywalnym dla przyjaciół, ale jeśli chodzi o wrogów, pewni powinni być tylko tego, że jeśli z nami zadra, skończy się to dla nich źle. Jak źle, to właśnie rzecz, o której my jedynie powinniśmy decydować.

— Całkiem słusznie, panie prezydencie. Bardzo dobry temat na weekendową rozmowę w Camp David. — Umilkli, gdyż do lądowiska podchodził śmigłowiec. — Czas już na mnie. Ma pan gotowe oświadczenie.

— Mhm. Dramatyczne jak prognoza pogody w słoneczny dzień.

— Na tym właśnie polega ta gra — pokiwał głową Adler, myśląc zarazem, że tej śpiewki Jack dość się już chyba nasłuchał, nic więc dziwnego, że denerwuje się na samą przygrywkę.

— Gdyby oni nie zmieniali reguł, także i ja bym się ich trzymał. Kiedy rzuca się piłkę facetowi z dobrym uderzeniem, gra zaraz się robi ciekawsza.

Mam nadzieję, myślał sekretarz w drodze do helikoptera, że nie zawiodę jego nadziei i okażę się facetem z dobrym uderzeniem.

Piętnaście minut później Ryan patrzył, jak śmigłowiec wzbija się w powietrze. Ucisnął

przed kamerami rękę Adlerowi, wygłosił przed kamerami krótkie oświadczenie, patrzył w kamery

wzrokiem poważnym i nieustępliwym. Na żywo nadawała to być może C-SPAN, ale chyba nikt więcej. W dzień kiedy niewiele było informacji — a taki najczęściej był piątek w Waszyngtonie — wydarzeniu być może zostanie poświęcone półtorej minuty w którychś z wieczornych wiadomości. Raczej jednak nie. Piątek był dniem podsumowania wydarzeń całego tygodnia, zainteresowania się jakąś osobą i jej poczynaniami, jeśli udało się to rozdać do postaci samodzielnej wiadomości.

— Panie prezydencie!

Jack odwrócił się i zobaczył Kupca (tak ochrzciła go Tajna Służba), sekretarza skarbu, który zjawił się kilka minut przed umówioną porą.

— Cześć, George.

— Wiesz, ten tunel, który idzie ode mnie do Białego Domu...

— No, co z nim?

— Zajrzałem dzisiaj rano, straszny bałagan. Masz coś przeciwko temu, żeby tam posprzątać? — spytał Winston.

— George, to sprawa Tajnej Służby, a ty możesz im wydać polecenie, zapomniałeś?

— Nie, ale tunel kończy się u ciebie, więc wolałem zapytać. Dobra, zajmę się tym.

Pożyteczne rozwiązanie, na przykład kiedy pada.

— Jak projekt ustawy podatkowej? — spytał Jack, podchodząc do drzwi, które otworzył

przed nim agent. Takie zdarzenia ciągle wprawiały go w zakłopotanie; są rzeczy, które człowiek powinien robić sam.

— W następnym tygodniu będziemy mieli gotowy model komputerowy. Tym razem wszystko musi być naprawdę dopracowane bez zarzutu. Podatek proporcjonalny do dochodów, lżejszy dla biednych, uczciwy wobec bogatych, a poza tym zagoniłem swoich ludzi do maksymalnych oszczędności na administracji. Boże, Jack, jak ja niewiele o tym wiedziałem.

— O czym?

Minęli róg korytarza i skręcili do Gabinetu Owального.

— Myślałem, że jestem jedynym facetem, który wywala forszę na to, żeby obejść przepisy podatkowe. A tymczasem wszyscy tak robią, to ogromny przemysł. Kupa ludzi straci zajęcie...

— A ja mam się z tego cieszyć, tak?

— Każdy bez trudu znajdzie uczciwą pracę, z wyjątkiem może prawników. A my zaoszczędzimy podatnikom parę miliardów dolarów, dając im formularz podatkowy, który wypełni dzieciak z

czwartej klasy. Panie prezydencie, rządowi nie zależy przecież na tym, żeby ludzie musieli sobie wynajmować rachmistrzów, prawda?

Ryan polecił sekretarce, aby wezwała Arnie'ego. Potrzebował kilku politycznych porad, jeśli chodzi o wprowadzenie w życie planu George'a.

— Tak, generale?

— Prosił pan o informacje na temat grupy „Eisenhowera” — powiedział Jackson, podszedł do wielkiej mapy ściennej i zerknął na pasek papieru. — Są tutaj, mają dobrą szybkość.

— Znienacka w kieszeni Robby'ego zaterkotał pager. Wyjął go, spojrzął na numer i zdumiony uniósł brwi. — Przepraszam, czy mogę?

— Oczywiście.

Sekretarz Bretano wskazał telefon w drugim końcu pokoju. Jackson wystukał pięciocyfrowy numer.

— J-3, słucham. Co? A gdzie są? W takim razie trzeba ich znaleźć, nieprawdaż, komandorze? Właśnie. — Robby odłożył słuchawkę. — To Dowództwo Operacji Morskich.

Narodowe Biuro Rozpoznania informuje, że zniknęła gdzieś flota indyjska, to znaczy, mówiąc ściślej, dwa lotniskowce z eskortą.

— Co to ma znaczyć, admirale?

Jackson powrócił do mapy i przeciągnął dłonią po niebieskiej płachcie na zachód od subkontynentu.

— Minęło trzydzieści sześć godzin od czasu, gdy ostatni raz je widzieliśmy. Powiedzmy, trzy godziny na opuszczenie portu i uformowanie szyku... Dwadzieścia węzłów razy trzydzieści trzy, to daje sześćset sześćdziesiąt mil morskich, czyli ponad tysiąc kilometrów. Połowa odległości od macierzystego portu do Zatoki Adeńskiej. — Odwrócił się. — Panie sekretarzu, u nabrzeży nie ma dwóch lotniskowców, dziewięciu okrętów osłony oraz grupy tankowców. Brak tankowców oznacza, że planują dłuższy rejs. Wywiad nie uprzedzał nas o żadnym takim wydarzeniu.

Jak zwykle, dodał w duchu.

— Gdzie konkretnie są?

— W tym właśnie problem. Nie wiemy. W Diego Garcia stacjonuje kilka *P-3 Orion*, dwa wylecą na rekonesans. Wydamy odpowiednie polecenia zwiadowi satelitarnemu. Trzeba powiadomić o wszystkim Departament Stanu, może ambasada czegoś się dowie.

— Dobrze. Za kilka minut powiadomię prezydenta. Czy mamy się czego obawiać?

— Być może chodzi jedynie o rejs testowy po zakończeniu remontu? Jak pan pamięta, sprawiliśmy im niedawno spore lanie.

— W każdym razie jedyne dwa lotniskowce na Oceanie Indyjskim nie należą do nas, tak?

— Tak, sir.

A nasz najbliższy lotniskowiec zmierza w przeciwnym kierunku. Dobrze że przynajmniej sekretarz obrony zaczyna się niepokoić, pomyślał Jackson.

Adler wsiadł do dawnego Air Force One, starej, ale solidnej wersji czcigodnego 707-320B. Jego delegacja składała się z ośmiu osób; obsługiwało ich pięciu stewardów Sił

Powietrznych. Spojrzał na zegarek, ocenił program lotu — paliwo mieli uzupełnić w bazie Elmendorf na Alasce — i postanowił, że zdrzemnie się trochę podczas drugiego etapu. Szkoda, pomyślał, że rząd, w przeciwieństwie do linii lotniczych, nie honoruje liczby wylatanych kilometrów. Wtedy już do końca życia mógłby podróżować za darmo. Na razie zaczął przeglądać notatki z Teheranu. Przymknął oczy, usiłując przypomnieć sobie każdy szczegół i każde wydarzenie, które nastąpiło od przylotu do Mehrabadu do chwili wyjazdu. Co kilka minut otwierał oczy, powracał do zapisków i robił uzupełniające komentarze. Przy odrobinie szczęścia zdąży przepisać je na maszynie i wysłać faksem do Waszyngtonu.

— Ding, może otwiera się przed tobą droga jeszcze innej kariery — powiedziała Mary Pat, badając zdjęcie przez szkło powiększające. — Wygląda jak okaz zdrowia.

— Sądziś, że skurwysyństwo dobrze pływa na długowieczność? — spytał Clark.

— Musiał pracować dla pana, panie C — zażartował Chavez.

— I pomyśleć, że może będę musiał znosić takie uwagi przez następne trzydzieści lat.

— Ale jakich ślicznych wnuków się dochowasz, *jefe*. I na dodatek dwujęzycznych.

— Wracamy do roboty, dobrze? — ofuknęła ich Foley.

Piątek jeszcze się nie skończył.

To żadna przyjemność rozchorować się w samolocie. Może zjadł jakieś świństwo, a może coś złapał na targach komputerowych w San Francisco, tyle ludzi tam się tłoczyło. Był

doświadczonym podróżnikiem i nigdzie nie ruszał się bez „podręcznej apteczki”. Obok maszynki do golenia znalazł pastylki Tylenolu. Popił dwie szklaneczką wina i uznał, że trzeba spróbować się zdrzemnąć. Jeśli będzie miał szczęście, to polepszy mu się do lądowania w Newark. Z

pewnością nie chciałby w takim stanie jechać do domu samochodem. Opuścił oparcie fotela, zgasił

światło i zamknął oczy.

Nadeszła pora. Wynajęte samochody wyjechały z farmy. Każdy kierowca znał drogę na miejsce akcji i trasę odwrotu. W samochodach nie było żadnych map ani notatek; jedynym dokumentem związanym z operacją były zdjęcia ofiary. Jeśli ktokolwiek z nich miał jakieś wątpliwości co do moralnego aspektu porwania małego dziecka, nie dali tego po sobie poznać.

Broń, naładowana i zabezpieczona, spoczywała na wszelki wypadek na podłodze, przykryta kocami. Wszyscy w garniturach i pod krawatami, tak że mijający ich w wozie patrolowym policjanci zobaczyliby tylko trzech eleganckich mężczyzn, zapewne biznesmenów, w szykownych samochodach. Członkowie grupy uważali to za śmieszne. Sądzieli, że tylko próżność każe Gwiazdorowi przywiązywać tak wielką wagę do wyglądu zewnętrznego.

Price przyglądała się przyjazdowi drużyny Mighty Ducks z niemałym rozbawieniem, chociaż nieraz już przecież widziała, jak najpoważniejsi i najznakomitsi ludzie po znalezieniu się w tym miejscu, zachowywali się jak dzieci. To, co dla niej i kolegów było tylko dekoracją i scenariuszem, dla innych było atrybutami najwyższej władzy. Musiała też przyznać się sama przed sobą, że to tamci mieli rację, a nie ona. Po odpowiedniej liczbie powtórek wszystko może spowszednieć, podczas gdy nowy gość, który na każdą rzecz spogląda świeżym okiem, wiele może widzieć wyraźniej. Rangę tej wizyty dodatkowo z pewnością podniosło w oczach zawodników to, że pod czujnym spojrzeniem mundurowej jednostki Tajnej Służby musieli przejść przez bramkę wykrywacza metali. Mieli okazję szybko rozejrzeć się po Białym Domu, gdyż przeciągało się spotkanie prezydenta z sekretarzem obrony. Hokeiści z upominkami dla prezydenta w rękach — kijami, krążkami, bluzą z jego nazwiskiem (przynieśli je dla wszystkich członków rodziny) — stłoczyli się przy Wschodnim Wejściu, by potem rozglądać się na lewo i prawo po dekoracjach na białych ścianach, i najwyraźniej to, co dla Andrei było normalnym miejscem pracy, dla nich jawiło się jako coś niezwykłego i wspaniałego. Jakżeż wszystko zależy od punktu widzenia, pomyślała, podchodząc do Jeffa Ramana.

— Pojadę obejrzeć, jak zorganizowana jest ochrona Foremki.

— Słyszałem, że Don trochę narzekał. Coś poważnego w Białym Domu?

Pokręciła głową.

— Szef nie ma żadnych specjalnych planów. Callie Weston trochę się spóźni. Wymieniali jej licznik. Poza tym wszystko jak zwykle.

— I bardzo dobrze — pokiwał głową Raman.

— Tutaj Price — powiedziała do mikrofonu. — Dajcie mi wolną drogę do Foremki.

— Zrozumiałem — padła odpowiedź ze stanowiska dowodzenia. Szefowa Oddziału opuściła Biały Dom drzwiami, przez które weszła drużyna Mighty Ducks, i skręciła w lewo do swego Forda Crown Victoria. Samochód wyglądał zupełnie zwyczajnie, ale był to tylko pozór.

Pod maską znajdował się najpotężniejszy z silników produkowanych seryjnie przez Forda. Na desce

rozdzielczej umieszczono dwa telefony komórkowe oraz parę zabezpieczonych przed podsłuchem aparatów radiowych. Opony miały stalowe umocnienia, tak że nawet w przypadku przebicia, wóz mógł jechać dalej. Jak inni członkowie Tajnej Służby odbyła w Beltsville specjalny kurs prowadzenia samochodu, który wszyscy zresztą uwielbiali. W torbie, obok zapasowej pary klipsów, szminki i kart kredytowych, spoczywał *SigSauer* 9 mm.

Price wyglądała bardzo zwyczajnie. Nie była tak urodziwa jak Helen D'Agostino...

Ciężko westchnęła na samo wspomnienie. Andrea i Daga były bliskimi przyjaciółkami. Tamta pomogła jej dojść do siebie po rozwodzie, poznała ją z kilkoma chłopakami. Dobra przyjaciółka, dobra agentka, wraz z resztą poległa tamtego wieczoru na Wzgórzu. Daga — nikt nie nazywał jej Helen — została obdarzona nader zmysłowymi rysami śródziemnomorskimi, które okazały się znakomitym kamuflażem. Wydawało się, że mogła być wszystkim — asystentką prezydenta, sekretarką, może kochanką — tylko nie członkiem Oddziału. Andrea miała wygląd o wiele bardziej pospolity, wprowadziła więc ciemne okulary, na które przystali także pozostali członkowie Tajnej Służby. Konkretna, rzeczowa i bez złudzeń; może tylko odrobinę bardziej przenikliwa? Kiedyś ogłoszono o niej taką opinię, kiedy kobiety w Tajnej Służbie były jeszcze nowością. System oswoił się już z tą nowinką i teraz Andrea była traktowana przez kolegów jak kumpel i to do tego stopnia, że śmiała się z ich dowcipów i czasami dorzucała swoje. Wiedziała, że nominację tamtego wieczoru na szefa Oddziału zawdzięcza Ryanowi. Wydał telefoniczne polecenie, gdyż podobało mu się jej zachowanie. Gdyby nie jego decyzja, nigdy nie awansowałyby tak szybko. Oczywiście, miała instynkt. Jasne, dobrze znała personel. Tak, naprawdę lubiła swoją pracę. Była jednak za młoda na to stanowisko, a na dodatek — kobieta.

Ale wydawało się, że prezydent się tym nie przejmuje. Nie dlatego ją wybrał, że była kobietą i mogło to dobrze wyglądać w oczach opinii publicznej. Wybrał ją, ponieważ wykonała zadanie w bardzo trudnych okolicznościach. A ponieważ zrobiła to dobrze, zyskała sobie zaufanie Miecznika. Nawet zasięgał jej rady w różnych sprawach, a to nie było często spotykane. Była niezamężna, bezdzietna i tak już miało chyba zostać na zawsze.

Andrea Price nie należała bynajmniej do tych, które szukają uciezki przed swoją kobiecością w karierze zawodowej. Pragnęła jednego i drugiego, ale nie bardzo mogła sobie z tym poradzić. Praca była ważna (trudno jej było wyobrazić sobie coś, co miałoby większe znaczenie dla kraju), ale pochłaniała tyle czasu, że Andrea nie miała nawet okazji pomyśleć o tym, czego jej brak: mężczyzny, z którym dzieliłaby łóżko, dźwięcznego głosu, który wołałby:

„Mamusiu”.

— Nie jesteśmy tak do końca wyzwolone, prawda? — rzuciła pod adresem samochodowej szyby. Ale pensję dostawała nie za to, aby być wyzwoloną; dostawała ją za ochronę Pierwszej Rodziny kraju. Życie osobiste miało rozgrywać się w prywatnym czasie, tyle że służba nie zostawiała miejsca ani na jedno, ani na drugie.

Inspektor O'Day znalazł się już na autostradzie nr 50. Piątek był najpiękniejszym ze wszystkich dni tygodnia. Przed sobą miał kilkadziesiąt godzin wolnych od pracy; na siedzeniu obok leżał służbowy garnitur i krawat, zaś on sam odziany był znowu w skórzaną kurtkę lotniczą i czapkę baseballową

Johna Deene'a, bez których nie wyobrażał sobie gry w golfa czy wyjazdu na polowanie. Tego weekendu miał wiele rzeczy do zrobienia wokół domu. Sporą pomocą będzie Megan. W przeciwieństwie do Pata, lubiła to robić. Może to instynkt, a może bardzo chciała dopomóc ojcu. W każdym razie tworzyli nierozłączną parę, a w domu opuszczała go tylko po to, aby położyć się spać, zawsze jednak wcześniej zarzucała mu małe rączki na szyję i obdarzała czułym pocałunkiem.

— Ale ze mnie twardziel — powiedział O'Day i uśmiechnął się pod nosem.

Russell czuł się tak, jak gdyby został już dziadkiem: tyle dzieciarni dookoła. Maluchy znajdowały się teraz na zewnątrz; wszystkie w kurteczkach, przynajmniej połowa w kapturach nałożonych na głowy, gdyż z jakiegoś powodu bardzo im to odpowiadało, Zabawa szła na całego. Foremka bawiła się w piaskownicy z bardzo podobną do niej córką O'Daya oraz dzieckiem Walkerów, sympatycznym chłopaczkiem tej wieżmy, która jeździła Volvo. Na zewnątrz pełnił służbę także agent Hilton. O dziwo, na odkrytym powietrzu mogli się bardziej rozluźnić. Boisko znajdowało się po północnej stronie budynku Giant Steps, a po drugiej stronie ulicy zajmowała stanowisko grupa ubezpieczająca. Trzeci członek ich zespołu, kobieta, znajdowała się w budynku przy telefonie. Siedziała zwykle w pokoju na zapleczu, gdzie umieszczono monitory telewizyjne. Dzieci znały ją jako pannę Anne.

Za mało nas, myślał Russell, nawet wtedy, kiedy przyglądał się niewinnej zabawie dzieci.

Nie można wykluczyć możliwości, że ktoś nadjedzie Ritchie Highway i ostrzela teren. Próba namówienia Ryanów, aby nie wysyłali córki do tego przedszkola, była z góry skazana na niepowodzenie. Pragnęli, oczywiście, aby była normalną dziewczynką, nie różniącą się od innych dzieci, ale...

Ale wszystko było jednak dosyć zwariowane. Przesłanką całego życia zawodowego Russella było założenie, że są ludzie, którzy nienawidzą prezydenta i jego najbliższego otoczenia.

Niektórzy z nich byli szaleńcami, ale nie wszyscy. Studiował ich psychologię; musiał tak robić, gdyż dzięki temu wiedział, czego się strzec, ale wcale lepiej ich nie rozumiał. Chodziło przecież o dzieci. A z tego, co wiedział, nawet cholerna mafia zostawiała dzieci w spokoju.

Czasami zazdrościł agentom FBI tego, że z mocy ustawy zajmowali się aktami kidnapingu. Uratowanie dziecka i pojmanie takiego przestępcy musiało być czymś wspaniałym, chociaż czasami zastanawiał się, ile wysiłku potrzeba, aby zostawić zbira przy życiu, nie posyłając go przed oblicze Najwyższego, który odczytałby mu jego prawa. Uśmiechnął się na samą tę myśl. Może jednak lepiej, że jest tak jak jest. Kidnaperzy przeżywali w więzieniu ciężkie chwile. Nawet najbardziej zatwardziali bandyci nie mogli znieść tych, którzy krzywdzili dzieci, tak że ci w ramach amerykańskiego systemu penitencjarnego musieli zdobyć nową dla nich umiejętność: jak przeżyć.

— Russell? Tu stanowisko dowodzenia — usłyszał w słuchawce.

— Russell, słucham.

— Price, tak jak chciałeś, jedzie tutaj — z domu naprzeciwko poinformował agent Norm Jeffers. — Mówi, że będzie za czterdzieści minut.

— Dobra. Dziękuję.

— Widzę, że chłopak Walkerów rozwija talenty inżynierskie — ciągnął Jeffers.

— Na to wygląda. Później przyjdzie może kolej na most — zgodził się Don.

Kathie Ryan i Megan O'Day z zachwytem patrzyły, jak chłopak kończy drugie piętro swojego piaskowego zamku.

— Panie prezydencie — powiedział kapitan drużyny — mam nadzieję, że to się panu spodoba.

Ryan uśmiechnął się szeroko i zaprezentował bluzę przed kamerami. Zawodnicy skupili się wokół niego do zdjęcia.

— Dyrektor CIA jest wielkim kibicem hokeja — powiedział Jack.

— Tak? — spytał Bob Albertsen. Był bardzo agresywnym obrońcą o wadze stu dwudziestu kilogramów, który siał popłoch w lidze ze względu na grę przy bandzie, teraz jednak był łagodny jak baranek.

— Ma chłopaka, który jest bardzo dobry. Grał w lidze dziecięcej w Rosji.

— To może rzeczywiście czegoś się tam nauczył. Do jakiej szkoły chodzi?

— Nie wiem, do jakiego chcą go posłać koledżu. Mówili chyba, że Eddie chce zostać inżynierem.

O rany, jakie to przyjemne, pomyślał Jack, przynajmniej przez chwilę porozmawiać normalnie z normalnymi ludźmi.

— Niech mu pan poradzi, żeby wysłali chłopaka do Rensselaer. To dobra techniczna szkoła w Albany.

— Dlaczego tam?

— Te cholerne głąby od kilku lat z rzędu zdobywają mistrzostwo szkół wyższych. Ja chodziłem do Minnesoty i dowalili nam dwa razy. Niech pan da mi na niego namiary, a ja już dopilnuję, żeby dostał nasze koszulki z podpisami. Wyślemy, oczywiście, także ojcu.

— Nie zapomnę — obiecał Ryan.

Odległy o dwa metry agent Raman pokręcił tylko głową, słysząc tę rozmowę.

O'Day zajechał pod przedszkole w momencie, kiedy dzieci bocznym wejściem wracały do budynku, aby się umyć. Wiedział z doświadczenia, że to skomplikowane przedsięwzięcie.

Zaparkował swoją półciężarówkę zaraz po czwartej. Przyglądał się, jak agenci Tajnej Służby zajmują stanowiska. Agent Russell pojawił się w drzwiach wejściowych, gdyż było to jego stałe

miejsce, kiedy dzieci znajdowały się w środku.

— To co, jesteście umówieni na jutro?

Russell pokręcił głową.

— Nie da rady. Od jutra za dwa tygodnie, o drugiej po południu. Będziesz miał czas, żeby potrenować.

— A tobie się to nie przyda? — zapytał O'Day, przeciskając się w drzwiach.

Zobaczył, jak Megan, nie spostrzegłszy go, znika w łazience. To fajnie, pomyślał. Usiadł przy drzwiach, żeby ją zaskoczyć, kiedy będzie wychodziła.

Także i Gwiazdor zajął stanowisko na północno-wschodnim parkingu. Zdał sobie sprawę z tego, że gałęzie drzew zaczynają się zapełniać liśćmi, ale w tej chwili zupełnie go to nie interesowało. Nie zauważył niczego niezwykłego i od tej chwili wszystko spoczywało w rękach Allacha. Pomyślał, że używa imienia boskiego w związku z czynem zdecydowanie bezbożnym.

W tym momencie na północ od budynku przedszkola wykręcił w prawo samochód numer 1.

Pojedzie w dół ulicy, a potem zawróci. Samochodem numer 2 był biały Lincoln Town Car, dokładna kopia wozu, którego właściciele mieli tutaj dziecko. Obydwoje rodzice byli lekarzami, o czym żaden z terrorystów nie wiedział. Zaraz potem podjechał czerwony Chrysler, bliźniaczo podobny do tego, którym jeździła żona urzędnika bankowego. Gwiazdor patrzył, jak oba samochody zajęły na parkingu miejsca obok siebie, możliwie jak najbliżej autostrady.

Price wkrótce tu będzie. Russell przyglądał się zajeżdżającym samochodom, myśląc jednocześnie o argumentach, które przedstawi szefowej Oddziału. Promienie zachodzącego słońca odbijały się w szybach wozów, ledwie pozwalając mu dostrzec sylwetki kierowców. Oba samochody zjawiły się trochę wcześniej, ale w końcu był piątek...

Numery rejestracyjne...?

Zmrużył lekko oczy i przekrzywił głowę, zastanawiając się, dlaczego wcześniej...

Ktoś inny jednak to zrobił. Jeffers podniósł lornetkę, przyglądając się samochodom, co należało do jego rutynowych obowiązków. Nawet nie wiedział o tym, że ma fotograficzną pamięć. Zapamiętywanie numerów było dla niego czymś tak naturalnym jak oddychanie. Myślał, że każdy to potrafi.

Zaraz, zaraz, coś jest nie tak... — Poderwał do ust mikrofon.

— Russell, to nie nasze auta!

Prawie zdążył.

Zgodnym płynnym ruchem obydwaj kierowcy otworzyli drzwiczki samochodów, wystawili nogi, jednocześnie podrywając z przednich foteli *Kałasznikowy*. Z tyłu każdego wozu wyskoczyło po dwóch mężczyzn, także uzbrojonych.

Prawa ręka Russella pomknęła w dół i do tyłu, po pistolet, podczas gdy lewa uruchomiła mikrofon umocowany pod szyją.

— Broń!

Wewnątrz budynku inspektor O'Day usłyszał coś, ale nie był pewien, co, obrócony zaś w inną stronę nie mógł zobaczyć, jak agentka Marcella Hilton odwraca się od dziecka, które właśnie ją o coś pytało, a w jej ręku pojawia się pistolet.

„Broń!” to najprostsze z możliwych haseł. W następnej chwili to samo słowo rozbrzmiało w słuchawce, wykrzyknięte przez Norma Jeffersa na stanowisku dowodzenia. Ciemnoskóry agent nacisnął jeszcze inny guzik, uruchamiając połączenie z Waszyngtonem.

— Burza! Burza! Burza!

Jak większość policjantów, agent Don Russell nigdy nie strzelał do innego człowieka, ale lata treningu sprawiły, że każdy jego ruch był równie nieomylny jak siła ciężkości. Najpierw zobaczył uniesionego *Kałasznikowa* z charakterystycznym kształtem rury gazowej nad lufą. W

tym momencie, jak gdyby pod działaniem przełącznika, z czujnego ochroniarza zmienił się w system sterowania bronią palną. *SigSauer* był już wydobyty, a lewa dłoń biegła ku prawej, aby ustabilizować chwyt broni. Cały tułów opadł jednocześnie na lewe kolano, zmniejszając w ten sposób pole trafienia i zapewniając większą stabilność. Umysł Russella zarejestrował chłodno, że facet z *Kałasznikowem* wystrzelił pierwszy, ale celuje za wysoko. Stało się tak istotnie z trzema pociskami, które przeleciały nad jego głową i głośnym staccato rozerwały framugę drzwi.

Jednocześnie pokryta trytem muszka pistoletu nałożyła się na twarz. Russell ściągnął spust i z piętnastu metrów trafił przeciwnika w lewe oko.

Instykt inspektora O'Daya zaczął właśnie reagować w chwili, kiedy Megan wynurzyła się z łazienki, walcząc z zatrzaskami kombinezonu. W tym samym momencie, agentka znana dzieciom jako panna Anne wypadła z pokoju na zaplecze z pistoletem w złączonych dłoniach.

— Jezu! — zdążył wykrztusić inspektor FBI, gdy panna Anne przemknęła nad nim niczym futbolista NFL, rzucając go na ścianę.

Po drugiej stronie ulicy dwóch agentów wyskoczyło przed frontowe drzwi rezydencji z pistoletami maszynowymi *Uzi* w rękach, podczas gdy w środku Jeffers zajmował się łącznością.

Zdążył już przesłać do centrali sygnał alarmowy, a następnie uruchomił bezpośrednie połączenie z komendą stanowej policji Maryland na Rowe Boulevard w Annapolis. Zapanował zgiełk i

zamieszanie, ale agenci byli znakomicie wyszkoleni. Zadaniem Jeffersa było przekazanie alarmowych meldunków, potem miał ubezpieczać dwóch pozostałych członków swojej grupy, którzy gnali już przez trawnik...

...ale nigdy go nie pokonali. Z odległości pięćdziesięciu metrów strzelcy z pierwszego wozu położyli ich pojedynczymi strzałami. Jeffers widział, jak padają, kiedy kończył

przekazywać informację policji stanowej. Nie było czasu na szok. Uzyskał potwierdzenie odbioru, chwycił karabin *M-16* i skoczył do drzwi.

Russell przesunął pistolet w lewo. Błędem drugiego z napastników było to, że wciąż stał, by zapewnić sobie przegląd sytuacji. Dwa pociski, jeden tuż za drugim, rozniosły jego głowę niczym melon. Agent nie myślał, nie czuł, a jedynie zwracał się ku kolejnym celom tak szybko, jak mógł je zidentyfikować. Pociski nieprzyjaciół nadal pruły nad jego głową. Usłyszał krzyk, umysł poinformował, że to Marcella Hilton; coś ciężkiego zważyło się agentowi na plecy i przewróciło go na ziemię. To musiała być Marcella i właśnie jej ciało leżało na jego nogach.

Kiedy się przeturlał na bok, zobaczył, że w jego kierunku biegnie czterech mężczyzn; miał ich dokładnie na linii strzału. Pierwsza kula trafiła jednego z nich w serce. Oczy mężczyzny rozszerzyły się w szoku, a następny pocisk rozerwał mu twarz. Wszystko toczyło się jak w jakimś śnie; broń idealnie spełniała zadania kolejno przed nią stawiane. Kątem oka zarejestrował

ruch po lewej stronie — grupa ubezpieczająca nacierających, nie, to samochód jechał przez boisko, ale nie Suburban, jakiś inny. Nie zdążył jeszcze przenieść lufy na następną sylwetkę, gdy ta zwała się na ziemię, rzucona do tyłu trzema strzałami Anne Pemberton, która znalazła się w drzwiach za jego plecami. Pozostało dwóch — tylko dwóch, mieli szansę — ale w tym momencie Anne, trafiona w pierś, runęła na ziemię, i Russell wiedział, że został jako jedyna przeszkoda pomiędzy Foremką a tymi skurwielami.

Przetoczył się w prawo, umykając przed pociskami, które rozorały ziemię po jego lewej stronie, a wystrzelone w tym czasie dwa pociski chybiły celu. Zamek pistoletu pozostał w tylnym położeniu — magazynek *SigSauera* był już pusty. Błyskawicznym ruchem zamienił go na pełny, ale w ułamku chwili, kiedy to trwało, poczuł uderzenie w pośladek, które targnęło ciałem niczym kopniak. Pół sekundy później druga kula ugodziła go w lewy bark, drążąc ranę przez całe ciało i wychodząc prawą nogą. Wystrzelił jeszcze raz, ale mięśnie nie całkiem go słuchały, nie uniósł

więc lufy dostatecznie wysoko i trafił przeciwnika w kolano, zanim seria pocisków cisnęła go twarzą w piach.

W tej samej chwili, gdy O'Day usiłował się podnieść, w drzwiach stanęło dwóch mężczyzn uzbrojonych w *Kalasznikowy*. Obrzucił wzrokiem pomieszczenie, pełne umilkłych w przerażeniu dzieci. Cisza trwała przez moment, ale niemal natychmiast rozdarły ją przenikliwe piski. Noga jednego z mężczyzn krwawiła; przygryzał zęby z bólu i wściekłości.

Na zewnątrz trzech mężczyzn z samochodu numer 1 usiłowało ocenić dotychczasowe efekty ataku. Zobaczyli czterech swoich zabitych, mieli już jednak spokój z grupą osłaniającą...

...i na ziemię runął ten z nich, który stał przy tylnych prawych drzwiczkach. Pozostałych dwóch odwróciło się i zobaczyło przed sobą czarnoskórego mężczyznę w białej koszuli i z *M-16*

w rękach.

— Zdychaj, gnido!

W pamięci Normana Jeffersa nie miało zachować się wspomnienie słów, z jakimi trzema pociskami odstrzelił głowę drugiemu z mężczyzn. Trzeci z grupy, która zabiła dwóch towarzyszy Jeffersa, schronił się za maskę samochodu, ten jednak, stojący teraz na środku boiska, dawał osłonę tylko z jednej strony.

— No, Charlie, wystaw trochę główkę — wymruczał przez zaciśnięte zęby Jeffers...

...i rzeczywiście przeciwnik poderwał się z bronią na wysokości oczu, ale nie był dostatecznie szybki. Z oczyma szeroko rozwartymi i nieruchomymi jak u sowy, agent zobaczył, jak krew rozpryskuje się w powietrzu, a trafiony wróg znika za samochodem.

— Norm!!!

Koło niego znalazła się z bronią w dłoniach Paula Michaels ze sklepu 7-Eleven, w którym tego popołudnia pełniła dyżur. Oboje przyklęknęli za samochodem, którego pasażerów Jeffers przed chwilą zastrzelił. Ciężko dyszeli, serca im łomotały.

— Wiesz ilu?

— Co najmniej jeden dostał się do środka...

— Dwóch. Widziałam dwóch, jeden kulał. O, Boże! Don, Anne, Marcella...

— Daj spokój, Paula! W środku są dzieciaki! Kurwa mać!

Wszystko spieprzyli, pomyślał Gwiazdor. Niech to cholera! Przecież mówił im, że w domu po północnej stronie jest trzech ludzi Tajnej Służby. Dlaczego nie poczekali, żeby zastrzelić trzeciego? Gdyby tak zrobili, już teraz mieliby dzieciaka! Pokręcił głową. Od samego początku miał wątpliwości, czy akcja się powiedzie. Ostrzegał Badrajna, z tą też myśląabrał

sobie ludzi. Teraz pozostawało mu już tylko czekać, ale na co? Czy zastrzelą szczeniara? Takie dostali polecenie, gdyby porwanie okazało się niemożliwe. Mogą jednak zginąć, zanim wypełnią zadanie.

Price pozostało do przedszkola Giant Steps dziesięć kilometrów, kiedy przez radio dotarł

do niej sygnał alarmowy. W dwie sekundy później pedał gazu wciśnięty był do oporu, a wóz gnał

środkiem drogi przy akompaniamencie syreny i migającego światła. Skręcając na północ w Ritchie Highway, zobaczyła samochody blokujące ulicę. Błyskawicznie zjechała w lewo na pas zieleni; wóz lekko się ześlizgiwał po pochyłym zboczach. Na miejsce dotarła na kilka sekund przed oliwkowo-czarnym radiowozem policji stanowej.

— Price, to ty?

— Kto pyta?

— Norm Jeffers. Dwóch dostało się chyba do środka. Pięcioro naszych załatwionych. Za mną jest Michaels. Poślę ją, żeby kryła tyły.

— Za sekundę będę przy was.

— Uważaj, Andrea — ostrzegł Jeffers.

O'Day potrząsnął głową. W uszach mu dzwoniło, potylicą bolała od uderzenia w ścianę.

Swoim ciałem oddzielał córkę od dwóch terrorystów, którzy omiatali ruchami łuf pomieszczenie pełne rozkrzyczanych dzieci. Pani Daggett stała pomiędzy napastnikami a „jej” dziećmi, instynktownie wyciągając przed siebie otwarte dłonie. Dookoła wszystkie maluchy kulily się, wołając mamę. O dziwo, nikt nie wzywał taty, przemknęło przez myśl O'Dayowi. Wiele spodenek pokryło się mokrymi plamami.

— Panie prezydencie? — wykrztusił Raman, wciskając słuchawkę do ucha. Co, do cholery?

W St. Mary's przekazane przez radio hasło „Burza” podziało na grupy Cień i Piłkarz niczym uderzenie pioruna. Agenci, którzy znajdowali się pod klasami, gdzie odbywały się lekcje Ryanów, wpadli do środka z wydobytą bronią, aby wywlec swych protegowanych na korytarz.

Członkowie Oddziału nie odpowiadali na żadne pytania — działali zgodnie z opracowanym i przeciwczonym wcześniej planem. Wcisnęli swych podopiecznych do tego samego Chevroleta Suburban, który pojechał jednak nie w kierunku autostrady, lecz poprzez boisko ku budynkowi magazynowemu. Do szkoły prowadziła tylko jedna droga, a zamachowcy mogli już ją zablokować, przebrani za nie wiadomo kogo. W Waszyngtonie wystartował śmigłowiec, którego zadaniem było przetransportowanie dzieci prezydenta. Drugi Suburban zajął pozycję pośrodku boiska. Klasa, która miała właśnie lekcję wychowania fizycznego, zniknęła w szkole, agenci zaś schronili się za pokrytym kewlarzem wozem i wypatrywali możliwych zagrożeń.

— Cathy!

Profesor Ryan spojrzała zdumiona od biurka. Roy nigdy dotąd tak się do niej nie zwracał, nigdy też w jej obecności nie wydobywał pistoletu, znając jej niechęć do broni. Zareagowała instynktownie; jej twarz zrobiła się śnieżnobiała.

— Jack czy...?

— Nie wiem nic więcej. Proszę ze mną, szybko.

— Nie! Nie! Znowu?!

Altman otoczył ramieniem Chirurga, aby wyprowadzić ją na korytarz, gdzie czekało już czterech agentów z bronią gotową do strzału i ze złowrogimi twarzami. Ochrona szpitala usunęła się z drogi, podczas gdy na zewnątrz budynek otoczyła policja miejska z Baltimore.

Funkcjonariusze rozglądali się po ulicy, by wyglądać możliwych zagrożeń, i nie patrzyć na matkę, której dziecko znalazło się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Ryan oparł się o ścianę gabinetu, przygryzł wargi i spuścił wzrok.

— Co wiadomo, Jeff?

— Dwóch terrorystów jest w budynku, sir. Don Russell nie żyje, podobnie jak czwórka innych agentów. Cały teren otoczony. Nasi ludzie zrobią wszystko, co w ich mocy.

Raman dotknął lekko ramienia prezydenta.

— Dlaczego moje dzieci, Jeff? Przecież to o mnie chodzi. Kiedy ludzi ogarnia szaleństwo, powinni uderzać we mnie. Dlaczego podnoszą rękę na dzieci, powiedz mi?

— To obrzydliwy czyn, panie prezydencie, ohydny w oczach Boga i ludzi — powiedział

Raman w chwili, gdy do Gabinetu Ovalnego wchodziło trzech następnych agentów.

Co ja właściwie robię, zapytał w duchu spiskowiec. Dlaczego to powiedziałem?

Porozumiewali się w języku, którego nie rozumiał. O'Day pozostał na podłodze; trzymał

w ramionach swoją córkę i usiłował wyglądać równie niepozornie jak ona. Mój Boże, tyle lat ćwiczeń, ale nigdy sytuacji, gdy znajdował się wewnątrz, a nie zewnątrz zagrożonego terenu.

Gdyby był na zewnątrz, dobrze wiedziałby, co robić. Bez trudu mógł odgadnąć, co tam się może dziać. Prawdopodobnie jacyś ludzie z Tajnej Służby pozostali przy życiu; na pewno pozostali.

Ktoś trzy lub cztery razy wystrzelił z *M-16*; O'Day dobrze znał dźwięk tej broni. W środku nie pojawił się żaden więcej terrorysta. Połączył oba fakty: na zewnątrz musieli być nasi. Otoczą cały teren kordonem, aby nie wpuścić ani nie wypuścić nikogo podejrzanego. Potem wezwą, kogo?

Tajna Służba miała własną formację antyterrorystyczną, ale na pewno na miejscu znajdzie się także oddział odbijania zakładników FBI, który zostanie dostarczony tutaj helikopterem. Jak na zawołanie, nad budynkiem rozległ się warkot śmigłowca.

— Tu Traper Trzy, jesteśmy nad wami. Kto dowodzi?

— Tu agent Price, Tajna Służba Stanów Zjednoczonych. Jak długo możecie być na miejscu akcji? — spytała przez radio policyjne.

— Mamy paliwa na dziewięćdziesiąt minut, potem zmieni nas drugi śmigłowiec. Agentko Price, widzę jakąś osobę, chyba kobietę, schowaną po zachodniej stronie za pniem uschłego drzewa. Czy to ktoś od was?

— Michael, tu Price. Daj znak helikopterowi.

— Macha do nas — poinformował Traper Trzy.

— W porządku, to nasza, kryje tylne wyjście.

— Rozumiem. Poza tym żadnego ruchu wokół budynku; nikogo w promieniu stu metrów.

Obserwujemy z góry i czekamy na rozkazy.

— Dobrze. Bez odbioru.

VH-60 piechoty morskiej wylądował na boisku. Ledwie Sally i Mały Jack zostali energicznie umieszczeni na pokładzie, pułkownik Goodman wzbił się w powietrze i wziął kurs na wschód, nad wodę. Przed chwilą otrzymał meldunek Straży Przybrzeżnej, że w pobliżu nie ma żadnych nie zidentyfikowanych jednostek. *Black Hawk* osiągnął zamierzony pułap i pomknął nad wodą. Po lewej Goodman dostrzegł policyjny helikopter francuskiej produkcji, który wisiał w powietrzu o kilka kilometrów na północ od Annapolis. Nietrudno było zgadnąć, jakie ma zadanie, a oczyma wyobraźni pułkownik zobaczył kilka oddziałów zwiadu piechoty morskiej, które lądują na miejscu akcji. Słyszał kiedyś, że przestępcy, którzy porywają dzieci, otrzymują potem w więzieniu twardą szkołę, ale nawet w połowie nie mogłoby to dorównać temu, co zrobiliby *marines*, gdyby mieli po temu okazję. Na tym marzenia się urwały. Pilot nawet nie zerknął przez ramię, jak ma się dwójka dzieciaków. Miał prowadzić maszynę; to było jego zadanie. Musiał ufać, że inni równie skrupulatnie wypełnią swoje obowiązki.

Stali teraz koło okna. Ranny opierał się on ścianę — chyba dostał w kolano, pomyślał

O'Day, dobrze — drugi ostrożnie wyglądał na zewnątrz. Nietrudno było odgadnąć, co mogą widzieć. Syreny oznajmiały przybycie kolejnych wozów policyjnych; cały teren został już zapewne otoczony. Pani Daggett i jej trzy koleżanki zebrały dzieci w kącie, podczas gdy zamachowcy szybko przerzucali się słowami. Nieźle, pomyślał O'Day, nie są tacy dobrzy. Jeden z napastników przesunął wzrokiem po pokoju, ale...

Drugi sięgnął do kieszeni koszuli i wydobyl z niej fotografię. Powiedział coś w niezrozumiałym języku, a wtedy jego kamrat opuścił żaluzje w oknach. Cholera. Teraz strzelcy wyborowi byli bezradni. Terrorysty zorientowali się, że mogą zostać trafieni z zewnątrz, skoro żadne dziecko nie było na tyle wysokie, aby sięgnąć parapetu.

Mężczyzna z fotografią podszedł do zbitej w kącie gromadki i wskazał dłonią.

— Ta.

O dziwo, wydawało się, że dopiero teraz dostrzegli O'Daya. Ranny zamrugał oczyma i wycelował w niego *Katalsznikowa*. Inspektor oderwał ręce od córki i uniósł je w górę.

— Dosyć już padło ofiar — powiedział i nie musiał się bardzo starać, aby głos był drżący.

Popełniłem błąd, sadzając tak Megan, pomyślał. Ten bandzior może strzelić w nią, żeby trafić mnie. Nagle poczuł skurcz mdłości. Powoli, ostrożnie uniósł dziewczynkę w powietrze i umieścił po swojej lewej stronie.

— Nie! — powiedziała rozpaczliwie Marlene Daggett.

— Dawaj ją tutaj! — powtórzył terrorysta.

Posłuchaj ich, błagał kierowniczkę przedszkola w myślach O'Day. Pozostaw sprzeciw na lepszą okazję. Teraz nie będzie z niego żadnego pożytku.

Kobieta nie mogła jednak usłyszeć jego myśli.

— Szybciej!!!

— Nieee!

Z odległości metra terrorysta strzelił pani Daggett w pierś.

— Co to było? — zapytała ostro Price. Ritchie Highway nadjeżdżały ambulanse, których pulsujący sygnał wyraźnie różnił się od monotonnego zawodzenia syren policyjnych. W dole po lewej, policja stanowa blokowała dojazd do zagrożonego miejsca. Ręce nerwowo zaciskały się na rękojeściach rewolwerów; funkcjonariusze woleliby teraz być w miejscu, gdzie rozgrywał się dramat. Ich pełne irytacji zachowanie nie uszło uwadze zdumionych kierowców.

Ci, którzy znajdowali się w bezpośrednim sąsiedztwie przedszkola Giant Steps, usłyszeli ponowny wybuch przerażonych pisków dziecięcych, ale mogli tylko zgadywać, co stało się ich przyczyną.

Kiedy siedział tak jak teraz, skórzana kurtka podjeżdżała do góry. O'Day wiedział, że z tyłu widać kaburę jego pistoletu. Nigdy dotąd nie oglądał z bliska morderstwa. Prowadził

śledztwa w ich sprawie, ale widzieć jak ginie kobieta, która zajmowała się dziećmi... Jego twarz pełna była autentycznego przerażenia, jak twarz każdego człowieka, który patrzy, jak ktoś niewinny zostaje zniemacka zabity. Mógł zrobić tylko jedno.

Spojrzał znowu na nieruchome ciało Marlene Daggett i pożałował, że nie może jej zapewnić, iż jej mordercy nie opuszczą żywi tego budynku.

Zakrawało na cud, ale żadne z dzieci nie zostało dotychczas ranne. Wszystkie pociski szybowały wysoko i O'Day zdał sobie sprawę z tego, że gdyby Anne go nie przewróciła, najprawdopodobniej leżałby teraz obok swojej córki martwy. Ścianę podziurawiły pociski, które przeleciały na wysokości torsu inspektora. Zerknął w dół i zobaczył, że ręce mu się trzęsą.

Dobrze wiedziały, co powinny zrobić. Znały swe zadanie i nie rozumiały, dlaczego go nie wykonują, dlaczego kontrolujący je umysł nie daje na to pozwolenia. Musiały się jednak uzbroić w cierpliwość. Na razie główną pracę wykonywał umysł.

Terrorysta postawił Katie Ryan na nogi jednym szarpnięciem; dziewczynka krzyknęła z bólu, gdy wykręcił jej rękę. O'Dayowi przypomniał się jego pierwszy zwierzchnik, który prowadził sprawę kidnapingu. Dom DiNapoli, wielki, twardy facet, płakał, zwracając dziecko rodzicom, a do swoich ludzi powiedział: — Pamiętajcie, wszystkie dzieci są nasze.

Równie dobrze mogliby wziąć Megan, która siedziała tak blisko. Ledwie przez głowę przemknęła mu ta myśl, gdy facet, który trzymał Foremkę, raz jeszcze spojrział na zdjęcie, a potem na Pata O'Daya.

— Coś ty za jeden? — warknął.

Jego towarzysz jęknął z bólu.

— A o co chodzi? — zdenerwowanym głosem odpowiedział pytaniem na pytanie inspektor.

Udawaj wystraszonego głupka.

— Czyje to dziecko? — spytał terrorysta i wskazał Megan.

— Moje. Nie wiem, czyja jest tamta — skłamał inspektor.

— To córka prezydenta?

— A skąd mam wiedzieć? Zwykle żona odbiera Megan, nie ja. Róbcie, co macie robić i spieprzajcie stąd, dobra?

— Ej, wy w środku — zagrzemiał z zewnątrz kobiecy głos. — Tutaj Tajna Służba Stanów Zjednoczonych. Rozkazuję wam wyjść. Przynajmniej ocalicie życie. Nie możecie się wydostać.

Wyjdźcie tak, żebyśmy widzieli, że nie macie broni, a nic wam się nie stanie.

— Dobra rada, bracie — powiedział Pat. — Nie wypuszczą was stąd.

— Co to za gówniara? Córka waszego prezydenta, Ryana, tak? W takim razie nie ośmielą się do nas

strzelać! — warknął terrorysta. Mówił całkiem dobrze po angielsku, odnotował O'Day i zapytał:

— A co z innymi dziećmi? Chodzi wam tylko o tą jedną, to czemu nie puścicie reszty, co?

Porywacz miał rację. Na zewnątrz nikt nie będzie chciał strzelać do jednego z napastników, w obawie, że drugi został w środku, I faktycznie stał teraz, mierząc w pierś Pata.

Co gorsza, byli na tyle sprytni, że nigdy nie zbliżali się do siebie na więcej niż dwa metry.

Strzelać do nich trzeba było oddzielnie.

Najbardziej przeraził O'Daya spokój, z jakim mężczyzna zastrzelił Marlene Daggett. Bez żadnego wahania, z rozmysłem. Trudno było przewidzieć zachowanie terrorystów. Można było z nimi rozmawiać, aby ich uspokoić, odwrócić ich uwagę, ale naprawdę istniał tylko jeden sposób postępowania z ludźmi tego pokroju.

— Jak wypuścimy dzieciaki, dadzą nam auto?

— Jasne! Ja chcę tylko wieczorem spokojnie posiedzieć w domu z małą, dobra?

— Dobra. Siedź tam, gdzie siedzisz.

— Klawo.

O'Day poprawił się i przy tej okazji zbliżył dłonie do suwaka zamka. Kiedy go rozsunie, poły kurtki opadną i zakryją broń.

— Uwaga — rozbrzmiał ponownie kobiecy głos. — Chcemy z wami porozmawiać.

Cathy Ryan dołączyła do dzieci w helikopterze. Twarze agentów było grobowo poważne.

Mijał pierwszy szok Sally i Jacka juniora, którzy zaczęli szlochać, szukając pociechy u matki, podczas gdy *Black Hawk* znowu poderwał się do lotu i poleciał na południowy zachód od Waszyngtonu, eskortowany przez drugi śmigłowiec. Zrozumiała, że pilot oddala się od miejsca, gdzie znajdowała się Katie.

— W środku jest O'Day — powiedział Jeffers.

— Jesteś pewien, Norm?

— Na parkingu stoi jego wóz i widziałem, jak wchodził do środka, zanim się wszystko zaczęło.

— Cholera! — zaklęła Price. — To dla niego pewnie był przeznaczony ten strzał, który usłyszeliśmy.

— Też tak myślę — ponuro pokiwał głową Jeffers.

Prezydent znajdował się w Sali Sytuacyjnej, najlepszym miejscu do śledzenia rozwoju wydarzeń. Nie mógł znieść widoku swojego gabinetu, a nie był prezydentem na tyle, aby udawać, że...

— Jack?

Do prezydenta podszedł Robby Jackson. Uścisnęli się.

— Byłeś już w tym pomieszczeniu, pamiętasz? Wtedy poszło dobrze, teraz też się uda.

— Rozpracowujemy numery rejestracyjne wozów na parkingu. Wszystkie wynajęte — powiedział agent Raman, wciskający słuchawkę w ucho. — Może uda się ich zidentyfikować.

Na ile mogą być inteligentni? — zastanawiał się O'Day. Musieliby być kompletnymi durniami, żeby wierzyć, że uda im się z tego wykaraskać... Ale jeśli nie mieli na nic nadziei...

wtedy nie mieli nic do stracenia, a zabicie człowieka nie było dla nich żadnym problemem. Raz już tak się zdarzyło, w Izraelu, przypomniał sobie Pat. Nie pamiętał nazwisk, ani dokładnej daty, wiedział jednak, że para terrorystów uwięziła grupkę dzieci, którą ostrzelała z odległości pięciu metrów, zanim komandosi zdążyli...

Uczył się rozwiązań taktycznych na każdą sytuację i byłby tego pewien jeszcze dwadzieścia minut temu, ale teraz... kiedy obok miał jedyną córkę...

Wszystkie dzieci są nasze, rozbrzmiał mu w uszach głos Dona.

Terrorysta, stojący na lewo od rannego towarzysza, trzymał Katie Ryan za przedramię, a w prawej dłoni ścisnął *Katasznikowa*. Gdyby był to rewolwer lub pistolet, przytknąłby go do głowy swojej ofiary, ale karabin był na to za długi. Dziewczynka teraz już tylko pochlipywała i, wyczerpana poprzednimi krzykami, słaniała się niemal na nogach. Powolnym ruchem inspektor O'Day opuścił rękę i rozsunął suwak.

Dwójka zamachowców znowu zaczęła pośpiesznie wyrzucać z siebie niezrozumiałe zdania. Ranny był w coraz gorszym stanie. Najpierw działała przede wszystkim adrenalina, teraz napięcie odrobinę zelżało i osłabły mechanizmy blokujące dotąd uczucie bólu. Mówił teraz coś, ale O'Day nie mógł zrozumieć, co. Drugi gniewnie odpowiedział, wskazując z irytacją drzwi.

Najgorsza będzie chwila decyzji. Mogą zacząć strzelać do dzieci. Na odgłos strzałów najprawdopodobniej nastąpi atak z zewnątrz. Uda im się może uratować niektóre z maluchów.

W myślach nazwał ich Rannym i Zdrowym. Byli podnieceni, ale niezdecydowani, chcieli żyć, zaczynało jednak do nich docierać, że to się nie uda...

— Ej, wy — zawołał Pat i poruszył podniesionymi dłońmi, aby odciągnąć ich uwagę od rozpiętego zamka. — Mogę coś powiedzieć?

— Co? — warknął Zdrowy, podczas gdy Ranny spojrzał na O'Daya.

— Te dzieci tutaj... I tak trudno wam wszystkie je upilnować, nie? — spytał i wzruszeniem ramion usiłował wesprzeć swą sugestię. — A jak bym tak wyszedł za swoją dziewczynką i paroma innymi?

I znowu ożywiona wymiana zdań. Rannemu ta propozycja się spodobała, albo tak przynajmniej wyglądało to dla O'Daya.

— Uwaga, tu Tajna Służba! — rozległo się z megafonu, a O'Dayowi wydawało się, że rozpoznaje głos Price. Zdrowy spoglądał w kierunku drzwi, a wychylenie ciała sugerowało, że chce do nich podejść. Aby to zrobić, musiałby przejść obok Rannego.

— Ej, to co, dacie nam wyjść? — spytał błagalnym głosem O'Day. — Może ich namówię, żeby dali wam samochód albo co innego.

Zdrowy kiwnął *Kałasznikowem* w kierunku inspektora.

— Wstawaj! — rozkazał.

— Dobra, dobra, tylko spokojnie.

O'Day podniósł się powoli, trzymając ręce daleko od ciała. Czy zobaczą kaburę, kiedy się odwróci? Ludzie z Oddziału natychmiast ją dostrzegli, kiedy zjawił się pierwszy raz w przedszkolu, a gdyby teraz coś spartaczył, Megan... Nie mógł się odwrócić, po prostu nie mógł.

— Idź i powiedz im, żeby dali nam samochód, bo inaczej zastrzelimy tę gówniarę i całą resztę.

— Ale moją wezmę ze sobą, dobrze?

— Nie! — warknął Ranny.

Zdrowy powiedział coś do swojego współnika, lufę trzymając skierowaną do podłogi, podczas gdy tamten mierzył w pierś O'Daya.

— Co macie do stracenia?

Można było pomyśleć, że Zdrowy powiedział to samo do drugiego z terrorystów, a następnie szarpnął Katie Ryan za ramię. Dziewczynka krzyknęła z bólu, kiedy, popychając ją przed sobą, mężczyzna ruszył przez pokój, przy czym zasłonił w ten sposób swoim ciałem Rannego. O'Day musiał czekać dwadzieścia minut, aby nadeszła taka chwila, a wykorzystać ją trzeba było w ciągu ułamka sekundy.

Ruchy agenta FBI były równie płynne i precyzyjne jak Dona Kussella. Kiedy prawa ręką pomknęła pod kurtkę i wyrwała z zanadru pistolet, ciało opadało jednocześnie do przykłąku. W

chwili, kiedy Zdrowy odsłonił cel, *Smith 1076* wypluł z siebie dwa pociski, które Rannego zamieniły w Trupa. Oczy Zdrowego zrobiły się okrągłe ze zdumienia, podczas gdy dzieci znowu wybuchnęły

krzykiem.

— Poddaj się! — wrzasnął O'Day.

Zdrowy instynktownie szarpnął Katie Ryan za rękę i jednocześnie poderwał broń, tak jakby trzymał w niej broń krótką, tyle że *Kalasznikow* był za ciężki na taki manewr. O'Day chciał wziąć terrorystę żywcem, ale nie mógł ryzykować. Prawy palec wskazujący raz za razem nacisnął na spust. Mężczyzna runął na twarz, na białej ścianie przedszkola Giant Steps pozostały czerwone bryzgi.

Inspektor O'Day rzucił się przez pokój i kopnął najpierw jeden, a potem drugi karabin jak najdalej od martwych rąk posiadaczy. Dopiero teraz serce znowu zaczęło bić, a przynajmniej tak się wydawało, gdyż jeszcze przed chwilą w piersiach czuł próżnię. Na krótką chwilę opuściły go siły, ale zaraz się zmobilizował i uklęknął obok Katie Ryan, która dla Tajnych Służb była Foremką, a dla ludzi, których przed chwilą zabił — tylko celem.

— Wszystko w porządku, kochanie? — spytał. Nic nie odpowiedziała, trzymała się tylko za rękę i szlochała, nigdzie jednak nie było widać krwi. — Chodź — powiedział łagodnie i otoczył ramieniem dziewczynkę, którą na zawsze już będzie po części jego córką. Potem ujął

dłoń swojej Megan i podszedł do drzwi.

— Strzały w przedszkolu! — rozległo się z głośnika zamontowanego na blacie. Ryan zeszywniał; reszta osób zebranych w sali pochyliła się w napięciu.

— Brzmi jak pistolet. Czy mieli pistolety? — spytał ktoś na tym samym kanale.

— Do diabła! Patrz tylko!

— Kto to jest?!

— Wychodzą! Wychodzą! — zawołał ktoś.

— Nie strzelać! — krzyknęła przez megafon Price. Lufy dalej mierzyły w drzwi, ale palce odrobinę się rozluźniły.

— O Boże!

Jeffers zerwał się na równe nogi i pognął do wejścia.

— Obaj terroryści nie żyją, także pani Daggett — oznajmił O'Day. — Wszystko w porządku, Norm. Wszystko w porządku.

— Daj, może ja...

— Nie!!! — krzyknęła przeraźliwie Katie Ryan.

Jeffers musiał się odsunąć. Pat spojrział w dół i zobaczył zakrwawione ubrania trojga agentów z

konkurencyjnej firmy. W ciele Dona Russella było co najmniej dziesięć pocisków, obok leżał pusty magazynek. Dalej znajdowały się zwłoki czterech bandytów. Przechodząc obok, zarejestrował, że dwóch zostało trafionych prosto w głowy. Zatrzymał się obok swojej półciężarówki. Kolana lekko pod nim drżały; nie wypuszczając rąk dziewczynek, przysiadł na zderzaku. Zbliżyła się do nich jedna z agentek. Pat, nie przyglądając się jej właściwie, wydobył

Smitha z kabury i podał kobiecie.

— Jesteś ranny? — spytała Andrea Price.

Pokręcił głową; dopiero po chwili udało mu się przemówić.

— Za chwilę mogę dostać drżączki. Inspektor spojrzał na swoje dwie dziewczynki.

Policjant wziął na ręce Katie Ryan, ale Megan nie dała się oderwać od ojca. Ten przygarnął do siebie córkę i dopiero teraz poczuł, że z oczu płyną mu łzy.

— Foremka jest bezpieczna — usłyszał głos Price. — Foremka jest bezpieczna i cała!

Andrea rozejrzała się. Posiłki Tajnej Służby nie dotarły jeszcze na miejsce, gdzie roilo się od funkcjonariuszy stanowej policji Marylandu w koszulach khaki. Dziesięciu z nich otoczyło Katie, jak gdyby mieli ją bronić przed lwami.

Zjawił się Jeffers. O'Day nigdy przedtem nie docenił w pełni tego, jak zwalnia się upływ czasu w takich chwilach. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył pozostałe dzieci wyprowadzane bocznymi drzwiami przedszkola. Dookoła zaroilo się od lekarzy, którzy przede wszystkim zajęli się maluchami.

— Masz.

Czarnoskóry agent podał mu chusteczkę.

— Dzięki, Norm. — O'Day otarł oczy i nos, a potem wstał. — Przepraszam, chłopaki.

— Nie wygłupiaj się, Pat, zrobiłeś...

— Byłoby lepiej, gdybym tego drugiego wziął żywcem, ale nie mogłem ryzykować. —

Udało mu się wstać, bez wypuszczania ręki Megan. — Niech to szlag — dodał i pokręcił głową.

— Zbierajmy się stąd — rzekła Price. — Potem przyjdzie czas na dokładne sprawozdania.

— Pić mi się chce — mruknął O'Day. Znowu pokręcił głową. — Nigdy nie spodziewałem się czegoś takiego, Andrea. Dzieciaki dookoła. Tak być nie powinno, prawda?

Dlaczego drży mi głos? — pomyślał inspektor.

— Chodź, Pat. Świetnie się spisałeś.

— Chwileczkę.

Inspektor FBI przetarł twarz wielkimi dłońmi, głęboko odetchnął, a potem rozejrzał się dookoła. Chryste, ale jatka. Trzy trupy po tej stronie boiska. Pewnie załatwił ich Jeffers ze swojego *M-16*. Nieźle. Ale było jeszcze coś. Przy każdym z samochodów napastników leżało jedno ciało, oba trafione w głowę. Podobnie wyglądały inne zwłoki, jeden pocisk w pierś, drugi w głowę. Nie był pewien, kto trafił czwartego z napastników. Pewnie jedna z dziewczyn.

Wiedział, że balistycy bezbłędnie ustalą, która. O'Day podszedł do drzwi wejściowych, gdzie leżało ciało agenta Dona Russella. Tutaj okręcił się i ocenił teren przed sobą. Nieraz już był na miejscu przestępstwa; potrafił rozpoznawać znaki, odtworzyć to, co się działo. Żadnego ostrzeżenia, co najwyżej podejrzenie w ostatnim ułamku sekundy, nic więcej, a potem stajesz naprzeciw sześciu uzbrojonych przeciwników i kładziesz trupem trzech. Inspektor O'Day ukląkł

obok martwego ciała. Podał Price *Siga* wyciągniętego z ręki Russella, a potem długą chwilę trzymał ją w swojej dłoni. — Do zobaczenia, mistrzu — szepnął O'Day i wyprostował się.

Odwrót

Najbliższym dogodnym lądowiskiem dla helikoptera piechoty morskiej była Akademia Marynarki; jednak pojawiłby się kłopot z personelem Tajnej Służby, który miał przejąć opiekę nad Foremką. Andrea Price, najwyższy stopniem funkcjonariusz na miejscu przestępstwa, a zarazem dowódca Oddziału, musiała zostać w Giant Steps, tak więc oddział agentów skierowany został do Akademii, gdzie przejął Katie z rąk *marines*. Dlatego też pierwszą grupą federalnych funkcjonariuszy, którzy znaleźli się na terenie przedszkola, byli agenci FBI z niewielkiej komórki w Annapolis, filii sekcji terenowej z siedzibą w Baltimore. Wszystkie polecenia otrzymali od Price, ale na razie ich obowiązki były raczej mało skomplikowane.

O'Day przeszedł przez ulicę do domu, gdzie Norm Jeffers urządził lokalne stanowisko dowodzenia, a będąca właścicielką staruszka doszła już do siebie na tyle, aby poczęstować go kawą. Ruszyły szpule magnetofonu i inspektor opowiedział o całym zdarzeniu, troszcząc się nie tyle o klarowność narracji, ile o rejestrację możliwie wszystkich spostrzeżeń, co było najlepszym sposobem. Potem specjaliści uważnie przesłuchają materiał i zaczynają go zamęczać dodatkowymi pytaniami. Z miejsca, gdzie siedział, O'Day widział przez okno ambulanse; załogi czekały, aż będą mogły zacząć uprzątać zwłoki, których stan i ułożenie musiał wcześniej zostać utrwalone przez fotografów z dochodzeniówki.

Nikt nie wiedział, że miejscu zajścia przygląda się także Gwiazdor, ukryty w kilkusetosobowym tłumie uczniów i nauczycieli pobliskiego koledżu, a także przypadkowych gapiów. Zobaczył już zresztą wystarczająco wiele, przez parking poszedł więc do swojego auta, by Ritchie Highway ruszyć na północ.

— Dałem mu szansę — mówił O'Day. — Kazałem rzucić broń. Wrzasnąłem tak głośno, że powinniście usłyszeć na zewnątrz. Ale on zaczął podnosić *Kałasznikowa*, a ja nie mogłem ryzykować, rozumiecie.

Ręce już mu nie drżały. Pierwszy szok minął; na kolejny pora dopiero przyjdzie.

— Masz jakieś przypuszczenia, kim byli? — spytała Price, kiedy O'Day skończył spontaniczną opowieść.

— Mówili w jakimś obcym języku, ale nie wiem, w jakim. Wiem tylko tyle, że nie był to niemiecki ani rosyjski. Nie potrafiłem wychwycić żadnego znajomego wyrazu. Angielszczyznę mieli niezłą, wyuczoną, ale nie potrafiłbym określić wymowy. Morze Śródziemne, ewentualnie Bliski Wschód, może jeszcze jakiś inny region arabski. Żadnych emocji. Zastrzelił panią Daggett bez mrugnięcia okiem, całkowita bezwzględność, chociaż nie, to nie tak. Facet był spięty, ale ani chwili wahania.

Bum — i po niej. Nic nie mogłem zrobić; ten drugi celował we mnie, a poza tym stało się to tak szybko...

— Pat! — Andrea ujęte jego dłoń. — Jesteś cholernym bohaterem.

Helikopter wylądował obok południowego wejścia do Białego Domu. Dookoła widać było uzbrojonych agentów; Ryan rzucił się do maszyny, a chociaż wirnik kręcił się jeszcze, nikt go nie powstrzymywał. Pilot z piechoty morskiej w zielonym kombinezonie odsunął drzwi i wysiadł; za nim pokazali się agenci, którzy przekazali Foremkę w ręce ojca.

Kołysząc w ramionach córkę, Jack poszedł w stronę południowego wejścia, podczas gdy reszta rodziny czekała na niego w ukryciu. Kamery i aparaty fotograficzne zarejestrowały tę chwilę, aczkolwiek nikt z reporterów nie został dopuszczony do prezydenta bliżej niż na pięćdziesiąt metrów. Członkowie Tajnej Służby, po raz pierwszy za pamięci dziennikarzy zajmujących się Białym Domem, wyglądali naprawdę groźnie.

— Mamusiu! — Katie przekręciła się w rękach ojca, szukając matki, która natychmiast wzięte ją w objęcia. Sally i Mały John cisnęli się obok i ojciec na chwilę został sam. Nie na długo jednak.

— Jak się czujesz? — spytał ściszym głosem Arnie van Damm.

— Chyba już lepiej. — Twarz Ryana nadal była blada, ale poruszał się całkiem sprawnie.

— Czy wiemy coś więcej?

— Posłuchaj, po pierwsze, zabierzemy stąd was wszystkich. Do Camp David, zgoda?

Tam będziecie mogli się uspokoić. Miejsce absolutnie bezpieczne.

Ryan przez moment się zastanowił. Jego rodzina w ogóle jeszcze nie była w Camp David, on odwiedził rezydencję raptem dwa razy, ostatnio owego strasznego styczniowego dnia kilka lat temu.

— Arnie, nie mamy ubrań na zmianę i...

— Zajmiemy się wszystkim — zapewnił szef personelu. Prezydent pokiwał głową.

— Dobrze. Jedźmy tam. Szybko.

Cathy z dziećmi poszła na górę, a Jack dwie minuty później pojawił się w Sali Sytuacyjnej, gdzie teraz panował już znacznie lepszy nastrój. Minał pierwszy szok i trwoga, pozostała zawziętość.

— Dobrze — powiedział spokojnym głosem Ryan. — Co wiadomo?

— Czy to pan, panie prezydencie? — przemówił z głośnika Dan Murray.

— Tak, Dan, mów — polecił Miecznik.

— Mieliśmy w środku jednego z moich ludzi, zna go pan, Pat O’Day, jeden z moich inspektorów. Jego córka — zdaje się, ma na imię Megan — chodzi do tego samego przedszkola.

Udało mu się zastrzelić obu terrorystów. Tajna Służba zlikwidowała resztę; w sumie dziewięciu.

Zginęło pięciu agentów Andrei, oprócz tego pani Daggett. Chwalić Boga, żadnemu dziecku nie stała się krzywda. Price przesłuchuje teraz Pata. Na miejscu mam dziesięciu agentów FBI, którzy zajmują się śledztwem, w drodze jest ekipa dochodzeniowa z Tajnej Służby.

— Kto prowadzi śledztwo? — zapytał Ryan.

— Nakładają się dwa uprawnienia kompetencyjne. Atak na ciebie i na członków twojej rodziny podlega Tajnej Służbie; terroryści to nasza działka. Daję im pierwszeństwo i zapewnię wszelką potrzebną pomoc — obiecał Murray. — Przyrzekam, że nie będzie żadnych przepychanek. Zawiadomiłem już Departament Sprawiedliwości. Martin wyznaczy prokuratora, który będzie koordynował śledztwo. Jack...?

Dyrektor FBI zawiesił głos.

— Tak?

— Cała twoja rodzina musi się z tego otrząsnąć. Zajmiemy się wszystkim. Wiem, że jesteś prezydentem, ale przez następny dzień lub dwa bądź tylko mężem i ojcem.

— To dobra rada, Jack — zauważył admirał Jackson.

— Jeff? — zwrócił się Ryan do agenta Ramana. Wszyscy jego przyjaciele powtarzali to samo; najpewniej mieli rację.

— Słucham, panie prezydencie.

— Zorganizuj nam przelot do Camp David,

— Tak, panie prezydencie.

Raman wyszedł z Sali Sytuacyjnej.

— Robby, a może i ty przyleciałbyś z Sissy? Byłoby nam bardzo miło.

— Jasne.

— W porządku, Dan — powiedział Ryan do mikrofonu. — Wynosimy się do Camp David. Informuj mnie o wszystkim.

— Oczywiście — przyrzekł dyrektor FBI.

Usłyszeli o wszystkim w radio. Brown i Holbrook jechali na północ szosą 287, która miała ich wyprowadzić na międzystanową autostradę 90. Betoniarka wlokła się jak żółw, nawet ze swą wielobiegową przekładnią. Rozpędzała się bardzo powoli i równie wolno hamowała.

Mieli nadzieję, że na autostradzie jazda będzie odrobinę płynniejsza. Dobrze, że mieli przynajmniej porządne radio.

— Cholera! — zaklął Brown i podgłosił odbiornik.

— Dzieci! — Holbrook pokręcił głową. — Musimy się upewnić, że żadnych dzieciaków nie będzie w pobliżu, Ernie.

— Myślę, że to się da zrobić. Zakładając, że uda nam się doprowadzić tam ten złom.

— Jak myślisz, ile to zabierze?

— Pięć dni — odparł po chwili namysłu Brown.

Badrajn z ulgą stwierdził, że Darjaei spokojnie przyjął wiadomość, zwłaszcza że spiker wspomniał o śmierci wszystkich zamachowców.

— Proszę mi wybaczyć te słowa, ale ostrzegałem...

— Wiem. Pamiętam — przerwał Mahmud Hadzi. — Ta akcja nie była tak naprawdę niezbędna, jeśli tylko zapewniona zostanie tajność wykonania.

Z tymi słowami duchowny spojrzał na swojego gościa.

— Wszyscy mieli fałszywe dokumenty. Z tego co wiem, nikt z nich nie był odnotowany w archiwach policyjnych jakiegokolwiek kraju na świecie. Żaden z nich nie miał powiązań z nami. Gdyby któregoś schwytano żywcem, istniałaby możliwość dekonspiracji, o czym przestrzegałem, ale chyba udało się tego uniknąć.

Ajalatollah pokiwał głową i wygłosił pośmiertne epitafium:

— Tak. Byli wierni.

Wierni czemu? — spytał sam siebie Badrajn. Przywódcy polityczni o jawnie religijnym nastawieniu nie byli rzadkością w tej części świata, ale męczące stawało się wysłuchiwanie tych samych fraz. Teraz cała dziewiątka miała rzekomo znaleźć się w raju. Badrajn zastanawiał się, czy Darjaei faktycznie w to wierzy. Chyba tak. Jego pewność siebie była tak wielka, iż czuł w sobie głos samego Boga, albo przynajmniej powtarzał to tak często, iż w końcu w to uwierzył.

Ali wiedział, że nie tak trudno dojść do stanu, w którym, niezależnie od tego, z jakich motywów obstaje się za jakimś przeświadczeniem — dla politycznej korzyści, osobistej zemsty, z zazdrości — wystarczy tylko powtarzać je dostatecznie często, by stało się w końcu aktem wiary o treści równie czystej jak słowa Proroka. Darjaei liczył sobie teraz siedemdziesiąt dwa lata, a jego pełne wyrzeczeń życie było podróżą rozpoczętą w latach młodości, a bez reszty podporządkowaną świętemu celowi. Podróżą rozpoczętą dawno temu, a teraz dobiegającą kresu.

Cel widoczny był tak wyraźnie, że mogło się zdarzyć, iż się o nim zapomni. Oto pułapka, w którą wpadało wielu takich ludzi. Badrajn był pewien, że w tej dziedzinie on jest mądrzejszy. Dla niego chodziło po prostu o korzyść — żadnych iluzji, żadnej hipokryzji.

— A druga sprawa? — spytał Darjaei, gdy zmówił już modlitwę za dusze zmarłych.

— Coś więcej może będziemy już wiedzieć w poniedziałek, a z pewnością w środę — odparł Ali.

— Dyskrecja?

— Absolutna.

Tutaj Badrajn był całkowicie pewien swego. Wysłannicy powrócili bezpiecznie i poinformowali o ścisłym wypełnieniu zadań. Jedyne materialne ślady, które zostawili — puste opakowania — zostaną wyzbierane i usunięte jako odpadki. Zaraza wybuchnie, ale nic nie będzie wskazywało na to, dlaczego. A wtedy nieudane porwanie, które dzisiaj wydawało się porażką, wcale nią nie będzie. Ten Ryan, oddychający teraz z ulgą, że odzyskał córkę, jest człowiekiem osłabionym, podobnie jak osłabionym krajem była Ameryka — Darjaei zaś miał plan. I to plan dobry, a udział w nim odmieni życie Badrajna raz na zawsze. Jego działalność jako międzynarodowego terrorysty przejdzie do historii. Uzyska zapewne jakieś stanowisko w rozbudowującym się rządzie ZRI, sprawy wewnętrzne albo wywiad, będzie miał wygodny gabinet i sową pensję, nareszcie więc zakosztuje spokoju i bezpieczeństwa. Darjaei miał

wymarzony cel i może go zrealizuje. Cel Badrajna leżał o wiele bliżej i niewiele już było trzeba do jego urzeczywistnienia. Aby go zrealizować, zginęło dziewięciu ludzi. Na tym polegał ich pech.

Czy za swój akt poświęcenia rzeczywiście powędrowali do raju? Być może Allah naprawdę był miłośniwy i wybaczał każdy czyn popełniony w jego imieniu. Być może. Ale czy miało to jakiegokolwiek znaczenie?

Chcieli, żeby wyjazd wyglądał jak najbardziej normalnie. Dzieci przebrały się.

Spakowane bagaże zostaną dostarczone następnym lotem. Podjęto o wiele ostrzejsze niż zwykle środki bezpieczeństwa. Na dachu Departamentu Skarbu na wschodzie i Old Executive Office na zachodzie agencji Tajnej Służby, którzy zwykle klęczeli, teraz stali wyprostowani, a obok każdego z nich znajdował się strzelec wyborowy. Przy południowej bramie ośmiu agentów dokładnie obserwowało przechodniów i ludzi, którzy znaleźli się tutaj po usłyszeniu groźnych wiadomości.

Większość przygnała tutaj pewnie troska, może chcieli się pomodlić za rodzinę Ryanów, agenci natomiast wypatrywali tych, którzy mieliby inne intencje, ale nie dostrzegli niczego niepokojącego.

Jack zapiął pasy, to samo zrobiła reszta jego rodziny. Zawyły silniki, a nad ich głowami zaczął obracać się wirnik nośny. Wewnątrz znajdował się agent Raman z jeszcze jednym ochroniarzem oraz pilot z piechoty morskiej. Helikopter *VH-3* zadygotał i wzniósł się do góry, gwałtownie zyskując wysokość w podmuchu zachodniego wiatru. Najpierw poleciał na zachód, potem na południe, a następnie na północny zachód; kręty kurs miał zmylić ewentualnego zamachowca, który czyhałby na dole z rakieta przeciwlotniczą. Widoczność była tak dobra, iż osoba taka zostałaaby zapewne natychmiast zauważona — potrzeba przynajmniej kilku sekund, by celnie odpalić raketę, zaś *Marine One* wyposażony był w najnowszą odmianę systemu tłumienia emisji promieni podczerwonych *Black Hole*, niełatwo więc było go zestrzelić. Pilot — także i tym razem był to pułkownik Hank Goodman — doskonale wiedział o tym wszystkim.

W wytłumionej kabinie pasażerskiej panowała cisza. Prezydent Ryan zatopił się w swoich myślach, jego żona — w swoich. Dzieci wyglądały przez okna, gdyż lot helikopterem jest jedną z największych atrakcji dostępnych człowiekowi. Nawet mała Katie wychyliła się w pasach, żeby patrzeć w dół i czar widoku na chwilę przygłuszył dramatyczne wspomnienia popołudnia.

Widząc to, Jack pomyślał, że szybkie przenoszenie się dziecięcej uwagi z jednego obiektu na drugi było w równym stopniu błogosławieństwem, jak i przekleństwem. Cathy z twarzą ozłoconą promieniami zachodzącego słońca pograżyła się w ponurej zadumie. Wieczorna rozmowa nie będzie najłatwiejsza.

Wóz Tajnej Służby zabrał Cecilie Jackson z ich domu w Fort Myers. Admirał wraz z żoną wsiedli do lecącego w drugiej kolejności *VH-60*, na którego pokładzie znalazła się reszta toreb i cięższy bagaż Ryanów. Nie utrwały tego żadne aparaty fotoreporterów. Prezydent i Pierwsza Rodzina zniknęli, wraz z nimi kamery telewizyjne, podczas gdy mędrzy z okienka TV układali komentarze do wieczornych wiadomości, usiłując określić głębsze znaczenie dzisiejszych wydarzeń i wyciągnąć wnioski na długo przez federalnymi urzędnikami, którzy dopiero teraz zezwolili na zabranie czternastu ciał z miejsca zdarzenia. Migające światła policyjne dodawały większego dramatyzmu scenie, gdy ekipy telewizyjne na żywo przekazywały obraz, jedna —

dokładnie z miejsca, skąd Gwiazdor oglądał fiasko swojej operacji.

Był, oczywiście, przygotowany na tę okoliczność. Pojechał na północ Ritchie Highway

— nie było żadnych zakłóceń w ruchu i tylko policja nadal blokowała drogi dojazdowe do Giant Steps — a na lotnisku międzynarodowym Baltimore-Waszyngton miał jeszcze dość czasu, żeby zwrócić wypożyczony samochód i złapać 767 British Airways na Heathrow. Tym razem nie leciał pierwszą klasą, gdyż w samolocie była jedynie Business Class. Nie uśmiechał się. Miał

wprawdzie nadzieję, że porwanie się uda, aczkolwiek od samego początku zakładał również jego porażkę. Dla Gwiazdora misja nie zakończyła się klęską. Żył i raz jeszcze udało mu się umknąć.

Oto wzbijał się w powietrze, już niedługo znajdzie się w innym kraju i tam zniknie, chociaż

amerykańska policja stawiała na głowie, aby ustalić, czy był jeszcze jakiś uczestnik zbrodniczego spisku. Postanowił wychylić kilka lampek wina, aby łatwiej zasnąć po dniu pełnym napięć.

Uśmiechnął się dopiero na myśl, że to niezgodne z zasadami jego religii. Ale czy zgodny był z nimi jakikolwiek aspekt jego życia?

Zmierzch zapadł szybko. Kiedy zaczęli okrążyć Camp David, ziemia pokryła się już falistym cieniem, przetkanym nieruchomymi światłami domów i ruchomymi punkcikami samochodowych reflektorów. Helikopter opuszczał się powoli, by z miękkim gwizdem usiąść na lądowisku, na którym lśniły tylko wytyczające je lampy. Kiedy otworzyły się drzwi, Raman i towarzyszący mu agent wyskoczyli jako pierwsi. Prezydent odpiął pasy, podniósł się i stanął za plecami pilota, lekko poklepując go po barku.

— Dziękuję, pułkowniku.

— Ma pan wielu przyjaciół, panie prezydencie. Jesteśmy tutaj na każde pańskie wezwanie — zwrócił się Goodman do swego naczelnego dowódcy.

Jack skinął głową, zszedł po schodkach i w półmroku zobaczył sylwetki strzelców wyborowych w polowych mundurach piechoty morskiej.

— Witamy w Camp David, sir — powitał go dowódca w stopniu kapitana.

Jack odwrócił się, aby pomóc żonie. Sally sprowadziła po schodkach Katie. Ostatni pokazał się Mały Jack. Ryan zniechęca zdął sobie sprawę z tego, że syn przerósł już matkę.

Trzeba było pomyśleć o zmianie przydomka.

Cathy rozejrzała się nerwowo dookoła, co spostrzegł natychmiast kapitan.

— Proszę pani, w okolicy jest sześćdziesięciu *marines*.

Nie musiał dodawać, po co. Nie musiał mówić, jak wszyscy są czujni.

— Gdzie? — spytał Mały John, który niczego nie mógł dostrzec w półmroku.

— Spróbuj tego.

Kapitan podał chłopakowi swoje gogle noktowizyjne *PVS-7*. Piłkarz podniósł je do oczu.

— Ekstra!

Wyciągnął rękę w kierunku tego, co zobaczył, a kiedy opuścił gogle, *marines* znowu zniknęli.

— Świetnie nadają się do polowania na jelenie, a poza tym często granice terenu przekracza niedźwiedź, którego nazywamy Yogi.

Kapitan piechoty morskiej Lany Overton pogratulował sobie w duchu, że udało mu się uspokoić gości, i poprowadził ich do *Hummwie*, które miały ich zawieźć na miejsce. Potem dodał, że Yogi nosi obrożę z mininadajnikiem radiowym, aby nie zaskoczył nikogo, a zwłaszcza *marine* z naładowanym karabinem.

Budynki w Camp David robią wrażenie farmerskich i chociaż daleko im do luksusu Białego Domu, to przecież zasadnie można by je określić jako podmiejskie schronienie milionera z Aspen. W rzeczywistości ta siedziba prezydencka znana jest oficjalnie jako Aspen Cottage, utrzymywana przez bazę Marynarki w Thurmont w stanie Maryland, a chroniona przez starannie dobraną kompanię piechoty morskiej. To najbardziej ustronna i zarazem bezpieczna siedziba, jaką można znaleźć w promieniu dwustu kilometrów od Waszyngtonu. Budynku prezydenckiego pilnowali *marines*, wewnątrz odprowadzili ich do sypialni marynarze. Na zewnątrz stało jeszcze dwanaście domków, a im bliżej ktoś znajdował się centrum, tym znaczniejszą był osobą.

— Co będzie na kolację? — spytał Jack junior.

— Niemal wszystko, czego można sobie zażyczyć — odpowiedział główny steward piechoty morskiej.

Jack zerknął na Cathy, a ta skinęła głową; niech będzie to wieczór pod hasłem: „Czego dusza zapragnie”. Prezydent zdjął marynarkę i krawat, a steward natychmiast rzucił się, aby je odebrać.

— Jedzenie jest tu zawsze znakomite — oznajmił.

— To prawda — potwierdził jego szef. — Mamy umowę z miejscowymi farmerami.

Wszystko świeże. Czy mogę podać coś do picia? — spytał z nadzieją.

— To chyba niezły pomysł. Cathy?

— Może białe wino? — powiedziała, a w głosie jej nareszcie nie słychać było skrajnego napięcia.

— Mamy znakomity wybór, proszę pani. Jeśli chodzi o krajowe, to może Chardonnay Chateau *Ste. Michelle*. Rocznik 1991, znakomity dla tego gatunku.

— Jest pan ochmistrem? — spytał Ryan.

— Tak, panie prezydencie. Troszczyłem się o admirałów, ale teraz awansowałem i, jeśli wolno mi to powiedzieć o sobie, niezłe znam swoje wina.

Ryan podniósł dwa palce; ochmistrz skinął głową i wyszedł.

— To jakieś szaleństwo — powiedziała Cathy, kiedy drzwi się zamknęły.

— Tylko nie narzekaj, proszę.

Podczas kiedy czekali na wino, dwoje starszych pociech zamówiło pizzę, Katie zdecydowała się na

burgera i frytki. Od lądowiska doleciał ich warkot następnego śmigłowca.

Cathy ma rację, pomyślał Jack. To szaleństwo.

W drzwiach pojawił się ochmistrz z dwiema butelkami i srebrzystym wiaderkiem. Za nim inny ze stewardów niósł kieliszki.

— Chodziło mi o dwie lampki.

— Tak, panie prezydencie, ale przyleciał właśnie admirał Jackson z małżonką, a pani Jackson także lubi dobre białe wino.

Odkorkował butelkę i nalał odrobinę Chirurgowi, która po chwili skinęła z aprobatą głową.

— Czyż nie piękny bukiet?

Napełnił do końca kieliszek Cathy, a potem drugi, który podał prezydentowi. Po chwili ulotnił się.

— Wiele razy słyszałem, że Marynarka ma takich właśnie facetów, ale nigdy w to nie wierzyłem.

— Och, Jack! — nie wytrzymała Cathy i odwróciła się.

Cała trójka dzieci oglądała telewizję, siedząc na podłodze, włącznie z Sally, która zazwyczaj chciała uchodzić za młodą damę. Dla nich powróciła przyjazna, domowa atmosfera, podczas gdy rodzice robili to, o co zawsze zabiegają rodzice: starali się na tyle oswoić z nową rzeczywistością, aby osłonić potomstwo przed zagrożeniami.

W oknach po lewej przesunęły się światła *HMMVV*. Robby i Sissy najpierw z pewnością rozlokują się w swojej kwaterze, przebiorą, a dopiero potem zjawią się tutaj, pomyślał Jack.

Odwrócił się i otoczył ramieniem plecy żony.

— Już w porządku, kochanie.

Cathy pokręciła głową.

— Nie, Jack. Nigdy już nic nie będzie w porządku. Roy powiedział mi, że do końca życia będziemy mieć ochronę osobistą. Wszędzie, dokąd się udamy, będziemy potrzebować ochrony.

Zawsze.

Upiła łyk wina, nie tyle z gniewem, co z rezygnacją, nie tyle ze zdumieniem, co ze zrozumieniem czegoś, co przekraczało wszelkie jej dotychczasowe wyobrażenia. Uroki władzy były często tak pociągające. Lot śmigłowcem do pracy. Ludzie, którzy zajmą się ubraniami, przypilnują dzieci, wystarczy sięgnąć po telefon, aby mieć dowolne jedzenie, wszędzie eskorta, nigdzie nie trzeba

czekać w kolejce.

A cena? Cholernie wygórowana. W każdej niemal chwili ktoś może usiłować zabić twoje dziecko. Nie sposób przed tym uciec. Zupełnie jakby rozpoznano u niej raka piersi, jajników czy jakiegoś innego organu. Jakkolwiek brzmiałoby to przerażająco, konieczność była koniecznością.

Płacz nic nie da, chociaż Chirurg wiedziała, że nieraz go jeszcze zagna. Krzyczenie na Jacka nic nie da, a poza tym, po pierwsze, nie leżało w jej charakterze, po drugie — Jack w niczym nie zawinił. Pozostawało jedynie skulić się po ciosie, jak pacjenci u Hopkinsa, kiedy słyszeli, że muszą się skontaktować z oddziałem onkologii. Doprawdy, proszę się nie denerwować. To najlepsi specjaliści, czasy się zmieniły, a oni naprawdę z wieloma rzeczami potrafią sobie poradzić. Jej koledzy z onkologii rzeczywiście należeli do najlepszych. I właśnie otrzymali śliczny, nowy budynek. Ale czy naprawdę chciałyby się tam udać?

Oni również mieli śliczny dom, znakomitą służbę, w której liczbie znaleźli się też koneserzy win. Ale kto naprawdę chce tam zamieszkać?

Tak wielu agentów zostało oddelegowanych do dochodzenia, że nie wiedzieli jeszcze, kto czym ma się zająć. Nie mieli wystarczającej ilości podstawowych informacji, które mogłyby stanowić punkt wyjścia, ale to szybko się zmieniało. Sfotografowano twarze wszystkich zabitych terrorystów — z wyjątkiem dwóch zastrzelonych z *M-16* Norma Jeffersa, u tych nie było co fotografować — i zdjęto im odciski palców. Pobrano próbki krwi, aby z nich określić zapis DNA, co mogło się okazać pożyteczne, gdyby tożsamość przyszło ustalać na podstawie więzów pokrewieństwa. Na razie trzeba było ograniczyć się do zdjęć, które w pierwszej kolejności przekazano Mossadowi. Wszyscy przypuszczali, że zamachowcy byli z Bliskiego Wschodu, a w tym przypadku najlepszymi danymi dysponowali Izraelczycy. Pierwszy kontakt nawiązała CIA, w ślad za nią FBI; osobistą pomoc natychmiast zadeklarował generał Avi ben Jakob.

Wszystkie ciała przewieziono do Annapolis, aby tam przeprowadzić sekcję. Tego wymagało prawo, nawet w przypadku śmierci spowodowanej przez przyczynę tak oczywistą jak trzęsienie ziemi. Badania miały między innymi ustalić stan organizmów przed śmiercią, zaś analizy morfologiczno-toksykologiczne pozwolą stwierdzić, czy terroryści znajdowali się pod wpływem narkotyków.

Badaniem odzieży zajęły się laboratoria FBI w Waszyngtonie. Najpierw ustalono marki producentów, aby określić kraj, z którego pochodziły. To i ogólny stan ubrań pozwolią określić, kiedy zostały nabyte, co w pewnych sytuacjach może okazać się ważne. Ponadto specjaliści przez cały piątkowy wieczór zbierali przy użyciu specjalnej taśmy klejącej pojedyncze włókna, a zwłaszcza pyłki roślin, niektóre bowiem z nich rosną tylko w ściśle określonych regionach świata. Na wyniki takich badań trzeba niekiedy czekać całymi tygodniami, ale w podobnej sprawie jak ta nie liczyły się żadne ograniczenia. FBI dysponowało szerokim gronem specjalistów z najróżniejszych dziedzin.

Numery rejestracyjne samochodów zostały przekazane do rejestru, zanim jeszcze O'Day oddał swoje strzały, i agenci ślęczeli już nad klawiaturami komputerów, sprawdzając dane.

W Giant Steps przesłuchano wszystkich dorosłych, którzy mogli mieć coś do powiedzenia. W większości tylko potwierdzili obserwacje O'Daya. Niektóre szczegóły, wprawdzie rozczarowujące, nie były jednak zaskoczeniem. Żadna z wychowawczyń nie rozpoznała języka, którego używali terroryści. Dzieci wypytywano o wiele delikatniej, zawsze w towarzystwie rodziców. W dwóch przypadkach pochodzili oni z Bliskiego Wschodu, ale nadzieja, że może dzieci wychwyciły jakieś znajome słowa, okazała się płonna.

Zebrano wszystkie sztuki broni, a numery seryjne skonfrontowano z komputerowymi bazami danych. Bez trudu ustalono datę produkcji, a księgi wytwórców doprowadziły najpierw do hurtowni, a potem do konkretnych sklepów. Broń okazała się stara, z czym nie zgadzał się stan luf i mechanizmów zamkowych, niemal zupełnie nie zużytych. Informacje te zostały przekazane, zanim jeszcze zidentyfikowano osobę nabywcy.

— Cholera, jaka szkoda, że nie ma tu Billa — powiedział na głos Murray, po raz pierwszy w swej karierze czując, że sprawa go przerasta. Wokół stołu zasiedli szefowie wydziałów. Od samego początku było oczywiste, że śledztwo poprowadzi wspólnie kryminalny i kontrwywiad, wspomagane, jak zwykle, przez laboratorium. Sytuacja zmieniała się tak szybko, że nie było nawet przedstawiciela Tajnej Służby.

— Wnioski?

— Dan, ktokolwiek kupił tę broń, przebywał w kraju już od dawna — powiedział szef kontrwywiadu.

— Śpioch — zgodził się Murray.

— Pat nie rozpoznał języka, co raczej wyklucza Europę. Wszystko wskazuje na Bliski Wschód — odezwał się kierownik kryminalnego. Nie było to może wnioskowanie zasługujące na wywiadowczego Nobla, ale także FBI musiało sobie jakoś radzić w sytuacji niedostatku informacji. — No, powiedzmy, że wykluczamy zachodnią i północną Europę, gdyż trzeba jednak uwzględnić kraje bałkańskie.

Siedzący za stołem pokiwali głowami.

— Ile lat mają te *Katasznikowy*? — zapytał dyrektor.

— Jedenaście. Kupiono je na długo przed zaostreniem przepisów — poinformował wydział kryminalny. — Są zupełnie dziewicze, nie używane, aż do dziś, Dan.

— Ktoś zorganizował siatkę, o której nie mieliśmy najmniejszego pojęcia. Ktoś naprawdę cierpliwy. Kimkolwiek okaże się nabywca, będzie miał, jestem pewien, pięknie sfalszowane dowody identyfikacyjne, a sam dawno już wyjechał ze Stanów. Piękna robota wywiadowcza, Dan — powiedział przedstawiciel kontrwywiadu, wyrażając na głos to, co reszta myślała po cichu. — Mamy do czynienia z zawodowcami.

— Trochę za wiele w tym spekulacji — zaprotestował dyrektor.

— Dan, kiedy ostatni raz się pomyliłem? — spytał jego zastępca.

— Dawno. Mów dalej.

— Może Labom uda się uzyskać coś wartościowego — mówiący kiwnął głową w kierunku zastępcy dyrektora FBI, odpowiedzialnego za pracę laboratorium — ale nawet wtedy nie będziemy mieli niczego, co mogłoby się ostać w sądzie, chyba że uda nam się przyskrzynić nabywcę broni, albo jakąś inną osobę zamieszana w tę sprawę.

— Rejestry lotów i paszporty — oznajmił zwięźle szef kryminalnego. — Na początek z ostatnich dwóch tygodni. Zwrócić uwagę na wielokrotne podróże. Ktoś musiał zrobić rozpoznanie, bez wątpienia po tym, jak Ryan został prezydentem. Ale, powtarzam, to na początek.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że chodzi o sprawdzenie milionów list pasażerów. Na tym jednak polegała między innymi praca policyjna.

— Cholera, wolałbym, żebyś się mylił z tym, że to śpioch — powiedział Murray po chwili namysłu.

— Ja także wolałbym, Dan — odrzekł kierownik sekcji kontrwywiadu — ale się nie mylę. Potrzeba nam będzie trochę czasu, żeby zidentyfikować jego dom, miejsce spotkań, wypytać sąsiadów, dotrzeć do dokumentów zakupu czy wynajmu domu z jego na pewno fałszywymi danymi personalnymi. Facet musiał już wybyć, ale nie to jest najgorsze. Żył tutaj co najmniej jedenaście lat. Zarabiał, czegoś się nauczył, a jednak przez cały ten czas wierzył w swoją misję na tyle silnie, by pomóc w tej akcji. Tyle czasu tutaj spędzonego nie przeszkodziło mu pomóc w zamachu na dziecko.

— Obawiam się, że są jeszcze inni — powiedział posępnie Murray.

— Ja też tak sądzę.

— Czy mogę państwu pokazać drogę?

— Widziałem już pana wcześniej, ale...

— Agent Raman, sir.

Admirał wyciągnął rękę.

— Robby Jackson.

— Wiem, panie admirale.

Spacer byłby jeszcze przyjemniejszy, gdyby nie natarczywa obecność uzbrojonych ludzi.

W chłodnym i przejrzystym powietrzu górskim migotały nad głowami gwiazdy.

— Jak on sobie radzi? — spytał Robby agenta.

— Ma za sobą ciężki dzień. Zginęli świetni ludzie.

— Także paru sukinsynów.

Jackson na zawsze już pozostanie pilotem myśliwca, dla którego istnieją straty własne i straty nieprzyjaciela. Skręcili w kierunku siedziby prezydenta.

Robby'ego i Sissy zaskoczyła normalność sceny powitania. Mniej chodziło o rodziców — choroba Cecilii przyzwyczała obydwójce do nieokazywania cierpień — bardziej o dzieci.

Najbardziej straszliwe zdarzenia, jeśli kończyły się w objęciach rodziców, znikwały z pamięci.

Pozostaną jednak nocne zmory, które powracać będą przez całe tygodnie, a może miesiące, aż wspomnienia wyblakną do reszty. Jak zwykle, wymieniono uściski, jak zwykle kobiety miały swoje sprawy, a mężczyźni swoje. Robby wziął lampkę wina i wyszedł z Jackiem na zewnątrz.

— Jak z tobą?

Mocą niepisanej umowy, na ten czas Jack przestawał być prezydentem.

— Przeżyłem szok, ale to musi minąć. Wszystko jakby się powtórzyło. Sukinsyny nie uderzą we mnie. O, nie, wybierają znacznie wrażliwsze miejsce. Tchórzliwe bydlaki! —

powiedział z pasją.

Jackson posmakował wina. W tej chwili niezbyt wiele miał do powiedzenia, ale bardzo szybko się to zmieni.

— Jestem tutaj pierwszy raz — oznajmił, żeby coś powiedzieć.

— Kiedy ja byłem tutaj pierwszy raz... Uwierzysz, że odprawiliśmy pogrzeb? Był

rosyjskim pułkownikiem, a naszym agentem w ich ministerstwie obrony. Wspaniały żołnierz, trzykrotny Bohater Związku Radzieckiego. Kryptonim Kardynał z Kremla. Pochowaliśmy go w mundurze, ze wszystkimi medalami. To było wtedy, kiedy wyciągnęliśmy Gierasimowa.

— Szefa KGB. Więc to prawda?

— Tak — kiwnął głową Ryan. — Wiesz też o Kolumbii i o okręcie podwodnym. Jak to wyniuchała ta cholerna prasa?!

Robby o mało nie roześmiał się w głos, ale skończyło się na chichocie.

— I pomyśleć, że ja uważałem swoją karierę w lotnictwie Marynarki za obfitującą w wydarzenia.

— Sam sobie ją wybrałeś — zauważył Jack.

— Z tobą było nie inaczej, przyjacielu.

— Tak uważasz? — Ryan wszedł do środka i powrócił z napełnionym kieliszkiem oraz goglami noktowizyjnymi. Włączył je i spojrzał dokoła. — Nie decydowałem się na to, że mojej rodziny pilnować będzie kompania *marines*. Tam jest ich trzech, w kamizelkach kuloodpornych, hełmach, z karabinami... A dlaczego? Ponieważ są na świecie ludzie, którzy chcą nas zabić. A dlaczego? Ponieważ...

— Poczekaj, ja ci powiem. Ponieważ jesteś lepszy od nich, Jack. Walczysz o sprawy, które są słuszne. Ponieważ masz charakter i nie uciekasz przed byle gównem. I dlatego nie chcę tego już słyszeć. Żadnego hamletyzowania. Znam cię dobrze. Jestem pilotem, gdyż tak postanowiłem. Ty jesteś, kim jesteś, gdyż również tak postanowiłeś. I nikt nie oczekiwał, że będzie łatwo. Mam rację?

— Ale...

— Żadnych „ale”, panie prezydencie. Są ludzie, którzy cię nienawidzą? W porządku.

Pomyśl, jak ich wykryć, a potem daj znać tym chłopakom z piechoty morskiej, a ci się już wszystkim zajmą. I dobrze wiesz, co powiedzą. Tak, niektórzy cię nienawidzą, ale wielu cię szanuje. I powiem ci coś: nie ma w tym kraju człowieka w mundurze, który nie pragnąłby zatrzeć na miazgę każdego, kto się porywa na ciebie i na twoją rodzinę. I nie chodzi o urząd prezydenta, lecz o to kim jesteś.

A kim ja jestem? — zapytał w duchu Miecznik. Znowu dała o sobie znać jedna z jego słabości.

— Chodź — powiedział Jack i pociągnął przyjaciela w kierunku, gdzie dostrzegł krótki błysk płomienia zapalniczki. Trzydzieści sekund później przy narożniku następnego domku trafił

na kucharza z piechoty morskiej, który z lubością zaciągał się papierosem. Prezydent uznał, że mała prośba nie przyniesie ujmy jego stanowisku.

— Dobry wieczór.

— O, Jezu! — wykrzyknął żołnierz, ciskając papierosa w trawę i prostując się na baczość. — To znaczy, dobry wieczór, panie prezydencie!

— Pierwsze — pudło, drugie — racja. Macie może na zbyciu papierosa? — spytał Ryan bez najmniejszego zażenowania, jak zauważył Jackson.

— Już się robi, panie prezydencie — z werwą odpowiedział kucharz, poczęstował Jacka i podał mu ogień.

— Marynarzu, jeśli Pierwsza Dama zobaczy podobną scenę, z pewnością każe was rozstrzelać — ostrzegł Robby.

— Admirał Jackson! — Kucharz znowu się wyprężył.

— Piechota morska, jeśli sobie dobrze przypominam, słucha moich rozkazów, a nie Pierwszej Damy. Jak tam kolacja?

— Kończymy przygotowywać pizzę dla pana dzieci. Sam ją upiekę. Będzie smakowała!

— Spocznij. Dziękuję za papierosa.

— Nie ma za co, sir.

Jack podał rękę marynarzowi i zawrócił wraz z Jacksonem.

— Potrzebowałem tego — przyznał z niejakim wstydem i głęboko zaciągnął się dymem.

— Gdybym miał takie miejsce jak to, często bym z niego korzystał — powiedział

Jackson. — Czasami, kiedy się stanie na pomoście nad pokładem startowym, widzisz dokoła tylko ocean i gwiazdy. Proste przyjemności są najlepsze.

— Nie do końca. Patrzysz na morze, gwiazdy, ale wszystko dalej siedzi w tobie i nie możesz się od tego oderwać.

— Racja — zgodził się admirał. — Myśli się odrobinę łatwiej, napięcie odrobinę maleje, ale kłopoty pozostają.

Tak jak teraz, dodał w myślach.

— Tony poinformował, że gdzieś nam zniknął spory kawał marynarki Indii.

— Dwa lotniskowce z eskortą i jednostkami zaopatrzenia. Szukamy ich.

— A jeśli te sprawy się wiążą? — spytał Ryan.

— Które?

— Chińczycy szykują kłopoty w jednym miejscu, w innym znikają okręty indyjskie i jeszcze mnie przydarza się coś takiego. Czy może to już mania prześladowcza?

— Raczej mania. Hindusi pewnie wypłynęli dlatego, że skończyli remont, a poza tym chcieli nam pokazać, że nie daliśmy im znowu takiego strasznego łupnia. Jeśli chodzi o Chińczyków, takie rzeczy zdarzały się już wcześniej, bez żadnych dalszych konsekwencji.

Szczególnie, że będzie tam Mike Dubro. Znam Mike'a, ma naprawdę ostrych chłopaków i ci się dobrze rozejrzą. Ta sprawa z Katie? Za wcześnie, żeby powiedzieć coś jednoznacznie, a poza tym to nie moja specjalność. Od tego masz Murraya i całą resztę. Najważniejsze jest w końcu to, że im się nie udało. Masz swoją rodzinę tutaj, spokojnie ogląda telewizję i dużo czasu będzie musiało upłynąć, zanim ktoś raz jeszcze spróbuje się porwać na takie barbarzyństwo.

Dla wielu osób na całym świecie zapowiadała się bezsenna noc. W Tel Awiwie, gdzie była czwarta nad ranem, Avi ben Jakob zwołał najlepszych ekspertów od spraw terroryzmu.

Wspólnie obejrzelili zdjęcia nadesłane z Waszyngtonu i porównali je z własnymi fotografiami, gromadzonymi przez całe lata, a robionymi w Libanie i w innych miejscach. Największy problem polegał na tym, że na większości z nich widnieli brodaci mężczyźni — broda to najprostszy sposób na zmianę wizerunku mężczyzny — a najczęściej były one kiepskiej jakości. Zdjęcia amerykańskie też pozostawiały sporo do życzenia.

— Jakież skojarzenia? — spytał dyrektor Mossadu.

Wszystkie oczy zwróciły się na, czterdziestoletnią mniej więcej, kobietę o nazwisku Sarah Peled. Za plecami nazywano ją wiedźmą. Posiadała nadzwyczajny dar rozpoznawania ludzi na fotografiach i miała rację w połowie przypadków, w których inni funkcjonariusze wywiadu bezradnie rozkładali ręce.

— Ten. — Popchnęła dwa zdjęcia na środek stołu. — Z pewnością się zgadzają.

Ben Jakob przyjrzał się obu fotografiom i nie znalazł na nich nic, co potwierdzałoby opinię kobiety. Na jego ponawiane pytania, na czym się opiera, Sarah odpowiadała, że u ludzi niezmiennie są oczy, Avi spojrzął więc raz jeszcze na fotografie, ale oczy były tylko oczyma.

Odwrócił fotografię izraelską. Informacja na tylnej stronie podawała, że dwudziestoletni wówczas mężczyzna, o nieznanym nazwisku, podejrzany był o przynależność do Hezbollahu.

Sfotografowany został sześć lat wcześniej.

— A inni, Sarah?

— Nie, tylko ten.

— Na ile jesteś tego pewna? — spytał jeden z oficerów kontrwywiadu, który także nie mógł dostrzec żadnego podobieństwa między dwoma wizerunkami.

— Na sto procent, Benny. Powiedziałam: „na pewno”, prawda? Sarah bywała kąśliwa, szczególnie wobec tych, którzy o czwartej nad ranem powątpiewali w jej zdolności.

— Jak daleko idziemy? — spytał inny z obecnych.

— Ryan jest przyjacielem naszego kraju i prezydentem Stanów Zjednoczonych. Zrobimy wszystko, co możliwe. Uruchomić wszystkie kontakty w Libanie, Syrii, Iraku, Iranie, wszędzie.

— Świnie!

Bondarienko przeciągnął ręką po włosach. Krawat dawno poszedł w ką. Zegarek informował, że jest już sobota.

— Racja — zgodził się Gołowko.

— Tajna operacja, „mokra”, jak to wy określacie — powiedział generał.

— Mokra i partacka — mruknął szyderczo szef SWR. — Ale tym razem Iwan Emmetowicz miał szczęście, towarzyszu generale.

— Może — wzruszył ramionami Gienadij Josefowicz.

— Uważacie, że nie?

— Terroryci zlekceważyli ochronę przedszkola. Pamiętajcie, że miałem ostatnio okazję poprzyglądać się armii amerykańskiej. Jest wyszkolona jak żadna inna na świecie, a bezpośrednia ochrona prezydencka to muszą być prawdziwe asy. Dlaczego ludzie tak często nie doceniają Amerykanów? — powiedział w zamyśleniu Bondarienko.

Słuszne pytanie, pomyślał Siergiej Nikołajewicz, i głową dał szefowi operacyjnemu znak, aby mówił dalej.

— Amerykanom często brakuje politycznego ukierunkowania, ale to nie to samo co niekompetencja. Wiecie, kogo oni przypominają? Groźnego psa, trzymanego na krótkim łańcuchu. A ponieważ nie może zerwać tego łańcucha, więc ludzie wyobrażają sobie, że nie trzeba się go bać. Tymczasem w zasięgu łańcucha jest niepokonany, a ten — jak to łańcuch —

może się zerwać. Wy lepiej znacie Ryana.

— Tak — potwierdził Gołowko.

— Te historie w prasie, to wszystko prawda?

— Najprawdziwsza.

— Powiem wam coś, Siergieju Nikołajewiczu. Skoro uważacie, że to znakomity przeciwnik, który ma jeszcze na łańcuchu groźnego brytana, to starałbym się za bardzo go nie drażnić. Porwać dziecko? Jego dziecko?

Generał pokręcił głową.

Celna uwaga, pomyślał Gołowko. Obaj byli już bardzo zmęczeni, ale ciągle jasno potrafili ocenić sytuację. Od wielu godzin czytał napływające nie przerwany potokiem informacje z Waszyngtonu, rosyjskiej ambasady i amerykańskich mediów. Wszystkie mówiły, że Iwan Emmetowicz... Ciekawe, że od samego początku nazywał Ryana na rosyjską modłę, a w przypadku Gołowki był to niewątpliwie komplement.

— Myślicie o tym samym, co ja? — spytał generał, wpatrując się w twarz swojego rozmówcy.

— Ktoś na coś liczył...

— I się przeliczył. Warto ustalić, kto za tym stoi. Uważam, *gaspadin priedsiedatiel*, że systematyczne uderzanie w amerykańskie interesy i wszelkie próby osłabienia Ameryki na dłuższą metę godzą także w nasze interesy. Dlaczego Chiny tak właśnie się zachowały? Dlaczego zmusiły Amerykanów, żeby zabrali swoją flotę z Oceanu Indyjskiego? A teraz jeszcze to? Siły amerykańskie zostały rozciągnięte i w tym właśnie momencie przychodzi dotkliwy cios wymierzony bezpośrednio w przywódcę USA. To nie może być przypadek. Pytanie brzmi teraz, czy stoimy z boku i tylko przyglądamy się, czy....

— Nie możemy nic zrobić, a po tych ostatnich rewelacjach prasy amerykańskiej...

— Panie przewodniczący — przerwał Bondarienko. — Przez siedemdziesiąt lat w naszym kraju ideologię mieszało się z realiami, co okazało się prawdziwym nieszczęściem dla narodu. Mamy do czynienia z obiektywną sytuacją — ciągnął, używając frazy ukochanej przez radzieckich wojskowych, co było może reakcją na trzy pokolenia politycznego nadzoru. — Ja widzę tutaj zarys skoordynowanej i przemyślanej akcji, ale obarczonej fatalnym błędem lekceważenia amerykańskiego prezydenta. Czy zgadzacie się ze mną?

Gołowko zastanawiał się przez kilka chwil; być może Bondarienko miał słuszność, ale czy Amerykanie potrafili dostrzec to samo? O wiele trudniej rozpoznać sytuację od wewnątrz niż od zewnątrz. Skoordynowana akcja?

— Tak. Sam popełniłem ten błąd. Wygląd Ryana łatwo może zwieść niezbyt uważnego obserwatora.

— Podczas mojej wizyty w Stanach generał Diggs opowiadał mi o tym, jak terroryści irlandzcy napadli na dom Ryana. Chwycił za broń i bez wahania stanął w obronie swoich bliskich. Z tego, co mówicie, wynika, że jest dobrym oficerem wywiadu. Jediną jego wadą, jeśli uznać ją za taką, jest to, iż nie ma doświadczenia w polityce, a politykierzy zawsze uznają to za słabość. Może zresztą mają rację. W każdym razie, jeśli jest to wroga akcja, z rozmysłem wymierzona w Stany Zjednoczone, ta polityczna słabość staje się ważniejsza od wszystkich możliwych zalet.

— Więc?

— Więc trzeba mu pomóc. Lepiej być po stronie zwycięzcy, a jeśli pozostaniemy bezczynni, łatwo możemy się znaleźć w jednym obozie z przegranymi. Nikt przecież nie zaatakuje Ameryki frontalnie.

Generał prawie się nie mylił.

Wylęg

Ryan zbudził się o świcie, nie wiedząc, dlaczego. Cisza. Zupełnie jak w domu nad zatoką Chesapeake. Wsłuchał się, oczekując szumu pojazdów na szosie, ale cisza była niezmacona.

Niełatwo rozstać się z łóżkiem. Cathy uznała, że tę noc Katie powinna spędzić z nimi i teraz leżała w różowej piżamce, tak anielska jak potrafią być tylko małe dzieci. Z uśmiechem na twarzy wstał i poszedł do łazienki. W garderobie naciągnął sweter, włożył luźne spodnie i tenisówki, a potem wyszedł na zewnątrz.

Rześkie powietrze, drzewa ze śladami szronu, czyste niebo. Pięknie. Tak, Robby miał

rację. Niezłe miejsce na wypoczynek. Pozwalało na wszystko spojrzeć z pewnego dystansu, który teraz bardzo był mu potrzebny.

— Dzień dobry, sir — powitał go kapitan Overton.

— Ciężka służba?

— Raczej odpowiedzialna, panie prezydencie. My zajmujemy się ochroną, Marynarka wszystkimi innymi sprawami. Czysty podział pracy. Nawet ludzie z Tajnej Służby mogą tutaj sobie pozwolić na drzemkę.

Ryan rozejrzał się. Tuż za domem dostrzegł dwóch uzbrojonych *marines*, trzech następnych w odległości pięćdziesięciu metrów. A przecież byli to tylko ci na widoku.

— Życzy pan sobie czegoś, panie prezydencie?

— Na początek przydałaby się kawa.

— Bacność! — krzyknął kapitan, gdy wchodzili do kuchennego baraku, czy jakkolwiek *marines* nazywali to pomieszczenie.

— No, no — powiedział Jack. — Sądziłem, że to prezydenckie ustronie, a nie obóz rekrucki.

Usiadł przy stole używanym przez personel. Kawa pojawiła się jak za machnięciem czarodziejkiej różdżki i wcale nie był to jeszcze koniec dziwów.

— Dzień dobry, panie prezydencie.

— Andrea! Kiedy się tu zjawiałaś?

— Koło drugiej, przyleciałam helikopterem.

— Przespałaś się trochę?

— Cztery godziny.

Ryan wypił spory łyk. Marynarska kawa to jednak marynarska kawa.

— Jakież nowiny?

— Wyznaczono grupę do prowadzenia śledztwa, każdy wie, co do niego należy.

Wręczyła Jackowi raport, który będzie mógł przeczytać przed poranną gazetą. Sprawą zajmowały się wspólnie policja okręgu Arundel i stanu Maryland, Tajna Służba, FBI, Biuro do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej, oraz wszystkie inne agencje wywiadowcze. Sprawdzano tożsamość terrorystów, ale zbadane dotąd dokumenty nie należały do żadnej istniejącej osoby.

Zostały sfalszowane, najprawdopodobniej w Europie. Trudno się dziwić. Każdy w miarę kompetentny przestępca był w stanie podrobić europejski paszport. A co dopiero mówić o organizacji terrorystycznej.

— Co z agentami, którzy polegli?

Westchnienie i wzruszenie ramion.

— Wszyscy mieli rodziny.

— Chciałbym się z nimi spotkać. Jak myślisz, ze wszystkimi razem czy oddzielnie?

— To zależy od pana, panie prezydencie.

— To twoi ludzie, Andrea, pomyśl, jak to zorganizować. Zawdzięczam im życie córki i zrobię teraz dla nich wszystko, co będę mógł — oznajmił Ryan, pamiętając dlaczego znalazł się w tym ustronnym i spokojnym miejscu. — Mam nadzieję, że pomyślano już o opiece nad rodzinami. Chcę mieć o tym szczegółowy raport, dobrze?

— Tak, sir.

— Odkryto coś ważnego?

— Raczej nie. Pewne jest, że zębów nie leczyli w Ameryce. Ryan przekartkował raport.

— Jedenaście lat?

— Tak, sir.

— To poważna operacja. Raczej prowadzona przez jakiś kraj niż pojedyncze osoby.

— Bardzo prawdopodobne.

— Skąd wzięli potrzebne na to środki? — myślał głośno Ryan, co przypomniało Andrei, że prezydent był wcześniej oficerem wywiadu.

Wszedł agent Raman i zajął miejsce przy stole. Słyszał ostatnie słowa; teraz wymienił z Andrea porozumiewawcze spojrzenia.

Zadzwonił telefon. Kapitan Overton poderwał się i chwycił słuchawkę.

— Słucham. — Po chwili zwrócił się do Jacka: — Panie prezydencie, to pani Foley z CIA.

Ryan podszedł do aparatu.

— Słucham, Mary Pat.

— Kilka minut temu mieliśmy rozmowę z Moskwą. Nasz przyjaciel Gołowko pyta, czy może w czymś pomóc. Proponuję odpowiedzieć: „Tak”.

— Zgoda. Coś jeszcze?

— Avi ben Jakob chciałby później z panem rozmawiać. Osobiście — dodała.

— Może za godzinę, najpierw muszę się do końca rozbudzić.

— Tak jest, sir... Jack?

— Słucham, Mary Pat?

— Dziękuję Bogu, że tak się skończyło z Katie. — Pierwsze zdanie wypowiedziała matka, mówiąca do ojca. Drugie już tylko królowa szpiegów. — Jeśli tylko zdobędziemy jakiś trop, już go nie stracimy.

— Wiem, że jesteście najlepsi — usłyszała Foley. — Tutaj na razie wszystko w porządku.

— Ja i Ed jesteśmy cały dzień pod telefonem. Odłożyła słuchawkę.

— Jak z nim? — spytał swoją szefową Clark.

— Da sobie radę, John.

Chavez potarł nie ogolony podbródek. Cała trójka w towarzystwie kilku jeszcze osób spędziła noc na analizowaniu informacji, jakie CIA miała na temat grup terrorystycznych.

— Tego nie można tak zostawić. To akt wojny.

W jego głosie nie wyczuwało się teraz żadnego obcego akcentu, jak zawsze, kiedy Ding był na tyle poważny, iż edukacja brała górę nad latynoamerykańskim pochodzeniem.

— Wiemy mało, a właściwie nic — pokręciła głową z rozgoryczeniem Mary Pat.

— Szkoda, że chociaż jednego nie udało mu się dostać żywcem. Ku zdziwieniu pozostałych uwagę tę wygłosił Clark.

— Zdaje się, że O'Day nie miał wiele czasu na to, żeby nałożyć któremuś kajdanki — zauważył Ding.

— To racja — mruknął Clark i raz jeszcze przejrzał zdjęcia z Giant Steps, dostarczone przed północą z FBI. Kilka lat temu pracował na Bliskim Wschodzie i liczone na to, że uda mu się rozpoznać którąś z twarzy, ale nic z tego nie wyszło. Zorientował się jednak, iż facet z FBI strzelał jak on w najlepszej formie. Mieli szczęście, że był tam na miejscu i wykorzystał szansę, kiedy ta się pojawiła.

— Ktoś tutaj liczy na wielką pulę — powiedział John.

— Fakt — zgodziła się odruchowo Mary Pat, ale już w następnej chwili wszyscy zamysłili się nad tymi słowami.

Chodziło przede wszystkim o to, na co liczył ten, kto rzucił kości. Dziewięciu terrorystów było z góry skazanych na zagładę, jak ci fanatycy Hezbollah, którzy przechadzają się ulicami Izraela w ubraniach od Du Ponta; tak żartowano sobie w CIA, aczkolwiek materiał wybuchowy najpewniej pochodził z zakładów Škody gdzieś na terenie dawnej Czechosłowacji. „Bomba nie całkiem inteligentna” brzmiało inne z powiedzeń. Czy naprawdę zamachowcy sądzili, że uda im się z tego wyjść cało? Problem z większością fanatyków polegał na tym, że nie bardzo troszczyli się o rachunek szans... Może w ogóle nie zależało im na życiu?

Ale byli jeszcze ci, którzy ich wysyłali. Ta misja różniła się od innych. Zwykle terroryści chełpili się swoim czynem, chociażby najbardziej odrażającym, teraz więc piętnastą już godzinę w CIA i w innych agencjach oczekiwano na komunikat, ale skoro dotąd nie został ogłoszony, to w ogóle już się nie pojawi. Jeśli pomysłodawcy nie pochwalili się, najwyraźniej nie zależało im na rozgłosie. Terroryści najczęściej obwieszczali autorstwo swoich wyczynów, ale nie zawsze doceniali zdolność policji do samodzielnego jego ustalenia.

Lepiej powinny sobie z tego faktu zdawać sprawę państwa. Zgoda, zamachowcy nie mieli przy sobie nic, co mogłoby zdradzić miejsce ich pochodzenia, albo tak mogłoby się przynajmniej wydawać. Dla Mary Pat były to jednak iluzje, FBI było dobre, dobre na tyle, że Tajna Służba pozostawiła mu zebranie wszystkich materiałów rzeczowych. Inicjatorzy zamachu musieli liczyć się z tym, że ich współuczestnictwo zostanie ostatecznie ujawnione. A mimo to się zdecydowali.

Jeśli to rozumowanie jest słuszne, to...

— Część większej operacji? — mruknął Clark.

— Możliwe — kiwnęła głową Mary Pat.

— W takim razie to musi być coś naprawdę dużego — dodał Chavez. — Może dlatego odezwali się Rosjanie.

— Coś tak... tak dużego, że nawet jeśli się połapiemy, nie będzie to już miało żadnego znaczenia.

— To musiałyby być naprawdę wielka sprawa — wycedził Clark. — Jaka?

— Jakaś trwała zmiana, której nie mogliśmy już odwrócić? — podrzucił Domingo.

Lata spędzone na George Mason University nie poszły na marne.

Foley zapragnęła mieć teraz u boku męża, ale Ed w tym samym czasie konferował z Murrayem.

Wiosenne soboty są często dniami pełnymi nudnych, ale pożytecznych zajęć, w ponad dwustu domach niewiele jednak tej soboty zrobiono. Nie uprawiano ogródków, nie myto samochodów. Zlekceważono weekendowe wyprzedaje. Puszki z farbą zostawiono nietknięte.

Nie chodziło bynajmniej o realizujących pilne zlecenia pracowników agencji rządowych ani też o dziennikarzy przygotowujących nie cierpiący zwłoki reportaże. Grypa dotknęła przede wszystkim mężczyzn. Trzydziestu z nich zostało w pokojach hotelowych. Część innych usiłowała mimo wszystko pracować, w nowych miastach prezentując towary, za których promocję im płacono.

Ocierali spotniałe twarze, dmuchali w chusteczki i marzyli o tym, żeby aspiryna czy Tylenol wreszcie zadziałały. Z tej grupy większość powróciła do hoteli i zamknęła się w swoich pokojach. Po co narażać innych na zarażenie? Nikt nie szukał pomocy u lekarza. Zawsze na przedwiośni szerzy się grypa i, wcześniej czy później, każdego dopadnie. W końcu to żadna poważna choroba, prawda?

Bez trudu można było przewidzieć, jak zostaną przedstawione w telewizji wydarzenia w Giant Steps. Ujęcia z odległości pięćdziesięciu metrów, te same słowa powtarzane przez korespondentów oraz „ekspertów” od terroryzmu. Jedna z sieci sięgnęła aż do zamachu na Abrahama Lincolna, głównie z tej przyczyny, że tego dnia bardzo niewiele działo się na świecie.

Wszędzie robiono niedwuznaczne aluzje do Bliskiego Wschodu, chociaż wszystkie instytucje związane z ochroną bezpieczeństwa kraju i jego obywateli odmówiły jakichkolwiek komentarzy.

Jedynym wyjątkiem były informacje o bohaterskiej postawie inspektora FBI oraz agentów Tajnej Służby, którzy oddali życie w obronie małej Katie Ryan. W kontekstach pojawiały się takie słowa jak „heroizm”, „poświęcenie”, „determinacja” i „dramatyczny finał”.

Przyczyną niepowodzenia musiał być jakiś drobiazg, tego Badrajn był pewien, ale szczegółów dowie się dopiero wtedy, gdy Gwiazdor powróci do Teheranu via Londyn, Brukselę i Wiedeń, korzystając

za każdym razem z innych dokumentów.

— Prezydent Ryan wraz z rodziną znajduje się teraz w Prezydenckim Ustroniu —

kończył reporter — gdzie w spokojnym Camp David, na północy stanu Maryland, wszyscy spróbują odzyskać równowagę po tym okropnym wydarzeniu. Tu Mike...

— Ustronie? — powtórzył Darjaei.

— Równie dobrze można by powiedzieć: „miejsce uciezki” — powiedział Badrajn, wiedział bowiem, że te słowa spodobają się jego zwierzchnikowi.

— Jeśli sądzi, że gdziekolwiek uda mu się schronić przede mną, to się bardzo myli —

pokiwał głową ajatollah z ponurym uśmiechem na twarzy; nastrój chwili wziął górę nad skrytością.

Badrajn nie zareagował na tę rewelację. Kiedy uzmysłowił sobie znaczenie tych słów, wpatrywał się w ekran, a nie w swego gospodarza i bez trudu przyszło mu ukryć myśli. A więc nie było prawie żadnego ryzyka: Mahmud Hadzi miał sposób na uśmiercenie prezydenta USA w każdej chwili i wszystko było przygotowane. Naprawdę taka możliwość istniała. Tak, z pewnością Darjaei potrafił osiągnąć wszystko.

SIM bardzo utrudnił życie OpFor. Nie do końca, ale jednak. Pułkownik Hamm i jego Czarny Koń wygrali wprawdzie, ale to, co rok wcześniej byłoby Wiktoria o rozmiarach kosmicznych, teraz okazało się nieznacznym zwycięstwem. O przebiegu walk decydowała informacja. To była lekcja nieustannie powtarzana w Narodowym Ośrodku Szkoleniowym: znajdź nieprzyjaciela, zanim on znajdzie ciebie. Rozpoznanie. Rozpoznanie. Rozpoznanie. *SIM*, obsługiwany nawet przez na pół kompetentnych ludzi, przekazywał wszystkim informację w takim tempie, iż żołnierze zmieniali kierunek przemieszczania się, zanim jeszcze nadeszły rozkazy. Ten fakt niemal udaremnił manewr OpFor, godny najlepszych dni Erwina Rommla i, patrząc teraz na odtwarzany na wielkim ekranie w Sali Gwiezdných Wojen przebieg ćwiczeń, Hamm widział, że gdyby jedna z kompanii czołgów Niebieskich przesunęła się o pięć minut szybciej, przegrałby także i tę potyczkę. NOS straciłby rację bytu, gdyby Niebiescy zaczęli regularnie wygrywać.

— Piękne posunięcie, Hamm — przyznał pułkownik Gwardii Narodowej z Karoliny i podał mu cygaro. — Jutro jednak przetrzepiemy wam tyłki.

Normalnie Hamm zaśmiałby się tylko i powiedział: „Jasna sprawa, spróbujcie”, teraz jednak wiedział, że przechwałka sukinsyna może się spełnić, a to bardzo by utrudniło życie Hammowi. Dowódca 11. pułku kawalerii pancernej musi zacząć zastanawiać się nad tym, w jaki sposób oszukać *SIM*. Myślał już o tym przedtem i niezobowiązująco omawiał przy piwie ten problem ze swymi oficerami operacyjnymi, na razie jednak ustalili jedynie tyle, że sprawa nie byłaby prosta, być może wymagałaby użycia jakichś atrapy... jak kiedyś robił Rommel.

— Jak na Gwardię Narodową jest pan niezły — oznajmił. Nigdy jeszcze nie pochwalił

nikogo z tej formacji i w ogóle bardzo rzadko wypowiadał takie słowa pod czyimkolwiek adresem. Jeśli pominąć błąd w rozmieszczeniu sił, plan Niebieskich był pięknie obmyślony.

— Dziękuję, pułkowniku. *SIM* stał się nieprzyjemną niespodzianką, prawda?

— Można tak powiedzieć.

— Moi ludzie są nim zachwyceni. Wielu przychodzi w wolnym czasie, żeby poćwiczyć na symulatorach. Mówiąc szczerze, jestem zaskoczony, że tym razem nam się nie udało.

— Za blisko podciągnął pan odwody. Sądził pan, że wie już, jak je wykorzystać, a tymczasem ja swoim kontratakiem zmusiłem was do zmiany szyku.

Nie była to żadna rewelacja. Główny rozjemca i obserwator ćwiczeń dokładnie to samo powiedział skruszonemu dowódcy kompanii czołgów.

— Zapamiętam tę lekcję. Słyszał pan nowiny?

— Tak, złe wieści szybko się rozchodzą.

— Cholera, małe dzieci. Chyba odznaczają tych z Tajnej Służby?

— Myślę, że i bez odznaczeń coś uzyskali. Łatwo sobie wyobrazić gorszą śmierć.

I to było wszystko. Pięcioro agentów zginęło podczas pełnienia obowiązków. Może popełnili jeden błąd czy drugi, ale czasami pojawiają się sytuacje, w których nie ma wyboru.

Wiedzieli o tym wszyscy żołnierze.

— Mężnym duszom niech Bóg pozwoli spoczywać w pokoju. Zabrzmiało to jak cytat z Roberta Edwarda Lee i uruchomiło jakąś klapkę w umyśle Hamma.

— A jak to właściwie jest z wami? Co pan robi w cywilnym życiu?

Facet miał ponad pięćdziesiątkę, sporo jak na dowódcę brygady, nawet w Gwardii.

— Jestem profesorem historii wojskowości na Uniwersytecie Karoliny Północnej. Jak to jest z nami? W 1991 roku nasza brygada miała być zmiennikiem dla 24. Zmechanizowanej.

Przyjechaliśmy tutaj na trening i dostaliśmy strasznie w dupę. W rezultacie zostaliśmy w kraju.

Byłem wtedy zastępcą dowódcy batalionu. Bardzo chcieliśmy jechać. Tradycja naszego pułku sięga czasów walk z Anglikami. Przez dziesięć lat czekaliśmy, żeby wrócić tutaj, a aparatura *SIM*

ładnie wyrównała szansę. — Był wysokim, szczupłym mężczyzną i górował wzrokiem nad swoim zawodowym odpowiednikiem. — A my tę szansę chcemy wykorzystać. Znam teorię, studiuje ją od ponad trzydziestu lat, a moi ludzie nie dadzą się wyrzynać jak mięso armatnie, jasne?

W podnieconym głosie Nicholasa Eddingtona pobrzmiwała teraz gwara karolińska.

— Szczególnie nie dadzą się wyrzynać Jankesom?

— Właśnie!

Przez chwilę panowała cisza, a potem obaj wybuchnęli śmiechem. Jako nauczyciel, Eddington potrafił przybrać dramatyczną pozę. Teraz dodał spokojniej.

— Wiem, że gdybyśmy nie mieli *SIM-u*, roznieślibyście nas w puch...

— Niezłe urządzenie, co?

— Prawie zrównało nas z wami, a wy jesteście najlepsi i wszyscy o tym wiedzą.

Był to gest pokojowy, którego nie należało odrzucać.

— O tej porze, kiedy ma się ochotę na piwo, nie tak łatwo je dostać w klubie. Jeśli pan nie odmówi, mam parę puszek w domu.

— Niech pan prowadzi, pułkowniku Hamm.

— W czym się pan specjalizuje? — spytał Hamm w drodze do samochodu.

— Pracę doktorską pisałem o walce manewrowej Nathana Bedforda Forresta[1].

— Ach, tak? Zawsze podziwiałem Bedforda.

— Miał tylko kilka dni, ale naprawdę dobrych. Pod Gettysburgiem mógł wygrać wojnę.

— Karabiny Spencera dały mu techniczną przewagę, o czym często się zapomina —
oznajmił Hamm.

— Nie zaszkodziło to, że wybrał lepszy teren, a Spencery jeszcze pomogły.

Najważniejsze jednak, że pamiętał o swoim zasadniczym celu — odparł Eddington.

— W przeciwieństwie do Stuarta[2]. Jeb miał najwyraźniej kiepski dzień.

Hamm otworzył przed kolegą drzwiczki do samochodu. Dopiero za kilka godzin mieli się zacząć przygotowywać do następnych ćwiczeń, a Hamm poważnie interesował się historią, szczególnie kawalerii. Zapowiadało się interesujące śniadanie: piwo, jajecznica i wojna secesyjna.

Wpadli na siebie na parkingu 7-Eleven, które robiło teraz znakomity interes na kawie i pączkach.

— Cześć, John — powiedział Holtzman, spoglądając przez ulicę na miejsce, w którym rozegrał się dramat.

— Cześć, Bob.

Plumber kiwnął głową na powitanie.

Wszędzie pełno było kamer telewizyjnych i filmowych.

— Wcześniej się pojawiłeś, jak na sobotę, podobnie chłopcy z TV — zauważył z uśmiechem dziennikarz „Post”.

— To straszne. — Plumber miał już kilkoro wnucząt. — Coś podobnego wydarzyło się w Ma'alot w Izraelu, który to był, chyba 1975, co?

Wszystkie te ataki terrorystyczne zaczynały się zlewać. Także i Holtzman nie był pewien.

— Chyba tak, ale kazałem u siebie sprawdzić w archiwum.

— Kiedy atakują, jest o czym pisać, ale lepiej byłoby bez nich. Z terenu przedszkola zniknęły ciała; przeprowadzono już, jak przypuszczali, sekcję zwłok. Wszędzie jednak widać było wozy policyjne i ekspertów od balistyki, którzy przy użyciu taśm i manekinów wypożyczonych z pobliskiego domu handlowego usiłowali odtworzyć każdy szczegół wydarzeń.

Czarnoskórym mężczyzną w kurtce Tajnej Służby okazał się jeden z bohaterów, Norm Jefferson, który pokazywał właśnie, jak wyskoczył z domu po drugiej stronie ulicy. Wewnątrz budynku przedszkola znajdował się inspektor O'Day; para agentów odgrywała terrorystów. Inny leżał przed drzwiami frontowymi, uzbrojony w czerwoną plastikową imitację pistoletu. W śledztwie kryminalnym próba kostiumowa zawsze następowała po premierze.

— Nazywał się Don Russell? — spytał Plumber.

— Jeden z najstarszych w Tajnej Służbie — potwierdził Holtzman.

— Cholera jasna. — Plumber pokręcił głową. — Zupełnie jak na filmie; Horacjusz broniący mostu. „Bohater” to słowo, którego nieczęsto używamy, co?

— Nieczęsto, bo nawet nie bardzo wypada wierzyć, że jest jeszcze coś takiego. Każdy działa w swoim interesie, a nasza robota polega między innymi na tym, żeby go wykryć. —

Holtzman dopił kawę i cisnął plastikowy kubek do pojemnika na śmieci. — A tutaj, wyobraź tylko sobie, ktoś poświęca życie w obronie cudzych dzieci.

Zdarzali się reporterzy, którzy sięgali do języka westernów. „Strzelanina na Dziecięcym Rancho” brzmiał tytuł jednego z reportaży telewizyjnych, którego autor zdobył tego dnia nagrodę za najgorszy smak, redakcja otrzymała kilkaset gniewnych telefonów, a właściciel stacji stwierdził, że jej oglądalność gwałtownie się zmniejszyła. Bob Holtzman zauważył, że jedną z osób najostrzej reagujących na tego typu wybryki był Plumber, który sądził, że w dziennikarstwie nie wszystko jest

jednak dozwolone.

— Jakieś wiadomości o Ryanie? — spytał John.

— Tylko komunikat prasowy napisany przez Callie Weston, a przekazany przez Arnie'ego. Trudno mieć do prezydenta pretensję, że wraz z rodziną usunął się na ubocze.

Potrzebna mu chwila spokoju, John.

— Popatrz, Bob, a mnie się wydawało...

— Tak, wiem. Wpuszczono mnie w maliny. Elizabeth Elliot podsunęła mi historyjkę o Ryanie, kiedy był jeszcze szefem CIA. — Holtzman spojrzał starszemu koledze w oczy. —

Wszystko okazało się łgarstwem i osobiście go za to przeprosiłem. Wiesz, jak z tym naprawdę było?

— Nie.

— Chodziło o misję w Kolumbii. Był tam, to prawda. W trakcie operacji zginęło kilka osób, a jedną był sierżant Sił Powietrznych. Ryan zatroszczył się o jego rodzinę. Z własnych pieniędzy pokrywa dzieciakom studia.

— Nic o tym nie napisałeś — zauważył z wyrzutem reporter TV.

— Kiedy o wszystkim się dowiedziałem, temat był już przestarzały. Niewart pierwszej strony.

Ostatnie słowa były charakterystyczne. To redaktorzy dzienników i programów informacyjnych decydowali, co przedstawić publiczności, a czego nie przedstawiać, dokonując zaś takiego wyboru sterowali przepływem informacji i kształtowali wiedzę społeczeństwa o świecie. Mogli w ten sposób wykreować i zniszczyć każdego, nie każde bowiem zdarzenie, zwłaszcza polityczne, wydawało się dostatecznie ciekawe, aby poświęcić mu uwagę.

— Może niesłusznie.

Holtzman wzruszył ramionami.

— Może i nie, ale — podobnie jak sam Ryan — nie przypuszczałem, że zostanie prezydentem. Postąpił szlachetnie nie tylko w tej sprawie. John, z tą kolumbijską historią łączy się wiele spraw, które nigdy nie ujrzą światła dziennego. Wiem chyba wszystko, ale nie mogę tego opublikować. Zaszkodziłoby to krajowi, a nikomu nie pomogło.

— Bob, co takiego zrobił Ryan?

— Zapobiegł konfliktowi na skalę światową. Zadbał też o to, żeby winny został ukarany.

— Jim Cutter? — podsunął nie posiadający się z ciekawości Plumber.

— Nie, w jego przypadku to naprawdę było samobójstwo. Ten facet z FBI, który przed chwilą pokazał po drugiej stronie ulicy, jak potrafi strzelać, O'Day...

— No, co z nim?

— Śledził Cuttera i na własny oczy widział, jak tamten rzucił się pod autobus.

— Jesteś pewien?

— Absolutnie. Ryan nie ma pojęcia, że wiem o wszystkim. Sprawdziałem u kilku wiarygodnych źródeł i wszystkie informacje pasują do siebie. Albo to wszystko prawda, albo najprzebieglejsze kłamstwo, jakie świat widział. John, wiesz kogo teraz mamy w Białym Domu?

— No?

— Uczciwego faceta. Nie „stosunkowo”, „na tle innych”, nie takiego, którego jeszcze nie udało się na niczym złapać. Uczciwego w tym najprawdziwszym sensie: nigdy w życiu nie zrobił

żadnego świństwa.

— W takim razie to dzieciak zagubiony w lesie — mruknął Plumber.

— Może i tak, ale kto powiedział, że mamy być wilkami? Coś jest nie w porządku.

Naszym obowiązkiem jest szukać krętaczy, ale robiliśmy to od tak dawna i z tak dobrym skutkiem, że całkiem już zapomnieliśmy, że nie cała administracja składa się z oszustów. —

Holtzman znowu spojrzął na kolegę. — Rywalizujemy ze sobą, żeby wysmażyć jak najlepszą historię, ale w ten sposób sami grzęzniemy w błocie. Słuchaj, John, czy nie powinniśmy coś z tym zrobić?

— Chyba wiem, o co ci chodzi, ale odpowiedź brzmi: „Nie”.

— W tych czasach relatywizmu wartości, dobrze jest natrafić na jakieś absolutne przekonania, panie Plumber, nawet jeśli nikt się o nich nie dowie — powiedział Holtzman, chcąc zirytować rozmówcę.

— Niezły jesteś, Bob. Nawet bardzo dobry, ale mnie nie sprowokujesz.

Tak czy owak, komentator uśmiechnął się, gdyż próba była niezłej klasy. W osobie Holtzmana odżywały czasy, które Plumber wspominał z czułością. — A jeśli potrafię wykazać, że mam rację?

— To dlaczego nie napisałeś artykułu? — spytał zaczepnie Plumber. — Żaden prawdziwy dziennikarz nie zrezygnowałby z takiej gratki.

— Powiedziałem, że nie mogę opublikować. Nigdy nie twierdziłem, że nie napisałem — sprostował Bob.

— Miałbyś się z pyszna, gdyby twój szef dowiedział się, że chowasz pod korcem coś takiego.

— I co z tego? Nie ma takich rzeczy, których nie zrobiłeś, chociaż nic nie stało temu na przeszkodzie?

Plumber uchylił się od odpowiedzi.

— Mówiłeś o dowodach.

— Dowód znajduje się trzydzieści minut drogi stąd. Ale ta historia nie może ujrzeć światła dziennego.

— Dlaczego miałbym ci wierzyć?

— A dlaczego ja miałbym uwierzyć tobie? Co się dla nas liczy przede wszystkim? Dobry temat, mam rację? A co z krajem, co z ludźmi? Gdzie kończy się odpowiedzialność zawodowa, a zaczyna obywatelska? Zostawiłem ten temat w spokoju, gdyż rodzina tamtego sierżanta straciła ojca. Rząd nie mógł się oficjalnie przyznać do niczego, więc Jack Ryan uznał, że osobiście musi zatroszczyć się o sprawiedliwość. Zrobił to z własnych pieniędzy i nie chciał, by ktokolwiek się o tym dowiedział. Więc jak miałem postąpić? Skierować reflektory na rodzinę? W imię czego, John? Żeby wypuścić w świat historię, która zaszkodzi krajowi i ludziom, którzy dość się już wycierpieli? Jest tyle innych spraw, którymi możemy się zająć. Ale jedno muszę ci powiedzieć John: skrzywdziłeś niewinnego człowieka, a twój kumpel potakiwał temu z uśmiechem na twarzy. I mamy obowiązek coś z tym zrobić.

— To dlaczego o tym właśnie nie napiszesz?

Holtzman poczekał kilka chwil z odpowiedzią.

— Bo chcę dać ci szansę naprawienia tego. Także się w to wpakowałeś. Ale muszę mieć twoje słowo, John.

Chodziło o coś więcej. Dla Plumbara była to kwestia podwójnego wyzwania zawodowego. Po pierwsze, ubiegł go kolega z NBC, przedstawiciel młodszej generacji, dla której problem dziennikarstwa sprowadzał się do wyglądu przed kamerą. Po drugie, został

wystrychnięty na dudka przez Eda Kealty'ego, być może został wykorzystany do tego, aby skrzywdzić niewinnego człowieka. Musiał przynajmniej sprawdzić. Inaczej trudno mu będzie spojrzeć w lustro.

Komentator TV wyjął Holtzmanowi z ręki mały magnetofon i wcisnął guzik nagrywania.

— Mówi John Plumber, jest sobota, siódma pięćdziesiąt rano; jesteśmy oddzieleni ulicą od

przedszkola Giant Steps. Wraz z Robertem Holtzmanem mam zaraz udać się stąd w nie znane mi miejsce. Dałem mu słowo, że wszystko, czego się tam dowiemy, pozostanie tylko pomiędzy nami dwoma. To nagranie jest trwałym świadectwem mojej obietnicy. John Plumber, NBC

News. — Wyłączył magnetofon, ale natychmiast znowu go uruchomił. — Jeśli słowa Boba nie potwierdzą się, nasza umowa jest nieważna.

— W porządku — zgodził się Holtzman, wydobyl kasetę, umieścił ją w pudełku i schował do kieszeni. Deklaracja Plumbara nie miała żadnej wartości prawnej. Nawet gdyby uznać, że zawarta została między nimi umowa, najpewniej okazałaby się niezgodna z pierwszą poprawką do konstytucji, była jednak słowem, które padło między mężczyznami, a obaj wiedzieli, że nawet we współczesnym świecie musi istnieć coś, na czym można polegać. W

drodze do samochodu Boba, Plumber złapał szefa kamerzystów.

— Będziemy z powrotem za jakąś godzinę.

Predator krążył na wysokości niemal trzech tysięcy metrów. Oficerowie Sztormu i Palmy określili dla wygody trzy korpusy armii ZRI po prostu rzymskimi cyframi I, II, III.

Wywiadowczy pojazd znajdował się teraz nad Korpusem I, na który złożyły się pancerna dywizja irackiej Gwardii Republikańskiej oraz jej odpowiedniczka irańska, nosząca dumną nazwę

„Nieśmiertelni” na wzór osobistej gwardii Kserksesa. Rozlokowanie sił było tradycyjne, trójkątne, z dwiema formacjami z przodu i jedną, stanowiącą odwód, z tyłu. Obie dywizje posuwały się równolegle, ale ich front był zdumiewająco wąski, pokrywając ledwie trzydzieści kilometrów z pięciokilometrową luką.

Ćwiczenia były ostre. Co kilka kilometrów cele, wykonane ze sklejk makiety czołgów.

Kiedy pojawiały się w wizjerach, natychmiast do nich strzelano. *Predator* nie mógł ustalić precyzji strzałów, niemniej większość celi została zniszczona po przejściu pierwszej linii atakujących pojazdów, którymi były głównie ciężkie czołgi *T-72* i *T-80*, powstałe w wielkich zakładach Czelabińska. Piechota przewożona była transporterami *BWP*. Także taktyka obowiązywała radziecka, co widać było po sposobie przemieszczania się oddziałów. Mniejsze jednostki poddane były ostrej dyscyplinie, duże formacje poruszały się z geometryczną precyzją, niczym gigantyczne żniwiarki na pszenicznych polach Kansas.

— Przecież ja to widziałem na filmie! — wykrzyknął starszy sierżant sztabowy w kuwejckiej stacji zwiadu elektronicznego.

— Jak to? — spytał major Sabah.

— Rosjanie filmowali swoje manewry.

— Jak byście porównali jednych i drugich?

Oto właściwe pytanie, pomyślał podoficer.

— Niewiele się różnią, panie majorze. — Sierżant wskazał na dół ekranu, — Widzi pan tutaj? Dowódca kompanii zadbał o równe odstępy i przerwy. Przedtem *Predator* znajdował się nad batalionem rozpoznania i tam także wszystko było jak z podręcznika. Czytał pan może coś o radzieckiej taktyce, panie majorze?

— Tylko o tym, co przejęli Irakijczycy — wyznał oficer kuwejcki.

— Prawie to samo. Szybkie i mocne uderzenia, wprost na nieprzyjaciela, nie można dać mu czasu na otrząśnięcie się. I ścisła, wręcz matematyczna dyscyplina.

— A stopień wyszkolenia?

— Całkiem niezły, panie majorze.

— Elliot nakazała obserwację Ryana — powiedział Holtzman, wprowadzając auto na parking przed sklepem.

— Kazała komuś za nim chodzić?

— Liz go nienawdziła. Z początku nie wiedziałem, ale potem się zorientowałem, że to sprawa czysto osobista. Naprawdę uwzięła się na Ryana i to jeszcze zanim wybrano Boba Fowlera. W każdym razie rozpuściła plotkę, która miała zabość jego rodzinę. Miłe, nie?

Na Plumberze nie zrobiło to specjalnego wrażenia.

— Waszyngton i tyle.

— Dobra, ale jak nazwać wykorzystywanie danych zarezerwowanych dla rządu do osobistej zemsty? Waszyngton Waszyngtonem, ale to po prostu niezgodne z prawem.

Holtzman wyłączył silnik i dał znać Plumberowi, żeby wysiadł.

W środku zastali małą właścicielkę, oraz gromadkę amerykańskich dzieci, które w sobotni poranek rozkładały towary na półki.

— Dzień dobry — powiedziała Carol Zimmer. Poznała Holtzmana, który wcześniej kupował tu chleb oraz mleko, żeby przyrzeć się personelowi. Nie miała pojęcia, że jest reporterem, natychmiast jednak rozpoznała Johna Plumbera.

— Pan jest z telewizji! — powiedziała, wskazując go palcem.

— Tak — potwierdził komentator z uprzejmym uśmiechem. Najstarszy syn — plakietka informowała, że ma na imię Laurence — zbliżył się do nich z miną zdecydowanie nieprzyjazną.

— Czy mogę w czymś pomóc, sir?

Mówił czystą amerykańską angielszczyzną; w oczach czaiła się podejrzliwość.

— Chciałbym porozmawiać, jeśli państwo zechcecie — oznajmił grzecznie Plumber.

— O czym, sir?

— Zna pan prezydenta, prawda?

— Automat do kawy jest tam, sir. Pączki leżą na tacy. Chłopak odwrócił się. Wzrost i kolor oczu wziął po ojcu, pomyślał Plumber. Znać po nim także było wykształcenie.

— Proszę poczekać!

Laurence odwrócił się znowu.

— O co chodzi? Mamy tu wiele pracy. Przepraszam.

— Lany, nie bądź niegrzeczny.

— Mamo, przecież mówiłem ci, co on narobił, prawda?

Kiedy wzrok Laurence powrócił do dziennikarzy, wystarczył za całą opowieść. Plumber nie pamiętał już, kiedy ostatni raz poczuł się tak nieswojo.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział — ale chciałem tylko porozmawiać. Nie ma tu żadnych kamer.

— Chodzisz do szkoły medycznej, Laurence? — spytał Holtzman.

— Skąd pan to wie? Kim pan jest?

— Laurence! — zaprotestowała matka.

— Chcę tylko porozmawiać, nic więcej, proszę. — Plumber uniósł ręce. — Żadnych kamer, żadnego nagrywania. Żadne słowo nie zostanie wykorzystane.

— Jasne. I pewnie zaręczę pan słowem honoru?

— Laurence!

— Mamo, pozwól, że ja to załatwię — ostro powiedział chłopak, ale zaraz dodał

przepraszącym tonem: — Wybacz, ale nie wiesz, o co w tym wszystkim chodzi.

— Chciałbym się tylko dowiedzieć...

— Dobrze wiem, co pan zrobił, panie Plumber! Nikt panu jeszcze tego nie powiedział?

Kiedy pluje pan na prezydenta, pluje pan także na mojego ojca! A teraz niech pan kupuje, czego panu potrzeba, i zbiera się stąd.

Po raz kolejny zobaczyli przed sobą plecy chłopaka.

— Ale ja nie wiedziałem! — zaprotestował John. — Jeśli postąpiłem źle, to dlaczego mi pan o tym nie opowie? Przymagam, ma pan moje słowo, że nie zrobię niczego, co mogłoby zaszkodzić panu czy pańskiej rodzinie. Ale jeśli popełniłem jakiś błąd, proszę mi to wykazać.

— A dlaczego tak pan naskakiwał na pana Ryana? — spytała Carol Zimmer. — To bardzo dobry człowiek. Opiekuje się nami i...

— Mamo, proszę, daj spokój, przecież ich to zupełnie nie interesuje.

Holtzman poczuł, że musi się włączyć.

— Laurence, nazywam się Bob Holtzman, pracuję w „Washington Post”. Od kilku lat wiem wszystko o waszej rodzinie, ale nie zrobiłem z tego żadnego użytku, gdyż nie chciałem zakłócać wam prywatności. Wiem, co robi dla was prezydent Ryan. Chcę, żeby także John dowiedział się o tym, chociaż żaden z nas nie upowszechni tych informacji. Gdybym chciał, mogłem to zrobić sam.

— Jak mogę wam zaufać? — spytał gniewnie Laurence Zimmer. — Przecież jesteście dziennikarzami!

Było w tym słowie tyle urazy i zjadliwości, że Plumber odczuł niemal fizyczny ból.

Czyżby aż tak nisko upadł w oczach ludzi jego zawód?

— Chce pan zostać lekarzem? — spytał.

— Drugi rok w Georgetown. Brat kończy MIT, siostra w tym roku rozpoczęła UVA.

— To musi drogo kosztować. Trudno pokryć takie wydatki, prowadząc podobny interes.

Wiem, bo sam posłałem dzieci na studia.

— Wszyscy tutaj pracujemy. Ja jestem w każdy weekend.

— Chcesz być lekarzem, Laurence. To szlachetny zawód — powiedział Plumber. — Jeśli zrobisz

jakiś błąd, będziesz starał się z niego wyciągnąć wnioski. Tak samo jest ze mną.

— Ładne słówka, panie Plumber, często okazują się zdradliwe.

— Prezydent wam pomaga, tak?

— Jeśli powiem panu coś w zaufaniu, czy to znaczy, że nigdy nie będzie pan mógł wykorzystać tej wiadomości?

— Nie, klauzula „w zaufaniu” tego nie zapewnia, natomiast niniejszym obiecuję, że nigdy twoich słów nie wykorzystam w żaden sposób, a ponieważ są tutaj inne osoby, które to słyszą, gdybym złamał swe przyrzeczenie, będziesz mógł mnie zniszczyć jako dziennikarza. Ludziom z naszego zawodu wiele uchodzi na sucho, może nawet zbyt wiele, ale nie wolno nam kłamać.

Laurence spojrział na matkę. Ubóstwo jej angielszczyzny nie oznaczało ubóstwa umysłowego. Kobieta skinęła głową.

— Był przy ojcu, kiedy go trafili — powiedział chłopak. — Obiecał mu, że zajmie się nami. I robi to. Płaci za naszą naukę i pomaga związać koniec z końcem. On i jego przyjaciele z CIA.

— Mieli tutaj trochę kłopotów z chuliganami — dodał Holtzman — ale wtedy zjawił się facet z Langley i...

— Wcale nie musiał! — ostro uciął Laurence. — Pan Clar... W każdym razie nie musiał!

— Dlaczego nie poszedłeś na Johna Hopkinsa? — spytał Plumber.

— Przyjęli mnie w Georgetown — powiedział Laurence, a z jego głosu nie zniknęła jeszcze wrogość. — Stamtąd mam tutaj łatwiejszy dojazd i częściej mogę pomóc w sklepie. Pani Ryan z początku nic nie wiedziała, ale potem... Na jesieni druga siostra zaczęła na uniwersytecie wstępny kurs medycyny.

— Ale dlaczego...? — zaczął Plumber i nie dokończył zdania.

— Bo widocznie taki już z niego jest facet, a wy wystawiliście go jak ostatnie szmaty!

— Laurence!

Plumber nie mógł z siebie wydobyć głosu przez dobre ćwierć minuty. Potem zwrócił się do kobiety stojącej za kontuarem.

— Pani Zimmer, przepraszam, że zabraliśmy państwu czas. Nic z tego, co tutaj usłyszeliśmy, nie zostanie powtórzone. Przyrzekam. — Potem spojrział na chłopaka. —

Powodzenia na studiach, Laurence. Bardzo dziękuję, że mi o tym powiedziałaś. Nie będę was już więcej niepokoił.

Obaj reporterzy poszli do Lexusa Holtzmana.

Jak mogę wam zaufać? Przecież jesteście dziennikarzami! Te słowa młodego studenta głęboko zraniły Plumbea. Pewnie dlatego, że były zasłużone, pomyślał.

— Coś jeszcze?

— Z tego, co wiem, nie mają nawet pojęcia, jak zginął sierżant Zimmer, tyle, że poległ podczas wypełniania obowiązków. Carol była wtedy w ciąży. Liz Elliot postarała się z tego wysmażyć historię, że Ryan kręcił z żoną Zimmera, i że dziecko jest jego. A ja dałem się wykiwać.

Głębokie westchnienie Plumbea.

— Ja także.

— I co z tym chcesz zrobić, John?

Plumber spojrzał w sufit.

— Muszę najpierw sprawdzić kilka rzeczy.

— Ten z MIT ma na imię Peter. Informatyka. Ta z Charlottesville nazywa się chyba Alisha. Ustaliłem datę nabycia tego sklepu. Wszystko łączy się z operacją w Kolumbii. Ryan urządza im co roku Wigilię, w czym uczestniczy także Cathy. Nie wiem, jak teraz to zorganizowali, ale na pewno dali sobie radę. — Holtzman krótko zachichotał. — Jest dobry, jeśli chodzi o zachowywanie tajemnicy.

— A ten facet z CIA...

— Wiem kto, ale żadnych nazwisk. Dowiedział się, że jacyś kolesie zaczynają zatruwać życie Carol i odbył z nimi krótką rozmówkę. Widziałem policyjny raport. To w ogóle ciekawy facet. Wyciągnął z Rosji żonę i córkę Gierasimowa. Carol jest pewna, że to wielki dobroduszny Miś Uszatek. To on także uratował Kogę. Ostry facet.

— Daj mi jeden dzień — odezwał się Plumber.

— Nie ma sprawy.

Powrót na Ritchie Highway odbył się w milczeniu.

— Profesor Ryan?

Przez drzwi zaglądał kapitan Overton.

— Słucham — powiedziała Cathy znad gazety.

— Jest coś, proszę pani, co dzieci może chciałyby zobaczyć, gdyby się pani zgodziła.

Może zresztą wszyscy państwo.

Dwie minuty później tłoczyli się na tylnych siedzeniach *Hummera* i jechali lasem w kierunku ogrodzenia, od którego zatrzymali się o dwieście metrów. Dalej poszli pieszo, prowadzeni przez kapitana i kaprała.

— Szszsz! — mruknął Kaprał do Foremki i przyłożył jej do oczu lornetkę.

— Nie przestraszy się nas? — zapytała po chwili Sally.

— Nie. Nikt tutaj na nie nie poluje, a przyzwyczały się do samochodów — wyjaśnił

Overton. — To Elvira, druga tutejsza łania.

Przed kilkoma minutami nastąpiło rozwiązanie. Elvira niezgrabnie wstała i zaczęła lizać nowo narodzoną sarenkę, której oczy ze zdumieniem wpatrywały się w świat.

— Bambi! — powiedziała radośnie Katie Ryan, ekspertka w dziedzinie filmów Disneya.

Po kilku minutach sarenka chwiejnie stanęła na nóżkach.

— No, Katie?

— Co? — spytała dziewczynka, nie odwracając oczu od zwierzątka.

— Musisz nadać jej imię — podpowiedział kapitan Overton. -Taka jest tradycja w Camp David.

— Panna Marlene — powiedziała Foremka bez chwili wahania.

Potwierdzenie

Droga była tak nudna, jak tylko potrafił to sobie wyobrazić umysł budowniczego, ale nie było w tym niczyjej winy. To samo dotyczyło się krajobrazu. Brown i Holbrook dobrze teraz wiedzieli, dlaczego Ludzie z Gór trzymali się właśnie gór. Tam przynajmniej było na co popatrzeć. Mogli jechać szybciej, potrzeba było jednak sporo czasu, żeby zapoznać się z obyczajami betoniarki, z rzadka więc przekraczali siedemdziesiątkę, czym zaskarbiali sobie zjadliwe spojrzenia innych użytkowników autostrady I-90, zwłaszcza odzianych w kowbojskie kapelusze, którzy za jedną z największych zalet wschodniej Montany uważali brak ograniczenia prędkości. Także przygodnych prawników — musieli to być prawnicy — w sportowych niemieckich autach, którzy przelatywali obok ich samochodu jak gdyby był wozem konnym.

Zobaczyli także, jak ciężka czeka ich praca. Całe tygodnie zabrało przygotowywanie pojazdu, mieszanie składników, robienie ładunków i rozmieszczanie ich. Od dawna więc nie dosypiali, a nic bardziej nie usypia człowieka, niż jazda zachodnią autostradą międzystanową.

Pierwszą noc spędzili w „Shëridanie”, tuż przy granicy z Wyoming. Chociaż pierwszego dnia kierowania tym cholerstwem zajechali aż tak daleko, mało brakowało, a skończyłoby się katastrofą, zwłaszcza w Billings, gdzie rozchodziły się I-90 oraz I-94. Przypuszczali, że betoniarka jest równie zwrotna jak wieprz na lodzie, ale rzeczywistość okazała się gorsza od najgorszych wyobrażeń. Skończyło się na tym, że spali do ósmej rano.

Motel

stanowił

nocną

przystań

dla

samochodów

osobowych

i

wielkich

szesnastokołowych ciężarówek. W jadalni, która serwowała sute śniadania, rozsiedli się twardzi mężczyźni o niezależnych duszach i kilka kobiet o podobnym usposobieniu. Nietrudno było zgadnąć, że nie obejdzie się bez porannej rozmowy.

— To musiały być te skurwiele w turbanach — ocenił brzuchaty kierowca z tatuażami na potężnych ramionach.

— Taaak? — z drugiego końca lady powiedział z powątpiewaniem w głosie Ernie Brown, chcący wyczuć, co o całej sprawie sądzą pokrewne dusze.

— A kto się inny porwie na dzieciaki? Skurwiele i tyle! Z tymi słowami szofer powrócił do placka jagodowego.

— O ile te z telewizji nie chrzanią, to wszystko załatwiło dwóch gliniarzy. Pięć strzałów między oczy! — zachwycił się kierowca cysterny z mlekiem.

— Ale najlepszy ten koleś, który tylko z pieprzonym pistoletem w ręku powstrzymał

sześciu skurwysynów z karabinami. Położył trupem trzech, a może czterech. Tak, brachu, umiera prawdziwy amerykański gliniarz. — Głos zabrał mężczyzna prowadzący samochód z bydłem. —

Zasłużył sobie na miejsce w Valhalli, bez dwóch zdań.

— Poczekaj, bracie, przecież to byli fedziowie — wtrącił się Holbrook, przeżuając grzankę. — Co tam z nich za bohaterowie. To...

— Wsadź sobie w dupę taką gadkę, brachu — ostrzegł facet od cysterny. — Nie chcę niczego takiego słuchać. Tam było ze trzydzieści dzieciaków.

Włączył się inny kierowca.

— A ten czarny koleś, co przyładował im z *M-16*? Do cholery, zupełnie jak wtedy, kiedy byłem w kawalerii. Jak bym go spotkał, podałbym mu grabę i postawił piwo.

— Byłeś w powietrznej? — z ożywieniem spytał kierowca ciężarówki z bydłem, odrywając się od śniadania.

— A jak, kompania Charlie, 1. pułk Siódmej Dywizji. Mleczarz odwrócił się, aby zademonstrować na rękawie wielką plaketkę 1. Dywizji Kawalerii Powietrznej.

— Kompania Delta, 2. pułk Siódmej Dywizji.

Mężczyzna wstał i podszedł, aby uścisnąć rękę faceta z kompanii Charlie. — Gdzie mieszkasz?

— W Seattle. Tam stoi moja bryka, ta z częściami do maszyn. Walę do St. Louis.

Kawaleria powietrzna. Cholera, fajnie to raz jeszcze usłyszeć,

— Za każdym razem jak jadę tędy...

— Jasne. Paru naszych jest tutaj pochowanych w Little Big Horn. Jak mijam to miejsce, zawsze się za

nich modłę.

Obaj znowu uścisnęli sobie ręce.

— Mike Fallon.

— Tim Yeager.

Obaj Ludzie z Gór nie zeszli do jadalni jedynie po to, aby się posilić. Chcieli się znaleźć wśród swoich. Facetów, którzy powinni myśleć jak oni. Fedziowie bohaterami? Co tu się, do cholery jasnej, dzieje?

— Tyle ci powiem, bracie, że kiedy tylko dowiedzą się, kto nakręcił tą sprawę, to Ryan będzie już wiedział, co z tym zrobić — powiedział przewoźnik części maszyn.

— Był w piechocie morskiej. To nie zasmarkany cywil. Jeden z naszych, swój chłop.

— Masz rację. Ktoś za to zapłaci i mam nadzieję, że jakieś chłopaki od nas będą kasjerami.

— Dobrze mówisz — odezwał się od kontuaru mleczarz.

— Fajnie. — Ernie Brown zsunął się ze stołka. — Czas się pokiwać na drodze.

Kierowcy obrzucili dwóch wychodzących zdawkowym spojrzeniem i powrócili do wymiany opinii.

— Jeśli do jutra nie poczujesz się lepiej, idziesz do doktora i basta! — powiedziała.

— Dobra, dobra, do jutra będę zdrow jak ryba. Zastanawiał się czy to jakieś cholerstwo z Hongkongu, chociaż podobnie jak większość innych ludzi nie miał pojęcia, na czym polega różnica między jedną a drugą postacią grypy, wiedział natomiast, że przy powikłaniach konieczny jest lekarz. Tyle że co właściwie usłyszy? Leżeć, aspiryna, dużo płynów: to właśnie robił. Czuł się tak, jak gdyby ktoś włożył go do worka i stłukł kijem baseballowym. Poczuł, że znowu zapada w sen. Miał nadzieję, że żona nie będzie ciosać mu kołków na głowie. Do jutra się poprawi. Takie rzeczy zawsze się kończą. Ma tu wygodne łóżko i telewizor z pilotem. Jeśli tylko nie musiał się wałęsać, nic nie bolało. Mogło być gorzej. Na pewno zaraz się poprawi.

Jest taki punkt, po osiągnięciu którego, ma się już przed sobą tylko pracę. Można wprawdzie przed nią uciekać, ale sama cię dopadnie, gdziekolwiek byś się znajdował. Tak rzecz się miała z Jackiem Ryanem i Robbym Jacksonem.

W przypadku Jacka chodziło o przemówienie, ułożone dla niego przez Callie Weston.

Nazajutrz wylatywał do Tennessee, potem do Kansas, Kolorado i Kalifornii, by wylądować w Waszyngtonie o trzeciej nad ranem dnia, który miał być — największym w dziejach Stanów Zjednoczonych — dniem wyborów specjalnych. Zapelniona miała zostać jedna trzecia miejsc

opustoszałych na skutek katastrofy na Kapitolu, reszta rozegra się w ciągu następnych dwóch tygodni. Wtedy nareszcie Kongres odrodzi się w pełnym składzie i może, ale tylko może, uda się zrobić coś konkretnego. Najbliższą przyszłość miała bez reszty wypełnić czysta polityka. Cały tydzień będzie musiał poświęcić na dokładne zapoznanie się z planami odchudzenia dwóch molochów biurokracji: Departamentów Obrony i Skarbu. Trwały też prace nad innymi redukcjami.

Z kolei Jacksonowi dostarczono wszystko, co wyprodukowało biuro szefa wywiadu w Pentagonie, tak aby mógł przygotować codzienny raport o wydarzeniach na świecie. Admirał przez godzinę zapoznawał się z materiałami.

— No i jak tam, Rob? — spytał Jack, w tym jednak przypadku nie chodziło o plany przyjaciela na najbliższy tydzień, lecz o stan całej planety. J-3 zmarszczył brwi.

— Od czego mam zacząć?

— Sam wybierz — powiedział prezydent.

— Dobrze. Mike Dubro i grupa bojowa „Ike’a” w dobrym tempie płyną na północ w kierunku Chin. Mają spokojne morze, przeciętna prędkość dwadzieścia pięć węzłów. Dzięki temu zyskali kilka godzin wyprzedzenia w stosunku do spodziewanego czasu przyplłynięcia.

Nadal trwają manewry w Cieśninie Tajwańskiej, teraz jednak obie strony trzymają się swoich brzegów. Wygląda na to, że kiedy zestrzelili tego pasażera, wszyscy się trochę uspokoili.

Sekretarz Adler powinien już być na miejscu i prowadzić rozmowy. Bliski Wschód. Także armia ZRI prowadzi ćwiczenia, które obserwujemy na bieżąco. Sześć pancernych dywizji, plus uzupełnienia i taktyczne siły lotnicze. Nasi ludzie śledzą wszystko przy użyciu *Predatora*...

— Kto to zatwierdził? — przerwał prezydent.

— Ja — odparł Jackson.

— Naruszenie przestrzeni powietrznej innego kraju?

— To decyzja J-2 i moja. Chcesz przecież wiedzieć, co zamierzają i jakie są ich możliwości, prawda?

— Tak. Muszę to wiedzieć.

— W porządku. Ty mi mówisz, co ci potrzebne, a moja już w tym głowa, jak to załatwić.

Predator dokonuje samozniszczenia, jeśli wymknie się spod kontroli, a dostarcza nam danych lepszych niż satelity czy nawet *J-STARS*, przy czym i tak żadnego z nich nie mamy akurat nad tym terenem.

— W porządku, admirale. Więc jak to wygląda?

— Dają sobie radę lepiej, niż mogliśmy przypuszczać na podstawie innych informacji.

Nie pora jeszcze na panikę, ale wszystkiemu trzeba się tam starannie przyglądać.

— Co z Turkmenią? — spytał Ryan.

— Chyba przymierzają się do wyborów, ale to stara wiadomość i na razie nic więcej nie wiemy o politycznej stronie. Ogólnie sytuacja w tej chwili dość spokojna. Satelity pokazują wzmożony ruch przez granicę, ale specjaliści uważają, że chodzi o odradzający się handel, nic więcej.

— Czy ktoś śledzi rozlokowanie na granicy sił irańskich, cholera, ZRI?

— Nie wiem, sprawdzę. — Jackson zrobił notatkę. — Odnaleźliśmy okręty indyjskie.

— Jak?

— Specjalnie się nie ukrywały. Kazałem wysłać z Diego Garcia parę *Orionów*.

Wykryliśmy ich z odległości trzystu mil na podstawie widma elektronicznego. Znajdują się o czterysta mil od swojej bazy, są więc dokładnie na połowie drogi pomiędzy Diego Garcia a wejściem do Zatoki Perskiej. Nasz attache wojskowy zapyta jutro o ich zamiary, ale wątpię, aby otrzymał jakąś konkretną odpowiedź.

— W takim przypadku niech ingeruje ambasador Williams.

— Dobry pomysł. I tyle byłoby na dzisiaj, jeśli pominąć nudne drobiazgi. — Robby zebrał dokumenty. — Jak twoje wystąpienia?

— Lejtmotywem jest zdrowy rozsądek.

— W Waszyngtonie?

Adler nie był przesadnie zadowolony. W Pekinie zorientował się, że nie najlepiej wyszło z koordynacją. Wylądował na miejscu w sobotę wieczorem — znowu ta linia zmiany daty, uświadomił sobie — i, jak się okazało, najważniejsi ministrowie przebywali poza miastem.

Wszędzie bagatelizowano znaczenie potyczki powietrznej, powiadając, że musi mieć okazję przystosować się do zmiany stref czasowych.

— To dla nas prawdziwa radość, gościć pana u nas — oznajmił minister spraw zagranicznych, który, uściskawszy rękę Amerykanina, poprowadził go do swojego prywatnego gabinetu, gdzie czekał na nich drugi mężczyzna. — Czy zna pan już Żeng Han Sana?

— Nie, nie mieliśmy jeszcze przyjemności się poznać. Witam, panie ministrze —

powiedział Adler.

Znowu nastąpiła wymiana uścisków dłoni.

— Wygodny miał pan lot? — spytał minister spraw zagranicznych.

— Wizyta w waszym kraju zawsze daje mi wiele, ale wolałbym, żeby lot nie trwał tak długo.

— Podróż bywa czasem udręką dla ciała, ono zaś wpływa na stan umysłu. Mam nadzieję, że znajdzie pan czas na wypoczynek.

To bardzo ważne — ciągnął minister — aby rozmowy, szczególnie w tak niespokojnych czasach, toczyły się bez żadnych zewnętrznych zakłóceń.

— Jestem całkiem wypoczęty — zapewnił Adler. Dostyc miał snu i tylko nie był pewien, w jakiej porze dnia jego ciało sytuuje siebie. — Poza tym tam, gdzie chodzi o pokój, niezbędne są pewne ofiary.

— To prawda.

— Panie ministrze, nieprzyjemne wypadki z zeszłego tygodnia wzbudziły niepokój w moim kraju — oznajmił sekretarz swoim gospodarzom.

— Dlaczego wciąż jesteśmy prowokowani przez tych bandytów? — spytał szef chińskiego MSZ. — Nasze siły wojskowe prowadzą ćwiczenia szkoleniowe, to wszystko.

Tymczasem oni zestrzelili dwa nasze samoloty, których załogi zginęły. Ci ludzie zostawili po sobie rodziny. Zwrócił pan, mam nadzieję, uwagę na to, że Chińska Republika Ludowa powstrzymała się od kroków odwetowych.

— Odnotowaliśmy to z prawdziwą satysfakcją.

— Wie pan także, że to bandyci pierwsi sięgają po broń.

— Nie mamy do końca jasności w tej sprawie. Chęć ustalenia faktów jest właśnie jedną z przyczyn mojej wizyty.

Ciekawe, czy zaskoczyło ich to stwierdzenie. Sytuacja była podobna do rozgrywki karcianej, z tą tylko różnicą, że nigdy nie było się pewnym wartości własnych kart. Poker w dalszym ciągu był wyższy od strita, ale niektóre karty były zakryte, nawet dla ich posiadacza. W

tym przypadku blefował, a chociaż druga strona mogła to podejrzewać, nie była jednak pewna, a to wpływało na przebieg całej gry. Jeśli uznają, że wie, jak przebiegało zdarzenie, powiedzą jedno. Jeśli uznają, że nie wie, powiedzą drugie. W tym przypadku sądzili, że wie, ale wątpliwości pozostały. Szczególnie, że temu zaprzeczył, co mogło być prawdą albo kłamstwem.

Punkt dla Ameryki. Adler rozmyślał nad tym przez całą drogę.

— Oświadczyliście publicznie, że pierwsza zaatakowała strona przeciwna. Czy jesteście tego pewni?

— Absolutnie — zapewnił minister spraw zagranicznych.

— Przepraszam, a jeśli strzał oddał któryś z waszych poległych pilotów? Skąd wtedy pewność?

— Nasi piloci otrzymali surowe polecenie, by strzelali tylko w obronie własnej.

— To polecenie rozsądne i godne. Ale w ogniu walki, a nawet niekonieczna jest walka, wystarczy odpowiednio napięta sytuacja, pomyłki się zdarzają. Sami mamy z tym problemy.

Piloci myśliwscy to ludzie w gorącej wodzie kąpani, szczególnie młodzi, zapalczywi i ambitni.

— Czy nie dotyczy to także naszych przeciwników? — odpowiedział pytaniem Chińczyk.

— Z pewnością — przyznał Adler. — To poważny problem, nieprawdaż? I właśnie dlatego narodom takim jak nasz zależy na tym, żeby nie dochodziło do podobnych sytuacji.

— Nieustannie jesteśmy prowokowani. Nasi przeciwnicy mają nadzieję na to, że uda im się pozyskać poparcie międzynarodowe, czego my się poważnie obawiamy.

— Nie rozumiem.

— Prezydent Ryan wspomniał o dwóch państwach chińskich, podczas gdy istnieje tylko jedno. Mieliśmy nadzieję, że jest to sprawa rozstrzygnięta raz na zawsze.

— Było to drobne potknięcie językowe prezydenta, lingwistyczny niuans — oznajmił

Adler, najwyraźniej bagatelizując całą sprawę. — Prezydent Ryan ma wiele zalet, ale nie wyczuwa jeszcze wszystkich dyplomatycznych półtonów, a nierozsądni dziennikarze z igły robią widły. To nic nie znaczący lapsus. Nie ma zmian w naszej polityce w tym regionie.

Adler rozmyślnie nie użył sformułowania: „Nasza polityka w tym regionie pozostaje niezmienna”. Czasami myślał, że mógłby zbić majątek na redagowaniu umów ubezpieczeniowych.

— Takie błędy językowe mogą się wydawać czymś więcej niż tylko przejęzyczeniami — oznajmił sucho minister.

— Czyż nie przedstawiłem jasno naszego stanowiska w tej sprawie? Proszę pamiętać, że prezydent na zadawane mu pytania odpowiadał będąc pod wrażeniem zajścia, w którym życie straciło wielu Amerykanów i poszukał słów, które w jednym języku znaczą to, w drugim coś innego.

Szło łatwiej niż się spodziewał.

— Także Chińczycy stracili życie.

Żeng, jak zauważył Adler, uważnie się przysłuchiwał, ale nie odezwał się ani słowem.

Wedle standardów zachodnich sprowadzało go to do roli pomocnika, który dopomagać miał ministrowi, jeśli chodzi o problemy prawne czy translacyjne. Wątpliwe jednak, by te reguły miały zastosowanie w tym przypadku. Było raczej przeciwnie. Jeśli Żeng był tym, za kogo uważali go Amerykanie, i jeśli wiedział, że tak zinterpretują tę sytuację, co tutaj, u diabła, robił?

— To prawda, oni i wiele innych osób, a wszystko bez sensu i za cenę wielkiej zgryzoty.

Mam nadzieję, że jest jasne, dlaczego prezydent USA tak poważnie traktuje podobne zdarzenia.

— Tak, i proszę mi wybaczyć to przeoczenie, że nie wyraziłem wcześniej wyrazów głębokiego oburzenia z powodu zbrodniczego ataku na jego córkę. Ufam, że przekaże pan prezydentowi Ryanowi wyrazy naszego czysto ludzkiego współczucia z powodu tego zdarzenia, a także radości, że nie zakończyło się ono tragicznie.

— Dziękuję w jego imieniu i obiecuję przekazać pańskie słowa. — Po raz drugi sekretarz stanu zagrał na zwłokę. Miał atut w zanadrzu. Przez cały czas musiał pamiętać o tym, że jego rozmówcy uważają się za najbardziej zręcznych i przebiegłych na świecie. — Nasz prezydent jest człowiekiem bardzo uczuciowym — powiedział. — To bardzo amerykańska cecha. Co więcej, czuje się zobowiązany do ochrony życia obywateli amerykańskich na całym świecie.

— W takim razie musi pan porozmawiać z buntownikami tajwańskimi. Uważamy, że to oni ponoszą odpowiedzialność za zestrzelenie samolotu pasażerskiego.

— Ale dlaczego mieliby to zrobić? — spytał Adler, ignorując słowa najbardziej zdumiewające w tej kwestii. Czy to przejęzyczenie? Rozmawiać z Tajwanem? Taka sugestia ze strony Chińskiej Republiki Ludowej?

— Aby wykorzystać ten incydent dla swoich celów, oczywiście. Aby zagrać na uczuciach waszego prezydenta. Aby ukryć prawdziwy charakter stosunków pomiędzy Chińską Republiką Ludową a zbuntowaną prowincją.

— Czy naprawdę pan tak sądzi?

— Tak uważamy — stwierdził szef MSZ. — Nie chcemy zbrojnych starć. W ich wyniku traci się tylko ludzi i środki, a w naszym kraju wiele jest rzeczy do załatwienia. Sprawa Tajwanu znajdzie w końcu właściwe rozwiązanie. Jeśli tylko Stany Zjednoczone nie będą w ten proces ingerować — dodał.

— Powiedziałem już panu, panie ministrze, że nie było żadnych zmian w naszej polityce; tym, na czym nam zależy, jest pokój i stabilizacja — powiedział Adler, co w sposób oczywisty znaczyło utrzymanie status quo i nie mogło stanowić elementu w chińskiej grze.

— W takim razie nasze intencje są zgodne.

— Rozumiem, że strona chińska jest poinformowana o ruchach naszej floty.

Minister westchnął.

— Morza są otwarte dla wszystkich. Nie możemy niczego nakazywać Stanom Zjednoczonym Ameryki, podobnie jak one niczego nie mogą nakazywać Chińskiej Republice Ludowej. Przemieszczenie waszych jednostek rodzi jednak podejrzenie, że chcecie wpłynąć na sytuację w regionie i pro forma wystosujemy w tej sprawie komunikat. Niemniej w interesie pokoju — ciągnął minister głosem pełnym cierpliwości i znużenia — nasz protest nie będzie zbyt ostry, mamy bowiem nadzieję, że wasza obecność skłoni rebeliantów do zaniechania głupich prowokacji.

— Chcielibyśmy także dowiedzieć się, jak szybko skończą się wasze manewry morskie.

Byłby to mile widziany gest.

— Manewry wiosenne będą się toczyły zgodnie z zaplanowanym harmonogramem. Nie stanowią one zagrożenia dla nikogo, co sami łatwo stwierdzicie, zyskując teraz możliwość jeszcze dokładniejszej obserwacji. Nie chcemy, byście tylko wierzyli nam na słowo; niech nasze czyny mówią za nas. Z korzyścią dla wszystkich byłoby także, gdyby nasi zbuntowani kuzyni zredukowali swoją aktywność. Może pan, sekretarzu, spróbowałby nakłonić ich do tego?

To już nie mogło być przejęzyczenie.

— Z pewnością, jeśli takie jest wasze życzenie. To prawdziwa radość dla mnie, móc w imieniu mojego kraju przemówić na rzecz pokoju.

— Bardzo sobie cenimy zasługi Stanów Zjednoczonych w procesie pokojowym i ufamy, że będzie pan spolegliwym pośrednikiem, jako że w tym tragicznym incydencie tak wielu Amerykanów poniosło śmierć.

Sekretarz Adler ziewnął.

— Och, proszę mi wybaczyć.

— Podróże międzykontynentalne to koszmar, prawda?

Po raz pierwszy przemówił Żeng.

— Bywają czasami — zgodził się Adler. — Muszę jeszcze skontaktować się z moim rządem, ale

sądzę, że nasza odpowiedź na waszą propozycję będzie pozytywna.

— Znakomicie — powiedział minister. — Mam nadzieję, że rozumie pan, iż nie myślimy tutaj o żadnym precedensie, ale w tym szczególnym przypadku z ochotą przyjmujemy waszą pomoc.

— Odpowiedź będę mógł przekazać jutro rano — oznajmił Adler, wstając. —

Przepraszam, że musieliście panowie poświęcić mi swoje wieczorne godziny.

— Wszyscy wiemy, na czym polega obowiązek.

W drodze powrotnej do ambasady Scott Adler zastanawiał się, co właściwie ma oznaczać ta bomba, która wylądowała mu na kolanach. Nie był pewien, kto zwyciężył w tej rozgrywce, co gorsza, nie bardzo nawet wiedział, w co grali. Wszystko poszło z pewnością inaczej, niż przewidywał. Wydawało się, że wygrał i to wygrał z łatwością. Druga strona była nadszpiewanie uległa.

Ktoś nazwał to kiedyś dziennikarstwem książeczki czekowej, ale pomysł wcale nie był

nowy ani przesadnie kosztowny w realizacji. Każdy doświadczony reporter znał ludzi, do których mógł zadzwonić, aby za umiarkowaną opłatą coś sprawdzili. Nie było przestępstwem, jeśli poprosiło się przyjaciela o przysługę, a w każdym razie nie było to żadne poważne przestępstwo.

Bardzo rzadko chodziło o tajne informacje; najczęściej były publicznie dostępne. Rzecz tylko w tym, że rzadko które urzędy pracowały w niedziele.

Średniego szczebla urzędnik Departamentu Stanu zajechał pod swoje biuro w Baltimore, dzięki przepustce wjechał na parking, potem wszedł do budynku i, po otwarciu odpowiedniej liczby drzwi, dotarł do zakurzonego archiwum. Odszukał właściwą szafkę, wyciągnął szufladę i wydobyl akta. Zostawił na ich miejscu znacznik i przeniósł teczkę do najbliższej kserokopiarki.

Skopiowanie wszystkich dokumentów zabrało mu mniej niż minutę, po czym wszystko wróciło na miejsce. Wsiadł następnie do samochodu i pojechał do domu. Czynność tę wykonywał już tak często, że miał prywatny faks; po dziesięciu minutach treść dokumentów została przesłana, a ich kopie wrzucone do śmieci. Za tę nieskomplikowaną pracę w godzinach nadliczbowych urzędnik otrzymał pięćset dolarów.

John Plumber rzucił się na dokumenty, zanim wszystkie wyszły z faksu. Istotnie, niejaki John P. Ryan założył spółkę w tym czasie, o którym mówił Holtzman. Cztery dni później (na przeszkodzie wcześniejszemu przeprowadzeniu operacji stanął weekend) przekazał pani Carol (bez drugiego imienia) Zimmer kierownictwo firmy, której własnością był obecnie sklep sieci 7-Eleven w północnym Marylandzie. Pracownikami firmy byli członkowie rodziny Zimmerów: Laurence, Peter i Alisha; wszyscy posiadacze udziałów nosili to samo nazwisko. Na dokumencie widniał podpis Ryana. Operację od strony prawnej przygotowała duża kancelaria z Waszyngtonu, którą dobrze znał. Zastosowano kilka sprytnych, ale całkowicie legalnych trików, dzięki którym Zimmerowie nie musieli zapłacić ani centa podatku za całą transakcję. Nie było żadnych więcej papierów, bo też żadne nie były potrzebne.

Plumber wystarał się jednak także o inne dokumenty. Znał pracownicę w rektoracie MIT i poprzedniego wieczoru, również poprzez faks, dowiedział się, że koszty studiowania i zakwaterowania Petera Zimmera pokrywa prywatna fundacja, której czeki wystawiał i podpisywał przedstawiciel tej samej kancelarii prawniczej, która założyła dla Zimmerów spółkę.

Odpowiedni zapis przewidywał także pokrycie kosztów uzyskania dyplomu, a wszystko wskazywało na to, że Peter pozostanie w Cambridge na wydziale informatyki, aby przygotowywać w MIT pracę dyplomową. Jeśli nie liczyć miernych ocen na zajęciach z literatury

— MIT dbał także o poszerzenie horyzontów swoich słuchaczy, ale Peter Zimmer najwidoczniej nie gustował w poezji — był wzorowym studentem.

— A więc to wszystko prawda — mruknął Plumber i rozparł się w fotelu. Musiał dojść do ładu ze swoim sumieniem. „Jak mogę wam zaufać? Przecież jesteście reporterami!”, powtórzył w myślach.

Z jego zawodem wiązał się pewien problem, którego sami dziennikarze nie podnosili, podobnie jak bogacze nie uskarżają się na niskie podatki. W latach sześćdziesiątych niejaki Sullivan oskarżył „New York Timesa” o zniesławienie, a chociaż udało mu się wykazać, że gazeta nie była całkowicie rzetelna w swoich informacjach, jej rzecznik dowodził — a sąd podzielił to zdanie — że skoro intencją nie było zaszkodzenie komukolwiek, więc i błąd jest wybaczalny, a zapewnienie opinii publicznej dopływu informacji o wszystkich wydarzeniach jest ważniejsze od ochrony praw jednostki. Nadal można było skarżyć gazety i ludzie korzystali z tej możliwości, a nawet niekiedy wygrywali procesy. Mniej więcej tak często jak szkolna drużyna koszykówki z Wichita dokopuje Chicago Bulls.

Zdaniem Plumbersa, decyzja sądu była słuszna. Pierwsza poprawka gwarantowała wolność prasy, a racją dla niej było to, iż w Ameryce media były pierwszym, a czasami jedynym obrońcą wolności. Ludzie bardzo często kłamali, zwłaszcza ludzie sprawujący władzę, i zadaniem dziennikarzy było ustalanie faktów, aby ludzie na ich podstawie mogli formować swoje opinie.

Wszelako z pozwoleniem myśliwskim wydanym przez Sąd Najwyższy łączyło się pewne niebezpieczeństwo. Media bez trudu mogły niszczyć ludzi. Mogły przeciwstawić się każdemu bezprawnemu działaniu, dziennikarze jednak cieszyli się taką ochroną jak ongiś królowie i w istocie ich profesja stanęła ponad prawem. Co więcej, sama bardzo wiele w tym kierunku robiła.

Przyznanie się do błędu nie tylko stanowiło *faux pas*, za które nie należało oczekiwać nagrody, ale osłabiało też zaufanie opinii publicznej do konkretnej gazety czy stacji telewizyjnej.

Dziennikarze nigdy przeto nie przyznawali się do błędu, jeśli nie musieli, a jeśli musieli, sprostowania nigdy nie uzyskiwały takiej rangi jak pierwotne, nieprawdziwe stwierdzenie. Nie robiono nic ponad to, czego żądał nakaz prawa, a adwokaci wiedzieli już, jak je minimalizować.

Od czasu do czasu zdarzały się wyjątki, ale wszyscy wiedzieli, że są to właśnie wyjątki.

Plumber zdawał sobie sprawę z faktu, jak zmienia się jego profesja. Zbyt wiele było arogancji i zbyt rzadko ktokolwiek uświadamiał sobie, że społeczeństwo przestało ufać dziennikarzom, co dla

Plumbera było niezwykle bolesne. Sam uważał siebie za osobę godną zaufania. Myślał o sobie jako o potomku Eda Murraya, którego głosowi każdy Amerykanin nauczył się ufać. I tak właśnie powinno być, aczkolwiek nie było, profesji bowiem nie można kontrolować od zewnątrz, zatem nie mogła liczyć na odzyskanie zaufania społecznego, zanim nie zacznie sama kontrolować siebie od wewnątrz. Reporterzy obwiniali przedstawicieli wszystkich innych zawodów — lekarzy, prawników, polityków — o to, że nie spełniają wymogów zawodowej odpowiedzialności, których nie pozwoliliby narzucić sobie przez kogoś innego, a które zdecydowanie zbyt rzadko sami na siebie nakładali. „Postępuj tak, jak mówię, a nie tak, jak robię”, było radą niezbyt stosowną dla sześciolatka, chociaż jakże często stosowaną przez dorosłych.

Plumber zastanawiał się nad swoim położeniem. W każdej chwili mógł odejść na emeryturę. Uniwersytet Columbia nie jeden raz występował z sugestią, aby przyjął etat wykładowcy dziennikarstwa i etyki, gdyż uznawany był za głos rozsądku, prawości i szlachetności.

Teraz jednak odezwały się idee wpajane przez dawno zmarłych rodziców i zapomnianych nauczycieli. Musiał być wierny czemuś. A jeśli miała to być wierność wobec zawodu, to musiał być wierny jego podstawowym zasadzie: mówić prawdę, a wybór zostawiać innym. Sięgnął po słuchawkę.

— Holtzman — odezwał się głos po drugiej stronie, w Georgetown.

— Plumber. Sprawdziłem to i owo. Wszystko wskazuje na to, że miałeś rację.

— I co dalej, John?

— Wszystko muszę załatwić sam, ale tobie daję wyłączne prawo publikacji.

— Dzięki. To bardzo szlachetny postępek.

— Nadal nie bardzo przepadam za Ryanem jako prezydentem — ciągnął Plumber. Co było zresztą korzystne, nikt bowiem nie mógł mu zarzucić, że wspiera swojego faworyta.

— Dobrze wiesz, że nie o to chodzi. Właśnie dlatego o wszystkim ci powiedziałem.

Kiedy?

— Jutro wieczorem, na żywo.

— Może byśmy usiedli wcześniej i ustalili kilka kwestii? Dla „Post” będzie to znakomity kawałek. Co powiesz na podział wierszówki?

— Być może jutro wieczorem będę się rozglądał za nowym zajęciem — mruknął

Plumber. — Dobra, spotkajmy się.

— Jak to rozumieć? — spytał Jack.

— Nie mają nic przeciwko naszym poczynaniom. Zupełnie jakby wręcz pragnęli tam naszego lotniskowca. Poprosili, żebym pośredniczył w kontaktach z Tajpej...

— Dosłownie? — prezydent nie mógł ukryć zdziwienia. Oficjalne pośrednictwo nosiłoby znamiona uznania Republiki Chińskiej. Amerykański sekretarz stanu będzie kursował w obie strony, co w przypadku tej rangi dyplomaty oznaczać musiało kontakty między stolicami suwerennych państw. W przypadku kontaktów niższej rangi, korzystano ze specjalnych wysłanników, którzy mogli dysponować tymi samymi kompetencjami, ale których status był nieporównanie niższy.

— Mnie też to zaskoczyło — powiedział Adler, świadom tego, że żadne ze słów nie dotrze do niepowołanych uszu. — Potem rutynowy protest wobec twojej gafy z dwoma chińskimi państwami podczas konferencji prasowej, ale mogło być gorzej.

— Manewry morskie?

— Dalej będą je prowadzili, ale praktycznie zaprosili nas, żebyśmy obserwowali, czy mają pokojowy charakter.

Włączył się admirał Jackson, który korzystał z dodatkowej słuchawki.

— Panie sekretarzu? Tutaj Robby Jackson.

— Witam, admirale.

— Czy dobrze rozumiem: zmontowali kryzys, my wysyłamy lotniskowiec, a oni powiadają, że to im bardzo na rękę?

— Właśnie. Nie wiedzą, że wiemy, a w każdym razie tak mi się wydaje... Ale rozumie pan, na razie trudno w tej kwestii o jakąkolwiek pewność.

— Coś tu jest nie w porządku — zareagował impulsywnie J-3. — Coś mi poważnie śmierdzi.

— Być może ma pan rację, admirale.

— Następny ruch? — spytał Ryan.

— Rano udam się do Tajpej. Nie powinienem się chyba od tego wykręcać, prawda?

— Z pewnością. Informuj mnie o wszystkim, Scott.

— To oczywiste, panie prezydencie.

Rozmowa się skończyła.

— Jack, nie... Panie prezydencie, coś mi tutaj śmierdzi.

Ryan skrzywił się.

— Także ja muszę się jutro zająć polityką. Wylatuję... — sprawdził w harmonogramie —

o szóstej pięćdziesiąt, żeby o ósmej trzydzieści przemawiać w Nashville. Niech to cholera. Adler jest w Chinach, ja w drodze, Ben Goodley ma za mało doświadczenia. Musisz się tym zająć, Rob.

Sprawy operacyjne to twoja działka. Foleyowie. Arnie zajmie się stroną polityczną. Departament Stanu musi dobrze rozegrać tę chińską partię.

Adler szykował się do snu w części ambasady przeznaczonej dla VIP-ów. Chciał jeszcze przejrzeć notatki i wyrobić sobie zdanie o sytuacji. Ludzie popełniają błędy na każdym szczeblu.

Szeroko rozpowszechnione przeświadczenie, że mężowie stanu są szcwanymi graczami, jest bardzo przesadzone. Także oni się mylą. Zdarzają im się potknięcia. Lubią uważać się za chytrzejszych od innych.

Podróże międzykontynentalne to koszmar, powiedział Żeng. Jego jedyne słowa. Dlaczego właśnie wtedy i dlaczego nie inne? Sens był tak oczywisty, że Adler go na razie nie chwycił.

— Bedford Forrest, tak? — powiedział Diggs, dodając majonezu do swego hot-doga.

— Najlepszy dowódca kawalerii, jakiego kiedykolwiek mieliśmy — oznajmił Eddington.

— Proszę mi wybaczyć, profesorze, ale mój entuzjazm dla tego pana jest o wiele mniejszy — rzekł generał. — Przecież ten sukinsyn założył Ku-Klux-Klan.

— Nie twierdziłem nigdy, że był wybitnym humanistą, i nie oceniam jego cech charakteru, natomiast co się tyczy dowodzenia kawalerią, jeśli mieliśmy kogoś lepszego, to przynajmniej mnie jego nazwisko nie jest znane.

— Ma rację — przyznał Hamm.

— Stuart był przeceniany, często patrzył na swoich oficerów z góry i miał sporo szczęścia. Nathan miał *Fingerspitzengefühl*, potrafił błyskawicznie podejmować decyzje i niewiele było błędnych. Myślę, że trzeba pominąć milczeniem inne jego wpadki.

Historyczne dysputy między wyższymi oficerami Armii mogły się ciągnąć całymi godzinami — jak ta właśnie — i nie były mniej kompetentne od tych, które toczono w salach seminaryjnych. Diggs zajrzał na chwilę do Hamma, żeby pogawędzić, i nagle stwierdził, że po raz tysięczny wdał się w ponowne rozegranie wojny secesyjnej.

— A co z Griersonem? — spytał Diggs.

— Rajd i końcowa szarża były bardzo piękne, ale trzeba pamiętać, że pomysł właściwie nie był jego. Myślę, że najlepiej sobie poczynał jako dowódca 10. pułku.

— To są słowa prawdy, profesorze Eddington.

— Spójrzcie tylko, jak szefowi się oczy rozjarzyły...

— A jak mogłoby być inaczej. Do niedawna dowodził tym pułkiem. Gotowi i Naprzód!

— dorzucił pułkownik Gwardii Narodowej.

— Więc zna pan nawet zawołanie naszego pułku?

Może facet jest naprawdę solidnym historykiem, nawet jeśli żywi podziw dla rasisty i mordercy, pomyślał Diggs.

— Grierson zbudował ten pułk od podstaw, głównie z niepiśmiennych żołnierzy.

Wychował sobie własnych podoficerów, którzy podejmowali się potem każdej brudnej roboty na Południowym Zachodzie i jako jedyni pokonali Apaczów, o czym nakręcono tylko jeden gówniany film. Na emeryturze może napiszę o tym książkę. Był pierwszym dowódcą, który potrafił walczyć na pustkowiu i tak błyskawicznie podejmować decyzje. Wiedział, co to znaczy głęboki wypad, wiedział kiedy podjąć walkę, a jeśli zdobył przewagę, nie dał jej już sobie odebrać. Z wielką radością obserwowałem, że powraca wielkość tego pułku.

— Pułkowniku Eddington, jeśli miałem do pana jakiekolwiek zastrzeżenia, cofam je teraz. — Diggs uniósł w toaście puszkę piwa. — Na tym właśnie polegają kawaleria.

Wybuch

Lepiej byłoby wrócić w poniedziałek rano, ale to oznaczałoby zbyt wczesną pobudkę dla dzieci. Jack junior i Sally musieli przygotować się do klasówek, z Katie trzeba było postępować bardzo ostrożnie. Camp David było tak różne od Waszyngtonu, że powrót do stolicy stanowił

szok, tak jak powrót z wakacji. Wystarczyło, by w oknach obniżającego się helikoptera pokazała się Executive Mansion, a już wydłużyły się twarze. Zwiększała się liczba ochrony i to także przypominało, jak niemiłe było to dla nich miejsce i życie z nim związane. Ryan wysiadł

pierwszy, zsalutował żołnierzowi piechoty morskiej, a widok południowej strony Białego Domu podziałał na niego jak kubeł zimnej wody. Wracamy do rzeczywistości. Odprowadził rodzinę i natychmiast udał się do pomieszczeń w Zachodnim Skrzydle.

— Jak wyglądają sprawy? — spytał van Damma, który niewiele zakosztował weekendu, z drugiej jednak strony nikt nie usiłował zamordować członka jego rodziny.

— Śledztwo, jak na razie, niewiele wykazało. Murray zaleca cierpliwość, ekipa dochodzeniowa FBI intensywnie pracuje. Radzę ci, Jack — mówił szef personelu — postaraj się nie myśleć o tym, jutro masz cały dzień zajęty. Opinia publiczna jest za tobą. Po podobnych wydarzeniach, w badaniach zawsze następuje przyływ...

— Arnie, nie zabiegam o głosy wyborców, ile razy mam to powtarzać? To miłe, że ludzie myślą o mnie z sympatią po tym, jak terroryści chcieli porwać czy zabić moją córkę, ale ja nigdy tak nie patrzę na świat — powiedział Jack z gniewem. — Jeśli kiedyś marzyło mi się zostać na tej posadzie na drugą kadencję, ostatni tydzień radykalnie mnie z tego wyleczył.

— Jasne, oczywiście, ale...

— Do diabła, Arnie, ze wszystkimi „ale”! Kiedy już wszystko się skończy, jak myślisz, z czym stąd wyjdę? Z miejscem w podręcznikach? Zostaną napisane, kiedy mnie już nie będzie i nie bardzo będę się przejmował tym, co piszą o mnie historycy. Znam jednego niezłego historyka, który powiada, że pisanie o dziejach to przykładanie ideologii do przeszłości, a zresztą

— i tak nie będę tego czytał! Ja chcę wyjść stąd z życiem; chcę, żeby nic nie stało się mnie, ani nikomu z mojej rodziny. To wszystko. A jeśli komuś imponuje pompa i sława tego cholernego więzienia, niech się tutaj pcha ze wszystkich sił. Ja wiem już swoje. — W głosie Ryana brzmiała niekłamana gorycz. — Wypełniam swoje obowiązki, wygłaszam przemówienia, staram się zrobić coś pożytecznego, ale figę to jest warte, Arnie. A z pewnością nie jest warte tego, żeby dziewiątka terrorystów zasadzała się na moje dziecko. Tylko jedna rzecz pozostaje po ludziach: dzieci. Wszystko inne...

— Jack, masz za sobą ciężkie przeżycia, ale...

— Ja mam przeżycia?! A co powiesz o agentach Tajnej Służby, którzy leżą w kostnicy?

Co powiesz o ich rodzinach? Ja mogłem przynajmniej przez dwa dni pooddychać innym, świeżym powietrzem, a oni? Tak już przywykłem do tego urzędu, że prawie o nich zapominam.

Dobra setka ludzi zajmowała się tym, żebym jak najszybciej zapomniał. I tak być powinno, prawda? Nie powinienem zaprzętać sobie uwagi takimi sprawami; a na czym powinienem się koncentrować? Na Obowiązku, Honorze i Ojczyźnie? To miejsce jest dobre tylko dla tych, którzy potrafią odłożyć na bok swoje człowieczeństwo. I czuję, że coś takiego zaczyna się we mnie dokonywać.

— Jak już skończysz, to dać ci paczuszkę papierowych chusteczek? — Przez chwilę wydawało się, że prezydent rzuci się na Arnie'ego z pięściami. — Ci agenci zginęli, gdyż wybrali zawód, który wydawał im się ważny. Tak samo jest z żołnierzami. Co z panem się dzieje, panie Ryan? Jak ci się zdaje, jakie są nastroje w kraju? Powszechna wesołość i rozbawienie?

Kiedys byłeś chyba odrobinę mądrzejszy. Służyłeś w piechocie morskiej. Pracowałeś w CIA.

Wtedy byłeś facetem z charakterem. Miałeś swoją robotę, do której nie było poboru: zgłosiłeś się na ochotnika. I miałeś świadomość tego, na co się narażasz. Teraz znalazłeś się tutaj. Chcesz stąd spieprzać, to spieprzaj, ale nie mów mi, że to miejsce figę warte. Skoro ludzie poświęcili życie w obronie twojej rodziny, jak śmiesz powiedzieć, że to nic nie warte?

Van Damm wypadł z gabinetu, nie zamykając za sobą drzwi. Ryan nie bardzo wiedział, co począć. Usiadł za biurkiem, na którym piętrzyły się materiały starannie posegregowane przez personel, który nigdy nie przestawał pracować. Chiny. Bliski Wschód. Indie. Informacja o wskaźnikach gospodarczych. Projekty związane ze sto sześćdziesiątym posiedzeniem Izby Reprezentantów. Raport o zamachu terrorystów. Lista poległych agentów, przy każdym nazwisku informacje o pozostawionych żonach lub mężach, rodzicach i dzieciach, czy, jak w przypadku Dona Russella, wnukach. Pamiętał wszystkie twarze, ale musiał się przyznać sam przed sobą, że nie wszystkie potrafił skojarzyć z nazwiskami. Co gorsza, pozwolił sobie na chwilę komfortu, która stała się chwilą zapomnienia. Tyle że na blacie jego biurka cierpliwie czekało wszystko to, od czego nie było ucieczki. Wstał i poszedł do gabinetu szefa personelu, mijając agentów Tajnej Służby, którzy zapewne myśleli swoje i wymieniali za jego plecami porozumiewawcze spojrzenia.

— Arnie?

— Tak, panie prezydencie?

— Przepraszam.

— Dobrze, masz rację, kochanie — jęknął.

Jutro rano pójdzie do lekarza. W ogóle mu się nie polepszyło, raczej wręcz przeciwnie.

Głowa pulsowała bólem, pomimo dwóch silnych dawek Tylenolu, zażytych w odstępie czterech godzin. Najlepiej byłoby to przespać, ale nie potrafił zmrużyć oka, co najwyżej, wyczerpany, zapadał w godzinną drzemkę. Nawet wizyta w łazience wymagała zbierania sił przez kilka minut, co było na tyle widoczne, iż żona zaoferowała się z pomocą, ale nie, mężczyzna nie może przystać na coś

takiego. Z drugiej strony miała rację. Musi dać się zbadać. Lepiej będzie zrobić to jutro, bo może jednak mu się odrobinę polepszy.

Nie było to trudne dla Plumbara, przynajmniej od strony organizacyjnej. Archiwum z taśmami miało wielkość solidnej biblioteki publicznej i wszystko łatwo dawało się odszukać. Na piątej półce znajdowały się w pudełkach trzy kasety Beta. Plumber pustymi kasetami zastąpił

nagrane i umieścił je w aktówce. Po dwudziestu minutach był w domu. Na Betamaxie przegrał

kasety z pierwszym wywiadem, przede wszystkim po to, aby się upewnić, że są nie uszkodzone.

Nie były. Trzeba je będzie umieścić w bezpiecznym miejscu.

Potem napisał tekst trzyminutowego, umiarkowanie krytycznego wobec Ryana, komentarza do wieczornego dziennika telewizyjnego. Spędził nad tym ponad godzinę, albowiem, w przeciwieństwie do współczesnych gwiazd dziennikarstwa telewizyjnego, przywiązywał wagę do elegancji językowej. Potem wydrukował tekst, gdyż łatwiej przychodziło mu łapanie błędów na papierze, niż na ekranie komputera. Wyglądziwszy wszystkie usterki, przegrał komentarz na dyskietkę, z której w studiu sporządzą kopię do wykorzystania w teleprompterze. Potem napisał

drugi autorski komentarz mniej więcej tej samej długości (okazało się, że był o cztery słowa krótszy) i także go wydrukował. Temu poświęcił jeszcze więcej czasu. Jeśli miała to być jego łabędzia pieśń, trzeba ją dopieścić; napisał niewiele nekrologów swoich kolegów, swojemu nadać chciał jak najlepszą postać. Wreszcie, zadowolony z ostatecznego efektu, kliknął myszą w ikonę drukarki, a następnie kartki umieścił razem z kasetami w aktówce. Ten tekst nie znalazł się na dyskietce.

— Chyba skończyli — oznajmił sierżant.

Obraz dostarczany przez *Predatora* pokazywał kolumny czołgów powracających do swych baz. W otwartych wieżach widać było żołnierzy, najczęściej z papierosem w ustach.

Ćwiczenia nowo uformowanej armii ZRI przebiegły dobrze i, nawet teraz, oddziały poruszały się po drogach w karnym ordynku.

Major Sabah pomyślał, że może powinien zacząć zwracać się mniej formalnie do sierżanta, tyle czasu spędziwszy za jego plecami i tyłu wysłuchawszy komentarzy oraz wyjaśnień. Ale wszystkim rządziła rutyna. Miał nadzieję, że wojska nowego sąsiada jego kraju będą potrzebowały więcej czasu na integrację, ale wiele im ułatwiło podobieństwo sprzętu i doktryny militarnej. Komunikaty radiowe, przechwytywane tutaj i w Sztormie, sugerowały, że manewry się zakończyły. Potwierdzał to także obraz z *Predatora*, a potwierdzenie zawsze się liczyło.

— Dziwne... — powiedział sierżant zapatrzony w ekran monitora.

— Co takiego? — spytał Sabah.

— Przepraszam, panie majorze. — Podoficer wstał, poszedł w róg pokoju i wrócił z mapą. — Tutaj nie ma żadnej drogi. -Rozłożył mapę, porównał współrzędne z tymi, które widoczne były na ekranie.

Predator został wyposażony w nadajnik nawigacji satelitarnej *GPS* i automatycznie informował o swoim położeniu. — Wskazał odpowiednie miejsce. — Proszę tylko spojrzeć.

Kuwejcki oficer porównał mapę z monitorem. Na tym drugim widać było drogę, co łatwo dawało się wyjaśnić. Kolumna ciężkich czołgów każdą niemal powierzchnię potrafiła zamienić w coś w rodzaju szosy, co się właśnie zdarzyło tutaj. Wcześniej jednak nie było tu żadnej drogi; czołgi stworzyły ją w ciągu kilku godzin.

— To bardzo ciekawe, panie majorze. Armia iracka zawsze była dotąd uzależniona od sieci dróg.

Sabah przytaknął. Sprawa była tak oczywista, że nawet nie zwrócił na nią uwagi. Chociaż zżyci z pustynią i najpewniej szkoleni do działań w jej warunkach, żołnierze iraccy przyczynili się w roku 1991 do swej klęski, albowiem kurczowo trzymali się dróg i stawali się bezradni na odkrytym terenie. To sprawiło, że ich poczynania były przewidywalne, co na wojnie jest rzeczą fatalną, a ich przeciwnikom dawało do ręki atut uderzania z nieoczekiwanego kierunku.

Teraz jednak sytuacja się zmieniała.

— Myśli pan, że także i oni mają *GPS*? — spytał sierżant.

— Nie należy oczekiwać, że przeciwnik nigdy nie zmądrzeje.

Prezydent Ryan ucałował żonę i poszedł do windy. Dzieci jeszcze nie wstały. Ben Goodley czekał w helikopterze.

— Tutaj są notatki Adlera z wyjazdu do Teheranu — powiedział doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. — Także podsumowanie rozmów w Pekinie. Grupa robocza zbiera się o dziesiątej, żeby ocenić całą sytuację. Później w Langley ma także posiedzenie zespół SOW.

— Dzięki. — Jack zapiął pasy i przystąpił do czytania. Przed nim zajęli miejsca Arnie i Callie.

— Jakieś wnioski, panie prezydencie? — spytał Goodley.

— Jak to, Ben, przecież ty masz mi je podsuwać.

— A gdybym powiedział, że to wszystko nie trzyma się kupy?

— Tyle to i ja wiem. Pilnujesz dzisiaj telefonów i faksów. O tej porze Scott powinien już być w Tajpej. Przekazujcie mi bezzwłocznie każdą informację, która nadejdzie od niego.

— Tak jest, panie prezydencie.

Ryan nawet nie zauważył, kiedy śmigłowiec wzbił się w powietrze. Skupił się na pracy.

W fotelach obok siedzieli Price i Raman. Jeszcze więcej agentów będzie na pokładzie 747, a kolejni czekać będą w Nashville. Czy John Patrick Ryan chciał tego, czy też nie, jego prezydencka kadencja nie uległa zawieszeniu.

Był to kraj może niewielki, może nieważny, mógł być pariasem w międzynarodowej wspólnocie państw — nie z racji własnych poczynań, lecz tylko dlatego, że na zachodzie miał

potężniejszego i lepiej prosperującego sąsiada — wszelako jego mieszkańcy sami wybrali swój rząd i to powinno się liczyć we wspólnocie państw, szczególnie tych, których rządy zostały wybrane w sposób demokratyczny. Chińska Republika Ludowa powstała przy użyciu zbrojnej siły — co zresztą dotyczyło większości państw, upomniał sam siebie sekretarz stanu — i natychmiast po powstaniu zaczęła mordować miliony swych obywateli (nikt nie wiedział

dokładnie ilu, nikt też, co gorsza, specjalnie się tym nie interesował). Następnie przystąpiła do realizacji programu rewolucyjnego rozwoju gospodarczego zwanego Wielkim Skokiem, który okazał się bardziej katastrofalny, niż przydarzyło się to innym państwom marksistowskim, by z kolei po okresie przebiegającym pod hasłem Rewolucji Stu Kwiatów, mającym na celu ujawnienie potencjalnych dysydentów, rzucić się w chaos następnej wewnętrznej „reformy”

nazwanej Rewolucją Kulturalną, a polegającej na fizycznej eliminacji wszystkich samodzielnie myślących osób rękami studentów, których rewolucyjny entuzjazm skierowany był przede wszystkim przeciw tradycyjnej kulturze chińskiej. Udało im się doprowadzić niemal do całkowitej jej zagłady w imię Czerwonej Książeczki przewodniczącego Mao. Potem przyszedł

czas kolejnych reform, pozornego odwrotu od marksizmu, oraz następnej rewolty studenckiej —

tym razem wymierzonej przeciw istniejącym porządkom politycznym — brutalnie stłumionej przy użyciu czołgów i karabinów maszynowych na oczach międzynarodowej publiczności telewizyjnej. I pomimo tego wszystkiego, cała reszta świata skłaniała się ku temu, by ChRL

pochłonęła swego tajwańskiego kuzyna.

To się nazywa *Realpolitik*, pomyślał Adler. Wynikiem podobnej postawy była tragedia nazwana później Holocaustem; jedną z jej pamiątek był numer wytatuowany na przedramieniu jego ojca. Także jego kraj przyjął politykę uznawania jednego państwa chińskiego, chociaż przy milczącym zastrzeżeniu, że ChRL nie zaatakuje Republiki Chińskiej, w przeciwnym bowiem wypadku Ameryka może zareagować. Albo i nie.

Adler był zawodowym dyplomatą, ukończył Cornell oraz Szkołę Prawa i Dyplomacji imienia Fletchera na Uniwersytecie Tufts. Kochał swój kraj. Często był narzędziem realizacji jego polityki, teraz zaś w jego imieniu miał załagodzić konflikt międzypaństwowy. Często jednak to, co mówił, nie było nazbyt sprawiedliwe, a w takich chwilach jak ta, zastanawiał się czy sześćdziesiąt lat wcześniej nie zachowywałyby się podobnie do ówczesnych absolwentów Fletchera, wykształconych i szlachetnych, którzy z perspektywy czasu nie umieli potem pojąć, jak mogli nie dostrzec nadciągającej wojny światowej.

— Dysponujemy dużymi fragmentami pocisku, które utkwily w skrzydle. Nie ulega wątpliwości, że to pocisk wystrzelony przez samolot ChRL — oznajmił minister obrony Republiki Chińskiej. — Jesteśmy gotowi dopuścić waszych specjalistów, żeby zbadali pochodzenie materiałów.

— Dziękuję. Poinformuję o tym nasz rząd.

— Sytuacja przedstawia się następująco — włączył się minister spraw zagranicznych. —

Zgodzili się na bezpośredni przelot pańskiego samolotu z Pekinu do Tajpej. Nie sprzeciwiają się oficjalnie wysłaniu waszego lotniskowca. Nie przyznają się do odpowiedzialności za zestrzelenie *Airbusa*. Nic tu nie układa się w spójną całość.

— Ja jestem zadowolony, że wyrazili zainteresowanie w politycznej stabilizacji tego regionu.

— To doprawdy pięknie — mruknął minister obrony. — Szkoda tylko, że sami ją naruszają.

— Z ich powodu ponieśliśmy istotne straty gospodarcze. Zagraniczni inwestorzy zaczynają reagować nerwowo, a odpływ kapitału rodzi pewne problemy wewnętrzne. Czy nie sądzi pan, sekretarzu, że taki był ich plan?

— Panie ministrze, gdyby tak było, dlaczego mieliby sugerować moją podróż tutaj?

— To najwyraźniej podstęp — rzucił gniewnie minister spraw zagranicznych Tajwanu.

— Ale w jakim celu? — zdziwił się Adler. Do diabła, i jedni i drudzy są Chińczykami; może lepiej wyczuwają swoje intencje.

— Nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Tego jesteśmy pewni, nawet jeśli nie udaje nam się przekonać o tym zagranicznych inwestorów. Sytuacja nie jest jednak najwygodniejsza.

To trochę tak, jak gdybyśmy żyli w zamku otoczonym fosą, za którą znajduje się lew. Gdyby miał możliwość, zabiłby nas i pożarł. Nie potrafi przeskoczyć fosy, ale nieustannie szykuje się do skoku. Mam nadzieję, że potrafi pan zrozumieć nasz niepokój.

— Oczywiście — zapewnił sekretarz stanu. — Gdyby ChRL ograniczyła swoją aktywność, czy wy postąpilibyście tak samo?

Nawet jeśli nie zdoła do końca przeniknąć intencji Pekinu, może przynajmniej uda mu się zmniejszyć napięcie w regionie.

— W zasadzie tak. W kwestiach technicznych musi się wypowiedzieć mój kolega.

Właściwie cała podróż odbyła się po to, aby uzyskać to proste stwierdzenie. Teraz musiał wracać, żeby powtórzyć je w Pekinie.

Szpital Uniwersytetu Hopkinsa miał własne przedszkole, prowadzone przez profesjonalne wychowawczynie oraz studentów, którzy specjalizowali się w pediatrii. Katie rozejrzała się po wnętrzu, które wyraźnie spodobało jej się z racji różnobarwności. Oprócz niej było czterech agentów

Tajnej Służby, nie udało się bowiem zapewnić kobiet. Nie opodał znajdowało się także trzech policjantów po cywilnemu z komendy miejskiej w Baltimore, którzy wcześniej okazali dokumenty Tajnej Służbie. Rozpoczął się następny dzień Chirurga i Foremki. Katie podobała się jazda helikopterem. Zawrze dzisiaj nowe przyjaźnie, ale matka była pewna, że wieczorem będzie się dopytywać o pannę Marlene. Jak z trzylatką rozmawiać o śmierci?

Tłum reagował z większą niż zwykle sympatią, co Ryan wyraźnie wyczuwał. Oto trzy dni po tym, jak dokonano zamachu na jego najmłodszą córkę, pełnił dla nich swe obowiązki, demonstrując zdecydowanie, odwagę i wszystkie te inne gazetowe bzdury. Rozpoczął od modlitwy za poległych agentów, a Nashville należało do miejsc, gdzie takie rzeczy traktowano poważnie. Przemówienie, które wygłosił potem, było naprawdę niezłe; mówiło o tym, w co naprawdę wierzył. Zdrowy rozsądek. Uczciwość. Obowiązek. Tyle że kiedy słyszał swój głos, wypowiadający słowa napisane przez kogoś innego, wydawały mu się one zupełnie puste i z największym trudem udawało mu się na nich skupić.

— Dziękuję wam i niech Bóg błogosławi Amerykę — zakończył.

Ludzie machali i wiwatowali. Zabrzmiała orkiestra. Ryan uściśnął ręce miejscowym dostojnikom i zszedł ze sceny osłoniętej kuloodpornym szkłem. Za kurtyną czekał Arnie.

— Wciąż robisz na ludziach wrażenie szczerego chłopaka. Ryan nie zdążył odpowiedzieć, kiedy włączyła się Andrea.

— Mamy błyskawiczną dla pana w śmigłowcu. Od sekretarza Adlera.

— Dobrze, pośpieszmy się. Bądź w pobliżu.

— Zawsze — zapewniła Price.

— Panie prezydencie! — Nad głosami wszystkich dziennikarzy przebił się głos reportera z NBC. Ryan zatrzymał się i odwrócił. — Czy proponuje pan Kongresowi wprowadzenie nowej ustawy ograniczającej sprzedaż broni?

— Po co?

— Napaść na pańską córkę...

Ryan podniósł do góry dłoń.

— Z tego, co wiem, broń użyta w tym przypadku, była posiadana nielegalnie. Niestety, nie bardzo widzę, co nowe ustawy mogłyby pomóc przeciwko tym, którzy je łamią.

— Ale rzecznicy ograniczenia dostępu do broni mówią...

— Wiem, co mówią. Atak na moją córkę i śmierć pięciu bohaterkich Amerykanów wykorzystają do swoich politycznych celów. Nic nowego.

Z tymi słowami odwrócił się i ruszył przed siebie.

— W czym mogę pomóc?

Opisał objawy. Lekarz znał dobrze całą rodzinę. Razem grali nawet w golfa. Pod koniec każdego roku przedstawiciel firmy Cobra miał mnóstwo „promocyjnych” kijów w idealnym niemal stanie. Większość przekazywał drużynom młodzieżowym albo sprzedawał klubom, ale część rozdawał przyjaciołom, niektóre z autografami Grega Normana.

— No cóż, temperaturę masz trochę podwyższoną, 38°. Ciśnienie sto na sześćdziesiąt pięć, jak dla ciebie trochę za niskie. Masz niedobrą cerę...

— Wiem, źle się czuję.

— Czujesz się źle, ale ja bym się tym nie przejmował. Prawdopodobnie w jakimś barze złapałeś wirusa grypy, a podróż w samolocie jeszcze pogorszyła sprawę, a poza tym od dawna powtarzam ci, że musisz przyhamować trochę z gorzalką. Zaraziłeś się, a inne czynniki tylko pogłębiły objawy. Zaczęło się w piątek, tak?

— Czwartek wieczór, może piątek rano.

— Ale zagrałeś rundkę?

— Skończyło się na bałwanie — powiedział, mając na myśli wynik powyżej osiemdziesięciu uderzeń.

— Sam bym tyle chciał uzyskać, zdrow jak ryba i trzeźwy jak niemowlę. — Lekarz miał

w golfie handicap 20. — Skończyłeś pięćdziesiątkę i nie możesz już hasać do późnej nocy, a wstawać radosny jak ptaszek. Zupełny spokój. Dużo płynów, ale żadnego alkoholu. Pozostań przy Tylenolu.

— Nic mi nie przepiszesz?

Lekarz pokręcił głową.

— Antybiotyki są nieskuteczne przy infekcji wirusowej. Twój system immunologiczny musi sobie z tym poradzić i robi to, o ile nie będziesz przeszkadzał. Ale jak już jesteś, chciałbym pobrać ci trochę krwi; trzeba zbadać poziom cholesterolu. Zaraz przyślę siostrę. Ktoś zawiezie cię do domu?

— Tak. Sam nie chciałem prowadzić.

— Dobrze. Przez kilka dni nie ruszaj się z łóżka. Cobra jakoś to przetrzyma, a pola golfowe nie zapadną się do czasu, aż wydobrzejesz.

— Dziękuję.

Już teraz poczuł się lepiej. Zawsze tak jest, kiedy lekarz zapewni cię, że jeszcze nie umierasz.

— Proszę. — Goodley podał Ryanowi kartkę. Niewiele urzędowych budynków, włącznie z siedzibami najważniejszych instytucji rządowych, posiadało sprzęt łącznościowy, który znajdował się na górnym pokładzie samolotu VC-25 o sygnale wywoławczym Air Force One. —

Nieźle wiadomości — dodał Ben.

Miecznik najpierw przebiegł tekst oczyma, potem usiadł, aby przeczytać go raz jeszcze, tym razem uważnie.

— Fajnie, uważa, że uda mu się załagodzić konflikt. Tyle że w dalszym ciągu nie wie, na czym ten konflikt polega.

— Lepsze to niż nic.

— Dostała to grupa robocza?

— Tak, panie prezydencie.

— Może oni dopatrzą się w tym jakiegoś sensu. Andrea?

— Tak, panie prezydencie.

— Powiedz pilotowi, że czas ruszać. — Rozejrzał się. — Gdzie jest Arnie?

— Dzwonię z komórki — powiedział Plumber.

— Mhm — mruknął van Damm. — Mówiąc szczerze, ja też.

Urządzenia STU-4 na pokładzie samolotu zapewniały pełne bezpieczeństwo rozmów.

John Plumber nie znajdował się już na liście tych, do których Biały Dom wysyłał kartki świąteczne. Niestety, urzędowy numer szefa personelu ciągle znajdował się w notatniku Plumbersa, na co nic nie mógł poradzić — co najwyżej polecić sekretarce, żeby nigdy już nie łączyła go z tym gościem, szczególnie, kiedy jest w podróży.

— Wiem, co myślisz.

— To świetnie, John. Oszczędzasz mi gadania.

— Oglądaj dzisiaj dziennik wieczorny. Ja będę na końcu.

— Po co?

— Zobaczysz, Arnie. Trzymaj się.

Van Damm kciukiem wcisnął guzik, zastanawiając się, o co mogło chodzić Plumberowi.

Kiedyś mu ufał. Ufał kiedyś jego kolegom. Zastanawiał się, czy wspominać prezydentowi o telefonie, ale uznał, że nie warto. Facet wygłosił dobre przemówienie, pomimo wszystkiego, co się na niego zważyło, a udało mu się dlatego, że sukinsyn — bardziej nawet niż przypuszczał —

wierzył w pewne rzeczy. Nie trzeba zwać mu dodatkowych ciężarów na grzbiet. Nagrają audycję podczas przelotu do Kalifornii, a jeśli będzie w niej coś ciekawego, pokaże później prezydentowi.

— Nie wiedziałem, że grypa znowu panuje — powiedział, niezdarnie naciągając na siebie koszulę. Całe ciało miał obolałe.

— Nigdy nie znika, tylko nie zawsze godna jest wzmianek w telewizji — odpowiedział

lekarz, spoglądając na wyniki, właśnie przyniesione przez pielęgniarkę.

— Więc?

— Nie przejmuj się. Zostań w domu, szkoda zarażać kolegów w pracy. Powinno ci się polepszyć do końca tygodnia.

W Langley zebrał się zespół opracowujący SOW. Nadeszła moc informacji z regionu Zatoki Perskiej i teraz na szóstym piętrze usiłowali jakoś je uporządkować. Na ścianie zawisło zdjęcie, powiększone w laboratorium, zrobione Mahmudowi Hadzi Darjaeiemu przez Chaveza.

Może ktoś chciałby porzucać w nie strzałkami? — pomyślał Ding.

— Czołgi — mruknął były żołnierz zwiadu piechoty, spoglądając na film nakręcony dzięki *Predatorowi*.

— Trochę za duże, żeby je rozwalić z pukawki, Sundance Kid — powiedział Clark. —

Zawsze budzą we mnie lęk.

— Rakiety *LAW* załatwią się z nimi, panie C.

— Jaki jest ich zasięg, Domingo?

— Czterysta, pięćset metrów.

— Ich armaty mają zasięg dwóch do trzech kilometrów. Warto o tym pamiętać —

przypomniał Clark.

— Nie znam się zbyt dobrze na sprzęcie — powiedział Bert Vasco i wskazał ręką ekran.

— Co to znaczy?

Odpowiedzi udzielił jeden z wojskowych analityków CIA.

— To, że armia ZRI jest w znacznie lepszym stanie niż przypuszczaliśmy.

Podobnego zdania był major z wywiadu Departamentu Obrony.

— Na mnie zrobili spore wrażenie. Ćwiczenia nie były specjalnie pomysłowe od strony manewrowej, ale dobrze się do nich przygotowali. Nikt się nie pogubił...

— Myśli pan, że korzystają już z *GPS*? — spytał analityk z CIA.

— Może to kupić każdy, kto prenumeruje magazyn „Yachting”. Kiedy ostatni raz tam zerknąłem, cena spadła do czterystu dolarów — odparł oficer. — To znaczy, że o wiele lepiej niż kiedyś mogą sterować ruchem pododdziałów. Co więcej, znacznie skuteczniejsza może być artyleria. Jeśli wiadomo, gdzie są nasze działa, gdzie znajduje się nasz wysunięty obserwator oraz w jakiej relacji do niego pozostaje obiekt, już pierwszy strzał powinien siedzieć w celu.

— Powiedziałby pan, że ich skuteczność wzrosła czterokrotnie?

— Co najmniej — stwierdził major. — Ten facet ze ściany właśnie dostał wielką pałę, którą może wygrażać sąsiadom. Przypuszczam, że nie będzie długo zwlekał.

— Bert? — spytał Clark.

Vasco poruszył się w fotelu.

— Zaczynam się niepokoić; wszystko rozwija się szybciej, niż przypuszczałem.

Martwiłbym się bardziej, gdyby Darjaei nie miał żadnych innych kłopotów.

— Jakich? — spytał Chavez.

— Musi utrzymać wewnętrzną jedność kraju, a poza tym wie, że jeśli zacznie pobrzękiwać szabelką, my nie będziemy przypatrywać się temu obojętnie. Na pewno chciałby pokazać sąsiadom, kto jest najsilniejszy na podwórku. Jak szybko będzie mógł rozpocząć jakąś akcję?

— Z militarne go punktu widzenia?

Cywilny analityk zrobił gest w kierunku przedstawiciela wywiadu Departamentu Obrony.

— Gdyby nas tam nie było, już teraz. Ale jesteśmy.

— A teraz przyłączcie się do mnie wszyscy w chwili milczącego skupienia — zwrócił się Ryan do słuchaczy w Topeka. Wybiła jedenasta, co znaczyło, że w domu jest południe. Następny przystanek w Colorado Springs, następnie Sacramento, a potem na szczęście już do domu.

— Musicie sobie postawić pytanie, jaki człowiek wami rządzi — mówił Kealty do obiektywów kamer. — Zginęło pięć osób, a on nie widzi potrzeby ograniczenia dostępu do broni.

Po prostu nie potrafię zrozumieć, jak ktoś może być tak bezduszny. Ale dobrze, jeśli jego ani ziębi, ani grzeje fakt śmierci tych bohaterskich agentów, ja nie mogę przejść nad tym do porządku dziennego. Ilu jeszcze Amerykanów będzie musiało zginąć, żeby lokator Białego Domu dostrzegł potrzebę bardziej zdecydowanych działań? Czy stanie się tak dopiero wtedy, kiedy naprawdę straci kogoś z najbliższej rodziny? Przepraszam, ale to pytanie, które wprost samo ciśnie się na usta.

— Wszyscy chyba pamiętacie, że jedno z haseł, pod którym przebiegała kampania o ponowne wybory do Kongresu, brzmiało: „Głosujcie na nas, a za każdego dolara, którego podatki zabierają z waszego okręgu, otrzymacie z powrotem dolara dwadzieścia”. Pamiętacie?

Wiele rzeczy zostało przy tej okazji przemilczanych albo przeinaczonych. Po pierwsze, od kiedy to rząd ma wam zapewniać pieniądze? Czyżbyśmy głosowali na Świętego Mikołaja?

Tymczasem sprawa wygląda dokładnie na odwrót: rząd nie może funkcjonować, jeśli nie dacie na to pieniędzy.

Po drugie, czy mówią wam może: „Głosujcie na nas, gdyż pieniądze przekazemy tym biedakom z Północnej Dakoty”? A czy tamci nie są Amerykanami?

Po trzecie, dług wewnętrzny oznacza, że każdy region dostaje więcej z budżetu federalnego niż wnosi do niego w postaci federalnych podatków, przepraszam, powinienem był

powiedzieć: w postaci federalnych podatków bezpośrednich, tych, które są namacalne.

W istocie więc mamiono was obietnicami, że rząd będzie wydawał więcej pieniędzy niż posiada. Wyobraźcie sobie tylko sąsiada, który chwali wam się, że dobrze mu idzie wystawianie czeków bez pokrycia na bank, w którym trzymacie swoje oszczędności. Czy nie zawiadomilibyście policji?

Tymczasem wszyscy wiemy, że rząd musi brać więcej pieniędzy, niż ich może w tej czy innej formie zwrócić. Deficyt budżetu federalnego oznacza, że za każdym razem, kiedy bierzecie kredyt, kosztuje was to więcej, niż powinno. A dlaczego? Gdyż rząd pożycza tak wiele pieniędzy, iż podwyższa to stopę procentową.

Tak, panie i panowie, w cenie każdego domu, każdego samochodu, każdej karty kredytowej, zawarty

jest już podatek. Niewykluczone, że dadzą wam nawet jakieś ulgi podatkowe na spłatę rat. Czyż to nie wielkoduszne? Wasz rząd udziela wam ulgi podatkowej na wydatki, których w ogóle nie powinniście ponosić, a potem przechwala się, że daje wam więcej pieniędzy niż od was otrzymuje.

Ryan zrobił pauzę.

— Czy ktoś naprawdę w to uwierzy? Czy ktoś uwierzy, że Stanów Zjednoczonych nie stać na to, aby przestały wydawać więcej pieniędzy niż posiadają? Czy to są słowa Adama Smitha, czy Lucy Ricardo? Skończyłem ekonomię i jakoś nie pamiętam, żeby w programie było

„I love Lucy”.

Panie i panowie. Nie jestem politykiem, nie przybyłam tutaj, żeby popierać czyjąkolwiek kandydaturę na wolne miejsca do Izby Reprezentantów. To rząd należy do was, a nie wy do niego. Zanim jutro oddacie swój głos, proszę, pomyślcie chwilę nad tym, co mówią kandydaci i za czym obstają. Zapytajcie sami siebie: „Czy to ma ręce i nogi?”, a potem dokonajcie najlepszego wyboru. A jeśli nie macie przekonania do żadnego z kandydatów, idźcie mimo to do komisji wyborczej, pokażcie się przy urnie, a potem wróćcie do domu, nie wrzucając swego głosu. Taki właśnie jest wasz obowiązek wobec kraju.

Furgonetka z klimatyzacją zatrzymała się na podjeździe i wysiadło z niej dwóch mężczyzn. Weszli na ganek, a jeden zastukał.

— Kto tam? — zapytała zaskoczona właścicielka.

— FBI, pani Sminton. — Mówiący pokazał legitymację i odznakę. — Czy moglibyśmy wejść?

— Dlaczego? — upierała się sześćdziesięciodwuletnia kobieta.

— Przypuszczamy, że mogłaby nam pani pomóc w pewnej sprawie.

Potrwało to dłużej niż przypuszczali. Broń użyta w ataku na przedszkole doprowadziła do producenta, od niego do hurtownika i sprzedawcy, a dalej do nabywcy i adresu. Z tym adresem Biuro i Tajna Służba zwróciły się do sądu okręgowego, aby ten wydał nakaz aresztowania i rewizji.

— Proszę.

— Bardzo dziękujemy, pani Sminton. Czy zna pani swojego sąsiada?

— Chodzi panu o pana Goldbluma?

— Właśnie.

— Tylko trochę. Mówimy sobie „dzień dobry”.

— Nie wie pani, czy jest teraz w domu?

Pani Sminton wyjrzała przez okno.

— Samochodu nie ma.

O tym agenci już wiedzieli. Goldblum był właścicielem niebieskiego Oldsmobile z rejestracją Marylandu. Poszukiwali go teraz wszyscy policjanci w promieniu pięciuset kilometrów.

— Pamięta pani, kiedy go pani widziała ostatni raz?

— Chyba w piątek. Były też inne samochody i ciężarówka.

— Dobrze. — Agent sięgnął do kieszeni kurtki i wydobyl z niej radionadajnik. —

Wchodzimy, wchodzimy. Ptaszka najprawdopodobniej, powtarzam: najprawdopodobniej nie ma w gnieździe.

Na oczach zdumionej wdowy nad sąsiednim domem, odległym o trzysta metrów, pojawił się helikopter. Z obu jego stron spłynęły liny, po których zsunęli się uzbrojeni agenci.

Jednocześnie na drodze pojawiły się cztery pojazdy, które zjechały z niej i pognały w kierunku budynku. Zwykle wszystko potoczyłoby się wolniej, atak zaś poprzedziłaby dyskretna obserwacja, w tym jednak przypadku czas naglił. Frontowe i tylne drzwi zostały wyważone, pół

minuty później zabrzmiała syrena, gdyż pan Goldblum zamontował sobie alarm przeciwwłamaniowy. Potem zatrzeszczało radio.

— Dom czysty, dom czysty. Tutaj Betz. Przeszukanie skończone, dom czysty. Możecie wchodzić.

Natychmiast pojawiły się dwie furgonetki. Kiedy zatrzymały się na podjeździe, pasażerowie błyskawicznie zebrali próbki trawy i żwiru, aby porównać ze śladami znalezionymi w samochodach terrorystów.

— Pani Sminton, czy moglibyśmy chwilę porozmawiać? Chcielibyśmy zadać kilka pytań dotyczących pana Goldbluma.

— No i? — spytał Murray, kiedy dotarł do Centrum Dowodzenia FBI.

— Na razie nic — odparł agent zza konsoly.

— Cholera.

Murray powiedział to bez specjalnej złości. Nie spodziewał się może zbyt wiele, miał

jednak nadzieję na parę istotnych informacji. W Giant Steps zabezpieczono wszystkie ślady

materialne. Resztki ziemi w oponach mogły dać wskazówki co do trasy przejazdu. Trwa i żwir w oponach, i za zderzakami mogły powiązać pojazdy z domem Goldbluma. Włókna na podszewkach butów — bordowa wełna — mogły wprowadzić terrorystów do wnętrza. Grupa dziesięciu agentów badała właśnie, kim właściwie był Mordechaj Goldblum. Duże pieniądze można było postawić na to, że tyle miał w sobie z Żyda co Adolf Eichmann, tyle że nikt nie chciał się zakładać.

— Centrum Dowodzenia, tutaj Betz. — Billy Betz był zastępcą głównego agenta oddziału FBI w Baltimore — dawniej zaś strzelcem wyborowym Zespołu Odbijania Zakładników, stąd jego brawurowy zjazd z helikoptera, na czele grupy, w której była także jedna kobieta.

— Billy, tutaj Dan Murray. Macie coś?

— Da pan głowę, dyrektorze? Do połowy opróżnione pudło amunicji pośredniej kalibru 7,62 mm. Numery seryjne pasują do łusek znalezionych w Giant Steps. W saloniku jest bordowy dywan. W szafie w głównej sypialni nie ma ubrań. Nikogo tutaj nie było od kilku dni. Wszystko bezpieczne, żadnych ukrytych bomb. Ekipa kryminalistyczna zaczyna pracę.

Wszystko w osiemdziesiąt minut po tym, jak starszy agent filii FBI w Baltimore wchodził do gmachu sądu po nakaz. Nieco za późno, ale jednak szybko.

Grono specjalistów rekrutowało się z pracowników FBI, Tajnej Służby oraz Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej, rozsadzanej przez wewnętrzne konflikty agencji, która miała jednak znakomitych ekspertów. Wszyscy w rękawiczkach, będą przetrząsać dom przez długie godziny, a z każdej powierzchni zbiorą odciski palców, aby porównać je z tymi, które zdjęto z dłoni martwych terrorystów.

— Kilka tygodni temu widzieliście, jak przysięgałem przestrzegać konstytucji Stanów Zjednoczonych, a także jej bronić. Robiłem to po raz drugi, gdyż wcześniej przysięgę taką składałem po ukończeniu Boston College, jako świeżo upieczony podporucznik piechoty morskiej. Natychmiast po tym dokładnie przeczytałem konstytucję, aby się upewnić, że dokładnie wiem, czego przysięgałem bronić.

Panie i panowie, często słyszycie polityków, którzy powiadają, że chcieliby, aby rząd dał wam władzę robienia tych czy innych rzeczy.

Ale to nie tak. Thomas Jefferson pisał, że rządy czerpią swoją prawomocną władzę ze zgody tych, którzy są rządeni. To o was chodzi. Wszyscy powinni czytać konstytucję. Nie została napisana, aby mówić wam, co macie robić. Konstytucja określa relacje między trzema rodzajami władz. Powiada ona rządowi co może robić, ale także, czego robić mu nie wolno.

Rządowi nie wolno ograniczać waszej wolności słowa. Rządowi nie wolno nakazywać wam, jak macie się modlić. Rządowi nie wolno robić wielu rzeczy. Rząd jest o wiele skuteczniejszy w zabieraniu niż dawaniu, nade wszystko jednak nie może dać wam władzy, bo to wy mu ją nadajecie. Rząd należy do obywateli, nie zaś obywatele do rządu.

Jutro będziecie wybierać nie swoich władców, lecz pracowników, służących waszej woli i strzegących waszych praw. To nie my wam, lecz wy nam mówicie, co robić.

Moje zadanie nie polega na tym, żeby zabierać wam pieniądze, a potem oddawać. Moim zadaniem jest wziąć od was tyle pieniędzy, ile mi potrzeba, aby was chronić i bronić, i żeby robić to możliwie jak najskuteczniej. Służba rządowa nakłada wielkie obowiązki i odpowiedzialność, ale nie musi nieść wielkich radości tym, którzy ją pełnią. To ci, którzy służą wam w rządzie, winni się dla was poświęcać, a nie wy dla nich.

Ostatniego piątku dwie wspaniałe kobiety i trzech wspaniałych mężczyzn straciło życie w służbie naszej ojczyzny. Ich zadaniem była ochrona mojej córki, Katie. Ale były tam także inne dzieci, a kto broni jednego z nich, staje w obronie ich wszystkich. Ludziom takim jak oni nie zależy na niczym więcej niż na waszym szacunku. Zasługują nań. Zasługują, gdyż robią to, czego my sami nie potrafimy z reguły zrobić. To dlatego ich zatrudniamy. Oni zaś podejmują ten trud, gdyż wierzą, że jest on ważny, gdyż troszczą się o nas, gdyż są z nami. i wy i ja wiemy, że nie wszyscy urzędnicy państwowi są tacy. To nie ich wina, to wasza wina. Jeśli nie żądacie tego, co najlepsze, nigdy tego nie dostaniecie. Jeśli godziwej ilości władzy nie złożycie w ręce godnych ludzi, to ludzie niegodni wezmą więcej władzy niż im potrzeba i skorzystają z niej wedle własnych, a nie waszych chęci.

Panie i panowie, to dlatego tak ważny jest jutrzejszy obowiązek, abyście wybrali odpowiednich ludzi. Wielu z was prowadzi własne firmy i zatrudnia innych ludzi. Większość z was ma własne domy i od czasu do czasu wynajmuje hydraulików, elektryków, stolarzy. Staracie się znaleźć odpowiednich ludzi, bo płacicie im za pracę i chcecie, żeby była odpowiednio wykonana. Kiedy zachoruje wam dziecko, staracie się znaleźć najlepszego lekarza. Dlaczego? Bo najważniejsze jest dla was zdrowie dziecka.

Także Ameryka jest waszym dzieckiem. Ameryka jest krajem niezmiennie młodym.

Potrzebujecie odpowiednich ludzi, którzy się nią zaopiekują. A do was należy zadanie wybrania tych odpowiednich ludzi, niezależnie od partii, rasy, płci, czy czegokolwiek innego niż talent i charakter. Nie potrafię i nie chcę mówić wam, jacy ludzie zasługują na wasz głos. Bóg obdarzył

was wolną wolą. Konstytucja ma chronić wasze prawo do korzystania z tej wolności. Jeśli zrobicie z niej nierozumny użytek, wtedy zdradzicie samych siebie, a wtedy ani ja, ani ktokolwiek inny nie będzie mógł tego naprawić.

Dziękuję, że przybyliście na pierwsze moje spotkanie z Colorado Springs. Dzień jutrzejszy należy do was. Wykorzystajcie go, aby wybrać właściwych ludzi.

— W ciągu wystąpień, najwyraźniej nastawionych na zjednanie sobie sympatii konserwatywnych wyborców, prezydent Ryan wprawia w oszołomienie opinię publiczną w przeddzień wyborów do Izby Reprezentantów, gdyż nawet w chwili gdy służby federalne prowadzą śledztwo w sprawie terrorystycznej napaści na jego córkę, prezydent jednoznacznie sprzeciwia się projektom ograniczającym nabywanie broni. Reportaż przygotował reporter NBC, Hank Roberts, towarzyszący prezydentowi w jego podróży po kraju.

Tom Donner patrzył w obiektyw kamery, aż zgasło czerwone światelko.

— Odniosłem wrażenie, że powiedział dzisiaj kilka ładnych rzeczy — zauważył John Plumber.

— Wzmiankę o „I Love Lucy” Callie Weston musiała podrzucić tuż przed wyjątkowo ciężkim okresem — mruknął Donner, kartkując egzemplarz. — Aż trudno uwierzyć, że pisała znakomite przemówienia dla Boba Fowlera.

— Przeczytałeś uważnie jego przemówienie?

— John, nie wygłupiaj się, przecież nie musimy czytać tego, co on papie. Dobrze wiemy, co powie. Ale nawiasem mówiąc, chciałbym potem kopię twojego tekstu.

— Dziesięć sekund — odezwał się w słuchawkach głos reżysera.

Uśmiechnięta twarz na trójce.

— Ogromne oddziały służb federalnych zostały skierowane do śledztwa w sprawie piątkowego zamachu na córkę prezydenta Ryana. Reportaż przygotowała Karen Stabler z Waszyngtonu.

— Tak, myślę, że ci się to spodoba, Tom — powiedział Plumber, kiedy światła znowu zgasły.

Tym lepiej, pomyślał. Teraz mam naprawdę czyste sumienie.

VC-25 wystartował o czasie i wziął kurs na północ, aby ominąć burzę nad Nowym Meksykiem. Arnie van Damm znajdował się na górze w kabinie łącznościowej. Było tu pod dostatkiem sprzętu, aby w tym samym momencie obserwować pół świata, a ukryta pod kadłubem antena satelitarna mogła odbierać niemal wszystkie stacje telewizyjne. Na polecenia van Damma odbierała teraz sygnały sieci NBC.

— A teraz, na zakończenie, komentarz naszego specjalnego korespondenta, Johna Plumbara. — Donner odrobinę się odwrócił i lekko skłonił. — Proszę, John.

— Dziękuję ci, Tom. Wiele lat temu podjąłem zawód dziennikarza, gdyż niesłuchanie fascynował on mnie w młodości. Pamiętam jeszcze radio kryształkowe, a starsi ze słuchaczy przypominają sobie może, jak trzeba je było uziemiać, podłączając do kaloryfera. —

Na twarzy Plumbara pojawił się uśmiech. — Słuchałem Eda Murrowa z bombardowanego Londynu, Erica Savareida z dżungli Birmy, słuchałem tych prawdziwych ojców założycieli, gigantów naszego zawodu. Dorastałem z głową pełną obrazów stworzonych za pomocą słów przez ludzi, którym cała Ameryka mogła zaufać, iż wedle najlepszych swoich zdolności będą próbować dotrzeć do prawdy i przekazać ją społeczeństwu. Uznałem, że dochodzenie prawdy i przedstawianie jej ludziom jest jednym z najszlachetniejszych powołań, do których ludzie mogą aspirować. Nie zawsze jesteśmy doskonali, prawie nikt taki nie jest.

Siedzący po prawej Donner w zdumieniu spoglądał na teleprompter. Przecież nie ten tekst odwijają się za obiektywami kamer; co więcej, chociaż przed Plumberem leżały zadrukowane kartki, ten

mówił z pamięci. Jak za starych, dobrych czasów.

— Chciałbym móc powiedzieć, że dumą napełniał mnie fakt bycia dziennikarzem. I kiedyś byłem z tego dumny.

Stałem przy mikrofonie, kiedy Neil Armstrong schodził z drabinki na powierzchnię Księżyca, ale także w sytuacjach tragicznych, jak podczas pogrzebu Jacka Kennedy'ego.

Wszelako bycie zawodowym dziennikarzem nie sprowadza się do bycia tam, gdzie coś się dzieje.

Polega również na wyznawaniu czegoś, wierzeniu w coś, na obstawaniu za czymś.

Parę tygodni temu dwukrotnie w ciągu jednego dnia przeprowadziliśmy wywiad z prezydentem Ryanem. Pierwszy wywiad został nagrany na taśmie, drugi poszedł na żywo.

Pytania nieco się różniły w obu przypadkach, a powodem było to, że pomiędzy jednym a drugim wywiadem, ktoś zadzwonił, żebyśmy się z nim zobaczyli. W tej chwili nie powiem, kto to był.

Zrobię to przy innej okazji. Osoba ta dostarczyła nam pewnej informacji, informacji niezbyt pochlebnej dla prezydenta. Wyglądało to na interesującą historię, chociaż nią nie było, o czym jednak nie wiedziałem w tamtym momencie. Wtedy wydawało nam się, że podczas pierwszego wywiadu zadaliśmy złe pytania, i chcieliśmy zadać lepsze.

Skłamaliśmy zatem. Okłamaliśmy szefa personelu Białego Domu, Arnolda van Damma.

Powiedzieliśmy mu, że taśma została uszkodzona. Mówiąc to, okłamaliśmy także prezydenta.

Najgorsze jednak, że okłamaliśmy także was. Taśmy te są w moim posiadaniu, absolutnie nieuszkodzone.

Nie złamaliśmy prawa. Pierwsza poprawka pozwala nam robić niemal wszystko, co zechcemy, i to jest słuszne, gdyż to wy powinniście być ostatecznymi sędziami tego, co robimy i kim jesteśmy. I tylko jednej rzeczy nam nie wolno: nadużywać waszego zaufania.

Nie jestem zwolennikiem prezydenta Ryana. Osobiście nie zgadzam się z wieloma jego posunięciami. Gdyby wystartował drugi raz w wyborach, nie głosowałbym zapewne na niego.

Niemniej uczestniczyłem w pewnym kłamstwie i nie potrafię żyć z tą świadomością.

Jakiegolwiek są wady Johna Patricka Ryana, jest to człowiek uczciwy, a nie mogę pozwolić na to, aby osobiste uprzedzenia wobec kogoś czy czegoś, miały wpływ na moją pracę.

Tak jednak się stało. Postąpiłem niesłusznie. Winien jestem przeprosiny panu prezydentowi i winien jestem przeprosiny wam. Być może oznacza to koniec mojej kariery jako dziennikarza. Gdyby tak miało się zdarzyć, chcę się z nią rozstać, tak jak ją rozpocząłem: mówiąc prawdę — najlepiej, jak potrafię. Dobranoc państwu, John Plumber, NBC News.

John głęboko odetchnął, wpatrzony w obiektyw kamery.

— Co to ma, do cholery, znaczyć?

Plumber wstał i dopiero wtedy zaczął odpowiadać.

— Jeśli stawiasz takie pytanie, Tom...

W tym momencie na biurku zadzwonił telefon, a dokładnie rzecz biorąc rozbrzysło ostrzegawcze światelko na aparacie. Plumber postanowił nie czekać i skierował się do garderoby.

Niech Tom Donner sam pomęczy się ze swoim pytaniem.

Arnold van Damm, oddalony o trzy tysiące kilometrów, gdyż znajdował się właśnie nad parkiem narodowym Gór Skalistych, zatrzymał aparaturę wideo, wydobyl taśmę i po krętych schodkach zniósł ją do gabinetu prezydenckiego w nosie maszyny. Ryan pracował nad ostatnim tego dnia przemówieniem.

— Jack, myślę, że będziesz chciał to obejrzeć — powiedział z twarzą uśmiechniętą od ucha do ucha.

Wszystko musi się kiedyś wydarzyć po raz pierwszy. Tym razem nastąpiło to w Chicago.

Odwiedziła lekarza w sobotę popołudniu i usłyszała to samo co inne osoby, odczuwające podobne dolegliwości. Grypa. Aspiryna, dużo płynów, leżeć w łóżku. Kiedy jednak spojrzała do lustra, spostrzegła odbarwienie gładkiej skóry, co przstraszyło ją bardziej od wszystkich innych symptomów. Zadzwoniła do lekarza, ale odpowiedziała jej jedynie automatyczna sekretarka, a ponieważ plamy nie mogły czekać, wsiadła w samochód i pojechała do jednej z najlepszych w Stanach Zjednoczonych klinik, uniwersyteckiego Chicago Medical Center. Spędziła w poczekalni czterdzieści minut, a kiedy wreszcie wywołano jej nazwisko, podeszła do biurka, a potem bez słowa zwała się na ziemię. Reakcja personelu była natychmiastowa; pół minuty później dwie pielęgniarki wiozły ją na wózku na oddział interny.

Najpierw zobaczył ją młody lekarz, który łączył pracę z pierwszym rokiem studiów doktoranckich.

— Co się stało? — spytał, podczas gdy pielęgniarki sprawdzały tętno, ciśnienie krwi i oddech.

Recepcjonistka podała kartę, którą lekarz przebiegł wzrokiem.

— Klasyczne objawy grypy, ale co mamy teraz?

— Tętno sto dwadzieścia, ciśnienie krwi, zaraz... — Pielęgniarka raz jeszcze sprawdziła odczyt. — Dziewięćdziesiąt na pięćdziesiąt? — Ciśnienie było zbyt bliskie normy, jak na taki rytm serca.

Lekarz rozpiął bluzkę i natychmiast wiedział, że nie chodzi wcale o banalną grypę. W

jednym błysku pamięci zobaczył odpowiednie akapity podręcznika. Podniósł ręce w ostrzegawczym geście.

— Proszę o uwagę. Mamy tutaj bardzo poważny problem. Każdy niech zmieni rękawice i nałoży maskę, natychmiast.

— Temperatura trzydzieści dziewięć i sześć kresiek — powiedziała inna z sióstr i cofnęła się od wózka.

— To nie grypa. To gorączka krwotoczna, a te plamy to *petechiae*. — Mówiąc to, zmienił rękawice i zakrył usta maską. — Proszę wezwać doktora Quinna.

Pielęgniarka rzuciła się wypełnić polecenie, podczas gdy lekarz raz jeszcze spojrzał na kartę pacjentki. Powinna wymiotować krwią i mieć ciemny stolec. Obniżone ciśnienie krwi, wysoka gorączka, wylew podskórny. Ale jesteśmy w Chicago, nie w Afryce, protestował rozum.

Lekarz sięgnął po strzykawkę.

— Wszyscy proszę się cofnąć, niech nikt nie dotyka moich rąk — polecił, wbił igłę w żyłę i pobrał krew do czterech fiolek.

— Co się stało? — usłyszał pytanie doktora Joe Quinna.

Wyrecytował objawy, a odkładając fiołki na stół, zapytał:

— Co o tym sądzisz, Joe?

— Gdybyśmy byli gdzie indziej...

— Właśnie. Gorączka krwotoczna, jeśli to możliwe.

— Czy ktoś ją pytał, skąd przyjechała?

— Nie, panie doktorze — odparła recepcjonistka.

— Woreczki z lodem — powiedziała siostra przełożona, podając całe ich naręcze.

Umieszczono je po pachami, pod szyją i w innych miejscach ciała, aby obniżyć zabójczą temperaturę.

— Dilantin? — zastanawiał się głośno doktor Quinn.

— Nie ma jeszcze konwulsji. Do diabła.

Quinn rozciął chirurgicznymi nożyczkami stanik pacjentki. Na piersiach formowały się dalsze ciemne plamy.

— Mamy bardzo poważny przypadek. Sostro, proszę się porozumieć z doktorem Kleinem z oddziału chorób zakaźnych. Jest teraz w domu; proszę mu przekazać, że niezwłocznie potrzebujemy jego

pomocy. Trzeba obniżyć jej temperaturę, doprowadzić do przytomności i dowiedzieć się, gdzie ostatnio była.

Przypadek Zerowy

Jako profesor akademii medycznej, Mark Klein przyzwyczajony był do normowanych godzin pracy. Nie nawykł do tego, aby o dziewiątej wieczorem niepokoiły go telefony, ale, jako lekarz, odpowiadał na każde wezwanie. Poniedziałkowego wieczoru potrzeba mu było dwudziestu minut, by dotrzeć na zarezerwowane dla niego miejsce na parkingu. Skinął głową strażnikom, nałożył fartuch, tylnym wejściem dostał się na ostry dyżur, gdzie spytał pielęgniarkę o doktora Quinna.

— W izolatce numer dwa, panie profesorze.

W dwadzieścia sekund później zatrzymał się, zdumiony, przed znakami ostrzegawczymi na drzwiach.

— Ciekawe — mruknął, nałożył rękawice i maskę, a potem wszedł do środka.

— Cześć, Joe.

— Nie chciałem zabierać się do tego bez pana, profesorze — powiedział Quinn i wręczył przybyłemu kartę.

Klein rzucił okiem, potem nagle poczuł zimny dreszcz i zaczął czytać powoli, porównując poszczególne pozycje z wyglądem pacjentki. Kobieta rasy białej, zgadza się, wiek czterdzieści jeden lat, możliwe, rozwiedziona, jej prywatna sprawa, mieszka o niecałe trzy kilometry stąd, pięknie, temperatura w chwili przyjęcia na oddział 39 stopni sześć kresiek, cholernie wysoka, ciśnienie okropnie niskie. *Petechiae?*

— Chcę jej się przyjrzeć — powiedział. Pacjentka zaczynała się budzić. Lekko poruszyła głowę i wydała cichy jęk. — Jaką ma teraz temperaturę?

— Trzydzieści dziewięć i dwa, ładnie opada — poinformował lekarz, który przyjmował

pacjentkę, a Klein odrzucił zielone prześcieradło. Kobieta była teraz naga i trudno było o znaki bardziej wyraziste od tych, które widniały na pięknej skądinąd skórze. Klein spojrzął na pozostałych lekarzy.

— Skąd przyjechała?

— Nie wiadomo — powiedział Quinn. — Przejrzeliśmy jej torebkę; zdaje się, że pracuje w Sears Tower.

— Zbadał ją pan?

— Tak, panie profesorze — odparł Quinn.

— Jakież ukąszenia zwierząt? — spytał Klein.

— Nie. Także żadnego śladu ukłuć, czysta skóra.

— Najprawdopodobniej gorączka krwotoczna, sposób zakażenia nieznany. Proszę ją przenieść na górę, absolutna izolacja, wszystkie środki ostrożności. Proszę także odkazić ten pokój i w ogóle wszystko, czego dotknęła.

— Sądziłem, że te wirusy...

— Nigdy nie wiadomo, doktorze, a boję się rzeczy, których nie potrafię wyjaśnić. Byłem w Afryce, widziałem laseę i gorączkę Q, nie widziałem ebola, ale ona bardzo przypomina jedną z tych chorób — powiedział Klein, z trwogą wymawiając straszliwe nazwy.

— Ale jak?

— Kiedy się czegoś nie wie, to się nie wie — mruknął z naganą w głosie profesor Klein.

— W przypadku chorób zakaźnych, jeśli nie jest znany sposób przeniesienia, należy zakładać najgorszą możliwość. W tym przypadku taką jest droga kropelkowa i tak będziemy traktować pacjentkę. Proszę ją przenieść na mój oddział. Każdy, kto miał z nią kontakt, musi przejść dezynfekcję, jak po kontakcie z AIDS czy wirusowym zapaleniem wątroby. Środki najwyższej ostrożności — surowo upomniał Klein. — Gdzie próbki krwi?

— Tutaj. — Lekarz przyjmujący wskazał czerwony plastikowy pojemnik.

— Co dalej? — spytał Quinn.

— Wyślemy próbki do Atlanty, ale sam także im się przyjrzę.

Klein dysponował znakomitym laboratorium, w którym codziennie spędzał kilka godzin, najczęściej w związku z AIDS, który stanowił jego pasję.

— Czy mogę panu towarzyszyć? — spytał Quinn. — Za kilka minut kończę dyżur.

W poniedziałki było zazwyczaj spokojnie na ostrych dyżurach, na których największy ruch panował podczas weekendu.

— Oczywiście.

— Wiedziałem, że Holtzman zwróci się do mnie — powiedział Arnie.

Samolot zbliżał się do Sacramento, on zaś postanowił drinkiem uczcić niedawne wydarzenie.

— Dlaczego? — spytał prezydent.

— Bob to kawał sukinsyna, ale uczciwego. To znaczy, że uczciwie dopilnuje podpalenia stosu, jeśli uzna, że na to zasłużyłeś. Nigdy o tym nie zapominaj — poradził van Damm.

— Donner i Plumber skłámali — pokręcił głową Jack. — Cholera!

— Jack, wszyscy kłamią, włącznie z tobą. Decyduje kontekst. Są kłámstwa, które mają ochronić prawdę, są takie, które chcą ją ukryć. Są też takie, których celem jest jej zaprzeczenie. A niektóre zdarzają się dlatego, że nikt o to nie dba.

— A jak było w tym przypadku?

— Nałożyło się na siebie kilka czynników. Ed Kealty chciał, żeby ktoś panu dokopał, i dlatego napuścił ich obu. Ale teraz sukinsyn sam się na tym przejedzie. Idę o zakład, że w jutrzejszym „Post” na pierwszej stronie pojawi się artykuł o tym, jak Kealty oszukał dwóch poważnych reporterów, a wtedy cała prasa rzuci się na niego jak stado wilków. Przez niego fatalnie wyglądają w oczach opinii publicznej.

Już teraz szumiało pośród dziennikarzy, którzy towarzyszyli prezydentowi w jego podróży po kraju. Taśma w dziennikiem NBC nieustannie była odtwarzana na wideo.

— Otóż to, szefie — powiedział van Damm i dopił swojego drinka. Nie dodał, że wszystko to nie wydarzyłoby się bez próby porwania Katie Ryan. Nawet dziennikarze ze współczuciem odnieśli się do Ryana w tej sytuacji, co mogło mieć znaczny wpływ na decyzję Plumbersa. Niemniej to właśnie Arnie stał za starannie zaplanowanymi przeciekami, które dotarły do Holtzmana. Postanowił, że kiedy wylądują, powie któremuś z agentów Oddziału, aby kupić

mu jakieś dobre cygaro. Prawie już czuł jego smak.

Wewnętrzny zegar Adlera był teraz zupełnie rozregulowany. Pomagała trochę drzemka, pomagało także to, że miał do przekazania wiadomość prostą i pomyślną zarazem. Auto zatrzymało się. Drzwiczki otworzył, zgięty w pół, niższy urzędnik. Adler, wchodząc do budynku, z trudem stłumił ziewanie.

— Jak to miło znowu pana widzieć, panie sekretarzu — powitał go za pośrednictwem tłumacza szef dyplomacji ChRL. Był także Żeng Han San, którzy przyłączył się do powitania.

— Wszystko stało się o wiele prostsze, dzięki waszej zgodzie na bezpośredni przelot.

Chciałbym za to podziękować.

— Rozumie pan jednak, że zadecydowała o tym wyjątkowość sytuacji — podkreślił

minister.

— Oczywiście.

— Jakie nowiny przywozi nam pan od zbuntowanych kuzynów?

— Są gotowi, w ślad za wami, ograniczyć poczynania wojskowe, mając nadzieję, że efektem tego będzie zmniejszenie napięcia w tym rejonie.

— A ich szkalujące nas oskarżenia?

— Panie ministrze, nie podnosiliśmy tej kwestii. Druga strona jest w równym jak wy stopniu zainteresowana w utrzymaniu pokojowych stosunków.

— To doprawdy szlachetna postawa — włączył się Żeng. — Rebelianci decydują się na agresywne posunięcie, zestrzeliwiają dwa nasze samoloty, rozmyślnie, czy może na skutek nieudolności, trafiają rakietą we własny samolot pasażerski, powodując śmierć ponad stu osób, a potem oświadczają, że w odpowiedzi na nasze kroki łaskawie skłonni są ograniczyć liczbę swoich prowokacji. Mam nadzieję, że pański rząd docenia naszą powściągliwość w tej kwestii.

— Panie ministrze, pokój leży w interesie wszystkich stron, nieprawdaż? Stany Zjednoczone doceniają wysiłki obu stron w tych nieformalnych konsultacjach. Chińska Republika Ludowa nie raz dowiodła swoich dobrych intencji, a rząd na Tajwanie nie chce pozostać w tyle. Cóż więcej trzeba?

— Niewiele, doprawdy — odrzekł chiński minister spraw zagranicznych. — Jedyne rekompensaty za śmierć naszych czterech lotników. Każdy z nich miał rodzinę.

— Ich samoloty pierwsze wystrzeliły rakiety — dodał Żeng.

— Nawet jeśli to prawda, ciągle nie wyjaśniona pozostaje kwestia samolotu pasażerskiego.

— My z całą pewnością nie mieliśmy z tym nic wspólnego — stanowczo świadczył minister.

Niewiele jest rzeczy nudniejszych od negocjacji międzypaństwowych, ale dzieje się tak nie bez przyczyny. Nagłe i zaskakujące posunięcia mogą spowodować nieprzemyślane reakcje; odpowiedzią na nieoczekiwany nacisk może być gniew, na gniew zaś nie ma miejsca w rozmowach toczących się na najwyższych szczeblach. To dlatego poważne rokowania niemal nigdy nie mają charakteru ostatecznego, a bardziej są procesem uzgadniania stanowisk, który pozwala każdej ze stron dokładnie przemyśleć stanowisko swoje i przeciwnika, aby na koniec dotrzeć do satysfakcjonującego obie strony wyniku. Dlatego wysunięte teraz żądanie rekompensaty stanowiło pogwałcenie reguł. Jeśli w ogóle, powinno być zgłoszone podczas pierwszego spotkania, tak aby Adler mógł zawieźć je do Tajpej, tam zapewne przedstawiając jako własną sugestię, po tym, gdy rząd Republiki Chińskiej zgodziłby się współdziałać w łagodzeniu napięcia. Teraz jednak, kiedy Tajpej już to zrobiło, władcy ChRL żądali, aby Adler wracał na Tajwan z żądaniem rekompensaty, zamiast oczekiwanej formuły mniej wrogich stosunków wzajemnych. Było to żądanie obraźliwe nie tylko wobec władz Tajwanu, ale także wobec rządu amerykańskiego, który został wykorzystany jako narzędzie w rozgrywkach innego państwa.

Obelżywość tego posunięcia była tym większa, że zarówno Adler, jak i przedstawiciele Republiki

Chińskiej dobrze wiedzieli, kto naprawdę zestrzelił *Airbus*, wykazując tym aktem pogardę dla ludzkich istnień, za które teraz ChRL domagała się rekompensaty! I znowu Adler musiał się zastanowić, co, zdaniem gospodarzy, wiedział na temat całego incydentu. Jeśli przyjmowali, że wie dużo, prowadzili najwyraźniej grę, której reguły trzeba było dopiero odszyfrować.

— Sądzę, iż byłoby stosowne, gdyby obie strony uznały, że ich straty i żądania wzajemnie się równoważą — zasugerował Adler.

— Bardzo mi przykro, ale nie możemy przystać na takie rozwiązanie. Rozumie pan, panie sekretarzu, to kwestia zasad. Kto postępuje niewłaściwie, musi odpokutować za swoje postęпки.

— A jak przedstawiałaby się cała sytuacja, gdyby, powtarzam, gdyby, gdyż nie dysponuję tutaj żadnymi dowodami, zostało wykazane ponad wszelką wątpliwość, że to właśnie samoloty ChRL zestrzeliły samolot pasażerski? Wtedy wasze żądanie rekompensaty byłoby jawnie niesprawiedliwe.

— To niemożliwe. Dokładnie przesłuchaliśmy lotników, którzy pozostali przy życiu, a ich zeznania nie pozostawiają cienia wątpliwości — znowu włączył się Żeng.

— Czego dokładnie domaga się ChRL? — spytał Adler.

— Dwustu tysięcy dolarów za każdego z czterech zabitych pilotów. Pieniądze zostaną, oczywiście, wręczone ich rodzinom — zapewnił Żeng.

— Mogę przekazać tę propozycję...

— Bardzo przepraszam, panie sekretarzu. To nie propozycja, to żądanie — przerwał minister spraw zagranicznych.

— Rozumiem. Mogę poinformować o waszym stanowisku, chociaż będę nalegał, aby rząd ChRL nie czynił tego warunkiem złagodzenia napięcia politycznego.

— Przedstawiliśmy swoje stanowisko. Spojrzenie ministra było spokojne i twarde.

— ...i niech Bóg błogosławi Amerykę! — zakończył Ryan. Ludzie machali i wiwatowali.

Huknęła orkiestra — wszędzie, gdzie się zjawiał, była też orkiestra — i zaczął schodzić z podium, osłonięty żywą ścianą podenerwowanych agentów Oddziału. No cóż, tym razem chociaż bez oslepiających fleszy. Stłumił kolejne ziewnięcie. Od dwunastu godzin był w ruchu. Można by pomyśleć, że cztery przemówienia nie powinny być zbyt męczące, ale Jack dopiero zaczynał

uczyć się tego, jak wyczerpujące potrafią być publiczne wystąpienia. Za każdym razem trzeba było ucisnąć mnóstwo wyciągniętych dłoni, a chociaż zazwyczaj nie zabierało to więcej niż kilka minut, było sytuacją bardzo stresującą. Niewielkie urozmaicenie stanowił obiad. Jedzenie dobrano tak, aby odpowiadało wszystkim gustom, było zatem pozbawione jakiegokolwiek charakteru. Przynajmniej odnowił zapasy energii.

— Świetnie! — pochwalił Arnie, gdy grupa prezydencka formowała się do wyjścia tylnymi drzwiami. — Jak na faceta, który wczoraj gotów był rzucić to wszystko w diabły, dałeś sobie bardzo dobrze radę.

— Panie prezydencie! — zawołał jeden z reporterów.

— Odezwij się do niego — szepnął Arnie.

— Tak? — powiedział Jack i zbliżył się do dziennikarza, co bardzo nie spodobało się ochroniarzom.

— Słyszał pan, co John Plumber powiedział w wieczornym wydaniu dziennika NBC?

Facet był z ABC i wiele by dał, żeby móc w czymś zaszkodzić konkurencyjnej sieci.

— Tak, słyszałem — odparł Ryan.

— Czy zechciałby pan jakoś skomentować to oświadczenie?

— To chyba jasne, że bez specjalnej radości dowiedziałem się o całej sprawie, co się jednak tyczy pana Plumbersa, muszę przyznać, że był to akt odwagi moralnej, jakiego dawno już nie wiedziałem. Myślę o tym z szacunkiem.

— A czy wie pan, kto...?

— Niechże całą sprawę zakończy pan Plumber. To jego opowieść i on ją najlepiej przedstawi. A teraz przepraszam, muszę zdążyć na samolot.

— Dziękuję, panie prezydencie! — doleciał go jeszcze z tyłu okrzyk dziennikarza.

— Bardzo dobrze. — Arnie uśmiechał się radośnie. — Mamy za sobą długi, ale dobry dzień.

— O, Boże — szepnął profesor Klein. Obraz na ekranie monitora nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Pastorał, jak z podręcznika. W jaki sposób dostał się do Chicago?

— Ebola — sapnął Quinn, a w następnej chwili dodał: — Przecież to niemożliwe.

— Jak starannie zbadano pacjentkę? — raz jeszcze spytał Klein.

— Badania mogłyby być, oczywiście, dokładniejsze, ale jestem pewien, że nie było żadnych ukłuc, ani śladów zębów. Panie profesorze, to jest Chicago. Wczoraj rano zdrapywałem szron z szyb samochodu.

Profesor Klein złożył dłonie i chciał przytknąć do nosa, ale zorientował się, że ciągle ma maskę na twarzy.

— Czy miała w torebce klucze?

— Tak, panie profesorze.

— Musimy w towarzystwie policji dostać się do jej mieszkania i rozejrzeć po nim.

Policjantom trzeba powiedzieć, że życiu tej kobiety zagraża niebezpieczeństwo. Może trzyma w domu jakieś egzotyczne zwierzęta, rośliny, sam nie wiem, co. Potrzebne nam także nazwisko jej stałego lekarza. Ściągnijcie go tutaj. Musi nam powiedzieć wszystko, co o niej wie.

— Leczenie?

— Trzeba obniżyć temperaturę, nie dopuścić do odwodnienia, podać środki przeciwbólowe, ale tak naprawdę nic na to nie pomaga. Rousseau w Paryżu próbował interferonu i jeszcze czegoś, ale bez skutku. — Raz jeszcze zerknął na monitor. — Jak ona się tego nabawiła? Jak mogła złapać to cholerstwo?

— Zawiadamiamy Centrum Chorób Zakaźnych?

— Zajmijcie się policją, a ja wyślę faks do Gusa Lorenza.

Predatory powróciły nie zauważone do Arabii Saudyjskiej. Niebezpieczeństwo ich wykrycia uznano za nazbyt wielkie, jeśli będą krążyły na przykład nad miejscem postoju dywizji ZRI, znowu więc pracę wywiadowczą przejęły satelity, których zdjęcia służyły do Narodowego Biura Rozpoznania.

— Przyjrzyj się temu — powiedział jeden z podoficerów nocnej zmiany. — Co to takiego?

Czołgi dywizji Nieśmiertelnych zgrupowały się na swego rodzaju parkingu, ustawione w regularnych rzędach, aby łatwo je było policzyć. Ukradziony czołg z pełnym zapasem naboju artyleryjskich był zbyt wielkim zagrożeniem, dlatego wszystkie państwa bardzo poważnie podchodziły do zabezpieczenia tych maszyn. Także i służbom remontowym było łatwiej, kiedy wszystkie pojazdy zostały zebrane w jednym miejscu. Jak zwykle po ćwiczeniach, czołgi i pojazdy bojowe obsiadł teraz rój obsługujących je ludzi. Przed każdym czołgiem w pierwszym rzędzie ciągnęły się po dwie czarne linie, każda szerokości około metra i długości dziesięciu.

Pierwszy z podoficerów służył dawniej w lotnictwie i lepiej znał się na samolotach niż na pojazdach, ale jego sąsiadowi wystarczyło jedno spojrzenie.

— Gąsienice.

— Co takiego?

— Wymienia się je, tak jak opony. Kiedy są zużyte, nakłada się nowe. Stare wędrują do magazynów, gdzie wymienia się gumowe nakładki, a reszta idzie na złom. Normalna sprawa.

Szybko można się było zorientować, jak przebiega wymiana. Stare gąsienice rozczepiano i łączono z ułożonymi przed nimi nowymi. Teraz czołg ruszał, a koło łańcuchowe wciągało gąsienicę na koła

jezdne. Cała operacja wymagała sporego wysiłku za strony kilkuosobowego doświadczanego zespołu, któremu w idealnych warunkach — takich jak teraz, zdaniem piechociarza — potrzeba było na to około godziny.

— Nie wiedziałem, że tak to się robi.

— Lepiej niż podnosić sukinsyna dźwigiem.

— Na ile starcza taka gąsienica?

— W takich warunkach, do jazdy po pustyni? Dwa tysiące kilometrów, może trochę mniej.

Obie kanapy w przedniej kabynie Air Force One rozkładały się do spania. Odprawiwszy współpracowników, Ryan rozebrał się i położył. Czysta pościel i zmęczenie sprawiły, że nawet nie pamiętał, że jest na pokładzie samolotu. Lot do Waszyngtonu miał potrwać cztery i pół

godziny, a potem będzie mógł przespać się jeszcze trochę we własnym łóżku. Może uda mu się nawet jutro popracować, w przeciwieństwie do biznesmenów kursujących codziennie pomiędzy wybrzeżem Pacyfiku a Atlantyku.

W dużej kabynie z tyłu dziennikarze również zaczęli układać się do snu, postanowiwszy odłożyć zdumiewające oświadczenie Plumbersa do następnego dnia. Niewiele zresztą zależało tutaj od ich decyzji; sprawa podobnego gatunku leżała w gestii co najmniej zastępcy redaktora naczelnego. Wielu dziennikarzy prasowych marzyło, że dostają do napisania wstępniak, który ukaże się w jutrzejszym numerze. Reporterzy telewizyjni kulili się na samą myśl o tym, jak owe wstępniaki wpłyną na ich obraz w oczach opinii publicznej.

Pomiędzy jednym a drugim pomieszczeniem znaleźli się najbliżsi współpracownicy prezydenta, wszyscy, albo prawie wszyscy, z szerokim uśmiechem na twarzach.

— Dziś rano po raz pierwszy widziałem go wściekłego — Arnie oznajmił Callie Weston.

— Niezły widok.

— Idę o zakład, że i ty nie byłeś letni.

Arnie pociągnął łyka. — Wiesz, chyba mamy tu całkiem niezłego prezydenta.

— Tyle że on nienawidzi tej posady.

Także i Weston nie pogardziła drinkiem. Arnie van Damm ciągnął nie zrażony.

— Piękne przemówienia, Callie. Wspaniałe jest to, jak on je wygłasza. Za każdym razem zaczyna skrępowany, a potem górę bierze w nim nauczyciel i wkłada całego siebie w słowa.

Myślę, że nawet o tym nie wie. Wtedy, jak na dłoni, ujawnia się jego uczciwość — powiedział

Arnie, a po chwili przerwy dodał: — Będzie pogrzeb poległych agentów.

— Myślę już o tym — zapewniła Weston. — Co zamierzasz zrobić z Kealtym?

— Coś wymyślę. Musimy załatwić sukinsyna raz na zawsze.

Badrajn siedział przy komputerze i wędrował po Internecie. Ciągle nic. W innym przypadku zacząłby się może denerwować, chociaż i tak nie byłoby problemu, gdyby nic się nie wydarzyło. Tyle że to, co robił, zawsze wychodziło znakomicie.

Przypadek Zerowy otworzył oczy, natychmiast przyciągając uwagę wszystkich zebranych w izolatce. Temperatura ciała spadła do 38,9°C, głównie za sprawą woreczków z lodem, którymi była teraz obłożona pacjentka niczym ryba na targu. Na jej twarzy widać było ból i wyczerpanie.

W pewien sposób przypominała chorych w zaawansowanym stadium AIDS, znanym miejscowym lekarzom aż za dobrze.

— Dzień dobry, nazywam się Klein, jestem lekarzem tego szpitala — oznajmił profesor przez maskę na ustach. — Przez chwilę niepokoił się o panią, ale teraz panujemy już nad wszystkim.

— Boli — powiedziała z trudem.

— Wiem i chcemy pani pomóc, ale najpierw musi nam pani odpowiedzieć na kilka pytań.

Da pani radę?

— Spróbuję.

— Dokąd pani ostatnio wyjeżdżała?

— O jaki wyjazd panu chodzi?

Każde słowo przychodziło jej z najwyższym trudem.

— Była pani w jakimś innym kraju?

— Nie. Poleciałam do Kansas City... dziesięć dni temu. Na jeden dzień. I to wszystko.

— Dobrze. — Chociaż wcale nie było dobrze. — Kontaktowała się pani z kimś, kto przebywał w innych krajach?

— Nie.

Spróbowała pokręcić głową, ale ta poruszyła się ledwie o centymetr.

— Przepraszam za to pytanie, ale muszę je zadać. Czy utrzymuje pani z kimś regularne stosunki seksualne?

Pytanie najwyraźniej nią wstrząsnęło.

— AIDS? — wyszeptała, najwyraźniej przekonana, że to najgorsza z rzeczy, jakie mogły się jej przytrafić.

Klein stanowczo pokręcił głową.

— Zdecydowanie nie. O to proszę się nie bać.

— Rozwiedziona — wykrztusiła pacjentka. — Od kilku miesięcy. Nie ma... w tej chwili żadnego mężczyzny w moim życiu.

— Przy pani urodzie na pewno nie potrwa to długo — Klein usiłował wprowadzić bardziej beztrudny ton. — Pracuje pani w Sears Tower?

— Sprzęt AGD, zaopatrzenie... Duży sklep... w MacCormick Center... Papierki, zamówienia, faktury...

Nic z tego nie wynikało. Klein zadał jeszcze kilka pytań, z tym samym efektem. Odwrócił się do naczelnej pielęgniarki,

— Trzeba coś zrobić z tym bólem. — Zrobił krok do tyłu, aby nie przeszkadzać siostrze, która przygotowywała się, żeby dodać morfiny do kroplówki. — To zacznie działać niemal natychmiast, po kilku sekundach.

Quinn czekał na korytarzu w towarzystwie umundurowanego oficera policji z szachownicą na otoku czapki.

— O co chodzi, panie doktorze?

— Mamy pacjentkę w bardzo poważnym stanie, najprawdopodobniej to bardzo zakaźna choroba. Muszę obejrzeć jej mieszkanie.

— To niezgodne z prawem, chyba że będziemy mieli nakaz rewizji i...

— Proszę pana, liczy się każda minuta. Mamy jej klucze i moglibyśmy wejść tam sami, ale wolałbym, żeby był pan przy tym obecny, w razie jakichś komplikacji. Lepiej też, żeby nas nie aresztowano, jeśli miała zamontowany alarm przeciwwłamaniowy. — Nie możemy zwlekać.

Jest bardzo chora.

— Dobrze. Mój wóz stoi pod szpitalem. Profesor ruszył w ślad za policjantem.

— Czy wysłał pan faks do Atlanty? — spytał Quinn.

Klein pokręcił głową.

— Najpierw chcę zobaczyć jej mieszkanie.

Postanowił nie brać płaszcza. Na zewnątrz było zimno, a niska temperatura była zabójcza dla wirusa. Rozum podpowiadał mu, że niebezpieczeństwo jest minimalne. W praktyce klinicznej nigdy dotąd nie zetknął się z wirusem ebola, wiedział jednak o nim tyle, ile powinien. Z ponurą regularnością ludzie zgłaszali się do lekarza z chorobami, których wystąpienie trudno było wyjaśnić. W większości wypadków staranne badanie pozwalało wykryć, jak doszło do zarażenia, ale nie we wszystkich. Było nawet kilka niewytłumaczalnych przypadków AIDS. Na zewnątrz Klein wzdrygnął się. Temperatura oscylowała w pobliżu zera, od jeziora Michigan ciągnął

północny wiatr. To nie on jednak spowodował dreszcze u profesora.

Price zajrzała do przedniej kabiny. Światła były zgaszone i jarzyło się tylko kilka lampek sygnalizacyjnych. Prezydent leżał na plecach i pochrapywał lekko, na tyle jednak głośno, że słyhać go było, mimo pomruku silników. Przez chwilę miała ochotę podejść na palcach i okryć go pledem, ale potem z uśmiechem na twarzy zamknęła drzwi.

— Wiesz, Jeff, może jednak istnieje coś takiego jak sprawiedliwość? — zwróciła się do Ramana.

— Chodzi ci o tę sprawę z dziennikarzami?

— Mhm.

— Ja bym na to za bardzo nie liczył.

Rozejrzeli się. Wszyscy w końcu zasnęli, nawet szef personelu. Na górnym pokładzie załoga z Sił Powietrznych troszczyła się o bezpieczeństwo lotu. Podróż niewiele się różniła od normalnego lotu rejsowego. Oboje agentów przeszło do części pasażerskiej. Trójka agentów Oddziału grała w karty; reszta czytała lub drzemała.

Na krętych schodkach pojawiła się sierżant z kartkami w ręku.

— Błyskawiczna dla Szefa — oznajmiła.

— Czy to ważne? Będziemy w Andrews za półtorej godziny.

— Właśnie wyjęłam to z faksu — powiedziała.

— Dobrze.

Price wzięła wydruk i poszła zbudzić Bena Goodleya. Do jego obowiązków należało decydowanie, o jakich wydarzeniach w świecie, i w jakiej kolejności, należy informować prezydenta. Potrząsnęła doradcę do spraw bezpieczeństwa za ramię.

— Tak?

— Budzić tym Szefa?

Goodley spojrział i potrząsnął głową.

— Może poczekać. Adler wie, co robi, a poza tym jest specjalna grupa robocza.

I bez dalszych wyjaśnień odwrócił się na bok.

— Proszę niczego nie dotykać — ostrzegł Klein policjanta. — Najlepiej, gdyby pozostał pan za drzwiami, ale jeśli chce nam pan towarzyszyć, musi pan zachować najwyższą ostrożność.

Chwileczkę. — Profesor sięgnął do plastikowej torby, którą zabrał z sobą, i wydobył z niej chirurgiczną maskę w antyseptycznym pojemniku. — Proszę to nałożyć.

— Skoro pan każe.

Klein wręczył klucze policjantowi, który otworzył drzwi. Zaraz przy wejściu znaleźli tablicę systemu alarmowego, on sam jednak nie był włączony. Obaj lekarze byli w maskach i rękawiczkach. Zapalili wszystkie światła.

— Czego szukamy? — spytał Quinn.

Klein już się rozglądał. Na ich wejście nie zareagował żaden pies ani kot. Nie było klatki na ptaki; żywił ślad nadziei, że ulubienicą pacjentki okaże się jakaś małpka, ale w głębi ducha nie bardzo w to wierzył. Ebola, jak się wydawało, nie bardzo lubiła małpy; zabijała je z taką samą gwałtownością jak ludzi. Może jakieś rośliny, pomyślał, chociażby byłby to pierwszy wypadek przenoszenia wirusa ebola przez organizmy niezwierzęce.

Zauważył trochę roślin, ale żadnych egzotycznych. Stali pośrodku pokoju i badawczo rozglądali się wokoło.

— Nic nie widzę — mruknął Quinn.

— Ani ja. Kuchnia.

Znaleźli tam jeszcze kilka roślin; dwie wyglądały na zioła hodowane w doniczkach. Klein nie potrafił ich rozpoznać i postanowił zabrać ze sobą.

— Chwileczkę.

Quinn otworzył szufladę i znalazł plastikowe torby, które starannie zapieczętowali po umieszczeniu w nich roślin. Klein zajrzał do lodówki; nic niezwykłego, podobnie jak w zamrażarce. Może jakiś egzotyczny producent żywności, ale nie... Wszystko typowo amerykańskie.

Sypialnia była po prostu sypialnią i niczym więcej. Żadnych roślin.

— Może jakieś ubrania? Skóra? — myślał na głos Quinn. — Anthrax może...

— Ale nie ebola — przerwał mu Klein. — Jest zbyt delikatna. Wiemy, o jaki wirus tu chodzi. Nie może przetrwać w tych warunkach. Po prostu nie może.

Niezbyt wiele wiedzieli o wirusie, niemniej w Centrum Chorób Zakaźnych przeprowadzano badania, których celem było ustalenie zdolności przetrwania wirusów w różnych warunkach. Dla wirusa ebola Chicago o tej porze roku było równie przyjazne jak piec hutniczy.

Floryda, zgoda, jakieś inne miejsce na Południu, ale Chicago?

— Nic tutaj nie ma — powiedział z rozczarowaniem.

— Może rośliny?

— Wie pan, jak trudno jest wwieźć do kraju jakąś roślinę?

— Nigdy nie próbowałem.

— A ja tak, zabrałem z Wenezueli kilka dzikich orchidei... — Raz jeszcze zerknął dookoła i powtórzył: — Nic tutaj nie ma.

— Czy rokowania...

— Niedobre. — Klein potarł dłońmi w rękawiczkach o nogawki. Ręce zaczynały się pocić. — Skoro nie wiemy, w jaki sposób się zaraziła... — Spojrzał na kolegę. — Trzeba wracać.

Muszę się raz jeszcze przyjrzeć temu wirusowi.

— Słucham? — powiedział Gus Lorenz i spojrział na zegarek. Która to, u diabła?

— Gus?

— Tak, kto mówi?

— Mark Klein z Chicago.

— Co się stało? — spytał Lorenz, który poczuł, że cała senność nagle gdzieś ulatuje, kiedy usłyszał odpowiedź:

— Wydaje mi się, Gus... nie, jestem pewien, że mamy tutaj przypadek ebola.

— Jak możesz być pewien?

— Widziałem wirusa, sam go wydzieliłem. To pastorał, nie ma mowy o pomyłce.

— Skąd przyjechał?

— To nie on, ale ona. Nie wyjeżdżała nigdzie poza Stany. — Kleinowi wystarczyła niecała minuta na przekazanie wszystkich istotnych wiadomości. — W tej chwili zupełnie nie wiadomo, jak to wyjaśnić.

Lorenz mógłby co prawda się upierać, że to niemożliwe, ale wspólnota medycznych specjalistów darzy się wielkim zaufaniem. Wiedział, że Mark Klein jest szanowanym profesorem jednej z najlepszych medycznych uczelni na świecie.

— Tylko jeden przypadek?

— Wszystko się zaczyna od jednego, Gus — zauważył Klein. Gus Lorenz odrzucił pościel i usiadł na łóżku.

— Dobrze. Potrzebna mi próbka.

— Kurier jest już w drodze na lotnisko O'Hare. Poleci pierwszym wolnym samolotem.

Pocztą elektroniczną mogę ci przesłać mikroografię.

— Za jakieś czterdzieści minut będę u siebie.

— Gus?

— Tak?

— Czy jest coś, jeśli chodzi o stronę kliniczną, czego mogę nie wiedzieć? Pacjentka jest w bardzo poważnym stanie — powiedział Klein w nadziei, że być może przeoczył jakieś ważne niedawne odkrycie.

— Obawiam się, że nie, Mark. Nic, o czym bym wiedział.

— Niech to cholera. Trudno, zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Daj znać, że przesyłka do ciebie dotarła. Będę u siebie w szpitalu.

Lorenz poszedł do łazienki i przemył twarz zimną wodą. Niestety, to nie był zły sen.

Nawet prasa dała spokój prezydentowi. Ryan pierwszy zszedł po schodkach, oddał honory sierżantowi Sił Powietrznych, a następnie przeszedł pięćdziesiąt metrów do helikoptera.

Wewnątrz szybko zapiął pas i zapadł w drzemkę. Piętnaście minut później zszedł z następnych

schodków, oddał honory tym razem żołnierzowi piechoty morskiej i poszedł w kierunku Białego Domu. Po upływie następnych piętnastu minut był w sypialni, która, w przeciwieństwie do poprzednich, nie poruszała się.

— Przyjemna podróż? — spytała Cathy, otwierając jedno oko.

— Długa — odpowiedział mąż i niemal natychmiast zasnął.

Pierwszy samolot wylatywał z Chicago do Atlanty o 6.15 czasu centralnego. Lorenz znalazł się w swoim gabinecie jeszcze wcześniej i siedział teraz przed komputerem, połączony z Kleinem przez Internet i jednocześnie przez telefon.

— Zaczynam przysyłać obraz — powiedział Klein.

Lorenz przyglądał się, jak od góry do dołu, linia po linii, szybciej niż przesłałby kopię faks, buduje się szczegółowy obraz.

— Powiedz mi, że się mylę, Gus — usłyszał Lorenz głos Kleina, w którym nie było jednak ani cienia nadziei.

— Myślę, że sam wiesz najlepiej, Mark. — Zamilkł na chwilę, wpatrując się w gotowy obraz. — To nasz znajomy.

— Gdzie pojawił się ostatnio?

— Mieliśmy kilka przypadków w Zairze i dwa w Sudanie. Tyle mi przynajmniej wiadomo. Ta twoja pacjentka, czy była...?

— Nie. Jak dotąd nie udało mi się zidentyfikować żadnych czynników ryzyka. Jeśli zważyć na okres inkubacji, jest niemal pewne, że musiała się zarazić tutaj, w Chicago. A to przecież niemożliwe, prawda?

— Seks?

— Pytałem o to. Twierdzi, że ostatnio nie utrzymywała żadnych kontaktów. Czy zanotowano gdzieś inne przypadki?

— Nie, nigdzie. Mark, czy jesteś pewien tego wszystkiego, co mi powiedziałeś?

Jakkolwiek obraźliwie mogło zabrzmieć to pytanie, musiało zostać postawione.

— Chciałbym się mylić. Przesłałem ci trzecią z uzyskanych przeze mnie mikrografii.

Chciałem dobrze wyizolować wirusa. W jej krwi roi się od nich. Gus, poczekaj chwilę. —

Słysząc było odgłos stłumionej rozmowy. — Ocknęła się znowu. Mówi, że mniej więcej tydzień temu usuwała ząb. Mamy nazwisko dentysty; sprawdzimy także i to. Nic więcej nie mamy.

— Dobrze. Będę czekał na próbki. To tylko jeden przypadek. Nie należy wpadać w panikę.

Raman dotarł do domu tuż przed świtem. Co za szczęście, że o tej porze ulice były niemal puste. Po przybyciu do domu, wykonał rutynowe czynności. Na sekretarce znowu nagrał się ktoś, kto połączył się omyłkowo. Owym kimś był pan Alahad.

Ból był tak ostry, że wyrwał go ze snu. Dwadzieścia kroków, które musiał zrobić z sypialni do łazienki, wydały mu się podobne do maratonu. Udało mu się jednak doczłapać.

Poczuł straszliwe skurcze żołądka, co było zdumiewające, jeśli zważyć na to, jak niewiele jadł w ciągu ostatnich kilku dni, na przekór usiłowaniom żony, która próbowała wmusić w niego przynajmniej talerz rosółu i grzankę. W pośpiechu ściągnął spodnie i przycupnął na muszli, ale jednocześnie szarpnęły nim wymioty; zgięty w pół zwymiotował na posadzkę. Przez chwilę czuł wstyd, ale potem zobaczył, co znalazło się u jego stóp.

— Kochanie! — zawołał z najwyższym wysiłkiem. — Na pomoc!

Krwotok

Sześć godzin snu, czy nawet odrobinę mniej, to lepiej niż nic. Tego ranka Cathy wstała pierwsza, a dwie minuty później prezydent zjawił się w jadalni, zwabiony zapachem kawy.

— Gdy człowiek jest taki zmarnowany, powinien przynajmniej mieć kaca, żeby było na co zwalić winę — poskarżył się.

Poranne gazety leżały tam, gdzie zwykle. Na pierwszej stronie „Washington Post”

zaznaczony był artykuł podpisany przez Boba Holtzmana i Johna Plumbara. O, rzeczywiście coś dobrego na początek dnia.

— To naprawdę obrzydliwe — oznajmiła Sally Ryan, która zdążyła już obejrzeć w porannych wiadomościach informację o całej sprawie. — Prawdziwe szmaty.

Powiedziałyby „kutasy” — ten termin cieszył się ostatnio wzięciem pośród młodych dam z St. Mary’s School — ale ojciec nie nawykł jeszcze do faktu, że Sally używa już dorosłego języka.

— Mhm — mruknął Ryan.

Artykuł zawierał o wiele więcej szczegółów, niż mogło się zmieścić w kilkuminutowej wypowiedzi telewizyjnej, jednoznacznie też wskazywał na Eda Kealty’ego, który w sposób niezgodny z prawem wykorzystał jednego z pracowników CIA jako źródło przecieku. Informacja ta, wyjaśniał artykuł, nie była do końca prawdziwa, a co gorsza, stanowiła rozmyślny atak polityczny na prezydenta, w którym prasa odegrała rolę poszczutych ogarów. Jack skrzywił się pogardliwie; też mi rewelacja. „Post” kładł przede wszystkim nacisk na instrumentalne wykorzystanie prasy do niecznych celów, podkreślał, że skrucha wyrażona przez Plumbara była jak najbardziej szczerą, a także stwierdzał, że kierownicy redakcji informacyjnej NBC

powstrzymali się od komentarzy, zajęci swoim własnym dochodzeniem. Artykuł oznajmiał

również, że „Post” jest w posiadaniu nieuszkodzonych taśm. Także „Washington Times” był

rozsierdzony, chociaż nie w ten sam sposób. Należy spodziewać się bratobójczej walki między waszyngtońskimi środowiskami dziennikarskimi, czemu, jak zauważał wstępniak „Timesa”, politycy będą przyglądać się z wyraźnym rozbawieniem.

Dobrze, pomyślał Ryan, przynajmniej przez chwilę będę miał spokój.

Następnie otworzył szarą teczkę, zabezpieczoną taśmą, która wskazywała na utajnienie wiadomości. Dokument nie był najświeższy.

— Sukinsyny! — szepnął.

— Wreszcie pismaki dokopali sobie nawzajem — zauważyła Cathy znad gazety.

— Miałem na myśli Chińczyków — mruknął Miecznik.

Nie była to jeszcze epidemia, gdyż nikt o niej nie wiedział. Około dwudziestu lekarzy w całym kraju zostało zbudzonych przez telefony, których autorzy okazywali podniecenie, jeśli nie panikę. W każdym przypadku mowa była o krwawych wymiotach i bieguncie. Istniało wiele medycznych powodów, które pozwalały wyjaśnić te symptomy, na przykład perforowane wrzody; wśród dzwoniących liczną grupę stanowili ludzie interesu, dla których stres, główna przyczyna wrzodów na żołądku, był czymś równie normalnym jak krawat i biała koszula.

Niektórym poradzono, aby zgłosili się na ostry dyżur do najbliższego szpitala, gdzie przebadają ich lekarze; innym polecono zjawić się w gabinecie pomiędzy ósmą a dziewiątą, gdyż w ten sposób nie zakłóca ustalonego już porządku wizyt.

Gus Lorenz nie chciał samotnie zmagać się ze swym problemem i wezwał do pracowni komputerowej najbliższych współpracowników. Kiedy weszli, natychmiast zauważyli zapaloną fajkę, jedna z epidemiologów chciała zaprotestować, albowiem było to niezgodne z federalnymi ustawami, ale powstrzymała ją od tego zerknięcie na ekran monitora.

— Skąd to? — zapytała.

— Z Chicago.

— Z naszego Chicago?

Pierre Alexandre znalazł się w swoim gabinecie na jedenastym piętrze Ross Building tuż przed ósmą. Codzienne zajęcia rozpoczynał od sprawdzenia faksu, którym lekarze przesyłali mu informacje o pacjentach chorych na AIDS. Dzięki temu mógł obserwować znaczną liczbę przypadków, zarówno doradzając, jeśli chodzi o terapię, jak i wzbogacając swoją własną wiedzę.

Tego ranka znalazł tylko jeden faks, który zawierał dość dobre informacje. Merck opracował

właśnie nowy specyfik, który Federalny Urząd Leków poddawał intensywnym próbom klinicznym; ponadto znajomy z Uniwersytetu Penn State informował o ciekawych rezultatach laboratoryjnego podawania leku.

Właśnie wtedy zadzwonił telefon.

— Alexandre.

— Izba przyjęć, panie profesorze. Czy mógłby pan zejść na dół? Mam tutaj pacjenta, mężczyzna rasy białej, trzydzieści siedem lat, wysoka gorączka, wewnętrzny krwotok. Nie mam pojęcia, co to może być... To znaczy wiem, jakie są objawy...

— Będę za pięć minut.

— Dziękuję, panie profesorze — usłyszał w odpowiedzi.

Internista, wirusolog i biolog molekularny w jednej osobie nałożył wykrochmalony fartuch, starannie go zapisał i udał się do izby przyjęć, która na rozległym kampusie Hopkinsa znajdowała się w oddzielnym budynku. Nawet w wojsku zawsze nosił się w ten sam sposób.

Nazywał to Lekarskim Wyglądem. Stetoskop w prawej kieszeni, plakietka z nazwiskiem na lewej. Spokojny i pewny siebie wyraz twarzy. Wszedł do pomieszczenia; w nocy zawsze panował tu duży ruch. Czekala na niego stażystka, śliczna jak cukiereczek. W masce na twarzy, dziwne. Co się mogło stać w ten wiosenny poranek?

— Dzień dobry — powiedział swym najbardziej czarującym kreolskim akcentem. — O

co chodzi?

Podala mu kartę i natychmiast zaczęła mówić.

— Przywiozła go żona. Wysoka gorączka, kłopoty z utrzymaniem równowagi, niskie ciśnienie, krwawe wymioty i krew w stolcu. Na twarzy są też jakieś wybroczyny... — Urwała. —

Nie bardzo wiem, jak to nazwać.

— Dobrze, przyjrzyjmy się pacjentowi.

Zapowiada się na dobrą lekarkę, pomyślał z przyjemnością Alexandre. Wiedziała, czego nie wie, i wtedy prosiła o pomoc... Ale dlaczego nie kogoś z internistów? — pomyślał były pułkownik i raz jeszcze spojrzał na młodą twarz. Nałożył maskę oraz rękawice i wszedł za zasłonę.

— Dzień dobry, nazywam się Alexandre, pracuję w tym szpitalu. Wzrok mężczyzny był

nieobecny, ale plamy na jego twarzy sprawiły, że Alexandre'owi odebrało oddech. Z przeszłości odległej o dziesięć lat nadpłynęła twarz George'a Westphala.

— Jak pacjent znalazł się u nas?

— Lekarz rodzinny poradził żonie, aby go tutaj przywiozła.

— Czym się zajmuje? Fotoreporter? Dyplomata? Dużo podróżuje?

Stażystka pokręciła głową.

— Sprzedaje pojazdy turystyczne i przyczepy kempingowe. Ma salon przy Pułaski Highway.

Alexandre rozejrzał się. Oprócz stażystki, dwóch studentów medycyny i dwie pielęgniarki, wszyscy w maskach i rękawicach. Dobrze. Spostrzegawcza i rozsądna, pomyślał; teraz już wiedział, czego się

lękała.

— Krew?

— Już pobrana, panie profesorze. Robiona jest powtórna analiza; kazałam przesłać próbki do pańskiego laboratorium.

Skinął głową.

— Słusznie. Przyjmujemy natychmiast na mój oddział. Potrzebny pojemnik na naczynia z krwią. Ostrożnie ze wszystkim, co miało styczność z ciałem pacjenta.

Jedna z sióstr zniknęła, aby wypełnić polecenia.

— Profesorze, to wygląda jak... Wiem, że to niemożliwe, ale...

— To niemożliwe — zgodził się — ale niewątpliwie wygląda na *petechiae*, zupełnie jak w podręczniku. I na razie tak będziemy to traktować. — Zjawiała się pielęgniarka z pojemnikiem, w którym Alexandre umieścił próbki krwi. — Jak tylko pacjent zostanie przewieziony na piętro, wszyscy mają zmienić ubrania i dokładnie się odkazić. Przy zachowaniu odpowiedniej ostrożności, niebezpieczeństwo nie jest wielkie. Czy jest tutaj jego żona?

— Tak, w poczekalni.

— Proszę skierować ją do mojego gabinetu. Chcę się od niej dowiedzieć czegoś więcej.

Jakieś pytania? — Rozejrzał się po twarzach. — To do roboty.

Profesor Alexandre dokładnie sprawdził, czy pojemnik jest hermetycznie zamknięty i dopiero potem umieścił go w kieszeni swojego fartucha. Gdy wracał do siebie, nic już nie zostało z dostojnego Lekarskiego Wyglądu. Spoglądając na drzwi windy, powtarzał sobie, że to niemożliwe. Może coś innego. Ale co? Niektóre z objawów białaczki były podobne, a chociaż była to również straszliwa diagnoza, wolałby jednak ją. Winda stanęła i drzwi się rozsunęły, po chwili był w swoim laboratorium.

— Dzień dobry, Janet.

— Dzień dobry, Alex — odpowiedziała Janet Clemenger, doktor biologii molekularnej.

Profesor wyjął z kieszeni plastikowe opakowanie.

— Trzeba to zrobić jak najszybciej. Natychmiast.

— Co to takiego? — spytała.

Nieczęsto zdarzało się, aby kazano jej rzucać wszystkie zajęcia, szczególnie na początku dnia.

— Wygląda na gorączkę krwotoczną. Potraktuj to jako szczebel... czwarty.

Oczy Janet nieco się rozszerzyły.

— Tutaj?

Pytanie to powtarzali lekarze jak Ameryka długa i szeroka.

— Zaraz dostarczą tu pacjenta. Muszę porozmawiać z jego żoną. Położyła pojemnik na blacie stołu laboratoryjnego.

— Zwykle testy na przeciwciała?

— Tak. I, Janet, proszę, ostrożnie.

— Możesz być pewny — powiedziała.

Podobnie jak Alexandre, wiele miała do czynienia z AIDS. Alexandre przeszedł do swego gabinetu i zadzwonił do Dave'a Jamesa.

— Jesteś pewien? — spytał dziekan.

— Dave, nie mamy jeszcze żadnych badań, tylko oględziny, ale ja już to widziałem.

Zupełnie jak u George'a Westphala. Janet Clemenger robi teraz testy. Myślę, że zanim się nie upewnimy, że to coś innego, musimy ten przypadek traktować jak najpoważniej. Jeśli badania laboratoryjne potwierdzą moje przypuszczenia, dzwonię do Gusa, żeby ogłosił stan zagrożenia epidemiologicznego.

— Ralph pojutrze wraca z Londynu. Na razie twój oddział się tym zajmuje, Alex.

Informuj mnie o wszystkim.

— Tak jest — powiedział eks-żołnierz. Teraz trzeba porozmawiać z żoną pacjenta.

W izbie przyjęć sprzątacze szorowali podłogę pod nadzorem siostry przełożonej. Z

zewnątrz doleciał potężny warkot helikoptera Sikorsky. Pierwsza Dama przybywała do pracy.

Na lotnisku kurier przekazał swą przesyłkę jednemu z laborantów Lorenza. Teraz wszystko potoczyło się bardzo szybko. Testy na przeciwciała czekały już gotowe; przy zachowaniu najwyższej ostrożności, kropla krwi została przetoczona do małej rurki szklanej.

Płyn w niej zawarty natychmiast zmienił kolor.

— To ebola, panie profesorze — poinformował laborant. W sąsiednim pokoju kroplę umieszczono

pod elektronowym mikroskopem, wyświetlającym obraz na dużym monitorze.

Lorenz wszedł, czując się dziwnie zmęczony, jak na tak wczesną porę. Aparatura była włączona, trzeba było tylko wszystko wyregulować.

— Patrz teraz, Gus — mruknął szef laboratorium. Na ekranie ukazał się bardzo wyraźny obraz; w kropli krwi poruszały się cieniutkie wstążki. Niedługo zawładną nią bez reszty.

— Skąd to jest?

— Z Chicago — odparł Lorenz.

— Witamy w Nowym Świecie, skurwysynu — mruknął lekarz, tak operując wizją, oby otrzymać powiększenie jednej wstążki.

Teraz trzeba się było przyjrzeć, czy uda się ustalić odmianę wirusa. Co musiało zabrać trochę czasu.

— A zatem nie wyjeżdżał z kraju? — Alexandre przebiegał listę rutynowych pytań.

— Nie — zapewniła. — Z domu wyjeżdżał w ciągu ostatniego miesiąca tylko na wielkie pokazy sprzętu turystycznego. Żadnego nie opuścił.

— Proszę pani, zadam teraz pytania, które mogą niekiedy być kłopotliwe czy nieprzyjemne. Proszę mi uwierzyć, to wszystko dla dobra pani męża. — Kobieta skinęła głową; Alexandre potrafił być bardzo przekonujący. — Czy ma pani jakiś powód podejrzewać, że pani mąż spotykał się z inną kobietą?

— Nie.

— Przepraszam, musiałem o to spytać. Czy macie państwo może w domu egzotyczne zwierzęta?

— Tylko dwa psy myśliwskie — odpowiedziała za zdumieniem.

— Może małpy? Jakies inne zwierzęta zza oceanu?

— Nie.

Wszystko na nic, pomyślał Alexandre, któremu żadne kolejne pytanie nie przychodziło do głowy. Przecież pacjent musiał gdzieś podróżować.

— Czy może ktoś z państwa rodziny albo przyjaciół często wyjeżdża za granicę?

— Nie... Czy mogę zobaczyć się z mężem?

— Tak, ale najpierw musimy go umieścić w izolatce i przeprowadzić konieczne zabiegi.

— On codziennie biega, nie pali, pije niewiele, zawsze byliśmy ostrożni, więc...

Kobieta przestawała panować nad sobą.

— Nie będę kłamał. Dużo wskazuje na to, że pani mąż jest bardzo poważnie chory, ale lekarz skierował was do najlepszego szpitala na świecie. Zaczynałem tutaj, a potem ponad dwadzieścia lat spędziłem w Armii, zajmując się najróżniejszymi chorobami zakaźnymi. Jest to zatem odpowiednie miejsce, a ja jestem odpowiednim lekarzem. — Musiał wygłosić te słowa, właściwie puste, albowiem jednej rzeczy przenigdy nie wolno mu było zrobić: odebrać komuś nadziei. Zadzwoił telefon.

— Słucham, Alexandre.

— Alex, tu Jane. Test jest pozytywny, to ebola. Zbadałam dwa razy. Przygotowałam już próbkę dla CCZ, zdjęcia mikroskopowe będą gotowe za piętnaście minut.

— Dobrze. Zaraz tam będę. — Odłożył słuchawkę i zwrócił się do kobiety. —

Odprawdę panią teraz do poczekalni i oddam pod opiekę pielęgniarek, które także należą do najlepszych.

Wszystko było bardzo niewesołe, chociaż już sam oddział chorób zakaźnych nie należał do radosnych miejsc. Próbując dodać jej nadziei, być może posunął się o krok za daleko.

Wpatrywała się teraz w niego jak w Pana Boga, który jednak w tej chwili nie potrafił udzielić żadnych konkretnych odpowiedzi, a na dodatek musiał ją jeszcze uprzedzić, że pielęgniarki muszą pobrać krew i od niej.

— Jak to wygląda, Scott? — spytał Ryan poprzez trzynaście stref czasowych.

— Próbują nas przycisnąć. Jack?

— No?

— Dwa razy widziałem tego faceta, Żenga. Mówi niewiele, ale jest znacznie ważniejszą figurą niż przypuszczaliśmy. Odnoszę wrażenie, że kieruje ich ministrem spraw zagranicznych.

To ostry gracz. Powiedz Foleyom, żeby mu się przyjrżeli.

— Czy Tajpej zgodzi się na rekompensatę?

— A ty byś się zgodził?

— Ja bym im powiedział, gdzie mogą mnie pocałować, ale w dyplomacji nie powinno się tracić zimnej krwi, prawda?

— Przekażę Tajwańczykom żądanie rekompensaty, wysłuchają mnie, a potem spytają, jakie w tym wszystkim stanowisko zajmują Stany Zjednoczone. Co mam im odpowiedzieć?

— Obstawiamy za przywróceniem pokoju i stabilności.

— Ale te mogą nie przetrwać godziny czy dwóch. Co potem? — nastawał sekretarz stanu.

— Lepiej ode mnie znasz ten region. O co toczy się gra, Scott?

— Nie wiem. Wydawało mi się, że wiem, ale się myliłem. Najpierw miałem nadzieję, że to może rzeczywiście wypadek. Potem sądziłem, że może chcą trochę nastraszyć Tajwan.

Tymczasem wcale nie o to chodzi. Naciskają zbyt mocno i nie w tym kierunku. Jest jeszcze trzecia możliwość: chcą wypróbować ciebie. Ale w takim przypadku zagrywają bardzo ostro, za ostro. Nie znają cię jeszcze dobrze, więc stawka zdecydowanie za wysoka, jak na próbny balon.

Nie wiem, jakie są ich prawdziwe intencje, a bez tego nie potrafię radzić, jak powinniśmy się zachować.

— Wiemy, że stanęli po stronie Japonii; Żeng osobiście popierał tego sukinsyna Yamatę i...

— Ale wiedzą też, że my o tym wiemy, i to powinno powstrzymać ich od drażnienia nas. Na stole pojawiło się strasznie dużo żetonów, Jack — oznajmił z troską w głosie Adler. — A ja nie bardzo rozumiem, dlaczego.

— Powiedzieć Tajwańczykom, że jesteśmy z nimi?

— Jeśli tak zrobisz, a rzecz się rozejdzie i dotrze do Pekinu, wtedy mamy, zaraz... około sto tysięcy naszych obywateli jako zakładników. Nie chciałbym się tu wdawać w liczenie strat ekonomicznych, ale to wielka stawka...

— Z kolei jeśli nie poprzemy Tajwańczyków, a ci poczują się osamotnieni...

— Tak, ale to samo dotyczy drugiej strony. Myślę, że najlepiej zobaczyć, jak się rzeczy potoczą. Przekażę żądanie do Tajpej wraz z sugestią, aby oświadczyli, że wstrzymują się od zajęcia jakiegokolwiek stanowiska do czasu, gdy jednoznacznie zostanie wyjaśniona sprawa *Airbusa*. My zażądamy tego na forum ONZ. Przedstawiciel USA postawi tę sprawę przed Radą Bezpieczeństwa. To zabierze trochę czasu, a prędzej czy później tej ich cholernej flocie zabraknie wreszcie paliwa. Nasza grupa lotniskowcowa jest już niedaleko, tak że nie może się wydarzyć nic naprawdę poważnego.

Ryan zmarszczył brwi.

— Niezbyt mi się podoba, ale zrób tak, jak mówisz. Tak czy owak, zabierze to dzień lub dwa. Instynkt mi mówi, żeby poprzeć Tajwan i pokazać figę ChRL.

— Sam dobrze wiesz, że świat nie jest taki prosty — westchnął Adler.

— To nieprawda. Tak czy siak, do dzieła, Scott, i informuj mnie na bieżąco.

— Tak jest, sir.

Alex spojrział na zegarek. Obok mikroskopu leżał notes, w którym Janet Clemenger pod 10.16 zapisała w jaki sposób ona i profesor stwierdzili obecność wirusa ebola. Po drugiej stronie analizowano krew pobraną od żony pacjenta numer 1. Także tutaj stwierdzono obecność przeciwciał — kobieta była zarażona wirusem ebola, chociaż jeszcze o tym nie wiedziała.

— Mają dzieci? — spytała Janet, kiedy usłyszała wyniki.

— Tak, oboje w szkole.

— Alex, może ty wiesz coś, o czym ja nie wiem... Mam nadzieje, że mają wykupione ubezpieczenie.

Clemenger nie miała dyplomu z medycyny, ale w takich chwilach jak ta, mało się tym przejmowała.

— Co jeszcze możesz powiedzieć?

— Muszę bardziej rozpracować mapę genów, ale spójrz tylko... — Wskazała miejsce na monitorze.

— Widzisz, jak grupują się pętle białkowe i tutaj ich układ?

Janet była największą w laboratorium specjalistką od kształtowania się wirusów.

— Mayinga?

Boże, to samo złapał George... I podobnie jak teraz, nikt nie wiedział, w jaki sposób...

— Za wcześnie na pewno. Sam wiesz, ile muszę sprawdzić, ale...

— Wszystko się zgadza. Czynniki ryzyka nieznane w jego przypadku, może także i u niej. Janet, jeśli to się przenosi przez układ oddechowy...

— Wiem, Alex. Ty zadzwonisz do Atlanty, czy ja mam to zrobić?

— Ja.

— To ja zacznę rozdzierać tego sukinsyna na kawałeczki.

Droga z laboratorium do gabinetu wydawała się przeraźliwie długa. Sekretarka siedziała już za biurkiem i natychmiast spostrzegła, w jakim nastroju jest jej szef.

— Profesor Lorenz ma teraz ważne spotkanie — poinformowała sekretarka. Normalny sposób na odpędzenie natrętów. Ale nie tym razem.

— To proszę mu przerwać i poinformować, że w ważnej sprawie dzwoni Pierre Alexandre z Johna

Hopkinsa.

— Rozumiem, panie profesorze, proszę zaczekać. Sekretarka nacisnęła jeden guzik, a potem drugi, który uruchomił aparat w sali konferencyjnej.

— Profesorze Lorenz, pilny telefon.

— Od kogo, Marjorie?

— Na trzeciej linii jest profesor Alexandre; mówi, że to ważne.

— Dziękuję. — Gus pstryknął w przycisk. — Słucham, Alex, ale szybko, mamy tutaj poważny problem — powiedział Lorenz głosem dziwnie na niego niecierpliwym.

— Wiem, w Ameryce pojawiła się ebola.

— Rozmawiałeś z Markiem?

— Jakim Markiem? — spytał Alexandre.

— Zaraz, Alex, chwileczkę. Z czym do mnie dzwonisz?

— Mam u siebie na oddziale dwoje pacjentów z ebola.

— W Baltimore?

— Tak i... Czy to znaczy, że są jeszcze jakieś przypadki?

— Tak, Mark Klein w Chicago ma pacjentkę z ebola. Zrobiłem już mikroografię próbek krwi.

W dwóch odległych od siebie miastach dwóch światowej klasy ekspertów robiło to samo.

Jedna para oczu spoglądała na ścianę małego gabinetu, druga patrzyła w sali konferencyjnej na dziesiątkę lekarzy i naukowców. Obie twarze wyrażały to samo.

— Czy któreś z nich było ostatnio w Chicago lub w Kansas City?

— Nie — odparł eks-pułkownik. — O której pacjent zjawił się u Kleina?

— Wczoraj wieczorem, koło dziesiątej. A u ciebie?

— Dzisiaj rano przed ósmą. Mąż ma wszystkie objawy, żona jeszcze nie, ale badanie krwi dało wynik pozytywny. Gus... to straszne.

— Zaraz potem muszę zadzwonić do Detrick.

— Koniecznie. I pilnuj faksu, Gus — doradził Alexandre. — Cholera, wiele bym dał, żeby wszystko okazało się jakąś cholerną pomyłką.

Ale nie była to pomyłka i obaj o tym wiedzieli.

— Zadzwoń do ciebie, kiedy się czegoś dowiem.

— Dobrze.

Alex zamyślił się ze słuchawką w ręku. Także i on musiał zatelefonować.

— Dave, tu Alex.

— Tak?

Po drugiej stronie był dziekan wydziału medycyny Hopkinsa.

— Wyniki pozytywne i u męża i u żony, chociaż u niej nie ma jeszcze objawów. U męża podręcznikowe symptomy.

— Co się dzieje, Alex?

— Zadzwoń do Gusa, mieli właśnie zebranie w związku z przypadkiem ebola w Chicago. Dowiedziałem się, że przed północą stwierdził go Mark Klein. Żadnych powiązań pomiędzy pacjentem z Chicago a naszymi. Więc... zdaje się, że mamy do czynienia z potencjalną epidemią. Musimy uprzedzić służby sanitarne i władze. Może przedostała się jakaś zatruta substancja.

— Epidemia? Ale...

— Muszę tam zadzwonić, Dave. CCZ rozmawia już z Armią. Dokładnie wiem, co powiedzą w Detrick. Sześć miesięcy temu ja odbierałbym taki telefon.

Zadzwoił inny aparat; sekretarka podniosła słuchawkę, a w chwilę później pojawiła się w drzwiach.

— Panie profesorze, izba przyjęć, wzywają pana natychmiast.

Alex przekazał wiadomość dziekanowi.

— Tam się spotkamy. Zaraz idę — powiedział Dave James.

— Następny telefon nagrany na sekretarce będzie oznaczał, że możesz przystąpić do wypełnienia swojej misji — oznajmił Alahad. — Do ciebie będzie należał wybór momentu. —

Nie dodał, żeby byłoby lepiej dla niego, gdyby Raman skasował wszystkie zapisy w sekretarce.

Osobę zamierzającą się poświęcić, taka uwaga mogłaby zirytować. — Nie spotkamy się już na tym

świecie.

— Muszę wracać do pracy — powiedział Raman z wahaniem. Rozkaz został więc ostatecznie wydany. Dwaj mężczyźni objęli się, a potem młodszy się oddalił.

— Cathy?

Caroline Ryan podniosła głowę i zobaczyła zagląającego przez drzwi Bernie'ego Katza.

— Tak, Bernie?

— Dave zwołał na drugą zebranie rady wydziału. Wyjeżdżam do Nowego Jorku na tę konferencję na Columbi, a Hal po południu operuje. Zastąpisz mnie?

— Oczywiście.

— Dziękuję.

Powróciła do studiowania kart chorobowych.

Dziekan polecił sekretarce zwołać zebranie, zmierzając do drzwi wyjściowych. Teraz znajdował się w izbie przyjęć. W masce nie różnił się od innych lekarzy.

Pacjent nie miał żadnych kontaktów z przyjętym wcześniej małżeństwem. Z odległości trzech metrów patrzyli jak w rogu pomieszczenia wymiotuje do plastikowego pojemnika.

Wyraźnie rozpoznawalna była krew.

Chorego przyjmowała ta sama co przedtem stażystka.

— Żadnych godnych uwagi podróży. Bywał czasami w Nowym Jorku i tyle; teatr, salon samochodowy, zwiedzanie. Co z pierwszym?

— Pozytywny test na obecność ebola. Oczy rozszerzyły się jej jak u sowy.

— Tutaj?

— Tutaj. Proszę się tak nie dziwić; przecież nie bez powodu wezwała mnie pani, prawda?

Spojrzał na dziekana i uniósł pytająco brwi.

— O drugiej rada wydziału w moim gabinecie. Nie da się wcześniej, Alex. Jedna trzecia teraz operuje albo ma obchody.

— Czy ten przypadek także do Ross? — spytała stażystka.

— Tak, natychmiast.

Alexandre pociągnął dziekana za rękaw i wyprowadził na korytarz. Tutaj zapalił

papierosa, ku zdumieniu strażników, do których obowiązków należało prześladowanie palaczy.

— Co tu się, u diabła, wyrabia?

— Trzeba wyciągnąć wnioski z tych przypadków. — Alexandre zaciągnął się kilka razy.

— Mogę ci powiedzieć, jaka z pewnością będzie reakcja w Detrick.

— Jaka?

— Dave, dwa niezależne Przypadki Zerowe, odległe o tysiąc pięćset kilometrów i w odstępie ośmiu godzin. Żadnego pokrewieństwa, żadnych związków. Zastanów się.

Pierre Alexandre znowu zaciągnął się papierosem.

— Zbyt skąpe dane — bronił się James.

— Wszystko bym dał za to, żeby się mylić. Ostro się do tego wezmą w Atlancie. Mają tam dobrych ludzi, co ja mówię, najlepszych. Ale oni mają inny punkt widzenia niż ja.

Dostatecznie długo nosiłem mundur. No cóż — kolejny dymek — zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Żadne miejsce w Afryce nie może się równać z nami. Ani z Chicago. Ani z żadnym innym szpitalem, z którego do nas zadzwonią.

— Inne szpitale?

James był znakomitym lekarzem, ale ciągle nie potrafił zdobyć się na wyciągnięcie logicznego wniosku.

— Autorem pierwszej próby wojny biologicznej był Aleksander Wielki. Za pomocą katapult przetrzucił ciała ofiar zarazy przez mury obleżonego miasta. Nie wiem, czy to poskutkowało, w każdym razie zdobył miasto, wymordował mieszkańców i poszedł dalej.

Teraz dziekan wreszcie rozumiał. Doktor James zrobił się równie blady, jak pacjent wymiotujący za drzwiami.

— Jeff?

Raman znajdował się w lokalnym ośrodku dowodzenia i przeglądał rozkład zajęć prezydenta. Miał zadanie do wykonania i nadszedł czas przygotowań. Obok stanęła Andrea.

— W piątek mamy być w Pittsburghu. Pojedziesz tam z grupą przygotowawczą? Pojawiły się jakieś problemy z hotelem.

— Jasne. Kiedy?

— Samolot masz za półtorej godziny. — Andrea podała bilet. -Wrócisz jutro wieczorem.

Byłoby nieźle, myślał Raman, gdybym wyszedł z tego z życiem. Co stawało się możliwe, jeśli to on będzie organizować ochronę jednego z występów prezydenta. Nie miał nic przeciw męczeńskiej śmierci, ale nie zamierzał też rezygnować z możliwości przetrwania.

— W porządku — odparł zamachowiec. Nie musiał się trapić o pakowanie. Każdy agent Tajnej Służby miał gotową torbę w samochodzie.

Potrzeba było przelotu trzech satelitów, żeby Narodowe Biuro Rozpoznania zdecydowało się ocenić sytuację. Wszystkich sześć pancernych dywizji ZRI, które uczestniczyły w manewrach, poddanych teraz było generalnemu przeglądowi. Ktoś mógłby utrzymywać, że nic w tym dziwnego. Po intensywnych ćwiczeniach, w każdej jednostce odbywał się przegląd, ale sześć dywizji, tworzące trzy pancerne korpusy — to trochę za dużo. Informacje natychmiast przekazano rządowi saudyjskiemu i kuwejckiemu, jednocześnie Pentagon skontaktował się z Białym Domem.

— Słucham — zgłosił się Ryan.

— Zespół od SOW nie ma jeszcze gotowej oceny sił zbrojnych ZRI, ale dotarły do nas...

hm, niepokojące wiadomości. Może lepiej, żeby przekazał je admirał Jackson.

Prezydent wysłuchał informacji, której sens wydał mu się jasny, aczkolwiek wolałby mieć na biurku Specjalną Ocenę Wywiadu, żeby lepiej wyczuć polityczne intencje ZRI.

— Sugestie?

— Myślę, że może dobrze byłoby ruszyć nasze okręty transportowe z Diego Garcia.

Trochę ćwiczeń im nie zaszkodzi. Bez specjalnego zamieszania zawsze możemy je wysłać w morze, żeby w razie czego w ciągu 48 godzin mogły dotrzeć do Arabii Saudyjskiej.

Proponowałbym też postawić w stan gotowości 18. Korpus Powietrznodesantowy, czyli dywizje: Osiemdziesiątą Drugą, Sto Pierwszą i Dwudziestą Czwartą Zmechanizowaną.

— Czy to wzbudzi jakieś niepokoje? — spytał Jack.

— Nie, sir. To rutynowe alarmy gotowości, które przeprowadzamy od czasu do czasu.

— Dobrze. Ale bez rozgłosu.

— Może przydałoby się urządzić jakieś wspólne manewry z zaprzyjaźnionymi armiami tego regionu?

— Pomyślę nad tym. Coś jeszcze?

— Nie, panie prezydencie — odparł Bretano. — Będziemy informować o wszystkich zmianach.

Do południa CCZ w Atlancie zarejestrowało trzydzieści informacji z dziesięciu stanów.

Wszystkie zostały przekazane do Fort Detrick w Marylandzie, gdzie mieścił się Medyczny Instytut Chorób Zakaźnych Armii USA — MICZUSA — wojskowy odpowiednik Centrum Chorób Zakaźnych w Atlancie. Wiadomości były wprawdzie niepokojące, ale nie na tyle, aby wymuszać gwałtowne posunięcia. Roboczą naradę zwołano na popołudnie, do tego zaś czasu oficerowie i cywile mieli uporządkować dane. Wielu wyższych oficerów ze szpitala Marynarki im. Waltera Reeda ruszyło służbowymi autami na międzystanową autostradę I-70.

— Profesor Ryan?

— Tak?

Cathy podniosła wzrok.

— Zebranie rady wydziału zostało przyspieszone — oznajmiła sekretarka. — Proszę, żeby zjawiała się pani jak najszybciej.

— Dobrze, już idę.

W drzwiach stał już Robert Altman.

— Zmiana rozkładu zajęć? — spytał agent odpowiadający za jej ochronę.

— Coś się dzieje, ale nie wiem, co.

— Gdzie jest gabinet dziekana? — Nigdy tam nie był. Zebrania, w których dotąd uczestniczyła, odbywały się w Maumanee.

— Tam. — Pokazała ręką. — Po drugiej stronie Monument Street, w budynku administracyjnym.

— Chirurg idzie na północną stronę Monument. — Jak spod ziemi natychmiast pojawili się agenci, co w innych warunkach mogłoby się nawet wydać zabawne. — Jeśli pani pozwoli, wejdę z panią do gabinetu dziekana; postaram się nie rzucać w oczy — zapewnił Altman.

Cathy skinęła głową; nie było sensu się spierać. Siedziba dziekana na pewno mu się nie spodoba z powodu wielkich okien. Spacerkiem dochodziło się tam w dziesięć minut; większa część drogi była osłonięta. Odetchnie trochę świeżym powietrzem. Wchodząc do budynku, zobaczyła większość tych kolegów, którzy nie byli w rozjazdach związanych z pełnieniem kierowniczych funkcji. Zamaszystym krokiem wszedł Pierre Alexandre, w zielonym fartuchu, z teczką pod pachą i marsową miną; wpadłby na nią, gdyby nie interwencja jednego z ochroniarzy.

— Miło cię wiedzieć, Cathy — mruknął w przelocie. — I tych panów również.

— To miło, jak człowieka doceniają — powiedział Altman do kolegów. W drzwiach pojawił się dziekan.

— Proszę, proszę.

Wystarczyło jedno spojrzenie i agent już opuszczał żaluzje w oknach, które wychodziły na ścianę anonimowych domów. Kilku lekarzy spojrzało ze zdziwieniem, wiedząc jednak, w jakiej roli występuje Altman, nie protestowali.

Przybyli jeszcze zajmowali miejsca za stołem, kiedy Dave James oznajmił:

— Otwieram posiedzenie rady wydziału i oddaję głos Pierre'owi Alexandre'owi.

Obyło się bez wstępów.

— Mamy pięć przypadków ebola w Ross Building. Wszystkie pojawiły się dzisiaj.

Kilka głów poderwało się gwałtownie; Cathy zamrugła oczami.

— Studenci z Zairu? — spytał naczelny chirurg.

— Agent samochodowy i jego żona, sprzedawca z Annapolis, trzy osoby, których danych nie pamiętam, w każdym razie odpowiedź na twoje pytanie brzmi: „nie”. Nikt z nich ostatnio nie przebywał za granicą. W czterech przypadkach mamy pełen zestaw objawów. Tylko u żony agenta nie ma żadnych symptomów, natomiast we krwi wykryto przeciwciała. To jedyna dobra wiadomość. Nasze przypadki nie są odosobnione. CCZ otrzymało podobne informacje z Chicago, Filadelfii, Nowego Jorku, Bostonu i Dallas. Tak sytuacja przedstawiała się godzinę temu. O jedenastej odnotowano dwadzieścia zachorowań, dwa razy więcej niż o dziesiątej, więc można przypuścić, że liczba ta stale rośnie.

Nikt nie oponował i Cathy wiedziała, dlaczego. Większość jej kolegów była wprawdzie znakomitościami, specjalistami, czterech wręcz najlepszymi na świecie, a chociaż zawsze zaciekle bronili swojego zdania i niezależności, to jednak wiele czasu spędzali na rozmowach z fachowcami z innych dziedzin, gdyż, tak jak ona, chcieli wiedzieć wszystko. Rozumieli wprawdzie, że jest to niemożliwe nawet w ramach ich specjalności, a przecież nie umniejszało to ich pasji. Kiedy teraz patrzyło się na ich poważne twarze, widać było, że wszyscy wiedzą na temat chorób zakaźnych dostatecznie wiele, aby nie protestować.

Ebola była jedną z chorób zakaźnych i jak każda z nich, rozszerzała się z pojedynczego ogniska. Zawsze była pierwsza ofiara, określana mianem Pacjenta nr 0 albo Przypadkiem Zerowym, od którego wszystko się rozpoczynało. Żadna epidemia nie wybuchała tak jak tutaj.

CCZ i MICZUSA, które oficjalnie obwieszczały stan zagrożenia epidemią, gromadziły, opracowywały i przedstawiały informacje w sposób bardzo ściśle sformalizowany. Sytuacja była mniej sztywna w przypadku instytucji leczniczej, a ich szpital dodatkowo korzystał na tym, że Alex był do niedawna szefem jednego z oddziałów w Fort Detrick. W ramach planu postępowania w przypadku wybuchu epidemii, John Hopkins znalazł się na liście tych placówek, do których mieli być

kierowani chorzy.

— Alex — odezwał się kierownik wydziału urologicznego — z literatury wynika, że ebola jest przenoszona tylko w dużych porcjach płynów. Jak może rozszerzać się tak szybko, chociażby w skali lokalnej?

— Mamy tutaj do czynienia z odmianą o nazwie Mayinga, nadanej jej od imienia pielęgniarki, u której wykryto ją po raz pierwszy, a której nie udało się uratować. Nie wiadomo, w jaki sposób się zaraziła. To samo przydarzyło się w roku 1990 memu koledze George'owi Westphalowi i także w jego przypadku nie udało się ustalić drogi zakażenia. Istnieje przypuszczenie, że ta odmiana przenosi się drogą kropelkową, przez układ oddechowy. Poza tym, jak sami wiecie, istnieją sposoby na wzmocnienie wirusów. Można na przykład wbudować geny nowotworowe.

— Czy istnieje jakaś terapia, chociażby na poziomie eksperymentalnym? — indagował dalej urolog.

— Rousseau prowadzi badania w Instytucie Pasteura, jak na razie jednak bez skutku.

W sali zapanowała atmosfera powszechnego przygnębienia. Należeli do najlepszych na świecie fachowców, ale oto okazywało się, że cała ich wiedza jest bezsilna.

— Co ze szczepionką? Mogłaby być bardzo słaba.

— MICZUSA pracuje nad nią od dziesięciu lat; wirus występuje w bardzo zróżnicowanych odmianach. Szczepionka, która skutkuje w przypadku jednej, nie pomaga w innych. Poza tym sama może być zabójcza. Znane mi badania szacują, że dwa procent zachorowań pochodzi od szczepionki. Merck uważa, że uda się to poprawić, ale trzeba czasu.

Chirurg pokręcił głową. Zarazić chorobą o współczynniku śmiertelności osiemdziesiąt procent jedną osobę na pięćdziesiąt, to znaczyło na każdy milion zainfekować dwadzieścia tysięcy osób, z których szesnaście tysięcy miało umrzeć, W skali całych Stanów Zjednoczonych trzy miliony ludzi poniosłoby śmierć tylko dlatego, że usiłowano je ratować. Wybór jak pomiędzy kiłą a rzeżączką.

— Za wcześnie jeszcze na ocenę rozmiarów przypuszczalnej epidemii — rozmyślał na głos urolog — a nie wiemy też, jak może się ona rozszerzać w naszych warunkach. Dlatego nie sposób na razie zdecydować, jakie podjąć środki zaradcze.

— Słusznie.

W takim gronie szybko dochodziło się do porozumienia.

— Pierwszy kontakt z zarażonymi będą mieli moi ludzie — odezwał się ordynator oddziału nagłych wypadków. — Muszę ich ostrzec, żeby zminimalizować niebezpieczeństwo zarażenia.

— Kto powiadomi Jacka? — spytała Cathy. — Musi się dowiedzieć i to jak najszybciej.

— To zadanie MICZUSA i Naczelnego Lekarza Kraju.

— Ale sam powiedziałeś, że procedura nakazuje im poczekać z ostateczną oceną, tak?

— Tak.

Chirurg zwróciła się do Roya Altmana.

— Helikopter dla mnie. Natychmiast.

Czas reakcji

Telefon zaskoczył pułkownika Goodmana przy spóźnionym obiedzie. Wcześniej odbył

lot kontrolny na zapasowym *VH-60*, w którym właśnie wymieniono turbinę. Maszyna przeznaczona dla Chirurga była gotowa do lotu. Trzyosobowa załoga pośpieszyła do śmigłowca, nie zadając pytań, skąd zmiana codziennego rozkładu zajęć. Dziesięć minut po telefonie helikopter był już w powietrzu i wziął kurs na północ; po następnych dwudziestu szykował się do lądowania. Pułkownik dostrzegł w dole Chirurga, z Foremką u boku, agentów ochrony... a także jakiegoś nieznanego mężczyznę w zielonym płaszczu. Sprawdził kierunek wiatru i zaczął się obniżać.

Zebranie rady wydziału skończyło się pięć minut wcześniej. Podjęto wstępne decyzje.

Dwa piętra miały zostać opróżnione i przygotowane na przyjęcie ewentualnych pacjentów z ebola. Ordynator izby przyjęć zwoływał właśnie zebranie pracowników, na którym miał im przekazać niezbędne informacje. Jeden ze współpracowników Alexandre'a dzwonił do Atlanty, aby dowiedzieć się o liczbie zgłoszonych przypadków, a także poinformować, że Hopkins działa zgodnie z planem zagrożenia epidemiologicznego. Pierre nie miał czasu udać się do swego gabinetu i przebrać. Także Cathy miała na sobie laboratoryjny kitel, ale ten narzuciła na normalne ubranie. Alexandre ubrany był w trzeci już dzisiaj zielony fartuch, żona prezydenta zapewniła go jednak, że może się tym nie przejmować. Musieli poczekać, aż zatrzyma się wirnik nośny i dopiero wtedy agenci Tajnej Służby pozwolili im zbliżyć się do maszyny. Alex zauważył

dwa dalsze śmigłowce krążące w odległości mniej więcej kilometra. Wyglądały na policyjne i stanowiły zapewne ubezpieczenie.

Szybko znaleźli się na pokładzie. Katie — której lekarz nigdy wcześniej nie poznał —

zajęła najbezpieczniejsze miejsce w helikopterze, za plecami pilotów, na opuszczanym siedzeniu.

Alexandre od lat już nie siedział w *Black Hawku*, ciągle jednak pamiętał jak zapiąć pasy. Cathy wykonywała tę operację niemal machinalnie. Trzeba było pomóc dziewczynce, która z dumą nosiła hełm: różowy, z królikiem namalowanym z przodu, co na pewno było pomysłem któregoś z *marines*. Kilka sekund później silnik ruszył.

— Wszystko rozgrywa się błyskawicznie — odezwał się w interkomie Alexandre.

— Sądysz, że możemy czekać? — spytała Cathy.

— Nie.

— Pułkowniku? — zwróciła się Cathy do pilota.

— Słucham panią?

— Jak najszybciej — poleciała.

Goodman nigdy jeszcze nie słyszał takiego tonu u Chirurga; jak każdy żołnierz, zareagował na rozkaz. Obniżył nos śmigłowca i zwiększył prędkość do trzystu kilometrów na godzinę.

— Śpieszy się pan, pułkowniku? — zapytał pilot śmigłowca eskorty.

— Pierwsza Dama się śpieszy. Kurs Bravo.

Połączył się z lotniskiem Baltimore-Waszyngton, aby kontrolerzy lotów dali mu wolny przelot, co nie potrwa długo. Ku zdziwieniu pasażerów, dwa 737 musiały zrobić dodatkowy krąg przed podejściem do lądowania. Foremka ucieszyła się, że z tak bliska obserwuje samoloty w powietrzu.

— Panie prezydencie?

— Tak, Andrea?

— Pańska żona leci tutaj z Baltimore. Chce się z panem zobaczyć, nie wiem, o co chodzi.

Będzie za kwadrans.

— Coś się komuś stało? — spytał zaniepokojony Jack.

— Nie, wszyscy są w porządku. Foremka leci razem z panią Ryan — odpowiedziała agentka.

— Okay.

Ryan powrócił do raportu o wynikach śledztwa w sprawie zamachu na jego córkę.

— Pat, nie ma żadnych wątpliwości, że musiałeś użyć broni.

Murray osobiście chciał o tym poinformować swego podwładnego; sprawa nie pozostawiała żadnych wątpliwości, ale procedura była procedurą.

O'Day skrzywił się.

— Przynajmniej tego drugiego powinienem był wziąć żywcem — mruknął.

— Nie możesz sobie robić wyrzutów. Nie wolno ci było ryzykować, kiedy dookoła miałeś dzieci. Przypuszczam, że dostaniesz jakieś odznaczenie.

— Wiadomo coś bliżej o tym Goldblumie?

— Mamy zdjęcia do prawa jazdy i trochę wypełnionych formularzy, ale poza tym trudno będzie udowodnić, że w ogóle istniał.

Klasyczna sytuacja. W piątkowe popołudnie „Mordechaj Goldblum” pojechał

samochodem na międzynarodowe lotnisko Baltimore-Washington, skąd poleciał na lotnisko Kennedy'ego w Nowym Jorku. Tyle udało się ustalić na podstawie biletu wystawionego przez US Air. Potem rozplynął się jak mgła. Najprawdopodobniej miał przy sobie komplet innych dokumentów, które wykorzystał, kupując bilet na zagraniczny rejs z Nowego Jorku. Jeśli był

naprawdę sprytny, pojechał taksówką do Newark lub na LaGuardię i albo z pierwszego portu poleciał za ocean, albo z drugiego do Kanady. Agenci nadal przepytывali w Nowym Jorku pracowników wszystkich linii lotniczych. Jednak niemal każda światowa firma miała swoje przedstawicielstwo w Nowym Jorku, a przez lotnisko Kennedy'ego przewijały się każdego dnia tłumy podróżnych. Nawet gdyby ustalono, do jakiego samolotu wsiadł „Goldblum”, ten zdążyłby w tym czasie odbyć podróż na Księżyc.

— Wyszkolony w terenowej robocie — powiedział O'Day. — Zresztą, czy tak trudno się ukryć?

Słowa szefa wydziału kryminalnego FBI nagle zaniepokoiły Murraya. Jeśli można coś zrobić raz, można i drugi... Mieli podstawy, by sądzić, że w kraju działa siatka wywiadowcza —

gorzej: terrorystyczna — nienaruszona i gotowa... Do czego? Aby uniknąć wykrycia, wystarczyło tylko, żeby siedzieli beczynn timer. Samuel Johnson zauważył kiedyś, że na to stać każdego.

Helikopter zamigotał światłami pozycyjnymi i zaczął opadać, ku niejakiemu zdziwieniu dziennikarzy, którzy nieustannie czatowali w pobliżu Białego Domu. Każde nieoczekiwane zdarzenie w tym miejscu, godne było odnotowania. Rozpoznali Cathy Ryan. Niezwykły był jej biały fartuch, a kiedy zobaczyli, że w kitlu, tyle że zielonym, jest jeszcze jedna osoba, uznali, że chodzi o medyczną pomoc dla prezydenta. Podejrzenia te rozwiał rzecznik prasowy, który oznajmił że prezydent czuje się dobrze i pracuje u siebie w gabinecie, sam zaś rzecznik nie wie, jaka jest przyczyna nagłego przylotu pani Ryan.

Zielony strój chirurgiczny nie bardzo tu pasuje, pomyślał Alex, a rzut oka na miny agentów Tajnej Służby, tylko umocnił go w tym przekonaniu. Także kilku ludzi z Oddziału zaczęło podejrzewać, że Miecznik niedomaga, ale wystarczyło kilka pytań przez radio, by rozwiać te obawy. Cathy poprowadziła korytarzem, ale zaczęła się szamotać z niewłaściwymi drzwiami i dopiero agent Oddziału pokazał jej właściwe wejście do Gabinetu Owального. Nigdy jeszcze nie widziano Chirurga tak nieobecnej myślami.

— Jack, to profesor Pierre Alexandre — powiedziała, przechodząc energicznie przez próg.

Ryan powstał od biurka. Na najbliższe dwie godziny nie miał przewidzianych żadnych spotkań, był więc bez marynarki.

— Dzień dobry, panie profesorze — powiedział, z lekkim zdziwieniem spostrzegając zielony strój gościa, ale już w następnej chwili zauważył, że podobnie odziana jest jego żona.

— Co się stało, Cathy?

— Alex wszystko wyjaśni.

Pani Ryan spojrzała na kolegę. Do gabinetu weszło dwóch agentów, którzy czekali teraz w łatwo wyczuwalnym napięciu, w dużej mierze spowodowanym tym, iż nie wiedzieli, o co chodzi. Roy Altman rozmawiał w sąsiednim pomieszczeniu z Price.

— Panie prezydencie, czy słyszał pan o wirusie ebola?

— Szaleje w dżunglach afrykańskich, prawa? — powiedział Jack. — Straszna choroba.

Widziałem o tym film.

— Tak — potwierdził Alexandre. — To wirus atakujący RNA. Nie wiemy, kto jest jego nosicielem, wiemy tylko, że rozwija się organizmach zwierzęcych. To morderca, sir. Wedle bardzo przybliżonych szacunków, zabija w czterech przypadkach na pięć.

— Rozumiem — powiedział Ryan. — Proszę dalej.

— Jest teraz w Ameryce.

— Gdzie?

— W Hopkinsie odnotowaliśmy dotąd pięć przypadków; ponad dwadzieścia w całym kraju... ale te dane pochodzą sprzed trzech godzin. Czy mogę skorzystać z telefonu?

Gus Lorenz był sam w gabinecie, kiedy zadzwonił telefon.

— Tutaj znowu Alexandre.

— Tak, Alex?

— Gus, ile jest teraz przypadków?

— Sześćdziesiąt siedem — doleciało z głośnika. Alex wyraźnie zeszywniał.

— Gdzie?

— Głównie w wielkich miastach. Meldunki pochodzą przede wszystkim z dużych ośrodków medycznych. Boston, New Haven, Filadelfia, Baltimore, jeden pacjent w Richmond, siedmiu tutaj, w Atlancie, troje w Orlando... — Usłyszeli odgłos otwieranych drzwi i szelest papieru. — Alex, osiemdziesiąt dziewięć. Liczba przypadków rośnie przerażająco szybko.

— Czy MICZUSA ogłosił już alarm?

— Oczekuję tego w ciągu godziny. Mają właśnie naradę...

— Gus, jestem w Białym Domu, obok mnie stoi prezydent. Wolałbym, żebyś przekazał

mu swoją opinię — powiedział Alexandre, który w tej chwili najwyraźniej znowu był pułkownikiem.

— Ale, Alex, jak... Słuchaj, nie mam jeszcze pewności.

— Albo ty to powiesz, albo ja będę musiał. Lepiej ty.

— Panie prezydencie? — W drzwiach stała Ellen Sumter. — Dzwoni generał Pickett, mówi że to bardzo pilne.

— Powiedz mu, żeby chwilę poczekał.

— John to dobry specjalista, ale jest trochę za ostrożny — zauważył Alex. — Gus, słuchamy!

— Panie prezydencie, wydaje się, że to nie jest zwykła epidemia. Mamy silne przesłanki, iż chodzi o działanie rozmyślne.

— Wojna biologiczna? — rzucił prezydent.

— Tak, sir. Nie mamy jeszcze kompletnych danych, żeby w pełni potwierdzić to podejrzenie, ale normalnie epidemia nigdy nie rozpoczyna się w ten sposób: jednocześnie w wielu miejscach.

— Pani Sumter, proszę przełączyć tutaj generała.

— Już.

— Panie prezydencie? — rozbrzmiał nowy głos.

— Generale, mam na linii profesora Lorenza, a obok mnie stoi profesor Alexandre z Hopkinsa.

— Cześć, Alex.

— Cześć, John.

— Więc wiecie już?

— Jak pewne są przypuszczenia co do umyślnego doprowadzenia do wybuchu epidemii?

— spytał Miecznik.

— Mamy co najmniej dziesięć niezależnych ognisk. Epidemia nigdy się tak nie rozprzestrzenia. Ciągłe napływają nowe informacje; wszystkie przypadki ujawniły się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. To nie jest naturalny proces. Nie ma mowy o przypadku.

Alex może wszystko wyjaśnić dokładniej, pracował u mnie. To bardzo dobry specjalista.

— Profesorze Lorenz, czy zgadza się pan z tą opinią?

— Tak, panie prezydencie.

— O, Boże! — sapnął Jack i spojrzał na żonę. — Co teraz?

— Panie prezydencie, istnieje kilka możliwości — oznajmił Pickett. — Muszę się z panem zobaczyć.

— Andrea! — zawołał Ryan.

— Tak, panie prezydencie?

— Natychmiast helikopter do Fort Detrick!

— Tak jest!

— Czekam na pana, generale. Profesorze Lorenz, dziękuję za opinię. Czy jeszcze coś powinienem wiedzieć?

— Profesor Alexandre może wszystko wyjaśnić.

— Dobrze, zaraz moja sekretarka, pani Sumter, da panu bezpośrednie numery telefoniczne do mnie.

— Jack podszedł do drzwi. — Proszę podać profesorowi Lorenzowi wszystkie potrzebne informacje, a potem wezwać Arnie'ego i Bena.

— Tak, panie prezydencie.

— Profesorze Alexandre, co jeszcze powinienem wiedzieć?

— Niewiele na razie wiemy, a przede wszystkim tego, w jaki sposób wirus się przenosi.

Jeśli zakażenie odbywa się drogą kropelkową...

— To znaczy jak?

— W kropelkach śliny, wydalanych podczas kaszlu czy kichania. Jeśli tak to się odbywa, niebezpieczeństwo jest ogromne.

— W naszym klimacie? — zdziwiła się Cathy. — Wiem, że wirus ebola jest bardzo wrażliwy. Ile sekund może przetrwać poza organizmem?

— Niektóre odmiany są bardziej odporne od innych. Wystarczy, żeby mogły przeżyć na zewnątrz minutę, a cała sprawa robi się diabło niebezpieczna. Jeśli mamy do czynienia z Mayingą, to w ogóle nie znamy odporności tej odmiany. Ale to jeszcze nie wszystko. Osoba zarażona wirusem idzie do domu, który stanowi bardzo przyjazne środowisko: ogrzewanie, klimatyzacja, członkowie rodziny

pozostają w bezpośrednim kontakcie. Obejmują się, całują, kochają. A kto ma już w sobie zarazki, przekazuje je dalej.

— Jak są duże?

— Mierzy się je w mikronach.

— Pracował pan wcześniej, profesorze, w Fort Detrick?

— Tak, w stopniu pułkownika kierowałem wydziałem patogeny. Kiedy przeszedłem w stan spoczynku, zatrudnił mnie John Hopkins.

— To znaczy, że wie pan, jakie możliwości miał na myśli generał Pickett?

— Tak, panie prezydencie. Raz w roku dokonuje się globalnej oceny sytuacji, a ja należę do komisji, która przygotowuje raport.

— Proszę usiąść, profesorze, i niech pan opowiada.

Okręty transportowe, a właściwie pływające magazyny sprzętu wojskowego, wróciły niedawno z ćwiczeń i wszystkie drobne prace remontowe zostały zakończone. Otrzymałszy rozkazy z CINC-LANTFLT, ich załogi przystąpiły do procedur uruchamiania silników. Na północy krążownik „Anzio” oraz niszczyciele „Kidd” oraz „O’Bannon” otrzymały oddzielne rozkazy i podążyły na zachód, na miejsce planowanego spotkania. Najwyższy stopniem był

dowódca krążownika typu *Aegis*, który zastanawiał się, jak ma w Zatoce Perskiej bez ochrony z powietrza dawać sobie radę z osłoną transportowców, gdyby doszło do jakichś kłopotów.

Marynarka nie poruszała się bez wsparcia lotniczego, tymczasem najbliższym lotniskowcem był

„Ike”, odległy o trzy tysiące mil i na dodatek oddzielony Malajami. Z drugiej strony, całkiem przyjemnie było zostać dowódcą grupy zadaniowej, nie mając nad sobą żadnego admirała.

Pierwszy podniósł kotwicę USNS „Bob Hope”: nowo zbudowany wojskowy rorowiec[3] o wyporności 80.000 ton, który przewoził 952 pojazdy. Cywilna załoga miała niewielkie doświadczenie w operacjach militarnych. Na pokładzie znajdował się sprzęt mechaniczny dla brygady pancerniej. Po wyjściu z portu, okręt ruszył z maksymalną prędkością, z dieselowskich silników Cott-Pielstick wyduszając dwadzieścia sześć węzłów.

Kiedy zjawili się Goodley i van Damm, w dziesięć minut zostali wprowadzeni w sytuację.

W tym czasie do prezydenta dotarł cały jej dramatyzm. Z zazdrością zauważył, że chociaż Cathy musiała być przerażona nie mniej od niego, zachowywała większy spokój, przynajmniej na zewnątrz. Ale cóż, to była w końcu jej specjalność.

— Nie przypuszczałem, że ebola może żyć w innym niż dżungla środowisku —

powiedział Goodley.

— Bo nie może, a w każdym razie nie długo, inaczej bowiem opanowałyby już cały świat.

— Zbyt szybko zabija, by to było możliwe — sprzeciwiła się Chirurg.

— Cathy, od ponad trzydziestu lat w powszechnym użyciu są odrzutowce. Całe szczęście, że to cholerstwo jest takie delikatne.

— W jaki sposób ustalimy, kto to zrobił?

Pytanie postawił Arnie.

— Wypytamy wszystkie ofiary, dowiemy się, gdzie przebywały, być może uda się zlokalizować pierwsze ognisko. To prawdziwe śledztwo, w czym epidemiolodzy nie są źli, ale to dla nich trochę za duża sprawa — powiedział Alexandre.

— Czy FBI może w tym pomóc? — spytał van Damm.

— Z pewnością nie zaszkodzi.

— Poinformuję o wszystkim Murraya — oznajmił szef personelu Białego Domu.

— Nie potraficie tego leczyć? — upewnił się Ryan.

— Nie, natomiast epidemia sama się wypala po kilkunastu cyklach pokoleniowych.

Najpierw zaraża się jedna osoba; wirus reprodukuje się w niej, a chory przekazuje go innym osobom. Każda ofiara staje się nośnikiem, który wprawdzie zostaje zabity, ale przekazuje chorobę dalej. Na szczęście, wirus mutuje, czyli zachodzą zmiany w jego strukturze elementów dziedzicznych, w tym przypadku genów. W każdym kolejnym pokoleniu staje się mniej jadowity. Najwięcej przypadków wyleczenia zdarza się pod koniec epidemii, gdyż zmutowane zarazki stają się mniej niebezpieczne.

— Ilu cykli to wymaga, Alex? — spytała Cathy.

Wzruszył ramionami.

— To problem empiryczny. Znamy sam proces, ale nie potrafimy go skwantyfikować.

— Zbyt wiele niewiadomych — dodała Cathy, krzywiąc się.

— Panie prezydencie?

— Słucham, profesorze.

— Ten film, o którym pan wspominał...

— Tak?

— Koszt wyprodukowania tego filmu był odrobinę większy od wszystkich rządowych funduszy przeznaczonych na badania wirusologiczne. Warto o tym pamiętać. Pewnie ebola nie jest dostatecznie sexy. — Arnie otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale Alex zrobił niecierpliwy ruch ręką. — Nie jestem już na pensji rządowej, nie występuję w imieniu żadnego imperium finansowego. Moje badania są finansowane ze źródeł prywatnych. Stwierdzam tylko fakt. Nie wszystko możemy sami dotować.

— Skoro nie potrafimy leczyć choroby, jak marny ją powstrzymać? — spytał Ryan.

Spojrzał przez okno. Na Południowym Trawniku pojawił się cień i rozbrzmiało łopotanie wirnika śmigłowca.

— Wreszcie — westchnął Badrajn z uśmiechem na twarzy. Internet służył udostępnianiu informacji, a nie ich ukrywaniu, on zaś dzięki przyjacielowi przyjaciela przyjaciela, studentowi Uniwersytetu Emory w Atlancie, znał hasło pozwalające wejść do poczty elektronicznej Centrum Chorób Zakaźnych. Kolejne hasło pozwoliło odsiać niepotrzebne śmieci. Prawdziwie istotna informacja brzmiała: o godz. 14.00 czasu wschodniego USA Uniwersytet Emory informował

CCZ o sześciu przypadkach podejrzenia gorączki krwotocznej. Odpowiedź CCZ była jeszcze bardziej interesująca. Badrajn wydrukował oba listy i sięgnął po telefon. Teraz miał do przekazania naprawdę dobrą wiadomość.

Raman poczuł jak podwozie *DC-9* uderza o płytę lotniska w Pittsburgu; lot trwał krótko, ale agent zdążył przemyśleć różne warianty przeprowadzenia zamachu na Ryana. Jego kolega —

brat właściwie — w Bagdadzie podszedł w sposób nazbyt straceńczy i dramatyczny do swego zadania, a zresztą kordon ochroniarzy wokół przywódcy irackiego był gęstszy niż ten, do którego on sam należał. Jak to zrobić? Z pewnością musi spowodować jak najwięcej zamieszania. Może wtedy, kiedy Ryan stanie przed tłumem fotoreporterów? Jeden strzał do prezydenta, potem jeszcze położyć dwóch, może trzech agentów i rzucić się w gąszcz ludzki. Jeśli uda mu się przedrzeć przez dwa pierwsze kręgi widzów, dalej wystarczy tylko trzymać w górze odznakę Tajnej Służby, która zadziała lepiej niż broń. Wszyscy będą myśleć, że goni zamachowca. W

Tajnej Służbie nauczył się tego, że najważniejsze dla ucieczki z miejsca zamachu jest pierwszych trzydzieści sekund. Wystarczy je przetrwać, a potem szansę są już całkiem spore. I to właśnie on miał zorganizować ochronę Ryana podczas piątkowego wyjazdu. Trzeba tylko wybrać miejsce.

Najpierw prezydent. Potem Price. Może jeszcze ktoś z Tajnej Służby. Wmieszać się w tłum.

Najlepiej będzie chyba strzelać z biodra, żeby broń w jego ręku zobaczono dopiero po usłyszeniu strzałów. To może się udać, pomyślał, odpinając pasy. Na płycie lotniska będzie na niego czekał

agent Departamentu Skarbu. Razem pojedą do hotelu, w którym prezydent miał wygłosić przemówienie podczas obiadu. Raman będzie miał cały dzisiejszy dzień i kawałek jutrzejszego na obmyślenie wszystkiego, pod bokiem kolegi agenta. Cóż za podniecająca perspektywa.

Generał major John Pickett był absolwentem wydziału medycyny Yale, obronił potem doktorat z biologii molekularnej na Harvardzie oraz z medycyny społecznej na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. Blady, niski mężczyzna wydawał się jeszcze mniejszy w mundurze; nie miał czasu się przebrać i przyleciał w mundurze polowym, przy którym skrzydełka spadochroniarza wydawały się jakoś nie na miejscu. Wraz z nim zjawili się dwóch pułkowników; niemal razem z nimi przybył z Hoover Building dyrektor FBI, Murray. Trzej oficerowie wyprężyli się w wejściu na baczność; ponieważ w Gabinetcie Ovalnym zrobiło się teraz za ciasno, prezydent poprowadził wszystkich do Pokoju Roosevelta. Po drodze jeden z agentów wetknął generałowi w dłoń ciepły jeszcze faks.

— Atlanta podaje najnowszą statystykę zachorowań: sto trzydzieści siedem przypadków

— oznajmił Pickett. — Piętnaście miast, piętnaście stanów, od jednego wybrzeża po drugie.

— Witaj, John — powiedział Alexandre, podając generałowi dłoń. — Sam widziałem trzy z tych przypadków.

— Dobrze, że tu jesteś, Alex. — Generał potoczył wzrokiem po zebranych. —

Rozumiem, że profesor Alexandre wyjaśnił już podstawowe kwestie?

— Tak — potwierdził Ryan.

— Ma pan może w tej chwili jakieś pytania, panie prezydencie?

— Czy jest pan pewien, generale, że to działanie z premedytacją?

— Bomby nie wybuchają przypadkowo.

Pickett rozwinął mapę, na której kilkanaście miast zostało zakreślonych na czerwono.

Jeden z towarzyszących pułkowników dodał do nich trzy nowe: San Francisco, Los Angeles i Las Vegas.

— Miasta targowe, zrobiłbym to samo — sapnął Alexandre. — John, nie przypomina ci to „Bio-War 95”?

— Zupełnie. To nazwa gry wojennej, którą rozgrywaliśmy z Agencją Obrony Nuklearnej.

Użyliśmy wtedy laseczki węgliką, a Alex był najlepszym z planujących ofensywę biologiczną — wyjaśnił wszystkim Pickett.

— Planował atak na nas wszystkich? — zapytała Cathy, na poły zdumiona, a na poły oburzona.

— Proszę pani, atak i obrona to dwie strony tego samego medalu — odpowiedział

Pickett, broniąc swego dawnego podwładnego. — Musimy myśleć jak nasi wrogowie, aby móc

storpedować ich wysiłki.

— Myślenie operacyjne — dorzucił prezydent, któremu łatwiej niż żonie było się przestawić na takie kategorie.

— Z punktu widzenia strategicznego, wojna biologiczna polega na wyzwoleniu reakcji łańcuchowej w populacji przeciwnika. Trzeba starać się zarazić możliwie jak najwięcej osób, a nie potrzeba aż tak wielu do osiągnięcia masy krytycznej; to nie broń nuklearna. Chorzy sami przekazują dalej zarazki. Na tym polega, by tak rzec, elegancja wojny biologicznej. Ofiary same stają się narzędziem zabijania. Każda epidemia rozpoczyna się od niskiego poziomu, a potem gwałtownie wybucha; liczba przypadków rośnie w postępie geometrycznym. Ofensywa w wojnie biologicznej polega więc na tym, żeby zarazić możliwie jak najwięcej ludzi, a uwagę przede wszystkim zwraca się na tych, którzy wiele podróżują. Znakomicie pasuje do tego celu na przykład Las Vegas. To miasto konwencji przedwyborczych, właśnie odbył się tam wielki zjazd branżowy. Uczestnicy zostają zarażeni, rozlatują się potem do miejsc zamieszkania i roznoszą chorobę.

— Czy jest sposób na wykrycie, jak do tego doszło? — spytał Murray, który wcześniej pokazał generałowi swoją legitymację.

— Prawdopodobnie to tylko strata czasu. Kolejna z zalet wojny biologicznej... W tym przypadku okres wylęgania się choroby wynosi minimum trzy dni. W jakikolwiek sposób dostarczono zarazki, wszystko zostało już dawno zniszczone, tak że nawet nie został żaden ślad.

— Zostawmy to na później, generale. Co robić teraz? Widzę, że wiele jest stanów, gdzie choroba nie dotarła...

— Na razie, panie prezydencie. Okres inkubacji wirusa ebola wynosi od trzech do dziesięciu dni. Nie wiemy, jaki w tej chwili jest zasięg epidemii. Jedyne, co możemy zrobić, to czekać.

— John, musimy wprowadzić plan KURTYNA — wtrącił Alexandre. — I to jak najszybciej.

Mahmud Hadzi czytał. Z uwagi na znajome sprzęty, lubił pracować w swoim gabinecie, który znajdował się obok sypialni, ale nie lubił, by mu tutaj przeszkadzano, toteż ochrona z pewnym zdziwieniem przyjęła jego reakcję na telefon. Dwadzieścia minut później wpuścili gościa, zatrzymując jego eskortę.

— Zaczęło się?

— Zaczęło się — potwierdził Badrajn i wręczył wydruk. — Jutro będziemy wiedzieć więcej.

— Dobrze się założyłeś — powiedział Darjaei i dał znak, że wizyta skończona. Kiedy gość zniknął za drzwiami, sięgnął po telefon.

Alahad nie wiedział, skąd do niego zadzwoniono. Podejrzewał Londyn, nie wiedział

jednak tego na pewno, i nie zamierzał pytać. Rozmowę można by uznać za całkowicie handlową, gdyby nie pora dnia: w Anglii, jeśli to stamtąd dzwoniono, był teraz wieczór i nikt już nie pracował.

Różne typy dywanów oraz ich ceny stanowiły część najistotniejszą; w kodzie od dawna utrwalonym w pamięci, a nigdy nie zapisanym, przekazały mu to, co konieczne. Nie było tego wiele, ale w ten sposób niewiele mógł zdradzić. W pełni akceptował tę zasadę kontaktów.

Teraz jego kolej. Na drzwiach wywiesił napis Zaraz wracam, potem je zamknął i poszedł do automatu znajdującego się dwie przecznice dalej. Miał przekazać Arefowi Ramanowi ostatni rozkaz.

Narady rozpoczęły się w Gabinetce Owalnym, potem przeniosły się do Pokoju Roosevelta, by ostatecznie wylądować w Pokoju Rządowym, gdzie ze ścian mogło im się przyglądać kilka portretów Jerzego Waszyngtona. Sekretarze departamentów zjawili się natychmiast, a ich przyjazdu nie dało się ukryć: zbyt wiele służbowych samochodów, znajomych twarzy, ochroniarzy.

Pat Martin reprezentował Departament Sprawiedliwości; obok sekretarza obrony, Bretano, usiadł admirał Jackson (każdemu z ministrów towarzyszyła co najmniej jedna osoba, najczęściej sporządzająca notatki). Z Departamentu Skarbu po drugiej stronie ulicy przybył

Winston. Sekretarze Departamentu Handlu oraz Spraw Wewnętrznych przetrwali jeszcze z prezydentury Durlinga, powołani na stanowiska przez Boba Fowlera. Większość pozostałych piastowała stanowiska podsekretarzy, a uchowała się za sprawą prezydenckiej niechęci do gwałtownych poczynań, albo kompetencji. Nikt nie wiedział, dlaczego wezwano ich do Białego Domu. Prezydent ściągnął także Eda Foleya, chociaż szef CIA przestał uczestniczyć w posiedzeniach rządu. W pokoju znaleźli się też Arnie van Damm, Ben Goodley, dyrektor Murray, Pierwsza Dama, trzech oficerów Armii oraz profesor Alexandre.

— Jesteśmy w komplecie — powiedział prezydent. — Panie i panowie, dziękuję za przybycie. Nie ma czasu na wstępy. Ameryka znalazła się w obliczu wielkiego zagrożenia.

Decyzje, które tutaj podejmiemy, wywrą wielki wpływ na życie całego kraju. Tutaj w rogu widzicie państwo generała majora Johna Picketta, który jest lekarzem i naukowcem, a któremu teraz oddaję głos. Panie generale, proszę.

— Dziękuję, panie prezydencie. Panie i panowie, jestem komendantem Fort Detrick. Od samego rana zaczęły do nas napływać niepokojące informacje...

Ryan nie przysłuchiwał się słowom generała; słyszał to już dzisiaj dwa razy. Zagłębił się natomiast w lekturę dokumentów wręczonych mu przez Picketta. Okładka była w zwyczajowe czerwono-białe paski na środku znajdował się tytuł KATAKLIZM opatrzony adnotacją ŚCIŚLE

TAJNE. Bardzo adekwatny kryptonim, kwaśno uśmiechnął się do siebie Miecznik. Zaczął czytać plan KURTYNA, opracowany, jak się okazało, w czterech wariantach. Jack przeszedł

natychmiast do czwartego, o nazwie SAMOTNIK. Operacyjne podsumowanie zmroziło go.

Mimochodem zerknął na jeden z portretów Waszyngtona, mając ochotę zapytać: „I co ja mam robić?” Ale Jerzy nic by na to nie odpowiedział, nie znał się bowiem na odrzutowcach, wirusach i bombie

atomowej.

— Jak sytuacja przedstawia się w tej chwili? — spytał Winston.

— Piętnaście minut temu CCZ zarejestrowało już ponad dwieście przypadków. Chciałem raz jeszcze przypomnieć, że wszystkie one pojawiły się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin — poinformował sekretarza generał Pickett.

— Kto to zrobił? — odezwał się sekretarz Departamentu Rolnictwa.

— Tę sprawę na razie zostawmy na boku — wtrącił się prezydent. — Zajmiemy się nią później. Teraz musimy się skupić na najlepszym sposobie ograniczenia epidemii.

— Nie mogę uwierzyć, że nie potrafimy leczyć...

— Radzę uwierzyć — powiedziała Cathy Ryan. — Jak pan sądzi, jak wiele zakażeń wirusowych potrafimy leczyć?

— Nie wiem — przyznał sekretarz.

— Żadnego.

Nieustannie ją zdumiewała powszechna ignorancja w sprawach medycznych.

— Dlatego jedyną możliwością jest ograniczenie — dorzucił generał Pickett.

— Jak mamy ograniczać coś, co ogarnęło cały kraj? Pytanie zadał Cliff Rutledge, podsekretarz stanu.

— Na tym właśnie polega problem — rzekł Ryan. — Dziękuję, generale, dalej ja poprowadzę. Jedyńm sposobem jest zamknięcie wszystkich miejsc, gdzie gromadzą się ludzie

— teatrów, stadionów sportowych, centrów handlowych, urzędów, wszystkiego — a także zawieszenie wszelkiej komunikacji pomiędzy stanami. Wedle dotychczasowych informacji, zaraza nie dotarła jeszcze do co najmniej trzydziestu stanów. Trzeba zrobić wszystko, żeby sytuacja się nie pogorszyła. Dlatego trzeba zakazać wszelkich podróży pomiędzy stanami do czasu, aż będziemy potrafili poradzić sobie z wirusem; wtedy można sięgnąć po mniej radykalne środki.

— Panie prezydencie, to niezgodne z konstytucją — zaprotestował Pat Martin.

— Dokładniej — zażądał Ryan.

— Swoboda przemieszczania się jest jednym z konstytucyjnych praw obywateli. Każde jej ograniczenie, nawet w obrębie stanu, jest pogwałceniem tego prawa, zgodnie z orzeczeniem w sprawie Lemuela Penna; był to czarnoskóry oficer Armii zamordowany przez Klan w latach sześćdziesiątych. W tej sprawie mamy precedensowe orzeczenie Sądu Najwyższego — wyjaśnił

naczelnik wydziału karnego Departamentu Sprawiedliwości.

— Przysięgałem — przepraszam, robiła to większość z obecnych tutaj — bronić konstytucji. Co jednak się stanie, jeśli trzymanie się jej litery oznaczać będzie śmierć dla kilku milionów obywateli? — spytał Ryan.

— Nie wolno nam tego zrobić.

— Generale, co by się stało, gdybyśmy nie wprowadzili blokady? — ku zaskoczeniu Ryana spytał Martin.

— Nie mogę udzielić dokładnej odpowiedzi i w ogóle jest to niemożliwe, jak długo nie wiemy, w jaki sposób wirus się przenosi. Jeśli drogą kropelkową, a są powody, żeby to podejrzewać, wtedy możemy skorzystać z setki symulacji komputerowych. Na którą się zdecydować? Najgorszą? Dwadzieścia milionów zmarłych. W tym wariancie więzi społeczne się rozpadają. Lekarze i pacjenci uciekają ze szpitali, ludzie zamykają się w domach i epidemia sama się wypala, jak to się zdarzyło w czternastym wieku z Czarną Śmiercią. Ludzie przestają się kontaktować, więc nie dochodzi do dalszych zarażeń.

— Dwadzieścia milionów? — Martin wyraźnie pobladł. — Ile ofiar pochłonęła Czarna Śmierć?

— Brak dokładnych danych; w tamtych czasach nie istniały żadne spisy ludności.

Najdokładniejsze informacje dotyczą Anglii, która utraciła połowę ludności. Zaraza trwała cztery lata. Europie potrzeba było stu pięćdziesięciu lat, żeby osiągnęła znowu populację z 1347 roku.

— O, cholera — syknął sekretarz Departamentu Spraw Wewnętrznych.

— Czy grozi nam podobne niebezpieczeństwo, generale? — zapytał Martin.

— Potencjalnie tak. Problem polega na tym, że jeśli odpowiednio wcześniej nie podejmie się właściwych kroków i dopiero potem stwierdza się agresywność epidemii, jest już za późno.

— Rozumiem — powiedział Martin i zwrócił się do Ryana. — Panie prezydencie, nie mamy wielkiego wyboru.

— Ale przecież przed chwilą powiedział pan, że to niezgodne z konstytucją! —

wykrzyknął podsekretarz stanu.

— Panie sekretarzu, konstytucja nie jest umową samobójców. Mogę sobie wyobrazić, jak Sąd Najwyższy podejdzie do tej sprawy, z całą jednak pewnością będzie musiał wziąć pod uwagę argument, że jest ona bezprecedensowa.

— Co wpłynęło na to, że zmieniłeś zdanie, Pat? — spytał Ryan.

— Dwadzieścia milionów powodów, panie prezydencie.

— Jeśli zaczniemy gwałcić prawa przez nas samych ustanowione, do czego dojdziemy?

— spytał Cliff Rutledge.

— Może uda nam się przeżyć — odparł spokojnie Martin.

— Mamy piętnaście minut na dyskusję — oznajmił Ryan. — Potem podejmujemy decyzję.

Spór był ostry.

— Nikt na świecie nie będzie ufał krajowi, który narusza swoją własną konstytucję! — powiedział Rutledge.

— A co z praktycznymi konsekwencjami? — włączyło się Rolnictwo. — Ludzie muszą jeść.

— Jaki kraj przekazemy naszym potomkom, jeśli dzisiaj...

— Żeby im przekazać cokolwiek, musimy przeżyć — zaripostował George Winston.

— To był czternasty wiek, dzisiaj takie rzeczy się nie zdarzają!

— Panie sekretarzu, może pofatygowałby się pan do mojego szpitala? — odezwał się z kąta Alexandre.

— Dziękuję — powiedział Ryan, spoglądając na zegarek. — Stawiam sprawę pod głosowanie.

Obrona, Skarb, Sprawiedliwość i Handel głosowały za; wszyscy pozostali przeciw. Ryan patrzył na nich kilka długich sekund.

— Zwyciężyło „tak” — chłodno oświadczył prezydent. — Dziękuję za pomoc.

Dyrektorze Murray, FBI udzieli wszelkiej koniecznej pomocy CCZ i MICZUSA, jeśli chodzi o zlokalizowanie ognisk epidemii. Ta sprawa ma absolutny priorytet.

— Tak jest, panie prezydencie.

— Panie Foley, wszystkie instytucje wywiadu skupiają się na tej sprawie, konsultujecie się z ekspertami medycznymi. Te zarazki skądś tutaj przybyły, a ktokolwiek to zrobił, użył

przeciwko naszemu krajowi broni masowego rażenia. Ed, musimy się dowiedzieć, kto za to odpowiada. Wszystkie agencje wywiadu podlegają od teraz bezpośrednio tobie, ty koordynujesz ich działalność. Powiedz im, że działasz na podstawie mojego rozkazu.

— Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, sir.

— Panie Bretano, ogłaszam stan narodowego zagrożenia. Natychmiast zmobilizować wszystkie jednostki rezerwy i Gwardii Narodowej; od tej chwili podlegają bezpośrednio dowództwu federalnemu. — Wręczył sekretarzowi obrony teczkę z planem KURTYNA. —

Drugi egzemplarz tego planu jest w Pentagonie. Możliwie jak najprędzej przystąpić do realizacji wariantu czwartego, Samotnik.

— Tak jest, panie prezydencie.

Ryan odnalazł wzrokiem sekretarza Departamentu Transportu.

— Panie sekretarzu, panu podlega kontrola ruchu powietrznego. Natychmiast po przybyciu do gabinetu, niech pan rozkaże wszystkim samolotom, aby, po dotarciu do miejsc przeznaczenia, tam pozostały. Od godziny szóstej po południu zostają wstrzymane wszystkie loty.

— Niestety, panie prezydencie, nie wykonam tego polecenia — sprzeciwił się sekretarz i powstał.

— Uważam je za niezgodne z prawem, a nie mogę przykładać ręki do jego łamania.

— Rozumiem; ze skutkiem natychmiastowym przyjmuję do wiadomości pańską rezygnację ze stanowiska. Pani jest podsekretarzem? — zwrócił się Ryan do siedzącej obok kobiety.

— Tak, panie prezydencie.

— Zgadza się pani wykonać moje polecenie?

Rozejrzała się bezradnie po pokoju. Była urzędniczką nienawykłą do podejmowania ważnych decyzji bez odpowiedniego politycznego parasola.

— Także dla mnie nie jest ono łatwe. — Pokój wypełnił się hukami silników odrzutowca, których przed chwilą wystartował z lotniska Waszyngton-Baltimore. — A jeśli ten samolot wiezie gdzieś śmierć? Czy możemy na to pozwolić? — spytał tak cicho, że kobieta ledwie go dosłyszała.

— Tak, wykonam polecenie, sir.

— Dyrektorze Murray — powiedział były sekretarz Departamentu Transportu, który najwyraźniej nie pogodził się jeszcze ze swą dymisją — powinien pan na miejscu aresztować tego człowieka za łamanie prawa.

— Nie w tej chwili, proszę pana — odparł Murray, patrząc na prezydenta. — Ktoś musi najpierw rozstrzygnąć, które przepisy mają pierwszeństwo.

— Jeśli ktoś z państwa chce się wycofać z prac rządu, nie będę miał do nikogo pretensji, gdy wystąpi z prośbą o dymisję, która zostanie bezzwłocznie przyjęta. Proszę jednak, abyście się zastanowili nad swoimi poczynaniami. Jeśli postępuję niesłusznie, trudno, poniosę za to karę.

Jeśli jednak lekarze mówią prawdę, a my nie zrobimy nic, będziemy mieć więcej krwi na swych rękach niż Hitler. Potrzebna mi wasza pomoc i wasze poparcie.

Ryan powstał i, zanim pozostali zdążyli się podnieść, wyszedł na korytarz. Wpadł do Gabinetu Owalnego, skręcił w prawo do prezydenckiego saloniku i ledwie na czas zdążył do łazienki. Kiedy kilka sekund później znalazła się w niej Cathy, zastała męża klęczącego nad muszlą.

— Czy dobrze robię? — spytał, nie zmieniając pozycji.

— Głosowałabym za — odrzekła Chirurg.

— Dobrze że nie ma przy tym kamer telewizyjnych — zauważył od progu Arnie van Damm.

— Dlaczego w ogóle się nie odezwałeś, Arnie?

— Ponieważ niepotrzebne było panu moje poparcie, panie prezydencie.

W gabinecie czekał generał Pickett w towarzystwie pozostałych lekarzy.

— Sir, właśnie otrzymaliśmy faks z CCZ. Mamy dwa przypadki ebola w Fort Stewart, gdzie stacjonuje 24. Dywizja Zmechanizowana.

Raport specjalny

Wszystko rozpoczynało się od posterunków Gwardii Narodowej, które znajdowały się w każdym niemal mieście i miasteczku amerykańskim. W każdym z nich pełnił dyżur sierżant lub żołnierz, do którego obowiązków należało przyjmowanie telefonów. Tym razem, po podniesieniu słuchawki, rozbrzmiewał w niej głos z Pentagonu, który podawał hasło oznaczające stan gotowości bojowej. Osoba dyżurująca na posterunku musiała następnie powiadomić dowódcę jednostki, co powodowało następne telefony, rozrastające się jak gałęzie drzewa, a każdy kolejny rozmówca miał za zadanie powiadomić kilka dalszych osób. Najwyżsi dowódcy Gwardii w kilkunastu stanach podlegali bezpośrednio gubernatorom, sama zaś Gwardia Narodowa była instytucją, która po części pełniła funkcję milicji stanowej, a w razie potrzeby sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Najwyżsi dowódcy Gwardii, zaskoczeni rozkazem, poinformowali o nim gubernatorów, prosząc o wskazówki, których ci nie mogli udzielić, sami bowiem również nie wiedzieli jeszcze, co się dzieje. Wszelako na poziomie kompanii i batalionów, oficerowie i żołnierze (obu płci) porzucili swe cywilne zajęcia i teraz, już jako niezawodowi wojskowi, pośpieszyli do domów, aby odziać się w zielonkawo-brązowe panterki, naciągnąć ciężkie buty i pognać na posterunki, gdzie formowali się w drużyny i plutony. Zdziwił ich już fakt, że mieli pobrać broń, ale bardziej jeszcze obowiązek zaopatrzenia się w *MOPP*, czyli sprzęt ochronny na wypadek wojny chemicznej, w którym od czasu do czasu musieli odbywać zniechęcające serdecznie ćwiczenia. Pomimo to, nie zabrakło dowcipów i śmiechów, opowieści z pracy, życia rodzinnego i towarzyskiego, podczas gdy oficerowie i starsi podoficerowie zbierali się w salach odpraw, aby się wreszcie dowiedzieć, o co w końcu chodzi. Z krótkich posiedzeń wychodzili poirytowani, stropieni, a ci najlepiej poinformowani — przerażeni. Na zewnątrz posterunków włączono silniki pojazdów, wewnątrz -urządzenia łączności radiowej.

W Atlancie agent główny terenowego oddziału FBI wraz z dziesięcioma podwładnymi zajechał na sygnale pod budynek CCZ. W Waszyngtonie grupa pracowników CIA i innych funkcjonariuszy wywiadu z mniejszą ostentacją dotarła do Hoover Building, aby stworzyć tu połączony zespół zadaniowy. W obu przypadkach chodziło o wykrycie, w jaki sposób rozpoczęła się epidemia, co z kolei miało być punktem wyjścia do ustalenia jej źródła. Nie wszystkie z tych osób były cywilami. Wywiad Departamentu Obrony i Agencja Bezpieczeństwa Narodowego były instytucjami mundurowymi, a ponure miny oficerów wyraźnie powiadały każdego o tym, że zdarzyło się coś zupełnie nowego w historii amerykańskiej. Jeśli istotnie z rozmysłem zaatakowano Stany Zjednoczone Ameryki, to jakieś państwo sięgnęło po to, co ogólnikowo określało się mianem broni masowego rażenia. Swoim cywilnym kolegom wyjaśnili, jaką odpowiedź na taką ewentualność przewidywała doktryna wojenna USA.

Wszystko rozgrywało się zbyt szybko, co było oczywiste, albowiem tego typu katastrofy są czymś, co nie jest łatwo objąć ścisłymi planami. Dotyczyło to także samego prezydenta, który do sali prasowej wkroczył w towarzystwie generała Picketta z MICZUSA. Załedwie pół godziny wcześniej Biały Dom powiadomił główne sieci telewizyjne i radiowe, że prezydent wygłosi oświadczenie, i że w tym przypadku rząd zażąda czasu antenowego, zamiast o niego prosić, co oznaczało, że wszystkie inne zaplanowane programy muszą ustąpić miejsca temu wydarzeniu.

Spikerzy poinformowali odbiorców, że nikt nie wie, czego będzie dotyczyć oświadczenie, niemniej

zaledwie kilka minut wcześniej zakończyło się nadzwyczajne posiedzenie gabinetu.

— Drodzy rodacy! — rozpoczął Ryan, którego głos rozbrzmiał w większości amerykańskich domów i samochodów na drogach. Większość z nich zauważyła bladość twarzy (pani Abott nie miała czasu na żadną kosmetykę) i posepny głos. Wiadomość była jeszcze bardziej posepna.

Także betoniarka zaopatrzona była w radio, co więcej, miała odtwarzacz kaset i płyt kompaktowych, chociaż zasadniczo była narzędziem pracy, zarazem miała służyć wygodzie amerykańskiego obywatela. Znajdowali się teraz w Indianie, przekroczywszy wcześniej tego dnia rzekę Misissipi oraz stan Illinois w swej drodze do stolicy kraju. Holbrook, który nie miał

zamiaru wysłuchiwać żadnego prezydenta, zaczął pstrykać guzikami, tylko po to, by się zorientować, że na wszystkich falach rozbrzmiewa ten sam głos. Było to na tyle niezwykle, iż pozostał w końcu przy którejś stacji. Siedzący za kierownicą Brown zauważył, że coraz więcej pojazdów zjeżdża na pobocze, a ich kierowcy zastygają, pochyleni nad radiami.

— Na mocy dekretu prezydenckiego rząd zarządza, co następuje: Po pierwsze, aż do odwołania zamknięte zostają wszystkie szkoły i uczelnie w kraju.

Po drugie, aż do odwołania zamknięte zostają wszystkie firmy i przedsiębiorstwa, z wyjątkiem tych, których działalność jest niezbędna do zaspokajania podstawowych potrzeb życiowych: a więc zajmujących się przekazem informacji, ochroną zdrowia i prawa, dostarczaniem żywności oraz ochroną przeciwpożarową.

Po trzecie, aż do odwołania zamknięte zostają wszystkie miejsca publicznych spotkań, takie jak teatry, kina, restauracje, bary i tak dalej.

Po czwarte, aż do odwołania zabronione zostaje przemieszczanie się ze stanu do stanu.

Dotyczy to wszystkich samolotów pasażerskich i transportowych, pociągów, autobusów i samochodów prywatnych. Ciężarówki przewożące żywność poruszać się będą pod eskortą wojskową. To samo dotyczy dostaw lekarstw, środków higieny i tym podobnych.

Po piąte, w stan gotowości postawiłem Gwardię Narodową we wszystkich pięćdziesięciu stanach, które podlegają dowództwu federalnemu, aby zapewnić porządek publiczny. W całym kraju obowiązuje teraz prawo stanu wojennego.

Wszystkich obywateli wzywam... Nie, pozwólcie, że będę mówił w sposób mniej oficjalny. Rodaczki i rodacy, po to abyśmy potrafili sprostać temu kryzysowi, potrzeba tylko trochę zdrowego rozsądku. Nie wiemy jeszcze, jak groźna jest to choroba. Zarządzone przeze mnie środki mają charakter przede wszystkim profilaktyczny. Wydają się restrykcyjne i są takie w rzeczywistości. Koniecznymi czyni je, jak już mówiłem, fakt, że wirus ten jest być może najbardziej zabójczym organizmem na całej planecie. Wiemy natomiast, że jakkolwiek jest jadowity, kilka prostych, chociaż uciążliwych przedsięwzięć ograniczy jego zasięg.

Zdecydowałem się na nie w imię bezpieczeństwa całego narodu. Działanie te podejmujemy zgodnie z najlepszą dostępną wiedzą medyczną. Abyście mogli jak najlepiej się chronić, musicie wiedzieć, w jaki sposób epidemia się rozszerza. Obok mnie stoi generał John Pickett, naczelny lekarz Armii, a także specjalista w dziedzinie chorób zakaźnych. Najlepiej, żeby on udzielił wam stosownych porad. Generale, proszę.

I Ryan cofnął się od mikrofonu.

— Kurwa mać! — wykrzyknął Holbrook. — Nie może tego zrobić!

— Tak sądzisz? — mruknął zgryźliwie Brown i także zjechał na pobocze. Znajdowali się o sto sześćdziesiąt kilometrów od granicy Indiany z Ohio. Dwie godziny drogi tą krową. Nie było mowy, żeby zdążyli tam dotrzeć, zanim Gwardia zamknie przejazd.

— Trzeba się rozejrzeć za motelem, Pete.

— Co mam robić? — spytała w Chicago agentka FBI.

— Proszę się przebrać, a ubranie powiesić na drzwiach.

Nie było czasu i miejsca na konwenanse, a poza tym był to przecież lekarz. Gość nie protestował. Klein zdecydował się na pełny strój lekarski z długimi rękawami. Nie wystarczało plastikowych hermetycznych kombinezonów, które zostały przeznaczone dla personelu medycznego. Musieli je mieć, gdyż to oni byli najbliżej, stykali się z płynami ustrojowymi, dotykali pacjentów. W szpitalu było w tej chwili dziewięcioro pacjentów, u których testy wykazały obecność wirusa. Sześcioro spośród nich miało małżonków; w krwi czworga wykryto przeciwciała ebola. Wyniki takich badań niekiedy okazywały się fałszywe, co wcale nie czyniło łatwiejszym przekazania okrutnego przypuszczenia; dostatecznie często musiał już to przeżywać z chorymi na AIDS. Teraz badali dzieci, co było jeszcze bardziej okrutne.

Wręczone agentce ubranie ochronne zrobione było z normalnej bawełny, nasączono ją jednak środkami dezynfekującymi, przede wszystkim maskę. Agentka otrzymała także laboratoryjne, plastikowe okulary, dobrze znane studentom chemii.

— Teraz dobrze — powiedział Klein. — Proszę nie podchodzić zbyt blisko; odległość dwóch metrów powinna być bezpieczna. Proszę się natychmiast wycofać, jeśli pacjentka zacznie wymiotować, kaszleć czy dostanie drgawek. To my się tym zajmujemy, nie pani. Nawet gdyby umierała w pani obecności, nie wolno niczego dotykać.

— Rozumiem. Czy zamknie pan gabinet na klucz? Agentka wskazała na kaburę z bronią.

— Tak. Kiedy pani skończy, proszę mi przekazać notatki, przepuszczę je przez kopiarkę.

— Po co?

— Do wykonania odbitek kopiarka używa jaskrawego światła. Ultrafiolet niemal z całkowitą pewnością zabije wszystkie wirusy, którym udałoby się przedostać na papier —

wyjaśnił Klein.

W Atlancie bardzo intensywnie prowadzono eksperymenty, które miały ustalić odporność wirusa ebola. Ich wyniki pozwolą określić charakter nieodzownych środków zapobiegawczych, przede wszystkim w szpitalach, ale może także i w skali większych populacji.

— Panie prezydencie! — Był to Barry z CNN. — Czy podjęte przez pana kroki są zgodne z prawem?

— Nie potrafię na to odpowiedzieć — rzekł Ryan, z twarzą zmęczoną i ściągniętą. —

Niezależnie od stopnia ich legalności, uważam je za nieodzowne.

Kiedy mówił te słowa, personel Białego Domu rozdawał dziennikarzom maski chirurgiczne, co było pomysłem Arnie'ego. Ściągnięto je z pobliskiego szpitala Uniwersytetu Jerzego Waszyngtona.

— Panie prezydencie, nie może pan jednak łamać prawa. A jeśli okaże się, że pański dekret jednak je narusza?

— Barry, jest zasadnicza różnica pomiędzy moją pracą i twoją. Jeśli ty popełnisz błąd, możesz się z niego wycofać. Nie dalej niż wczoraj widzieliśmy, jak robił to jeden z twoich kolegów. Jeśli jednak w sytuacji takiej jak ta, ja popełnię błąd, jak mam potem odwołać śmierć?

Jak sprostować tysiące wypadków śmiertelnych? Jeśli okaże się, że to co robię, jest niesłuszne, wszyscy rzucicie się na mnie. To jeden z tych aspektów mojego stanowiska, do którego zacząłem się już przyzwyczajać. Może jestem tchórzem. Może brak mi odwagi, aby pozwolić ludziom umierać, kiedy mam możliwość temu zapobiec.

— Ale nie jest pan pewien, czy to się uda?

— Nie — przyznał Jack. — Nikt tego nie wie na pewno. To jedna z sytuacji, kiedy trzeba się oprzeć jedynie na przypuszczeniach. Dużo bym dał za to, żebym mógł mówić z większą pewnością, ale nie mogę, a nie chcę kłamać.

— Kto jest za to odpowiedzialny, panie prezydencie? — spytał inny reporter.

— Także tego nie wiemy i nie chcę wdawać się w spekulacje na temat przyczyny epidemii.

Było to kłamstwo i to ogłoszone w chwilę potem jak oznajmił, że nie chce kłamać, gdyż tego wymagała sytuacja. Co za kretyński świat!

To było najgorsze przesłuchanie w jej życiu. Kobieta, nazwana Przypadkiem Zerowym była atrakcyjna, a przynajmniej była taka dzień czy dwa wcześniej. Skóra, która jeszcze tak niedawno miała barwę kremowo-brzoskwiniową, teraz pożółkła i pokryła się purpurowymi plamami. Co

gorsza, pacjentka wiedziała. Musiała wiedzieć, pomyślała agentka, która skryta za maską, trzymała w rękawiczkach pisak z filcowym końcem („Niczego ostrego, co mogłoby przedziurawić rękawicę!”) i robiła notatki z bezpiecznej odległości. Musiała wiedzieć, że dzieje się wokół niej coś nienormalnego, że pielęgniarki boją się jej dotknąć i że agentka FBI nie śmie zbliżyć się do jej łóżka.

— A oprócz tego wyjazdu do Kansas City?

— Nic więcej — odpowiedziała chora chrapliwym szeptem. — Pracowałam za biurkiem, przygotowując się do zamówień jesiennych. Dwa dni temu byłam w sklepie z artykułami gospodarstwa domowego w MacCormick Center.

Padło jeszcze kilka pytań, ale żadna z odpowiedzi nie zawierała użytecznych informacji.

Agentka chciała się pochylić nad nieszczęsną, pogłaskać ją, uspokoić, dodać otuchy — ale nie, nie wolno! W zeszłym tygodniu dowiedziała się, że jest w pierwszej ciąży. Musiała się teraz troszczyć o dwa istnienia, nie tylko o swoje własne, i jedyne co mogła zrobić, to walczyć z drżeniem dłoni.

— Dziękuję. Gdybyśmy mieli jeszcze jakieś wątpliwości, skontaktujemy się z panią.

Agentka podniosła się z metalowego krzesła i poszła do drzwi. W sąsiednim pokoju czekało ją następne przesłuchanie. Klein był na korytarzu, dyskutując z inną lekarką czy może pielęgniarką.

— Jak poszło? — spytał profesor.

— Jakie ma szansę? — odpowiedziała pytaniem na pytanie agentka.

— Żadnych.

Przy tego typu chorobach los Pacjenta nr O był przesądzony.

— Rekompensata? Mają czelność domagać się rekompensaty? — wybuchnął minister obrony, zanim minister spraw zagranicznych zdążył przemówić.

— Proszę pamiętać, że przekazuję tylko słowa, które kazano mi powtórzyć —

przypomniał Adler.

— Dwóch oficerów waszych Sił Powietrznych zbadało fragmenty pocisku i potwierdziło naszą opinię. To *Pen-Lung-13*, naprowadzany na podczerwień przeciwlotniczy pocisk dalekiego zasięgu, stanowiący ulepszoną wersję konstrukcji rosyjskiej. To tylko potwierdza wcześniejsze dane radarowe. Samolot pasażerski został celowo ostrzelany. Wie pan o tym równie dobrze jak ja. Proszę mi zatem wyjaśnić, panie sekretarzu, jakie stanowisko w tej całej sprawie zajmują Stany Zjednoczone?

— Jedynym naszym celem jest przywrócenie pokoju — Adler powtórzył wcześniejsze zapewnienia.

— Raz jeszcze chciałem wskazać na to, że pozwalając na mój bezpośredni przelot z Pekinu do Tajpej, władze ChRL wykazują pewną dozę dobrej woli.

— Być może tak to ma wyglądać w oczach postronnych obserwatorów, ale proszę mi powiedzieć, panie Adler, o co im naprawdę chodzi?

Nic więcej nie mogę zrobić dla załagodzenia sytuacji, powiedział w duchu sekretarz stanu. Tych dwóch było równie inteligentnych jak on, a na dodatek wściekłych. Co jednak szybko się zmieniło.

Zapukał sekretarz i natychmiast wszedł, wywołując tym irytację swoich szefów; nastąpiła pośpieszna wymiana słów w języku mandaryńskim. Obaj dyplomaci razem przeczytali teleks, inny wręczając Amerykaninowi.

— Obawiam się, panie sekretarzu, że pański kraj ma poważny problem.

Konferencja prasowa została zakończona. Ryan powrócił do Gabinetu Owalnego i usiadł na sofie koło żony.

— Jak poszło?

— Nie oglądałaś?

— Mieliśmy kilka rzeczy do omówienia — powiedziała Cathy. W tej samej chwili pojawił się Arnie.

— Nieźle, szefie — pochwalił. — Wieczorem musimy się spotkać z przedstawicielami Senatu. Właśnie skończyłem to omawiać z szefami obu partii. Dzisiejsze wybory zajdą w związku z tym na drugi plan...

— Arnie, aż do odwołania nie podejmujemy teraz problemów politycznych. Polityka to kwestia ideologii i teorii; teraz jest miejsce tylko dla twardych faktów — oznajmił Miecznik.

— Tak łatwo od niej nie uciekniesz, Jack. Polityka jest bardzo realna, a jeśli, jak mówił

generał, był to przemyślany atak, mamy wojnę, a wojna jest działaniem politycznym. Kierujesz pracami rządu, musisz pokierować Kongresem, a to wszystko jest polityką. Nie jesteś filozofem na tronie, lecz prezydentem demokratycznego państwa — przypomniał van Damm.

— Dobrze — westchnął ciężko Ryan. — Co jeszcze?

— Dzwonił Bretano. Plan KURTYNA jest w trakcie wprowadzania w życie. Za kilka minut kontrolerzy nakażą samolotom pozostać w portach docelowych. Przypuszczam, że już teraz jest sporo chaosu na lotniskach.

— Z pewnością — mruknął Jack i przetarł oczy.

— Panie prezydencie, nie miał pan wielkiego wyboru — odezwał się generał Pickett.

— Jak wrócę do Hopkinsa? — spytał Alexandre. — Kieruję oddziałem i mam pacjentów pod opieką.

— Powiedziałem Bretano, że trzeba ludziom pozwolić na wyjazd z Waszyngtonu, podobnie jak z innych dużych miast na Wschodnim Wybrzeżu. Muszą przecież wrócić do domów, prawda?

Pickett przytaknął.

— W domach są bezpieczniejsi. Realistycznie można zakładać, że plan zacznie być w pełni realizowany nie wcześniej niż od północy.

Głos zabrała Cathy.

— Alex, będziesz mógł zabrać się ze mną. Ja także muszę lecieć do Baltimore.

— Co takiego? — zapytał z niedowierzaniem w głosie Ryan.

— Jack, ja także jestem lekarzem, zapomniałeś?

— Cathy, jesteś okulistką; są teraz ważniejsze sprawy od okularów.

— Podczas rady wydziału postanowiono, że wszyscy muszą się włączyć. Nie możemy wszystkiego zrzucić na pielęgniarki i stażystów. Jestem klinicystką; wszyscy musimy stawić się do pracy.

— Nie, to zbyt niebezpieczne — powiedział z pasją Jack. — Nie pozwalam ci.

— Jack, nigdy mi nie mówiłeś o niebezpieczeństwach, na jakie sam się wystawiałeś, gdy wypełniałeś swoje obowiązki. Jestem lekarzem.

— Niebezpieczeństwo nie jest aż tak wielkie, panie prezydencie — wtrącił się Alexandre

— trzeba tylko przestrzegać ustalonych procedur. Ja codziennie kontaktuję się z pacjentami chorymi na AIDS i...

— Nie, nie pozwalam!

— Bo jestem twoją żoną? — spytała spokojnie Caroline Ryan. — Jack, ja także pełna jestem obaw, ale wykładam na uczelni medycznej i mówię młodym ludziom, co to znaczy być lekarzem i jaka wiąże się z tym odpowiedzialność. Jednym z jej wymogów jest to, żeby nie opuszczać pacjentów. Nikt z nas nie może uciec od swoich obowiązków.

— Chciałbym przyjrzeć się zatwierdzonym przez ciebie procedurom, Alex — powiedział

Pickett.

— Oczywiście, John.

Jack wpatrywał się w twarz żony. Wiedział, że jest silna, miał także świadomość tego, że styka się czasami z pacjentami chorymi zakaźnie — AIDS powoduje niekiedy poważne komplikacje okulistyczne — nigdy się jednak nad tym poważniej nie zastanawiał. Teraz jednak musiał.

— A jeśli...

— Nie. Muszę być ostrożna. Wydaje mi się, że znowu ci się udało. — Pocałowała go na oczach wszystkich. — Mój mąż ma najlepsze na świecie wycucie czasu — oznajmiła zebrany.

To już było odrobinę za wiele dla Ryana. Wargi mu lekko drgnęły, a w oczach zakręciły się łzy. Zamrugał powiekami.

— Proszę cię, Cathy...

— A czy posłuchałbyś mnie w drodze na ten okręt podwodny, Jack?

Pocałowała go raz jeszcze i wyszła.

Odezwało się trochę głosów sprzeciwów, ale nie tak wiele. Czterech gubernatorów poleciło swoim generałom-asystentom — tradycyjny tytuł najwyższego rangą oficera Gwardii Narodowej w danym stanie — aby nie podporządkowali się prezydenckim rozkazom. Trzech z nich wahało się do chwili telefonu od sekretarza obrony, który zagroził im natychmiastową dymisją, aresztowaniem i sądem wojennym. Szeptano gdzieś o zorganizowanym proteście, ten jednak wymagałby czasu, a zielone pojazdy już ruszyły, często po drodze otrzymując zmienione rozkazy, jak rzecz się miała z Kawalerią Filadelfijską, jednym z najstarszych i najbardziej szacownych oddziałów wojsk lądowych, którego żołnierze dwa wieki wcześniej eskortowali Jerzego Waszyngtona na miejsce przysięgi prezydenckiej, a teraz ruszyli pełnić straż przy mostach na Deleware River. Lokalne stacje telewizyjne i radiowe informowały, że wszyscy podróżni bez ograniczeń mogą wracać do domów do godziny dziewiątej, a potem —

na podstawie dokumentów osobistych. Jeśli nie powodowało to trudności, pozwalano wracać ludziom do miejsc zamieszkania, a chociaż tak zdarzało się najczęściej, to jednak nie zawsze, wypełniły się zatem wszystkie motele jak Ameryka długa i szeroka.

Na wiadomość, że szkoły będą zamknięte przynajmniej przez tydzień, dzieci reagowały wybuchami radości, zdziwione zatroskaniem czy nawet przerażeniem rodziców.

W aptekach w przeciągu kilkunastu minut zabrakło maseczek higienicznych, a większość pracowników zorientowała się w przyczynie nagłego runu dopiero po włączeniu odbiorników radiowych.

W Pittsburghu, o dziwo, do agentów Tajnej Służby, którzy troszczyli się o bezpieczeństwo Ryana podczas wizyty, wiadomość dotarła dość późno. Podczas gdy większość ekipy zebrała się w

hotelowym barze, aby wysłuchać wystąpienia prezydenta, Raman oddalił się do budki telefonicznej. Zadzwoił do domu, odczekał cztery sygnały, a kiedy włączyła się sekretarka automatyczna, wystukał kod pozwalający wysłuchać nagranych wiadomości. Jak poprzednio, jeden okazał się pomyłką: informował o nadejściu dywanu, którego Raman nie zamawiał, i o cenie, której nie zamierzał płacić. Raman poczuł na plecach chłód. Miał teraz wolną rękę w kwestii, jak wykonać powierzone mu zadanie. Zrobić to miał możliwie jak najszybciej; oczekiwano, że sam zginie przy tej okazji. Wchodząc do baru myślał z lekkim zdziwieniem, że nie przeraża go takie zakończenie, chociaż może uda mu się go uniknąć. Trzech agentów stało naprzeciwko telewizora. Kiedy ktoś zaprotestował, że zasłaniają obraz, błysnęli odznakami służbowymi.

— Do cholery jasnej! — zwrócił się do reszty najstarszy funkcjonariusz z Pittsburgha. —

I co teraz robimy?

Najwięcej kłopotów było z lotami międzynarodowymi. Wiadomość dopiero teraz docierała do ambasad w Waszyngtonie, które swoim rządowi przekazały informacje o zagrożeniu, ale w Europie większość mężów stanu była w domach i układała się już do snu, kiedy rozdzwoniły się telefony. Musieli teraz dotrzeć do swoich gabinetów, zebrać najbliższych współpracowników i zdecydować, co robić, ale długotrwałość przelotu przez ocean zapewniła najczęściej odpowiednią rezerwę czasu. Postanowiono, że pasażerów, którzy przylatują ze Stanów Zjednoczonych trzeba będzie poddać kwarantannie. W błyskawicznych rozmowach z Amerykańskim Federalnym Zarządem Lotnictwa uzgodniono, że wszystkie samoloty lecące do USA wylądują, uzupełnią paliwo, a potem, nie otwierając nawet drzwi, powrócą do Europy.

Uznano, że pasażerowie nie mieli okazji ulec zarażeniu, pozwolono więc im rozjechać się do domów, chociaż przy okazji popełniono kilka biurokratycznych pomyłek.

To że trzeba będzie zamknąć wszystkie instytucje giełdowe i bankowe stało się oczywiste po tym, gdy do centrum medycznego Uniwersytetu Northwestern dotarł z objawami ebola pacjent, który większość czasu spędzał na pełnym zgiełku parkiecie giełdy zbożowej w Chicago.

Wszystkie giełdy papierów wartościowych i towarowe miały zostać zamknięte, a cały świat biznesu i finansów natychmiast zaczął zastanawiać się nad tym, jak to się odbije na ekonomii.

Większość ludzi wpatrywała się w telewizję. Każda stacja znalazła sobie jakiegoś eksperta medycznego, który udzielał widzom wyjaśnień, najczęściej nazbyt szczegółowych i fachowych.

Telewizje kablowe przedstawiały specjalne raporty naukowe na temat epidemii w Zairze, pokazując skalę możliwych spustoszeń. W rezultacie cały kraj popadł w stan cichej paniki: ludzie sprawdzali zapasy w zamrażarkach i spiżarniach, oglądali audycje, albo w odruchu desperacji usiłowali je ignorować. Rozmowy sąsiedzkie odbywały się, jeśli w ogóle, na odległość.

Zanim w Atlancie dobiegła godzina dwudziesta, liczba zarejestrowanych przypadków sięgnęła pięciu setek. Był to bardzo ciężki dzień dla Gusa Lorenza, który krążył nieustannie pomiędzy laboratorium a gabinetem. Niebezpieczeństwo na jakie narażał się on i współpracownicy było tym większe, że pośpiech i zmęczenie groziły pomyłkami. Na co dzień było to ustronne, jedno z najlepiej

wyposażonych na świecie laboratoriów, w którym ludzie przywykli do pracy spokojnej i uporządkowanej. Teraz rozpętało się piekło. Napływające nieprzerwanym strumieniem próbki krwi trzeba było ewidencjonować, testować, a wyniki wysyłać do odpowiednich placówek. Lorenz przez cały dzień starał się tak rozdzielić zadania pośród swych podwładnych, żeby nie pojawiły się żadne przerwy w pracy, a zarazem, żeby nikt nie był nadmiernie obciążony. Zasady te zamierzał stosować także do samego siebie; kiedy wszedł do gabinetu, żeby uciąć sobie drzemkę, zobaczył, iż ktoś na niego czeka.

— FBI — oznajmił mężczyzna i wyciągnął dłoń z odznaką. Był to miejscowy główny agent, najstarszy funkcjonariusz w oddziale terenowym, który zarządzał podległą mu instytucją za pomocą telefonu komórkowego. Był wysokim, spokojnym człowiekiem, niełatwo wpadającym w podniecenie. Swym podwładnym nieustannie powtarzał, że w sytuacjach kryzysowych przede wszystkim muszą myśleć. Nigdy nie zabraknie czasu, żeby spieprzyć sprawę.

— Czym mogę służyć? — spytał Lorenz.

— Panie profesorze, musi mnie pan trochę oświecić. Wraz z kilkoma innymi agencjami Biuro próbuje ustalić, jak się to wszystko rozpoczęło. Przepytyjemy ofiary, kiedy i w jakiej sytuacji każda z nich dostrzegła pierwsze objawy, a także jak mogło dojść do zarażenia. Z tego co słyszałem, pan należy do głównych ekspertów. Gdzie to się zaczęło?

W Armii nie wiadomo, gdzie to się zaczęło, ale nie ulegało wątpliwości, że epidemia nie ominęła wojska. Pierwszy meldunek nadszedł z Fort Stewart w Georgii. Niemal każda baza znajdowała się w pobliżu co najmniej jednego dużego skupiska miejskiego. Z Fort Stewart można było szybko dojechać do Savannah i Atlanty. Z Fort Hood było blisko do Dallas, z Fort Campbell do Nashville, gdzie Vanderbilt informował o pierwszych zachorowaniach. Personel baz stacjonował najczęściej w koszarach, gdzie wspólne były jadalnie, ubikacje i łazienki; oficerowie byli autentycznie przerażeni. Najgorsza sytuacja panowała w Marynarce. Okręty stanowiły wydzielone terytoria. Tym, które znajdowały się na morzu, nakazano tam pozostać do czasu, gdy sytuacja na lądzie się wyjaśni. Wkrótce uznano, że zagrożona jest każda duża baza i chociaż niektórym oddziałom — głównie Armii i żandarmerii — pozwolono wzmocnić szeregi Gwardii Narodowej, to jednak lekarze wojskowi czujnie obserwowali wszystkich podwładnych, szybko wykrywając pojedyncze niepokojące objawy; podejrzanych natychmiast izolowano i w ochronnych strojach *MOPP* odstawiano helikopterem do najbliższego szpitala, który przyjmował

chorych na ebolę. Do północy stało się jasne, że jak na razie Armię USA trzeba traktować jak zarażoną. Do Narodowego Centrum Sił Zbrojnych spływały bezzwłocznie informacje, w których jednostkach odkryto niebezpieczne symptomy, i na tej podstawie izolowano całe bataliony, których członkowie karmili się żelaznymi racjami — jako że mesy pozamykano — i w napięciu wypatrywali niewidzialnego i podstępного wroga.

— O, Boże, John!

Chavez kręcił z niedowierzaniem głową.

Clark siedział w milczeniu. Jego żona, Sandy, była instruktorką w szkole pielęgniarskiej, co

znaczyło, że jej życiu groziło dodatkowe niebezpieczeństwo. Pracowała na oddziale szpitalnym, gdzie zostanie dostarczony każdy pacjent podejrzany o ebolę, Sandy zaś będzie musiała pokazać swoim uczennicom, jak bezpiecznie się nim zająć.

Bezpiecznie? — zapytał w duchu. W pamięci ożyły mroczne wspomnienia i napłynęła trwoga, której nie znał od lat. Ta napaść na jego kraj — nikt tego jeszcze oficjalnie nie potwierdził, Clark jednak nie wierzył w zbiegi okoliczności — naraziła na niebezpieczeństwo o wiele bardziej jego żonę, niż jego samego.

— Jak myślisz, kto to zrobił?

Było to głupie pytanie, na które padła niewiele mądrzejsza odpowiedź.

— Ktoś, kto nas okropnie nie lubi — odparł kwaśno John.

— Przepraszam. — Chavez zamyślony wpatrywał się przez chwilę w okno. — To paskudny numer, John.

— Wokół czegoś takiego musi być utrzymana ścisła tajemnica operacyjna.

— Zgoda, panie C. Sądziś, że to faceci, za którymi już węszyliśmy?

— Jedna z możliwości. Pewnie jest ich więcej, niż sądziliśmy. Spojrzał na zegarek. W

każdej chwili należało się spodziewać powrotu Foleya z Waszyngtonu, powinni więc pójść do jego gabinetu. Był już na miejscu.

— Cześć, John — powiedział zza biurka.

Zobaczyli też Mary Pat.

— To nie przypadek, prawda? — bardziej stwierdził niż zapytał Clark.

— Nie. Tworzymy grupę zadaniową. FBI przesłuchuje ludzi w całym kraju. Jeśli złapiemy jakieś poszlaki, do nas będzie należała praca za granicą. Wy dwaj tym pokierujecie.

Zastanawiam się teraz, jak przerzucić ludzi na zewnątrz.

— SOW? — spytał Ding.

— Wszystko inne schodzi na drugi plan. Jack podporządkował mi nawet Agencję Bezpieczeństwa Narodowego i wywiad Departamentu Obrony.

Chociaż obie te instytucje na mocy prawa podlegały dyrektorowi CIA, to jednak, jak wszystkie inne duże agencje wywiadowcze, w praktyce stanowiły niezależne imperia. Aż do teraz.

— Jak dzieciaki? — spytał Clark.

— W domu — odparła Mary Pat. Mogła być królową wywiadu, ale zarazem była matką ze wszystkimi matczynymi troskami. — Mówią, że czują się dobrze.

— Broń masowego rażenia — mruknął Chavez.

— Tak — pokiwał głową dyrektor.

Ktoś albo nie zwrócił uwagi, albo zlekceważył to, że w tej kwestii doktryna wojskowa Stanów Zjednoczonych była jednoznaczna: odpowiedzią na broń masowego rażenia jest broń masowego rażenia. Jeśli ktoś zaatakuje USA przy użyciu zarazków lub gazu, one odpowiedzą bronią nuklearną, gdyż tę mają, nie dysponują zaś tamtymi.

Na biurku zadzwonił telefon. Foley podniósł słuchawkę, powiedział: — Słucham? — a po kilku chwilach rzucił: — Możecie tutaj przysłać odpowiedni zespół? Dobrze, dziękuję.

— Kto to był?

— MICZUSA z Fort Detrick. Będą tu za godzinę. Możemy wysłać ludzi za granicę, ale najpierw muszą poddać się badaniu krwi. Europa... sami wiecie jak to jest. Do Anglii nie możesz wwieźć głupiego psiaka, jeśli nie oddasz go na miesiąc, żeby stwierdzili, czy czasem nie ma pcheł. Pewnie będziecie się musieli przebadać także po drugiej stronie sadzawki, podobnie jak piloci.

— Nie jesteśmy spakowani — powiedział Clark.

— Kup wszystko, czego ci potrzeba na miejscu, John — prychnęła Mary Pat, ale zaraz dodała: — Przepraszam.

— Mamy jakieś poszlaki?

— Jak na razie nie, ale coś musi wypłynąć. Nie można rozkręcić takiej sprawy, nie zostawiając absolutnie żadnych śladów.

— Jest w tym wszystkim coś dziwnego — powiedział Chavez, wpatrzony w podłogę wąskiego pokoju na najwyższym piętrze. — John, pamiętasz, co ci wczoraj mówiłem?

— Nie. Co takiego?

— Że niektóre posunięcia pozostają bez odwetu, gdyż powodują nieodwracalne zmiany.

A jeśli ten zamach był związa...

— Za wielka skala — sprzeciwiła się Mary Pat. — Zbyt misterna organizacja.

— Świetnie, ale gdyby jednak tak właśnie było, to przecież moglibyśmy z całej doliny Bekaa zrobić jeden wielki parking, a kiedy już zmalowałyby promieniowanie, wysłać piechotę morską, żeby wymalowała pasy. To żadna tajemnica. Zrezygnowaliśmy z rakiet balistycznych, ale nadal mamy bomby atomowe. Każdy kraj możemy spopielić doszczętnie, a prezydent Ryan jest w stanie to zrobić. Widziałem go w akcji: to nie jest facet, który kładzie uszy po sobie.

— Zatem? — ponaglił dyrektor CIA, oszczędzając sobie uwagi, że nic nie jest takie proste. Zanim Ryan czy ktokolwiek inny wydałby rozkaz o nuklearnym odwecie, dowody musiałyby być na tyle silne, aby ostać się wobec dociekliwości Sądu Najwyższego. Osobiście uważał, że Ryan zdolny byłby do takiego posunięcia tylko w bardzo szczególnych okolicznościach.

— Zatem ten kto się na to zdecydował, musi uważać, że jest bez znaczenia, czy wykryjemy sprawców, albo że nie zdobędziemy się na nuklearną odpowiedź. Chociaż...

Istniała chyba jeszcze trzecia możliwość, ale nie potrafił jej dokładnie uchwycić.

— Albo zdecydowany jest usunąć prezydenta — dokończyła Mary Pat. — W takim razie, po co wcześniejszy napad na córkę? Przecież to tylko zagęszcza ochronę wokół niego, utrudnia, a nie ułatwia zamach. Naraz dzieje się wiele rzeczy. Chińczycy. ZRI. Flota indyjska chyłkiem wypływa w morze. Tutaj cała ta polityczna zawierucha, a teraz jeszcze ebola. To wszystko nie układa się w jeden obraz.

— Z wyjątkiem tego, że każde kolejne zdarzenie cholernie utrudnia nam życie, prawda?

W pokoju zapadła cisza.

— Chłopak ma chyba rację — mruknął Clark pod adresem Foleyów.

— Zawsze zaczyna się w Afryce — mówił Lorenz i nabijał fajkę. — To tam żyje wirus.

Kilka miesięcy temu znowu uderzył w Zairze.

— Nie było żadnych wiadomości — zauważył agent FBI.

— Tylko dwie ofiary, młody chłopak i pielęgniarka, chyba zakonnica, w każdym razie zginęła w wypadku samolotowym. Potem podobne zdarzenie w Sudanie, też dwie ofiary, dorosły mężczyzna i mała dziewczynka. On umarł, ona przeżyła. Dwa tygodnie temu. Mamy próbkę krwi Przypadku Zerowego, nad którą teraz prowadzimy badania.

— Jak to się robi?

— Hodujemy wirusy w specjalnie spreparowanych tkankach. W nerkach małp, chociaż tym razem...

Widać było, że Lorenz o czymś sobie przypominał.

— Co takiego?

— Złożyłem zamówienie na kilka zielonych małpek afrykańskich. Z tych korzystamy; usypia się je i usuwa nerki. Ktoś jednak mnie uprzedził i musiałem trochę poczekać na dostawę.

— Wie pan, kto to był?

Lorenz pokręcił głową.

— Nie. Opóźniło to mnie o tydzień, może dziesięć dni, nie więcej.

— Kto jeszcze może się interesować tymi małpami?

— Firmy farmaceutyczne, laboratoria medyczne i tak dalej.

— Z kim mogę o tym porozmawiać?

— Mówi pan poważnie?

— Jak najbardziej.

Lorenz wzruszył ramionami i sięgnął po notatnik.

— Proszę, tu są wszystkie dane.

Rozmowę przy śniadaniu udało się szybko zorganizować. Ambasador David L. Williams wysiadł z samochodu i został wprowadzony do oficjalnej rezydencji premiera. Był wdzięczny, że spotkanie nastąpiło o tak wczesnej porze. Indie potrafiły zamieniać się w piec hutniczy, on zaś miał już swoje lata i upał bywał dla niego bardzo uciążliwy, szczególnie że musiał nosić się jak ambasador, nie zaś gubernator Pensylwanii, gdzie spokojnie można było wystąpić w stroju robotnika. Tutaj robotnicy odziewali się w sposób bardzo niewyszukany, co sprawiało, że klasy wyższe tym większą wagę przywiązywały do symboli statusu. A przy tym lubili siebie nazywać największym demokratycznym krajem na świecie, pomyślał wiekowy dyplomata. Też coś.

Premier siedziała już za stołem. Podniosła się na powitanie, podała rękę gubernatorowi i zaprowadziła go na miejsce. Porcelanowe talerze miały złożone obrzeża, a służący w liberiach natychmiast pojawili się z kawą. Śniadanie rozpoczęło się od melona.

— Dziękuję, że zechciała mnie pani przyjąć — rozpoczął Williams.

— Jest pan zawsze mile widzianym gościem, ambasadorze — odpowiedziała grzecznie.

Mniej więcej tak jak wąż, dodał w myślach ambasador. Niezobowiązująca wymiana zdań trwała dziesięć minut. Małżonkowie mieli się dobrze. Dzieci podobnie. Wnuki znakomicie. Tak, czym bliżej lata, tym cieplej.

— Jaki problem sprowadza pana do mnie?

— Rozumiem, że wasza flota wypłynęła w morze.

— Tak, zdaje się, że tak. Po uszczerbkach, jakie zadały nam wasze siły, musieliśmy reperować okręty. Teraz kapitanowie chyba sprawdzają pracę silników.

— Więc chodzi jedynie o ćwiczenia? — upewnił się Williams. — Zadaję to pytanie w imieniu mojego rządu.

— Panie ambasadorze, czuję się w obowiązku przypomnieć panu, że jesteśmy suwerennym narodem. Nasze siły zbrojne działają w ramach naszego prawa, a wy nie ustajecie w przypomnieniach, że morze jest dostępne dla swobodnej żeglugi dla wszystkich. Czyżby chciał

pan nam odmówić tego prawa?

— Absolutnie nie, pani premier. Czujemy się jedynie zaskoczeni skalą ćwiczeń, jakie zostały przez was podjęte.

Przy tak skąpych zasobach, dopowiedział w duchu.

— Panie ambasadorze, nikt nie lubi być szykanowany. Raptem kilka miesięcy wcześniej fałszywie oskarżyliście nas o wrogie zamiary wobec jednego z naszych sąsiadów. Zagroziliście naszemu krajowi, a nawet dokonaliście napadu na naszą flotę, uszkadzając okręty. Czym sobie zasłużyliśmy na tak wrogie posunięcia? — powiedziała premier Indii i wyprostowała się w krześle.

„Wrogie posunięcia” to fraza, po którą w języku dyplomacji nie sięgało się niefrasobliwie ani przypadkowo.

— Chcę zauważyć, pani premier, że nie było takich posunięć. Jeśli zdarzyły się jakieś dezinterpretacje, zapewne pojawiły się one po obu stronach i, właśnie, aby zapobiec na przyszłość tego typu błędom, pozwoliłem sobie zadać proste pytanie. Nie wysuwamy żadnych gróźb, chcielibyśmy się jedynie dowiedzieć, jakie są zamiary waszej marynarki.

— Odpowiedzi już udzieliłam. Przeprowadzamy ćwiczenia. — Chwilę wcześniej tylko jej się „wydawało”, że odbywają się jakieś ćwiczenia, teraz była już tego znacznie bardziej pewna.

— To wszystko.

— Rozumiem, to odpowiedź na moje pytanie — powiedział Williams z uprzejmym uśmiechem. Myślała, że jest bardzo sprytna; Williams jednak dojrzywał politycznie w jednym z najtrudniejszych amerykańskich środowisk politycznych, pośród pensylwańskich demokratów, gdzie udało mu się przebić na szczyt. Spotykał takich ludzi na kopy, może tylko mniej świętoszkowatych. Kłamstwo weszło im tak bardzo w nawyk, że byli pewni, iż zawsze ujdzie im na sucho. — Dziękuję pani premier.

Bitwa skończyła się klęską, pierwszą w tej turze ćwiczeń. Fatalna koordynacja, myślał

Hamm, patrząc na pojazdy, które wracały zakurzoną drogą. Goście z Karoliny wpadli w zasadzkę tuż

po wystąpieniu prezydenta. Byli gwardzistami, znajdowali się daleko od domu, gdzie zostały ich rodziny. Trudno im było się skupić, gdyż nie mieli czasu nawet na to, by zadzwonić i upewnić się, że wszystko w porządku z rodzicami, dziećmi i dziewczynami. Zapłacili za to podczas starcia, ale jako zawodowy żołnierz Hamm wiedział, że nie umniejsza to jednak wartości brygady z Karoliny. Nie doszłoby do tego na polu prawdziwej bitwy. Jakkolwiek realistyczne warunki zapewniał NOS, wszystko tutaj było jednak tylko grą. Jeśli ktoś umierał, to tylko na skutek nieszczęśliwego wypadku, podczas gdy do domów zaglądała śmierć jak najprawdziwsza.

Krew pobrał Clarkowi i Chavezowi sanitariusz, który przeprowadził także badanie.

Przyglądali się temu z ponurą fascynacją, szczególnie, że podoficer był w rękawiczkach i masce.

— Obaj jesteście czyści — oznajmił po trzydziestu minutach i sam przy tym odetchnął.

— Dzięki, sierżancie — powiedział Chavez.

Więc to wszystko dzieje się naprawdę. W jego ciemnych latynoskich oczach pojawiło się coś więcej niż ulga.

Podobnie jak John, Domingo wczuwał się już w nową misję.

Wsiedli do służbowego auta, żeby pojechać do Andrews. Ulice w centrum Waszyngtonu były nienormalnie puste. Dzięki temu szybciej się wprawdzie jechało, ale wcale nie zmniejszył

się dręczący ich niepokój. Na jednym z mostów musieli się zatrzymać i czekać, aż zostaną skontrolowane trzy samochody przed nimi. W poprzek jezdni idącej na wschód stał *Hummer* Gwardii Narodowej. Clark zahamował i pokazał legitymację ze zdjęciem.

— CIA — powiedział żołnierzowi żandarmerii.

— Jedźcie — mruknął gwardzista.

— Więc dokąd teraz, panie C?

— Do Afryki przez Azory.

Dochodzenie

Spotkanie z przywódcami Senatu przebiegło zgodnie z oczekiwaniami. Od początku odpowiedni nastrój nadały mu maski chirurgiczne, których rozdanie znowu było pomysłem van Damma. Generał Pickett poleciał do Hopkinsa, żeby na miejscu sprawdzić, co tam się dzieje, ale zdążył powrócić, a jego omówienie sytuacji stanowiło główną część posiedzenia. Piętnastu senatorów, którzy zebrali się w Pokoju Wschodnim, słuchało w posępnym skupieniu i tylko ich oczy jarzyły się nad białymi maseczkami.

— Mnie się nie podobają pańskie decyzje, panie prezydencie — odezwał się jeden, a Jack nie potrafił rozpoznać po głosie, który.

— A myśli pan, że mnie się podobają? — odparł. — Jeśli ktoś ma lepszy pomysł, zamieniam się w słuch. Musiałem oprzeć się na medycznych informacjach, których mi udzielono.

Jeśli ten wirus jest tak zabójczy, jak mi powiedziano, najmniejsza niefrasobliwość zaowocuje tysiącami, a nawet milionami ofiar śmiertelnych. Jeśli ma być czegoś w nadmiarze, to niech to będzie ostrożność.

— Co jednak z prawami obywatelskimi? — odezwał się drugi głos.

— Czy którekolwiek z nich ważniejsze jest od prawa do życia? — spytał z pasją Jack. —

Panowie, jeśli ktokolwiek widzi lepsze rozwiązanie, niech je przedstawi, a obecny tu z nami jeden z najlepszych ekspertów w sprawach epidemiologii będzie mógł je natychmiast ocenić. Nie zamierzam jednak wysłuchiwać zastrzeżeń, które nie mają na swoje poparcie naukowych faktów.

Konstytucja i prawo nie są w stanie przewidzieć wszystkich możliwych okoliczności. W takich przypadkach jak ten, musimy przede wszystkim odwołać się do naszego rozumu...

— Przede wszystkim musimy odwoływać się do zasad! — zawołał obrońca swobód obywatelskich.

— Świetnie, porozmawiajmy o nich! Jeśli istnieje jakieś inne rozwiązanie, które pozwoli krajowi żyć i funkcjonować, z najwyższą chęcią je poznam. I wybierajmy. Ale muszę mieć jakąś alternatywę! Liczy się każdy pomysł, ale użyteczny!

Zapadła cisza i tylko krzyżowały się spojrzenia rozrzuconych po sali senatorów.

— Czy musiał się pan tak śpieszyć?

— Chodzi o ludzkie życie, ty durniu! — warknął jeden z senatorów na szacownego kolegę. Pewnie jest z nowego naboru, pomyślał Jack, i nie zdążył się jeszcze nauczyć klasycznych mantr Waszyngtonu.

— A jeśli się pan myli, panie prezydencie?

— Postawicie mnie przed sądem, jeśli taka będzie wola Izby, a decyzje niech podejmuje ktoś inny i niech Bóg ma go w swojej opiece. Panowie, w tej chwili w szpitalu Johna Hopkinsa znajduje się moja żona, która zaraz rozpocznie dyżur i będzie się opiekować pacjentami z ebola.

Nie myślicie chyba, że chciałem także tego. Zależy mi na waszym poparciu, ale z nim czy bez niego, nawet gdybym miał zostać samotny jak palec, muszę wykonywać swoje obowiązki najlepiej, jak potrafię. Powtarzam jednak raz jeszcze: jeśli ktoś ma lepszy pomysł, niech mówi.

Nikt się nie odezwał i trudno było za to winić zebranych; mieli jeszcze mniej czasu na zastanowienie niż prezydent.

W sklepie mundurowym w Andrews Siły Powietrzne zafundowały im mundury tropikalne, albowiem ich waszyngtońskie ubrania były trochę zbyt ciepłe. Uniformy stanowiły też dobry kamuflaż. Clark dostał srebrne orły pułkownika, Chavez został majorem; srebrne skrzydła pilota i baretki otrzymał od załogi *VC-20B*. Na pokładzie były dwa zespoły pilotów.

Zastępcza załoga spała na dwóch najdalej wysuniętych fotelach pasażerskich.

— Zupełnie nieźle jak na podoficera grupy uposażeniowej E-6 w stanie spoczynku — powiedział Ding, chociaż mundur leżał nie najlepiej.

— Zupełnie nieźle jak na E-7 w stanie spoczynku, przy czym macie jeszcze dodawać „sir”, majorze Chavez.

Była to jedyna chwila wesołości. Wojskowa wersja *Gulfstreama* miała na pokładzie tonę sprzętu łącznościowego i sierżanta-kobietę do jego obsługi. Faksów napływało tyle, że w drodze do Kinszasy, już nad Wyspami Zielonego Przylądka groziło, że zabraknie papieru.

— Następny przystanek w Kenii, sir — odezwała się sierżant. — Mają się panowie skontaktować z jakimś specjalistą od małp.

Clark sięgnął po wydruk — ostatecznie to on był pułkownikiem — podczas gdy Chavez zastanawiał się, jak pasują baretki do niebieskiej koszuli mundurowej. Ostatecznie pomyślał, że nie powinien się specjalnie przejmować. Siły Powietrzne nie były tak naprawdę wojskiem; przynajmniej tak uważano w zwiadzie Armii, w którym ongiś służył.

— Spójrz — powiedział John i podał mu papier.

— Przynajmniej jakiś trop — zauważył natychmiast Ding. Wymienili spojrzenia. Mieli zebrać informacje o żywotnym znaczeniu dla kraju i do tego sprowadzało się ich zadanie. Na razie. Żaden z nich nie powiedziałby „nie”, gdyby przy okazji można było zrobić coś jeszcze.

Obaj byli agentami wydziału operacyjnego CIA, ale obaj byli także żołnierzami (w przypadku Clarka

były to oddziały specjalne Marynarki SEAL) i często otrzymywali zadania paramilitarne, które większość czystych szpiegów uznawała za nieco nazbyt ekscytujące. Ileż jednak dające satysfakcji, pomyślał Chavez. Nauczył się już panować nad swym latynoskim temperamentem, pociągała go jednak myśl o wykryciu sprawców napaści na jego kraj i potraktowaniu ich po żołniersku.

— Znasz go lepiej ode mnie, John. Jak się zachowa?

— Ryan? — Clark wzruszył ramionami. — To zależy od tego, co mu przywieziemy, Domingo. Takie otrzymaliśmy zadanie.

— Tak jest, sir — z powagą odpowiedział młodszy z agentów.

Prezydent nie spał dobrze tej nocy, chociaż zgadzał się z panującą w Białym Domu opinią: sen jest warunkiem podejmowania właściwych decyzji, a na tym właśnie polegała jego zasadnicza funkcja. Tego przede wszystkim oczekiwali od prezydenta obywatele. Poprzedniej nocy spał niecałe sześć godzin po wyczerpującym dniu spędzonym na podróżach i przemówieniach, a teraz sen nie chciał przyjść. Jeszcze mniej spali jego współpracownicy oraz personel agencji rządowych, albowiem prezydencki dekret musiał zostać wprowadzony w życie.

Sytuację radykalnie komplikowały kłopoty zagraniczne: z dwoma państwami chińskimi, których czas był wcześniejszy o trzynaście godzin, z Indiami, dziesięć godzin wyprzedzenia, Zatoką Perską, osiem godzin, a jeszcze do tego siedem stref czasowych w Ameryce, jeśli liczyć z Hawajami, a więcej, gdy uwzględnić także terytoria na Pacyfiku. Ryan przewracał się na łóżku w prywatnej części Białego Domu, a jego myśli pływały po całym globie, aż wreszcie zaczął się zastanawiać, czy jest w ogóle jakaś część kuli ziemskiej, z którą nie wiązały się problemy. Około trzeciej poddał się, nałożył ubranie i z agentami Oddziału za plecami poszedł do Zachodniego Skrzydła, gdzie znajdowała się centrala łączności.

— Co się dzieje? — spytał oficera dyżurnego, którym był major Charles Canon z piechoty morskiej; to on poinformował go o zamachu w Iraku... Od tego wszystko się zaczęło, przypomniał sobie Ryan. Żołnierze obsługujący sprzęt łączności poderwali się z miejsc, ale prezydent kiwnął uspokajająco ręką. — Spocznij, spocznij.

— Niepokojna noc, sir. Czy naprawdę chce pan tego wszystkiego słuchać?

— Nie mogę zasnąć, majorze.

Trzej agenci spojrzeli na siebie porozumiewawczo za plecami prezydenta; dobrze wiedzieli, co o tym myśleć.

— A zatem, panie prezydencie, jesteśmy w tej chwili podłączeni do sieci informacyjnych CCZ i MICZUSA, otrzymujemy więc wszystkie ich dane. Na tej mapie nanosimy na bieżąco kolejne przypadki.

Canon wskazał ścianę, na której ktoś zawiesił nową, wielką mapę USA. Szpilki z czerwonymi łepkami bez wątplenia oznaczały przypadki ebola. Ryan dostrzegł też zapas szpilek z czarnymi

główkami, których sens był równie oczywisty, chociaż żadna jeszcze nie została wpięta. Czerwone kropki wyraźnie skupiały się wokół osiemnastu ośrodków, z nielicznymi, które, pojedynczo lub w parach, rozrzucono po całej mapie. Ciągle jeszcze pozostały stany nietknięte zarazą. Idaho, Alabama, obydwie Dakoty, także, o dziwo, Minnesota z jej Mayo Clinic, uchroniły się na razie dzięki dekretowi Ryana... czy może przypadkowi? I jak to w ogóle odróżnić? Szumiały wszystkie drukarki komputerów. Ryan sięgnął po jeden z wydruków. Ofiary ebola zestawione były alfabetycznie według nazwisk, z podaniem stanu, miasta zamieszkania i zawodu. Około piętnaście procent przybywało w aresztach i więzieniach; była to najliczniejsza grupa obok ludzi zajmujących się handlem. Dane sporządziły FBI i CCZ, które wspólnie badały strukturę epidemii. Inny wydruk charakteryzował możliwe ogniska; zgodnie z przypuszczeniami generała Picketta, zaatakowano przede wszystkim wielkie wystawy i targi handlowe.

Podczas lat spędzonych w CIA Ryan studiował różne typy możliwego ataku na Stany Zjednoczone, ten jednak nigdy nie znalazł się na jego biurku. Wojny biologicznej nie uznawano za możliwą. Całymi godzinami rozważał przebieg i skutki napaści nuklearnej. Co mamy my, co mają oni, cele, ofiary, setki możliwych wariantów, rozważanych z punktu widzenia czynników politycznych, wojskowych, ekonomicznych, a dla każdego z nich istniał plik odrębnych rozwiązań, zależnych od pogody, pory roku, pory dnia i innych czynników, które uwzględnić mogły tylko komputery, chociaż i one ostatecznie podawały jedynie szacunkowe wyniki.

Nienawidził tego wszystkiego i z prawdziwą radością powitał koniec zimnej wojny wraz z jej stałą groźbą śmierci idącej w dziesiątki milionów. Przeżył nawet kryzys, który mógł doprowadzić do takiej tragedii; jak zmoreę wspominał tamten czas...

Podczas studiów nie zajmował się rządzeniem jako takim; przeszedł tradycyjny kurs nauk politycznych, niezbędny dla każdego studenta ekonomii. Pamiętał ciągle słowa plantatora-arystokraty, napisane niemal trzydzieści lat przed tym, jak został trzecim prezydentem Stanów Zjednoczonych: „Życie, wolność i dążenie do szczęścia. Aby bronić tych wartości, ustanawiane są przez ludzi rządy, które władzę swą czerpią ze zgody rządzonych”. To tutaj określone było jego zadanie. Konstytucja, którą poprzysiągł szanować, ochraniać i bronić, sama służyła obronie życia i praw ludzi, i było coś nierealnego w tym, że wpatrywał się w listę z nazwiskami, miejscami zamieszkania i zajęciami ludzi, z których osiemdziesiąt procent miało umrzeć. Mieli prawo do życia. Mieli prawo do swych swobód. Mieli prawo, aby dążyć do szczęścia (przez co Jefferson nie rozumiał bynajmniej walki za wszelką cenę i przy użyciu wszelkich środków). Ktoś targnął się na ich życie. Ryan kazał ograniczyć ich swobody. Z całą pewnością nie wszyscy byli z tego zadowoleni.

— Tutaj przynajmniej jakaś lepsza wiadomość, panie prezydencie — odezwał się Canon i wręczył mu wyniki wczorajszych wyborów. Ryan ze zdumieniem uświadomił sobie, że zapomniał o nich. Ktoś uporządkował listę według profesji; ponad połowę nowych kongresmanów stanowili prawnicy. Dwudziestu siedmiu lekarzy. Dwudziestu trzech inżynierów.

Dziewiętnastu farmerów. Osiemnastu nauczycieli. Czternastu biznesmenów różnej maści. To było coś. Miał teraz około jednej trzeciej Izby Reprezentantów. Problem polegał na tym, jak dostarczyć ich do Waszyngtonu. Konstytucja stwierdzała bardzo wyraźnie, że nie wolno im w tym przeszkadzać. Podczas gdy Pat Martin mógł argumentować, że zawieszenia komunikacji między stanami nigdy nie rozważano przed Sądem Najwyższym, konstytucja stwierdzała, że członkom Kongresu wolno

uniemożliwić przybycie na jego posiedzenie tylko w wypadku zdrady lub...? Nie pamiętał dokładnie, o co chodziło w tym drugim przypadku, ale wiedział jak poważnie traktowany jest immunitet poselski.

Zaterkotał teleks. Podszedł do niego żołnierz piechoty morskiej.

— Błyskawiczna z Departamentu Stanu; ambasador Williams z Indii — oznajmił.

Ryan podskoczył do maszyny. Nie była to dobra wiadomość, podobnie jak następna, z Tajpej.

Lekarze pracowali w systemie czterogodzinnych zmian. Każdemu stażyscie towarzyszył

starszy kolega. W dużej mierze wykonywali pracę pielęgniarek, a chociaż robili to dobrze, wiedzieli, że nie ma to specjalnego znaczenia.

Cathy po raz pierwszy występowała w hermetycznym kombinezonie. Miała przedtem do czynienia z jakąś trzydziestką chorych na AIDS z komplikacjami ocznymi, ale nie było to specjalnie trudne. Korzystało się z rękawic; a podczas kontaktów z zarażonymi problemy chirurgii okulistycznej w niczym nie umywały się do problemów laryngologów. Pracowało się odrobinę wolniej, stosowano odrobinę więcej środków ostrożności, to wszystko. Teraz rzecz przedstawiała się zupełnie inaczej. Znajdowała się w środku wielkiego, grubego wora plastikowego, na głowie miała hełm, którego szyba często zachodziła mgłą oddechu, a przed sobą miała pacjentów, którzy musieli umrzeć, niezależnie od wysiłku opiekujących się nimi specjalistów.

Trzeba jednak było próbować. Stała nad miejscowym Przypadkiem Zerowym, sprzedawcą łodzi żaglowych, którego żona leżała w sąsiednim pokoju. Do żył podłączone miał

dwie kroplówki; jedną spływały płyny fizjologiczne, elektrolity i morfina, drugą — czysta krew.

Jedyne, co mogli zrobić, to podtrzymywać funkcjonowanie organizmu. Przez pewien czas mylnie sądzono, że pomagać może interferon. Antybiotyki okazały się bezskuteczne wobec zakażeń wirusowych, który to fakt nie był powszechnie znany. Nie było żadnego innego rozwiązania, chociaż nawet w tej chwili setki ludzi ślęczały w laboratoriach. W ostatnich latach ebola nie poświęcano nazbyt wiele czasu. W CCZ, wojsku i kilku innych miejscach prowadzono jakieś prace, ale trudno je było porównać z energią poświęcaną badaniom nad chorobami zakaźnymi, które panoszyły się w „cywilizowanym” świecie. W Ameryce i Europie priorytetami obdarzano studia nad chorobami, które zabijały wielu ich mieszkańców lub też przyciągały uwagę mediów, albowiem dysponowanie funduszami rządowymi było działaniem politycznym, o przeznaczeniu zaś prywatnych pieniędzy decydowało to, jakie nieszczęście dotknęło bogaczy czy prominentów.

Myasthenia gravis zabiła Arystotelesa Onassisa, powstała więc odpowiednia fundacja, a chociaż w niczym nie pomogło to już magnatowi okrętowemu, to jednak w krótkim czasie medycyna dokonała tutaj znacznego postępu, co dla innych ofiar tej choroby oznaczało prawdziwy uśmiech losu. Ta sama zasada dotyczyła onkologii, gdzie finanse idące na badania nad rakiem piersi, który atakuje jedną kobietę na dziesięć, daleko przekraczają te, które wspierają badania nad rakiem prostaty, atakującym około połowę męskiej populacji po pięćdziesiątce. Wielkie sumy przeznaczano na walkę z rakiem u

dzieci, a chociaż tutaj zdarzało się rocznie raptem dwanaście przypadków na sto tysięcy, cóż może być bardziej cenniego od dziecka? Nikt przeciw temu nie protestował; w każdym razie nie Cathy. Znikomość funduszy, jakie przeznaczano na badania nad ebolą i innymi chorobami tropikalnymi, wynikała z niewielkiego nimi zainteresowania w bogatych krajach. Teraz to się zmieni, nie na tyle jednak szybko, by miało w czymkolwiek pomóc ludziom, którzy zapełnili szpitale.

Pacjent zaczął się krztusić i przekręcił na prawo. Sięgnęła po plastikowy kosz — zwykłe kaczki były za płytkie i szybko się zapełniały. Żółć i krew. Czarna krew, krew śmierci. Krew pełna małych, podobnych w strukturze do pastorała wirusów ebola. Potem podała pacjentowi pojemnik z wodą, który pod naciśnięciem podawał odrobinę płynu, wystarczającą na zwilżenie ust.

— Dziękuję — wychrypiał. Skórę miał bladą, z wyjątkiem plam podskórnych wylewów.

Petechiae. Słowo z martwego języka, które oznaczało nachodzącą śmierć. Spojrzał na nią; wiedział, musiał wiedzieć. Ból czasami tryskał ponad barierę morfinowej blokady, jak morze uderzające o falochron.

— Jak ze mną? — stęknął.

— Jest pan bardzo chory — odpowiedziała — ale pana organizm dzielnie walczy. Jeśli uda się panu wytrwać odpowiednio długo, system immunologiczny poradzi sobie w końcu z napastnikiem, ale musi mu pan pomóc, musi pan chcieć.

Co nie było do końca kłamstwem.

— Nie znam pani. Jest pani pielęgniarką?

— Nie, jestem lekarką, profesorem. Uśmiechnęła się pod maską.

— Niech pani uważa — ostrzegł. — To nie jest przyjemne. Proszę mi wierzyć.

Udało mu się wykrzesać z siebie uśmiech, jak to się czasami zdarza z pacjentami w ciężkim stanie. Serce mało jej nie wyskoczyło z piersi.

— Jesteśmy ostrożni. Sam pan widzi, w co się muszę ubierać. Tak bardzo chciała dotknąć go uspokajającym gestem, natchnąć odwagą, ale jakże to zrobić poprzez gumę i plastik!

— Bardzo boli, pani profesor.

— Niech pan leży spokojnie i stara się jak najwięcej spać. Zwiększę panu odrobinę dawkę morfiny.

Okrążyła łóżko i podeszła do stojaka, zwiększając przepust rurki kroplówki; po kilku minutach pacjent zamknął oczy. Potem wróciła do kosza i spryskała go silnym środkiem dezynfekującym. Było już go tyle, że zaczynał wchodzić w reakcje z plastikiem; każdy organizm, który się tam dostał, musiał zginąć. Prawdopodobnie nie musiała nic dodawać, gdy w pojemniku przybyło co najwyżej trzydzieści centymetrów sześciennych, ale ostrożności nigdy za wiele.

Weszła pielęgniarka i podała wynik najnowszej analizy krwi. Funkcjonowanie wątroby przekraczało wszelkie normy; ebola ze szczególnym upodobaniem atakowała ten organ. Inne wskaźniki potwierdzały obumieranie tkanek, rozpadających się pod atakiem wirusa. Istniała teoretyczna możliwość, że system obronny rzuci się jeszcze do rozpaczliwego kontrataku, była to jednak tylko teoretyczna możliwość. Niektórym pacjentom udawało się odeprzeć atak choroby.

Lekarze wiedzieli o tym z lektur, które pochłaniali, jeśli tylko czas na to pozwalał. Zaczęto już spekulować: przeciwciała, gdyby udało się je wyizolować, mogłyby się okazać użyteczne terapeutycznie.

Jeśli... może... ewentualnie... niewykluczone...

To nie medycyna, do której była przyzwyczajona. Z pewnością nie była to czysta, antyseptyczna medycyna, której uczyła się w Wilmer: higiena oka, przywracanie i wzmacnianie wzroku. Zastanawiała się teraz nad swą decyzją, żeby poświęcić się okulistyce, chociaż jeden z profesorów usiłował popchnąć ją w kierunku onkologii. Jesteś błyskotliwa, odważna, zręczna, zachęcał ją. Kiedy jednak teraz spoglądała na dogorywającego we śnie pacjenta, wiedziała, że nie potrafiłaby przyglądać się temu na co dzień. Nie mogłaby tracić ich tak wielu. Stała nad chorym z poczuciem porażki w sercu.

— Niech to cholera — prychnął Chavez. — Zupełnie jak w Kolumbii.

— Albo w Wietnamie — dorzucił Clark w reakcji na tropikalny upał. Czekał na nich urzędnik ambasady i umundurowany przedstawiciel rządu Zairu, który zasalutował obu

„oficerom”, na co John sprężyście oddał honory.

— Proszę za mną, panie pułkowniku.

Helikopter, jak się okazało, był francuskiej produkcji, a załoga znakomita. Ameryka wydała wiele pieniędzy na ten kraj, ale nie na próżno.

Clark patrzył w dół. Potrójny dach dżungli. Widział to nieraz, w niejednym kraju. W

młodości wiele razy przebywał pod tym dachem, szukając nieprzyjaciół, którzy z kolei szukali jego; drobni mężczyźni w czarnych bawełnianych „piżamach” albo uniformach khaki, uzbrojeni w *Kalasznikowy* i chcący odebrać mu życie. A teraz na ziemi znalazło się coś znacznie drobniejszego, pozbawionego wszelkiej broni i dybiącego nie na niego, lecz na całą jego ojczyznę. John Clark był synem swego kraju; raz ranny w bitwie, potem kilkakrotnie w bardziej samotniczych przedsięwzięciach, za każdym razem szybko powracał do zdrowia. Pewnego razu nad którąś z północnowietnamskich rzek ratował pilota *A-6*, którego nazwiska nie mógł sobie nawet przypomnieć. Zanieczyszczona woda doprowadziła do infekcji ran, co było bardzo nieprzyjemne, ale lekarstwa i czas poradziły sobie, i z tym zagrożeniem. Ze wszystkich opresji wyszedł z głębokim przekonaniem, że jego ojczyzna kształci lekarzy potrafiących wyleczyć wszystko, z wyjątkiem może starości i raka, ale także nad tym pracowali; w końcu wygrają i tę bitwę, podobnie jak on wygrywał swoje. Po latach musiał przyznać przed sobą, że była to iluzja.

I on i kraj przegrali wojnę w dżungli podobnej do tej, która rozpościerała się kilkaset metrów pod mknącym helikopterem, a teraz w jakiś sposób dżungla sama ruszyła na wojnę. Nie, pokręcił głową. To nie dżungla, to ludzie.

O sześćset mil na północny zachód od Diego Garcia cztery statki typu ro-ro utworzyły sztyk pudełkowy o boku tysiąca metrów. O trzy mile przed nimi znalazł się niszczyciel

„O'Bannon”, „Kidd” był o pięć mil na północny wschód od jednostki zwalczania okrętów podwodnych, podczas gdy „Anzio” stanowił wysuniętą o dwadzieścia mil szpicę. Grupa wsparcia z jej dwiema fregatami znajdowała się na razie na zachodzie i miała dołączyć niebawem.

Była to dobra okazja do ćwiczeń. W tej chwili na Diego Garcia stacjonowało sześć maszyn rozpoznania *P-3C Orion* — kiedyś było ich więcej. Jeden z samolotów patrolował drogę przed minikonwojem, zrzucając sondy hydroakustyczne — co nie było łatwym przedsięwzięciem przy dużej szybkości okrętów — i nasłuchując ewentualnych okrętów podwodnych. Drugi Orion znajdował się daleko i prowadził nasłuch fal radarowych wysyłanych przez grupę bojową dwóch indyjskich lotniskowców, sam jednak trzymał się poza zasięgiem rozpoznania. Prowadzący Orion miał na pokładzie tylko torpedę do zwalczania okrętów podwodnych, a jego celem był

wyłącznie rekonesans.

— Słucham, panie prezydencie — powiedział J-3, w duchu myśląc: dlaczego nie śpisz, Jack?

— Robby, widziałeś raport ambasadora Williamsa?

— Tak, zwrócił moją uwagę — przyznał ambasador Jackson.

David Williams zwlekał ze swoją informacją, co na tyle zirytowało ludzi z Departamentu Stanu, że wysłano dwa ponaglenia. Były gubernator wykorzystał całe swe polityczne doświadczenie, aby ocenić wymowę słów pani premier, ale także tonu głosu, języka ciała, a przede wszystkim: oczu. To one zawsze mówiły najwięcej, o czym przekonał się niejedyn raz.

Natomiast nigdy nie nauczył się śliskiego języka dyplomacji i dlatego jego raport oznajmiał prosto z mostu: Indie coś szykują. Podkreślił, że wybuch epidemii w Ameryce nie wzbudził

specjalnego zainteresowania, a w każdym razie nie padły żadne słowa współczucia. Z jednej strony był to pewnie błąd, jak oceniał Williams, ale z drugiej — rozmyślne działanie. Indie powinny przejąć się tym zdarzeniem, a przynajmniej dać temu werbalnie wyraz, natomiast wybrały milczenie. Gdyby spytał, z pewnością usłyszałby od pani premier, że o niczym takim jej nie informowano, ale byłoby to kłamliwe zapewnienie. W czasach CNN, tego typu zdarzenia nie mogły przejść nie zauważone. Natomiast w ostrych słowach wytknięto mu szykany, „napaść” na okręty wspomniano dwukrotnie, co jednak było tylko wstępem do słów o „wrogich posunięciach”, słów w dyplomacji używanych na chwilę przed sięgnięciem do kabury. Williams uważał zatem, że indyjskie okręty wyszły w morze w ramach starannie przemyślanego planu.

— Co o tym myślisz, Rob?

— Williams to szczwany lis. Nie wspomniał tylko o tym, czego nie wiedział: że nie mamy w tym rejonie lotniskowca. Hindusi nie śledzą nas, ale powszechnie już wiadomo, że „Ike”

płynie w kierunku Chin; wystarczy średnio zdolny podoficer łączności, żeby to ustalić. Z całą pewnością więc wiedzieli o tym, wypływając w morze. Mamy wszelkie przesłanki, żeby przypuszczać, Jack, że Indie i Chiny działają w porozumieniu. Chiny prowokują incydent.

Sytuacja się zaostrza. Wysyłamy lotniskowiec. Flota indyjska opuszcza port i płynie dokładnie pomiędzy Diego Garcia a Zatokę Perską. W Zatoce robi się gorąco.

— A u nas wybucho epidemia ebola — dodał Ryan. Oparł się na blacie biurka. Nie mógł zasnąć, ale miał teraz poczucie, że nie jest do końca przytomny. — Zbieg okoliczności?

— Jedna z możliwości, ale... Może premier Indii chce nam trochę zagrać na nosie, bo daliśmy im wcześniej bobu. Może chce nam pokazać, że nie da się wodzić za nos. Może to tylko durna zagrywka. Może jednak nie.

— Możliwe posunięcia?

— Mamy grupę okrętów na zachodzie Śródziemnego, dwa niszczyciele *Aegis*, niszczyciel klasy *Burke* oraz trzy fregaty. Na Śródziemnym jest spokojnie. Proponuję przesunąć te jednostki, żeby wsparły grupę „Anzio”. Radziłbym też przerzucić lotniskowiec z zachodniego Atlantyku na Morze Śródziemne, ale to wymaga czasu. Sześć tysięcy mil, nawet z szybkością dwudziestu pięciu węzłów potrzeba byłoby dziewięciu dni, żeby znalazł się w bliskości operacyjnej. Ponad jedna trzecia świata nie jest pokryta przez nasze lotniskowce i coraz bardziej mnie to niepokoi.

Jeśli będziemy musieli coś zrobić, Jack, nie wiem, czy zdołamy.

— Dzień dobry, siostrzo — powiedział Clark i delikatnie ucisnął dłoń kobiety. Nie widział zakonnicy od dobrych kilku lat.

— Witam, pułkowniku Clark. Dzień dobry, majorze — skinęła głową Chavezowi.

— Dzień dobry pani.

— Co panów sprowadza do naszego szpitala? Angielszczyzna siostry Mary Charles była znakomita, aczkolwiek w wymowie pozostały ślady belgijskiej szkoły.

— Siostrzo, chcieliśmy się czegoś dowiedzieć o śmierci siostry Jeanne Baptiste — powiedział Clark.

— Rozumiem. — Wskazała ręką krzesła. — Proszę siadać.

— Dziękujemy siostrze — powiedział uprzejmie Clark.

— Jesteście katolikami?

Było to dla niej ważne pytanie.

— Tak, obydwaj — oznajmił Chavez, także w imieniu „pułkownika”.

— A wykształcenie?

— Szkoła podstawowa u sióstr w Notre Dame, liceum jezuitów — oznajmił Clark, ku wyraźnemu zadowoleniu zakonniczy.

— Ze smutkiem usłyszałam o chorobie w waszym kraju. A teraz chcielibyście dowiedzieć się czegoś o Benedykcie Mkusa, siostrze Jeanne Baptiste i siostrze Marii Magdalenie, tak?

Obawiam się jednak, że niewiele możemy wam pomóc.

— Dlaczego, siostro?

— Benedict zmarł, a jego ciało spalono na polecenie władz. Jeanne poważnie zachorowała i zabrano ją stąd samolotem na leczenie do Instytutu Pasteura w Paryżu, ale maszyna runęła do morza i wszyscy zginęli.

— Wszyscy?

— Poleciała z nią także siostra Maria Magdalena i, oczywiście, doktor Moudi.

— Kto to taki? — spytał John.

— Został przysłany tutaj przez Światową Organizację Zdrowia wraz z kolegami, którzy pracują w sąsiednim budynku.

— Nazywał się Moudi? — upewnił się Chavez, który robił zapiski w notatniku.

— Tak. — Przeliterowała nazwisko i imię. — Mohammed Moudi. Dobry lekarz i prawdziwa szkoda, że go straciliśmy.

— Mohammed Moudi. A skąd pochodził?

— Z Iranu, chociaż teraz to jakoś inaczej się nazywa, prawda? Kształcił się w Europie; świetny lekarz, bardzo dobrze wychowany.

— Rozumiem. — Clark poprawił się na krześle. — Moglibyśmy zamienić kilka słów z jego kolegami?

— Jestem zdania, że prezydent posunął się za daleko.

Sąd ten wygłosił lekarz, z którym wywiad trzeba było zrobić na odległość, gdyż nie mógł przyjechać z Connecticut do studia w Nowym Jorku.

— Dlaczego tak uważasz, Bob? — spytał dziennikarz.

Do studia w Central Park West przyszedł z domu w New Jersey tuż przed zamknięciem mostów i tunelów; teraz spał w pracy. Nietrudno zrozumieć, że nie bardzo mu się to podobało.

— Ebola jest bardzo groźna, co do tego nie może być wątpliwości — oświadczył

konsultant. Był lekarzem, ale nie praktykował; przywykł do występów przed kamerami: informował o nowinkach medycznych, a z rana zachwalał zalety biegania i rozsądnej diety. —

Wirus jednak nie tutaj się narodził i nasz kraj jest środowiskiem bardzo dla niego wrogim.

Jakkolwiek doszło do zarażenia — w tej chwili nie chcę wdawać się w żadne na ten temat spekulacje — nie może się ono szybko rozprzestrzeniać. Obawiam się, że posunięcia prezydenta są zbyt nerwowe.

— Co gorsza, sprzeczne z konstytucją — dorzucił komentator prawny. — Nie ulega to najmniejszej wątpliwości. Prezydent nie tyle się zdenerwował, ile wpadł w panikę, a to prowadzi do fatalnych dla kraju skutków medycznych i prawnych.

— Serdeczne dzięki, przyjaciele — powiedział Ryan i wyłączył fonię.

— Musimy jakoś na to zareagować — stwierdził Arnie. -Jak?

— Fałszywe informacje trzeba zwalczać prawdziwymi.

— Prawdą jest to, że postąpiłem niezgodnie z literą konstytucji, ale gdybym chciał jej dochować wierności, musiałbym skazać na śmierć tysiące ludzi.

— Panie prezydencie, nie możemy dopuścić do wybuchu paniki.

Jak na razie do tego nie doszło. Tym razem czas był po ich stronie. Wiadomość dotarła do większości ludzi wieczorem. Wrócili do domu, mieli zapasy żywności na kilka dni, a informacja była na tyle szokująca, że nie spowodowała ogólnonarodowego oblężenia sklepów. Wszystko jednak wkrótce się zmieni. Jeszcze kilka godzin i ludzie zaczną protestować. Informacje o tym rozpowszechnią media, co jeszcze bardziej wzmocni siłę nacisku. Arnie miał rację. Trzeba było coś zrobić. Tylko co?

— Jak mamy temu zapobiec, Arnie?

— Myślałem już, że nigdy pan o to nie zapyta, panie prezydencie.

Następnym przystankiem było lotnisko. Tutaj uzyskali potwierdzenie, że prywatny odrzutowiec *G-IV*, z rejestracją szwajcarską, wystartował do Paryża, z postojem w Libii dla uzupełnienia paliwa. Naczelný kontroler obszaru miał już przygotowaną dla obu Amerykanów kopię manifestu, który był nader szczegółowym dokumentem, gdyż służyć miał także do odprawy celnej. Podano nawet nazwiska członków załogi.

Clark spojrział na urzędnika.

— Dziękuję za cenną pomoc — powiedział. Wraz z Dingiem wsiedli do auta, które podwiozło ich do samolotu.

— No i? — spytał Chavez.

— Wolnego, partnerze — mruknął Clark, wyglądając przez okno. Na niebie czerniały burzowe chmury. Nie znosił latać w takich warunkach.

— Nie możemy startować — oznajmił drugi pilot w stopniu podpułkownika. — Musimy trochę poczekać. Tego wymagają przepisy.

Clark stuknął palcem w orły na naramiennikach i nachylił się do pilota.

— Jestem pułkownikiem i mówię: lecimy. I to już, do cholery!

— Spokojnie, panie Clark. Wiem kim pan jest i...

— Panie pułkowniku — wtrącił się Chavez. — Jestem tylko lipnym majorem, ale ta misja jest ważniejsza od waszych przepisów. Omińcie najniebezpieczniejszy rejon. W razie czego mamy torby do rzygania. — Tamten rzucił gniewne spojrzenie, ale poszedł na przód samolotu, gdzie w lewym fotelu siedział dowódca *VC-20B*. Domingo odwrócił się do kolegi. — Nie tak ostro, John!

Clark wręczył mu papiery.

— Trzeba sprawdzić to wszystko. Rejestracja szwajcarska, ale nazwiska zupełnie na to nie wskazują.

Chavez zerknął na dokumenty. Rejestracja HX-NJA; nazwiska ani niemieckie, ani francuskie, ani włoskie.

— Sierzancie! — zawołał Clark, przekrzykując huk uruchamianych silników.

— Słucham.

Po głosie podoficera można było poznać, że traktuje pasażerów jako jedno wielkie utrapienie.

— Proszę to przesłać do Langley; macie u siebie właściwy numer. Jak najszybciej, proszę pani.

— Zapiąć pasy! — rozbrzmiał w interkomie zwięzły rozkaz, kiedy *VC-20B* zaczął

kołować.

Burza na trasie spowodowała, że trzeba było łączyć się trzy razy, ostatecznie jednak faks pomknął po łączach satelitarnych, spłynął do Fort Belvoir w Wirginii, by po kilku minutach pojawić się w centrum łączności CIA. Oficer dyżurny polecił czym prędzej dostarczyć go na siódme piętro. W chwilę później zadzwonił Clark.

— Jest trochę zakłóceń — powiedział oficer dyżurny. Satelitarne radia cyfrowe i inne bajery, a burza dalej pozostawała burzą.

— Trochę nami rzuca. Sprawdźcie rejestrację i nazwiska. Wszystko, co da się wycisnąć.

— Nie usłyszałem ostatniego zdania.

Clark powtórzył i tym razem prośba dotarła.

— Jasne, już ktoś się tym zajął. Coś jeszcze?

— Odezwę się niedługo. Koniec.

— Jak tam? — spytał Ding i dopiął mocniej pas — właśnie wpadli w dziesięciometrową dziurę powietrzną.

— Imiona i nazwiska są w farsi. O, kur... — Następna dziura. Clark wyjrzał przez okno, za którym chmury ułożyły się w wielką kolistą arenę, po której hasały błyskawice. Nieczęsto spoglądał na to od góry. — Ten sukinsyn robi to celowo.

Tak jednak nie było. Podpułkownik za sterami był nie na żarty wystraszony. Nie tylko przepisy ale i zdrowy rozsądek przemawiały przeciw temu, co robili. Radar pogodowy pokazywał wypiętrzone kumulusy dwadzieścia stopni po lewej i prawej od planowanego kursu do Nairobi. Lewa strona wyglądała odrobinę lepiej. Niczym myśliwiec, położył samolot na lewe skrzydło, robiąc zwrot o trzydzieści stopni; wznosząc się, szukał odrobinę spokojniejszego miejsca. To, co w końcu znalazł, było zadawalające, chociaż z pewnością nie spokojne. Dziesięć minut później *VC-20B* znalazł się w promieniach słońca.

Pilot z zapasowej załogi odwróciła się i spytała: — Zadowolony pan, pułkowniku?

Nic nie odpowiadając, Clark odpiął pas i udał się do toalety, aby spryskać wodą twarz.

Potem pochylił się obok pani podpułkownik i pokazał jej niedawno otrzymany dokument.

— Mogłaby mi pani coś o nim powiedzieć?

Wystarczyło jedno spojrzenie.

— Jasne. Otrzymaliśmy raport o tej katastrofie.

— Jak to?

— To właściwie ten sam typ. Kiedy dochodzi do jakiejś awarii, producent zawiadamia wszystkich użytkowników; to znaczy, i tak sami byśmy się dopytali, ale to niemal rutynowa procedura. Startował stąd, poleciał na północ, w Libii miał międzylądowanie, żeby zatankować, tak? Zdaje się lot z chorym, dobrze pamiętam?

— Świetnie. Proszę dalej.

— Dał sygnał alarmowy, meldował zatrzymanie jednego silnika, potem drugiego, wreszcie spadł. Prowadziły go chyba trzy radary, libijski, maltański i na naszym krążowniku z VI Floty.

— Jeszcze coś?

Wzruszyła ramionami.

— To dobra maszyna. Nie słyszałam, żeby chociaż jedna wysiadła w Siłach Powietrznych. Sam pan zresztą widział: przy kilku tych podskokach mieliśmy dwa i pół, może trzy g, a silniki... Jeny, wysiadł kiedyś silnik na dwudziestce?

— Chyba dwa razy. Raz walnęła pompa paliwowa, ale Rolls-Royce zaraz wymienił wszystkie. Potem, kilka lat temu, w październiku zjadł gęś.

— Strasznie są łakome. — Spojrzała ironicznie na Clarka. — Taka gęś waży ponad dziesięć kilo. Staramy się od nich uciekać.

— Wysiadły im oba silniki?

— Jeszcze nie ustalono dlaczego. Może złe paliwo. To się zdarza, ale silniki są zupełnie od siebie niezależne. Pompy, elektronika, wszystko.

— Z wyjątkiem paliwa — dorzucił Jerry.

— Co się dzieje, kiedy wysiadzie silnik?

— Jeśli się nie jest ostrożnym, można stracić kontrolę nad maszyną. W ten sposób straciliśmy raz *Leara, VC-21*. Jeśli coś takiego zdarzy się podczas zmiany pułapu, może być dość zabawnie, ale ćwiczymy takie sytuacje, także ci dwaj z tej listy. To byli doświadczeni piloci, często bywali w symulatorze. Trzeba, bo inaczej odbierają licencję. Zresztą radar nie wskazywał

takich manewrów. Więc to nie mogło być to. Chyba złe paliwo, ale Libijczycy zapewniają, że było dobre.

— Może załoga wszystko spieprzyła — znowu włączył się Jerry — ale to wcale nie takie łatwe. Tak robią te maszynki, że trzeba się trochę postarać, żeby je rozwalić. Ja mam na nim dwa tysiące godzin.

— A ja dwa i pół — powiedziała podpułkownik. — Bezpieczniej w tym niż prowadzić samochód w Waszyngtonie. Wszyscy lubią te furmanki.

Clark pokiwał głową i wrócił na fotel.

— Przyjemnie się jedzie? — rzucił przez ramię pilot. Głos nie był zbyt przyjazny, ale w obliczu fałszywego „pułkownika” nie musiał się specjalnie troszczyć o subordynację.

— Pułkowniku, nie lubię stawiać ludzi pod ścianą, ale to bardzo ważna sprawa. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

— Moja żona jest pielęgniarką w bazie.

Nie musiał nic dodawać.

— Moja też, w Williamsburgu.

Pilot odwrócił się i pokiwał głową.

— Trzy godziny drogi do Nairobi, panie pułkowniku.

— No dobra, ale jak ja mam wrócić? — spytał z irytacją Raman.

— Na razie nie wracasz — odpowiedziała Andrea. — Siedź na miejscu, możesz pomagać FBI w śledztwie, które tam prowadzą.

— No świetnie, dziękuję bardzo!

— Rozejrzyj się sam za robotą, Jeff. Nie mam czasu — prychnęła szefowa Oddziału.

— Jasne.

Rozmowa przerwana.

Dziwne, pomyślała Andrea, Jeff zawsze należał do najspokojniejszych. Ale kto potrafił zachować spokój w takiej chwili?

Coś interesującego

— Byłeś już tutaj kiedyś, John? — spytał Chavez, patrząc jak samolot zbliża się do swego cienia na pasie startowym.

— Przejazdem. Widziałem niewiele więcej niż terminal.

Clark rozpiął pas i przeciągnął się. Także i tutaj słońce zachodziło, ale dla obu oficerów wywiadu pracowity dzień wcale jeszcze się nie kończył. — Większość rzeczy o tym kraju dowiedziałem się z książek faceta o nazwisku Ruark, polowanie i te sprawy.

— Ty przecież nie polujesz, przynajmniej na zwierzęta.

— Kiedyś mnie to bawiło. Teraz lubię czytać. Miło polować na coś, co nie odpowiada ogniem.

John odwrócił się z nikłym uśmiechem na twarzy.

— Nie takie podniecające, choć pewnie o wiele bardziej bezpieczne — przyznał młodszy kolega. Chociaż z lwami, kto wie, pomyślał.

Samolot pokołował na część wojskową. Także i tym razem czekał na nich przedstawiciel ambasady, attaché wojskowy, którym okazał się ciemnoskóry oficer Armii w randze pułkownika z Bojową Odznaką Piechoty, co pozwalało w nim rozpoznać weterana wojny w Zatoce.

— Pułkowniku Clark, majorze Chavez.... — Przerwał i zawołał: — Ej, Chavez, czy my się aby nie znamy?

— Ninja! — uśmiechnął się Ding. — Był pan w sztabie brygady.

— Niech mnie diabli. A ty byłeś jednym z tych zaginionych, ale, jak widzę, znaleźli cię.

Wiem, kim jesteście, ale nie wiedzą tego nasi goście.

— Skąd BOP, pułkowniku? — spytał były sierżant zwiadu Armii, kiedy zmierzali do samochodów.

— Miałem w Iraku batalion w Wielkiej Czerwonej Jedyńce[4]. Dokopaliśmy paru gościom. — Ton głosu się zmienił. — Jak w kraju?

— Dość paskudnie — odrzekł Ding.

— Trzeba pamiętać o tym, że broń biologiczna to przede wszystkim narzędzie psychologiczne, jak

groźba ataku gazowego na Arabię Saudyjską w 91 roku.

— Jeśli tak — powiedział Clark — to na mnie zrobiła już dostateczne wrażenie.

— Na mnie też — przyznał attaché. — Mam rodzinę w Atlancie. CNN informowała o zachorowaniach.

— Proszę — powiedział John i podał raport, który przesłano im na pokład samolotu. —

To chyba lepsze niż w telewizji.

Poniewczasie ugryzł się w język; „lepsze” nie było w tym kontekście fortunnym określeniem.

Kwestii tej, jak się wydawało, pułkownik nie chciał rozwijać w towarzystwie kierowcy.

Zajął miejsce obok niego i zagłębił się w raporcie.

— Tym razem żadnych oficjalnych powitań? — spytał Chavez.

— Nie tutaj. Na miejscu będzie czekał na nas gliniarz. Poprosiłem znajomych w ministerstwie, żeby trochę przymknęli oko na tę wizytę. Mam niezłe kontakty.

— Miło słyszeć — powiedział Clark. Samochód ruszył. Droga zabrała im dziesięć minut.

Sprzedawca zwierząt prowadził interes nie opodal lotniska i głównej drogi, aczkolwiek cofnięty odrobinę na zachód w głąb buszu. Szybko zorientowali się dlaczego.

— O rany — mruknął Chavez, wysiadając z auta.

— Niezły jazgot, co? Byłem już tutaj dziś. Ma gotowy transport zielonych małpek do Atlanty. — Pułkownik otworzył teczkę i wydobyl z niej kopertę. — To wam się przyda.

— Fajnie.

Clark schował kopertę.

— Witam! — zawołał handlarz od drzwi swego baraku. Był roslým mężczyzną, który, sądząc po pokaźnym brzuchu, wiedział, jak dać sobie radę ze skrzynką piwa. Obok niego pojawił

się umundurowany policjant, najwyraźniej wysokiego stopnia. Attaché wziął go pod rękę i odciągnął na bok, czemu tamten się nie sprzeciwiał. Clark doszedł do wniosku, że pułkownik rzeczywiście znał się na rzeczy.

— Cześć — powiedział John i uściśnął dłoń gospodarza. — Nazywam się pułkownik Clark, a to major Chavez.

— Jesteście z amerykańskich Sił Powietrznych?

— Jesteśmy — potwierdził Ding.

— Kocham samoloty. Na czym latacie?

— Na wszystkim — wyjaśnił zdawkowo Clark. — Chcielibyśmy zadać parę pytań, jeśli pan pozwoli.

— Małpy? Co wam po małpach?

— Czy to takie ważne? — spytał John, jednocześnie podając kopertę. Kupiec wsadził ją do kieszeni bez sprawdzania; najwyraźniej uspokoiła go odpowiednia grubość.

— Jasne, że nie, ale lubię samoloty. To o co chodzi? Ton głosu zwiastował gotowość do współpracy.

— Handluje pan małpami — podrzucił John.

— Tak. Sprzedaję do zoo, prywatnym zbieraczom, laboratoriom. Chodźcie, to wam pokażę.

Poprowadził ich w kierunku konstrukcji z trzech pordzewiałych ścian żelaznych. Pod dachem stały dwie ciężarówki, na które pięciu robotników w grubych rękawicach ładowało klatki.

— Dostaliśmy zamówienie na sto zielonych z Centrum Chorób Zakaźnych w Atlancie — wyjaśnił handlarz. — To ładne zwierzątka, ale nieprzyjemne.

— Dlaczego? — spytał Ding, wpatrując się w pojemniki zrobione ze stalowego drutu, z uchwytem na wierzchu. Z daleka przypominały klatki na kurczęta, z bliska okazywały się odrobinę większe, ale...

— Niszczą pola. Są jak zaraza, jak szczury, tyle że jeszcze sprytniejsze. — Handlarz zaśmiał się w głos. — Zbraknąć to nam ich nie zbraknie. Są ich miliony. Robi się obławę, chwyta trzydzieści, wracasz miesiąc później w to samo miejsce i znowu masz trzydzieści. Farmerzy nas błagają, żebyśmy przyszli trochę ich wylapać.

— Niedawno miał pan gotowy transport do Atlanty, ale sprzedał komuś innemu, prawda?

— spytał Clark. Rozejrzał się za kolegą, który odszedł na bok i przypatrywał się pustym klatkom.

Może nie mógł znieść ostrego smrodu?

— Nie zapłacili na czas, a zjawił się klient z gotówką — wyjaśnił handlarz. — Biznes to biznes, mam rację, panie pułkowniku?

John wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Nie jestem z Izby Handlowej. Interesuje mnie tylko, kto je kupił.

— Klient — odparł tamten. — Miał forszę i tyle.

— A skąd był? — nie ustępował Clark.

— Nie wiem. Zapłacił w dolarach, ale Amerykaninem to chyba nie był. Cichy facet, ale nie bardzo sympatyczny. Wiem, że miałem wysłać je do Atlanty, ale spóźnili się z zapłatą. Nie tak jak wy.

— Zabrali je samolotem?

— Starym 707. Mieli ich sporo, nie tylko ode mnie. Dostali gdzieś indziej. Zielone są w całej Afryce. Ci wasi miłośnicy zagrożonych gatunków mogą się nie martwić, zielonych nie zbraknie. Co innego z goryłami.

— Ma pan dokumenty? Nazwisko klienta, manifest przewozowy, dane samolotu?

— Dokumenty celne? — Pokręcił głową. — Przykro mi, ale nie. Chyba się zgubiły.

— Pewnie jakiś układ z urzędnikami na lotnisku? — zasugerował John z porozumiewawczym grymasem.

— Mam przyjaciół w rządzie.

Uśmiech potwierdzał fakt przyjacielskich układów. No cóż, czyż i w Stanach nie było instytucji urzędniczego przekupstwa?

— Więc nie wie pan, dokąd poleciały?

— Tutaj to na nic się nie zdam. jakbym wiedział, zaraz bym powiedział — oznajmił

handlarz, poklepując się po kieszeni z kopertą. — Nie zawsze wszystko księguję, tyle roboty.

Clark zastanawiał się, czy jest sens dalej naciskać. Raczej nie. Nie znał wprawdzie Kenii, ale w latach siedemdziesiątych pracował krótko w Angoli, co pozwoliło mu wyrobić sobie przekonanie, że Afryka jest kontynentem, gdzie przepisy nie są w specjalnym poszanowaniu, a pieniądze pozwalają załatwić wszystko. Spojrzał w kierunku attaché pogrążonego w rozmowie z głównym konstabłem; tytuł był pozostałością z czasów brytyjskich rządów — o czym wiedział z książek Ruarka — podobnie jak szorty i podkolanówki. Policjant najpewniej informował, że handlarz nie jest żadnym przestępcą, natomiast ma łatwość nawiązywania kontaktów z władzami, które w odpowiedniej chwili potrafią zajmować się czymś innym niż jego interesami. A małpy, sądząc po tym, co mówił, nie stanowiły specjalnego rarytasu. Trudno się było dziwić, że kupiec gotów był się z nimi rozstać jak najszybciej; wznoszony przez nie wrzask dawał się porównać jedynie z największym barem w mieście w piątkowy wieczór. Wyciągały przy tym łapki poprzez kraty i usiłowały chwytać ładowaczy. No cóż, nie był to ich najszcześniejszy dzień, a gdy dostaną się do Atlanty, będzie jeszcze

gorzej. Takiej ilości nie przewoziło się do sklepów zoologicznych.

Może potrafiły to przeczuć? John nie miał jednak czasu na to, żeby przejmować się małpkami.

— Dziękuję za pomoc. Gdybyśmy mieli jeszcze jakieś pytania, zajrzemy do pana.

— Żałuję, że nie mogłem powiedzieć nic więcej.

Skrucha nie musiała być udawana; nie napracował się specjalnie na swoje pięćset dolarów. Co nie znaczyło, że zamierzał część zwrócić.

Obaj agenci zawrócili do samochodu; Chavez był zamyślony, nic nie mówił. Attaché i policjant wymienili uściski dłoni. Kiedy samochód ruszył, John obejrzał się i zobaczył, że handlarz wydobył kopertę i kilka banknotów wręczył stróżowi prawa.

— Czego się pan dowiedział? — spytał prawdziwy pułkownik.

— Żadnych dokumentów — odparł John.

— Tak się tutaj załatwia interesy. Za wywóz tych małp urzędowo jest opłata, ale kupcy mają najczęściej z policjantami i cennikami...

— Układ — wtrącił John.

— No właśnie, tak to określają. Nie jestem pewien, czy pod wpływem Kazana.

— Klatki! — odezwał się nagle Ding.

— Co takiego? — zdziwił się John.

— Klatki do transportu małp, widzieliśmy już podobne. W Teheranie, w hangarze na lotnisku. Pamiętasz, to nas zdziwiło; druciane klatki w hangarze dla myśliwców.

— Cholera, tak!

— Następna wskazówka, panie C. Zbiegi okoliczności coraz bardziej się piętrzą. Dokąd teraz?

— Chartum.

— Widziałem to w kinie.

Napływało mnóstwo lokalnych wiadomości. Korespondenci terenowi nabrali na znaczeniu, gdyż główni reporterzy siedzieli uwięzieni w Nowym Jorku, Waszyngtonie, Chicago czy Los Angeles. Najczęstszym obrazem były oddziały Gwardii Narodowej blokujące autostrady przy użyciu *Hummerów* lub mniejszych pojazdów. Tych blokad nikt nie starał się atakować.

Ciężarówki z dostawami artykułów spożywczych i medykamentów przepuszczano po starannym

sprawdzeniu; za dzień czy dwa, kiedy zbada się krew na obecność przeciwciał ebola, kierowcy otrzymają przepustki z fotografią, co usprawni ruch. W tej sprawie nikt nie protestował.

W przeciwieństwie do innych pojazdów i innych dróg. Chociaż przeważająca część ruchu pomiędzy stanami odbywała się po autostradach, istniała też gęsta sieć bocznych dróg i je także trzeba było zagrozić. Zabrało to trochę czasu, dlatego mogły się ukazać wywiady z ludźmi, którym udało się przemknąć z jednego stanu do drugiego, a którzy najwyraźniej uważali to za dobry dowcip, a także uczone komentarze, że prezydenckiego dekretu, pomijając jego bezprawność i głupotę, nie sposób było wprowadzić w życie inaczej niż wycinkowo.

— To absolutnie niemożliwe — oświadczył jeden z ekspertów komunikacyjnych w porannych wiadomościach.

Nie zważając na opinię ekspertów, żołnierze Gwardii Narodowej znali okolicę, w której mieszkali, i potrafili czytać mapy. Nie podobała im się także sugestia, iż są durniami. Do środowego południa na każdej drodze przechodzącej z jednego stanu do drugiego pojawił się uzbrojony posterunek. Stojący wokół pojazdu wojskowego gwardziści z karabinami w rękach i w skafandrach ochronnych przypominali Marsjan.

Na tych bocznych drogach dochodziło do konfliktów. Czasami były to tylko słowa:

„Mam tam rodzinę, ludzie, puśćcie mnie, to niecały kilometr”. Niekiedy wystarczyła rzeczowa argumentacja, bywało jednak, że dochodziło do ostrych sporów, które w dwóch przypadkach zaostrzyły się do tego stopnia, iż padły strzały. Zginął jeden człowiek. W ciągu godziny ta wiadomość stała się główną informacją i znowu komentatorzy zastanawiali się nad zasadnością prezydenckiego posunięcia. Jeden z nich uczynił Ryana bezpośrednio odpowiedzialnym za życie zastrzelonego mężczyzny.

Najczęściej jednak nawet ci, którzy chcieli przedostać się na drugą stronę, rezygnowali na widok broni i stanowczej postawy gwardzistów. Podobnie było na granicach między państwami.

Kanadyjscy żołnierze i policjanci zamknęli wszystkie przejścia, a amerykańskim obywatelom przebywającym w Kanadzie polecono zgłosić się na badania do najbliższego szpitala, gdzie uprzejmie, lecz stanowczo, poddano ich kwarantannie. Środki zastosowane w Europie, te same co do treści, przybrały różne formy w różnych krajach. Meksykańska armia w porozumieniu z amerykańskimi władzami zamknęła granicę, aby nie dopuścić do ruchu na południe — po raz pierwszy w historii.

Nie zamarło do końca życie lokalne. Sklepy, mniejsze i większe, wpuszczały małe grupy klientów, aby dokonali najniezbędniejszych zakupów. Apteki sprzedawały maski chirurgiczne.

Wiele osób w sklepach z farbami i chemikaliami nabywało przeznaczone do innych celów maski, a telewizyjni specjaliści informowali, że kiedy nasycić je domowymi środkami dezynfekującymi, działają lepiej niż szpitalne. Nie obyło się bez przedawkowania środków odkażających, co spowodowało reakcje alergiczne, trudności z oddychaniem, a w kilku przypadkach — śmierć.

Wszyscy lekarze w kraju mieli pełne ręce roboty. Pierwsze objawy ebola były bardzo podobne do grypy i wiele czasu poświęcono na to, aby uspokajać pacjentów, którzy spodziewali się już najgorszego.

Ogólnie rzecz biorąc, ludzie sobie radzili, oglądali telewizję i zastanawiali się, jak długo to jeszcze potrwa.

Pracę wykonywały CCZ i MICZUSA, wspomagane przez FBI. Wykryto już sześćset potwierdzonych przypadków ebola, wszystkie mniej czy bardziej związane z osiemnastoma centrami handlowymi. To pozwoliło umiejscowić w czasie początek epidemii, zwracając też uwagę na cztery wielkie imprezy targowe, które jak dotąd nie zaowocowały żadnymi zachorowaniami. Agenci odwiedzili wszystkie dwadzieścia dwie miejscowości, w których odbywały się targi, tylko po to, aby stwierdzić, że śmieci od dawna były już wywiezione. W FBI padła myśl, by zbadać wysypiska, temu jednak sprzeciwił się MICZUSA, argumentując, że trzeba byłoby babrać się w całych tonach odpadów, co było nie tylko prawie niemożliwe do wykonania, ale także niebezpieczne. Najważniejsze, że udało się ustalić ramy czasowe.

Amerykanie, którzy wyjechali z kraju przed rozpoczęciem pierwszej z inkryminowanych wystaw, byli bezpieczni. Informację tę przekazano wszystkim ośrodkom opieki medycznej na całym świecie.

— To oznacza, że wszyscy jesteśmy czysti — oznajmił generał Diggs na porannej naradzie sztabowej. Fort Irwin był jedną z najbardziej izolowanych baz w całych Stanach.

Prowadziła do niego tylko jedna droga, zatarasowana teraz przez transporter opancerzony *Bradley*.

Nie dotyczyło to wszystkich baz, co gorsza, zagrożenie nie ograniczyło się do USA.

Wysoki oficer Pentagonu poleciał do Niemiec, aby przewodniczyć naradzie w sztabie V

Korpusu; dwa dni po przyjeździe okazało się, że jest chory na ebola, od niego zaś zarazili się lekarz i dwie pielęgniarki. Wiadomość ta przeraziła państwa sojusznicze z NATO, które natychmiast utworzyły kordony sanitarne wokół baz amerykańskich. Informację upowszechniła telewizja na całym świecie. W Pentagonie wiedziano już, że niemal w każdej bazie zdarzył się potwierdzony lub chociażby domniemany przypadek choroby. Wpłynęło to fatalnie na morale oddziałów. Telefoniczne łącza w jednostkach w kraju i za oceanami były skrajnie przeciążone.

Także Waszyngton nie przypominał oazy spokoju. Grupa zadaniowa, złożona z agentów wszystkich agencji wywiadowczych, FBI, a także federalnych instytucji ochrony prawa i porządku publicznego, wyposażona została przez prezydenta w znaczne uprawnienia, z których gotowa była skorzystać. Manifest zaginionego samolotu *Gulfstream* popchnął dochodzenie w nowym i nieoczekiwanym kierunku, co często się zdarza podczas śledztwa.

W Savannah w stanie Georgia agent FBI zastukał do drzwi prezesa firmy Gulfstream Inc i wręczył mu

maskę chirurgiczną. Fabryka została zamknięta, podobnie jak większość zakładów w USA, co nie przeszkodziło sześciu agentom FBI w przeprowadzeniu długiej rozmowy z szefem firmowych oblatywaczy, a także dyrektorem odpowiedzialnym za kontrolę jakościową.

Najważniejsza okazała się informacja, że nie została odnaleziona czarna skrzynka samolotu.

Natychmiast zatelefonowano do dowódcy USS „Redford”, który potwierdził, że istotnie, dowodzony przez niego okręt, obecnie odstawiony do doku na przegląd, śledził lot *Gulfstreama*, a potem na próżno nasłuchiwał sygnałów radiowych z czarnej skrzynki, co wydawało mu się zaskakujące. Pierwszy oblatywacz wyjaśnił, że przy bardzo silnym zderzeniu z wodą, także aparatura rejestrująca mogła się rozpaść, pomimo znacznej odporności, dowódca „Redforda”

pamiętał jednak, że maszyna nie poruszała się z szybkością aż tak wielką, a na dodatek, na powierzchni morza nie znaleziono żadnych szczątków. W efekcie lotnictwo Marynarki oraz Narodowa Rada Bezpieczeństwa Transportu otrzymały rozkaz, by jak najszybciej dostarczyć zapis feralnego lotu.

W Waszyngtonie członkowie grupy zebranej w budynku FBI wymienili ponad maskami znaczące spojrzenia. Szybko ustalono, że obaj piloci służyli wcześniej w irańskim lotnictwie wojskowym i szkolili się w USA pod koniec lat siedemdziesiątych. Dzięki temu nie było żadnych trudności z uzyskaniem ich zdjęć i odcisków palców. Podobne przeszkolenie przeszła para innych pilotów, którzy dla tego samego szwajcarskiego przewoźnika obsługiwali samolot tego samego typu. Attaché prawny FBI w Bernie bezzwłocznie porozumiał się ze szwajcarskimi kolegami, aby pomogli w przesłuchaniu lotników.

— Podsumujmy — powiedział Dan Murray. — Irański lekarz wraz z chorą belgijską zakonnicą i jej przyjaciółką wsiadają na pokład samolotu o szwajcarskiej rejestracji, który znika bez śladu. Maszyna należy do niewielkiej firmy transportowej. Właśnie sprawdzamy wszystkie szczegóły związane z jej założeniem, ale już w tej chwili wiemy, że załoga była irańska.

— Dan, z tego jeszcze nic nie wynika — ostrzegł Ed Foley. W tej samej chwili pojawił się agent z faksem dla dyrektora CIA, który polecił: — Sprawdź — i pchnął w kierunku pozostałych kartkę z krótką informacją.

— Wydaje im się, że są cholernie sprytni — mruknął Murray przez zaciśnięte zęby.

— Nie lekceważ ich. — Przestroga znowu pochodziła od Foleya. — Nie mamy na razie niczego konkretnego, a bez konkretnych dowodów prezydent nie może podjąć żadnych kroków.

— Kto wie zresztą, czy i wtedy będzie mógł, pomyślał. Pozostawała jeszcze ta kwestia podniesiona przez Chaveza przed wyjazdem. Cholernie sprytny szczeniak. Przez chwilę zastanawiał się, czy wspomnieć o tym przy stole, ale potem zdecydował, że lepiej będzie porozmawiać z Murrayem na osobności.

Chaveza tymczasem męczyły niespokojne sny podczas trzygodzinnego lotu do Chartumu.

Wylatał już swoje jako agent CIA, ale nawet podróżowanie w maszynie prezydenckiej potrafiło być męczące, a co dopiero tutaj. Zmniejszone ciśnienie powietrza oznaczało mniejszą zawartość tlenu; powietrze było suche, a to powodowało odwodnienie, buczenie silników sprawiało, że miało się wrażenie, iż dookoła jest dżungla, w której całe roje insektów chcą ci się dobrać do krwi, a ty nie potrafisz się od nich odgonić.

Ktokolwiek to zrobił, z całą pewnością przecenił swój spryt. W porządku, zniknął samolot z pięcioma osobami na pokładzie, ale przecież na tym się wszystko nie kończyło. Zapamiętał

numer rejestracyjny HX-NJA. Dokument zachował się w tym przypadku zapewne dlatego, że przewozili ludzi, a nie małpki. HX — to Szwajcaria. Dlaczego HX? Może „H” to skrót od Helvetia? Stara nazwa Szwajcarii, która chyba zachowała się jeszcze w niektórych językach. Czy czasem nie w niemieckim? NJA to symbol konkretnej maszyny. Używali liter zamiast cyfr, gdyż to dawało więcej kombinacji. NJA, myślał z zamkniętymi oczami, NJA. Ninja. To wywołało uśmiech. Zawołanie jego oddziału, 1. batalionu 17. pułku piechoty. To były dni, kiedy brykało się po pagórkach wokół Fort Ord. Ale Siódma Lekka Dywizja Piechoty została rozwiązana, sztandary zwinięte i odłożone do magazynów, może na później... Ninja. To wydawało się ważne.

Dlaczego?

Chavez otworzył oczy, wstał, przeciągnął się i poszedł na przód maszyny. Obudził panią podpułkownik, z którą Clark miał małą utarczkę.

— Pani pułkownik?

Natychmiast się obudziła.

— Co takiego?

— Ile kosztuje takie cacko?

— Więcej niż którekolwiek z nas mogłoby zamarzyć.

— Pytam serio.

— Do dwudziestu milionów dolarów, zależnie od wersji i awioniki. Nie słyszałam o lepszych odrzutowcach dyspozycyjnych.

— Dzięki.

Chavez powrócił na miejsce. Nie było sensu próbować drzemki. Dolatywali do Chartumu.

Miał tu na nich czekać szef miejscowej placówki CIA, to znaczy, przepraszam, attaché handlowy. A

może któryś z agentów? W każdym razie będzie tu mniej przyjemnie niż podczas obu poprzednich postojów.

Helikopter wylądował w Fort McHenry, niedaleko posągu Orfeusza, którym ktoś postanowił upamiętnić nazwisko Francisa Scotta Keya. Ryan pomyślał o tym z równym entuzjazmem jak o idei Arnie'ego, że będzie okazja do fotografii, na której miał okazać swoją troskę. Czyżby ludzie naprawdę myśleli, że w takim momencie prezydent będzie wydawał

przyjęcia? Poe napisał chyba takie opowiadanie, „Maska czerwonej śmierci”, czy coś podobnego.

Zaraza dostała się na przyjęcie. Przetarł dłonią twarz. Sen. Potrzebuję snu. Do głowy przychodzą kretyńskie myśli. Zupełnie jak błyski flesza. W zmęczonym umyśle nagle bez dania racji rozbłyskiwała jakaś myśl, a potem trzeba było ze wszystkich sił starać się ją zdusić, żeby móc zająć się prawdziwymi problemami.

Jak zawsze, czekały na nich Chevrolety Suburbany, nie było jednak prezydenckiej limuzyny. Ryan miał demonstracyjnie pojechać w pojeździe opancerzonym. Dookoła pełno było zasępionych policjantów. Wszyscy byli ponurzy, dlaczego inaczej miałyby być z nimi?

Także on miał na twarzy maskę, co zarejestrowały trzy kamery telewizyjne. Może wszystko szło na żywo; nie był pewien i tylko przelotnie zerknął w obiektywy. Ruszyli natychmiast, najpierw w górę Fort Avenue, potem skręcili na północ ku Key Highway. Dziesięć minut zajął przejazd opustoszałymi ulicami miasta do John Hopkins Hospital, gdzie prezydent i Pierwsza Dama mieli przed następnymi kamerami zademonstrować swoją troskę. Na tym polega funkcja przywódcy, tłumaczył Arnie, dobierając słowa, które musiały przemówić do Ryana, czy mu się to podobało, czy nie. Miał zresztą rację. Prezydentowi nie wolno izolować się od ludzi; niezależnie od tego, jak wiele mógł im pomóc, musieli widzieć, jak poważnie do wszystkiego podchodzi. Miało to sens, a zarazem było bezsensowne.

Kolumna pojazdów wjechała w Wolfe Street, pilnowaną przez gwardzistów ze 175. pułku piechoty. Miejscowy dowódca postanowił, że strzeżone będą wszystkie szpitale, co zdaniem Ryana było jedną z rozsądniejszych decyzji. Tajnej Służbie bardzo nie podobał się fakt obecności tak wielu ludzi z pistoletami i karabinami, byli to jednak żołnierze, a nakaz ich rozbrojenia odebrany byłby fatalnie. Wszyscy salutowali, z twarzami skrytymi w ochronnych skafandrach i bronią przewieszoną przez ramiona. Jeden z policjantów oznajmił agentowi z ochrony, że liczba napadów ulicznych spadła niemal do zera. Nie było nawet widać handlarzy narkotyków.

Nieliczni przechodnie mieli zasłonięte twarze; w przedsionku szpitala wisiał ciężki odór środków dezynfekujących, który powoli stawał się ogólnonarodowym zapachem. W jakiej mierze było to nieodzowne, a w jakiej miało oddziaływać na psychikę?

— Witaj, Dave — pozdrowił dziekana, który miał na sobie zielony strój lekarski, maskę i rękawiczki. Nie podali sobie rąk.

— Dziękuję, panie prezydencie, że zechciał pan przybyć.

Weszli do środka, eskortowani przez kamerzystów. Zanim którykolwiek z reporterów zdążył o cokolwiek zapytać, dziekan poprowadził Ryana w kierunku części klinicznej. Przodem pośpieszyli agenci. Rozsunęły się drzwi, za którymi ukazał się pełen ruchu korytarz.

— Ile przypadków, Dave?

— Przyjeliśmy do siebie trzydzieści cztery. Ogólna liczba w tym rejonie — sto czterdzieści, przynajmniej tylu było, kiedy ostatni raz sprawdzałem. Mamy pod dostatkiem miejsca i personelu. Zwolniliśmy ponad połowę pacjentów, w przypadku których mogliśmy tak postąpić z czystym sumieniem. Wszystkie operacje, które można przeprowadzić później, zostały odwołane, ale szpital nieprzerwanie pracuje. Rodzą się dzieci. Ludzie zapadają na inne choroby, ulegają wypadkom.

— Gdzie Cathy? — spytał Ryan.

Otworzyły się drzwi windy, z której wysiadł operator z kamerą. Szpital z niechęcią odnosił się do gości, a chociaż szefowie redakcji i programów naciskali, ich terenowi wysłannicy nie przejawiali specjalnej gorliwości. Może chodziło o zapach; kto wie, czy nie działał na ludzi tak jak na psy woń weterynarza: zapowiedź zagrożenia. Na piętrze były dwie przebieralnie, dalsza, „gorąca”, w której zdejmowano odzież ochronną i przeprowadzano odkażanie, oraz bliższa, w której przebierano się. Pierwsi weszli ochroniarze, w środku kobieta w figach i staniku dobierała akurat skafander odpowiedniego rozmiaru. Nie protestowała — nie było czasu i miejsca na galanterię. Zresztą niewiele mogło nią wstrząsnąć po trzech poprzednich dyżurach.

— Niech pan tam powiesi ubranie — powiedziała, a zaraz dodała: — Ooo! — Poznała prezydenta.

— Dziękuję — mruknął Ryan, który, pozbywszy się butów, przyjął właśnie wieszak od Andrei. Price jednym spojrzeniem zlustrowała kobietę, która bez wątpienia była bez broni.

— Jak to wygląda? — spytał Jack.

Siostra przełożona odpowiedziała, nie odwracając się.

— Okropnie. — Zawahała się na chwilę, a potem dodała: -Wszyscy doceniamy, że pańska żona jest tu z nami.

— Namawiałem ją, żeby tego nie robiła — wyznał. Nie czuł z tego powodu najmniejszej winy; czy powinien?

— Tak samo mój mąż. — Teraz kobieta odwróciła się i natychmiast zaprotestowała. —

Nie, źle pan to robi.

Kiedy zaczęła mu pomagać, zalała go fala paniki. Było coś skrajnie nienaturalnego w tym, żeby nakładać na głowę plastikową torbę. Odgadła to z jego miny.

— Ze mną było tak samo, ale można się przyzwycząić. Wszedł dziekan James, który także chciał sprawdzić strój ochronny prezydenta.

— Słyszysz mnie pan?

— Tak — odparł Jack, który natychmiast zaczął się pocić, pomimo aparatury klimatyzacyjnej zawieszanej u pasa.

Dziekan zwrócił się do agentów ochrony.

— Od tej chwili ja tutaj dowodzę. Nie chcę narażać prezydenta na żadne niebezpieczeństwo, ale nie mamy tylu ubrań ochronnych, żeby starczyło dla was. Nic wam nie grozi, jeśli zostaniecie na korytarzu. Niczego nie dotykajcie, ścian, podłogi, niczego. Trzymajcie się z daleka od jakichkolwiek plastikowych pojemników. Zrozumiano?

— Tak, panie profesorze.

Przynajmniej raz Ryan widział Andreeę potulną. Trudno było się dziwić; psychologiczna presja była ogromna. James puknął Ryana w ramię.

— Proszę za mną. Wiem że to budzi lęk, ale w tym stroju jest pan bezpieczny. Wszyscy się już do tego przyzwyczailiśmy, prawda Tisha?

Pielęgniarka była już kompletnie odziana.

— Tak, panie profesorze.

Słysząc własny oddech, szum aparatury klimatyzacyjnej, ale poza tym nic. Idąc za dziekanem, Ryan doznał straszliwego poczucia osaczenia.

— Tutaj pracuje pańska żona.

Jack wszedł w drzwi, które się przed nim otworzyły. Na łóżku leżał chłopiec, ośmio-może dziewięcioletni. Nachylały się nad nim dwie niebieskie postacie i od tyłu nie potrafiłby powiedzieć, którą z nich jest Cathy. Poczował na przegubie rękę Jamesa; dwójka lekarzy usiłowała na powrót założyć kroplówkę i nie wolno im było przeszkadzać. Chłopiec jęczał i miotał się.

Ryan nie widział go zbyt dokładnie, ale i tego wystarczyło, żeby poczuł skurcz żołądka.

— Teraz spokojnie. To ci ulży — Głos należał do Cathy; ona mocowała kroplówkę, a druga osoba unieruchomiła rękę chłopca. — Już. Teraz taśma.

Cathy podeszła do pulpitu, który dozował morfinę i wszystkie inne składniki, i ustawiła właściwą dawkę. Obróciła się i zdusiła okrzyk zdziwienia.

— Witaj, kochanie.

— Jack, to nie miejsce dla ciebie — powiedziała Chirurg.

— A dla kogo?

— Dobra, mam zamiar na tego doktora MacGregora — oznajmił szef placówki CIA, który usiadł za kierownicą. Nazywał się Frank Clayton, ukończył Grambling, a Clark kiedyś widział go przelotnie na Farmie.

— Musimy się z nim zobaczyć, Frank — powiedział Clark. Spojrzał na zegarek i po dokonaniu koniecznych korekt uznał, że do północy brakuje dwóch godzin. Westchnął: tak, wszystko się zgadzało. Najpierw zatrzymali się w ambasadzie, gdzie zmienili ubrania. Mundury amerykańskie nie były tutaj zbyt dobrze widziane, jak stwierdził Frank. Chavez zauważył, że od lotniska jedzie za nimi jakiś samochód.

— Nie ma się czym przejmować. Zgubimy go pod ambasadą. Wiecie, czasami myślę sobie, że ostatecznie dobrze się stało, że moich przodków wywieziono z Afryki, ale nie powtarzajcie tego nikomu, dobra? Południowa Alabama to istny raj w porównaniu z tym zadupiem.

Zatrzymał się na parkingu pod ambasadą i wprowadził ich do środka. Minutę później jeden z jego ludzi wsiadł do Chevroleta i odjechał, pociągając za sobą szpicla.

— Proszę, koszula — powiedział agent CIA. — Spodni możecie chyba nie zmieniać.

— Rozmawiałeś już z MacGregorem? — spytał Clark.

— Telefonicznie, kilka godzin temu. Zajedziemy na miejsce, gdzie mieszka, a on wskoczy do samochodu. Znam spokojne miejsce, gdzie będzie można porozmawiać.

— Może mieć jakieś kłopoty?

— Kłopoty? Miejscowi są dosyć niezdarni. Jeśli ktoś siądzie nam na ogonie, będę wiedział, jak sobie poradzić.

— To ruszajmy, bracie — powiedział John — bo nam zgaśnie księżyc.

MacGregor mieszkał w nienajgorszej okolicy, lubianej, jak poinformował agent CIA, przez Europejczyków i dosyć bezpiecznej. Na telefonie komórkowym wystukał numer pagera; minutę później drzwi się otworzyły i jakaś skulona postać błyskawicznie wślizgnęła się na tylne siedzenie samochodu.

— Niezwykłe spotkanie — powiedział. Ku zdziwieniu Johna był młodszy nawet od Chaveza i dość otwarty. — Skąd właściwie jesteście?

— CIA — oznajmił Clark.

— Niemożliwe!

— Możliwe, doktorze — zapewnił Clayton, który zarazem uważnie patrzył w lusterko.

Nikt za nimi nie jechał, ale, na wszelki wypadek, skręcił w lewo, prawo i znowu w lewo. Nikogo.

— Wolno wam się z tym zdradzać? — spytał MacGregor, kiedy wyjechali na to, co tutaj uważane było za główną szosę. — Czy teraz będziecie musieli mnie zastrzelić?

— Doktorze, ogląda pan za dużo filmów. Życie jest mniej barwne, a gdybyśmy powiedzieli panu, że jesteśmy z Departamentu Stanu i tak by nam pan nie uwierzył. Mam rację?

— Zgoda, nie wyglądacie na dyplomatów — przyznał.

Clark obrócił się na przednim fotelu.

— Dziękujemy, że zechciał się pan z nami spotkać.

— Jedyne powody były takie, że miejscowe władze zmusiły mnie w dwóch przypadkach do odejścia od normalnych procedur.

— Więc najpierw niech mi pan o tym opowie. Clark włączył magnetofon.

— Jesteś chyba bardzo zmęczona, Cathy.

Nawet tak krótkie zdanie nie łatwo było wykrztusić przez plastikową maskę.

Chirurg zerknęła na zegar wiszący nad pulpitem pielęgniarskim. Jej dyżur właściwie się już skończył. Nie wiedziała, że Arnie van Damm najpierw się upewnił, czy ich przybycie nie oderwie jej od zajęć. Zirykowałyby ją to, a i tak miała poza tym wystarczająco wiele powodów do gniewu.

— Po południu zaczęły przyjeżdżać dzieci. Druga fala. Ten chłopak musiał się zarazić od ojca. Ma na imię Timothy, jest w trzeciej klasie, a ojciec leży piętro wyżej.

— Reszta rodziny?

— Wynik matki, niestety, pozytywny; właśnie ją przyjmują. Ma także dorosłą siostrę, która na razie jest zdrowa. Umieściliśmy ją w budynku poczekalni; wyznaczaliśmy to miejsce dla ludzi, którzy mieli kontakt z wirusem, ale na razie nie zdradzają żadnych objawów zarażenia.

Chodź, oprowadzę cię po piętrze.

Chwilę później wchodzili do sali nr 1, gdzie leżał Przypadek Zerowy. Ryan nie wyobrażał sobie nawet takiego zapachu. Dwoje ludzi — pielęgniarki, pielęgniarze, lekarze, tego nie mógł rozpoznać — usiłowało zmienić prześcieradło pokryte ciemnymi plamami. Mężczyzna był

półprzytomny; szarpał się z pasami mocującymi ramiona do poręczy łóżka.

— Prześcieradło zostanie spalone — powiedziała Cathy, przysuwając swój hełm do hełmu męża. — Bardzo ostro ustawiliśmy wszystkie zasady ostrożności.

— Jak źle z nim jest?

Wściekłym ruchem ręki pokazała wyjście i ruszyła za stropionym Ryanem. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, wskazującym palcem uderzając w pierś Jacka, wybuchnęła:

— Nigdy, powtarzam, nigdy, nie rozmawia się o sytuacji pacjenta w jego obecności, chyba że nastąpiła niewątpliwa poprawa. Słyszysz, nigdy!!! — Na chwilę przerwała, a potem ciągnęła, nie widząc potrzeby przeproszania za tę chwilę uniesienia. — Od trzech dni ma jednoznaczne symptomy.

— Jakiej szansę?

Głowa w hełmie poruszyła się w geście zaprzeczenia. Poszli dalej korytarzem, zaglądając do kolejnych sal, gdzie wszędzie rozgrywała się ta sama rozpaczliwa historia.

— Cathy? — rozległ się głos Jamesa. — Jesteś po dyżurze. Już cię tu nie ma.

— A gdzie profesor Alexandre? — spytał Jack w drodze do przebieralni.

— Kieruje następnym piętrem. Mieliśmy nadzieję, że powróci Ralph Foster, ale wszystkie loty wstrzymane. — Nagle spostrzegła kamery. — Co oni tu robią, do cholery?!

— Chodź! — Pociągnął żonę do przebieralni, gdzie, nie zwracając na siebie uwagi, zmieniali odzież: trzy kobiety i mężczyzna.

Skierowali się do windy, ale zatrzymał ich kobiecy głos.

— Stop! Z izby przyjęć transportują chorego. Trzeba iść schodami!

Członkowie Oddziału natychmiast skoczyli ku stopniom. Zeszli na parter, a stamtąd na zewnątrz, ciągle w maskach na twarzy.

— Jak to wszystko znosisz?

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, rozległ się okrzyk:

— Panie prezydencie!

Dwóch agentów Tajnej Służby chciało zagrozić drogę reporterowi i operatorowi, ale Ryan powstrzymał ich ruchem ręki. Dziennikarze zostali najpierw obszukani i dopiero potem ich przepuszczono.

— Słucham — powiedział Jack, ściągając maskę.

Reporter trzymał mikrofon na całą długość wyciągniętej ręki, co w innych warunkach wyglądałoby przekomicznie. Wszyscy się bali.

— Co pan tutaj robi, panie prezydencie?

— Do moich obowiązków należy przypatrywanie się temu, jak się rozwija sytuacja, a przy okazji chciałem też zobaczyć, jak miewa się Cathy.

— Wszyscy już wiedzą, że Pierwsza Dama pracuje pośród chorych. Czy zechciałby pan może w związku z tym złożyć jakieś oświadczenie...

— Jestem lekarzem! — ostro przerwała Cathy. — Wszyscy pełnimy dyżury. To mój zawód i nie ma w tym niczego nadzwyczajnego!

— Czy jest aż tak źle?

Tym razem Jackowi udało się zabrać głos, zanim Cathy zareagowała.

— Wiem, że żądaniem pana jest stawiać pytania, ale w tym przypadku sam pan zna odpowiedź. Są tutaj ludzie bardzo ciężko chorzy, a lekarze, w tym szpitalu i we wszystkich innych, starają się robić wszystko, co w ich mocy. To bardzo trudny czas dla Cathy i jej kolegów.

To bardzo trudny czas dla pacjentów i ich rodzin.

— Profesor Ryan, czy ebola jest tak groźna, jak wszyscy mówią?

Przytaknęła.

— Tak, to straszliwa choroba. Ale dajemy tym ludziom najlepszą opiekę, na jaką nas stać.

— Pojawily się sugestie, że skoro nadzieje są tak znikome, a chorzy tak bardzo cierpią...

— To co? Zabijać ich na miejscu?!

— Skoro męczarnie są tak wielkie, jak można usłyszeć, to...

— O nie, proszę pana! Ja inaczej rozumiem obowiązek lekarza. Chcemy uratować część z tych ludzi. Dzięki temu, czego się przy tym nauczymy, będziemy mogli może wyciągać ich coraz więcej ze szponów choroby, a rezygnacja niczego nas nie nauczy! To dlatego prawdziwi lekarze nigdy nie posuwają się do zabicia pacjenta! Co pan właściwie chce powiedzieć? Tam, wewnątrz, leżą żywi ludzie, a moim obowiązkiem jest walczyć o ich życie... I niech żaden laik nie waży się mnie pouczać, jak mam to robić! — Poczwała, jak ręka Jacka wpija się w jej ramię. —

Przepraszam, po czterech godzinach dyżuru nie bardzo potrafię się zdobyć na gładkie słowa.

— Czy moglibyśmy teraz prosić o odrobinę samotności? — powiedział Ryan. — Nie widzieliśmy się od wczoraj, a przecież w końcu jesteśmy małżeństwem, jak wszystkie inne.

— Oczywiście, panie prezydencie. Dziękuję, panie prezydencie.

Reporter cofnął się, ale obiektyw kamery dalej ich prowadził.

— Chodź, kochanie, uspokój się.

Jack po raz pierwszy tego dnia przygarnął żonę.

— Stracimy ich wszystkich, wiesz? Wszystkich co do jednego; a zacnie się to jutro, najpóźniej pojutrze.

I wybuchnęła płaczem.

— Rozumiem. — Przytulił głowę do jej skroni. — Przypuszczam, że bezradność jest straszna dla lekarza.

— Ale jak, ich zdaniem, mamy się czegoś nauczyć? Skoro nie można uleczyć, to dać im umrzeć godnie. Czyli poddać się. O nie, nie tego mnie tutaj uczono.

— Wiem.

Pociągnęła nosem i przetarła oczy rąbkiem jego koszuli.

— Dobrze, już jestem dzielna. Mam teraz wolne osiem godzin.

— Gdzie śpisz?

Wzruszenie ramion i ciężki oddech.

— W Maumenee; ustawili tam prycze. Bernie jest w Nowym Jorku, pomaga na Columbia. Mają tam kilkaset przypadków.

— Jest pani naprawdę dzielna, pani profesor — powiedział z uśmiechem.

— Jack, jeśli tylko się dowiesz, kto to zrobił...

— Pracujemy nad tym — powiedział prezydent.

— Zna pan kogoś z tych ludzi?

Agent CIA wręczył lekarzowi zrobione przez siebie fotografie, wraz z latarką.

— To Saleh! Kim właściwie był? Sam nigdy nie powiedział, a mnie nie udało się tego rozgryźć.

— To iraccy wyżsi oficerowie. Kiedy upadł ich rząd, uciekli tutaj z rodzinami, a ja zrobiłem parę zdjęć. Jest pan pewny, jeśli chodzi o tego faceta?

— Tak, kurowałem go przez jakiś tydzień. Niestety, umarł. — MacGregor przerzucił

kilka następnych fotografii. — A to chyba Sohaila. Ta przeżyła, dzięki Bogu. Miła dziewczyna...

A to jej ojciec.

— Co to wszystko znaczy? — spytał Chavez. — Nikt nam o niczym nie wspomniał.

— Może byliśmy wtedy na Farmie?

— Znowu bawiłeś się w instruktora, John? — zapytał z uśmiechem Frank Clayton. — No cóż, człowiek słyszy to i owo, więc pomyślałam sobie, parę fotek nie zaszkodzi. Wyszły całkiem nieźle, co, spójrz tylko tutaj?

Clark zerknął i westchnął, zdjęcia jeśli chodzi o wierność nie ustępowało tym, które mieli w paszportach.

— Nieźle, nieźle.

— Dziękuję, sir.

— Daj i mnie popatrzeć — odezwał się Chavez. Skierował snop światła na fotografię i nagle syknął: — Ninja. Niech mnie cholera, ninja!

— Co znowu?

— Jack, spójrz tylko na ogon — powiedział cicho Ding.

— HX-NJA... O, Boże!

— Clayton! — zwrócił się Chavez do agenta. — Ta komórka jest bezpieczna?

Zapytany wziął telefon i wcisnął trzy guziki.

— Teraz tak. Dokąd?

— Langley.

— Panie prezydencie, czy teraz możemy porozmawiać? Jack kiwnął głową.

— Dobrze, chodźcie. — Chciał trochę się przejść. — Może powinienem przeprosić za Cathy.

Rzadko reaguje tak emocjonalnie. Jest lekarzem, wszyscy oni — zrobił gest w kierunku budynku szpitala — pracują w strasznym stresie. Pierwsza zasada, której ich uczą, brzmi: *Primum non nocere*, Przede wszystkim: nie szkodzić. To piękna reguła. Pamiętajcie, że Cathy ma za sobą kilka ciężkich dni. Cóż, podobnie jak wszyscy w tym kraju.

— Panie prezydencie, czy jest możliwe, że to rozmyślne działanie?

— Nie mamy pewności, a zanim nie będzie jednoznacznych ustaleń, wolałbym się nie wypowiadać w tej sprawie.

— To trudne chwile dla pana, panie prezydencie.

Reporter był miejscowy, nie należał do waszyngtońskich rutyniarzy. Nie bardzo wiedział, jak zachowywać się wobec prezydenta. Tak czy owak, rozmowa szła na żywo w NBC, chociaż dziennikarz o tym nie wiedział.

— Tak, bardzo trudne.

— Czy ma pan dla nas wszystkich jakieś słowa nadziei?

Jack przystanął.

— Jeśli chodzi o chorych, nadzieja wiąże się z lekarzami i pielęgniarkami. To wspaniali ludzie i chyba sami mogliście to zobaczyć. To prawdziwi wojownicy, tyle że oni walczą ze śmiercią, a nie w jej imieniu. Jestem dumny z mojej żony i tego co robi. Powinienem właściwie powiedzieć: teraz jestem dumny. Prosiłem ją, by tego nie robiła. Może to było egoistyczne, ale tak się zachowałem. Wiecie, że usiłowano ją zabić. Nie lękam się niebezpieczeństwa, które czyha na mnie, ale inaczej jest z żoną, dziećmi... Im nie powinno nic grozić, podobnie jak wszystkim tym nieszczęśnikom. Spadło to jednak na nas i teraz trzeba walczyć o życie chorych i o to, żeby zaraza nie dotknęła innych. Mój dekret nie spodobał się wielu ludziom, ale nie potrafię siedzieć beczynnym, kiedy wiem, że można ocalić czyjeś życie. Nie wystarczy powiedzieć: „To straszne”.

To każdy potrafi. W tej chwili potrzeba czegoś więcej. A teraz, chciałbym przeprosić, jestem naprawdę zmęczony. Moglibyśmy na tym zakończyć?

— Oczywiście. Dziękuję, panie prezydencie.

— I ja dziękuję.

Ryan odwrócił się i ruszył w kierunku parkingowych garaży. Zobaczył tam czarnoskórego mężczyznę, który palił papierosa, pomimo napisu, który tego zakazywał. Jack podszedł do niego, nie zwracając uwagi na trzech agentów i dwóch gwardzistów, którzy sunęli jego śladem.

— Znalazłby pan jeszcze jednego?

— Jasne.

Nie podnosząc głowy, wpatrzony w beton, wyciągnął lewą rękę z paczką papierosów i zapalniczką.

Na mocy niepisanej umowy, acz powszechnie obecnie w Stanach przestrzeganej, Ryan usiadł o metr od mężczyzny, nachylając się, aby oddać papierosy.

— Dziękuję.

— Ty także, co?

— To znaczy?

— Mam tam żonę, zaraziła się. Sprzątała u jednej rodziny. Tamci wszyscy zachorowali, a teraz ją wzięło.

— Moja żona jest lekarzem. Tam, razem z nimi. Ryan zaciągnął się głęboko.

— Nie dali mi nawet wejść — poskarżył się mężczyzna. — Pobrali mi krew, byłem blisko, nie pozwolą jej zobaczyć. Jezus Maria, co to się stało?

— A gdybyś to ty był chory i wiedziałbyś, że możesz zarazić żonę, co byś zrobił?

Murzyn pokiwał głową w gniewnej rezygnacji.

— Wiem. To samo mówią lekarze. Mają rację. Wiem. Ale tak być nie powinno.

— I ja tak myślę.

— Ktoś to zrobił, cholera, tak mówią w telewizji. I powinien za to zapłacić!

Ryan siedział w milczeniu, ale przemówił ktoś inny. Andrea Price.

— Panie prezydencie, dyrektor CIA do pana.

Mężczyzna poderwał głowę i spojrzał uważnie w żółtawym świetle latarni.

— To pan?

— Tak.

— I pana żona tam pracuje?

Kiwnięcie głowy. Westchnienie.

— Tak, pracuje tu od piętnastu lat. Chciałem zobaczyć ją, jak się miewa, jak sytuacja.

Przepraszam.

— Za co?

— Ciebie nie wpuszczą, mnie wpuścili.

Ciemna twarz skrzywiła się w grymasie.

— Dobrze zrobili. Straszne to z pańską córą, w zeszłym tygodniu. Z nią dobrze?

— Tak. W tym wieku łatwo się zapomina.

— Fajnie. Dzięki za rozmowę.

— Dzięki za papierosa.

Prezydent wstał i podszedł do Price, od której odebrał telefon.

— Ed, tu Jack.

— Panie prezydencie, musi pan coś zobaczyć — powiedział Ed Foley. Nie bardzo wiedział, jak poinformować, że dowód wisi właśnie na ścianie centrum operacyjnego CIA.

— Za godzinę, Ed.

— Tak jest, panie prezydencie. Wszystko przygotujemy.

Jack wcisnął guzik kończący rozmowę i oddał telefon.

— Jedziemy.

SOW

Przed powrotem do domu każdy musiał podać się odkażeniu. Do tego celu wydzielono w Hopkinsie dwie duże sale, teraz już dla obu płci. Gorąca woda cuchnęła chemikaliami, ale ten zapach dawał Ryanowi poczucie bezpieczeństwa. Potem otrzymał zielone ubranie lekarskie. Miał

je na sobie, kiedy towarzyszył rodzinom dzieci. Przyjemne skojarzenie, które zaraz się rozwiało. Wsiadł do Suburbana; ten miał go zawieźć do Fort Henry, gdzie czekał helikopter.

Następny przystanek: Biały Dom. Prysznic go odświeżył. Mógłby pod nim stać kilka godzin.

Pół godziny później *VH-3* oderwał się od pasa.

Zakończyły się najbardziej niemrawe ćwiczenia w dziejach Narodowego Ośrodka Szkoleniowego. Żołnierze 11. pułku kawalerii i pancerniacy Gwardii Narodowej Północnej Karoliny przez pięć godzin snuli się po okolicy, nieudolnie usiłując zrealizować plany taktyczne.

Projekcja w Sali Wojen Gwiazdnych pokazała, że czasami czołgi mijają się w odległości kilometra i nie otwierają ognia. Nikt się nie angażował po żadnej ze stron, a przeprowadzony atak nie tyle został odparty, ile sam się zatrzymał na mocy jakiegoś apatycznego konsensu. Tuż przez północą oddziały sformowały się i udały do swoich obozowisk, a dowódcy wylądowali w domu generała Diggsa.

— Cześć, Nick — powiedział pułkownik Hamm.

— Cześć, Al — odparł pułkownik Eddington.

— Co to miało być? — zażądał wyjaśnień Diggs.

— Ludzie powoli się rozklejają, sir — jako pierwszy odezwał się dowódca Gwardii Narodowej. — Wszyscy myślą o tym, co dzieje się w domu. My tutaj jesteśmy bezpieczni, ale oni... W tej sytuacji, panie generale, trudno mieć pretensje do żołnierzy. Są tylko ludźmi.

— Co do mnie, panie generale, powiedzieć mogę tyle, że wprawdzie najbliższych mamy tutaj pod bokiem, ale przecież każdy ma jakąś rodzinę na zewnątrz — dorzucił Hamm.

— Pięknie, panowie, jeszcze tak sobie posiedźcie i poużalajcie się nad sobą! Ale ja nie dam sobie wciskać takiego gówna, jasne! Waszym zadaniem jest kierować ludźmi, rozumiecie: kie-ro-wać! Jeśli panowie pułkownicy nie zauważyli, to ja muszę im przypomnieć, że siły zbrojne całych Stanów Zjednoczonych zostały dotknięte epidemią — z wyjątkiem nas!!! Ale czy panom dowódcom to w głowie? Czy myślą o tym ich podwładni? Nikt nigdy nie twierdził, że żołnierka jest łatwa i przyjemna, nie jest też łatwe i przyjemne dowodzenie, ale na tym właśnie polega wasze zadanie. A jeśli nie potraficie się z niego wywiązać, to znajdą się na wasze miejsce inni!

— To nic nie da, sir. Nikt z tu obecnych nie sprawi się lepiej — oznajmił sztywno Hamm.

— Pułkowniku...

— Diggs — przerwał dowódca Eddington — Al ma rację. Są granice wytrzymałości.

Pojawił się nieprzyjaciel, z którym nie potrafimy walczyć. Jak ludzie trochę się oswoją z sytuacją, pewnie się pozbierają, może wystarczy odrobina pocieszających wiadomości. Panie generale, przecież pan też dobrze wie, o co chodzi. Zna pan historię. Tak, to są żołnierze, ale przede wszystkim ludzie. Są wstrząśnięci. Podobnie jak ja.

— Tak, wiem też, że nie ma złych pułków, a tylko marni pułkownicy — odparł Diggs, wykorzystując powiedzenie Napoleona, ale żaden z jego podwładnych nie zamierzał się bronić.

Było naprawdę niedobrze.

— Jak poszło? — spytał van Damm.

— Okropnie — mruknął Ryan. — Widziałem sześcioro czy siedmioro osób, które muszą umrzeć. Pośród nich dzieciak, chłopak z podstawówki. A Cathy uprzedza, że zaraz posypią się wypadki śmiertelne.

— Jak ona?

— Bardzo spięta, ale daje sobie radę. Dostało się jednemu z dziennikarzy.

— Wiem, widziałem w telewizji — powiedział szef personelu.

— Już dali?

— Szliście na żywo. Wypadłeś świetnie. Skupiony, poważny, jak jasna cholera. Tak ładnie mówiłeś o żonie. Nawet przeprosiłeś za jej zachowanie, co było tym lepsze, że była znakomita. Oddana swej pracy, przejęta — ludzie oczekują tego od lekarza.

— Arnie, to nie teatr — rzekł z rezygnacją w głosie Ryan, zbyt zmęczony, aby się irytować. Orzeźwiający skutki prysznic zniknęły już bez śladu.

— Nie, to coś znacznie poważniejszego: to kierowanie państwem. Kiedyś nauczysz się, że... a może nie? Rób po prostu to, co robisz; wygląda na to, że nieświadomie wybierasz najlepsze posunięcia.

NBC udostępniła taśmę całemu światu. Niezależnie od zajadłej konkurencji w świecie dziennikarskim, ostało się w nim coś takiego jak poczucie odpowiedzialności, zatem godzinę później rozmowa z prezydenckim małżeństwem pojawiła się na ekranach telewizorów na całym świecie.

Premier Indii z satysfakcją pokiwała głową: miała rację od samego początku. Ryan był na wykończeniu. Ledwie trzymał się na nogach, mówił niewyraźnie, pozwolił, by przemawiała za niego żona; jej wybuch także był przejawem słabości. Kończył się czas Ameryki jako wielkiego mocarstwa, gdyż zabrakło jej mocnego przywódcy. Nie wiedziała wprawdzie, kto spowodował

epidemię, ale nietrudno było zgadnąć. To musiała być ZRI. Z jakiego innego powodu Darjaei miałyby zwoływać spotkanie w zachodnich Chinach? Ona wykonała swoją część: jej okręty strzegły wejścia

do Zatoki Perskiej. W odpowiedniej chwili Indie zostaną za to wynagrodzone.

— Prezydent pańskiego kraju jest przygnieciony tym, co się stało — powiedział Żeng. —

Trudno się dziwić.

— To wielkie nieszczęście. Proszę przyjąć nasze wyrazy głębokiego współczucia —

dodał minister spraw zagranicznych. Cała trójka, której towarzyszył tłumacz, przed chwilą obejrzała rozmowę.

Adler nie zdążył jeszcze do końca przetrwać wszystkich wiadomości związanych z epidemią; musiał to jednak odłożyć na później.

— Możemy kontynuować? — spytał.

— Czy nasza wyrodna prowincja zgodziła się na spłacenie rekompensat? — spytał

minister.

— Niestety, nie. Stoją na stanowisku, że cały incydent został rozmyślnie spowodowany przez ChRL z abstrakcyjnego punktu widzenia, nie można temu odmówić logiki — oznajmił

sekretarz stanu, sięgając do dyplomatycznej retoryki.

— Tutaj jednak nie chodzi o abstrakcje, lecz o konkretną sytuację. Przeprowadzaliśmy pokojowe ćwiczenia. Jeden z ich pilotów ośmielił się zaatakować nasze maszyny. W trakcie walki kolejny tajwański szaleniak wystrzelił raketę w stronę samolotu pasażerskiego. Jak tu rozstrzygnąć, czy był to nieszczęśliwy wypadek, czy nie?

— Nie wypadek? — spytał przeciągle Adler. — A jakie intencje mogłyby się kryć za taką intrygą?

— Któż to może wiedzieć, kiedy ma się do czynienia z bandytami?

Minister spraw zagranicznych zadał to retoryczne pytanie z nieco większą dawką emocji.

Jack ciągle miał na sobie zielony kitel lekarski z nadrukiem HOPKINS. Pierwsi weszli do Sali Sytuacyjnej Ed i Mary Pat Foleyowie; Ed niósł pod pachą wielki plakat albo coś o podobnych rozmiarach. Zaraz za nimi pojawił się Murray z inspektorem O'Dayem. Ryan ruszył

na powitanie.

— Przepraszam, że nie udało mi się zobaczyć z panem wcześniej. Jestem pańskim dłużnikiem do końca życia.

Mocno uścisnęli sobie dłonie.

— To była prosta sprawa w porównaniu z tym, co teraz się dzieje — odpowiedział Pat. —

Poza tym była tam także moja córeczka. Dobrze, że się tam znalazłem. Nie mam żadnych wyrzutów sumienia, jeśli chodzi o tych dwóch. Cześć, Andrea — zwrócił się do Price.

Agentka uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia.

— Jak twoja mała, Pat?

— Jest w domu z niańką. Obydwie są czyste — zapewnił.

— Panie prezydencie? — wtrącił się Goodley. — To świeża informacja.

— Dobrze, do roboty. Kto zaczyna?

— Ja — powiedział dyrektor CIA i rozłożył na stole płachtę papieru. — Spójrzcie.

Ryan wpatrzył się w powiększoną odbitkę jakiegoś formularza, wypełnionego po francusku.

— Co to takiego?

— Manifest pokładowy i deklaracja celna samolotu. Proszę zwrócić uwagę na rubrykę rejestracji, górny lewy róg.

— HX-NJA. No i co z tego? — spytał Miecznik. Arnie usiadł spokojnie na swoim miejscu. W pokoju czuć było napięcie.

Zdjęcie zrobione przez Chaveza na lotnisku Mehrabad było nawet większe od plakatu.

Mary Pat rozwinęła je, kładąc na rogach dwie teczki, aby się nie zwinęło.

— Proszę zwrócić uwagę na ogon — powiedziała.

— HX-NJA. Słuchajcie, nie mam teraz czasu, żeby odgrywać Herculesa Poirot —

zachnął się Ryan.

— Panie prezydencie, zaraz wszystko wytłumaczę, ale już na początku chciałem oświadczyć, że mogę z tym stanąć przed każdym sądem — powiedział Dan Murray. — Manifest dotyczy samolotu *Gulfstream G-IV*, należącego do tej oto firmy z siedzibą w Szwajcarii. — Na stół spłynęła następna stronica. — Oto piloci. — Dwa zdjęcia i odciski palców. — Maszyna wyleciała z Zairu z trojgiem pasażerów na pokładzie. Były to dwie zakonnice: siostry Jeanne Baptiste i Maria Magdalena, pracujące jako pielęgniarki w szpitalu katolickim. Siostra Jeanne opiekowała się Benedictem Mkusą,

chłopcem, który zmarł na ebola. Niestety, zaraziła się także zakonnica, a wtedy trzeci pasażer, doktor Mohammed Moudi — nie mamy w tej chwili jego zdjęcia, ale staramy się o nie — postanowił przewieźć chorą do Paryża. W drodze towarzyszyła im także siostra Maria Magdalena. Doktor Moudi jest z pochodzenia Irańczykiem i pracuje dla WHO. Oznajmił siostrze przełożonej, że chora może uda się uratować w Instytucie Pasteura, on zaś załatwi prywatny odrzutowiec. Wszystko jasne, jak na razie?

— I to właśnie ten samolot.

— Tak, panie prezydencie. To właśnie ten samolot, tylko że jest pewien problem. Otóż miał on rzekomo runąć do morza, po wystartowaniu w Libii, gdzie lądował, aby zatankować paliwo. Potwierdza to cała tona dokumentów. Tyle że... — Murray uderzył dłonią w wielką odbitkę — ...zdjęcie to zrobił Domingo Chavez...

— Zna go pan — wtrąciła Mary Pat.

— Tak, znam. Więc gdzie Ding sfotografował maszynę?

— W zeszłym tygodniu, kiedy wraz z Clarkiem towarzyszyli sekretarzowi Adlerowi w podróży do Teheranu. Jej losy śledził także jeden z naszych niszczycieli, kiedy odebrał sygnał

Mayday. Na miejscu wypadku nie znalazł żadnych szczątków. Teraz ty, Ed — skończył Murray.

— Kiedy Irak się rozpadł, Iran pozwolił uciec najwyższemu dowództwu wojskowemu.

Darjaei nawet dostarczył środek transportu. Wystartowali następnego dnia po tym, jak HX-NJA miał ponoć katastrofę — oznajmił Foley. — Wylądowali w Chartumie, stolicy Sudanu. Szefem naszej placówki jest tam Frank Clayton; zjawił się na lotnisku i zrobił parę zdjęć, żeby potwierdzić nasze informacje.

Szef CIA położył fotografie na stole.

— Wydaje się, że to ten sam samolot — przyznał prezydent. — Ale jeśli to podrobiona rejestracja?

— Mamy następną poszlakę — powiedział Murray. — W Chartumie wykryto dwa przypadki ebola.

— Kilka godzin temu Clark i Chavez rozmawiali z lekarzem, który się nimi opiekował —

dodała Mary Pat.

— Oboje pacjentów przyleciało tym samolotem; mamy ich zdjęcia, jak wysiadają.

Podsumujmy: mamy samolot z chorą zakonnica na pokładzie; samolot znika, ale dwadzieścia cztery godziny później pojawia się w zupełnie innym miejscu, a wśród pasażerów, którzy z niego wysiadają, dwoje dotkniętych jest tą samą chorobą. Pasażerowie ci przybyli do Sudanu z Iraku, via Iran.

— Kto jest właścicielem samolotu? — spytał Arnie.

— Prywatna firma transportowa. Za kilka godzin otrzymamy ze Szwajcarii dokładne informacje. Wiemy na pewno, że pilotowali go Irańczycy. Mamy ich dane, gdyż uczyli się u nas latać — wyjaśnił Murray. — I wreszcie, wiemy że z samolotu tego korzysta również nasz przyjaciel Darjaei. Maszynę wycofano, jak się zdaje, z ruchu międzynarodowego; być może Darjaei używa jej do przemieszczania się po ZRI. Tak więc, panie prezydencie, mamy chorobę, samolot i właściciela, wszystko powiązane ze sobą. Jutro dowiemy się od ludzi z Gulfstream Inc, czy maszyna ma jakieś znaki szczególne, które mogłyby dodatkowo potwierdzić jej identyczność. Szwajcarzy dostarczą nam wszystkich danych o właścicielu, a także o reszcie jego floty. Wiemy zatem, panie prezydencie — kończył Murray — kto to zrobił. Dowody są nie do podważenia.

— Są inne sprawy, które jeszcze czekają na wyjaśnienie — dodała Mary Pat. — Trzeba wyjaśnić dokładnie, kim jest ten Moudi. Dokładnie sprawdzić drogę transportu małą z Kenii —

używają ich do hodowania zarazków. No i jeszcze ta pozorowana katastrofą; uwierzy pan, że nawet wystąpili o odszkodowanie?

— Na chwilę przerywamy naradę. Andrea?

— Słucham, panie prezydencie.

— Natychmiast ściągnij tutaj sekretarza Bretano i admirała Jacksona.

— Tak jest.

Price wyszła, a Ed Foley poczekał, aż zamkną się za nią drzwi.

— Panie prezydencie?

— Tak, Ed?

— Jest jeszcze coś, o czym nawet nie zdążyłem wspomnieć Danowi. Wiemy, że za całą sprawą stoi ZRI, a właściwie, nasz bliski przyjaciel Mahmud Hadzi Darjaei. Chavez poczynił

przed wyjazdem ciekawą uwagę. Druga strona musi się spodziewać, że wytropimy w końcu, kto to wszystko uknuł. Całkowitej tajemnicy w akcji na taką skalę nie da się zachować.

— Więc?

— Narzucają się dwa wnioski, Jack. Pierwszy: cokolwiek planują, będzie nieodwracalne i dlatego jest mało istotne, czy się w końcu zorientujemy czy nie. Po drugie: trzeba pamiętać, jak załatwili sprawę z Irakiem. Mieli kogoś w ochronie ich prezydenta.

Ryan zamyślił się, a Dan Murray wymienił spojrzenia ze swym inspektorem.

— Ed, zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? — sekundę później odezwał się Murray.

— Zastanów się tylko chwilę, Dan. Mamy prezydenta, Senat, jedną trzecią Izby. Nie mamy na razie wiceprezydenta. Z zastępstwem prezydenta są więc problemy, ewentualni kandydaci są słabi, administracji rządowej daleko do okrzepnięcia. Dodaj do tego epidemię, która sparaliżowała cały kraj. Z zewnątrz niemal każdemu musimy wydawać się słabi i bezbronni.

Ryan spojrział na wracającą Andreę.

— Poczekajcie. Próbowali zamachu na Katie; po co, jeśli to ja stanowią ich cel?

— Nasz przeciwnik pokazał, że dysponuje praktycznie nieograniczonymi możliwościami.

Po pierwsze, przeniknęli do najbliższej ochrony prezydenta Iraku i potrafili go zabić. Po drugie, akcję z zeszłego tygodnia umożliwił uśpiony agent, który mieszkał tutaj przez co najmniej jedenaście lat, nie podejmował żadnych podejrzanych czynności, ale gdy się uaktywnił, potrafił

zorganizować próbę porwania córki prezydenta USA.

Murray kiwnął głową.

— Nas także to zaniepokoiło; kontrwywiad pracuje nad tą sprawą. Andrea natychmiast zorientowała się o co chodzi.

— Zaraz! Znam każdą osobę w Oddziale. Przecież pięć osób zginęło, broniąc Foremki!

— Agentko Price — odezwała się May Pat Foley. — Orientuje się pani chyba, ile razy CIA została wystawiona do wiatru przez ludzi, których wszyscy dobrze znali, niektórych znałam także i ja. Straciłam trzech świetnych agentów na skutek jednego śpiocha. Znałam ich świetnie i nieźle faceta, który ich wystawił na strzał. I nie mów mi, że to mania prześladowcza. Mamy do czynienia z bezwzględnym przeciwnikiem. A wystarczy jeden jedyny człowiek.

Murray cicho zagwizdał. Przez kilka ostatnich godzin wszystkie jego myśli płynęły w jednym kierunku; teraz gwałtownie to się zmieniło.

— Pani Foley, nie mogę...

— Andrea — włączył się inspektor O'Day. — Nie traktuj tego osobiście. Spróbuj spojrzeć na to z zewnątrz. Gdybyś miała do dyspozycji fundusze całego państwa, gdybyś była odpowiednio cierpliwa i miała do dyspozycji zdeterminowanych ludzi, czy to takie trudne?

— A to, co zrobili w Iraku? Czy pomyślałabyś, że to możliwe? — dodał Murray.

Prezydent rozejrzał się po pokoju.

Cudownie, wychodzi na to, że nie mogą ufać nawet swojej ochronie, przemknęło mu przez głowę.

— No dobrze, ale co mamy zrobić w takim razie? — spytała Andrea, ciągle pełna niedowierzania.

— Pat, dostajesz nowe zadanie — oznajmił Murray. — Oczywiście, jeśli prezydent się zgodzi.

— Zgoda — powiedział krótko Ryan.

— Jakie zasady? — spytał O'Day.

— Tylko jedna: skuteczność — odrzekła Price.

W Zjednoczonej Republice Islamskiej dochodziło południe. Dobiegały końca prace remontowe w sześciu pancernych dywizjach stacjonujących w południowej części kraju.

Wymieniono niemal wszystkie gaśnice w pojazdach bojowych; narodził się zdrowy duch współzawodnictwa pomiędzy oddziałami z Iraku, a tymi, które przybyły z terenów dawnego Iranu. Kiedy wszystkie pojazdy znowu osiągnęły stan pełnej gotowości bojowej, uzupełniono w nich zapasy amunicji.

Dowódcy batalionów z satysfakcją ocenili wyniki manewrów. Nowo wprowadzony system nawigacji satelitarnej *GPS* spisywał się bajecznie. Irakijczycy zaczęli teraz rozumieć, dlaczego w 1991 ponieśli z rąk Amerykanów tak dotkliwą porażkę. Jeśli posiadało się *GPS*, nie trzeba było dróg. W kulturze arabskiej pustynia spełniała rolę morza, a teraz mogli po niej podróżować niczym żeglarze, docierając od jednego punktu do drugiego z dokładnością wcześniej im zupełnie nieznaną.

Oficerowie sztabowi korpusów i dywizji wiedzieli, dlaczego jest to tak istotne. Otrzymali właśnie nowe mapy, a wraz z nimi — nowe zadania. Dowiedzieli się także, że ich, złożona z trzech korpusów formacja, otrzymała nazwę Armii Boga. Nazajutrz dowódcy oddziałów zostaną poinformowani o tym i o wielu innych sprawach.

Potrwało godzinę, zanim dotarli. Admirał Jackson spał w swoim gabinecie, ale Bretano pojechał do domu po wielogodzinnej analizie sytuacji w bazach całego kraju. Z ulgą stwierdzili, że Biały Dom w tej sytuacji niezbyt rygorystycznie traktował kwestie ubioru. Na przykład prezydent, także z zaczerwienionymi oczyma, miał na sobie lekarski kitel.

Dan Murray i Ed Foley powtórzyli w skrócie, o czym była mowa wcześniej. Jackson przyjął informacje ze spokojem.

— Dobrze. Teraz przynajmniej wiadomo, czego się trzymać.

Bretano cały wrzał.

— To *casus belli*, jawny akt wojny.

— Ale to nie my jesteśmy jego celem, lecz Arabia Saudyjska i wszystkie pozostałe kraje znad Zatoki. Tylko wtedy ma to jakiś sens. Darjaei przypuszcza, że jeśli zajmie wszystkie te kraje, nie będziemy

mogli zaatakować go bronią jądrową, gdyż oznaczałoby to odcięcie od ropy naftowej całego świata.

Dyrektor CIA odgadł niemal wszystko, ale tylko niemal. — Co więcej, wciągnął do spisku Indie i Chiny — ciągnął Robby Jackson. — Wyciągam wnioski z niepełnych przesłanek, ale mam chyba rację. „Ike” jest źle ulokowany. Indyjskie lotniskowce blokują wejście do zatoki Ormuz. Nie możemy tam wprowadzić okrętów transportowych ze sprzętem, bez osłony z powietrza. Do diabła, przesunął nad granicę całe trzy korpusy. Saudyjczycy będą walczyć, ale tamci mają przewagę liczebną. Wszystko potrwa nie dłużej niż tydzień. Nieźle pomyślane od strony operacyjnej — zakończył J-3.

— Bardzo sprytnym pomysłem był także atak biologiczny. Zyskali chyba więcej, niż się spodziewali. Niemal każda baza i każda jednostka jest w tej chwili wyłączona z gry — oznajmił

sekretarz obrony.

— Panie prezydencie, z czasów, kiedy byłem chłopcem w Misissipi, pamiętam powiedzenie ludzi z Klanu, że jeśli spotkasz wściekłego psa, nie zabijaj go, a podrzuć na czyjeś podwórze. Zresztą, jeden z tych sukinsynów zrobił tak kiedyś z nami, bo ojciec bardzo się angażował w nakłanianie ludzi do głosowania.

— Co wtedy zrobiliście, Rob?

— Ojciec rozwalił go z dubeltówki na lisy — odpowiedział admirał Jackson. — I dalej robił swoje. Jeśli mamy cokolwiek zdziałać, musimy zabierać się do tego szybko, cokolwiek by to było.

— Kiedy okręty z Morza Śródziemnego dotrą do Arabii Saudyjskiej?

— Potrzeba im mniej niż trzy dni, ale po drodze ktoś może starać się im przeszkodzić.

Dowódca Floty Atlantyku kazał im płynąć przez Suez, dzięki czemu mogą dotrzeć do cieśniny na czas. Ale najpierw musimy przepchnąć te transportowce z czołgami obok Hindusów. Osłonę tych czterech jednostek zapewnia jeden krążownik, dwa niszczyciele i dwie fregaty; a gdybyśmy je stracili, kolejne uzupełnienie jest dopiero w Savannah, sir.

— Ile mamy sprzętu w Arabii Saudyjskiej? — spytał Ben Goodley.

— Wystarczy dla brygady pancerniej, to samo w Kuwejcie. Trzeci zestaw sprzętu płynie właśnie morzem.

— Kuwejt jest najbardziej narażony — powiedział prezydent. — Co możemy tutaj zrobić?

— Jeśli uznamy, że znaleźliśmy się pod ścianą, możemy przerzucić z Izraela 10. pułk kawalerii pancerniej. Wystarczą nam na to dwadzieścia cztery godziny. Kuwejczycy załatwią transport; mają w tej sprawie ciche porozumienie z Izraelczykami, które pomogliśmy zawrzeć —

wyjaśnił Robby. — Plan nosi nazwę BIZON.

— Czy ktoś uważa to za zły pomysł? — spytał Jack.

— Jeden pułk kawalerii pancерnej — odezwał się Goodley — to nie wystarczy, żeby ich odstraszyć.

— Racja — przyznał J-3.

Ryan rozejrzał się wokół stołu. Wiedza to jedna rzecz, a możliwości — całkiem inna.

Wiedział, że może rozkazać, aby przeprowadzono nalot nuklearny na Iran. Dwa niewidzialne dla radaru bombowce *B-2A* czekały gotowe w bazie lotniczej Whiteman.

Nie minęły cztery godziny, a nowiutkie maszyny kuwejskich linii lotniczych wystartowały, kierując się najpierw na południowy zachód nad Arabię Saudyjską, by potem wykręcić na północ i polecieć nad zatoką Akaba.

Rozkaz wydany został przez Dowództwo Szkolenia Departamentu Obrony, któremu organizacyjnie podlegał 10. pułk, formalnie będący jednostką szkoleniową; większość jednostek podlegała dowództwu Armii. Rozkaz wylotu, podpisany przez prezydenta, dotarł do pułkownika Seana Magruder. Musiał przerzucić w przybliżeniu pięć tysięcy osób, co wymagało dwudziestu rejsów. Okrężna trasa długości dwóch tysięcy kilometrów zabrać powinna trzy godziny w obie strony, w każdym przypadku z godziną zakładką. O wszystkim jednak pomyślano; odwołanie niektórych lotów zagranicznych pozwoliło skorzystać z większej liczby samolotów, niż początkowo przewidywał plan BIZON. Pomagali także Izraelczycy. Piloci odrzutowców kuwejskich mieli rzadką okazję zobaczenia, jak eskortują ich myśliwce *F-15* oznaczone niebieskimi Gwiazdami Dawida, które startowały z wielkiej bazy lotniczej na pustyni Negew.

W pierwszej grupie znaleźli się wyżsi oficerowie sztabowi i wywiadu, którzy przejąć mieli pieczę nad magazynami, zawierającymi pełne wyposażenie brygady. Sprzęt starannie konserwowali specjaliści, sownie opłacani przez kuwejskich gości.

Drugim samolotem przyleciał 1. batalion 10. pułku, „Proporzec”. Autobusy podwiozły czołgistów do pojazdów, które natychmiast ruszyły, z pełnymi bakami paliwa i zapasami amunicji. Wszystkiemu uważnie się przyglądał dowódca, podpułkownik Duke Magruder. Jego rodzina mieszkała pod Filadelfią, on zaś sam z łatwością dodał dwa do dwóch; w chwili, kiedy w kraju działo się niedobrze, znienacka przystąpiono do realizacji planu BIZON. Znienacka czy nie, jego żołnierze byli gotowi.

Pierwszą grupę dowódców witały sztandary pułku. Co kawaleria, to kawaleria.

— Folejewa, naprawdę jest tak niedobrze? — spytał Gołowko, mając na myśli epidemię.

Rozmawiali po rosyjsku. Chociaż jej angielski był doskonały, mówiła w ojczystym języku z poetycką elegancją, której nabyła od dziadka.

— Nie wiemy dokładnie, Siergieju Nikołajewiczu, zajmuję się innymi sprawami.

— Jak sobie z tym radzi Iwan Emmetowicz?

— Chyba widzieliście wywiad z nim sprzed kilku godzin.

— Bardzo interesujący człowiek, ten wasz prezydent. Bardzo łatwo go zlekceważyć.

Wiem, bo sam tak kiedyś postąpiłem.

— A Darjaei?

— Świetnie sobie poczyna, ale to barbarzyńca.

Mary Pat niemal mogła sobie wyobrazić pogardliwe skrzywienie ust rozmówcy.

— Zgoda.

— Powtórzcie, Folejewa, Iwanowi Emmetowiczowi, żeby dokładnie obmyślił scenariusz.

Tak, będziemy w pełni współpracować — dorzucił, odpowiadając na nie zadane jeszcze pytanie.

— *Spasiba*. Niedługo się odezwę. — Mary Pat zerknęła na męża. — Zdaje się, że podoba ci się ten facet.

— Wolałbym, żeby był po naszej stronie.

— Wygląda na to, że jest.

W Sztormie spostrzegli, że około południa wszystkie trzy obserwowane przez nich korpusy ZRI przestały używać łączności radiowej. Nawet dla tak nowoczesnej aparatury, jak wspomagany komputerami zestaw zwiadu elektronicznego, cisza w eterze była tylko ciszą.

Nieustannie utrzymywano bezpośrednie połączenie z Waszyngtonem. Coraz częściej pojawiali się oficerowie saudyjscy; ich oddziały dyskretnie dyslokowały się wokół bazy King Chalid.

Trochę spokojniej zrobiło się na stanowiskach nasłuchu, ale nie całkiem. Byli znacznie bliżej paszczy lwa. Będąc szpiegami, myśleli jak szpiedzy i wspólnie uznali, że wydarzenia w Ameryce w jakiś sposób zaczęły się tutaj. Gdzie indziej myśl taka zrodziłaby tylko poczucie beznadziejności, tutaj jednak przyniosła inny skutek. Oburzenie było szczere, a, niezależnie od zagrożenia, mieli zadanie do wykonania.

— Dobrze — powiedział Jackson do uczestników telekonferencji. — Kogo możemy wystawić?

Odpowiedzią było milczenie. Siły zbrojne Stanów Zjednoczonych były teraz o połowę mniejsze niż dziesięć dni temu. V Korpus, dwie ciężkie dywizje, znajdował się w Europie, ale został poddany kwarantannie przez Niemców. To samo dotyczyło dwóch dywizji pancernych w Fort Hood oraz Pierwszej Zmechanizowanej Dywizji Piechoty w Fort Riley w stanie Kansas.

Części 82. Dywizji Powietrznodesantowej z Fort Bragg oraz 101. z Fort Campbell uzupełniły jednostki Gwardii Narodowej, ale pozostałe pułki zastygły uwięzione w bazach, gdyż byli w nich żołnierze z pozytywnym testem na obecność ebola. To samo dotyczyło dwóch dywizji piechoty morskiej stacjonujących w Lejeune w stanie Północna Karolina i Pendleton w stanie Kalifornia.

— W NOS mamy w tej chwili na ćwiczeniach 11. pułk kawalerii pancernej i brygadę Gwardii Narodowej — oznajmił szef sztabu Armii. — Baza jest absolutnie czysta, możemy ich przerzucić natychmiast, jak tylko dostarczymy samoloty. Inni? Zanim będzie można z nich w jakikolwiek sposób skorzystać, musimy się upewnić, że każdy żołnierz jest zdrowy, a testy nie wszędzie jeszcze dotarły.

Potrzeba było milionów testów, a na razie dostępnych było kilkadziesiąt tysięcy, które w pierwszej kolejności zastosować trzeba było wobec osób z objawami ebola, ich krewnych, kierowców ciężarówek dostarczających żywność i lekarstwa, a przede wszystkim wobec personelu medycznego, najbardziej narażonego na kontakt z wirusem. Co gorsza, nie można było poprzestać na jednym negatywnym teście, bowiem przeciwciała mogły pojawić się we krwi godzinę po jego przeprowadzeniu. Lekarze i szpitale rozpaczliwie wołali o testy i w tej sytuacji żądania Armii musiały ustąpić im pierwszeństwa.

ZRI wypowie wojnę, pomyślał J-3, i nikt się na nią nie stawia. Zastanawiał się, czy któryś z hippisów z lat sześćdziesiątych uznałby to za zabawne.

— Jak długo trzeba czekać?

— Co najmniej do końca tygodnia — odpowiedział szef sztabu Armii.

— 366. Skrzydło w Mountain Home jest czyste — oznajmił dowódca Sił Powietrznych.

— Mamy również dywizjon *F-16* w Izraelu. Natomiast wszystkie jednostki europejskie zostały poddane kwarantannie.

— Fajnie, samoloty i okręty są bardzo potrzebne, ale przede wszystkim zależy nam jak cholera na ludziach, którzy mogliby ich użyć — powiedział szef sztabu Armii.

— Zarządzić stan pogotowia w Fort Irwin — polecił Jackson. -Zwrócę się do sekretarza obrony, żeby autoryzował rozkaz.

— Tak jest, sir!

— Moskwa? — spytał ze zdziwieniem Chavez. — Jesu Christo, my to się najeździmy po świecie.

— Zaraz, to mi coś przypomniało. — Clark wyciągnął z szafy koszulę mundurową i w chwilę potem znowu stał się pułkownikiem. Pięć minut później zmierzali już na lotnisku, aby opuścić Sudan, odprowadzani przez Franka Clayтона.

Była

w

tym

niewątpliwie

odrobina

Schadenfreude.

O'Day

dobrał

sobie

współpracowników z FBI, razem z którymi zagłębił się w akta osobowe wszystkich agentów Tajnej Służby — mundurowych i cywilnych — mających bezpośredni dostęp do prezydenta.

Musieli odrzucić tradycyjne reguły, które normalnie pozwoliłyby pominąć osoby o nazwisku, na przykład O'Connor, gdyż teraz dokładnie musiał być zbadany każdy dokument. To zadanie O'Day zostawił innym, wraz z drugą grupą zajmąwszy się sprawdzaniem danych, o których istnieniu nie wiedziało zbyt wiele osób. Wszystkie rozmowy telefoniczne, przeprowadzane w Dystrykcie Columbia, były rejestrowane komputerowo. W sensie ściśle prawnym było to legalne, aczkolwiek wszyscy tropiciele totalitaryzmu rzuciliby się na tę informację jak sępy, niemniej prezydent USA mieszkał w Waszyngtonie, gdzie Ameryce zdarzało się już tracić swych przywódców. Szansę, że O'Day i jego ludzie coś w ten sposób uzyskają były mizerne.

Spiskowiec, któremu udało się wkroczyć do Tajnej Służby, musiał być specem od maskowania.

Powinien być znakomity od strony profesjonalnej — inaczej bowiem nie znalazłby się w Oddziale — ale nie powinien wyróżniać się niczym więcej. Powinien być podobny do reszty, cieszyć się zaufaniem przełożonych, opowiadać z kolegami dowcipy, wyskakiwać z nimi w wolnych chwilach na piwo, powinien być żywym przykładem człowieka, który gotów jest poświęcić swoje życie w obronie prezydenta, tak jak Don Russell.

Diggs kazał obu oficerom natychmiast stawić się w gabinecie.

— Alarm. Przerzucają nas za ocean.

— Kogo? — upewnił się Eddington.

— Jednych i drugich — odparł generał.

— Dokąd? — spytał z kolei Hamm.

— Arabia Saudyjska. My obaj byliśmy już tam i to nie z wycieczką, teraz ty też masz szansę,

Eddington.

— Jaki powód? — spytał gwardzista.

— Tego jeszcze się nie dowiedziałem. Faksem nadchodzą kolejne informacje. ZRI do czegoś się szykuje. Dziesiąty pułk właśnie przejmuje sprzęt w Arabii.

— Plan BIZON bez uprzedzenia? — sapnął Hamm.

— Otóż to, Al.

— Czy ma to jakiś związek z epidemią? — spytał Eddington.

Diggs pokręcił głową.

— Nikt o tym nie wspominał.

Stało się to w Federalnym Sądzie Okręgowym w Baltimore. Edward J. Kealty wystąpił z oskarżeniem wobec Johna Patricka Ryana. W swoim pozwie wskazał, że chciał przekroczyć granicę między stanami, na co pozwany mu nie pozwolił. Oskarżyciel domagał się od sądu bezzwłocznego uchylecia dekretu prezydenta (już w drugim zdaniu pozwu Ryan określony został

jako prezydent Stanów Zjednoczonych). Kealty był pewien sukcesu. Miał za sobą konstytucję, a sędziego dobrał bardzo starannie.

Specjalna Ocena Wywiadu była wreszcie gotowa, ale teraz nie miało to już większego znaczenia, gdyż zamiary Zjednoczonej Republiki Islamskiej nie pozostawiały żadnych złudzeń.

Problem polegał teraz na tym, jak im przeciwdziałać, nie było to jednak zadaniem służb wywiadowczych.

Przyjaciele i sąsiedzi

Ich przylot nie zwrócił niczyjej uwagi. O zmierzchu następnego dnia wszystkie trzy pancerne szwadrony 10. pułku kawalerii były gotowe do akcji, szwadron śmigłowców szturmowych potrzebował jeszcze dnia. Zawodowi oficerowie kuwejccy — armia profesjonalna była w dalszym ciągu nieliczna i w dużej mierze opierała się na rezerwistach — przed kamerami witali amerykańskich kolegów serdecznymi uściskami i buńczuczными wypowiedziami, po których przychodził w namiotach czas na poważne, skupione rozmowy. Jednemu ze swych batalionów pułkownik Magruder polecił uformować się w szyk paradny pod sztandarami pułku.

Dobrze to wpływało na morale żołnierzy, a ponadto widok pięćdziesięciu dwóch czołgów w jednej grupie przywodził na myśl pięć gniewnego Boga. Wywiad ZRI oczekiwał przybycia wojsk amerykańskich, jednak nie tak szybko.

— Co to ma znaczyć? — syknął Darjaei, przynajmniej raz dając upust swej zazwyczaj skrywanej wściekłości. Na ogół wystarczyło, że ludzie wiedzieli, iż czyha ona przyczajona.

— Nic poważnego. — Po wstępnym szoku szef wywiadu znowu zaczynał chłodno oceniać rzeczywistość. — To tylko pułk. Na każdą z sześciu dywizji Armii Boga składają się trzy takie, a w dwóch przypadkach cztery pułki. Nasza przewaga wynosi dwadzieścia do jednego.

Trudno było zakładać, że Amerykanie w ogóle nie zareagują. Ale teraz widzimy wszystko, na co ich aktualnie stać. Jeden pułk przerzucony z Izraela, na dodatek w niewłaściwe miejsce. Czy naprawdę myślą, że się tego wystraszymy?

— Dalej.

Spojrzenie ciemnych oczu stało się odrobinę mniej wściekłe.

— Nie mogą wykorzystać swoich dywizji europejskich, gdyż te zostały poddane kwarantannie; to samo dotyczy oddziałów w samych Stanach. Najpierw uderzymy zatem na Saudyjczyków; będzie to wielka bitwa, ale nasze zwycięstwo jest pewne. Wszystkie pozostałe karzelki natychmiast się poddadzą i pozostanie jedynie Kuwejt u szczytu Zatoki, zdany na swoje siły i jeden pułk amerykański; a wtedy się spróbujemy. Na pewno są przekonani, że najpierw uderzymy na Kuwejt, ale tylko głupiec popełnia dwa razy ten sam błąd.

— A czy nie mogą wzmocnić Saudyjczyków?

— Mają tam sprzęt i uzbrojenie dla jednej brygady. Drugi komplet płynie morzem, ale rozmawialiście już o tym, wasza świątobliwość, z Hindusami. — Naczelnny szpieg ZRI zerknął w

oczy, w których niezmiennie pojawiała się nerwowość, ilekroć rozpoczynała się gra, jak gdyby autor scenariusza nie był do końca pewien, czy wszyscy będą się trzymali wyznaczonych im ról.

Nieprzyjaciel to nieprzyjaciel i współpraca z nim zawsze jest ryzykowna. -Wątpię, by Amerykanie mieli żołnierzy, którzy mogą użyć przewożonego sprzętu. Pozostaje lotnictwo, ale nie mają żadnego lotniskowca w promieniu dziesięciu tysięcy kilometrów, a poza tym samoloty są wprawdzie dokuczliwe, ale nie mogą zdobywać ani utrzymać terenu.

— To dobrze.

Głos starca był teraz znacznie łagodniejszy.

— Nareszcie się spotykamy, towarzyszu pułkowniku — powiedział Gołowko do agenta CIA.

Clark zastanawiał się czasami, czy uda mu się kiedykolwiek zobaczyć od wewnątrz kwaterę główną KGB, nawet jednak przez myśl mu nie przemknęło, że mógłby mu tutaj oferować drinka sam przewodniczący Służby *Wnieszniej Razwietki*. Było wprawdzie wcześniej, pozwolił sobie jednak na kieliszek starki.

— Uczono mnie oczekiwać w tym budynku czegoś innego niż gościnności, *gaspadin priedsiedatiel*.

— Teraz to spokojne miejsce. Na inne okazje bardziej wygodne jest więzienie Lefortowo.

— Gołowko odstawił kieliszek i powrócił do herbaty. Toast z gościem był obowiązkowy, ale mieli jeszcze cały dzień przed sobą. — Dla czystej ciekawości spytam jednak, czy to pan wywiózł żonę i córkę Gierasimowa?

Clark przytaknął w milczeniu; kłamstwo niczemu by nie służyło.

— Wszyscy troje ciepło muszą myśleć o panu, Iwanie... jak miał na imię pański ojciec?

— Timothy. Dla pana, Siergieju Nikołajewiczu, jestem zatem Iwanem Timofiejewiczem.

Gołowko zaniósł się serdecznym śmiechem.

— Na szczęście zimna wojna już się skończyła, a wraz z nią stare nieprzyjaźnie. Za pięćdziesiąt lat, kiedy już żadnego z nas nie będzie pośród żywych, historycy porównają archiwa CIA z naszymi i zadecydują, kto wygrał ten pojedynek wywiadów. Jak pan przypuszcza, jaki będzie ich wyrok?

— Proszę nie zapominać, że byłem tylko małym pionkiem, a nie wodzem.

— Major Szerienko bardzo dobrze się wyrażał o panu i pańskim koledze. Ta akcja w Japonii wywarła ogromne wrażenie. A teraz będziemy współpracować. Czy zapoznano was ze szczegółami planu?

Dla Chaveza, który wychował się na filmach z Rambo, a potem w Armii przygotowywany był do nieustannej konfrontacji z Sowietami, było to doświadczenie jak ze snu, aczkolwiek zwrócił uwagę, że doprowadzono ich tutaj zupełnie pustymi korytarzami; po co mieli zobaczyć jakąś twarz, którą już kiedyś wiedzieli, albo mogliby w przyszłości rozpoznać.

— Nie. Zgodnie z rozkazem, staraliśmy się uzyskać pewne informacje.

Gołowko sięgnął do przycisku na blacie.

— Jest tam Bondarienko?

Kilka sekund później w drzwiach stanął rosyjski generał.

Obaj Amerykanie powstali. Clark spojrzął na baretki, a potem w oczy Bondarienki, który odpowiedział mu twardym spojrzeniem. Uściski dłoni były ostrożne, ale nieoczekiwanie mocne.

— Gienadij Josefowicz jest szefem wydziału operacyjnego. Iwan Timofiejwicz jest szpiegiem CIA, podobnie jak jego młodszy kolega — dokonał prezentacji Gołowko. — Niech pan powie, Clark, czy ta zaraza przyszła do was z Iranu?

— Z całą pewnością.

— To barbarzyńskie, ale bardzo sprytne posunięcie. Generale?

— Zeszłej nocy przetrzuciliście z Izraela do Kuwejtu pułk kawalerii pancernej —

powiedział Bondarienko. — Dobrzy żołnierze, ale stosunek sił jest dla was skrajnie niekorzystny.

W przeciągu najbliższych dwóch tygodni wasz kraj nie będzie w stanie postawić pod broń innych oddziałów, a ZRI nie da wam dwóch tygodni. Według naszych ocen pancerne dywizje na południowy zachód od Bagdadu będą mogły ruszyć za trzy, maksimum cztery dni. Jeden dzień na dotarcie do granicy, a potem? Potem zobaczymy dopiero, co naprawdę zamierzają.

— Ma pan jakieś podejrzenia?

— Niestety, nie mamy dużo więcej informacji niż wy — odparł Gołowko. — Większość naszych źródeł osobowych została rozstrzelana, a zaprzyjaźnieni z nami generałowie iraccy opuścili kraj.

— Najwyższe stanowiska w armii zajmują Irańczycy, z których większość za czasów szacha szkoliła się w Anglii i w Stanach; sporo z nich przetrwało okres czystek — dodał

Bondarienko. — Informacje, które o nich posiadamy, przekazaliśmy już Pentagonowi.

— To bardzo wielkoduszne.

— Wielkoduszne i rozsądne — mruknął Ding. — Kiedy już wyrzucą nas znad Zatoki, ruszą na północ.

— No cóż, młodzieńcze — odezwał się Gołowko — w sojuszach mniejszą rolę odgrywa miłość; ważniejsze są wspólne interesy.

— Jeśli wy nie dacie sobie rady teraz z tym maniakiem, wtedy za trzy lata my będziemy musieli próbować — zawtórował Bondarienko. — Lepiej dla wszystkich, żeby to stało się teraz.

— Przez Folejewą przekazaliśmy ofertę daleko idącej pomocy. Kiedy już będziecie znali dokładnie swoje zadanie, zgłóście się, a my zobaczymy, co da się zrobić.

Niektórzy walczyli dłużej, inni krócej. Pierwszy wypadek śmierci na ebola zarejestrowano w Teksasie; był to sprzedawca sprzętu golfowego, który zmarł w trzy dni po przyjęciu do szpitala, w dzień po tym, jak takie same objawy pojawiły się u żony. Badający ją lekarze stwierdzili, że zaraziła się najprawdopodobniej sprzątając łazienkę po ataku nudności u męża, nie zaś poprzez kontakty erotyczne, po powrocie z Phoenix był bowiem za słaby nawet na to, aby ją pocałować. Ta pozornie mało istotna informacja została przekazana do Atlanty, a CCZ

zażądała wszystkich podobnych, choćby najdrobniejszych danych. Kwestia ta z pewnością była nieważna dla personelu szpitala w Dallas, który odczuwał zarazem ulgę i strach. Ulgę — gdyż ostatnie godziny pacjenta były straszliwe, strach — gdyż nie ulegało wątpliwości, że była to dopiero pierwsza z okrutnych śmierci.

Kolejna nastąpiła sześć godzin później w Baltimore. Sprzedawca pojazdów turystycznych został wcześniej zwolniony ze służby wojskowej na skutek wrzodów układu pokarmowego, które wprawdzie zaleczone, ułatwiły jednak podbój organizmu przez wirusy ebola. Błona śluzowa żołądka szybko się rozpadła, a nieprzytomny pacjent zmarł na skutek gwałtownego krwotoku wewnętrznego. Także i to zdarzenie zaskoczyło personel medyczny, ale następne wypadki śmierci zaczęły teraz następować w całym kraju jeden za drugim; środki masowego przekazu informowały o wszystkich, co pogłębiało powszechny strach. Na razie utrzymywały się sekwencje: najpierw umierał mąż, po nim żona, a następnie dzieci, jeśli uległy zarażeniu.

Znienacka cała groza stała się bardzo realna. Dla większości Amerykanów dramat pozostał jednak zdarzeniem zewnętrznym. Owszem, szkoły i firmy były zamknięte, nie można było swobodnie podróżować, ale cała reszta była elementem spektaklu telewizyjnego, rozgrywającego się na ekranie, zarazem prawdziwego i nieprawdziwego. Teraz jednak w najprzeróżniejszych kontekstach pojawiało się słowo „śmierć”. Na ekranach telewizorów ukazywały się zdjęcia zmarłych, ale także filmy, na których ludzie — już nieżywi — poruszali się, oddawali wypoczynkowi i zabawie, a wszystkiemu towarzyszył ponury komentarz spikerów.

Powszechna świadomość nie była przygotowana na podobnie ostre i brutalne doświadczenie.

Zmora nagle stawała się namacalną rzeczywistością, jak w dziecięcym śnie, w którym pokój wypełnia coraz gęstsza chmura, a wiadomo, że jej dotyk oznacza zgubę.

Utyskiwania na zakaz podróży umilkły tego samego dnia, kiedy zmarł sprzedawca sprzętu golfowego w Teksasie i sprzedawca pojazdów turystycznych w Marylandzie. Kontakty towarzyskie, które, zrazu przerwane, potem znowu zaczęły odzywać, ponownie ograniczyły się do członków najbliższej rodziny. Poza tym ludzie kontaktowali się telefonicznie. Łączyły tak przeciążone rozmowami międzymiastowymi, w których dowiadywano się o zdrowie krewnych i przyjaciół, że AT&T, MCI i pozostałe towarzystwa, za pośrednictwem płatnych ogłoszeń, musiały wzywać do ograniczenia tego typu połączeń, a także uruchomić oddzielne linie dla potrzeb administracji i służby zdrowia. Cały naród ogarnęła cicha panika; nie było żadnych publicznych demonstracji, ruch w centrach wielkich miast spadł nieomal do zera. Prawie nikt nie odwiedzał nawet sklepów, gdyż wszyscy usiłowali poprzestać na tym, co mieli w lodówkach i zamrażarkach.

Niezmiennie jednak uwijali się reporterzy z kamerami i informowali o wszystkim, co zarazem potęgowało napięcie, jak też przyczyniło się w końcu do poprawy sytuacji.

— Działa — oznajmił dawnemu podwładnemu przez telefon generał Pickett.

— Gdzie jesteś, John? — spytał Alexandre.

— W Dallas. Działa, a ja chciałbym cię o coś prosić.

— Słucham.

— Przestań odgrywać lekarza okręgowego, dosyć masz dookoła stażystów. W Walter Reed mam zespół badawczy. Dołącz do nas czym prędzej. Jesteś zbyt dobrym wirusologiem, Alex, żebyś zajmował się teraz pojedynczymi przypadkami.

— John, to jest mój wydział, a ja mam ludzi, którymi dowodzę. To lekcja, którą dobrze zapamiętał z czasów, kiedy nosił zielony mundur.

— Świetnie, ale wszyscy dobrze już poznali twoją skrupulatność, pułkowniku. Czas teraz odłożyć cholerną pukawkę i zacząć myśleć jak dowódca. Sądzisz, że tę batalię można wygrać w szpitalu? Załatwiłem też transport. Na dole czeka *Hummer*, który przewiezie cię do Reed. Czy może wolisz, żebym natychmiast cię powołał i wydał rozkaz?

Alexandre wiedział, że generał jak najbardziej mógł to zrobić.

— Daj mi pół godziny.

Odwiesił telefon i spojrzał w głąb korytarza. Znowu salowi w plastikowych skafandrach wynosili worek ze zwłokami. Odczuwał dumę, że tu jest. Tracił pacjentów i jeszcze będzie ich tracił, ani przez chwilę jednak nie przestał być lekarzem, robiąc wszystko, co w jego mocy, i pokazując swojemu personelowi, że jest jednym z nich, gdyż tak jak oni, zgodnie ze złożoną ongiś przysięgą, wszystkie swe umiejętności poświęca chorym. Kiedy będzie już po wszystkim, ten trudny okres będą wspominać jako czas solidarności. Pośród całej tej grozy, robili jednak swoje.

Cholera, zaklął pod nosem. Pickett miał rację. Toczyli walkę, ale nie tutaj rozstrzygnie się zwycięstwo. Oznajmił swemu zastępcy, że schodzi piętro niżej, na oddział dziekana Jamesa.

Pojawił się tutaj interesujący przypadek kobiety w wieku trzydziestu dziewięciu lat, którą przyjęto dwa dni wcześniej. Była zrozpaczona, gdyż mężczyzna, z którym żyła od lat bez ślubu, znajdował się w stanie agonalnym, wszystkich jednak fascynowało to, że chociaż w jej krwi wykryto przeciwciała ebola, czemu towarzyszyły aż za dobrze znane symptomy, choroba nie robiła jednak żadnych postępów, a nawet może się cofała.

— Dlaczego tak się dzieje? — zastanawiała się Cathy Ryan.

— Nie wiem, Cathy, najważniejsze, że się dzieje — odpowiedział zmęczonym głosem James.

— Dave, może kryje się tutaj coś ważnego. Sama z nią rozmawiałam; pomyśl tylko, spała z nim w tym samym łóżku jeszcze dwa dni przed tym, jak go tutaj przywiozła.

— Czy uprawiali seks? — wtrącił się Alexandre.

— Nie, Alex, czuł się już bardzo źle. Pytałam o to. Wydaje mi się, że ta kobieta przeżyje.

Byłby to pierwszy wypadek w Baltimore.

— Cathy, musimy obserwować ją przynajmniej przez tydzień, żeby powiedzieć coś na pewno.

— Wiem o tym, Dave, ale to pierwszy przypadek, że coś układa się inaczej. Nie wiem tylko dlaczego? To bardzo ważne, żebyśmy wiedzieli.

— Gdzie jej karta?

Cathy podała Alexandre'owi dane pacjentki. Temperatura spadła do 38,9°C skład krwi daleki od normy, ale lepszy niż poprzednio...

— Jak ona się czuje? — spytał Alexandre.

— Jest śmiertelnie przerażona, skarży się na bóle głowy i brzucha, chociaż myślę, że w dużej mierze to wynik stresu. Trudno się dziwić, prawda?

— Ta poprawa jest rzeczywiście zaskakująca. Zeszłej nocy działalność wątroby silnie upośledzona, teraz zaczyna znowu wydzielać żółć...

— Właśnie to przyciągnęło moją uwagę. Wydaje się pewne, że pacjentka pokona chorobę. Pierwsza, której nie tracimy. Ale dlaczego? Dlaczego z nią jest inaczej?

Wszystkie uprzednie wątpliwości Alexandre zniknęły w jednej chwili. Pickett miał rację; jego miejsce było teraz w laboratorium szpitala Waltera Reeda.

— Dave, w Waszyngtonie chcę, żebym jak najszybciej się tam zjawił.

— Jedź — odpowiedział bez chwili namysłu James. — Tutaj jest nas pod dostatkiem, a jeśli tam pomożesz coś wyjaśnić... Jedź!

— Cathy, myślę, że odpowiedź na twoje pytanie jest prosta. Zdolność do zwalczania choroby jest odwrotnie proporcjonalna do liczby wirusów, które dostały się do krwi. Ludziom się wydaje, że wystarczy jeden, ale to nieprawda, nic nie jest tak zabójcze. Ebola zwycięża w ten sposób, że najpierw pokonuje system odpornościowy, a dopiero potem atakuje organy. Jeśli do organizmu dostanie się niewiele tych sukinsynów, system immunologiczny może sobie z nimi dać radę. Wyciągnij od niej więcej szczegółów, Cathy. Za parę godzin zadzwonię do ciebie.

Alexandre wrócił na górę, aby poddać się odkażeniu. Najpierw starannie spryskano jego kombinezon, potem nałożył zielony kitel i maskę, aby następnie „czystą” windą zjechać na parter.

— Pułkownik Alexandre? — spytał czekający przy wyjściu sierżant.

— Tak.

Podoficer zasalutował.

— Proszę za mną, panie pułkowniku. Czeka na pana *Hummer* z kierowcą. Chce pan kurtkę? Jest dość zimno.

— Tak, dziękuję.

Nałożył podgumowaną parkę oddziałów chemicznych. Ciepło trzymała aż za dobrze, tak że trudno w niej było wytrzymać. Za kierownicą siedziała kobieta w stopniu kaprała. Alexandre wskoczył na niewygodny fotel, zapiął pas i rzucił: — Jedziemy. — W uszach miał jeszcze słowa, które wypowiedział pod adresem Ryana i Jamesa. Pokręcił głową, jak gdyby odganiał

dokuczliwego owada. Pickett miał najpewniej rację.

— Panie prezydencie, musimy raz jeszcze sprawdzić wyniki. Wezwałem nawet z Hopkinsa profesora Alexandre’a, aby dołączył do grupy, którą zorganizowałem u Reeda. Jeszcze za wcześnie na jakieś jednoznaczne wnioski. Musimy trochę nad tym popracować.

— Dobrze, generale — odparł poirytowany Ryan. — Proszę dzwonić, gdyby coś się zmieniło. — Odłożył słuchawkę i warknął: — Cholera!

— Mamy wiele innych spraw na głowie — przypomniał mu Goodley.

— Wiem. Co teraz?

W strefie czasowej Pacyfiku było jeszcze ciemno, kiedy się wszystko zaczęło.

Przynajmniej z samolotami nie było żadnych kłopotów. Maszyny większości dużych linii lotniczych

skierowano do Barstow w stanie Kalifornia; ich załogi zbadano na obecność przeciwciał ebola przy użyciu napływających coraz szerszym strumieniem zestawów testujących.

Wprowadzono też zmiany w systemie wymiany powietrza w samolotach.

W NOS żołnierze wsiadali do autobusów. Nie było to niczym nowym dla Niebieskich, w przeciwieństwie do jednostki szkoleniowej; wylęczone rodziny patrzyły na mężczyzn pakujących się na dłuższy wyjazd. Poza tym, że wyjeżdżają, niewiele więcej było wiadomo. O

celu podróży żołnierze mieli się dowiedzieć na pokładach samolotów, już po rozpoczęciu szesnastogodzinnego lotu. Dla przetransportowania dziesięciu tysięcy osób potrzeba było czterdziestu rejsów, a lotnisko pośród pustyni kalifornijskiej nie mogło wysłać więcej niż cztery maszyny na godzinę. Gdyby ktokolwiek z miejscowych władz postawił pytanie, co się dzieje, rzecznik prasowy Fort Irwin miał odpowiadać, że jednostki odbywające ćwiczenia muszą, podobnie jak inne, zostać poddane kwarantannie. Jednak w Waszyngtonie kilku dziennikarzom udało się uzyskać inne informacje.

— Thomas Donner? — spytała kobieta w ochronnej masce.

— Zgadza się — mruknął gburowato reporter, który w dzinsach i flanelowej koszuli oderwany został od śniadania.

— FBI. Proszę ze mną; chcielibyśmy zadać panu kilka pytań.

— Czy jestem aresztowany? — Dziennikarz TV był wyraźnie poirytowany.

— Nie, chyba że bardzo pan tego pragnie. Byłabym natomiast zobowiązana, gdyby bezzwłocznie udał się pan ze mną. Potrzebny panu tylko dokument identyfikacyjny oraz to. —

Agentka podała torbę z maską chirurgiczną.

— Za chwilę, dobrze?

Drzwi zamknęły się. Donner ucałował żonę, wziął kurtkę i zmienił obuwie. Na korytarzu nałożył maskę i ruszył w ślad za agentką.

— No więc dobrze, o co chodzi?

— Ja tylko roznoszę wezwania — mruknęła, kończąc w ten sposób poranną konwersację.

Jeśli facet jest zbyt tępy, żeby pamiętać, iż został wybrany do grupy dziennikarzy współpracujących z Pentagonem, to już nie jej wina.

— W 1990 roku największe błędy popełnili Irakijczycy w logistyce — tłumaczył admirał

Jackson, dotykając wskaźnikiem mapy. — Wiele osób sądzi, że na wojnie najbardziej liczą się działa i bomby, tymczasem o wszystkim rozstrzygają paliwo i informacja. Jeśli twoich ruchów nie krępują

kłopoty z paliwem i wiesz, co robi twój przeciwnik, masz znaczne szansę na wygraną. — Na monitorze obok mapy zmienił się obraz i tutaj przesunął się wskaźnik. — Proszę spojrzeć.

Zdjęcie satelitarne było bardzo wyraźne. W każdej bazie czołgów i transporterów opancerzonych pojawił się nowy element: wielkie cysterny umieszczone na przyczepionych do ciągników lawetach. Widać było zbiorniki paliwa o pojemności dwustu litrów umocowane z tyłu czołgów *T-80*, w razie niebezpieczeństwa kierowca mógł się pozbyć tego balastu jednym ruchem przełącznika.

— Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że szykują się do dalekiego skoku, którego początek nastąpi w ciągu tygodnia. W Kuwejcie znajduje się 10. pułk kawalerii; 11. pułk i 1.

Brygada Gwardii Narodowej Północnej Karoliny są właśnie w drodze. Nic więcej w tej chwili nie możemy zrobić. Najwcześniej we wtorek zakończy się okres kwarantanny dla pierwszych jednostek.

— To oficjalna informacja — dodał Ed Foley.

— W efekcie wystawiamy tylko jedną dywizję pancerną — podsumował Jackson. —

Armia Kuwejtu zajęła rubież obronne. Saudyjczycy idą w jej ślady, chociaż trochę to potrwa.

— To, czy będziemy mieli sprzęt dla trzeciej brygady — dorzucił sekretarz obrony Bretano — zależy od hinduskiej marynarki, obok której muszą przepłynąć nasze jednostki transportowe.

— Jeśli nie będą chcieli nas przepuścić, nie będziemy w stanie się przebić, gdyż nie mamy wsparcia powietrznego — poinformował admirał DeMarco.

Jackson nie zareagował na tę uwagę, gdyż nie mógł. Niezależnie od tego, co sądził o szefie operacji morskich, był od niego młodszy stopniem.

— Posłuchaj — zwrócił się do DeMarco generał Mickey Moore. — Moi ludzie potrzebują tego sprzętu, albo Gwardia Karoliny będzie musiała rzucić się na czołgi z pistoletami w rękę. Przez ostatnie lata bez przerwy słyszeliśmy, jakie świetne są te wasze krążowniki *Aegis*.

A teraz nagle okazuje się, że z nieprzyjacielem nie potrafią sobie poradzić. Jutro o tej porze piętnaście tysięcy żołnierzy będzie narażonych na atak wroga.

— Admirale Jackson — rozległ się głos prezydenta. — To pan jest odpowiedzialny za całość operacji.

— Panie prezydencie, bez ochrony z powietrza... — upierał się DeMarco.

— Jesteśmy w stanie to zrobić czy nie? — gniewnie spytał Jack.

— Nie — odparł DeMarco. — Nie zamierzam tracić w ten sposób okrętów. Bez lotniskowca się nie ruszę.

— Robby, chcę wiedzieć, jaka jest twoja ocena sytuacji — powiedział Bretano.

Jackson westchnął ciężko.

— Hindusi mają w sumie około czterdziestu *Harrierów*. Niezłe samoloty, ale z pewnością nie najlepsze. Okręty eskortujące w sumie mają około trzydziestu pocisków przeciwokrętowych.

Jeśli chodzi o siłę ognia, nie jest tak źle. Na pokładzie „Anzio” znajduje się w tej chwili siedemdziesiąt pięć pocisków przeciwlotniczych, piętnaście *Tomahawków* i osiem *Harpoonów*.

„Kidd” ma siedemdziesiąt pocisków przeciwlotniczych i osiem *Harpoonów*. „O’Bannon” to jednostka przeciwlotnicza, ale ma także i *Harpoony*. Każda z dwóch fregat, które właśnie do nich dołączyły, dysponuje dwudziestoma pociskami przeciwlotniczymi. Teoretycznie, powinni się przebić.

— Jackson, to zbyt niebezpieczne! Przeciw grupie lotniskowca nigdy nie wysyła się jednostek nawodnych bez wsparcia z powietrza!

— A jeśli pierwsi zaatakujemy? — spytał Ryan, a wszystkie głowy gwałtownie zwróciły się w jego kierunku.

— Panie prezydencie — pierwszy odezwał się DeMarco — tego nie możemy zrobić. Nie jesteśmy nawet pewni ich wrogich intencji.

— Jest ich pewien nasz ambasador — oznajmił Bretano.

— Admirale DeMarco, ten sprzęt musi zostać dostarczony — powiedział z pasją prezydent.

— Właśnie przerzucamy samoloty do Arabii Saudyjskiej; za dwa dni będziemy mogli spróbować, ale wcześniej...

— Admirale DeMarco, niech pan się natychmiast poda do dymisji. — Bretano wpatrywał się w leżącą przed nim teczkę. — Pańskie sugestie są bezużyteczne. Nie mamy w zapasie dwóch dni.

Było to pogwałcenie protokołu. Szefowie sztabów poszczególnych rodzajów broni powoływani byli przez prezydenta i, chociaż formalnie byli wojskowymi doradcami sekretarza obrony i prezydenta, zasadniczo tylko ten ostatni miał prawo decydować o zdjęciu ze stanowiska.

Admirał DeMarco spojrzał na Ryana, który siedział pośrodku stołu konferencyjnego.

— Panie prezydencie, służę swoją opinią i umiejętnościami najlepiej, jak potrafię.

— Panie admirale, piętnaście tysięcy ludzi jest zagrożonych, a pan nam powiada, że Marynarka nie może ich obronić. Niniejszym zostaje pan zwolniony z pełnionych funkcji —

powiedział Jack. — Do widzenia. — Pozostali szefowie sztabów popatrzyli po sobie; coś takiego

nigdy dotąd się nie zdarzyło. — Ile czasu nam pozostało do kontaktu z flotą Indii?

— Około dwudziestu czterech godzin, sir.

— Czy możemy udzielić jakiegoś dodatkowego wsparcia?

— Mamy w tej okolicy także okręt podwodny uzbrojony w torpedy oraz pociski rakietowe *Tomahawk*. Znajduje się jakieś pięćdziesiąt mil przed „Anzio” — oznajmił Jackson, podczas gdy oszołomiony admirał opuszczał salę wraz ze swoim adiutantem. — Możemy kazać mu płynąć szybciej. Ryzykujemy wprawdzie, że zostanie wykryty, ale Hindusi nie są najlepiej przygotowani do walki z okrętami podwodnymi. To byłaby broń ofensywna; okręt podwodny nie może bronić się pasywnie, gdyż jego główna funkcja polega na zatapianiu jednostek nawodnych.

— Chyba muszę chwilkę porozmawiać z panią premier Indii — oznajmił Ryan. — Kiedy już ich minimy, co dalej?

— Musimy przebyć cieśninę i jak najszybciej zmierzać do portów rozładunkowych.

— Tutaj możemy już pomóc — oznajmił szef sztabu Sił Powietrznych. — 366. Skrzydło nie będzie jeszcze gotowe, ale Zatoka jest w zasięgu *F-16* stacjonujących w Izraelu.

— Będziemy potrzebować tej osłony, generale — podkreślił Jackson.

— Do diabła, Marynarka prosi o pomoc Siły Powietrzne — zakpił lotnik, ale zaraz dodał

poważnym tonem: — Robby, rozwalimy każdego sukinsyna na tyle durnego, żeby się wzbić w powietrze. Tych czterdzieści osiem *F-16C* jest w każdej chwili gotowych do akcji. Wystarczy byście się znaleźli w odległości stu mil od cieśniny, a będziecie już mieli nad głowami przyjaciół.

— Czy to wystarczy? — spytał prezydent.

— Nie całkiem. Druga strona ma czterysta *MiG-ów-29* i *Su-27*. To świetne samoloty.

Kiedy 366. uzyska stan pełnej gotowości do walk w powietrzu, będziemy mieli osiemdziesiąt myśliwców, do czego dochodzą jeszcze Saudyjczycy. Na miejscu mamy też *AWACS-a*. Mickey, w najgorszym razie twoje czołgi nie będą miały wsparcia, ale nie będą też atakowane z powietrza. — Generał spojrzął na zegarek. — Powinni już startować.

Pierwszy dywizjon złożony z czterech myśliwców przechwytyjących *F-15C* zawrócił i dwadzieścia minut później maszyny połączyły się z tankowcami *KC-135R*. Sześć należało do ich skrzydła, a zostaną jeszcze uzupełnione przez samoloty Gwardii Narodowej Montany i Południowej Dakoty, stanów nie tkniętych jak na razie przez epidemię. Przez większość trasy na Półwysep Arabski, mieli trzymać się dziesięć kilometrów za cywilnym samolotem lecącym z Kalifornii. Najpierw polecą na północ, a po minięciu bieguna — na południe, by nad Rosją i Turcją dotrzeć na zachód od Cypru, gdzie dołączy do nich eskorta izraelska z zadaniem doprowadzenia ich na wysokość Jordanu. Tutaj myśliwce *Eagle* uzupełnić miały saudyjskie *F-15*. Oficerowie planistyczni, którzy lecieli cywilnymi maszynami, żywili nadzieję, że przynajmniej kilka pierwszych dywizjonów przemknie

niepostrzeżenie, jeśli jednak przeciwnik się zorientuje, dojdzie do walk powietrznych. Piloci pierwszego dywizjonu nie mieli specjalnie nic przeciwko temu. Nie było żadnych pogaduszek radiowych. Po prawej stronie wstawał świt.

W trakcie lotu mieli go zobaczyć raz jeszcze, tym razem z lewej burty.

— Panie i panowie — zwrócił się do piętnastki zebranych dziennikarzy rzecznik prasowy w stopniu pułkownika. — Zaproszono was tutaj, gdyż nasze jednostki zostały wysłane za granicę. Sierżant Astor rozdaje teraz formularze, na których osoby decydujące się na wyjazd, mają to potwierdzić podpisem.

— Co to takiego? — odezwał się ktoś.

— Uprzejmie proszę zapoznać się z wydrukowanym tekstem — powtórzył z naciskiem oficer w mundurze piechoty morskiej i z maską na twarzy.

— Badanie krwi — odezwała się jedna z kobiet. — Ja tam się zgadzam, ale co dalej?

— Proszę pani, ci którzy wyrażą zgodę, otrzymają dalsze informacje. Reszta zostanie odwieziona do domów.

Ciekawość zwyciężyła, wszyscy podpisali.

— Dziękuję — powiedział pułkownik, sprawdzając wszystkie papiery.

Występował we własnej sprawie. Chociaż Ed Kealty należał do palestry od trzydziestu lat, w sądzie pojawiał się dotąd tylko jako obserwator, aczkolwiek nader często można go było zobaczyć na schodach prowadzących do budynku Temidy, na których wygłaszał mowę albo oświadczenie, zawsze równie dramatyczne jak obecnie.

— Wysoki Sądzie! — rozpoczął były wiceprezydent. — Staję tutaj, aby prosić o natychmiastową interwencję Wysokiego Sądu. Moje prawo do swobodnego poruszania się między stanami zostało pogwałcone przez pełniącego obecnie urząd prezydenta. Jest to sprzeczne z moimi gwarancjami konstytucyjnymi, a także z precedensowym wyrokiem Sądu Najwyższego w sprawie Lemuela Penne, w którym stwierdza się jednoznacznie, że...

Pat Martin siedział obok Prokuratora Generalnego, który reprezentował rząd. Kamera ze stacji telewizyjnej Court TV, za pośrednictwem łączy satelitarnych, przesyłała obraz do widzów w całym kraju. Sędzia, sekretarz, woźny, prawnicy, dziesięciu reporterów sądowych i czwórka obserwatorów: wszyscy mieli na twarzy maski chirurgiczne, a na dłoniach — gumowe rękawiczki. Wszyscy byli świadkami największego błędu w karierze politycznej Eda Kealty'ego, chociaż jeszcze nie każdy zdawał sobie z tego sprawę.

— Swoboda przemieszczania się jest jedną z podstawowych wolności ustanowionych i chronionych przez konstytucję. Ani konstytucja ani żadne ustawy nie pozwalają prezydentowi na odbieranie owych wolności obywatelom, a tym bardziej przy użyciu zbrojnej przemocy, co już spowodowało śmierć kilku osób, a obrażenia — u kilkunastu. To kwestia ściśle prawna —

kończył Kealty pół godziny później — ja zaś w imieniu swoim i innych obywateli proszę sąd o uchylenie owego bezprawnego dekretu.

— Wysoki Sądzie! — rozpoczął Prokurator Generalny, stając za pulpitem, na którym znajdował się mikrofon stacji telewizyjnej. — Podobnie jak oskarżyciel, jestem zdania, że chociaż jest to sprawa niezwykle poważna, to jednak od strony prawnej mało zawiła. Rząd powołać się tutaj chciał na słowa Justice'a Holmesa, który w swym słynnym wystąpieniu dotyczącym wolności słowa oświadczył, że ograniczenie tej wolności jest dopuszczalne w sytuacji, gdy krajowi grozi rzeczywiste i bezpośrednie niebezpieczeństwo. Konstytucja nie jest, a nie mam wątpliwości, że Wysoki Sąd podzieli to przekonanie, paktem samobójców. Prasa, radio i telewizja uświadomiły nam z przeraźliwą jasnością, że kraj stanął w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, którego natury twórcy konstytucji w żaden sposób nie mogli przewidzieć.

Warto jednak przypomnieć, iż chociaż pod koniec osiemnastego stulecia niewiele wiedziano na temat charakteru chorób zakaźnych, powszechnie znana i aprobowana była wówczas zasada kwarantanny statków. Mamy odnotowany precedens objęcia przez Jeffersona embargiem handlu zagranicznego, ale przede wszystkim, Wysoki Sądzie, mamy zdrowy rozsądek. Nie wolno życia obywateli składać na ołtarzu prawnej teorii...

Martin słuchał, pocierając pod maską nos. Zapach był taki, jak gdyby na sali sądowej rozlała się beczka z lizolem.

W innej sytuacji byłby to może komiczny widok, gdy każdy z piętnastki reporterów tak samo reagował na przebyty test: mrugnięcie powiek, oddech ulgi, a potem pośpieszny odmarsz w kąt sali, żeby pozbyć się maski. Kiedy badanie zostało zakończone, przeprowadzono ich do innego pomieszczenia.

— Na zewnątrz znajduje się autobus — usłyszeli — który zawiezie was do bazy Andrews. Po starcie otrzymacie dalsze informacje.

— Zaraz, ale przecież... — usiłował zaprotestować Tom Donner.

— Czy już pan zapomniał, pod czym się podpisał? — przerwał mu z przekąsem rzecznik prasowy.

— Miałeś rację, John — powiedział Alexandre.

Epidemiologia była w medycynie odpowiednikiem rachunkowości i, podobnie jak ta nudna profesja, ma kluczowe znaczenie dla prowadzenia interesów, tak ważne stało się badanie chorób zakaźnych i przebiegu epidemii, po tym jak pewien francuski lekarz odkrył, że, niezależnie od tego, czy chorych leczy się czy nie, nie zmienia się procent wypadków śmiertelnych i wyzdrowień. Owe niezwykle odkrycie zmusiło wspólnotę lekarzy do badań nad tym, co jest skuteczne, a co nie, w efekcie czego medycyna nabrała charakteru bardziej naukowego.

Diabeł zawsze mieszka w szczegółach, aczkolwiek tym razem mogło w ogóle nie być żadnego diabła, przyszło do głowy Alexandre'owi.

Do tej chwili odnotowano w całym kraju 3.451 przypadków ebola. W tej liczbie uwzględniono tych, którzy zaczęli umierać, pacjentów, którzy mieli objawy choroby i tych, w których krwi wykryto przeciwciała. Nie była to liczba wysoka; więcej osób umiera na AIDS, znacznie więcej choruje na raka i serce. W wyniku śledztwa przeprowadzonego przez FBI, a uzupełnionego o ustalenia lokalnych lekarzy, wykryto dwieście dwadzieścia trzy Przypadki Zerowe; wszystkie te osoby zaraziły się na targach i wystawach handlowych, a potem przekazały wirusa innym. Chociaż ciągle wzrastała liczba zachorowań, to jednak działo się to wolniej niż przewidywały symulacje komputerowe, a w szpitalu Johna Hopkinsa po raz pierwszy pojawił się pacjent z przeciwciałami we krwi, ale bez żadnych zewnętrznych symptomów ebola.

— Powinno być o wiele więcej Przypadków Zerowych, Alex — powiedział Pickett. —

Zaczęliśmy się temu przyglądać poprzedniego wieczoru. Pierwszy pacjent, który zmarł, przyleciał do Phoenix z Dallas. FBI dotarło do listy pasażerów, a Uniwersytet Texas sprawdził

ich wszystkich; badania zakończyli dzisiaj rano. Tylko u jednej osoby wykryto przeciwciała, ale bez żadnych klasycznych objawów.

— Wykryte czynniki ryzyka?

— Zapalenie dziąseł — powiedział generał Pickett.

— Przenosi się drogą kropelkową, ale...

— Właśnie o tym myślę, Alex. Wtórne zakażenie na skutek bezpośrednich kontaktów.

Pieszczoty, pocałunki, opieka nad bliską osobą. Jeśli mamy słuszość, szczyt nastąpi za trzy dni, a potem fala zacznie się cofać. Coraz więcej będzie też przypadków pokonania choroby.

— Jeden mamy już u Hopkinsa. We krwi pojawiły się przeciwciała, ale choroba nie wyszła poza wstępne stadium.

— Potrzebujemy teraz Gusa, który zająłby się wpływem środowiska. Powinien już tu być.

— Poinformuj go o wszystkim. Ja muszę tutaj sprawdzić kilka wyników.

Sędzia był starym przyjacielem Kealty'ego. Martin nie znał zbyt dobrze jego lokalnego dorobku prawnego, ale nie odgrywało to większego znaczenia. Dwa wystąpienia zabrały po pół

godziny każde. I Kealty i Prokurator Generalny zgadzali się, że kwestia prawna jest dosyć prosta, niemniej praktyczne zastosowanie owej zasady prowadziło do zawiłych konsekwencji. Co więcej, była to sprawa bardzo paląca, co sprawiło, że sędzia nie zastanawiał się nad nią dłużej niż godzinę. Wyrok ogłosił na podstawie notatek, a na piśmie miał uzasadnić parę godzin później.

— Sąd — rozpoczął — jest świadom głębokiego niebezpieczeństwa, jakie zawisło nad krajem i z

aprobatą musi potraktować powagę, z jaką prezydent Ryan uznał za swój obowiązek ochronę życia Amerykanów, a nie tylko ich praw. Zarazem jednak sąd musi uszanować fakt, że konstytucja jest i pozostanie najwyższym aktem prawnym, którego naruszenie, potraktowane jako precedens, pociągnęłyby za sobą konsekwencje daleko wykraczające poza obecny kryzys.

Przyznając zatem, że prezydent działa w imię szlachetnych motywów, sąd musi unieważnić jego dekret, ufając, iż obywatele w sposób rozumny i rozważny zadbają o swoje bezpieczeństwo.

Prokurator Generalny zerwał się z miejsca.

— Wysoki Sądzie, rząd czuje się w obowiązku bezzwłocznie złożyć apelację od tego wyroku do Czwartego Sądu Okręgowego w Richmond. Wnioskuje, aby wyrok został zawieszony do chwili, gdy zostaną dopełnione wszystkie urzędowe formalności.

— Wniosek odrzucony. Koniec rozprawy.

Sędzia powstał i opuścił salę, w której, oczywiście zahuczało.

— Jak rozumieć orzeczenie sądu? — zapytał reporter Court TV (który sam skądinąd był prawnikiem i znał odpowiedź) wyciągając mikrofon w kierunku Kealty'ego.

— Znaczy to tyle, że obywatel Ryan, bezprawnie tytułujący się prezydentem USA, nie może łamać prawa. Mam nadzieję, że w tej sali dowiodłem, iż obowiązuje jeszcze w tym kraju sprawiedliwość — odparł polityk, który jednak nie wydawał się szczególnie zachwycony werdyktem sądu.

— Co na to strona rządowa? — padło pytanie pod adresem Prokuratora Generalnego.

— Niewiele mam w tej chwili do powiedzenia. Z całą pewnością prędzej będziemy mieli gotowe pismo apelacyjne do Czwartego Okręgowego Sądu Apelacyjnego niż sędzia Veneble sporządzi swoje uzasadnienie wyroku. Trzeba pamiętać o tym, że ten uzyskuje moc dopiero w chwili, gdy zgodnie z przepisami zostanie sformułowany, uzasadniony i podpisany. Istnieją wszelkie powody, by sądzić, że Sąd Apelacyjny uchyli wyrok. Mam nadzieję, że pośród sędziów większość stanowią ludzie nie tylko znający prawo, ale również mający poczucie rzeczywistości.

Ale jest jeszcze inna sprawa.

— Jaka?

Teraz głos zabrał Martin.

— Sąd rozstrzygnął tutaj pewną wątpliwość konstytucyjną. Mówiąc o Johnie Patricku Rynie jako urzędującym prezydencie USA, sąd jednoznacznie wypowiedział się w kwestii przejęcia władzy, podniesionej przez byłego wiceprezydenta Kealty'ego. Chciałbym podkreślić, że sąd oznajmił, iż uchyła dekret; gdyby miał wątpliwości co do tego, czy John Patrick Ryan jest legalnym prezydentem

Stanów Zjednoczonych Ameryki, także i samego dekretu nie mógłby uchylić, gdyż ten w sensie prawnym by nie istniał. Uważam zatem, że chociaż sąd podjął błędny wyrok, to jednak działał słusznie w sensie proceduralnym. A teraz przepraszam, bo razem z panem Prokuratorem Generalnym musimy zasiąść do wypełnienia formularzy.

Nieczęsto się zdarzało, by ktoś zamknął usta dziennikarzom. Jeszcze trudniej było to zrobić z politykami.

— Nie, to nie tak. Muszę... — zaczął wołać Kealty, ale Martin nie czekał, aż ten dokończy zdanie i w przelocie mruknął tylko: — Zawsze był z ciebie marny prawnik, Ed.

— Sądzi, że ma rację — powiedział Lorenz. — Bardzo pragnę, żeby ją miał.

Od samego początku laboratorium CCZ pracowały bez wytchnienia, badając zdolność wirusa do przetrwania poza żywym organizmem. Utworzono komory środowiskowe, w których panowała różna temperatura, wilgotność i natężenie światła, a wyniki, o dziwo, niezmiennie mówiły to samo: choroba, która powinna rozprzestrzeniać się poprzez powietrze, nie mogła tego robić, albowiem nawet w najbardziej sprzyjających warunkach czas życia wirusa poza organizmem liczył się w minutach.

— Chciałbym trochę lepiej rozumieć militarny aspekt tej kwestii — dodał Lorenz po chwili zastanowienia.

— Dwieście dwadzieścia trzy Przypadki Zerowe, to wszystko. Jeśli były jeszcze jakieś, nic o tym nie wiemy. Osiemnaście ognisk, ale cztery miejsca, w których równolegle odbywały się imprezy handlowe i żadnego zachorowania. Dlaczego w tamtych osiemnastu tak, a w tych czterech — nie? — zastanawiał się na głos Alex.

— Może próbowali we wszystkich dwudziestu dwóch, ale dlaczego w tych czterech się nie udało?

Lorenz wypuścił dym z fajki. — Symulacje prognozują teraz ogólną liczbę zachorowań na osiem tysięcy. Pojawią się wypadki wyzdrowień, co także zmieni sytuację modelowaną.

Posunięcia związane z kwarantanną nieźle wystraszyły ludzi. Myślę, że zakaz podróży nie jest aż tak wielkim utrapieniem, natomiast wylęknieni ludzie starają się ograniczać kontakty i...

— To trzecia dobra informacja dzisiaj — przerwał Lorenzowi Alexandre. Pierwszą była pacjentka z Hopkinsa. Drugą wyniki badań Picketta. Trzecią laboratoryjne analizy Gusa i wniosok, który z nich wyciągał. — John zawsze powtarzał, że psychologiczny efekt wojny biologicznej jest znacznie silniejszy od fizjologicznego.

— To mądry lekarz, ale i tobie, Alex, nie brakuje rozsądku.

— Trzy dni i będziemy wiedzieli.

— Czekam na jakieś dobre wiadomości.

— Gdybyś mnie szukał, przez jakiś czas będę u Reeda.

— Ja śpię u siebie w gabinecie.

— Do usłyszenia.

Alexandre rozłączył się. Dokoła siebie miał sześciu medyków wojskowych, trzech od Waltera Reeda i trzech z MICZUSA.

— Jakież uwagi? — spytał.

— Zwariowana sytuacja — mruknął jeden z oficerów i uśmiechnął się ze znużeniem. —

Zgoda, to broń psychologiczna; wzbudza w ludziach trwogę, ale działa także na naszą korzyść.

Po drugiej stronie ktoś coś spieprzył i tylko jestem ciekaw...

Alexandre, który w zamyśleniu przysłuchiwał się tym słowom, nagle chwycił słuchawkę i wybrał numer szpitala uniwersyteckiego imienia Johna Hopkinsa.

— Tutaj profesor Alexandre — powiedział pielęgniarce oddziałowej. Chciałem rozmawiać z profesorem Ryan, to bardzo pilne... Dobrze, czekam... Cathy? Mówi Alex. Muszę porozmawiać z twoim mężem i najlepiej, gdybyś i ty przy tym była... To bardzo ważne.

Otwarcie

Dwieście teczek oznaczało sprawdzenie dwustu aktów urodzenia, praw jazdy, dokumentów hipotecznych, zestawów kart kredytowych. Było rzeczą nieuchronną, że kiedy raz już rozpoczęło się tego typu śledztwo, także agent Aref Raman musiał znaleźć się w kręgu zainteresowania trzystu agentów FBI oddelegowanych do tej sprawy. Na liście znaleźli się wszyscy pracownicy Tajnej Służby, którzy mieli regularny dostęp do Białego Domu. W całym kraju sprawdzano oryginały aktów urodzenia, a zdjęcia z ukończenia szkoły podstawowej i ogólniaka porównywano za służbowymi fotografiami agentów. Okazało się, że troje z członków Oddziału było imigrantami, co nie pozwoliło dotrzeć do wszystkich dokumentów. Pierwszy z tej trójki urodził się we Francji i jeszcze jako niemowlę został przez matkę przywieziony do USA.

Druga osoba, kobieta, nielegalnie uciekła z Meksyku wraz z rodzicami, potem jednak zalegalizowała swój pobyt, stając się gwiazdą sekcji podsłuchu i jedną z najgorętszych patriotek w całej grupie. Pozostawał już tylko Jeff Raman, jako osoba, z którą wiązały się pewne niejasności, chociaż było to zrozumiałe, jeśli się pamiętało, w jakich warunkach jego rodzice musieli opuścić kraj rodzinny.

Z wielu względów wydawało się to zbyt łatwe. Akta informowały, że urodził się w Iranie, a do Ameryki przybył wraz z rodzicami, którzy uciekli ze swego kraju po upadku szacha.

Wszystko wskazywało na to, że w pełni zaakceptował swoją nową ojczyznę, włącznie z fanatycznym uwielbieniem koszykówki, które w Tajnej Służbie stało się wręcz przysłowiowe.

Nigdy nie przegrał zakładu, a popularny dowcip mówił, że najpoważniejsi klienci bukmacherów konsultowali się z nim przed najważniejszymi meczami. Zawsze chętnie przebywał w gronie kolegów, a cieszył się też wielkim uznaniem jako agent terenowy. Nie miał żony, co nie było niczym rzadkim w federalnych instytucjach ochrony prawa. Szczególnie Tajna Służba, bardziej wymagająca niż najbardziej namiętna kochanka, okazywała się nieprzyjazna małżeństwu, rozwody były więc w niej równie częste jak śluby. Wiedziano, że miewał dziewczyny, ale mówił

o tym niewiele, podobnie jak w ogóle o swym życiu prywatnym. Wiedziano z pewnością, że nie utrzymuje żadnych kontaktów z innymi osobami irańskiego pochodzenia, co zaś się tyczyło religii, nigdy w rozmowach nie nawiązywał do islamu, a jedynie raz wspomniał prezydentowi, że religia przysporzyła jego rodzinie tyle cierpień, iż najchętniej nigdy nie podejmowałby tego tematu.

Inspektor O'Day, któremu Murray zlecił wszystkie wątpliwe przypadki, żadnego z nich z góry nie faworyzował. Nadzorował prowadzone śledztwo, przyjąwszy, że przeciwnik będzie ekspertem w dziedzinie maskowania i dlatego jego legenda powinna być na pierwszy rzut oka nienaganna, bez skazy. Zgodnie ze słowami Price, jedyną obowiązującą go zasadą była skuteczność. Swoich najbliższych współpracowników wybrał w waszyngtońskim oddziale terenowym FBI, części z nich kazał zainteresować się Arefem Ramanem, który teraz, ku ich wygodzie, ugrzązł w Pittsburghu.

Mieszkanie w północno-zachodniej dzielnicy Dystryktu Columbia było niewielkie, ale wygodne.

Zamontowany alarm antywłamaniowy nie stanowił większego problemu. Pośród agentów wyznaczonych do przeszukania mieszkania znalazł się czarodziej, który, w pół minuty uporawszy się z zamkami, dokładnie zbadał sterownik alarmu i odczytał kod, który wszyscy starannie zapamiętali. Przedsięwzięcia tego nie określano już teraz prozaicznie włamaniem, lecz

„operacją specjalną”, co było dość rozległym pojęciem.

Dwóch agentów, którzy weszli do środka po sforsowaniu wejścia, wezwało trzech następnych. Najpierw dokładnie sfotografowano mieszkanie i rozejrzano się za ewentualnymi pułapkami w postaci pozornie niewinnych przedmiotów, których poruszenie miało informować lokatora, że ktoś był z wizytą podczas jego nieobecności. Pułapki takie były najczęściej trudne do wykrycia, nie na próżno jednak piątkę agentów z kontrwywiadu FBI zawodowi szpiegzy szkolili przeciwko

zawodowym

szpiegom.

„Przetrząśnięcie”

mieszkania

oznaczało

godziny

drobiazgowej pracy, bliźniaczo podobnej do tej, którą pięć innych zespołów prowadziło w mieszkaniach pozostałych podejrzanych.

P-3 ulokował się tuż za granicą zasięgu radarów indyjskich, sunąc nisko po zachmurzonym niebie nad ciepłymi wodami Zatoki Arabskiej. Operatorzy zidentyfikowali dziewiętnaście ognisk, w których wyodrębnili trzydzieści źródeł emisji. Głównym zagrożeniem dla maszyny były wielkie stacje namiaru radarowego o niskiej częstotliwości, aczkolwiek czujniki wychwytywały też promienie radarów wyrzutni pocisków przeciwlotniczych. Okręty hinduskie wypłynęły w morze rzekomo dla przeprowadzenia manewrów po długiej kuracji w dokach. Problem polegał na tym, że tego typu manewrów nie można było odróżnić od gotowości bojowej. Dane były na bieżąco analizowane przez znajdującą się na pokładzie samolotu grupę zwiadu elektronicznego i przekazywane do „Anzio” oraz pozostałych jednostek grupy operacyjnej KOMEDIA, marynarze bowiem odebrali sygnały czterech okrętów klasy *Bob Hope* i ich eskorty.

Dowódca grupy znajdował się w centrum dowodzenia krążownika. Trzy wielkie ekrany telewizyjne, podłączone do komputerowego systemu *Aegis* bardzo dokładnie pokazywały rozlokowanie hinduskiej grupy lotniskowcowej. Komandor z dużym prawdopodobieństwem wiedział, które kropki oznaczają lotniskowce. Stawał teraz przed skomplikowanym zadaniem.

KOMEDIA była już w pełni sformowana. Statki transportowe „Platte” i „Supply” dołączyły do grupy wraz z eskortującymi je „Hawes” i „Carr”, a w ciągu najbliższych godzin okręty eskorty wysuną się przed dziób tankowców (dla komandora paliwo było jak pieniądze: nie znał pojęcia nadmiaru). Po

zakończeniu tego manewru niszczyciele zajmą pozycje obok statków z czołgami, a fregaty obok tankowców. „O'Bannon” nadal będzie posuwał się przodem, nasłuchując okrętów podwodnych; Indie posiadały dwa takie okręty o napędzie nuklearnym, ale nikt nie wiedział, gdzie się w tej chwili znajdują. „Kidd” oraz „Anzio” — oba okręty przeciwlotnicze — powrócą do centrum formacji, aby zapewnić ochronę przed atakami z powietrza. Normalnie krążownik typu *Aegis* trzymałby się bardziej na uboczu.

Przyczyną takiego ustawienia nie było postawione przed grupą zadanie, lecz... telewizja.

Każda jednostka Marynarki miała własny odbiornik telewizji satelitarnej; załogi zgodnie z życzeniami otrzymały system telewizji kablowej i większość wolnego czasu spędzały na oglądaniu programów na najróżniejszych kanałach -pośród których zdecydowanie największą popularnością cieszył się „Playboy”, dowódca najczęściej jednak korzystał z CNN, nierzadko bowiem tą drogą otrzymywał wiadomości potrzebne mu do praktycznego wykonania powierzonej misji. Obecnie na okrętach zapanowała atmosfera pełna napięcia. Informacji o tym, co dzieje się w kraju, nigdy nie ukrywano przed załogami, a obrazy chorych i umierających, blokad na drogach międzystanowych oraz opustoszałych miast, wywarły tak przygnębiające wrażenie, że oficerowie siadali i rozmawiali ze swoimi podwładnymi w mesach, nie chcąc się od nich izolować w tych trudnych momentach. Potem przyszły rozkazy operacyjne. Coś działo się w Zatoce Perskiej, coś działo się w kraju, a jeszcze na dodatek pojawiły się statki transportowe w otoczeniu niszczycieli, kierując się do saudyjskiego portu Dharhan, na drodze do którego stanęli Hindusi. W mesach przygasły śmiechy i dowcipy, a nieustanne utrzymywanie systemu *Aegis* w trybie bojowym też mówiło swoje.

Każdy z okrętów eskorty wyposażony był w helikopter, który pozostawał w łączności z zespołem hydrolokacji na „O'Bannon”. Taką samą nazwę nosił okręt wojenny z czasów drugiej wojny światowej, który wślawił się tym, że chociaż brał udział we wszystkich ważniejszych starciach na Pacyfiku, ani jeden marynarz na nim nie zginął, ani nie został ranny. Współczesna replika miała na dziobie wymalowane złote A, co oznaczało wytrawnego łowcę okrętów podwodnych — przynajmniej w ramach manewrów. „Kidd” był spadkobiercą mniej fortunnej tradycji. Nazwany tak dla upamiętnienia admirała Isaaca Kidda, który zginął na pokładzie USS

„Arizona” rankiem 7 grudnia 1941 roku, należał do uzbrojonych w pociski nuklearne niszczycieli klasy „zmarły admirał”, które, pierwotnie budowane na zamówienie szacha Iranu, następnie z ociąganiem zostały przyjęte przez prezydenta Cartera, by wyzywająco słać na dziobach nazwiska dowódców, którzy polegli w przegranych bitwach morskich. Zgodnie z podobną, a podtrzymywaną w Marynarce tradycją, „Anzio” został ochrzczony na pamiątkę zakończonego fiaskiem desantu morskiego podczas kampanii włoskiej roku 1943, gdy śmiałe lądowanie przerodziło się w rozpaczliwy bój. Dowódcy okrętów wojennych mieli zadbać o to, aby tym razem walka stała się rozpaczliwa dla ich przeciwników.

W prawdziwym starciu nie byłoby o to trudno. „Anzio” był uzbrojony w piętnaście *Tomahawków* z pięćsetkilogramowymi głowicami, a okręty grupy indyjskiej znajdowały się już prawie w ich zasięgu. W normalnych warunkach pociski można było wystrzelić z odległości dwustu mil morskich, naprowadzając je na cel za pomocą *Orionów* (to samo zadanie mogły wykonać helikoptery, ale *P-3C*

były znacznie trudniejsze do wykrycia i zniszczenia).

— Panie komandorze! — rozległ się głos podoficera od stanowiska ESM. — Namiar radarowy z powietrza. *Orion* ma towarzystwo, zdaje się dwa *Harriery*, idą na przechwycenie.

— Dziękuję. Powietrze należy do wszystkich, którzy wyznają tę zasadę — powiedział ostrzegawczo Kemper.

Być może były to istotnie ćwiczenia, wszelako poprzedniego dnia hinduska grupa bojowa nie pokonała już czterdziestu mil, natomiast zaczęła się przesuwać ze wschodu na zachód i z powrotem, blokując w ten sposób kurs jego formacji. Wyglądało to tak, jak gdyby Indie uznały ten fragment oceanu za swoją własność.

Nikt się jednak specjalnie z niczym nie krył. Wszyscy zachowywali się tak, jak gdyby nic nie zakłócało normalnych, pokojowych stosunków. Kosztem wielu megawatów nieustannie działał na „Anzio” system radarowy *SPY-I*; Hindusi korzystali ze swojego odpowiednika.

— Panie komandorze, mamy nieproszonych gości. Wielokrotny kontakt powietrzny, kierunek zero-siedem-sero, odległość dwieście pięć mil. Nie podają identyfikacji, ale to nie maszyny cywilne. Oznaczenie przydzielone: Klucz Jeden.

Na środkowym ekranie pojawiły się odpowiednie symbole.

— Pięknie.

Komandor skrzyżował wyprostowane nogi. Na ekranie kinowym Gary Cooper zapalał w takich momentach papierosa.

— Klucz Jeden to cztery maszyny w ciasnej formacji, szybkość siedemset dwadzieścia na godzinę, kurs dwa-cztery-pięć.

Lecieli w ich kierunku, chociaż nie dokładnie na KOMEDIĘ.

— Przewidywany kontakt? — spytał dowódca.

— Przy obecnym kursie miną nas o dwadzieścia mil.

— Dobra. Wszyscy mają spokojnie wykonywać swoje obowiązki. Każdy wie, co do niego należy. Nie ma co się podniecać, a jak zjawi się jakiś powód, na pewno was poinformuję

— zwrócił się do obecnych w centrum dowodzenia. — Broń w kaburze. — Znaczyło to, że obowiązują reguły czasu pokoju i żaden z elementów uzbrojenia nie jest postawiony w stan pogotowia. Do uzyskania którego wystarczyło uruchomienie kilku przycisków.

— „Anzio”, tu Gonzo Cztery — odezwał się głośnik łączności z powietrzem.

— Gonzo Cztery, tu „Anzio”, słucham.

— Dwa *Harierry* szukają guza. Jeden przemknął o pięćdziesiąt metrów od nas. Mają podczipione białe.

Pod skrzydłami znajdowały się pociski uzbrojone, a nie ćwiczebne.

— Co robią? — padło pytanie z kontroli lotów.

— Nic specjalnego, tylko trochę dowodzą.

— Niech nasi dalej wykonują zadanie — polecił kapitan — i udają, że niczego nie zauważyli.

— Aye, slr.

Rozkaz został przekazany.

Zdarzenie nie miało w sobie nic niezwykłego. Komandor wiedział, że piloci myśliwców są pilotami myśliwców. Nigdy nie wyrastali z gwizdania na dziewczyny jadące na rowerach.

Skupił swą uwagę na Kluczu Jeden, który nie zmieniał szybkości ani kursu. Nie było to wrogie zachowanie. Piloci indyjscy dawali do zrozumienia, że wiedzą kogo mają w sąsiedztwie. Widać było to po poczynaniach obu par myśliwców. Teraz była to już naprawdę utarczka kogutów. Co teraz? — zastanawiał się dowódca. Ostro? Potulnie? Udawać głupka? Psychologiczny aspekt operacji wojskowych nader często był lekceważony. Klucz Jeden znajdował się w odległości stu pięćdziesięciu mil, całkowicie w zasięgu jego rakiet przeciwlotniczych *SM-2MR*.

— Co sądzisz, Weps[5]? — spytał stojącego obok oficera.

— Chyba chcą nas wkurzyć.

— Mhm. — Kapitan wykonał w wyobraźni rzut monetą. — Naprzykrzają się naszemu *Orionowi*. Dajmy im znać, że ich widzimy.

Dwie sekundy później radar *SPY* podwyższył moc do czterech megawatów i wiązkę promieni wysłał o jeden stopień przed nadlatującymi myśliwcami, utrzymując tę relację, tak że teraz samoloty były nieustannie namierzane. Musiało to zostać zarejestrowane przez detektory opromieniowania radarowego na pokładach maszyn. Promieniowanie było tak silne, że z odległości dwudziestu mil aparatura mogła ulec zniszczeniu, jeśli była odpowiednio wrażliwa.

Kapitan miał jeszcze w rękawie dodatkowe dwa megawaty. Kłopot z *Aegis* polegał na tym, że jeśli chciało się go przez dłuższy czas lekcewać, można było doczekać się dwugłowego potomka.

— Panie komandorze, „Kidd” zajmuje pozycję bojową — poinformował oficer z mostka.

— Dobry czas na ćwiczenia, prawda? — Klucz Jeden znajdował się już w odległości stu mil. — Weps, oświeć no je.

Na ten rozkaz cztery okrętowe radary naprowadzania na cel *SPG-51* skierowały cienkie smugi promieni radarowych na zbliżające się maszyny. W ten sposób pociskom zostały wskazane cele. Sygnalizatory indyjskie także i to musiały zarejestrować. Jednak myśliwce nie zmieniały prędkości ani kursu.

— W porządku, to znaczy, że dzisiaj gramy łagodnie. Gdyby mieli jakieś niedobre zamiary, zaczęliby się trochę wiercić — oznajmił dowódca. — Wiecie, jak złodziej, który skręca za róg na widok gliniarza.

Albo mieli w żyłach lodowatą wodę, a nie krew, co nie wydawało się nazbyt prawdopodobne.

— Chcą sobie nas obejrzyć? — spytał Weps.

— Tak myślę. Zrobić parę zdjęć, zobaczyć, kto się zjawił.

— Strasznie dużo rzeczy dzieje się naraz, sir.

— Tak — zgodził się kapitan i sięgnął po telefon.

— Mostek — zgłosił się oficer wachtowy.

— Powiedz obserwatorom, że chcę wiedzieć, co to za jedni. Zdjęcia, jeśli możliwe. Jaka widzialność?

— Lekka mgła na powierzchni, w górze dobra.

— Bardzo dobrze.

— Miną nas od północy, zawrócą i przelecą po lewej stronie — prorokował dowódca.

— Panie komandorze, Gonzo Cztery donosi, że kilka sekund temu znowu było bardzo bliskie przejście.

— Tylko spokojnie.

— Tak jest, panie kapitanie.

Wszystko teraz rozegrało się szybko. Myśliwce okrążyły *KOMEDIĘ* dwa razy, nie zbliżając się bardziej niż na pięć mil morskich. Następny kwadrans *Harriery* spędziły na obserwacji patrolującego *Oriona*, a potem musiały wrócić na macierzysty okręt, gdyż kończyło się im paliwo. Minął następny dzień na morzu bez wymiany ognia ani żadnych wrogich działań, jeśli nie liczyć zaczepek myśliwców, ale to było czymś zupełnie zwyczajnym. Kiedy było już po wszystkim,

dowódca „Anzio” zwrócił się do oficera łączności.

— Połączcie mnie z CINCLANT. Weps?

— Tak jest, sir?

— Dokładnie sprawdzić każdy element uzbrojenia.

— Panie kapitanie, szczegółowa kontrola odbyła się dwanaście...

— Wykonać — powiedział Kemper, nie podnosząc głosu.

— I to jest dobra wiadomość? — spytała Cathy.

— To proste — odrzekł Alexandre. — Widziałaś dzisiaj rano umierających ludzi.

Zobaczysz też jutro. To boli, wiem. Ale tysiące to lepiej niż miliony. — Myślę, że epidemia zaczyna wygasać. — Nie powiedział, że jemu było pewnie łatwiej na wszystko spoglądać. Cathy zajmowała się operacjami oczu i nie nawykła do śmierci. Zresztą, i on do niej nie przywykł, chociaż zajmował się chorobami zakaźnymi. Łatwiej? Czy to na pewno odpowiednie słowo? —

Za kilka dni będzie można powiedzieć z całą pewnością na podstawie informacji statystycznych.

Prezydent w milczeniu pokiwał głową, odezwał się natomiast van Damm.

— Jaką przewiduje pan liczbę ofiar?

— Zgodnie z symulacjami sporządzonymi u Reeda i w Detrick mniej niż dziesięć tysięcy.

Wiem, że to brzmi dość brutalnie, ale dziesięć tysięcy to nie dziesięć milionów.

— Tragedią jest jedna śmierć; milion to statystyka — mruknął Ryan.

— Tak, panie prezydencie, wiem o tym.

Alexandre dobrze wiedział, że jego dobra wiadomość nie jest wiadomością rozkoszną, ale w końcu wypadek jest lepszy od katastrofy.

— Józef Wissarionowicz Stalin, ten potrafił znajdować ładne słówka — powiedział

Miecznik.

— Pan wie, panie prezydencie, kto to zrobił — odezwał się Alex.

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Nie zareagował pan normalnie na moje słowa.

— Panie profesorze, od paru miesięcy nie robię rzeczy nazbyt normalnych. Co pan na przykład myśli o zakazie podróżowania?

— Powinien obowiązywać jeszcze co najmniej przez tydzień. Nasze przewidywania są tylko przewidywaniami. Okres inkubacji choroby bywa dość różny u różnych pacjentów. Wozów przeciwpożarowych nie odsyła się do remizy natychmiast, kiedy zgasną ostatnie płomienie.

Muszą poczekać, czy ogień nie wybuchnie na nowo. Podobnie jest teraz. Wielkie znaczenie miał ludzki strach. Z jego powodu wszyscy usiłowali się jak najmniej kontaktować i dzięki temu choroba przestała się rozprzestrzeniać. Trzeba utrzymać tę sytuację. Nowe przypadki będą nieliczne i uporamy się z nimi jak z ospą. Zaraz po wykryciu ustalimy, z kim chory utrzymywał

kontakty, odizolujemy osoby z przeciwciałami i będziemy je trzymać pod stałą obserwacją. To już teraz działa. Ktokolwiek to zrobił, przeliczył się. Epidemia nie rozwinęła się na taką skalę, jak zakładano, albo może chodziło jedynie o efekt psychologiczny. Na tym przede wszystkim polega wojna biologiczna. Wielkie zarazy rozchodziły się w przeszłości szeroko, gdyż ludzie nie mieli pojęcia, w jaki sposób przenosi się choroba. Nic nie wiedzieli o mikrobach, pchłach i skażonej wodzie, my jednak wiemy, gdyż wszyscy uczą się o tym już w szkole. To dlatego nie zaraził się żaden lekarz; wiele nauczyliśmy się dzięki AIDS i wirusowemu zapaleniu wątroby.

— A jak zapobiec następnemu takiemu atakowi?

— Mówiłem już. Trzeba finansować badania, koncentrując się na znanych już chorobach.

Nie ma powodu, dla którego nie moglibyśmy posiadać bezpiecznych szczepionek przeciw ebola i wielu innym chorobom.

— Także przeciw AIDS? — zainteresował się Ryan.

— To nie takie proste; ten sukinsyn jest bardzo odporny. Żadne prace nad szczepionką nie zbliżyły się jeszcze chociażby do etapu prób. Tajemnica szczepionki polega na tym, że badania genetyczne ustalają, jak funkcjonuje biologiczny system wirusa, a następnie uczy się układ immunologiczny rozpoznawać go i zabijać. Na razie jednak nie wiemy, jak to zrobić. Ale nauczymy się i za dwadzieścia lat Afryka może będzie już bezpieczna — powiedział kreolski lekarz. — To jedna strona problemu: jak nie dopuścić do następnej takiej napaści. Pan prezydent zajmuje się drugą stroną. Więc kto to był?

Ryan nie musiał wspominać o konieczności zachowania tajemnicy.

— Iran. Ajatollah Mahmud Hadži Darjaei i jego pomagierzy.

W Alexandre znowu odezwał się oficer Armii Stanów Zjednoczonych.

— Jeśli o mnie chodzi, panie prezydencie, może pan zabić ich wszystkich.

Clark nigdy nie poznał Iranu jako kraju przyjacielskiego. Być może inaczej było przed upadkiem szacha, ale wtedy jeszcze nie podróżował w te strony. Po raz pierwszy zjawił się tutaj w tajemnicy w roku 1979 i zaraz po tym w 1980. Najpierw wysłano go dla zebrania informacji, potem, aby wziął udział w przygotowaniach do akcji odbicia zakładników. Trudno opisać, jak wygląda kraj, który ogarnęła pożoga rewolucji. O wiele lepiej wspominał pobyty w ZSRR.

Zaprzysiężona czy wroga, Rosja była jednak krajem cywilizowanym, z mnóstwem przepisów i ludźmi, którzy je obchodzili. Iran natomiast przypominał wyschnięty las, w który uderzył piorun,

„Śmierć Ameryce”, to hasło było na ustach wszystkich, a niebezpieczeństwo czyhało zawsze, nie tylko wtedy, kiedy człowiek znalazł się pośród rozjuszonego tłumu. Malutki błąd, kontakt z odwróconym agentem — oznaczał śmierć, a ojcu małych dzieci nie jest łatwo żyć z taką myślą, niezależnie od tego, czy jest szpiegiem, czy też nie. Normalnych przestępców czasami rozstrzeliwano, ale szpiegów najczęściej wieszano, gdyż uważano to za śmierć sprawiedliwie okrutną.

Od tamtych czasów niektóre rzeczy się zmieniły, inne nie. Na posterunkach granicznych traktowano obcokrajowców z dawną podejrzliwością. Cywilnych urzędników pilnowali umundurowani mężczyźni, których zadaniem było nie dopuścić do wjazdu kogoś takiego jak on.

Dla nowej ZRI, podobnie jak dla dawnego Iranu, każdy przybysz był potencjalnym szpiegiem.

— Klierk — powiedział i wręczył paszport. — Iwan Siergiejewicz. — Także poprzednimi razami rosyjski paszport okazał się skuteczną maską, która pozwoliła mu przejść obok niejednego urzędnika. Pomocna była niewątpliwie bardzo dobra znajomość rosyjskiego.

— Jewgienij Pawłowicz Czechow — oznajmił Chavez przy sąsiednim stanowisku.

Także i teraz występowali jako dziennikarze. Przepisy zabraniały pracownikom CIA występować jako reprezentantom amerykańskich mediów, nie dotyczyło to jednak prasy innych krajów.

— Cel pańskiej wizyty? — spytał pierwszy urzędnik.

— Chciałbym zapoznać się z życiem w nowym państwie. To fascynujące.

Podczas misji w Japonii mieli ze sobą kamerę i użyteczny drobiazg, który wyglądał jak lampa błyskowa, a w rzeczywistości był śmiertelnie skutecznym narzędziem do czasowego oślepienia. Teraz było inaczej.

— Jesteśmy razem — poinformował „Jewgienij Pawłowicz”, wskazując kolegę.

Paszport był świeżo wystawiony, chociaż nie wskazywałyby na to nawet dokładna obserwacja. Jeden z tych istotnych drobiazgów, o które Clark i Chavez nie musieli się martwić.

SWR była tak samo sprawna jak dawne KGB i należała do najlepszych na świecie fałszerzy dokumentów. Kartki paszportów pokryły się spletanymi stemplami, a ośle rogi wskazywały na

wielokrotne użytkowanie. Celnik otworzył torby i zaczął je przeglądać. W środku znalazł ubranie czyste, ale niewątpliwie używane, dwie książki, które przekartkował w poszukiwaniu pornografii, także dwa aparaty fotograficzne średniej jakości. Każdy z reporterów miał niewielki nesoser, a w nim notes i dyktafon. Wreszcie, z nieskrywaną rezerwą, obu dziennikarzom pozwolono przejść.

— *Spasiba* — powiedział uprzejmie John, zabierając swoje rzeczy. Lata praktyki nauczyły go, aby nie ukrywać całkowicie ulgi. Normalni podróżni zawsze byli w tych sytuacjach nieco wystraszeni, a on miał uchodzić za jednego z nich. Obaj agenci CIA wyszli na zewnątrz i stanęli w kolejce, stopniowo zjadanej przez podjeżdżające taksówki. Kiedy przed nimi były już tylko dwie osoby, Chavezowi wypadła torba podróżna, a jej zawartość się rozsypała.

Załadowanie drobiazgów z powrotem zabrała trochę czasu, przepuścili więc trzy osoby, które stały za nimi i dopiero wtedy wsiedli do kolejnej taksówki. Dawało to niemal pewność, że nie będzie ona podstawiona, chyba że wszystkie prowadzone były przez szpicli.

Rzecz polegała na tym, żeby wyglądać jak najbardziej normalnie. Nie wydawać się przesadnie głupim, ale też nigdy nazbyt przebiegłym. Gubić się i prosić o pomoc, ale nie za często. Mieszkać w tanim hotelu. A w tym przypadku modlić się na dodatek, żeby los nie postawił na ich drodze żadnej z osób, które widziały ich podczas niedawnej krótkiej wizyty w tym mieście. Zadanie miało być łatwe. Zawsze tak się mówiło, inaczej bowiem agent miałby podstawy, żeby się na nie nie zgodzić. Najczęściej jednak prostota misji kończyła się z chwilą jej rozpoczęcia.

— To grupa operacyjna KOMEDIA — poinformował Robby. — Dzisiaj rano usłyszeli dzwonek u drzwi.

W kilka minut J-3 podał konieczne szczegóły.

— Zachowywali się prowokacyjnie? — spytał Ryan.

— Urządzili wokół P-3 całe przedstawienie. Sam tak robiłem, kiedy byłem młody i głupi.

Chcą nam przypomnieć o swojej obecności i przekonać nas, że nie dali się zastraszyć. Grupą dowodzi komandor Greg Kemper. Nie znam go, ale cieszy się dobrą reputacją. CinClant go lubi.

Kemper prosi o zmianę reguł wejścia do walki.

— Nie teraz. Ewentualnie później.

— Nie spodziewam się nocnego ataku, ale trzeba pamiętać, że tam świta, kiedy tutaj jest północ.

— Arnie, powiedz mi coś o tej indyjskiej premier.

— Nie wymieniają z ambasadorem Williamsem prezentów pod choinkę. Jakiś czas temu przyjmował ją pan we Wschodnim Gabinetcie.

— Jeśli ją wystraszymy, gotowa zwrócić się o pomoc do Darjaeiego — przestrzegł

wszystkich Ben Goodley. — Kiedy rzuci jej pan wyzwanie, ucieknie się do podstępu.

— Robby?

— Powiedzmy, że łamiemy ich blokadę, a ona dzwoni do Darjaeiego. Mogą spróbować zamknąć cieśninę. Za kilka godzin siły z Morza Śródziemnego zbliżą się na odległość pięćdziesięciu mil. Wtedy będziemy mieli parasol powietrzny. Trochę emocji, ale powinni dać sobie radę. Kłopot może być z minami, cieśnina jest jednak dla nich za głęboka, co innego dalej, bliżej Dharhanu. Im dłużej ZRI pozostaje w niepewności, tym lepiej, obawiam się, że mogą już znać skład KOMEDII.

— A może nie — zastanawiał się na głos van Damm. — Jeśli myśli, że da sobie radę sama, to bardzo prawdopodobne, iż będzie chciała pokazać, jaka z niej twarda sztuka.

Przerzut oddziałów został nazwany operacją CUSTER. Wszystkie czterdzieści maszyn, każda przewożąca przeciętnie dwustu pięćdziesięciu żołnierzy, były już w powietrzu, tworząc łańcuch długości dziesięciu tysięcy kilometrów. Prowadzący samolot był teraz o sześć godzin od Dharhanu; opuszczał właśnie przestrzeń powietrzną Rosji i wlatywał nad Ukrainę.

Piloci *F-15* pokiwali skrzydłami do kilkunastu rosyjskich myśliwców, które wyleciały im na spotkanie. Byli już zmęczeni; cywilni lotnicy mogli wstać, przeciągnąć się, skorzystać z toalety, co było niewyobrażalnym luksusem dla pilota myśliwca, skazanego na urządzenie zwane przewodem odprowadzającym. Ramiona bolały, drętwiały mięśnie, przez całe godziny pozostające w tym samym przykurczu. Doszło do tego, że kłopot sprawiało nawet uzupełnianie paliwa z *KC-135*, i stopniowo wszyscy dochodzili do wniosku, że starcie powietrzne o godzinę od miejsca przeznaczenia wcale nie byłoby zabawne. Pili dużo kawy, zmieniali układ dłoni na drążkach i, na ile mogli, usiłowali się przeciągnąć.

Żołnierze w większości spali, nie wiedząc jeszcze, do jakiej zostaną użyci misji. Linie lotnicze normalnie zaopatrzyły samoloty, niektórzy więc wykorzystywali okazję do ostatniego na jakiś czas drinka. Ci, których zmobilizowano w 1990 i 1991 roku, dzielili się wspomnieniami wojennymi, a najczęściej powtarzało się utyskiwanie, że w królestwie Arabii Saudyjskiej nie ma żadnego życia nocnego.

Brownowi i Holbrookowi starczyło sprytu na to, zęby zatrzymać się w motelu, zanim wybuchła powszechna panika. Podobnie jak przybytki, w których zatrzymali się w Wyoming i w Newadzie, także i ten specjalizował się w obsłudze kierowców ciężarówek. Była w nim duża, staromodna restauracja, z ladą i boksami, do czego teraz dołączyły się maski na twarzach kelnerek i zdecydowana niechęć klientów do zawierania znajomości. Wszyscy pośpiesznie zjadali posiłki i zaraz wracali do swoich pokoiów albo samochodów, w których spali. Codziennie odbywał się swego rodzaju taniec, ciężarówki trzeba było bowiem przesuwac, albowiem długie pozostawanie bez ruchu szkodziło oponom. Co godzinę uważnie wysłuchiowano informacji radiowych; poza tym w restauracji, każdym pokoju i niektórych ciężarówkach znajdowały się telewizory, które dostarczały więcej wiadomości i rozrywki. Głęboka nuda była czymś dobrze znanym żołnierzom, ale nie dwóm Ludziom z Gór.

— Pieprzony rząd — mruknął dostawca mebli, który mieszkał dwa stany dalej.

— Pokazali nam, kto tu jest szefem — oznajmił Ernie Brown pod adresem sali.

Dane miały później ujawnić, że zarażeniu nie uległ ani jeden kierowca ciężarówki: prowadzili na to zbyt samotnicze życie. Niemniej ich życie polegało na ruchu, gdyż w ten sposób zarabiali pieniądze i gdyż taki był ich wybór. Siedzenie w jednym miejscu nie zgadzało się z ich naturą, a jeszcze bardziej kłócił się z nią rozkaz siedzenia.

— A tam, do cholery — ziewnął inny kierowca. — Cieszę się, że się w ogóle wydostałem z Chicago. Aż strach słuchać.

— Myślicie, że to wszystko ma sens? — spytał ktoś.

— A od kiedy to ma sens coś, co robi rząd? — wtrącił się Holbrook.

— Co racja, to racja — odezwał się czyjś głos, a Ludzie z Gór nareszcie poczuli się u siebie. Potem bez słowa wstali i wyszli.

— Jak myślisz, ile będziemy tutaj jeszcze siedzieć? — spytał Ernie Brown.

— Mnie się pytasz?

— Nic — oświadczył agent, który kierował przeszukaniem. W mieszkaniu Arefa Ramana było może odrobinę za czysto jak na samotnego mężczyznę, chociaż nie do końca, jako że jeden z agentów znalazł skarpetki poskładane w szufladzie biurka. Potem ktoś przypomniał sobie wyniki testów, którym psychologowie poddali graczy NFL. Po miesiącach badań okazało się, że defensywni skrzydłowi, którzy chronią ćwierćbeka, mają rzeczy porządnie poukładane, podczas gdy w szafach ofensywnych skrzydłowych, których zadanie polega na wdeptaniu rozgrywającego przeciwników w murawę, panuje absolutny bałagan. Uwaga ta powitana została ogólnym śmiechem. Poza tym nie znaleziono niczego szczególnego. Na szafce stało zdjęcie zmarłych rodziców. Raman prenumerował dwa dzienniki, wykupił dostęp do obu telewizji kablowych, nie trzymał w domu alkoholu i gustował w zdrowej żywności. Sądząc po zawartości zamrażarki, szczególną sympatią darzył koszerne hot-dogi. Nie wpadli na ślad żadnych skrytek, ani niczego, co wzbudzałoby jakiegokolwiek podejrzenia. Było to zarazem dobrze i niedobrze.

Zadzwonił telefon. Nikt się nie ruszył. Nie było ich tutaj, a gdyby ktoś chciał się z nimi połączyć, służyły temu telefony komórkowe i pagery.

Po drugim sygnale usłyszeli głos Ramana.

— Dzień dobry, tutaj numer 536-3040. Nikogo teraz nie ma w domu, ale odezwę się, jeśli zostawisz wiadomość.

— Pomyłka — syknął jeden z agentów.

— Trzeba spisać wiadomości.

Techniczny specjalista grupy zajął się tym natychmiast; cyfrowy system zapisu chroniony był kodem

ustawionym przez producenta. Agent uruchomił sześć przycisków, inny zaczął

notować. Trzy wiadomości do Ramana i kolejna pomyłka. Ktoś miał interes do jakiegoś pana Sloana.

— Dywan? Alahad?

— Nazwisko pasuje do sprzedawcy dywanów.

Rozejrzeli się, ale w mieszkaniu była tylko normalna wykładzina.

— Tak czy siak, wszystko trzeba zapisać.

Więcej było w tym przyzwyczajenia niż podejrzeń. Sprawdzać trzeba wszystko. Zupełnie jak w zwykłej dochodzeniówce: nigdy nic nie wiadomo.

W tym samym momencie telefon zadzwonił powtórnie. Wszyscy wpatrzyli się w aparat, jak gdyby był żywym człowiekiem.

Cholera, pomyślał Raman, zapomniałem o wymazaniu wcześniejszych zapisów. Nie nagrało się nic nowego; jego kontroler nie odezwał się. Byłoby zresztą dziwne, gdyby to zrobił.

Siedząc w hotelu w Pittsburghu, Raman wystukał polecenie Skasuj wszystko. Przy nowych systemach cyfrowych miłe było to, że wiadomość ginęła raz na zawsze, co niekoniecznie musiało być prawdziwe z taśmami magnetycznymi.

Agenci FBI spojrzeli po sobie.

— Każdy tak robi — mruknął w końcu jeden i wzruszył ramionami. Wszyscy się z tym zgodzili; każdemu też nie jeden raz zdarzały się pomyłkowe połączenia.

Ku radości członków Ochrony, Chirurg tę noc spędziła na piętrze rezydencji. Roy Altman i cała reszta byli w nieustannym stresie, kiedy przebywała na oddziale zadżumionych (tak to między sobą nazywali) w Hopkinsie, nie tylko bowiem narażała się na niebezpieczeństwo, ale także pracowała bez wytchnienia. Dzieci Ryanów, jak większość amerykańskich rówieśników, oglądały telewizję i bawiły się pod okiem agentów, którzy z ulgą stwierdzali, że nie pojawiły się żadne niepokojące symptomy. Miecznik znajdował się w Sali Sytuacyjnej.

— Która jest teraz w Indiach?

— Dziesięć godzin wyprzedzenia, sir.

— Połączcie mnie z nią.

Pierwszy 747, w malowaniu United Airlines, przekroczył saudyjską granicę powietrzną wcześniej niż przypuszczano, gdyż trafił na pomyślny wiatr arktyczny. Nie było sensu wybierać w tej części świata bardziej zawilej trasy, gdyż Sudan, podobnie jak Egipt i Jordania, miał

lotniska i samoloty, a rozsądnie należało przyjąć, że ZRI ma swoich wywiadowców w tych krajach. Saudyjskie siły powietrzne, wzmocnione myśliwcami *F-16*, które w ramach operacji BIZON przemknęły się poprzedniego dnia z Izraela, stale patrolowały granicę ze ZRI. W

powietrzu znajdowały się też dwa *E-3B-AWACS* ze swymi obrotowymi antenami dyskowymi.

Słońce wstawało nad tą częścią świata; w każdym razie z góry widać było jego pierwsze promienie, chociaż na dole panowała jeszcze ciemność.

— Dzień dobry, pani premier, tutaj Jack Ryan.

— Miło usłyszeć pański głos. Zdaje się, że w Waszyngtonie jest teraz późna noc, prawda?

— Oboje pracujemy w dziwnych porach. U pani chyba właśnie zaczyna się dzień.

— Tak — odpowiedziała krótko. Jack trzymał w ręku tradycyjną słuchawkę, ale rozmowa była także rejestrowana na magnetofonie, zaopatrzonym przez CIA w analizator napięcia w głosie rozmówcy.

— Panie prezydencie, czy sytuacja w pańskim kraju poprawiła się chociaż trochę?

— Może jeszcze nie całkiem, ale są podstawy do nadziei.

— Czy możemy być w czymś pomocni?

Oba głosy wyprane były z emocji, jeśli nie liczyć fałszywej serdeczności ludzi, którzy nawzajem siebie podejrzewają, chociaż starają się tego nie ujawniać.

— Tak, istotnie.

— W jaki sposób?

— Pani premier, w tej chwili kilka naszych okrętów płynie przez Morze Arabskie —
powiedział Ryan.

— Doprawdy?

Ton zupełnie obojętny.

— Tak, proszę pani, i dobrze pani o tym wie. Oto moja prośba: niech pani osobiście dopilnuje tego, aby wasze jednostki, które również wyszły w morze, nie usiłowały zakłócić przejścia naszej grupy okrętów.

— Skąd ta prośba? Dlaczego miałabym czegoś dopilnowywać? Nawiasem mówiąc, dokąd płyną wasze okręty?

— Wystarczy jedno polecenie pani premier.

Prawa ręka Ryana chwyciła drugi ołówek.

— Proszę mi wybaczyć, panie prezydencie, ale nie rozumiem, jaka jest intencja pańskiego telefonu.

— Oto intencja: chcę uzyskać obietnicę, że osobiście zatroszczy się pani o to, aby okręty wojenne Indii nie usiłowały przeszkodzić w pokojowym rejsie jednostkom Marynarki Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Ależ to słabeusz, pomyślała. Myśli, że powtarzanie się zwiększa moc słów.

— Panie prezydencie, pański telefon zaskakuje mnie i niepokoi, gdyż pojawia się w nim jakiś niebezpieczny ton. Wasze okręty wojenne przepływają w pobliżu mojego kraju, tymczasem milczeniem zbywa pan moje pytanie o cel tej demonstracji siły. Przesuwanie tak znacznych sił

bez najmniejszych wyjaśnień, że już nie wspomnę o uprzedzeniu, trudno uznać za akt przyjaźni.

A gdyby tak udało jej się zmusić go do zawrócenia?

Nie mówiłem?, zobaczył na karteczce podsunętej przez Goodmana.

— Pani premier, zmusza mnie pani, bym po raz trzeci postawił tę kwestię: czy obieca mi pani, że nie będziecie robić żadnych trudności?

— Proszę mi najpierw powiedzieć, jakim prawem naruszacie nasze wody terytorialne?

— Świetnie. — Ton głosu Ryana zmienił się raptownie. — Pani premier, przemieszczenie tych okrętów nie ma żadnego związku z pani krajem, chciałbym jednak zapewnić, że jednostki te dotrą do portu przeznaczenia. Ponieważ mają do wykonania zadanie o żywotnym znaczeniu dla mego kraju, nie będziemy tolerować, powtarzam, nie będziemy tolerować żadnych prób ingerencji. Ostrzegam niniejszym, że każdy niezidentyfikowany samolot czy okręt, który zbliży się do naszych jednostek, naraża się na poważne konsekwencje, z użyciem siły włącznie. To znaczy, przepraszam, nie „naraża się”, ale „może być pewien poważnych konsekwencji”. Aby ich uniknąć, składam niniejsze oświadczenie i chcę w zamian usłyszeć pani obietnicę, że nasze okręty nie zostaną zaatakowane.

— Czyżby pan mi groził, panie prezydencie? Wiele jestem w stanie złożyć na karb stresu, w jakim pan się znalazł, ale nic nie może usprawiedliwić takiego traktowania suwerennego kraju.

— Pani premier, może zatem ujmę całą sprawę jeszcze wyraźniej. Wobec Stanów Zjednoczonych użyto broni masowego rażenia. Każda próba przeszkodzenia w poczynaniach naszych sił zbrojnych musi w tym kontekście zostać uznana za kolejny akt wojny, a każde państwo, które się na to decyduje, musi być świadome konsekwencji, na jakie się z tego powodu naraża.

— A któż to użył broni masowego rażenia wobec pańskiego kraju?

— Pani premier, nie sądzę, by powinna się pani tym interesować w tej chwili. Natomiast jestem

przekonany, że w obopólnym interesie naszych krajów leży powrót okrętów wojennych Indii do ich baz.

— Śmie pan stawiać mi żądania?

— Pani premier, z całym szacunkiem rozpocząłem od prośby, na którą pani uznała za stosowne nie zareagować, pomimo jej trzykrotnego wyrażenia. Już to uważam za nieprzyjazne zachowanie. Stawiam więc pytanie: czy chce pani, by jej kraj znalazł się w stanie wojny ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki?

— Panie prezydencie...

— Jeśli bowiem pani okręty nie usuną się z drogi naszym, oznaczać to będzie wojnę. —

Ołówek trzasnął w palcach Ryana. — Moim zdaniem, pani premier, wybrała pani sobie niewłaściwych przyjaciół. Mam nadzieję, że się mylę, gdyby jednak moje podejrzenia potwierdziły się, Indie mogą drogo zapłacić za ten błąd. Przeprowadzono bezpośredni atak na obywateli mojego kraju. Był to atak okrutny i barbarzyński, wykorzystujący broń masowego rażenia. — Jack starannie wyakcentował te słowa. — Mieszkańcy USA jeszcze o tym nie wiedzą, ale sytuacja niebawem się zmieni. A kiedy tak się stanie, pani premier, ci, którzy odpowiadają za tę napaść, będą musieli zapłacić. Nie wystosujemy noty protestacyjnej. Nie zażądamy nadzwyczajnego posiedzenia Rady Bezpieczeństwa ONZ. Przystąpimy do wojny, pani premier, przystąpimy z całą siłą i zdecydowaniem, na jakie stać mój kraj i jego obywatele. Czy teraz rozumie już pani dlaczego zadzwoniłem? Ktoś sprawił, że w granicach swojej ojczyzny umarli i umierają niewinni mężczyźni, kobiety i dzieci. Zaatakowano także moją córkę. Pani premier, czy chce pani swój kraj uczynić współodpowiedzialnym za te działania? Jeśli tak, to może pani uznać, że wojna pomiędzy naszymi państwami już się rozpoczęła.

Zajęcie pozycji

— Jack, byłeś świetny — sapnął Jackson.

— Z naszym pobożnym przyjacielem nie pójdzie tak łatwo — odparł prezydent i potarł

spoczone dłonie. — I wcale nie możemy być pewni, że pani premier nie będzie kombinować.

Grupa operacyjna KOMEDIA znajduje się odtąd w DEFCON 1. Mają niszczyć wszystko, co przejawia wrogie zamiary. Tylko upewnij się, że dowódca potrafi ruszać głową.

W Sali Sytuacyjnej zrobiło się cicho, a mimo obecności wszystkich osób, Ryan poczuł się bardzo samotny. Byli sekretarz Bretano i szefowie sztabów, Departament Stanu reprezentował

Rutledge, był sekretarz Winston, którego sądowi Jack ufał, był Goodley, który znał wszystkie doniesienia wywiadu, byli też, oczywiście, szef personelu Białego Domu i agenci Oddziału.

Wszyscy służyli radą, ale on sam musiał rozmawiać z premier Indii, gdyż, niezależnie od wszelkich porad i umiejętności, to Jack Ryan był prezydentem USA, kraju, który szykował się do wojny.

Dziennikarze dowiedzieli się o tym nad Atlantykiem. Ameryka w każdej chwili oczekiwała ataku ZRI na któreś z państw Zatoki Perskiej, oni zaś mieli o wydarzeniu poinformować opinię publiczną. Powiedziano im, jakich sił użyły Stany Zjednoczone.

— To wszystko co tam mamy? — spytał ktoś z niedowierzaniem.

— Jak na razie wszystko — potwierdził rzecznik prasowy Armii.

— Mamy nadzieję, że wystarczy, aby zniechęcić ZRI do ataku, jeśli jednak nie, będzie trochę emocji.

— Nie wiem, czy „emocje” to najwłaściwsze słowo w tej sytuacji — powiedział z niesmakiem jeden z dziennikarzy.

Kiedy jednak poinformowano ich, dlaczego tak właśnie ułożyły się sprawy, w pozbawionym okien C-135, który wiozł ich do Arabii Saudyjskiej, zapadła głucha cisza.

Na siły zbrojne Kuwejtu składały się dwie brygady pancerne, które uzupełniała zmotoryzowana brygada zwiadu, uzbrojona w broń przeciwpancerną i mająca stanowić pierwszą osłonę granicy. Owe dwie brygady stacjonowały zwykle w głębi kraju, przygotowane do odparcia prawdziwego natarcia, a nie wstępnego uderzenia, które najpewniej powinno służyć zmyleniu obrońców. 10. pułk kawalerii pancernej USA zajął miejsce pomiędzy nimi i nieco z tyłu. Pojawiły się pewne niejasności

co do zwierzchniego dowództwa. Pułkownik Magruder miał

za sobą najdłuższą służbę i największe doświadczenie taktyczne, pośród Kuwejtczyków byli jednak oficerowie starsi od niego rangą — na czele każdej brygady stał generał brygady — a poza tym to był ich kraj. Z drugiej strony, był on na tyle niewielki, że wystarczyło jedno stanowisko ogólnego dowodzenia, a zadaniem Magrudera było kierowanie własnym oddziałem oraz służyć radą kuwejckim sojusznikom. Ci byli jednocześnie dumni i podenerwowani. Mieli powody do dumy z wysiłków, które ich kraj podjął po 1990 roku. Nie była to już operetkowa armia, którą uderzenie irackie rozniosło w puch — aczkolwiek pojedyncze oddziały walczyły bardzo dzielnie — teraz dysponowali wyszkolonym i zmechanizowanym wojskiem, albo tak to przynajmniej wyglądało. Nerwowość wynikała z faktu, że przeciwnik był bez porównania liczniejszy, a ich żołnierzom — głównie rezerwistom — wiele jeszcze brakowało, aby mogli sprostać amerykańskim standardom, do których aspirowali. Naprawdę znali się tylko na strzelaniu. Niszczenie celów z armat czołgowych było bardzo istotną umiejętnością, a żołnierzy Kuwejtu na dodatek niezmiernie fascynowało; braki w stanach obu dywizji wynikały z faktu, że w dwudziestu czołgach wymienić trzeba było lufy; robiły to wynajęte firmy cywilne, żołnierze zaś beczynn timerowali.

Śmigłowce 10. pułku kawalerii patrolowały obszar nadgraniczny, a ich radary *Longbow* penetrowały obszar daleko w głąb ZRI, ale nic nie wskazywało na to, by przemieszczały się tam jakieś duże formacje. Cztery samoloty kuwejckie nieustannie były w powietrzu, podczas gdy reszta lotnictwa znajdowała się w stanie najwyższej gotowości bojowej. Chociaż liczebna przewaga wroga była przygniatająca, 1990 rok się nie powtórzy. Najwięcej pracy mieli saperzy, którzy kopali doły na tyle głębokie, aby czołgi mogły prowadzić pozycyjną obronę; nad ziemię wystawać miały tylko ich wieże pokryte siatkami maskującymi.

— No i jak, pułkowniku? — spytał najważniejszy z kuwejckich generałów.

— Trudno coś zarzucić waszej dyslokacji — powiedział Magruder, nie zdradzając wszystkich swoich uczuć. Dwa, trzy tygodnie intensywnych ćwiczeń byłyby błogosławieństwem.

Przeprowadzili bardzo prostą próbę: jeden z jego batalionów zaatakował kuwejcką 1. Brygadę i dosyć łatwo się z nią rozprawił. Nie warto było teraz podważać ich wiary w siebie. Byli pełni entuzjazmu, w strzelaniu osiągnęli wyniki zbliżające się do siedemdziesięciu procent norm amerykańskich, ale wiele musieli się jeszcze nauczyć, jeśli chodzi o manewrowanie. Potrzeba czasu, żeby zbudować nowoczesną armię i wyszkolić oficerów orientujących się na polu bitwy.

— Wasza wysokość, chciałbym gorąco podziękować za dotychczasową współpracę — powiedział Ryan. Zegar w Sali Sytuacyjnej wskazywał godzinę 2.10.

— Jack, przy odrobinie szczęścia, na widok naszej gotowości nie ośmielą się ruszyć — odrzekł książę Ali ibn Szejk.

— Chciałbym, żeby tak było. Teraz jednak muszę poinformować cię jeszcze o czymś, Ali. W ciągu dnia otrzymasz pełniejszą informację od naszego ambasadora. Musisz wiedzieć o tym, o czym wiedzą

już także twoi sąsiedzi. Tym razem nie chodzi tylko o ropę.

Wyjaśnienia zabrały pięć minut.

— Czy jesteś tego pewien?

— Za cztery godziny wasza wysokość będzie miała w swoim ręku dowody. Nie poinformowaliśmy jeszcze o tym nawet naszych żołnierzy.

— Czy mogą tę broń zastosować przeciw nam?

Naturalne pytanie. Sama wzmianka o wojnie biologicznej przyprawiała każdego o dreszcze.

— Nie sędzę, Ali. Warunki atmosferyczne temu nie sprzyjają. Także i to zostało sprawdzone. Prognoza na nadchodzący tydzień mówiła o pogodzie upalnej, suchej i słonecznej.

— Panie prezydencie, sięgnięcie po taki środek jest aktem skrajnego barbarzyństwa.

— I stąd nasz lęk, że teraz już się nie cofną. Nie mogą...

— Panie prezydencie, nie należy używać w tym przypadku liczby mnogiej. To tylko jeden bezbożny człowiek. Kiedy poinformuje pan o tym swój naród?

— Wkrótce.

— Jack, musisz powiedzieć swoim rodakom, że nasza religia, nasza wiara nie mają z tym nic wspólnego.

— Wiem o tym, wasza wysokość. Tutaj nie chodzi o Boga, lecz o władzę. Jak zawsze.

Pora kończyć. Mam mnóstwo obowiązków.

— Podobnie jak ja. Muszę jak najszybciej zobaczyć się z królem.

— Przekaż mu, proszę, wyrazy mojego szacunku. Nasz sojusz pozostanie mocny jak dotychczas, Ali.

Na tym rozmowa się zakończyła.

— Gdzie w tej chwili jest Adler?

— W drodze na Tajwan — wyjaśnił Rutledge. Negocjacje trwały w dalszym ciągu, chociaż teraz intencje ChRL stawały się jasne.

— Mamy bezpieczne połączenie z samolotem. Poinformuj go o wszystkim — polecił

Ryan podsekretarzowi. — Czy powinienem jeszcze coś zrobić w tej chwili?

— Położyć się spać — powiedział admirał Jackson. — I nie zrywać się skoro świt.

— Dobra myśl. — Ryanowi odrobinę kręciło się w głowie z napięcia i braku snu. —

Zbudźcie mnie, jeśli będzie trzeba.

Nikt nie powiedział tego, co wszyscy pomyśleli: z pewnością nikt tego nie zrobi.

— Pięknie — powiedział komandor Kemper, czytając rozkaz z CINCLANT. — Teraz wszystko jest znacznie prostsze.

Od grupy indyjskiej dzieliło ich jeszcze dwieście mil, osiem godzin drogi pod pełną parą

— nadal używało się tego określenia, chociaż wszystkie okręty wojenne były teraz wyposażone w silniki turbinowe. Kemper sięgnął po telefon i przełączył go na system wewnętrznego nagłośnienia *I-MC*.

— Uwaga, mówi dowódca. Grupa operacyjna KOMEDIA jest teraz w DEFCON 1.

Znaczy to, że otwieramy ogień do każdego, kto się zbliży. Zadanie nasze polega na dostarczeniu czołgów do Arabii Saudyjskiej. Jednocześnie przetrucani są tam nasi żołnierze, gdyż spodziewany jest atak nowo powstałej Zjednoczonej Republiki Islamskiej na naszych sojuszników w tej części świata. Za szesnaście godzin zostaniemy wzmocnieni przez jednostki nawodne płynące tutaj z Morza Śródziemnego. Potem wpłyniemy do Zatoki Perskiej, aby wykonać postawione przed nami zadanie. Ochronę powietrzną zapewnią nam myśliwce *F-16*, należy się jednak spodziewać, że ZRI nie będzie zadowolona z naszego pojawienia się. USS

„Anzio” rusza na wojnę, przyjaciele. To tyle na razie.

Zmienił ustawienie przełącznika.

— Za pół godziny chcę zobaczyć symulacje zagrożeń. Musimy uwzględnić wszystkie sztuczki, jakich możemy się po nich spodziewać. Za dwie godziny dostaniemy najnowszy raport wywiadu.

— A co z Hindusami? — spytał Weps.

— Ich także nie spuszczaemy z oczu.

Na głównym ekranie widać było samolot *P-3 Orion*, który przelatywał nad KOMEDIĄ, aby zluzować na stanowisku inny samolot obserwacyjny. Grupa „Anzio” płynęła teraz na wschód, po raz kolejny od pewnego czasu przecinając własny kilwater.

Satelita *K-11* sunął nad Zatoką Perską z północnego zachodu na południowy wschód.

Jego kamery, które sfotografowały już trzy korpusy Armii Boga, robiły teraz zdjęcia całego

irańskiego wybrzeża, aby zlokalizować wyrzutnie wyprodukowanych w Chinach rakiet *Silkworm*. Obrazy z elektronicznych kamer przekazywane były do wiszącego nad Oceanem Indyjskim satelity komunikacyjnego, a stamtąd do Waszyngtonu, gdzie analitycy, nadal noszący na twarzach chirurgiczne maski, natychmiast zaczęli szukać na fotografiach tych, podobnych z sylwetki do samolotów, pocisków ziemia-powietrze. Wyrzutnie stałe już dawno zostały umiejscowione, ale *Silkworm* można także było odpalać ze skrzyni dużej ciężarówki, należało więc przepatrzyć wiele nadmorskich dróg.

Pierwsza grupa czterech pasażerskich samolotów wylądowała bez przeszkód pod Dharhanem. Nikt nawet nie zawracał sobie głowy ceremonią powitalną. Było gorąco. Po zaskakująco zimnej i mokrej zimie, wiosna przyszła szybko, co oznaczało 40 stopni w południe, w porównaniu z 60 w lecie. W nocy temperatura spadała jednak do mniej więcej 5 stopni. Tak blisko wybrzeża powietrze było też bardzo wilgotne.

Do pierwszego samolotu podjechały schody, a jako pierwszy pojawił się na nich generał brygady Marion Diggs. Miał być dowódcą operacji lądowych. Nadal szalejąca w Ameryce epidemia dosięgła także bazę lotniczą w Mac Dill na Florydzie, gdzie swoje kwatery miało dowództwo centralne. Dokumenty, do których zajrzał, powiadały, że 366. Skrzydłem również dowodzi jednogwiazdkowy generał, młodszy jednak od niego starszeństwem. Schodząc po schodkach, Diggs pomyślał, że od bardzo dawna tak ważną operacją nie dowodził oficer równie nisko stojący w hierarchii wojska jak on.

Na dole czekał na niego trzygwiazdkowy generał saudyjski. Oddali sobie honory i wsiedli do auta, które miało ich zawieźć do lokalnego punktu dowodzenia, aby mogli się zaznajomić z najnowszymi doniesieniami wywiadu. Oprócz Diggsa przyleciało również całe dowództwo 11.

pułku, a w trzech pozostałych samolotach zespół wywiadu, kontrwywiadu oraz żandarmerii, a także większość 2. szwadronu Czarnego Konia. Podstawione autobusy miały ich dostarczyć do bazy King Chalid. Wszystko bardzo przypominało prowadzone w czasach zimnej wojny ćwiczenia Reforger, podczas których odgrywano starcie między siłami NATO i Układu Warszawskiego, a żołnierze amerykańscy wysiadali z samolotów, ładowali się do pojazdów bojowych i ruszali na front. Wtedy nigdy nie wyszło to poza manewry, teraz jednak działo się naprawdę. Dwie godziny później 2. batalion jechał na pozycje.

— Jak mam to rozumieć? — spytał Darjaei.

— Jak się wydaje, dokonywany jest właśnie przerzut oddziałów — wyjaśnił szef wywiadu. — Stacje radarowe w zachodnim Iraku wykryły samoloty pasażerskie, które znad Izraela wlatują w przestrzeń powietrzną Arabii Saudyjskiej. Zauważono również myśliwce, które je eskortują, a także patrolują granice.

— Co więcej?

— Nic w tej chwili, w każdym razie wydaje się prawdopodobne, że Ameryka wzmacnia swoje siły w królestwie. Trudno mi powiedzieć o jaką formację chodzi, ale nie może ona być duża. Wszystkie dywizje stacjonujące w Niemczech poddane są kwarantannie, to samo dotyczy jednostek w samych

Stanach. Nieliczne nadające się do wykorzystania oddziały skierowane zostały do utrzymania porządku wewnętrznego w USA.

— Powinniśmy natychmiast ich zaatakować — oświadczył doradca do spraw lotnictwa.

— To byłby błąd — sprzeciwił się szef wywiadu. — W ten sposób naruszylibyśmy saudyjską przestrzeń powietrzną i uprzedzilibyśmy przedwcześnie tych gamoniów. Amerykanie mogą przerzucić wojska co najwyżej wielkości brygady. Druga znajduje się na Diego Garcia —

to znaczy, mówiąc ściślej, sprzęt dla drugiej — ale nie ma żadnych informacji, żeby tam coś się działo. Gdyby jednak nawet do tego doszło, zatrzymaliby ich nasi przyjaciele z Indii.

— Mamy ufać poganom? — spytał z pogardą przedstawiciel sił powietrznych. W ten sposób muzułmanie traktowali religię panującą na subkontynencie.

— Możemy zaufać wrogości Hindusów do Ameryki. Trzeba spytać, czy ich flota dostrzegła coś niepokojącego. Tak czy owak, wszystkim, na co jeszcze ewentualnie mogą się zdobyć Amerykanie, jest najwyżej jedna brygada. Nic więcej.

— Atakować?

— To zagrazi bezpieczeństwu naszej głównej operacji — przestrzegał wywiadowca.

— Musieliby być głupcami, żeby nie wiedzieli jeszcze, że coś szykujemy!

— Amerykanie nie mają podstaw, aby podejrzewać, że podjęliśmy wobec nich jakieś nieprzyjazne kroki. Zaatakowanie samolotów — jeśli istotnie są to ich maszyny — niepotrzebnie by ich rozdrażniło. Najprawdopodobniej zaniepokoiły ich ruchy naszych oddziałów w Iranie, więc postanowili trochę się wzmocnić. Kiedy przyjdzie na to pora, zajmiemy się i nimi.

— Połączcie mnie z Indiami — polecił Darjaei.

— Tylko radary nawigacyjne... Dwa przeszukujące powietrze, pewnie z lotniskowców — informował oficer. — Kurs zero-dziewięć-zero, szybkość około szesnastu węzłów.

Oficer taktyczny na *Orionie* — zwany Taco — przyjrzał się mapie. Indyjska grupa lotniskowcowa znajdowała się na wschodnim skraju łuku, który przez kilka ostatnich dni przemierzała ruchem wahadłowym. Za dwadzieścia minut powinni zmienić kurs na zachodni.

Gdyby to nastąpiło, zaczęłoby się robić gorąco. KOMEDIĘ dzieliło teraz sto dwadzieścia mil od flotyli Indii, a samoloty nieprzerwanie przekazywały informacje do „Anzio” i „Kidda”. Pod skrzydłami, w które wmontowano cztery turboodrzutowe silniki *Lockheed*, znalazły się teraz cztery pociski *Harpoon*. Biały kolor wskazywał na to, że nie są to ćwiczebne atrapy. Samolot podlegał teraz dowództwu komandora Kempera z „Anzio”, na którego rozkaz wystrzeliłby po dwa pociski na

każdy lotniskowiec. Kilka minut później pofrunąć mógł rój następnych *Harpoonów* i *Tomahawków*.

— Nie usiłują kontrolować emisji — mruknął oficer.

— Przeprowadzają zwykły namiar nawigacyjny — odezwał się od pulpitu operator. —

KOMEDIA musi ich mieć na swoim ESM. — Po prostu świecą prosto w niebo.

KOMEDIA musiała wybrać jedno z dwojga. Albo ograniczyć emisję, wyłączyć radary, aby druga strona musiała zużyć czas i paliwo na szukanie ich, albo włączyć dosłownie wszystko, tworząc elektroniczną bańkę, którą łatwo było wykryć, ale niebezpiecznie badać. Dowódca

„Anzio” zdecydował się na to drugie.

— Jakież rozmowy pilotów? — rzucił Taco pod adresem innego stanowiska.

— Nie, sir, żadnych.

Nisko lecący *Orion* powinien być niewidoczny dla indyjskich operatorów, pomimo ich radarów przeszukujących obszar. Dowódca czuł silną pokusę, żeby zwiększyć pułap i ujawnić się, używając własnego radaru. Co planowali Hindusi? Może kilka jednostek odłączyło się od reszty grupy i popłynęło na zachód, aby nieoczekiwanie dokonać ataku raketowego? Nie miał

pojęcia, co myślą, a do dyspozycji miał tylko kurs grupy lotniskowcowej, wyliczony przez komputery na podstawie namiarów radarowych. Dzięki *GPS* komputer na bieżąco podawał

dokładne położenie samolotu. W połączeniu z informacją o źródłach promieniowania pozwalało to wyliczyć ich przemieszczanie się i...

— Jakaś zmiana kursu?

— Nie, sir. Kurs ciągle zero-dziewięć-zero, szesnaście węzłów. Wychodzą z ekranu. W

ciągu ostatnich trzech dni nigdy nie znaleźli się tak daleko. Są teraz o trzydzieści mil na wschód od kursu KOMEDII.

— Czyżby zmienili zamiary?

— Tak, nasze okręty są na morzu — zapewniła.

— Czy wykryły okręty amerykańskie?

Premier Indii była sama w gabinecie. Wcześniej odwiedził ją minister spraw zagranicznych, ale już wyszedł. Spodziewała się tego telefonu, ale bynajmniej o nim nie marzyła.

Sytuacja zmieniła się. Chociaż pani premier nadal uważała prezydenta Ryana za słabego człowieka — czyż groźba wobec suwerennego państwa nie była przejawem słabości? — to jednak coś ją

zaniepokoiło w jego zachowaniu. A jeśli epidemię w Stanach spowodował Darjaei?

Nie miała na to żadnych dowodów i nie zamierzała ich szukać, ale jej kraj nigdy nie mógł być wiązany z podobnymi czynami. Ryan domagał się — ile razy, cztery, pięć? — aby jednoznacznie obiecała, że okręty indyjskie pozwolą spokojnie przepłynąć grupie amerykańskiej, ale tylko raz użył zwrotu „broń masowego rażenia”. Trudno o bardziej złowrogie słowa w kontaktach międzynarodowych. Co więcej, minister spraw zagranicznych wyraźnie podkreślił, że ponieważ Amerykanie nie posiadają broni biologicznej ani chemicznej, są one dla nich równoważne broni nuklearnej. Wniosek narzucił się sam. Samoloty walczyły z samolotami. Okręty z okrętami.

Czołgi z czołgami. Na atak odpowiadało się bronią użytą przez przeciwnika. Pamiętała słowa: „Z całą siłą i zdecydowaniem...” Ryan niedwuznacznie sugerował, że podejmie kroki tego samego charakteru jak działania ZRI. Nie mogła też zapominać o tym szaleńczym ataku na jego córkę. Z wizyty we Wschodnim Gabinetcie zapamiętała między innymi czułość, z jaką mówił o dzieciach.

Może to i słabeusz, teraz jednak rozjuszony, a na dodatek dysponujący bronią groźniejszą od innych.

Darjaei postąpił głupio, w ten sposób prowokując USA. Znacznie rozsądniej było zaatakować i pokonać Saudyjczyków w konwencjonalny sposób. Tak to powinno było się rozegrać, natomiast napadanie na Amerykanów w ich własnych domach było bezmyślną prowokacją, w którą teraz mogła zostać uwikłana ona, jej rząd i — jej kraj.

Na nic takiego nie wyrażała zgody. Wyprowadzić flotę z portów — proszę bardzo. W

końcu, co takiego zrobili Chińczycy? Ogłosili ćwiczenia, najprawdopodobniej zestrzelili samolot pasażerski, ale w odległości paruset kilometrów od swoich granic. Czym ryzykowali? Niczym!

Teraz okazywało się dopiero, jak wiele Darjaei zażądał od jej kraju, a po jego szaleńczym ataku było to zbyt wiele.

— Nie — odpowiedziała, starannie dobierając słowa. — Nasi obserwatorzy wykryli obecność amerykańskiego samolotu zwiadowczego, ale żadnych okrętów. Wiemy, podobnie zapewne jak wy, że jakieś jednostki płyną przez Kanał Sueski, ale z całą pewnością nie ma tam lotniskowca.

— Jest pani tego pewna? — spytał Darjaei.

— Powtarzam, ani nasze okręty, ani morskie lotnictwo nie wykryły obecności Amerykanów na Morzu Arabskim. — Nie kłamała tak bardzo, albowiem odbył się tylko jeden przelot stacjonujących na lądzie *MiG-ów-29*. — Morze jest wprawdzie ogromne, ale Amerykanie nie są aż tak sprytni, prawda?

— Nigdy nie zapomnimy o waszej przyjaźni — zapewnił Darjaei.

Pani premier odłożyła słuchawkę, zastanawiając się, czy słusznie postępuje. No cóż, jeśli amerykańskie okręty pojawią się w Zatoce, zawsze będzie mogła powiedzieć, że udało im się

prześlizgnąć niepostrzeżenie. Pomyłki przecież się zdarzają.

— Coś się dzieje. Cztery samoloty wystartowały z Gasr Amu — powiedział kapitan saudyjskich sił powietrznych na pokładzie *AWACS-a*.

Czasowo wszystko było nieźle zaplanowane. Czwarty kwartet samolotów pasażerskich wleciał nad teren Arabii Saudyjskiej, odległy o niecałe trzysta kilometrów od wzbijających się właśnie w niebo myśliwców ZRI. Dotąd w powietrzu było spokojnie. W ciągu ostatnich dwu godzin wysledzono tylko dwa myśliwce, ale te najwyraźniej nie były związane z toczącą się operacją; najprawdopodobniej były to maszyny oblatywane po remoncie. Teraz jednak poderwały się w powietrze cztery samoloty podzielone na dwie pary, co wskazywało na lot bojowy.

W tym sektorze ochronę operacji CUSTER zapewniały cztery amerykańskie *F-16*, poruszające się w pasie trzydziestu kilometrów od granicy.

Na pokładzie *AWACS-a* saudyjski oficer wsłuchiwał się w rozmowę pomiędzy kontrolą lotów a czterema myśliwcami. Samoloty ZRI — były to *F-1* francuskiej produkcji — pomknęły w kierunku granicy, wykręciły o dziesięć kilometrów od niej, by ostatecznie znaleźć się w odległości kilometra. Tak samo postąpiły *F-16*, z odległości dwóch tysięcy metrów piloci przez przesłony na hełmach doskonale widzieli swoje maszyny z podwieszonymi pod skrzydłami pociskami powietrze-powietrze.

— Przylecieliście, żeby powiedzieć „Dzień dobry”? — spytał major z pierwszego *F-16*.

Nie było odpowiedzi. Następna grupa samolotów dotarła bez przeszkód do Dharhan.

O’Day wrócił wcześniej. Dziewczyna opiekująca się córką nie musiała przejmować się szkołą i z radością myślała o dodatkowym zarobku. Najważniejszą nowiną była informacja, że w promieniu dziesięciu kilometrów nie wykryto żadnego nowego przypadku ebola. Niezależnie od wszelkich niewygód, chciał każdą noc spędzić w domu, chociaż czasami oznaczało to sen ledwie czterogodzinny. Nie zasługiwałby na miano ojca, gdyby przynajmniej raz dziennie nie ucałował swojej córeczki, chociażby śpiącej. Na szczęście dojazd do pracy nie był kłopotliwy. Korzystał z samochodu Biura, który był szybszy od jego półciężarówki, a kogut na dachu pozwalał sprawniej pokonywać punkty kontrolne.

Na biurku czekały na niego wyniki dochodzenia, któremu poddane zostały wszystkie osoby zatrudnione w Tajnej Służbie. W każdym właściwie przypadku oznaczało to powtórne wykonanie tej samej roboty. Przed przyjęciem do pracy każdego kandydata i każdą kandydatkę dokładnie prześwietlono. Wszystko się zgadzało: świadectwa urodzenia, cenzurki szkolne, dyplomy i tak dalej. Jednak w dziesięciu przypadkach pojawiły się pewne niejasności, które należało wyjaśnić. To nad nimi ślęczał teraz O’Day, a szczególnie intrygował go jeden przypadek.

Raman był z pochodzenia Irańczykiem, Ameryka była jednak ojczyzną imigrantów. FBI pierwotnie

zatrudniało przede wszystkim Amerykanów irlandzkiego pochodzenia, najlepiej po szkołach jezuickich — szczególnie mile widziani byli absolwenci Boston College i Holy Cross —

ponieważ, jak głosiła legenda, J. Edgar Hoover był przekonany, że żaden irlandzki Amerykanin po jezuickiej szkole nie może zdradzić swego kraju. Kiedyś bez wątpienia musiało być coś na rzeczy, a nawet i teraz antykatolicyzm był w Biurze bardzo niechętnie widziany. Wszystkim jednak było dobrze wiadomo, że to właśnie imigranci okazywali się często najwierniejszymi, najbardziej zagorzałymi patriotami, z czego często wielkie korzyści odnosiła armia i najróżniejsze agencje rządowe. Właściwie nie ma tu nic podejrzanego, pomyślał Pat. Trzeba tylko sprawdzić tę sprawę z dywanem. Ów Sloan to pewnie facet, który chce sobie sprawić dywan i tyle.

Na ulicach Teheranu panował spokój. Zupełnie inaczej zapamiętał je Clark z roku 1979 i 1980. Teraz sytuacja się zmieniła; jak cała ta część świata, miasto pełne było gwaru, ale nie grozy. Skoro byli dziennikarzami, zachowywali się jak dziennikarze. Clark z upodobaniem kręcił

się po *sukach*, wypytyując ludzi o interesy, dostatek, zjednoczenie z Irakiem, o nadzieje na przyszłość, ale słyszał tylko frazesy. Szczególnie pozbawione treści były uwagi polityczne, brakowało w nich pasji, którą pamiętał z dawnych lat, kiedy każde serce gorzało nienawiścią do reszty świata, a zwłaszcza Ameryki. „Śmierć Ameryce”. No cóż, pomyślał, John, w końcu nadali tym słowom konkretną treść. Albo przynajmniej ktoś nadał. Teraz nie znajdował w ludziach nic z dawnej nienawiści, co przypominało mu dziwnie przyjaznego jubilera. Prawdopodobnie chcieli po prostu żyć, tak jak wszyscy. Nastrój apatii przywoływał wspomnienia ZSRR z lat osiemdziesiątych; ludzie chcieli tam tylko, żeby zaczęło im się odrobinę lepiej powodzić, żeby państwo całkowicie ich nie lekceważyło i nie pomijało nimi. Nie było w nich natomiast tamtego rewolucyjnego ognia. Dlaczego zatem Darjaei zdecydował się na taki czyn? Co na to powiedzą jego rodacy? Najprostsza odpowiedź brzmiała, że stracił poczucie rzeczywistości, co często się przydarza ludziom żadnym władzy. Znalazł się w otoczeniu fanatycznych wielbicieli, a także tych, którzy po prostu lubili wygodnie jechać limuzyną, podczas gdy inni musieli iść pieszo i ustępować z drogi. W takim jednak razie powinno być możliwe pozyskanie na miejscu agentów.

Ludzi, którzy mieli dość tego co tu się działo i gotowi byli mówić. Cóż za szkoda, że nie było czasu na przeprowadzenie normalnego werbunku. Spojrzał na zegarek. Powinien już wracać do hotelu. Pierwszy dzień był pusty, co stanowiło część maskowania. Dopiero nazajutrz mieli przybyć rosyjscy pomocnicy.

Przede wszystkim trzeba było ustalić tożsamość Sloana i Alahada. W pierwszej kolejności sięgnięto po książkę telefoniczną. Na żółtych stronach bez trudu można było znaleźć Janka Alahada, „Dywany Perskie i Orientalne”. Z jakichś przyczyn ludzom Persja najczęściej nie kojarzyła się z Iranem, co okazało się prawdziwym błogosławieństwem dla handlarzy dywanów. Sklep mieścił się na Wisconsin Avenue, o kilometr od mieszkania Ramana, co samo w sobie nic jeszcze nie znaczyło. Łatwo też ustalono, że istnieje niejaki Joseph Sloan, który ma telefon 536-4040, podczas gdy numer Ramana brzmiał 536-3040. Różnica jednej cyfry, co tłumaczyło pomyłkowe połączenie zarejestrowane przez automatyczną sekretarkę agenta.

Następny krok był rutynowy: sprawdzono połączenia telefoniczne. Znaczna ich liczba sprawiła, że potrzeba było minuty, zanim na ekranie pojawiła się informacja o rozmowie przeprowadzonej z

numerem 202-536-3040 z aparatu 292-459-6777. Tyle że nie znajdował się on w sklepie Alahada: był to automat o dwie przecznice dalej. Skoro było to tak niedaleko, po co marnować ćwierćdolarówkę? Dziwne.

Dlaczego nie sprawdzić innych rzeczy? Agent nosił wasy, był krótko ostrzyżony, a w swoim oddziale cieszył się opinią fanatyka problemów technicznych. Nie odniósł może szaleńczych sukcesów zwalczając przestępstwa bankowe, natomiast niezwykle odpowiadała mu praca w kontrwywiadzie, która w zdumiewającym stopniu przypominała zajęcia z czasów koledżu. Zauważył, że tropieni przez niego szpiedzy myśleli bardzo podobnie. Bez specjalnego nakładu wysiłków udało się ustalić, że przez cały ubiegły miesiąc nikt nie dzwonił ze sklepu z dywanami pod numer 536-4040. Poprzedni miesiąc? Także nie. A w przeciwnym kierunku? Nie.

536-4040 nigdy nie łączył się z 457-1100. Przecież jednak trzeba było jakoś zamówić dywan, skoro sprzedawca informuje o jego nadejściu... Dlaczego zatem żadnych telefonów w obu kierunkach?

Agent nachylił się do sąsiadki.

— Sylvia, rzuć na to okiem.

— Co takiego, Danny?

Czarny Koń był już w całości z powrotem na ziemi. Większość żołnierzy znajdowała się teraz przy swoich maszynach. 11. pułk kawalerii pancernej posiadał sto dwadzieścia trzy czołgi typu *Abrams*, sto dwadzieścia siedem bojowych wozów piechoty *Bradley*, szesnaście dział

samobieżnych *MI09A6 Paladin*, osiem ciężarówek z wyrzutniami raketowymi *M270*, a także osiemdziesiąt trzy helikoptery, spośród których było dwadzieścia sześć śmigłowców szturmowych *AH-64 Apache*, oraz setki pojazdów przeznaczonych przede wszystkim do transportu paliwa, żywności i amunicji, a także dwadzieścia cystern, zwanych tutaj „bawołami wodnymi”, bez których nie można było się obejść w tej części świata.

Pierwszą z rzeczy nie cierpiących zwłoki było usunięcie wszystkich z regionu. Pojazdy gaśnicowe załadowano na niskoplatformowe ciągniki, które powiozły je na północ do Abu Hadriyah, miejsciny z lotniskiem, która wyznaczona została na miejsce zbiórki 11. pułku. Każdy pojazd, który wyjeżdżał z garażu zatrzymywał się w miejscu oznaczonym czerwoną farbą, gdzie następowało sprawdzenie nawigacyjnych systemów *GPS*. Dwa aparaty *SIM* okazały się niesprawne. Jeden poinformował o tym sam, wysyłając do oddziału remontowego zakodowaną wiadomość, że należy go wymienić i zreperować; drugi w ogóle nie zareagował, o jego awarii powiadomiła więc służby techniczne załoga.

Kierowcami ciągników byli Pakistańczycy, których kilkaset tysięcy jako *gastarbeiterzy* pracowało w Arabii Saudyjskiej. Załogi *Abramsów* i *Bradleyów* sprawdzały, czy wszystko w ich maszynach działa bez zarzutu. Uporawszy się z tym, żołnierze stanęli w otwartych włazach, aby rozejrzeć się po okolicy. To, co zobaczyli, było niepodobne do Fort Irwing, ale równie mało ekscytujące. Na wschodzie ciągnęły się rurociągi, na zachodzie było pustkowienie, niemniej rozglądali się, bo i tak było to lepsze od tego, co widzieli za oknami samolotów. Wyjątkiem byli celownicy, których nawiedzała

choroba morska, częsta przypadłość u ludzi nawykłych do takiej pozycji. Ci, którzy patrzyli, nie czuli się jednak dużo pewniej. Miejscowi kierowcy byli zapewne płaćeni od kilometra, a nie od godziny, gnali bowiem jak szaleni.

Zaczęli także przybywać gwardziści z Północnej Karoliny. Na razie nie mieli nic do roboty oprócz rozstawienia przygotowanych dla nich namiotów, pochłaniania dużej ilości płynów, i ćwiczenia.

Agentowi Hazel Loomis podlegał oddział złożony z dziesięciu osób. „Sissy” Loomis od samego początku pracowała w FBI, przez cały czas w Waszyngtonie. Dochodziła czterdziestki, ale wciąż zachowała wygląd, który zapewnił jej sukcesy jako agentce pracującej w terenie, a tych zanotowała niemało.

— Wygląda to trochę dziwnie — powiedział Danny Selig, kładąc na jej biurku notatki.

Nie trzeba było wielu wyjaśnień. Szpiedzy porozumiewali się najczęściej za pomocą starannie dobranych, niewinnych słów, które dla nich jednak były pełne treści. Wystarczyło mieć czujny słuch. Loomis przejrzała zapisy rozmów, a potem spytała:

— Masz adresy?

— A jak myślisz?

— To chodźmy porozmawiać z panem Sloanem.

Niebagatelną zaletą *F-15E Strike Eagle* było to, że miał załogę dwuosobową, zatem czas długiego lotu pilot mógł skracać rozmową z operatorem systemów uzbrojenia. Tym bardziej dotyczyło to sześciuosobowych załóg bombowców *B-1B*; było w nim tyle miejsca, że ludzie mogli się nawet zdrzemnąć, nie wspominając o normalnej toalecie. Znaczyło to, na przykład, że, w przeciwieństwie do pilotów myśliwców, nie musieli po dotarciu do portu docelowego —

którym w tym przypadku był Al Kahrj na południe od Rijadu — natychmiast brać prysznic.

Trzy punkty na świecie były wyznaczone na ewentualne bazy wypadowe 366. Skrzydła. Były to regiony możliwych konfliktów, gdzie zadbano o sprzęt pomocniczy, paliwo i odpowiednie pomieszczenia, nad czym czuwały niewielkie oddziały porządkowe, do których w razie potrzeby dołączał personel latający skrzydła, w większej części dostarczany samolotami pasażerskimi.

Wyczerpani piloci (pośród których były także kobiety) posadzili na ziemi samoloty, podkołowali do hangarów, a tam przekazali je w ręce mechaników. Ci przede wszystkim usunęli zewnętrzne zbiorniki paliwa i na ich miejsce zamontowali gondole uzbrojenia. W tym czasie załogi brały prysznic i słuchały informacji udzielanych przez oficerów wywiadu. Wystarczyło pięć godzin na to, żeby 366. Skrzydło w pełnej sile bojowej znalazło się w Arabii Saudyjskiej, z wyjątkiem jednego *F-16C*, który z racji kłopotów z awioniką lądować musiał w bazie Królewskich Sił

Powietrznych w Beantwaters w Anglii.

— Słucham?

Starsza pani nie nosiła maski, Sissy Loomis wręczyła jej więc jedną, tak bowiem wyglądało teraz najpopularniejsze powitanie w Ameryce.

— Dzień dobry, pani Sloane. Jestem z FBI. Agentka pokazała swoją plaketkę identyfikacyjną.

— Słucham? — powtórzyła staruszka. Nie była przestraszona, raczej zdziwiona.

— Pani Sloan, prowadzimy dochodzenie w pewnej sprawie i chciałabym zadać pani parę pytań. Można wejść?

— Proszę.

Pani Sloan przepuściła gościa w drzwiach.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by Sissy Loomis zorientowała się, że coś nie gra. Po pierwsze, w salonie nie było nawet śladu perskiego dywanu, a agentka z doświadczenia wiedziała, że ludzie rzadko kiedy kupują sobie taki rarytas znieńcka. Po drugie — mieszkanie wyglądało zbyt schludnie.

— Przepraszam, czy zastałam pani męża? Odpowiedź była natychmiastowa i pełna bólu.

— Mąż umarł we wrześniu.

— Proszę mi wybaczyć moje pytanie. Nie myślałam...

Staruszka rozłożyła ręce w bezradnym geście.

— Był starszy ode mnie. Miał siedemdziesiąt osiem lat — powiedziała i wskazała stojące na stoliku do kawy zdjęcie, na którym widać było trzydziestoletniego mniej więcej mężczyznę w towarzystwie osiemnasto-, dziewiętnastoletniej dziewczyny.

— Pani Sloan, czy mówi pani coś nazwisko Alahad? — spytała Loomis, siadając na krześle.

— Nie. A powinno?

— Handluje dywanami perskimi i orientalnymi.

— O nie, nigdy nie mieliśmy niczego takiego. Widzi pani, jestem uczulona na wełnę.

Nocne przejście

— Jack?

Ryan otworzył gwałtownie oczy i zobaczył jasne słońce za oknem. Zegarek mówił, że właśnie minęła godzina ósma.

— Do diabła, dlaczego nikt mnie...?

— Przespałeś nawet budzik — poinformowała Cathy. — Andrea powiedziała, że zdaniem Arnie'ego swobodnie możesz spać mniej więcej do tej pory. Myślę, że i mnie tego było potrzeba

— dodała Chirurg. Ona sama spała dziesięć godzin, zanim się ocknęła o siódmej. — Dave kazał mi wziąć dzień wolnego.

Jack zerwał się natychmiast i zniknął w łazience. Kiedy z niej wyszedł, ubrana w szlafrok Cathy podała mu codzienną porcję raportów. Jack szybko przerzucił je, nie ruszając się z centrum pokoju. Rozum podpowiadał mu, że gdyby wydarzyło się coś ważnego, na pewno by go obudzono; zdarzało mu się przespać budzik, ale zawsze reagował na dźwięk telefonu.

Dokumenty oznajmiały, że nawet jeśli wszystko nie było dobrze, to przynajmniej nic się nie pogorszyło. Dziesięć minut później był już ubrany. Przywitał się z dziećmi, ucałował żonę i poszedł do drzwi.

— Miecznik wychodzi — powiedziała Andrea do mikrofonu, a szefa spytała: — Sala Sytuacyjna?

— Tak? Kto był taki mądry...?

— Szef personelu, ale miał całkowitą rację.

Jack spojrział na szefową swojej ochrony; Price wciskała właśnie guzik parteru.

— Siła złego na jednego — mruknął.

W przeciwieństwie do niego, zespół narodowego bezpieczeństwa był na nogach przez całą noc. Na blacie czekała już na Ryana dymiąca kawa, której zespół zdążył już spożyć całe hektolitry.

— Jak przedstawia się sytuacja?

— KOMEDIA znajduje się w tej chwili sto trzydzieści mil za okrętami Indii — oznajmił

Jackson. — Dasz wiarę, że Hindusi chronią teraz nasze tyły?

— Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek — mruknął z przekąsem Ben Goodley.

— Dalej.

— Operacja CUSTER na ukończeniu. 366. Skrzydło także jest już w Arabii Saudyjskiej i tylko jeden *F-16* musiał zatrzymać się w Anglii. 11. pułk kawalerii z magazynów przemieszcza się na miejsce zbiórki. Jak na razie — mówił J-3 — wszystko układa się jak najlepiej. Druga strona pchnęła nad granicę kilka myśliwców, ale ponieważ byli tam także nasi i Saudyjczycy, wszystko skończyło się na wymianie spojrzeń spode łba.

— Czy ktoś uważa, że mogą się wycofać? — spytał Ryan.

— Nie — odezwał się Ed Foley. — Teraz już nie.

Spotkanie nastąpiło o pięćdziesiąt mil od przylądka Rass al-Hadd, najdalej na południowy wschód wysuniętego punktu Półwyspu Arabskiego. Krążowniki „Normandy” i „Yorktown”, niszczyciel „John Paul Jones” oraz fregaty „Underwood”, „Doyle” i „Nicholas” ustawiły się w szereg kołowy, biorąc „Plattę” i „Supply” między siebie. Helikoptery przewiozły wszystkich dowódców na „Anzio”, którego *skipper*, najstarszy rangą w grupie KOMEDIA, przewodniczył

godzinnej naradzie na temat czekającej ich misji. Portem przeznaczenia był Dharhan; aby się tam dostać, musieli popłynąć na północny zachód w kierunku cieśniny Ormuz. Powinni się tam znaleźć za sześć godzin, o 22.00 czasu lokalnego. Cieśnina miała dwadzieścia mil szerokości i upstrzona była wysepkami, przy czym nawet teraz, w momencie kryzysu, była to jedna z najbardziej uczęszczanych dróg wodnych na świecie. Supertankowce, z których każdy zajmował

więcej miejsca na wodzie, niż wszystkie razem okręty grupy opatrzonej teraz symbolem TF-61.1, były jedynie najbardziej znanymi z pokazujących się tu jednostek, pośród których znajdowały się też wielkie kontenerowce pływające pod dziesięcioma banderami, a także, wyglądający jak ogromny garaż, wielopoziomowy transportowiec, który dostarczał z Australii żywe owce, a którego zapach znany był na wszystkich oceanach świata. Cała cieśnina znajdowała się pod kontrolą radarową — nie do pomyślenia była kolizja dwóch supertankowców — co oznaczało, że niepodobna, by TF-61.1. prześlizgnęła się zupełnie niepostrzeżenie. Można jednak było uciekać się do pewnych wybiegów. W najważniejszym miejscu cieśniny okręty powinny popłynąć na południe, pomiędzy wysepkami należącymi do Omanu, gdyż ich sylwetki zostaną najpewniej dodatkowo rozmyte przez inne statki. Potem na południe od Abu Musa przemkną obok gąszczu platform naftowych, które miały posłużyć jako następna osłona antyradarowa, a następnie skierują się wprost na Dharhan, przepływając obok minipaństw Kataru i Bahrajnu.

Przeciwnik, zgodnie z informacjami oficerów wywiadu, posiadał jednostki produkcji amerykańskiej,

angielskiej, chińskiej, rosyjskiej i francuskiej, wyposażone w szeroką gamę uzbrojenia. Transportowe statki grupy zadaniowej były, co oczywista, nie uzbrojone. W

zachowanym szyku pudełkowym prowadzić je miał „Anzio”, wyprzedzający pozostałe okręty o dwa tysiące metrów, o taką samą odległość od burt ochraniać je miały „Normandy” i

„Yorktown”, a miejsce za rufami zająć miał „Jones”. Oba statki uzupełnienia paliwowego,

„O’ Bannon”, oraz fregaty stworzyć miały drugą, maskującą grupę. Helikopterom przypadła w udziale funkcja patrolowa, zarazem jednak ich radary pokładowe miały sugerować cele większe niż w rzeczywistości. Dowódcy zaakceptowali plan i czekali teraz, aby śmigłowce odstawiły ich na jednostki. Po raz pierwszy w tym wieku amerykańska flota miała stanąć w obliczu przeciwnika bez wsparcia ze strony lotniskowca. Z ładowniami pełnymi paliwa, wszystkie okręty zajęły wyznaczone miejsca. Grupa zwróciła dzioby na północny zachód i popłynęła z szybkością dwudziestu sześciu węzłów. O godzinie 18.00 czasu lokalnego przeleciały nad nią cztery *F-16*, co pozwoliło jednostkom *Aegis* sprawdzić system obrony przeciwlotniczej, a także kody identyfikacyjne *IFF*, które miały być użyte w nocy.

Tarik Alahad okazał się absolutnie przeciętnym człowiekiem. Przyjechał do Ameryki przed piętnastoma laty; dokumenty powiadały, że jest bezdzietnym wdowcem. Uczciwie i zyskownie handlował dywanami na jednej z najlepszych ulic handlowych w Waszyngtonie. Był

właśnie w środku, chociaż na drzwiach wisiał napis Zamknięte; być może przeglądał książki rachunkowe.

Jeden z członków grupy Loomis zastukał do drzwi. Stanął w nich Alahad i wywiązała się krótka rozmowa z bogatą gestykulacją. Łatwo można było sobie wyobrazić, jakie padają słowa.

„Przykro mi, ale sklep jest zamknięty, zgodnie z dekretem prezydenta.” „Dobrze, dobrze, przecież i ja i pan nic teraz nie mamy do roboty”. „Tak, ale dekret...” „Przecież nikt się nie dowie...” Agent, w masce chirurgicznej na twarzy, został w końcu wpuszczony do środka, skąd wyszedł po dziesięciu minutach, by z czekającego za rogiem samochodu poinformować przez radio: — Normalny sklep z dywanami. Jeśli mamy tam wchodzić, trzeba poczekać.

Telefon Alahada był już na podsłuchu, na razie jednak milczał.

Część zespołu znajdowała się właśnie w mieszkaniu Alahada. Znaleźli tutaj zdjęcie kobiety i mniej więcej czternastoletniego chłopaka w czymś, co przypominało mundur. Chyba syn, pomyślał agent z Polaroidem. Mieszkanie, jakiego można było oczekiwać po żyjącym w Waszyngtonie człowieku interesu, albo — agencie wywiadu. Nie mieli nic, co można by przedstawić w sądzie, aby uzyskać nakaz rewizji. To, co było dla kontrwywiadu niepokojącą poszlaką, nie stanowiło żadnego dowodu. Prowadzili jednak dochodzenie w sprawie zagrożenia życia prezydenta i, jak usłyszeli od swoich przełożonych, nie musieli się trzymać żadnych reguł.

Popelnili już cztery wykroczenia, bez odpowiedniego upoważnienia nachodząc dwa mieszkania i zakładając podsłuch dwóch aparatów telefonicznych. Potem zainteresowali się blokiem po

przeciwniej stronie; okazało się, że jest do wynajęcia mieszkanie z oknami wychodzącymi na sklep Alahada. Dzięki temu mogli nieprzerwanie obserwować wejście do sklepu, podczas gdy dwóch agentów kontrolowało tylne wyjście. Teraz Sissy Loomis połączyła się przez telefon komórkowy ze sztabem. To, co miała, wystarczało, aby pogadać z innym agentem, nawet jeśli było tego za mało, aby przekonać sędziego bądź prokuratora.

Oprócz Ramana, O'Day wytropił jeszcze jeden przypadek, z którym wiązały się pewne niejasności. Chodziło o ciemnoskórego agenta, którego żona była muzułmanką i starała się nawrócić męża na swoją wiarę. Ten jednak nie ukrywał tego i rozmawiał o całej sprawie z przyjaciółmi, na dodatek donoszono, że małżeństwo -jak wiele zawieranych przez pracowników Tajnej Służby — nie należało do szczególnie udanych.

Zadzwonił telefon.

— Inspektor O'Day.

— Pat? Tutaj Sissy.

— Jak tam z Ramanem?

Współpracował z nią w trzech sprawach, wszystkie dotyczyły rosyjskich szpiegów.

Kobieta o uroczej aparycji okazywała się zajadła jak buldog, kiedy już dopadła ofiarę.

— Pamiętasz tamten pomyłkowy telefon?

— Mhm.

— Sprzedawca dywanów dzwonił do mężczyzny, który zmarł we wrześniu; żona ma alergię na wełnę — poinformowała Loomis.

W umyśle O'Daya zapaliło się czerwone światełko.

— Co jeszcze, Sissy?

Odczytała swoje notatki, a także obserwacje agentów, którzy zbadali mieszkanie Alahada.

— Pat, chyba jesteśmy na tropie. Wszystko wygląda zbyt schludnie, zupełnie jak z podręcznika dla agentów. Nic, co budziłoby podejrzenia. Po co jednak korzystać z automatu odległego o dwie ulice? Chyba że ktoś boi się podsłuchu. Dlaczego telefon do umarłego, trafiający, co za przypadek, do człowieka z Oddziału?

— Ramana nie ma w Waszyngtonie.

— I lepiej, żeby na razie nie wracał.

Nie mieli jeszcze dowodów, mieli jedynie podejrzenia. Gdyby aresztowali Alahada, a ten zażądał adwokata — jak sformułowałiby oskarżenie? Że zadzwonił do agenta Tajnej Służby?

Tego absolutnie nie musiałby się wypierać. Mógłby w ogóle nic nie mówić. Adwokat stwierdziłby, że pomyłki zawsze się zdarzają — Alahad mógłby mieć gotowe jakieś przekonujące wytłumaczenie — i zażądałby dowodów, że coś było sprzeczne z prawem. A FBI nie miałyby nic do pokazania.

— Trochę na bakier z prawem, co?

— Lepiej przeproszać niż żałować, Pat.

— Muszę porozmawiać z Danem. Kiedy obejrzyście sklep?

— W nocy.

Żołnierze Czarnego Konia byli kompletnie wyczerpani. Wprawdzie wytrenowani i nawykli do pustyni, spędzili jednak dwie trzecie dnia w suchym powietrzu samolotów, unieruchomieni w fotelach, z bronią ułożoną na półkach nad głowami — co budziło naturalnie konsternację stewardes — przekraczając w tym czasie jedenaście stref czasowych i lądując w gorącym skwarze. Zrobili jednak to, czego od nich oczekiwano.

Na początek poszło strzelanie. Saudyjczycy urządzili sobie strzelnicę ze stalowymi celami, które ukazywały się w odległości od trzystu metrów do pięciu kilometrów. Celowniczy najpierw sprawdzili wizjery, potem przestrelali armaty, używając prawdziwej amunicji i stwierdzili, że pozwala ona na większą dokładność niż ćwiczebna, pociski trafiały bowiem

„prosto w kropę”, jak to określali, mając na myśli okrągłą plamkę w centrum celownika. Kiedy pojazdy zjechały z platform, kierowcy natychmiast zaczęli sprawdzać wszystkie urządzenia, ale czołgi i *Bradleye* były w stanie bliskim doskonałości. Skontrolowano tradycyjną łączność, a także *SIM*. Załogi przeprowadzały kolejno pojazdy z jednego stanowiska na drugie, a *Bradleye* musiały nawet odpalić po jednym pocisku *TOW*. Potem wszyscy wracali, aby uzupełnić zapasy amunicji.

Wszystko odbywało się sprawnie i bez przestojów. Żołnierze Czarnego Konia szczególnie dobrze nadawali się do wykonywania rutynowych czynności żołnierskich, regularnie bowiem wprowadzali innych w arkana mechanicznej śmierci. Bez przerwy musieli przypominać sobie, że to nie jest ich pustynia; wszystkie pustkowia są do siebie podobne. Na tym nie było jednak krzewów kreozotowych ani kojotów, były natomiast wielbłądy i Beduini. W zgodzie ze swoimi prawami gościnności, Saudyjczycy dostarczyli żołnierzom mocjadła i napoju, podczas gdy oficerowie radzili nad mapami, popijając gorzkawą kawę, charakterystyczną dla tej części świata.

Marion Diggs nie był wysokim mężczyzną. Przez całe życie służył w nowoczesnej kawalerii, odczuwając satysfakcję z tego, że jednym poruszeniem palca może sterować tonami stali i dosięgnąć cudzego pojazdu z odległości pięciu kilometrów. Teraz, jako najwyższy rangą oficer, dowodził formalnie dywizją, tyle że jej jedna trzecia znajdowała się o trzysta kilometrów na południe, a druga nadpływała na pokładach statków transportowych, które wieczorem miały się zacząć przemykać między wrogimi posterunkami.

— Rozmieszczenie sił przeciwnika? — spytał generał. — Jaki jest ich stan gotowości?

Pojawiły się zdjęcia satelitarne, a najwyższy stopniem amerykański oficer wywiadu rozpoczął swoje półgodzinne omówienie, podczas którego Diggs stał, dosyć mając na razie siedzenia.

— Sztorm informuje o minimalnej komunikacji radiowej — mówił pułkownik. — Trzeba pamiętać, że ulokowali się na bardzo wysuniętych pozycjach.

— Wysłałem w pobliże jedną kompanię — poinformował oficer saudyjski. — Rano powinna zająć stanowiska.

— Co robią Bizony?

Przyszła pora na inną mapę. Na pierwszy rzut oka Kuwejtczyzy rozlokowali się nieźle; w każdym razie nie wysunęli się zbyt daleko. Jednostka osłonowa na przedpolu, z tyłu trzy ciężkie brygady, aby odeprzeć wypad. Znał Magrudera, podobnie jak dwóch pozostałych dowódców szwadronów lądowych. Jeśli ZRI zaatakuje pierwsza, to, niezależnie od stosunku liczebnego, Niebiescy dużo krwi upuszczą Czerwonym.

— Zamiary nieprzyjaciela?

— Nieznane, sir. Są tutaj kwestie, których nie rozumiemy. Waszyngton kazał spodziewać się ataku, ale nie wiadomo, na jakim kierunku.

— Co to ma znaczyć?

— Z tego, co wiem, panie generale, atak może nastąpić dzisiaj w nocy albo jutro rano —

powiedział oficer wywiadu. — Kilka godzin temu przylecieli do nas dziennikarze. Czekają w hotelu w Rijadzie.

— Tylko ich tu brakowało.

— Skoro nie wiemy, co chcą zrobić...

— Cel jest przecież oczywisty — odezwał się głównodowodzący Saudyjczyków. — Nasi szycy sąsiedzi mają pod dostatkiem pustyni. — Uderzył palcem w mapę. — Tutaj jest nasz ekonomiczny środek ciężkości.

— Generale? — odezwał się inny głos.

Diggs spojrział w lewo.

— Słucham, pułkowniku Eddington.

— Tutaj decydują względy polityczne, a nie militarne. Trzeba o tym pamiętać, panowie.

Jeśli chodzi o nadbrzeżne pola naftowe, otrzymamy wystarczająco wiele informacji z rozpoznania.

— Mają nad nami przewagę liczebną, Nick, to umożliwi im pewną elastyczność strategiczną. Na tych zdjęciach widzę bardzo dużo cystern z paliwem — zauważył generał.

— Poprzednim razem utknęli na granicy z Kuwejtem z powodu braku paliwa —

przypomniał Saudyjczyk.

Na armię saudyjską składało się pięć ciężkich brygad, wyposażonych niemal wyłącznie w sprzęt amerykański. Trzy z nich rozlokowano na południe od Kuwejtu, jedną w Ras al-Khafdzi, miejscu jedynej inwazji ówczesnych sił irackich na królestwo. Jednak Ras al-Khafdzi znajdowało się na samym wybrzeżu, a nikt nie przewidywał uderzenia od strony morza.

Eddington pamiętał słowa Napoleona, który, otrzymawszy plan defensywny przewidujący równomierne rozlokowanie oddziałów wzdłuż granic Francji, spytał, czy chodzi o walkę z przemytnikami. Takie podejście do problemu defensywy zostało uszlachetnione przez fakt, iż przez długie lata opierało się na doktrynie NATO, która zakładała walkę o utrzymanie granicy niemieckiej, nigdy jednak nie została sprawdzona w praktyce, a pustynia saudyjska była z pewnością jednym z tych miejsc, gdzie problem odległości stawał się problemem czasu.

Eddington uznał jednak za stosowne zachować te uwagi dla siebie; z jednej strony był

podwładnym Diggsa, z drugiej — Saudyjczycy, jak się wydawało, bardzo zazdrośnie strzegli swego terytorium, co nie było postawą rzadko spotykaną. Wymienili spojrzenia z Diggssem. 10.

pułk miał stanowić rezerwę Kuwejtczyków, 11. zaś miał spełnić tę samą funkcję w Arabii Saudyjskiej. Mogło to się zmienić wraz z tym jak pojazdy Gwardii Narodowej Północnej Karoliny dotrą do Dharhanu, na razie jednak trzeba było przystać na takie ustawienie.

Wielki problem stanowiło ustalenie struktury dowodzenia. Diggs miał tylko jedną gwiazdkę, a chociaż był znakomitym oficerem, o czym Eddington dobrze wiedział, to jednak tylko generałem brygady. Gdyby mogło się stawić na miejscu dowództwo centralne, z pewnością jego sugestie co do relacji zwierzchności i podrzędności byłyby bardziej przekonujące.

Najwidoczniej pułkownikowi Magruderowi udało się coś takiego, ale sytuacja Diggsa była dość niezręczna.

— Tak czy owak mamy jeszcze w zapasie parę dni — powiedział amerykański generał.

— Trzeba uruchomić dodatkowe środki rozpoznania.

— O zmierzchu wystartują *Predatory* — oznajmił pułkownik zwiadu.

Eddington wyszedł na zewnątrz, żeby zapalić cygaro, chociaż po kilku pyknięciach pomyślał, że niepotrzebnie się kłopotcze, gdyż wszyscy Saudyjczycy palili.

— No i jak, Nick? — spytał Diggs, który podążył w ślad za nim.

— Przydałoby się piwo.

— Puste kalorie — zauważył generał.

— Przewaga cztery do jednego i oni mają inicjatywę. To znaczy, taki będzie stosunek sił, jeśli moi ludzie dostaną na czas sprzęt. To może być bardzo interesujące, generale Diggs. —

Kolejny dymek. — Coś mi śmierdzi w tej ich dyslokacji. To jakaś podpucha. — Na pewno przejął to określenie od swoich studentów, pomyślał przełożony. — Aha, a jaki ma kryptonim ta operacja?

— SUMTER[6]. Jaką wybierzesz nazwę dla swojej brygady, Nick?

— Jak ci się podoba Wilcze Stado? Może to nie najlepiej się kojarzy, ale Tarheel[7] nie brzmi najlepiej. Wszystko potoczyło się bardzo szybko, panie generale.

— Przynajmniej jednego musieli się nauczyć od ostatniego razu: nie można nam dawać czasu na umocnienie pozycji.

— To prawda. Muszę zobaczyć, co tam u chłopaków.

— Weź mój helikopter. Ja tu jeszcze trochę zostanę — powiedział Diggs.

— Tak jest. — Eddington zasalutował, odwrócił się i odszedł, ale po kilku krokach przystanął. — Panie generale?

— Słucham.

— Może nie jesteśmy tak dobrze wyszkoleni jak Hamm i jego ludzie, ale damy sobie radę, zobaczy pan.

Raz jeszcze zasalutował i ruszył w stronę *Black Hawka*.

Nic nie porusza się równie cicho jak okręt. Jadący z taką szybkością — nieco poniżej pięćdziesięciu kilometrów na godzinę — samochód robiłby hałas, który rozchodziłby się na setki metrów, podczas gdy kadłuby okrętów ocierały się o spokojną teraz wodę ze świstem słyszalnym tylko z niewielkiej odległości. Na pokładzie wyczuwało się wprawdzie wibrowanie silników, ale nawet w nocy ten niski dźwięk nie rozchodził się w powietrzu dalej niż na sto metrów. Za rufą każdego okrętu układał się spieniony ślad, zielono fosforyzująca poświata, stanowiąca żywiołowy protest mikroorganizmów przeciwko zakłócaniu im spokoju. Ludziom na pokładach wydawał się on zdradziecko jasny. Na każdym mostku wygaszono światła, aby w niczym nie zakłócać nocnej ciemności. Podobnie wyłączone były światła pozycyjne, co stanowiło jaskrawe pogwałcenie zasad transportu wodnego. Obserwatorzy korzystali z konwencjonalnych lornetek, wspomaganych wzmacniaczami światła. Grupa zadaniowa okrążała właśnie narożnik półwyspu, znajdując się w najwęższej części cieśniny.

W każdym centrum dowodzenia ludzie pochylali się nad mapami, rozmawiając szeptem, jak gdyby ktoś niepowołany mógł ich usłyszeć. Ci, którzy palili, marzyli, aby mogli oddać się na chwilę swemu nałogowi, ci, którzy rzucili palenie, zastanawiali się, dlaczego to zrobili.

Niewyraźnie majaczyły im w pamięci jakieś wypowiedzi na temat zagrożenia zdrowia, podczas gdy oni rozmyślali o lądowych wyrzutniach pocisków przeciwokrętowych, czających się w odległości zaledwie piętnastu kilometrów od ich statku, każdy z toną materiału wybuchowego za głowicą naprowadzającą.

— Z lewej, obecny kurs dwa-osiem-pięć — meldował oficer z mostka „Anzio”.

Na głównym planszecie zaznaczono ponad czterdzieści „celów”, jak określano wykryte przez radar obiekty, każdy opatrzony strzałką wskazującą przypuszczalny kurs i prędkość. Liczba obiektów, pojawiających się na planszecie i znikających po jakimś czasie, była mniej więcej taka sama. Niektóre były ogromne; radarowe echo supertankowców przypominało średniej wielkości wyspę.

— Jak dotąd wszystko idzie dobrze — powiedział oficer uzbrojenia do komandora Kempera. — Może przysnęli.

— Może rzeczywiście istnieje Królowna Śnieżka.

Na pokładzie pracowały tylko radary nawigacyjne. ZRI musiała mieć urządzenia ESM, jeśli jednak patrolowali cieśninę Ormuz, niczego na razie nie spostrzegli. Kilka tajemniczych obiektów. Rybacy? Przemysłowcy? Żagłówki? Trudno powiedzieć. Zapewne nieprzyjaciel niezbyt chętnie wysyłał swe jednostki poza linię graniczną cieśniny, kraje arabskie były bowiem równie drażliwe na punkcie nienaruszalności wód terytorialnych jak cała reszta świata. Na okrętach obowiązywało pogotowie bojowe. Wszystkie systemy uzbrojenia były gotowe do użycia, ale zabezpieczone. Gdyby jakieś jednostki ZRI zbliżyły się do nich, najpierw usiłowałyby się im przyjrzeć. Gdyby ktoś ich oświetlił radarem namierzającym, wtedy najbliższy statek podwyższyłby stan swojej gotowości bojowej, wypuszczając kilka wiązek radaru *SPY*, aby sprawdzić, czy coś w ich kierunku nie nadlatuje. Byłoby to jednak bardzo ryzykowne posunięcie.

Wszystkie pociski manewrujące wyposażone były w głowice samonaprowadzające, a przy zatłoczeniu cieśniny pocisk mógł trafić w cel zupełnie nie zamierzony. Druga strona nie miała więc aż tak łatwego zadania. Mogłoby się nawet skończyć na tym, że ukatrupiliby kilka tysięcy owiec. Kemper uśmiechnął się pod nosem. Otrzymali trudne zadanie, ale i przeciwnik nie miał łatwego życia.

— Zmiana kursu, cel Cztery Cztery z lewej — oznajmił obserwator.

Był to obiekt nawodny, który znajdował się w odległości siedmiu mil, już na wodach terytorialnych ZRI i przesuwał się w przeciwnym do nich kierunku. Kemper nachylił się.

Komputer pokazywał trasę obiektu w ciągu ostatnich dwudziestu minut. Początkowo poruszał się z

minimalną szybkością, pięć węzłów, teraz zwiększył ją do dziesięciu i... wykręcił w kierunku grupy pozoracyjnej. Informacja ta natychmiast została przekazana na USS „O'Bannon”, którego dowódca odpowiadał za grupę pozoracyjną. Odległość pomiędzy obiema jednostkami wynosiła 16.000 metrów i zmniejszała się.

Sytuacja robiła się coraz bardziej interesująca. Helikopter z „Normandy” nadleciał nad kilwaterem obiektu od tyłu, trzymając się kilka metrów nad powierzchnią. Pilot zobaczył

zielono-białą smugę, kiedy nieznany okręt zwiększył moc silnika, kotłując wodę i te mikroorganizmy, którym udało się wyżyć w tak zanieczyszczonym akwenu, jakim była Zatoka.

Taki nagły przyrost mocy oznaczał...

— To kuter raketowy — oznajmił pilot. — Nagle dostał kopa. Obiekt zwiększył prędkość.

Kemper skrzywił się, gdyż stanął przed wyborem. Mógł nie robić nic, gdyż nic się może nie zdarzyć. Albo nie robić nic i pozwolić, by kuter pierwszy wystrzelił pocisk manewrujący w kierunku „O'Bannona” i jego grupy. Mógł też zrobić coś, ryzykując, że zaalarmuje drugą stronę.

Gdyby jednak przeciwnik wystrzelił pierwszy, znaczyłoby to, że coś wie. Może tak. Może nie.

Zbyt wiele danych, żeby podjąć decyzję w ciągu pięciu sekund. Odczekał pięć następnych.

— Obiekt ma pociski raketowe, widzę dwie wyrzutnie. Utrzymuje kurs.

— Idzie wprost na „O'Bannona”, sir — odezwał się Weps.

— Słyszę rozmowę w eterze, zamiar zero-jeden-pięć.

— Strzelać! — powiedział bez namysłu Kemper.

— Zniszczyć obiekt! — brzmiał radiowy rozkaz Wepsa dla helikoptera.

— Zrozumiałem, wykonuję!

— Centrum, tu obserwacja, błysk odpalenia rakiety, lewa rufa. Nie, dwa — rozległo się z głośnika.

— Włączyć SPY...

— Następne dwie rakiety, sir.

Kemper zaklął pod nosem. Helikopter był uzbrojony tylko w dwa pociski *Penguin*, a nieprzyjaciel wystrzelił już dwa swoje. Nic więcej nie można było zrobić. Grupa maskująca spełniła swoje zadanie: ściągnęła na siebie ostrzał.

— Dwa wampiry[8] w kierunku grupy, cel zniszczony — oznajmił pilot śmigłowca, a w chwilę później o zniszczeniu kutra raketowego poinformował obserwator z masztu. —

Powtarzam, dwa wampiry w kierunku „O’ Bannona”.

— *Silkworms* to duże cele — mruknął Weps.

Nie widzieli zbyt dokładnie ministarcia. Monitor radaru nawigacyjnego pokazał, że

„O’ Bannon” wykręca w lewo, aby uruchomić raketowy system obrony przeciwlotniczej, tym samym prezentując się jednak nadlatującym pociskom jako większy cel. Niszczyciel nie odpalił

pozoratorów, w obawie, że te mogą odciągnąć rakiety w kierunku chronionych jednostek transportowych. Decyzja odruchowa czy przemyślana, zastanowił się Kemper. Tak czy owak, wymagała odwagi. Na ekranie rozjarzył się radar niszczyciela, naprowadzający rakiety przeciwlotnicze, co znaczyło, że „O’ Bannon” odpalił swoje pociski. Przyłączyła się co najmniej jedna fregata.

— Wiele rozbłysków za rufą — wołał obserwator pokładowy. — Ale teraz pieprznięto! I znowu!

Pięć sekund ciszy.

— „O’ Bannon” do grupy. Wszystko w porządku.

Na razie, pomyślał Kemper.

W powietrze wzbiły się trzy *Predatory*, po jednym dla każdego korpusu stacjonującego na południowy zachód od Bagdadu; leciały z podwójną szybkością czołgu. Żaden z nich nie dotarł tak daleko, jak planowano. O pięćdziesiąt kilometrów od zamierzonego celu, ich skierowane w dół kamery termiczne ujawniły lśniące kształty pojazdów pancernych. Armia Boga ruszyła. Dane ze Sztormu zostały natychmiast przesłane do King Chalid, a stamtąd do Waszyngtonu.

— Przydałoby się jeszcze parę dni — zauważył Ben Goodley.

— Jak twoi ludzie? — zwrócił się Ryan do J-3.

— Dziesiąty w pełni gotowy. Jedenastemu potrzebny co najmniej dzień. Trzecia brygada nie ma jeszcze nawet sprzętu — odpowiedział Jackson.

— Ile czasu do kontaktu bojowego? — brzmiało następne pytanie.

— Dwanaście godzin, może osiemnaście. Zależy od tego, gdzie dokładnie chcą uderzyć.

Jack skinął głową.

— Arnie, czy Callie jest poinformowana o wszystkim?

— Nie.

— Załatwcie to. Muszę złożyć oświadczenie.

Alahadowi najwyraźniej nudziło się w sklepie bez klientów, pomyślała Loonis. Kupiec wyszedł wcześniej, wsiadł do samochodu i odjechał. Śledzenie go na wyludnionych ulicach nie sprawi większych kłopotów. Kilka minut później obserwatorzy zobaczyli, jak zajeżdża pod swój dom i wchodzi do środka. Loomis i Selig opuścili wynajęte mieszkanie, przemierzili ulicę i obeszlili budynek. W drzwiach zamontowano dwa zamki, których pokonanie zajęło młodemu agentowi, ku jego zdziwieniu, całe dziesięć minut. Następnie przyszła pora na system alarmowy, który okazał się znacznie mniej skomplikowany: stary, z prostym kodem. W środku znaleźli jeszcze parę zdjęć, jedno najprawdopodobniej syna. W następnej kolejności sprawdzili kartotekę z telefonami; znaleźli kartkę J. Sloana z numerem 536-4040, ale bez adresu.

— No i co myślisz? — spytała Loomis.

— To nowa kartka, bez zawiniętych rogów jak inne. Wydaje mi się, że nad pierwszą czwórką jest kropka. Żeby pamiętać, który numer zmienić, Sis.

— To szpieg, Danny.

— Mnie też się tak zdaje. Ale w takim razie szpiegiem jest też Aref Raman.

Tylko jak tego dowieść?

Być może zostali wykryci, ale może nie; nie wiadomo. Może kuter raketowy otrzymał

przez radio zgodę na otwarcie ognia... Może na własną rękę taką decyzję podjął zapalczywy dowódca... To drugie wydawało się mało prawdopodobne. W dyktatorskich krajach niewiele pozostawiało się swobody dowódcom wojskowym. Dyktator, który zdecydowałby się na coś takiego, prędzej czy później znalazłby się pod ścianą. Wynik na razie brzmiał: Marynarka USA

— 1, ZRI — 0. Obie grupy w dalszym ciągu podążały na południowy zachód z szybkością dwudziestu sześciu węzłów, zatoka robiła się coraz szersza. Dookoła nich pełno było statków handlowych, które żywo wymieniały radiowe zapytania, co też się stało na północ od Abu Masa.

Z portów wyprysnęły omańskie ścigacze, które usiłowały teraz dowiedzieć się od kogoś — być może od ZRI — co się właściwie dzieje.

Zamieszanie było dla nich korzystne, uznał Kemper. Na dodatek było ciemno, co nie ułatwiało identyfikacji.

— Ile do świtu? — spytał.

— Pięć godzin, sir — odpowiedział oficer wachtowy.

— W najlepszym przypadku da nam to sto pięćdziesiąt mil. Płyniemy tym samym kursem. Niech sobie łamią głowy. — I tak dotarcie bez wykrycia do wybrzeży Bahrajnu, zakrawało na cud.

Położyli wszystko na biurku inspektora O'Daya. Owo „wszystko” sprowadzało się do trzech stron notatek i kilku zdjęć polaroidowych. Najpoważniej wyglądał wydruk wykazu połączeń telefonicznych. Tylko on miał jakikolwiek charakter dowodu.

— Widywałem już grubszy materiał dowodowy — zauważył Pat.

— Kazałeś się śpieszyć — przypomniała Loomis. — To właśnie ich szukamy. Nie potrafię w tej chwili dowieść tego przed sądem, ale z pewnością można by rozpocząć poważne śledztwo, gdybyśmy mieli czas, ale, jak się zdaje, wcale go nie mamy.

— Słusznie. — Wstał i powiedział: — Chodź, idziemy porozmawiać z dyrektorem.

Murray miał zajęć po uszy. FBI wprawdzie nie kierowało dochodzeniem w sprawie wszystkich przypadków ebola, ale agenci i tak pracowali praktycznie na okrągło. Dalej toczyło się śledztwo w sprawie napadu na przedszkole w Giant Steps — który miał charakter zarówno kryminalny, jak i przestępstwa wymierzonego w państwo — a potem pojawiła się kwestia śpiocha w Białym Domu, w ciągu ostatnich dziesięciu dni trzecia z gatunku „wszystko odkładamy na bok”. Inspektor, bez opowiadania się, minął kolejne sekretarki i bez pukania wszedł do gabinetu dyrektora.

— Dobrze się składa, że właśnie nie zmieniałem gaci — cierpko zauważył Murray.

— Nie przypuszczałem, żebyś miał czas na coś takiego. Ja nie mam — odparł Pat. —

Dan, mamy chyba śpiocha w Oddziale.

— Tak?

— Loomis i Selig zaraz cię we wszystko wprowadzą.

— Mogę pokazać to Andrei Price, bez narażania życia?

— Tak sędzę.

W świetle dnia

Nie było jeszcze powodu do świętowania, ale drugi dzień z rzędu liczba zachorowań malała. Co więcej, u ponad jednej trzeciej pacjentów występowały przeciwciała, ale nie było symptomów ebola. CCZ i MICZUSA dwa razy sprawdziły dane zanim przekazały informację do Białego Domu, ostrzegając jednocześnie, że za wcześnie na podawanie jej do wiadomości publicznej. Wydawało się, że zakaz podróży i jego efekt w postaci ograniczenia kontaktów przynosiły pożądane skutki, ale prezydent nie mógł jeszcze o tym powiedzieć Amerykanom.

Posuwało się naprzód także śledztwo w sprawie przedszkola Giant Steps, aczkolwiek teraz najwięcej pracy miały laboratoria FBI. Elektroniczne mikroskopy były w tym przypadku używane nie do identyfikacji wirusów ebola, lecz do badania innych drobnych obiektów. Zadanie komplikował fakt, że atak na przedszkole nastąpił na wiosnę, kiedy w powietrzu roi się od najróżniejszych pyłków.

Ustalono z całą pewnością, że Mordechaj Goldblum był osobą, która pojawiła się tylko w jednym celu, po realizacji którego rozplynęła się bez śladu. Zostawił jednak fotografie, które, jak Ryan się dowiedział, niosły ze sobą wiele informacji. Zastanawiał się, czy koniec dnia przyniesie jakieś dobre wiadomości. Miało stać się inaczej.

— Cześć, Dan.

Znajdował się na powrót w gabinecie. Sala Sytuacyjna przypominała mu tylko, że następny poważny rozkaz, który wyda, rzuci ludzi do walki.

— Dzień dobry, panie prezydencie — powiedział dyrektor FBI, za którym weszli inspektor O’Day i Andrea Price.

— Co macie takie ponure miny? Wtedy mu powiedzieli.

Potrzeba było naprawdę dzielnego człowieka, aby budzić Mahmuda Hadzi Darjaeiego przed świtem, a ponieważ cały jego dwór panicznie bał się jego gniewu, upłynęły dwie godziny, zanim ktoś zebrał się na odwagę. Co w niczym nie poprawiło sytuacji. Była czwarta nad ranem czasu teherańskiego, kiedy zadzwonił telefon obok łóżka Darjaeiego. Dziesięć minut później ajatollah siedział w prywatnym saloniku, a czarne, zapadnięte oczy spoglądały gniewnie na winowajców.

— Otrzymaliśmy raport, że okręty amerykańskie wpłynęły do Zatoki — poinformował szef wywiadu.

— Kiedy i gdzie? — spytał spokojnie ajatollah.

— Wkrótce po północy dostrzeżono je za cieśniną. Jeden z naszych kutrów patrolowych wykrył amerykański niszczyciel. Dowódca straży przybrzeżnej rozkazał zaatakować przeciwnika rakietami, ale na tym urwał się wszelki kontakt z kutrem.

— To wszystko?

Tylko dlatego mnie budzisz?!

— Cały czas przechwytyjemy ożywioną korespondencję radiową między statkami, które informują się nawzajem o kilku eksplozjach. Mamy podstawy, żeby przypuszczać, że nasz kuter został zaatakowany i zniszczony z powietrza, ale skąd wziął się tam samolot?

— Potrzebujemy pozwolenia waszej świętobliwości na to, aby o świcie rozpocząć lotniczy zwiad na Zatokę. Nigdy przedtem nie podejmowaliśmy takich operacji bez waszego pozwolenia, panie — dorzucił szef operacyjny sił powietrznych ZRI.

— Pozwalam — powiedział Darjaei. Teraz czuł się już rozbudzony. — Coś więcej?

— Armia Boga zbliża się do strefy przygranicznej. Wszystko przebiega zgodnie z planem.

Ta wiadomość powinna go ucieszyć, pomyślał szef wywiadu.

Mahmud Hadzi kiwnął krótko głową. Miał nadzieję, że porządnie się wyśpi, spodziewał

się bowiem, że mało będzie miał snu przez kilka następnych dni, jednak raz zbudzony, nie mógł

potem zasnąć. Spojrzał na stojący na biurku budzik — nigdy nie nosił zegarka na rękę — i uznał, że trzeba rozpocząć dzień.

— Czy ich zaskoczymy?

— W jakimś stopniu na pewno — odpowiedział szef wywiadu. — Oddziały otrzymały surowy zakaz porozumiewania się przez radio. Amerykańskie stacje nasłuchu są bardzo czujne, ale jeśli w eterze panuje cisza, niczego nie wykryją. Kiedy nasi żołnierze dotrą do Al-Busaja, pewnie zostaną wykryci, ale zapadnie już wtedy noc, a my będziemy gotowi do ataku.

Darjaei pokręcił głową.

— Zaraz, co meldowała załoga kutra?

— Obecność amerykańskiego niszczyciela czy fregaty, być może w towarzystwie innych jednostek, ale to wszystko. Za dwie godziny nasze samoloty znajdą się w powietrzu.

— Czy są tam ich transportowce?

— Nie wiemy — przyznał szef wywiadu, który miał już nadzieję, że ten temat został wyczerpany.

— Dowiedzieć się natychmiast!

Obaj mężczyźni spieszenie wycofali się, żeby wypełnić rozkaz. Darjaei zadzwonił na służbę, żeby podała herbatę, zarazem smakując inną myśl. Wszystko samo się rozwiąże, kiedy Raman wykona swoje zadanie. Raport informował, że jest na miejscu i otrzymał rozkaz. Na co jednak czeka, dlaczego zwleka? Ajatollah poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Spojrzał znowu na budzik. Za wcześniej na telefon.

Komandor Kemper pozwolił swej załodze na kilka chwil odprężenia, co możliwe było dzięki stopniowi zautomatyzowania okrętów typu *Aegis*. Dwie godziny po starciu z kutrem raketowym, marynarze mogli zmienić się na stanowiskach bojowych, rozluźnić, zjeść coś, w licznych przypadkach — poćwiczyć w siłowni. Trwało to godzinę, podczas której każdy otrzymał kwadrans dla siebie. Teraz znowu wszyscy zajęli stanowiska bojowe. Do świtu brakowało dwóch godzin. Mieli trochę mniej niż sto mil do Kataru, kierując się na północny zachód, po tym jak wcześniej wykorzystywali każdą wysepkę i platformę naftową, aby zmylić stacje radarowe przeciwnika. Trudniejszy odcinek rejsu KOMEDIA miała już za sobą. Znacznie tutaj szersza Zatoka oferowała więcej miejsca do manewrowania i do pełnego wykorzystania ultranowoczesnych systemów wykrywania. Radarowy obraz w centrum informacyjnym na

„Anzio” pokazywał klucz czterech *F-16* o dwadzieścia mil na północ; wyraźnie odznaczały się identyfikatory *IFF* — trzeba będzie na to bardzo uważać. Wolałby, żeby w powietrzu znajdował się jakiś *AWACS*, ale przed godziną dowiedział się, że wszystkie były obecnie zajęte na północy.

Dzisiaj z pewnością dojdzie do walki. Nie takiej, do jakiej *Aegis* był przeznaczony, ale Marynarka to Marynarka.

Grupie pozorującej kazał się odsunąć na południe. Jak na razie wykonała swoje zadanie.

Kiedy wstanie słońce, nie pomogą żadne działania pozoracyjne — dokładnie będzie wiadomo, czym jest grupa operacyjna KOMEDIA i dokąd zmierza.

— Czy jesteście pewni? — spytał Ryan. — Chryste, przecież setki razy byłem z nim sam na sam!

— Wiemy o tym — powiedziała Price. — Wiemy. Tak, panie prezydencie, to trudne do uwierzenia. Znam go od tyłu...

— Przecież to fanatyk koszykówki. Powiedział mi, kto wygra finał NCAA i miał rację. A jakie było przebicie u bukmacherów!

— Tak, jest trochę szczegółów, które nie tak łatwo wyjaśnić -zgodziła się Andrea.

— Chcecie go aresztować?

— Nie dostaniemy nakazu — włączył się Murray. — To jedna z tych sytuacji, kiedy jesteśmy czegoś pewni, ale nie możemy tego udowodnić. Pat ma jednak pewien pomysł.

— No to posłuchajmy — powiedział Ryan. Powrócił ból głowy. A właściwie inaczej: skończył się krótki okres bez bólu głowy. Dostatecznie przygnębiająca była sama wzmianka, że wróg wślizgnął się do Tajnej Służby, teraz jednak twierdzili, że mają dowód — nie, nie dowód, sprostował ze złością, tylko pieprzone podejrzenie — iż jeden z ludzi na tyle zaufanych, że mógł

przebywać w pobliżu jego i jego rodziny, jest potencjalnym zamachowcem. Czy to się nigdy nie skończy? Trzeba jednak wysłuchać tego, co mają do powiedzenia.

— To dosyć proste — podsumował O'Day.

— Nie — natychmiast sprzeciwiła się Price. — A co, jeśli...?

— Wszystko będziemy kontrolować. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa — zapewnił inspektor.

— Zaraz — przerwał Miecznik. — Twierdzicie, że możecie faceta zmusić, żeby się odkrył.

— Tak, panie prezydencie.

— A ja muszę coś zrobić, a nie tylko siedzieć jak jakiś cholerny król.

— Tak jest — powtórzył Pat.

— Dobra, gdzie mam się podpisać? — rzucił retorycznie Jack. — I do dzieła.

— Panie prezydencie...

— Andrea, będziesz tu cały czas, tak?

— Tak, ale...

— Żadnych ale. Jedna sprawa: nie wolno mu zbliżyć się do mojej rodziny. Jeśli tylko zerknie w kierunku windy, zgarniesz go.

— Oczywiście, panie prezydencie. Tylko Zachodnie Skrzydło.

To uzgodniwszy, zeszli do Sali Sytuacyjnej, gdzie Arnie i reszta zespołu do spraw bezpieczeństwa spoglądała na mapę wyświetlaną na wielkim ekranie telewizyjnym.

— No dobrze, poświećmy trochę po niebie — polecił Kemper personelowi centrum dowodzenia.

„Anzio” i cztery pozostałe jednostki przestawiły radary *SPY* ze stanu gotowości na pełną emisję. Nie było sensu dalej się czaić. Znajdowali się pod korytarzem powietrznym oznakowanym jako W-15 i każdy pilot, zerknąwszy w dół, mógł zobaczyć amerykańskie okręty w szyku pudełkowym. Kiedy zaś zobaczy, z pewnością nie omieszka kogoś o tym poinformować. Czynniki zaskoczenia także miały swoje granice.

W jednej chwili na trzech olbrzymich ekranach pojawiły się symbole licznych samolotów. Oprócz lotniska O'Hare musiał to być najbardziej zatłoczony obszar powietrzny na świecie. System identyfikacji *IFF* pokazał klucz czterech *F-16* na północny zachód od *KOMEDII*. Obsługa wyrzutni dla wprawy wytyczała tory ostrzału, przede wszystkim jednak *Aegis* był jednym z tych wszechpotężnych urządzeń, które ze stanu bezczynności w jednej chwili przejść mogą do stanu ogromnej agresji. Znaleźli się w dobrym miejscu, żeby to przeciwiczyć.

Pierwszymi irańskimi myśliwcami, które znalazły się tego dnia na niebie, były dwa wiekowe *Tomcaty* operujące z bazy w Sziraz. W latach siedemdziesiątych szach zakupił około osiemdziesięciu tych maszyn u Grummana. Z tego dziesięć nadal mogło latać, żywiąc się częściami „skanibalizowanych” pobratymców albo uzyskawszy protezy na bardzo prężnym czarnym rynku, gdzie handlowało się częściami zamiennymi do samolotów bojowych. Maszyny wzięły kurs południowo-wschodni, doleciały nad lądem do Bandar Abbas, gdzie zwiększyły prędkość i pomknęły do Abu Musa, mijając ją od północy; pilot i obserwator-operator uzbrojenia obserwowali przez lornetki powierzchnię morza. Z wysokości sześciu kilometrów słońce widać było wyraźnie, ale na poziomie wody panował jeszcze półmrok brzasku.

Marynarze i lotnicy często zapominają o tym, jak trudno z góry zobaczyć statek, który najczęściej jest tak mały, że niknie w ogromie morza. Tym, co rejestrują zdjęcia satelitarne i ludzkie oko, jest z reguły ślad podobny do ogromnego grotu — fale wzburzone przez dziób i rufę

— oraz drzewce strzały — kilwater, czyli woda spieniona przez śruby. Kształt ten przyciąga oko w sposób tak naturalny jak nagie ciało kobiece, a u szczytu wielkiego V odkrywa się statek.

Albo, jak w tym przypadku, kilka okrętów. Z odległości czterdziestu mil najpierw zobaczyli grupę pozorującą, a minutę później główny korpus *KOMEDII*.

Głównym problemem była identyfikacja obiektów latających. Keper za nic nie chciał

zestrzelić samolotu cywilnego, co kiedyś się przydarzyło USS „Vincennes”. Cztery *F-16*

wykonywały właśnie skręt w ich kierunku, kiedy przechwycili komunikat radiowy w języku farski.

— Bandycki[9]! — zawołał dowódca klucza. — Wyglądają jak *F-14*. — Dobrze wiedział, że żadna ze znajdujących się w pobliżu jednostek Marynarki nie ma *F-14*.

— „Anzio” do Wojownika! Zestrzelić go!

— Zrozumiałem, wykonuję.

— Prowadzący do kluczy. Strzelamy.

Tamci zbyt byli zajęci morzem, aby rozglądać się dookoła. Ładny mi lot zwiadowczy, pomyślał pilot pierwszego Wojownika. Nie ma rady. Selektorem uzbrojenia wybrał *AIM-120* i odpalił ułamek sekundy przed tym, gdy zrobiły to trzy pozostałe maszyny klucza.

— Rakiety w powietrzu.

Tak rozpoczęła się bitwa pod Katarem.

Tomcaty ZRI zgubiło to, że były za bardzo zaaferowane. Radarowe ostrzegacze meldowały w tej chwili o wielu źródłach promieniowania, a pociski powietrze-powietrze *Viper* były tylko jednymi z nich. Pierwszy z pary usiłował policzyć jednostki w dole, rozmawiając jednocześnie przez radio, kiedy para pocisków *AM-RAAM* eksplodowała dwadzieścia metrów od jego maszyny. Pilot drugiego myśliwca zdążył jedynie podnieść wzrok, aby zobaczyć nadlatującą śmierć.

— „Anzio”, tu Wojownik, spuściliśmy dwa, żadnych spadochronów, powtarzam, dwa w wodzie.

— Zrozumiałem.

— jaki ładny początek dnia — skomentował całe wydarzenie major Sił Powietrznych USA, który ostatnich szesnaście miesięcy spędził ćwicząc z Izraelczykami nad pustynią Negew.

— Wracamy na pozycję, koniec.

— Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł — powiedział van Damm. Obraz radarowy z

„Johna Paula Jonesa” przekazywany był przez satelitę do Waszyngtonu, tak że informacja o zdarzeniach docierała tam w pół sekundy później. — Naszych jednostek nie można już teraz zawrócić — przypomniał Jackson szefowi personelu. — Byłoby to bezsensowne ryzyko.

— Ale jeśli powiedzą, że pierwsi zaczęliśmy strzelać...

— Nieprawda. Pięć godzin temu pierwszy otworzył ogień ich kuter raketowy —

przypomniał J-3.

— Nie przyznają się do tego.

— Daj spokój, Arnie — sprzeciwił się Jack. — Pamiętaj, że wydałem rozkaz. Zasady wejścia do walki pozostają takie jakie były. Co dalej, Robby?

— Zależy od tego, czy kutrowi ZRI udało się przekazać meldunek. Pierwsze starcie poszło łatwo, ale zwykle tak jest — powiedział Jackson, mając w pamięci swoje własne walki, które nie zawsze

przypominały rycerskie pojedynki staczane w Top Gun. Tam jednak, gdzie stawką jest życie, przestają obowiązywać reguły fair-play.

Najwęższe miejsce Zatoki czekające teraz na KOMEDIĘ znajdowało się sto mil dalej, pomiędzy Katarom a irańskim miastem Basatin, obok którego leżała baza lotnicza. Zdjęcia satelitarne pokazywały myśliwce stojące na pasach.

— Cześć, Jeff.

— Co tam się dzieje, Andrea? — spytał Jeff i zaraz dodał: — Dobrze, że ktoś sobie w końcu o mnie przypomniał.

— Mamy tu kupę roboty w związku z epidemią. Jesteś potrzebny. Masz samochód?

— Wziąłem wóz od miejscowych chłopaków.

— Dobrze — powiedziała Andrea. — Wracaj jak najprędzej, tam chyba na nic się w tej chwili nie przydasz. Legitymacja pomoże ci przejechać autostradą I-70. Pośpiesz się, czekamy na ciebie.

— Za cztery godziny.

— Masz zapasowe ubranie?

— Tak, a o co chodzi?

— Będziesz go potrzebował; wszystkich obowiązują procedury odkażania, które trzeba przejść przed wejściem do Zachodniego Skrzydła. Zresztą sam zobaczysz — wyjaśniła szefowa Oddziału.

— Jasne.

Alahad nie robił niczego specjalnego. Dzięki podsłuchowi założonemu w domu wiedzieli, że oglądał telewizję, z jednego kanału telewizji kablowej przeskakując na drugi, w poszukiwaniu interesujących filmów, a przed zaśnięciem wysłuchał „CNN Headline News”. Nic więcej. Teraz wszystkie światła były zgaszone i nawet kamery termiczne nie mogły przeniknąć przez zakrywające okno zasłony. Agenci prowadzący obserwację popijali kawę z plastikowych kubków, patrzyli i, jak niemal wszyscy w Ameryce, rozmawiali o epidemii. Telewizja, radio i prasa informowały o wszystkich możliwych szczegółach, albowiem nie miały ciekawszych informacji. Żadnych wydarzeń sportowych, żadnych imprez. Wszystko właściwie kręciło się wokół wirusa ebola. Prezentowano programy naukowe, które wyjaśniały czym jest wirus i w jaki sposób się rozprzestrzenia, czy raczej, jak może się rozprzestrzeniać, albowiem w tej sprawie opinie specjalistów nadal się różniły. Agenci uraczeni zostali w słuchawkach ostatnimi komentarzami, którym przysłuchiwał się także Alahad. Jeden z bojowników ekologii oznajmił, że jest to zemsta przyrody: ludzie wdierają się w głębiny dżungli, ścinają drzewa, mordują zwierzęta, burzą równowagę środowiska, teraz więc ekosystem bierze rewanż. Czy coś w tym guście.

Przeprowadzano też prawnicze analizy kwestii postawionej przed sądem przez Edwarda Kealty’ego, ale mało kto myślał z entuzjazmem o zniesieniu zakazu podróżowania. Reportaże pokazywały

samoloty w hangarach, autobusy w zajezdniach, puste drogi. Reportaże prezentowały ludzi w hotelach i to, jak sobie radzą. Reportaże informowały, w jaki sposób regenerować maski chirurgiczne, i zapewniały o ich skuteczności, co stało się niemal powszechnym przekonaniem. Najczęściej jednak pokazywano szpitale i worki ze zwłokami.

Informacjom o ich paleniu nie towarzyszył obraz płomieni; surowego faktu nie trzeba było ubarwiać. Dziennikarze i konsultanci medyczni zaczęli się zastanawiać nad brakiem danych o liczbie zachorowań — co niektórzy uznali za zatrważające — wskazując zarazem, że oddziałów wydzielonych w szpitalach dla ebola nie trzeba powiększać, co niektórzy uważali za obiecujące.

Czarnowidzowie nieprzerwanie snuli swoje posępne prognozy, ich oponenti spokojnie wskazywali na to, że dane nie potwierdzają katastroficznych przewidywań, zawsze jednak dodawali, iż jeszcze za wcześnie na jednoznaczne opinie.

Coraz częściej pojawiała się opinia, że ludziom udaje się stawić czoło chorobie, że niektóre stany w ogóle nie zostały przez nią dotknięte, w pozostałych zaś są całe czyste obszary.

Niektórzy wysuwali podejrzenia, iż epidemia nie wybuchła w sposób naturalny, w tej jednak sprawie nie zarysowały się żadne wyraźne stanowiska. Ludzie zbyt mało kontaktowali się, aby dzięki wymianie informacji i argumentów wypracowywać wspólny osąd, niemniej wraz z tym, jak coraz pewniejsze było przekonanie, że nie nastąpił koniec świata, stawiano także pytanie: jak do tego doszło?

Sekretarz stanu Adler znajdował się znowu w samolocie, który niósł go na zachód, do Chińskiej Republiki Ludowej. W powietrzu i w pekińskiej ambasadzie miał stały dostęp do najnowszych informacji. Rodziły one gniew, ale dawały także pewną satysfakcję. Nie kto inny, tylko Żeng popychał swój rząd w tym kierunku. To było już niemal pewne teraz, gdy ujawniona została współpraca Indii, tym razem narzędzia w rękach ZRI oraz Chin. Problem polegał na tym, czy pani premier poinformuje swoich partnerów, że wycofuje się z umowy. Raczej nie, przypuszczał Adler. Znowu uda jej się wyjść cało z opresji.

Niezmiennie jednak powracał gniew. Jego kraj został zdradziecko zaatakowany i to przez człowieka, z którym widział się raptem kilka dni wcześniej. Dyplomacja zawiodła; nie udało mu się zażegnać konfliktu, a to przecież należało do jego obowiązków, czyż nie? Co gorsza i on, i jego kraj zostali oszukani. Chiny zmyliły władze w Waszyngtonie i sprawiły, że flota amerykańska znalazła się w miejscu niekorzystnym dla losów USA. ChRL rozbudowywała kryzys, który sama zapoczątkowała, aby osłabić wpływy Ameryki, i w efekcie uzyskać korzystną dla siebie przebudowę polityczną świata. Chińscy politycy bardzo sprytnie zabrali się do dzieła; sami jedynie doprowadzili do śmierci pasażerów *Airbusa*, poza tym pozwolili innym rozgrywać całą partię i ponosić związane z tym ryzyko. Jakkolwiek wszystko się zakończy, Chiny zachowają swoją pozycję supermocarstwa, nadal będą wywierać wpływ na politykę Stanów Zjednoczonych, a utrzymanie tego stanu zakładali od samego początku, myśląc jedynie o jego poprawie. Zabili Amerykanów lecącymi cywilnym samolotem. Poprzez swoje manewry dopomagali w zabijaniu innych Amerykanów, a wszystko to bez najmniejszego ryzyka. Sekretarz stanu myślał o tym wszystkim, zapatrzony w iluminatory samolotu,

który podchodził do lądowania.

Chińczycy jednak nie wiedzą, że on wie.

Następny atak będzie bardziej poważny. Zgodnie z raportami wywiadu, ZRI posiadała znaczny arsenał pocisków *C-802*. Wyprodukowane przez chińskie Zjednoczenie Importowo-Eksportowe Maszyn Precyzyjnych, miały podobne osiągi jak francuskie *Exocet*. Problemem sił

zbrojnych ZRI było wskazanie im celu, w Zatoce bowiem roiło się od statków. Aby skierować pociski na właściwy obiekt, myśliwce ZRI musiały zbliżyć się do KOMEDII na tyle, aby znalazła się w zasięgu ich radarów.

Trzeba im to utrudnić, pomyślał Kemper. „John Paul Jones” z prędkością trzydziestu węzłów popłynął na północ. Niszczyciel nowej generacji był prekursorem, jeżeli chodzi o stosowanie w jednostkach nawodnych techniki *stealth* — na ekranie radarowym wydawał się średniej wielkości łodzią rybacką, aby zaś ugruntować to wrażenie, wyłączył wszystkie radary.

KOMEDIA przebrała teraz postać odmienną od tej, w jakiej zobaczył ją nieprzyjaciel. Kemper połączył się z Rijadem i zażądał wsparcia przez *AWACS*. Trzy krążowniki: „Anzio”,

„Normandy” i „Yorktown”, zajęły pozycje obok okrętów transportowych, a dla ich cywilnych załóg stało się jasne, że okręty nie tylko mają ich bronić swoimi pociskami, ale także fizycznie osłaniać przed ostrzałem ze strony przeciwnika. Na pokładach transportowców przygotowano sprzęt przeciwpożarowy. Dieslowskie silniki pracowały całą mocą, na jaką zezwalały instrukcje producenta.

Na niebie poranny patrol *F-16* został zluzowany przez następną. Pociski uzbrojono, a lotnictwo cywilne zostało powiadomione, że przestrzeń nad Zatoką Perską nie jest teraz najbezpieczniejszym obszarem. Amerykanie w żaden sposób nie mogli już ukryć swojej obecności. Byli znakomicie widoczni dla irańskich radarów i nic na to nie można było poradzić.

— Wydaje się, że w zatoce są dwa ugrupowania przeciwnika — brzmiał raport szefa wywiadu. — Nie jesteśmy pewni ich składu, możliwa jest jednak obecność wojskowych statków transportowych.

— I? — zapytał Darjaei.

— Nasze dwa myśliwce zostały zestrzelone, kiedy usiłowały się zbliżyć — uzupełnił dowódca lotnictwa ZRI.

— Z pewnością są tam okręty wojenne najnowszej generacji. Zwiad powietrzny zdążył donieść, że wykrył też inne jednostki, bardzo podobne do tych, które zabrały czołgi z Diego Garda...

— Te, które zatrzymać mieli Hindusi?

— Wszystko na to wskazuje.

Jakim byłem głupcem, ufając tej kobiecie!

— Zatopić je! — wykrzyknął gniewnie, przekonany, że każde jego życzenie musi się stać rzeczywistością.

Raman lubił szybką jazdę. Pusta droga, ciemna noc, podrasowany samochód Tajnej Służby, wszystko to sprawiało, że czas mu się nie dłużył, kiedy autostradą międzystanową I-70

gnał w kierunku Marylandu. W porównaniu z normalnymi czasami droga była pusta, niemniej Ramana zdumiała liczba ciężarówek. Nie miał pojęcia, że tyle pojazdów zajmuje się rozwożeniem żywności i leków. Wirujący czerwony kogut na dachu zapewniał mu wolny przejazd, a także sprawiał, że policja stanu Pensylwania nie reagowała na widok auta jadącego z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Miał sporo czasu na rozmyślanie. Byłoby znacznie lepiej dla wszystkich, gdyby z góry wiedział, jak ma przebiegać operacja, a w każdym razie byłoby lepiej dla niego. Atak na Foremkę nie zachwycił go. Była dopiero dzieckiem, zbyt małym, zbyt niewinnym — mówiła o tym jej twarz, jej głos, zachowanie — aby można ją było traktować jako wroga. Przez krótki czas był zaszokowany. Nie mógł pojąć, dlaczego wydano taki rozkaz i dopiero później zaczął

podejrzewać, że chodziło o zacieśnienie osobistej ochrony wokół prezydenta, aby w ten sposób jemu, Ramanowi, ułatwić wykonanie zadania. Tyle że to wcale nie było potrzebne. Mahmud Hadzi najpewniej nie zdawał sobie do końca sprawy z tego, że Ameryka to jednak nie Irak.

Epidemia, to coś zupełnie innego. Rozchodziła się zgodnie z wyrokiem Boga. Takie już jest życie. Pamiętał, jak spłonęło kino w Teheranie. Także i tam umarli ludzie, których jedyny błąd polegał na tym, że oglądali film, zamiast oddawać się pobożnym zajęciom. Świat jest okrutny, a brzemię życia łatwiej jest znieść tylko wtedy, kiedy się w coś wierzy. Raman czuł w sobie taką wiarę. Świat odmieniał swój kształt nie mocą przypadku. Ważne zdarzenia musiały być bolesne dla większości. Wiara szerzyła się dzięki mieczowi, nawet jeśli sam Prorok powiedział, że nikogo nie da się nawrócić mieczem... nie rozumiał do końca tej sprzeczności, ale i to należało do natury świata. Trudno było go pojąć w całości, dlatego w wielu sprawach trzeba było polegać na zdaniu mądrzejszych od siebie, którzy mówili, co trzeba zrobić, co jest miłe Allachowi, co służy Jego celom...

A że nie udzielano mu wszystkich informacji... cóż, musiał przyznać, że to rozsądne zabezpieczenie, szczególnie jeśli przyjąć założenie, że ma zginąć. Myśl ta nie przyprawiała go o dreszcze. Już dawno temu pogodził się z tą możliwością; skoro jego brat w wierze mógł spełnić swój obowiązek w Bagdadzie, on może go spełnić w Waszyngtonie. Gdyby jednak nadarzyła się taka sposobność, będzie usiłował przeżyć. Przecież nie ma w tym nic złego.

Nie ulegało wątpliwości, że operacja jest dogrywana w biegu, pomyślał komandor Kemper. W 1990 i 1991 był czas na rozważenie decyzji, rozlokowanie środków, zorganizowanie łączności i wszystkie inne szczegóły. Ale nie tym razem. Na pytanie o *AWACS* jakiś mędrzec ze sztabu lotnictwa nie mógł

się otrząsnąć ze zdziwienia: — Nie macie tam żadnego? To czemu nic nie mówicie? — Dowódca „Anzio” i grupy operacyjnej TF-61.1 wybuchnął. Najpewniej ten, któremu się oberwało w niczym nie zawinił, w każdym razie mieli już samolot obserwacyjny. W

samą porę. Z lotniska w Basatin, odległego o dziewięćdziesiąt mil startowały właśnie cztery myśliwce nieznanego typu.

— KOMEDIA, tutaj Niebo Dwa, przekazuję cztery cele idące w naszą stronę.

Na ekranach „Anzio” pokazał się obraz, którego jego własny radar nie mógł uchwycić, gdyż rzecz działa się za horyzontem. *AWACS* pokazał cztery błyski w dwóch parach.

— Niebo, tutaj KOMEDIA, są twoje. Zniszczyć!

— Zrozumiałem. Uwaga, widać cztery następne.

— Wreszcie coś naprawdę interesującego — powiedział Jackson w Sali Sytuacyjnej. —

Kemper założył pułapkę raketową na zewnątrz swojej głównej formacji. Jeśli ktoś przedrze się przez *F-16*, zobaczymy, czy działa.

Minutę później poderwała się następna grupa czterech myśliwców. Dwanaście maszyn wspięło się na trzy tysiące metrów i z wielką szybkością skierowało się na południe.

Klucz *F-16* nie mógł ryzykować zbyt dużego oddalenia od KOMEDII, pod kontrolą *AWACS-a* ustawił się więc tak, żeby stawić czoło zagrożeniu pośrodku Zatoki. Obie strony włączyły radary namierzające, maszyny *ZRI* sterowane przez instalacje naziemne, amerykańskie

— przez *E-3B*, który krążył o wiele mil od nich. Nie było w tym zbyt wiele elegancji. *F-16*, uzbrojone w pociski dalekiego zasięgu, odpaliły je pierwsze i odskoczyły, kiedy zmierzające na południe samoloty irańskie wystrzeliły swoje pociski i usiłowały uciec. Pierwsza czwórka znurkowała ku wodzie, włączając pokładowe urządzenia zakłócające, wzmacniane przez rozlokowane na irańskim wybrzeżu lądowe instalacje, czego Amerykanie się nie spodziewali.

Trzy myśliwce *ZRI*, nie zmieniając kursu, zderzyły się z salwą, podczas gdy Amerykanie kursem wschodnim umknęli lecącym w ich stronę raketom, rozbili się na dwie pary i zawrócili, by przeprowadzić atak z drugiej strony. Wszystko rozgrywało się jednak przy znacznej szybkości i jeden z irańskich kluczy znalazł się w odległości piętnastu mil od KOMEDII. Wtedy też pojawił się na ekranach „Anzio”.

— *Skipper* — powiedział do mikrofonu operator konsoli ESM. — Z kierunku trzy-pięć-pięć opromieniowanie radarowe. Chyba nas mają.

— Bardzo dobrze — powiedział Kemper i sięgnął do klucza; to samo nastąpiło na

„Yorktown” i „Normandy”. Na tym pierwszym, krążowniku starego typu, ze schowków na dziobie i rufie wyjechały wyrzutnie z czterema pomalowanymi na biało pociskami raketowymi *SM-2MR*. Na „Anzio” i „Normandy” nic się na pozór nie zmieniło, gdyż pociski ukryte były w pionowych szybach startowych. Radary *SPY* wywalały teraz w niebo sześć megawatów, skierowanych na nadlatujące myśliwce bombardujące, które znajdowały się jeszcze poza zasięgiem salwy krążowników.

Znalazły się jednak w zasięgu „Johna Paula Jonesa”, ulokowanego dziesięć mil na północ od grupy. Wystarczyły trzy sekundy, żeby uaktywnił się główny radar niszczyciela, a następnie pierwszych osiem rakiet wystrzeliło w niebo z komór startowych, wznosząc się na kolumnach z dymu i ognia, by potem złamać swój tor i pomknąć poziomo na północ.

Myśliwce nie spostrzegły „Jonesa”. Na ich ekranach jego myląca sylwetka nie wydawała się interesująca, nie zwróciły też uwagi na to, że oświetlają je jego cztery radary *SPY*. Seria białych smug była nieprzyjemnym zaskoczeniem dla pilotów, kiedy oderwali oczy od radarów, ale dwóch z nich zdołało na czas odpalić swoje *C-802*.

O cztery sekundy od celu pociski przeciwlotnicze *SM-2* otrzymały termiczne sygnały kierunkowe od radarów oświetlających *SPG-62*. Było to zbyt nagłe, zbyt nieoczekiwane, aby nieprzyjaciel mógł zrobić unik. Wszystkie cztery myśliwce *ZRI* zniknęły w żółtych i czarnych chmurach, ale zdążyły jeszcze odpalić sześć pocisków przeciwokrętowych.

— Wampiry, wampiry! Na KOMEDIĘ idą samonaprowadzające, kierunek trzy-pięć-zero.

— Do roboty! — powiedział Kemper i przekręcił klucz o następny ząbek, na pozycję PEŁNA AUTOMATYKA. *Aegis* działał teraz w trybie automatycznym. Na górze obrotowe, sześciolufowe działka szybkostrzelne obróciły się ku prawej burcie. Na pokładach wszystkich czterech okrętów załoga usiłowała nie pokazywać po sobie podniecenia. Marynarze chronionych okrętów transportowych nie wiedzieli nawet, że powinni odczuwać strach.

W powietrzu *F-16* skoncentrowały się na ostatnim kluczu *ZRI*. Także te samoloty były wyposażone w pociski przeciwokrętowe, ale piloci patrzyli w złym kierunku,

najprawdopodobniej zwabieni widokiem grupy pozoracyjnej. Pierwsza para zobaczyła skupisko statków, druga nie zdążyła. W tym samym momencie, w którym maszyny wkroczyły na zachodzie w zakres radarów *Aegis*, na niebie rozpostarły się sunące w dół smugi dymu. Czwórka rozprysnęła się. Dwie maszyny eksplodowały w powietrzu. Trzecia, uszkodzona, próbowała uciekać na północy zachód, ale, straciwszy ciąg, runęła do wody, ostatnia zaś, w całkowitym popłochu zrobiła skręt w lewo i włączyła dopalacze, pozbywając się zarazem pocisków. W

niecałe cztery minuty czwórka *F-16* zniszczyła cztery maszyny przeciwnika.

„Jones” zestrzelił jeden z lecących tuż nad powierzchnią wody pocisków, ale reszta nie dała trwałego echa radarowego — poruszały się zbyt szybko. Trzy z czterech sterowanych komputerowo odpaleń chybiły, pozostało zatem pięć pocisków. System bojowy niszczyciela przestawił się na tryb poszukiwania nowych celów.

Na okrętach transportowych załogi widziały czarne dymy z Jonesa” i zastanawiały się, co to może być, ale zorientowały się, że dzieje się coś naprawdę niedobrego, kiedy trio krążowników zaczęło odpalać swoje pociski.

Na „Anzio” Kemper podjął taką samą decyzję jak dowódca „O’Bannona” i nie wystrzelił

pozoratorów. Trzy z pięciu rakiet skierowane były na tył flotylli, a tylko dwie na przód. Na nich skoncentrował się jego okręt i „Normandy”. Wyraźnie czuło się, jak kadłubem wstrząsnął start dwóch pierwszych pocisków. Obraz radarowy zmieniał się teraz w ułamku sekundy, pokazując trajektorie nadciągających pocisków przeciwokrętowych i mknących w ich stronę pocisków przeciwlotniczych. Wampiry były teraz o osiem mil. Ponieważ w minutę pokonywały dziesięć mil, pozostawało mniej niż pięćdziesiąt sekund na ich namierzenie i zniszczenie. Wydawało się, że trwa to tydzień.

System zaprogramowany został w ten sposób, aby dostosowywał do sytuacji tryb sterowania ogniem; w tym przypadku była to sekwencja: „strzelaj-strzelaj-sprawdź”. Jeden pocisk, drugi, a potem kontrola, czy cel przetrwał i potrzebny jest trzeci cios. Cel eksplodował w zderzeniu z pierwszym *SM-2*, zatem drugi dokonał samozniszczenia. Pierwszy pocisk z

„Normandy” chybił, ale drugi ugodził w *C-802*, ciskając go w morze, a impet wybuchu w sekundę później zatrzęsł kadłubem.

„Yorktown” był w sytuacji jednocześnie gorszej i lepszej. Starszy system bojowy pozwalał wystrzeliwać pociski wprost w nadlatujące rakiety, bez zmuszania ich do zmiany geometrii lotu, był jednak wolniejszy. Miał pięćdziesiąt sekund na zniszczenie trzech celów.

Pierwszy *C-802* rozleciał się o pięć mil od krążownika, podwójnie trafiony. Drugi znalazł się już na swej finalnej wysokości trzech metrów i mknął tuż nad powierzchnią wody. Następny *SM-2*

przeniósł górą i eksplodował w powietrzu, nie trafił także następny. Kolejna salwa z wyrzutni dziobowych dopadła wampira w odległości trzech mil; pierwszy pocisk wypełnił powietrze odłamkami, wprowadzając w błąd głowice naprowadzające pozostałych dwóch, które eksplodowały w resztkach zniszczonego celu. Obie wyrzutnie przesunęły się do przodu, do tyłu i w górę, aby przyjąć następną porcję czterech pocisków przeciwlotniczych. Ostatni *C-802*

przedarł się przez dym oraz odłamki i sunął teraz wprost na krążownik. „Yorktown” odpalił

jeszcze dwa pociski, ale, jeden uszkodzony, w ogóle nie wystartował, podczas gdy drugi był

niecelny. Systemy obrony bezpośrednio ulokowane na dziobie i rufie obróciły się odrobinę, gdy wampir wkroczył w ich obszar celowniczy. Oba otworzyły ogień w odległości ośmiuset metrów, chybiły dwukrotnie, trafiając w chwili, gdy *C-802* znajdował się już tylko o dwieście metrów od prawej burty. Dwustukilogramowa głowica zasypała krążownik fragmentami, a resztki pocisku zgruchotały talerz prawego dziobowego radaru *SPY* i zderzyły się z nadbudówką, zabijając sześć

osób, a raniąc dwadzieścia.

— Cholera jasna — mruknął sekretarz Bretano. Na jego oczach ucieleśniała się doktryna nowoczesnej wojny, której w przyspieszonym tempie uczył się przez ostatnie tygodnie.

— Całkiem nieźle. Posłali przeciw nam czternaście maszyn, z których wracają dwie lub trzy, to wszystko — powiedział Robby. — Trochę się zastanowią przed następnym razem.

— A co z „Yorktown”? — spytał prezydent.

— Raport o zniszczeniach powinien być za kilka minut.

Ich hotel znajdował się tylko o pół godziny drogi od ambasady rosyjskiej; jak przystało na sumiennych dziennikarzy, postanowili udać się tam pieszo, wyruszyli więc przed ósmą. Clark i Chavez nie uszli stu metrów, kiedy się zorientowali, że coś jest nie w porządku. Ludzie poruszali się dziwnie apatycznie, jak na tak wczesną porę dnia. Czyżby ogłoszono wojnę z Saudyjczykami? John skręcił w jedną z handlowych uliczek, gdzie kupcy, zamiast rozkładać towar w kramach, przysłuchiwali się przenośnym radijkom.

— Przepraszam — spytał w farsi z wyraźnym rosyjskim akcentem. — Czy coś się stało?

— Wybuchła wojna z Ameryką — odpowiedział sprzedawca owoców.

— Kiedy?

— W radiu mówią, że zaatakowali nasze samoloty — dorzucił sąsiad. — A wy kto tacy?

John wydobył paszport.

— Jesteśmy rosyjskimi dziennikarzami. Chcielibyśmy spytać, co panowie o tym sądzą?

— Nie dość mieliśmy wojen? — spytał retorycznie pierwszy mężczyzna.

— Mówiłem, że nas oskarżą — powiedział Arnie znad raportu, który przekazywał treść audycji nadawanych przez radio Teheran.

— Będzie to miało fatalne skutki dla naszej polityki na Bliskim Wschodzie.

— Granica jest teraz wytyczona wyraźniej niż przedtem — zauważył Ed Foley — i widać, kto jest po której stronie. ZRI jest po jednej, my po drugiej. Wszystko się bardzo uprościło.

Prezydent spojrział na zegarek. Minęła północ.

— Kiedy będę na antenie?

— W południe.

Raman musiał się zatrzymać na granicy pomiędzy Pensylwanią a Marylandem. Jakichs dwadzieścia ciężarówek czekało, aż skontroluje je policja stanu Maryland, która przy wsparciu Gwardii Narodowej całkowicie zablokowała drogę. Po dziesięciu pełnych irytacji minutach pokazał swoje dokumenty; policjant przepuścił go bez słowa. Raman uruchomił koguta i przycisnął gaz. Włączył radio, na długich falach złapał stację, nadającą tylko wiadomości, ponieważ jednak nie trafił na podawane co pół godziny podsumowanie najważniejszych informacji, wysłuchać musiał wszystkiego, co docierało do niego przez cały tydzień, aż o w pół

do pierwszej dowiedział się o bitwie powietrznej w Zatoce Perskiej. Ani Biały Dom, ani Pentagon nie skomentowały tego wydarzenia. Iran obwieścił, że zatopił dwa amerykańskie statki i zestrzelił cztery samoloty myśliwskie.

Nawet gorliwy patriota, jakim był Raman, nie mógł w to uwierzyć. Problem z Ameryką, uzasadniający celowość jego poświęcenia, polegał na tym, że ów fatalnie zorganizowany, bezideowy i oszukany naród, potrafił zabójczo sprawnie używać siły. Z bliska mógł zobaczyć, że nawet tak fatalny polityk jak Ryan, ukrywał w sobie mnóstwo przyczajonej siły. Nie krzyczał, nie podniecał się, nie postępował tak jak większość prawdziwie wielkich ludzi — i Raman musiał

zadać sobie pytanie, jak wiele osób dało się zwieść tym pozorom. Właśnie dlatego musiał go zabić, a jeśli zapłaci za to swoim życiem — to trudno.

Grupa operacyjna TF-61.1 za półwyspem Katau wykręciła na południe bez żadnych dalszych incydentów. Przednia nadbudówka „Yorktown” została poważnie uszkodzona nie tylko przez odłamki pocisku, ale także przez pożar instalacji elektrycznej, w tej chwili nie miało to jednak wielkiego znaczenia, gdyż ataków nieprzyjaciela należało spodziewać się raczej od strony rufy. Kemper znowu przegrupował swoją flotyllę, umieszczając wszystkie cztery okręty wojenne za transportowcami, uderzenie jednak nie nastąpiło, nieprzyjaciel poniósł bowiem zbyt wielkie straty podczas pierwszego starcia. Osłonę powietrzną zapewniało osiem *F-15*, cztery Arabii Saudyjskiej i cztery 366, Skrzydła. Pojawiły się jednostki eskorty saudyjskiej, w większości trałowce, które badały dno morza przed KOMEDIĄ, nie znajdując żadnych zagrożeń. Sześć wielkich kontenerowców zostało odprowadzonych od nabrzeża w Dharhanie, aby zrobić miejsce dla amerykańskich transportowców, przy których pojawiły się teraz holowniki, po trzy dla każdego. Cztery okręty *Aegis* zarzuciły kotwice w odległości nie większej niż pięćset metrów, aby zapewnić ochronę przeciwlotniczą podczas rozładowywania ciężkiego sprzętu.

Z mostka na USS „Anzio” komandor Gregory Kemper przyglądał się pierwszym autobusom podjeżdżającym do statków. Przez lornetkę dostrzegł pierwszą grupę ubranych w ciemnobrązowe kombinezony czołgistów, ku którym zjeżdżały właśnie stalowe pochylnie.

— Na razie bez komentarzy — powtarzał van Damm dziennikarzom, którzy, nie bacząc na nocną porę, bombardowali go telefonami. — W ciągu dnia prezydent złoży oświadczenie. Na razie nic więcej nie mam do powiedzenia.

— Ale...

— Powiedziałem: w tej chwili nie mam nic więcej do dodania.

Price zebrała w Zachodnim Skrzydle wszystkich agentów Oddziału i poinformowała o tym, co miało się zdarzyć. To samo będzie musiała powtórzyć personelowi Białego Domu, a reakcja będzie z pewnością ta sama: szok, niewiara i gniew bliski wściekłości.

— Potrzebny jest absolutny spokój; wszyscy wiedzą, co mają robić. To przypadek kryminalny i jako taki zostanie potraktowany. Nikt nie może się przedwcześnie zdradzić.

Pytania?

Nie było żadnych.

Darjaei raz jeszcze sprawdził zegarek. Nareszcie czas. Linią specjalną połączył się z ambasadą ZRI w Paryżu. Ambasador zadzwonił do innej osoby, która z kolei przeprowadziła rozmowę z Londynem. W każdym przypadku wypowiedziano zupełnie niewinne słowa, ale treść, którą niosły, bynajmniej nie była niewinna.

Raman minął Cumberland, Hagerstown, Frederick i skręcił na południe, na I-270, skąd miał jeszcze godzinę drogi do Waszyngtonu. Był zmęczony, ale gotów do akcji. Zobaczy jeszcze świt, być może ostatni w życiu. Jeśli tak, to niech będzie chociaż piękny.

Obaj agenci podskoczyli na dźwięk telefonu, jednocześnie spoglądając na zegarki. Na ciekłokrystalicznym ekranie pojawił się numer, spod którego dzwoniono. Rozmowa była międzykontynentalna, kierunkowy 44 wskazywał na Wielką Brytanię.

— Słucham? — rozpoznali głos Tarika Alahada.

— Przepraszam za tak wczesny telefon, ale dzwonię w sprawie czerwonego, trzymetrowego isfahana. Czy został już dostarczony? Mój klient się niecierpliwi.

Wymowa nie była angielska.

— Jeszcze nie — brzmiała odpowiedź. — Ponaglę dostawcę.

— Proszę to zrobić, klient bardzo się niecierpliwi.

— Zobaczę, co się da zrobić. Do widzenia.

Rozmowa została przerwana.

Danny Selig połączył się poprzez aparat komórkowy ze sztabem i podał do sprawdzenia telefon angielski.

— Zaczęło się — oznajmiła Scott. — Nasz chłoptaş się zbudził. Uwaga! — powiedziała do mikrofonu. — Podejrzany szykuje się do wyjścia.

— Czuwamy, Sylvia — zapewniono po drugiej stronie.

Po pięciu minutach Alahad pojawił się w drzwiach budynku. Śledzenie o tej porze nie było najłatwiejsze, ale wcześniej już zlokalizowano cztery najbliższe budki telefoniczne i umieszczono w ich pobliżu posterunki obserwacyjne. Alahad wybrał aparat na stacji benzynowej.

Komputer miał zarejestrować wybrany numer, ale już teraz przez teleskopowy obiektyw filmowano palec wystukujący cyfry: 3-6-3... Kilka sekund później rozbrzmiał telefon, na który odpowiedziała automatyczna sekretarka.

— Panie Sloan, tutaj Alahad. Pański dywan czeka. Nie rozumiem, dlaczego się pan nie odzywa.

Połączenie przerwane.

— Bingo! — agent zawołał przez radio. — Mamy go. Zadzwoił pod numer Ramana i powiedział: „Panie Sloan, dywan czeka na pana”.

— Mówi O’Day — odezwał się inny głos. — Zdjąć go natychmiast.

Nie było to specjalnie trudne. Alahad wszedł do sklepu na stacji benzynowej, aby kupić mleko, a potem wrócił prosto do domu. Otworzył drzwi, by ze zdumieniem zobaczyć w środku kobietę i mężczyznę.

— FBI — oznajmił mężczyzna.

— Jest pan aresztowany, panie Alahad.

Kobieta wydobyła kajdanki. Nie grożono bronią, gospodarz nawet nie myślał o oporze —

co często zdarzało się w podobnych przypadkach — ale gdyby chciał go spróbować, gotowych do akcji było dwóch dalszych agentów.

— Za co?

— Spisek na życie prezydenta Stanów Zjednoczonych — powiedziała Sylvia Scott i popchnęła Alahada do ściany.

— To jakaś pomyłka!

— Panie Alahad, popełnił pan błąd. Sloan nie żyje od roku. Jak można handlować dywanami z nieboszczykiem?

Irańczyk drgnął. Spryciarze zawsze są zaszokowani, kiedy okazuje się, że nie byli aż tak bardzo sprytni. Nigdy nie podejrzewał, że może zostać schwytany. Teraz trzeba tylko wykorzystać ów moment zaskoczenia. Co zacznie się za kilka minut od informacji, jaka kara przewidziana jest za spisek na życie prezydenta w świetle paragrafu 1.751 kodeksu karnego USA.

Wnętrze okrętu transportowego klasy *Bob Hope* wyglądało jak podziemny parking dla czołgów, tak zatłoczony, że szczur miałby kłopot z przeciśnięciem się między pojazdami. Aby dostać się do

środką, załogi musiały iść po czołgach w przygarbionej pozycji, aby nie uderzać głowami o metalowy strop. Z podziwem musieli myśleć o tych, którym regularnie przychodziło przeglądać maszyny, kontrolować silniki, poruszać mechanizmami uzbrojenia, aby nie wysychały części gumowe i plastikowe.

Skierowanie załóg do odpowiednich maszyn było zabiegiem nie lada, wszelako statek ładowany był tak, aby jak najbardziej ułatwić późniejsze rozładowanie. Poszczególne oddziały gwardzistów przybywały zaopatrzone w komputerowy wydruk, który podawał numer i lokalizację pojazdu, podczas gdy załoga pokładowca kierowała je w odpowiednie miejsca. Nie minęła godzina od zacumowania statku, a pierwszy *M1A2* zjeżdżał z pochylni na nabrzeże, gdzie czekały te same ciągniki, z których niedawno korzystał 11. pułk kawalerii, z tymi samymi kierowcami. Rozładunek zabierze więcej niż dzień; jeszcze jeden potrzebny będzie na to, aby brygada Wilcze Stado w pełni się zorganizowała.

Ranek był doprawdy piękny, stwierdził z satysfakcją Aref Raman, zajeżdżając na parking pod Zachodnim Skrzydłem. Odpowiedni dzień na spełnienie misji. Umundurowany strażnik pomachał mu na powitanie i bariera podniosła się do góry. Zaraz za nim pojawił się następny samochód, który także został przepuszczony, by zaparkować dwa miejsca od Ramana. W

kierowcy rozpoznał agenta FBI, O'Daya, któremu tak szczęśliwie powiodło się podczas ataku na przedszkole. Nie mógł żywić do niego nienawiści; tamten bronił przecież swojej córki.

— Cześć — usłyszał przyjazne słowa inspektora.

— Wracam właśnie z Pittsburgha — odrzekł Raman, wydobywając walizkę z bagażnika.

— Coś tam robił?

— Przygotowywałem wizytę prezydenta, ale zdaje się, że nic z tego nie wyjdzie. A ty co tak wcześnie?

— Razem z dyrektorem mamy złożyć raport prezydentowi. Ale najpierw pod prysznic.

— Prysznic?

— No, przecież... A racja, ostatnio cię tutaj nie było. Dostali fioła w Białym Domu z tym wirusem. Przed wejściem każdy musi wziąć prysznic i zdezynfekować ubranie. Chodźmy.

Inspektor wziął torbę i weszli do środka. Przy obu zareagowały wykrywacze metalu, ponieważ jednak byli pracownikami federalnych służb, fakt posiadania przez nich broni nie budził podejrzeń.

Dwa pomieszczenia biurowe zmieniły swoje przeznaczenie; na drzwiach pojawiły się napisy: MĘŻCZYŹNI i KOBIECY. Z tego drugiego pokoju wyszła Andrea Price z mokrymi włosami; Raman poczuł od niej wyraźny zapach chemikaliów.

— Cześć, Jeff, dobrze się jechało? Ej, Pat, jak się miewa nasz bohater?

— Jaki tam bohater, Price. Tyle hałasu o dwóch turbaniarzy — odpowiedział z uśmiechem O'Day, otwierając drzwi do męskiej łazienki. Raman poczuł, że krew w nim zawrzała.

Z pokoju usunięto wszystkie sprzęty, na podłodze pojawiła się plastikowa wykładzina.

Inspektor rozebrał się, powiesił ubranie na wieszakach i poszedł za brezentową zasłonę.

— Te chemiczne paskudztwa rozbudziłyby umarłego — sapnął O'Day spod strumienia wody. Po dwóch minutach wyszedł i z pasją zaczął się wycierać ręcznikiem. — Twoja kolej, Raman.

— Jasne — powiedział agent Tajnej Służby i zaczął się rozbierać ze wstydlivością charakterystyczną dla jego kultury. O'Day ani mu się nie przyglądał, ani nie odwracał wzroku, po prostu się wycierał, do chwili kiedy agent zniknął za parawanem. Służbowy *SigSauer* Ramana leżał na stosie ubrania. O'Day najpierw otworzył swoją torbę, potem sięgnął po pistolet, wyjął magazynek i usunął nabój wprowadzony do komory.

— Jak na drogach? — spytał agent FBI.

— Puściutko, można poszaleć... Ależ ta woda śmierdzi!

— A nie mówiłem?

Oprócz tego w rękojeści, Raman nosił dwa zapasowe magazynki. O'Day wsunął

wszystkie trzy do bocznej kieszeni, zanim wyjął przygotowane przez siebie cztery, z których jeden wsunął do rękojeści, wprowadził nabój do komory, zastąpił magazynek innym, pełnym, a dwa pozostałe umieścił w pasie Ramana. Kiedy skończył, zważył broń na dłoni. Ciężar i wyważenie były takie same jak przedtem. Wszystko wróciło na miejsce, a O'Day powrócił do ubierania się. Nie musiał się śpieszyć; Ramanowi najwyraźniej brakowało prysznicza. Może to dla niego rodzaj ablucji, pomyślał inspektor.

— Trzymaj! — O'Day rzucił agentowi ręcznik.

— Dobrze, że mam ze sobą zmianę — powiedział Raman, wyciągając z walizki świeżą bieliznę i skarpetki.

— Jak pracujesz tak blisko prezydenta, to pewnie zawsze musisz być czystutki — rzucił

O'Day i nachylił się, żeby zawiązać sznurowadła. Usłyszał kroki, zerknął w górę i powiedział: —

Dzień dobry, panie dyrektorze.

— Nie mam pojęcia, czemu brałem prysznic w domu — mruknął Murray. — Masz te papiery, Pat?

— Tak. Powinno go to zaciekawić.

— Ja myślę — zgodził się dyrektor, zdejmując marynarkę i krawat. — Cześć, Raman.

Obaj agenci upewnili się, że ich broń jest na miejscu i wyszli.

— Murray i ja idziemy wprost do szefa — powiedział O'Day.

Nie musieli długo czekać na dyrektora FBI; kiedy wychodził z łazienki, pojawiła się też Price. O'Day potarł nos na znak, że wszystko gotowe. Skinęła głową.

— Jeff, zaprowadź panów do gabinetu, dobrze? Ja muszę zajrzeć do centrali telefonicznej. Szef czeka.

— Jasne, Andrea. Tędy.

Raman pokazał drogę O'Dayowi. Trójka poszła do windy; Price stała nieruchomo — nie poszła do centrali telefonicznej.

Na następnym piętrze zobaczyli sprzęt telewizyjny instalowany przez ekipę CNN w Gabinetcie Ovalnym. Korytarzem przemknął Arnie van Dam, któremu na pięty następowała Callie Weston. Prezydent Ryan, tylko w koszuli, siedział za biurkiem nad papierami. W pokoju był także dyrektor CIA, Ed Foley.

— Miło po prysznicu, Dan? — spytał.

— Cześć, stracę tam resztki włosów.

— Witaj, Jeff — powiedział Ryan, podnosząc wzrok.

— Dzień dobry, panie prezydencie — odrzekł Raman i zajął swoje stałe miejsce pod ścianą.

— Dobra, Dan, co tam macie dla mnie?

— Wykryliśmy siatkę irańską; miała chyba coś wspólnego z zamachem na pańską córkę.

O'Day otworzył teczkę.

— Anglicy namierzyli u siebie ich skrytkę kontaktową — odezwał się Foley. —

Człowiek, którego mieli tutaj, nazywa się Alahad i — czy uwierzy pan? — miał sklep o niecały kilometr stąd.

— Mamy go teraz na oku — dodał Murray. — Założyliśmy podsłuch.

Wszyscy wpatrywali się w papiery położone na biurku; nikt nie zwracał uwagi na Ramana, którego twarz zmieniła się w nieruchomą maskę. Myśli nagle popłynęły mu przez głowę w takim tempie, jak

gdyby ktoś wstrzyknął narkotyk do krwi. Nie patrzą... Szansa ratunku, niewielka, ciągle jednak istniała, ale nawet gdyby się nie udało, miał tutaj nie tylko prezydenta, ale także dyrektorów FBI i CIA; całą trójkę podaruje Allahowi, więc... Lewą ręką odpiął poję marynarki. Odsunął się od ściany, na króciutką chwilę przymknął oczy w modlitwie, a potem szybkim, płynnym ruchem prawej dłoni wydobył pistolet.

Ku jego zdziwieniu Ryan poderwał wzrok i spojrzał mu prosto w oczy. Może i dobrze.

Będzie przynajmniej wiedział, że umiera, chociaż nie będzie miał czasu się dowiedzieć, dlaczego.

Na widok pistoletu prezydent szarpnął się do tyłu. Reakcja była odruchowa, chociaż znał

scenariusz całego wydarzenia i dostrzegł uspokajający gest O'Daya. Tak czy owak, drgnął, i na chwilę błysnęła mu w głowie myśl, czy może w ogóle ufać komukolwiek. Zobaczył, jak pewnym gestem Raman naprowadza lufę na niego i bez mrugnięcia powieką ściąga spust...

Dźwięk spowodował, że wszyscy drgnęli, aczkolwiek z zupełnie odmiennych przyczyn.

Puk!

Tylko tyle. Zdumiony Raman otworzył usta. Broń była naładowana; czuł ciężar prawdziwych nabołów i...

— Rzuć to — warknął O'Day, który trzymał teraz w ręku *Smitha* i mierzył w zamachowca. Ułamek sekundy później służbowy pistolet pojawił się w ręku Murraya. — Alahad już siedzi — oznajmił przez zaciśnięte zęby dyrektor FBI.

Raman miał jeszcze przy sobie teleskopową pałkę, ale prezydent znajdował się o pięć metrów od niego, a poza tym...

— Jeszcze chwila, a przestrzelę ci kolano — powiedział zimno O'Day.

— Ty cholerny zdrajco! — krzyknęła Andrea, wpadając do pokoju z wydobytym pistoletem. — Cholerny morderco! Na pysk, już!

— Spokojnie, Price. Nigdzie nam nie ucieknie — odezwał się uspokajająco Pat.

Ale to Ryan ledwie panował nad sobą.

— Moja córka! Moje dziecko! Chcieliście ją zabić!

Rzucił się wokół biurka, ale powstrzymał go Foley.

— Zostaw, Ed, puść! Tego już za dużo!

— Stój! Mamy go, Jack! Mamy i nie puścimy!

— Słyszałeś? Na ziemię — rozkazał O'Day, robiąc gniewny ruch pistoletem. — Rzuć broń i na ziemię!

Raman dygotał teraz cały: podniecony, przerażony, wściekły. Przeładował *SigSauera* i raz jeszcze pociągnął spust. Nie celował w nikogo; był to tylko odruch ślepego buntu.

— Nie mogłem użyć ślepaków, gdyż są lżejsze — wyjaśnił O'Day. — Wyciągnąłem naboje i namoczyłem proch. Spłonka daje taki śmieszny, ostry dźwięk.

Miał wrażenie, że od ostatniego oddechu upłynęło kilka minut. Raman nagle zapadł się w sobie; broń wysunęła mu się z dłoni na dywan z pieczęcią prezydenta, agent zaś opadł na kolana.

Price popchnęła go z tyłu, tak że poleciał na twarz. Po raz pierwszy od lat Murray osobiście zamknął komuś kajdanki na przegubach.

— Chcesz usłyszeć, jakie przysługują ci prawa? — zapytał dyrektor FBI.

Zasady wejścia do walki

Diggs nie otrzymał jeszcze właściwych rozkazów operacyjnych, a co gorsza, także plan jego operacji SUMTER był przygotowany tylko w niewielkiej części. Armia USA szkoliła swych dowódców, aby działali szybko i stanowczo, podobnie jednak jak w przypadku lekarzy szpitalnych, nagłe wypadki traktowano o wiele mniej chętnie niż zaplanowane zabiegi. Generał

pozostawał w stałym kontakcie z dowódcami obu pułków kawalerii, zwierzchnikiem Sił

Powietrznych, jednogwiazdkowym generałem, który przyprowadził 366. skrzydło, z Saudyjczykami, Kuwejtczykami i najróżniejszymi formacjami wywiadu, starając się wyczuć, co nieprzyjaciel robi w tej chwili i jakie mogą być jego plany. Dopiero wtedy mógł zbudować własny plan, który wykraczałby poza doraźne posunięcia.

Rozkazy i zasady wejścia do walki spłynęły z faksu o godzinie 11.00 czasu waszyngtońskiego, 16.00 Zulu[10], 19.00 Lima, czyli czasu lokalnego. Otrzymał nareszcie wyjaśnienia, których tak mu brakowało. Natychmiast kazał powielić materiały dla swoich bezpośrednich podwładnych i zwołał naradę sztabu. Oddziały, oświadczył zebranym, zostaną o wszystkim poinformowane przez bezpośrednich przełożonych, którzy muszą być z nimi, kiedy nadejdzie najważniejszy rozkaz.

Czasu zostało niewiele. Według zdjęć satelitarnych, Armia Boga — wywiadowi udało się ustalić nazwę — znajdowała się o niecałe sto pięćdziesiąt kilometrów od granicy z Kuwejtem, uporządkowanymi kolumnami nadciągając do niej po drogach od zachodu. W tej sytuacji dyslokacja Saudyjczyków wydawała się bardzo dobra, jako że trzy z pięciu brygad blokowały dostęp do pól naftowych.

Nadal nie byli jeszcze gotowi. 366. Skrzydło znajdowało się już co prawda w królestwie, ale nie wystarczała sama fizyczna obecność samolotów na właściwych lotniskach. Trzeba było załatwić tysiące drobiazgów, z których nawet połowa nie była jeszcze załatwiona. *F-16* z Izraela znajdowały się w bardzo dobrym stanie, wszystkie czterdzieści osiem jednosilnikowych myśliwców gotowych do akcji — niektóre zdążyły już nawet odnotować pierwsze zestrzelenia —

reszta jednak potrzebowała jeszcze całego dnia. 10. pułk kawalerii osiągnął pełną gotowość, ale 11. dopiero kompletował swój skład i przemieszczał do bazy wypadowej. Brygada Gwardii Narodowej Północnej Karoliny zaczęła rozładowywać sprzęt. Armia nie jest tym samym co arsenał, jest zespołem ludzi, którzy znają swoje obowiązki. Wszelako czas i miejsce wojny jest na ogół wybierane przez agresora.

Diggs raz jeszcze spojrzął na trzy stronicie faksu. Miał wrażenie, że trzyma w rękach dynamit. Jego sztab zagłębił się w swoich kopiach i zapanowała nienaturalna cisza, aż wreszcie S-3 — oficer

operacyjny — 11. pułku, powiedział to, co myśleli wszyscy:

— To nie będzie majówka.

Przyjechali trzej Rosjanie, a Clark i Chavez musieli przekonywać samych siebie, że to nie jest jakiś alkoholowy sen. Dwóch oficerów CIA wspomagali Rosjanie, przy czym rozkazy przychodziły z Langley via Moskwa. W rzeczywistości mieli dwa zadania do wykonania.

Rosjanom przypadło w udziale trudniejsze; w dyplomatycznym bagażu przywieźli Amerykanom sprzęt konieczny do wykonania drugiej, prostszej misji.

— Za mało czasu, John — sapnął Ding. — Ale trudno, jak trzeba to trzeba.

W pokoju prasowym nadal było pustawo. Zabrakło znacznej liczby regularnych gości: niektórych zakaz podróży zastał poza stolicą, inni po prostu zniknęli, nie bardzo wiadomo, czy na zawsze.

— Za godzinę prezydent będzie miał bardzo ważne wystąpienie — poinformował van Damm. — Niestety, nie było możliwe przygotowanie tekstu tak, żebyście go wcześniej otrzymali. Poinformujcie, proszę, swoich naczelnych, że jest to rzecz najwyższej wagi.

— Arnie! — zawołał jeden z reporterów, ale widać już było tylko znikające w drzwiach plecy szefa personelu Białego Domu.

Dziennikarze, którzy znaleźli się w Arabii Saudyjskiej, wiedzieli znacznie więcej od swoich kolegów w Waszyngtonie; właśnie dojeżdżali do wyznaczonych im jednostek. W

przypadku Toma Donnera był to 1. szwadron 11. pułku. Ubrany w mundur pustynny, zastał dwudziestodwuletniego dowódcę przy czołgu.

— Witam — powiedział kapitan, ledwie zerknąwszy znad mapy.

— Gdzie chce pan, żebym był? — spytał Donner.

Tamten roześmiał się.

— Niech pan nigdy nie pyta żołnierza, gdzie chciałby mieć reportera.

— Zatem razem z panem?

— Ja tym dowodzę. — Oficer wskazał brodą w kierunku czołgu. — Pana umieszczę w jednym z *Bradleyów*.

— Muszę mieć także kamerzystę.

— Już tam jest. — Kapitan zrobił ruch ręką. — Coś jeszcze?

— Tak, nie chciałby pan wiedzieć, o co chodzi w tym wszystkim?

Hotel w Rijadzie stał się dla dziennikarzy właściwie więzieniem; nie wolno im nawet było zadzwonić do domu. Bliscy wiedzieli tylko tyle, że reporterzy musieli wyjechać, ale macierzyste redakcje nie mogły wyjawiać ani miejsca, ani celu misji. Stacja Donnera oznajmiła, że został „wysłany”, co brzmiało dość podejrzanie w kontekście obowiązującego nadal zakazu podróży.

— Dowiemy się wszystkiego za godzinę; tak przynajmniej mówił pułkownik.

W oczach młodego oficera pojawiło się jednak zainteresowanie.

— Jest coś, o czym powinien pan wiedzieć. Poważnie.

— Panie Donner, wiem, jaki wyciął pan numer prezydentowi i mówiąc szczerze...

— Jeśli musi mnie pan zastrzelić, to może później. Najpierw proszę posłuchać, kapitanie.

To naprawdę ważne.

— Dobra, niech pan mówi.

Makijaż robiony w chwilach takich jak te, miał w sobie coś perwersyjnego. Jak zawsze, zajmowała się tym Mary Abbot, tym razem w masce i rękawiczkach, podczas gdy na obydwóch teleprompterach przewijały się teksty. Ryan nie miał czasu czy może ochoty, żeby powtarzać przemówienie. Niezależnie od jego znaczenia — a może właśnie dlatego — chciał je wygłosić tylko raz.

— Nie mogą poruszać się po bezdrożach — obstawał przy swoim generał saudyjski. —

Nie ćwiczyli tego, gdyż są uzależnieni od dróg.

— Moim zdaniem, należałoby przynajmniej rozważyć tę możliwość — powiedział Diggs.

— Jesteśmy przygotowani na ich atak.

— Generale, nigdy nie jest się dostatecznie przygotowanym.

W Palmie wszystko toczyło się normalnie, tyle że bardziej intensywnie. Zdjęcia nadchodzące z satelitów informowały, że siły ZRI nieustannie posuwają się do przodu, a jeśli nic by się nie zmieniło, wtedy na własnym terytorium czekałyby na nich dwie brygady kuwejckie, z pułkiem amerykańskim w odwodzie oraz Saudyjczykami gotowymi do pomocy. Major Sabah powtarzał sobie w duchu, że chociaż nie wiadomo, jaki będzie ostateczny wynik — stosunek sił

był bardzo niekorzystny — to jednak walka nie będzie wyglądać tak jak ostatnim razem.

Wydawało mu się idiotyczne to, że wojska sojusznicze nie mogą uderzyć pierwsze, chociaż dobrze wiedziały, co nastąpi.

— Łapię rozmowy w eterze — poinformował operator radiostacji. Słońce zniżało się do horyzontu. Zdjęcia satelitarne, na które spoglądali oficerowie, pochodziły sprzed czterech godzin.

Następne miały nadejść za dwie godziny.

Sztorm znajdował się blisko granicy ze ZRI, w odległości zabezpieczającej wprawdzie przed salwą z moździerza, ale nie przed prawdziwą artylerią. Kompania czternastu czołgów rozlokowała się między stanowiskiem nasłuchu a nasypem przeciwczołgowym. Po raz pierwszy od kilku dni zaczęli rejestrować rozmowy radiowe, krzyżujące się, gęste, bardziej podobne do rozkazów, niż do normalnych taktycznych informacji i komentarzy. Było ich zbyt wiele, aby można je było natychmiast rozszyfrować — co było ostatecznie zadaniem komputerów w King Chalid, usiłowano więc przynajmniej ustalić miejsce ich nadania. Dwadzieścia pochodziło ze sztabu brygady. Sześć z dywizyjnego stanowiska dowodzenia, trzy od dowódców korpusów i jeden od dowództwa armii. Ludzie ze zwiadu elektronicznego uznali w końcu, że przeciwnik kontroluje sprawność systemu łączności. Trzeba było poczekać, aż komputery rozplączą zgiełk nakładających się głosów. Wszystkie namiary kierunkowe wskazywały na drogę do Al-Busaja, która znajdowała się na trasie do Kuwejtu. Nasilenie korespondencji radiowej zastanawiało w zestawieniu z dotychczasową ciszą, nie było jednak niewytłumaczalne. Być może oddziały ZRI musiały jeszcze potrenować dyscyplinę marszową, chociaż z drugiej strony, podczas ćwiczeń dobrze sobie z tym radziły...

O wschodzie słońca znowu uruchomiono *Predatory*, wysyłając je na północ. Najpierw poszybowały w kierunku źródeł emisji radiowych. Ich kamery włączyły się w odległości dwudziestu kilometrów od granicy ZRI, a pierwszym obiektem, który zarejestrowały, była bateria dział 203 mm, zdjętych z platform i rozstawionych na lawetach z lufami skierowanymi na południe.

— Panie pułkowniku! — zawołał sierżant.

Saudyjscy czołgiści wybrali już wzniesienia, za którymi ukryli swoje *Abramsy*, i rozmieszczali właśnie żołnierzy na stanowiskach obserwacyjnych. Nagle widnokrąg na północy rozblęsnął pomarańczowym światłem.

Diggs dalej dyskutował rozlokowanie oddziałów, kiedy nadeszła pierwsza wiadomość.

— Panie generale, Sztorm melduje, że znalazł się pod ostrzałem artyleryjskim.

— Dzień dobry, rodacy — powiedział Ryan do kamer. Obraz jego twarzy przekazywany był na cały świat. Głos słychać było z odbiorników radiowych. W Arabii Saudyjskiej transmitowano go na falach długich, średnich, krótkich i ultrakrótkich, aby słowa prezydenta dotarły do wszystkich Amerykanów, dla których były przeznaczone.

— Wiele przeżyliśmy przez ostatnie dwa tygodnie. Najpierw muszę was poinformować o postępach, jakie odnieśliśmy w walce z epidemią w naszym kraju.

Niełatwo mi było wprowadzić zakaz przemieszczania się pomiędzy stanami. Niewiele swobód jest ważniejszych od swobody zmiany miejsca pobytu, zasięgnąwszy jednak kompetentnej porady medycznej, zdecydowałem się na to posunięcie. Dzisiaj mogę wam powiedzieć, że przyniosło zamierzone efekty. Od czterech dni liczba zachorowań nieustannie maleje. Po części dzieje się tak za sprawą działań rządu, ale przede wszystkim jest to wasza zasługa, albowiem potrafiliście sięgnąć po najbardziej skuteczne środki samoobrony. Jeszcze dzisiaj uzyskacie bardziej szczegółowe informacje, ale już teraz mogę oznajmić, że epidemia wirusa ebola wygasa i w przyszłym tygodniu powinien nastąpić jej ostateczny koniec. Wielu spośród tych, których choroba zaatakowała dopiero teraz, pokona ją i przeżyje. Amerykańscy lekarze wykonali nadludzka pracę, aby nieść pomoc chorym, a także pomóc nam zrozumieć co się stało i jak z tym walczyć. Zwycięstwo jest dopiero przed nami, ale pokonamy tę burzę, tak jak i przedtem potrafiliśmy pokonać różne zawieruchy.

Zaraza nie pojawiła się w naszym kraju za sprawą przypadku. Staliśmy się obiektem nowej i barbarzyńskiej formy napaści, która nosi nazwę wojny biologicznej. Jest ona zakazana przez traktaty międzynarodowe. Celem wojny biologicznej bardziej jest zastraszenie i sparaliżowanie zaatakowanego narodu, niż jego unicestwienie. Z przerażeniem i wstrętem patrzyliśmy na to, co dzieje się w naszej ojczyźnie, przekonani, że katastrofa jest efektem straszliwego przypadku. Moja żona, Cathy, podobnie jak wszyscy lekarze z jej szpitala w Baltimore, czuwała nieustannie nad chorymi, robiąc przerwy tylko na czas niezbędny dla snu i odpoczynku. Jak pewnie wiecie, kilka dni temu odwiedziłem ten szpital, widziałem ofiary, rozmawiałem z lekarzami i pielęgniarkami, a na zewnątrz budynku spotkałem mężczyznę, którego żona leżała w środku.

Nie mogłem mu wtedy powiedzieć tego, co mogę i muszę powiedzieć wam teraz: od samego początku podejrzewaliśmy, że epidemia wybuchła za sprawą rozmyślnych działań, a w ciągu ostatnich dni instytucje odpowiedzialne za ochronę porządku publicznego i bezpieczeństwa narodu zdobyły dowody, które pozwalają mi z całą pewnością oświadczyć to, co zaraz usłyszycie.

Na ekranach telewizyjnych na całym świecie ukazały się twarze afrykańskiego chłopca i belgijskiej zakonnicy w białym habicie.

— Ognisko wirusa ebola pojawiło się kilka miesięcy temu w Zairze — ciągnął prezydent.

Musiał przedstawić wszystko systematycznie i dokładnie, czuł jednak, jak trudno jest mu zachować spokój.

Czołganci saudyjscy natychmiast znaleźli się w swych maszynach, włączyli silniki i zmienili miejsca postoju, zanim poprzednie zostaną dokładnie namierzone. Ogień koncentrował

się jednak na Sztormie, co było zupełnie sensowne, albowiem punkt nasłuchu był jednym z najważniejszych ogniw wywiadowczych. Zadaniem Saudyjczyków była obrona stacji, ale przed czołgami i piechotą, a nie artylerią. Dowódca, dwudziestopięcioletni kapitan, był człowiekiem głęboko religijnym, który czuł, że Amerykanom, jako gościom, należy się szczególna ochrona.

Połączył się przez radio ze sztabem batalionu i zażądał transporterów opancerzonych — użycie helikopterów byłoby samobójstwem — aby ewakuować sojusznicznych specjalistów od rozpoznania.

— W ten sposób choroba z Afryki zawędrowała do Iranu. Skąd o tym wiemy? Gdyż wróciła ona do Afryki tym samym samolotem. Zwróćcie, proszę, uwagę na symbol rejestracyjny na stateczniku: HX-NJA. Ta sama maszyna miała rzekomo runąć w morze z siostrą Jeanne Baptiste na pokładzie.

Potrzebny nam, cholera, jeden jedyny dzień, myślał ze wściekłością Diggs. W dodatku siły przeciwnika znajdowały się prawie trzysta kilometrów na zachód od miejsca, w którym spodziewano się stawić im czoło.

— Kto tam jest najbliżej? — spytał.

— To teren czwartej brygady — odparł dowódca Saudyjczyków. Tyle że czwarta brygada była rozrzucona na rubieży o długości stu pięćdziesięciu kilometrów. W pobliżu miejsca natarcia znajdowały się helikoptery zwiadowcze, ale najbliższa baza helikopterów szturmowych była dopiero siedemdziesiąt kilometrów na południe od Wadi al-Batin.

Dla Darjaeiego szokiem było ujrzanie swojej fotografii na ekranie. Co gorsza, zobaczyła ją co najmniej jedna dziesiąta mieszkańców kraju. Amerykańskie CNN nie było transmitowane w ZRI, dostępne jednak były British Sky News, a nikt się nie spodziewał...

— To ten człowiek stoi za biologiczną napaścią na nasz kraj — oznajmił Ryan ze złowieszczym spokojem w głosie. — To on jest odpowiedzialny za śmierć tysięcy naszych obywateli. Teraz jednak muszę wam wyjaśnić, dlaczego to zrobił, co jednocześnie wytłumaczy też, dlaczego zorganizowano zamach na moją córkę Katie, a kilka godzin temu usiłowano mnie zabić w samym sercu Białego Domu, w Gabinetce Owalnym. Przypuszczam, że pan Darjaei ogląda teraz ten program. Dlatego też zwracam się do niego bezpośrednio. Mahmudzie Hadzi —

mówił Jack, wpatrzony w obiektyw kamery. — Twój siepacz, Aref Raman, został aresztowany.

Naprawdę sądzisz, że Amerykanie są takimi głupcami?

Podobnie jak wszyscy w Czarnym Koni, także Tom Donner słuchał wystąpienia: na uszach miał słuchawki radioodbiornika zamontowanego w *Bradleyu*. Nie starczyło ich dla wszystkich, dlatego niektórzy musieli z nich korzystać na spółkę. Spoglądał na twarze żołnierzy.

Były beznamiętne jak głos prezydenta, do chwili, gdy padło ostatnie, pełne pogardy zdanie.

— O, kurwa — warknął jeden z żołnierzy. Należał do szwadronu zwiadowczego 11.

pułku.

— Mój Boże — zdołał wykrztusić Donner.

Ryan mówił dalej.

— Siły zbrojne ZRI szykują się właśnie do ataku na naszego sojusznika, królestwo Arabii

Saudyjskiej. W ciągu ostatnich kilku dni przegrupowaliśmy nasze oddziały, aby stanąć u boku przyjaciela.

Powiem teraz rzecz bardzo ważną. Próba porwania mojej córki, zamach na mnie, barbarzyńska napaść na nasz kraj — wszystkie te czyny zostały popełnione przez ludzi, którzy nazywają siebie muzułmanami. Musimy dobrze rozumieć, że religia nie ma z tym nic wspólnego.

Islam jest jedną z religii naszego świata, Ameryka zaś jest krajem, gdzie wolność wyznania jest wymieniona jako pierwsza w naszej Karcie Praw, nawet przed wolnością słowa i innymi swobodami. Podobnie jak ludzie, którzy niegdyś zaatakowali moją rodzinę, nazywali siebie katolikami, tak i ci sprzeniewierzyli się swojej wierze, by potem tchórzliwie — gdyż są tchórzami — szukać za nią schronienia. Nie mam prawa wypowiadać się w imieniu Boga, wiem jednak, że islam, chrześcijaństwo, judaizm, jednym głosem mówią nam o Bogu miłości, litości i sprawiedliwości.

Tak, sprawiedliwość będzie wymierzona. Jeśli wojska ZRI skupione nad granicą z Arabią Saudyjską zdecydują się na atak, stawimy im czoło. W chwili kiedy mówię te słowa, nasi żołnierze znajdują się na stanowiskach bojowych. Do nich się teraz zwracam.

Wiecie już, dlaczego musieliście zostać oderwani od swych domów i rodzin. Wiecie, dlaczego musieliście w obronie swojej ojczyzny sięgnąć po broń. Znacie oblicze swojego wroga i charakter jego postępów.

Muszę rzucić was teraz w bój. Oddałbym wszystko za to, żeby nie było to konieczne.

Sam służyłem w piechocie morskiej i wiem, jak to jest znaleźć się z dala od ojczyzny. Nasze modlitwy będą wam towarzyszyć.

A do naszych sojuszników w Kuwejcie, Arabii Saudyjskiej, Katarze, Omanie, we wszystkich krajach Zatoki Perskiej, zwracam się ze słowami: Stany Zjednoczone znowu stają u waszego boku, aby przeciwstawić się agresji i przywrócić pokój. Powodzenia. — I po raz pierwszy pozwalając, aby emocja zabarwiła jego słowa, Jack dorzucił na koniec: — I dobrych łowów!

Cztery transportery opancerzone jechały przez pustynię z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Zrezygnowały z ubitej drogi do Sztormu w obawie, że ta znajdzie się pod ostrzałem i ostrożność ta okazała się uzasadniona. Kiedy miejsce usytuowania stacji zwiadu elektronicznego znalazło się w zasięgu wzroku, zobaczyli kłęby dymu wznoszące się nad polem antenowym. Ostrzał trwał dalej. Z trzech budynków pozostał tylko jeden, ale stał w ogniu i porucznik saudyjski wątpił, by ktoś żywy mógł się w nim znajdować. Ku północy zobaczył inny rodzaj błysków: tryskające z luf czołgów poziome języki ognia, w których pojawiały się i znikały nierówności piaszczystego terenu. W chwilę później zelżał odrobinę ostrzał Sztormu, przenosząc się na czołgi, uwikłane w walkę z maszynami wroga. Porucznik podziękował w duchu Allahowi, że jego zadanie będzie trochę łatwiejsze, przez radio łącząc się jednocześnie z czołgistami.

Cztery pojazdy przedarły się przez rumowisko anten, a kiedy dotarły do resztek obozowiska,

otworzyły się tylne klapy i na zewnątrz wyskoczyło trzydziestu żołnierzy. Czterech Amerykanów nie odniosło żadnego szwanku, sześciu było rannych. Przez pięć minut uwijali się jeszcze między zgliszczami, nie znaleźli już jednak nikogo żywego, a nie było czasu zajmować się poległymi. Transportery zawróciły i powiozły ocalonych do punktu dowodzenia batalionu, skąd miały ich zabrać helikoptery.

Dowódca czołgów saudyjskich nie mógł się otrząsnąć ze zdumienia. Trzon jego armii znajdował się o trzysta kilometrów na wschód, tymczasem nieprzyjaciel był tutaj i parł na południe. Nie chodziło mu w ogóle o Kuwejt i pola naftowe. Zrozumiał to natychmiast, ledwie tylko w jego termicznym wizjerze pojawił się na nasypie pierwszy czołg ZRI, poza zasięgiem jego działa, albowiem otrzymał rozkaz, aby zbytnio nie zbliżać się do granicy. Młody oficer nie wiedział, co robić. W jego armii wszystko działało się na rozkaz, dlatego porozumiał się z dowództwem, aby otrzymać instrukcje. Dowódca batalionu miał jednak pod swymi rozkazami pięćdziesiąt cztery czołgi i inne pojazdy rozrzucone na terenie ponad trzydziestu kilometrów kwadratowych; wszystkie znalazły się pod ostrzałem, a załogi informowały o nacierających czołgach i transporterach opancerzonych przeciwnika.

Kapitan musiał jednak coś postanowić, rozkazał przeto, aby podległe mu maszyny ruszyły na spotkanie nieprzyjaciela. Z odległości trzech kilometrów jego ludzie otworzyli ogień, a z pierwszych czternastu strzałów osiem było celnych; całkiem niezły wynik. Postanowił nie cofać się i przeciwstawić natarciu. Czternaście czołgów broniło frontu o długości trzech kilometrów.

Następna salwa przyniosła kolejnych sześć trafień, ale jeden z jego czołgów został także ugodzony bezpośrednio pociskiem kumulacyjnym, który zdemolował silnik i wzniecił pożar.

Załoga w pośpiechu opuściła wrak, ale nie zdążyła odbiec od niego nawet na pięć metrów, gdy nastąpiła eksplozja amunicji. Kapitan widział śmierć swoich ludzi i wiedział, że ma teraz lukę w szyku, którą musi jakoś zatkać.

Jego celowniczy, podobnie jak inni, wypatrywał czołgów przeciwnika, *T-80* z kopulastymi wieżami, ale wtedy z nadciągających za nimi transporterów opancerzonych wystrzelono pierwszą salwę pocisków przeciwpancernych. Te nie mogły wprawdzie przebić czołowego pancerza *M-1*, eliminowały jednak maszyny z walki. Kiedy połowa kompanii została zniszczona, trzeba się było cofnąć.

Cztery czołgi wycofały się dwa kilometry na południe. Kapitan pozostał z dwiema jeszcze maszynami i zniszczył jeden pojazd przeciwnika, zanim sam też dał rozkaz odwrotu. W

powietrzu było aż gęsto od pocisków, z których jeden trafił w wieżę czołgu dowódcy, powodując eksplozję pojemnika na amunicję. W górę trysnął słup ognia. Pozbawiona dowódcy reszta kompani, walczyła jeszcze przez trzydzieści minut, aż wreszcie trzy ostatnie maszyny zawróciły i z szybkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę wycofywały się w kierunku dowództwa batalionu.

Dowództwa jednak już nie było. Zlokalizowane na podstawie nadawanych komunikatów radiowych zostało zasypane pociskami kalibru 203 mm przez brygadę artylerii ZRI w tym samym czasie, gdy docierały do niego transportery z niedobitkami personelu Sztormu. W

pierwszej

godzinie

drugiej

wojny

w

Zatoce

we

froncie

saudyjskim

powstała

pięćdziesięciokilometrowa wyrwa, otwierająca drogę na Rijad. Armia Boga opłaciła to utratą połowy brygady, ale chociaż cena była wysoka, liczone się z nią, układając plan inwazji.

Wstępny obraz nie był klarowny, rzadko bowiem jest taki. Diggs wiedział, że taką korzyść na ogół odnosi napastnik, a zadaniem dowódcy jest zaprowadzenie porządku w chaosie, aby ten ostatni posiąć w szeregach wroga. Wraz ze zniszczeniem stacji Sztorm *Predatory* stały się bezużyteczne. 366. Skrzydło musiało działać bez pomocy powietrznego radaru *J-Stars*, który pozwalał śledzić przemieszczenia oddziałów. Na niebie znajdowały się dwa *E-3B AWACS*, każdy osłaniany przez cztery myśliwce. Zapolować na nie wyleciało dwadzieścia maszyn ZRI; szykowała się następna bitwa powietrzna.

Diggs musiał się zmagać z własnymi problemami. Pozbawiony Sztormu i zwiadu *Predatorów*, był ślepy, dlatego też rozkazał, by śmigłowce zwiadowcze 10. pułku wystartowały na zachód. Przypominały mu się słowa Eddingtona, że środkiem ciężkości kampanii saudyjskiej wcale nie muszą być obiekty o znaczeniu gospodarczym.

— Nasze oddziały przekroczyły granice królestwa — oznajmił szef wywiadu. —

Napotykają na opór, ale przełamują go. Zniszczona została amerykańska stacja szpiegowska.

Tymczasem wiadomości te wcale nie ucieszyły Darjaeiego, który bezustannie kręcił

głową i powtarzał:

— Skąd mogli wiedzieć? Jak?

Dyrektor lękał się spytać „kto” i „co” mógł wiedzieć, zaryzykował więc:

— To teraz bez znaczenia. Będziemy w Rijadzie za dwa dni.

— Co wiadomo o zarazie w Ameryce? Dlaczego tak mało ich umarło? Dlaczego mogą wysłać przeciw nam wojska?

— Nie wiem — padła szczerą odpowiedź.

— Co w takim razie wiesz?

— Wedle naszych informacji, Amerykanie mają jeden pułk w Kuwejcie, drugi w królestwie, a trzeci wyladowuje w Dharhanie sprzęt ze statków, których nie zatrzymali Hindusi.

— Rozbić ich! — niemal krzyknął Mahmud Hadzi. Cóż za bezczelność ze strony tego Amerykanina, żeby zwracać się do niego bezpośrednio, co jego poddani mogli widzieć, słyszeć i... w co mogli uwierzyć.

— Nasze wojska nacierają na północy i tam się wszystko rozstrzygnie. Odciąganie ich od głównego celu będzie oznaczać tylko stratę czasu.

— W takim razie rakiety!

— Tak jest, wasza świętobliwość.

Generał dowodzący saudyjską Czwartą Brygadą miał liczyć się na swoim terenie tylko z pozorowanym atakiem i być gotowym do uderzenia na ZRI, kiedy tylko ta przypuści zmasowany atak na Kuwejt. Jego błąd, jak w przypadku wielu innych generałów, polegał na tym, że nie dowierzał swemu wywiadowi. Podlegały mu trzy bataliony zmechanizowane, z których każdy bronił frontu o długości pięćdziesięciu kilometrów, oddzielonych dziesięciokilometrowymi lukami. Przy natarciu był to dobry szyk, pozwalający zagrozić flankom przeciwnika, teraz jednak generał bardzo wcześnie utracił środkowy człon swej formacji i bardzo trudno by mu było dowodzić odseparowanymi częściami. Następny błąd polegał na tym, że zamiast się cofnąć, ruszył do przodu. Decyzja wymagała odwagi, ale ignorowała fakt, że za sobą generał miał prawie dwustukilometrowy obszar dzielący go od bazy King Chalid, na którym mógł starannie przygotować kontruderzenie, zamiast podejmować natychmiastowe, pośpieszne kontrnatarcie.

Ofensywa ZRI była oparta na modelu wypracowanym przez armię radziecką w latach siedemdziesiątych. Pierwsze uderzenie, przygotowane i wspierane przez zmasowany ostrzał

artyleryjski, wykonane zostało przez brygadę pancerną. Od samego początku położono nacisk na konieczność natychmiastowej likwidacji Sztormu. Stacja ta, wraz z Palmą — sztabowcy ZRI znali nawet kryptonimy — stanowiły oczy i uszy dowództwa nieprzyjaciela. Nic nie można było poradzić na satelity, ale naziemne stacje wywiadowcze znajdowały się jak najbardziej w zasięgu możliwości. Jak przypuszczano, Amerykanie włączyli się do walki, ale ich siły były nieliczne, a połowę stanowiły operujące tylko za dnia samoloty. Podobnie jak Rosjanie, którzy opracowali plan dotarcia do Zatoki Biskajskiej, ZRI gotowa była zapłacić życiem swoich żołnierzy za szybkość, która pozwoliłaby im zrealizować założone cele, zanim nieprzyjaciel zdąży zmobilizować wszystkie siły.

Skoro Saudyjczycy sądzili, że Darjaei pragnie nade wszystko ich ropy naftowej, niech trwają w tym przekonaniu, bo to w Rijadzie rezydowały rodzina królewska i rząd. Działając tak, ZRI odsłoniła lewą flankę, ale siły stacjonujące w Kuwejcie musiały najpierw przebyć Wadi al-Batin, a potem pokonać trzysta kilometrów pustyni, aby na koniec dotrzeć tam, gdzie będą już wojska irańsko-irackie.

Najważniejsza była przeto szybkość, a warunkiem jej uzyskania było jak najszybsze wyeliminowanie z walki saudyjskiej 4. Brygady. Artyleria skupiona na północ od wielkiego nasypu przeciwczołgowego kierowała się przechwytywanymi komunikatami radowymi Saudyjczyków i rozpoczęła nieprzerwany ostrzał terenu, aby zniszczyć sieć łącznościową oraz jednostki, które bez wątpienia staną rzucone do odparcia ataku. Taktyka ta niemal z całą pewnością musiała być skuteczna, jeśli tylko Darjaei gotów był zapłacić cenę. Przeciw każdemu z trzech nadgranicznych batalionów została rzucona brygada.

Dowódca saudyjskiej 4. Brygady postanowił ogień swej artylerii skupić na centralnym wyłomie, aby w ten sposób zatrzymać oddziały, które zamierzały runąć na stolicę jego państwa.

Tymczasem tędy sunęły przede wszystkim formacje zaopatrzeniowe, a kiedy zabrał się do ich nękania, oddziały bojowe przeciwnika weszły w kontakt z resztką jego sił. W efekcie wyrwa we froncie saudyjskim poszerzyła się trzykrotnie.

Śledząc w punkcie dowodzenia nadchodzące meldunki, Diggs bardzo szybko się zorientował, co zaszło. Taki sam manewr zastosował wobec Irakijczyków w roku 1991, taki sam wobec Izraelczyków, kiedy kilka lat wcześniej dowodził Bizonami, a poza tym dowodził wszak Narodowym Ośrodkiem Szkoleniowym. Tym razem zobaczył ów manewr w wykonaniu przeciwnika. Dla Saudyjczyków wszystko rozgrywało się zbyt szybko. Ich poczynania były dyktowane bardziej przez odruch niż zastanowienie, widzieli ogrom niebezpieczeństwa, ale nie jego kształt, a szybkość wypadków praktycznie ich sparaliżowała.

— Powinien pan cofnąć swoje siły o jakieś pięćdziesiąt kilometrów — powiedział Diggs.

— Będzie pan miał dużo miejsca na manewrowanie.

— Zatrzymamy ich tutaj! — odpowiedział impulsywnie Saudyjczyk.

— Generale, to błąd. Bez potrzeby naraża pan swoją brygadę. Utracony teren można odzyskać, w przeciwieństwie do czasu i ludzi.

Tamten jednak ani myślał słuchać, Diggs nie miał zaś odpowiedniej liczby gwiazdek na pagonach, aby bardziej stanowczo obstawać przy swoim. Jeden dzień, pomyślał, jeden pieprzony dzień.

Załogi helikopterów nie śpieszyły się. 4. szwadron 10. pułku miał sześć śmigłowców zwiadowczych *OH-58 Kiowa* i cztery szturmowe *AH-64 Apache*, wszystkie kosztem uzbrojenia zaopatrzone w dodatkowe zbiorniki paliwa. Ostrzeżenie, że w powietrzu znajdują się wrogie myśliwce, wykluczało

wysoki pułap. Czujniki przeczesywały niebo, aby na czas wykryć emisję radarową z głowic naprowadzających pocisków przeciwlotniczych — należało założyć, że jakieś są w okolicy — podczas gdy piloci przeskakiwali od wzgórze do wzgórze, badając teren przed sobą przy użyciu umieszczonych nad piastą wirnika nośnego noktowizorów i radarów *Longbow*.

Kiedy zbliżali się do terytorium ZRI, od czasu do czasu dostrzegali pojedynczy pojazd zwiadowczy; wyglądało to na kompanię rozrzuconą na terenie trzydziestu kilometrów w okolicach granicy z Kuwejtem. Przez następnych siedemdziesiąt kilometrów widok się nie zmienił, tyle że pojazdy były znacznie cięższe. Kiedy znaleźli się na przedpolach Al-Busaja, dokąd, zgodnie ze zdjęciami satelitarnymi, miała się zbliżać Armia Boga, zobaczyli tylko ślady gąsienic na piasku i kilka pojazdów zaopatrzeniowych, głównie cystern z paliwem. Nie atakowali, gdyż ich zadaniem było jedynie zlokalizowanie głównych sił przeciwnika i określenie kierunku ich marszu.

Następna godzina upłynęła im na przeskakiwaniu od osłony do osłony. Wszędzie widać było pojazdy przenoszące wyrzutnie przeciwlotnicze, najczęściej francuskie i rosyjskie średniego zasięgu. Jednemu z zespołów *Kiowa-Apache* udało się zbliżyć na tyle, by zwiadowcy zobaczyli kolumnę czołgów w sile brygady, wlewającą się przez wyrwę w nasypie, a działo się to w odległości dwustu pięćdziesięciu kilometrów od miejsca ich startu. Helikoptery ograniczyły się do obserwacji i wycofały się bez jednego strzału. Być może następnym razem powrócą w większej liczbie, a na razie nie było sensu ostrzegać przeciwnika o luce w jego powietrznej ochronie.

Najbardziej wysunięty na zachód batalion 4. Brygady nie cofnął się i w większości został

zniszczony. Atak został wzmocniony przez śmigłowce szturmowe ZRI, a chociaż Saudyjczycy dobrze strzelali, zgubił ich brak możliwości manewru. Armię Boga kosztowało to kolejny batalion, ale wyrwa w liniach obronnych Saudyjczyków wynosiła teraz sto osiemdziesiąt kilometrów.

Inaczej rzecz przedstawiała się na zachodzie. Tutejszy batalion, w zastępstwie poległego pułkownika dowodzony przez majora, oderwał się od przeciwnika i, w połowie wyjściowego stanu, skierował się na południowy zachód, a potem usiłował wykręcić na wschód, aby umknąć przed rozwijającym się natarciem. Licząc dwadzieścia czołgów i sześć transporterów opancerzonych *Bradley*, nie miał sił do stacjonarnej obrony, uderzał przeto i czmychał, do chwili gdy zbrakło mu paliwa o pięćdziesiąt kilometrów na północ od bazy King Chalid. Pojazdy zaopatrzeniowe 4. Brygady gdzieś się zapodziały, major wysłał więc szyfrogram z prośbą o pomoc i pozostało mu już tylko zastanawiać się, czy ta kiedykolwiek nadejdzie.

Dla wielu osób było to większym zaskoczeniem niż powinno. Satelita geostacjonarny umieszczony nad Oceanem Indyjskim zarejestrował odpalenie rakiety. Informacja została przekazana do Sannyvale w Kalifornii, a stamtąd do Dharhanu. Zdarzało się już tak uprzednio, ale nigdy jeszcze pocisk nie był wystrzelony z terytorium Iranu. Wojna trwała dopiero od czterech godzin, kiedy pierwszy *Scud* opuścił wyrzutnię umieszczoną na transporterze gdzieś w górach Zagros i pomknął na południe.

— Co teraz? — spytał Ryan.

— Teraz zobaczysz, po co tam nadal są nasze krążowniki *Aegis* — odpowiedział Jackson.

Na dobrą sprawę mogło się obyć bez ostrzeżenia o rakiecie. Radary trzech krążowników i

„Jonesa” przeczesywały niebo i wszystkie jeszcze w odległości ponad stu mil zarejestrowały ślad nadlatującego pocisku. Gwardziści, którzy czekali na swoją kolej, aby wylądować pojazdy, zobaczyli ogniste kule za startującymi w niebo pociskami przeciwlotniczymi, które gnały w kierunku obiektów widocznych w tym momencie tylko dla radarów. W ciemności, jeden po drugim, rozległy się trzy wybuchy i na tym się wszystko skończyło. Ów potrójny grzmot, który spłynął z wysokości trzydziestu kilometrów, sprawił, że żołnierze jeszcze bardziej zapragnęli znaleźć się jak najszybciej w swoich pojazdach.

Na „Anzio” komandor Kemper patrzył, jak na ekranie znika trzecia plamka symbolizująca pocisk. Była to kolejna z ważnych zalet systemu *Aegis*, chociaż znajdowanie się pod ostrzałem nie należało do najbardziej ulubionych zajęć Kempera.

Innym z ważnych wydarzeń tego wieczoru była zażarta walka powietrzna nad granicą.

Samoloty *AWACS* wysledziły formację dwudziestu czterech myśliwców, które wystartowały z zamiarem zniszczenia powietrznego punktu dowodzenia i rozpoznania. Była to próba bardzo kosztowna dla pomysłodawców: żaden z *E-3B* nie został zaatakowany, natomiast dowództwo lotnicze *ZRI* raz jeszcze dowiodło, że potrafi tracić maszyny bez potrzeby. Nawiasem mówiąc, i tak przebieg tego starcia nie miał wpływu na całość operacji. Jeden ze starszych operatorów *AWACS* przypomniał sobie stary żart krążący pośród sztabowców NATO. Radziecki generał

broni pancernej spotyka drugiego w Paryżu i pyta: „Ale, ale, kto właściwie wygrał w powietrzu?”

Wojnę ostatecznie wygrywało się lub przegrywało na ziemi. Tak samo miało być i teraz.

SUMTER

Dopiero w sześć godzin po pierwszym przygotowaniu artyleryjskim intencje nieprzyjaciela stały się czytelne. Wstępny obraz zaczął się rysować dzięki zdjęciom ze śmigłowców, ale wszelkie wątpliwości rozwiały fotografie satelitarne. Marion Diggs natychmiast pomyślał o historycznych precedensach. Kiedy przed I wojną światową najwyższe dowództwo francuskie dostało poufne informacje o planie Schlieffena, reakcja brzmiała: „Tym lepiej dla nas!” Natarcie z trudem powstrzymano na przedpolach Paryża. W roku 1940 wodzowie tej samej armii z ironicznym uśmiechem przyjęli wiadomości o niemieckim ataku, który tym razem oparł

się o Pireneje. Problem polegał na tym, że ludzie wierniej trwali przy swych ideach niż małżonkach, a była to tendencja powszechna. Zatem dopiero po północy Saudyjczycy skłonni byli uznać, że główny trzon ich sił znalazł się nie tam, gdzie trzeba, a zachodnia armia osłonowa została rozniesiona przez nieprzyjaciela, który okazał się zbyt głupi na to, żeby postępować zgodnie z ich oczekiwaniami. Saudyjczycy przegrali walkę manewrową. Nie ulegało najmniejszych wątpliwości, że siły ZRI w pierwszej kolejności pragną zająć King Chalid. O bazę zostanie stoczona bitwa, a jeśli nieprzyjaciel zwycięży, stanie przed nim wybór: zrobić zwrot na wschód, ku Zatoce Perskiej — i polom roponośnym — zamykając zarazem w pułapce siły sojusznicze, albo podążać dalej na południe, aby zdobyć Rijad i dzięki temu politycznemu nokoutowi wygrać wojnę. Diggs musiał przyznać, że plan był nienajgorszy, jeśli tylko dowództwu ZRI uda się go zrealizować. Musieli rozgryźć taki sam problem jak Saudyjczycy: mieli plan, uważali, iż jest znakomity, i również byli przekonani, że ich przeciwnicy ochoczo będą współdziałać w swym unicestwieniu. O tym jednak, czy będzie się po stronie zwycięskiej, czy przegranej decydowała wiedza o własnych ograniczeniach. Dowódcy sił zbrojnych ZRI nie orientowali się jeszcze w tym. Nie było sensu pouczać ich o tym przedwcześnie.

Ryan rozmawiał w Sali Sytuacyjnej ze swoim przyjacielem z Rijadu.

— Orientuję się we wszystkim, Ali — zapewnił prezydent.

— Ale to wygląda bardzo poważnie.

— Niedługo wstanie słońce, a wy macie dość przestrzeni, żeby zyskać dla siebie trochę czasu. Nieraz to się już sprawdziło, wasza wysokość.

— A co zrobią wasze wojska?

— Przecież nie mogą się po prostu zabrać i odjechać do domu, prawda?

— Czy mówisz to z pełnym przekonaniem?

— Wasza wysokość dobrze wie, ile zła oni nam wyrządzili.

— Tak, ale...

— Wiedzą też o tym żołnierze, pamiętaj o tym.

I wtedy Ryan powiedział, że ma pewną prośbę.

— Ta wojna źle się rozpoczęła dla wojsk sojuszniczych — tymi słowami Tom Donnery rozpoczął komentarz transmitowany na żywo przez „NBC Nightly News”. — Taką opinię można przynajmniej usłyszeć z niejednych ust. Połączone siły Iranu i Iraku przełamały obronę saudyjską na zachód od Kuwejtu, i posuwają się na południe. Jestem tutaj pośród żołnierzy 11. pułku kawalerii, popularnie zwanego Czarnym Koniem. Przy mnie stoi sierżant Bryan Hutchison z Syracuse, w stanie Nowy Jork. Sierżancie, jaka jest pana opinia?

— Uważam, że wszystko się dopiero zobaczy. Tyle mogę powiedzieć, że jesteśmy gotowi na wszelkie niespodzianki, ale nie wiem, czy oni są w równym stopniu gotowi na nasze. Proszę pojechać z nami i samemu zobaczyć.

Sierżant nie miał nic więcej do powiedzenia.

— Jak państwo sami widzą, niezależnie od niepomyślnych wiadomości z pola bitwy, nasi żołnierze nie tylko są chętni, ale wręcz palą się do walki.

Głównodowodzący armii saudyjskiej odłożył słuchawkę, zakończywszy właśnie rozmowę ze swym władcą, i zwrócił się do Diggsa.

— Co pan proponuje, generale?

— Uważam, że na początek należałoby przesunąć Piątą i Drugą Brygadę na południowy zachód.

— W ten sposób pozostawimy Rijad bez obrony.

— Nie, generale.

— Powinniśmy natychmiast kontratakować!

— Na razie jeszcze nie, panie generale — powtórzył Diggs, wpatrując się w mapę. 10.

pułk zajmował bez wątpienia interesującą pozycję. Podniósł wzrok. — Panie generale, czy słyszał pan kiedyś historyjkę o młodym i starym byku?

I Diggs opowiedział jeden ze swoich ulubionych dowcipów; po kilku sekundach oficerowie saudyjscy pokiwali z aprobatą głowami.

— Wasza świątobliwość widzi: nawet amerykańska telewizja przyznaje, że wygrywamy

— powiedział z entuzjazmem szef wywiadu.

Dowódca sił powietrznych ZRI był mniej zachwycony. W ciągu jednego dnia stracił

trzydzieści myśliwców w zamian za prawdopodobnie zestrzelone dwie saudyjskie maszyny. Jego plan, by zniszczyć samoloty *AWACS*, które tak bardzo przechylały szansę w powietrzu na korzyść przeciwnika, nie powiódł się, a na dodatek spowodował utratę grupy świetnych pilotów.

Najlepszą dla niego informacją było to, że nieprzyjaciel nie rozporządzał dostateczną liczbą samolotów, aby wdrzeć się na terytorium ZRI i zadać krajowi poważne szkody. Teraz coraz więcej oddziałów napływało z Iranu, aby się wdrzeć od północy do Kuwejtu. Przy odrobinie szczęścia, będzie musiał jedynie osłaniać z powietrza postępy sił lądowych, a tego jego ludzie mogli się nauczyć w ciągu kilku godzin.

Na Dharhan wystrzelono w sumie piętnaście pocisków balistycznych *Scud*. Żadnemu nawet w przybliżeniu nie udało się zagrozić którejs z jednostek KOMEDII; część została przechwycona, większość nieszkodliwie spadła do Zatoki podczas nocy pełnej grzmotów i błysków. Z transportowców wytoczyły się ostatnie pojazdy — na tym etapie były to głównie ciężarówki — i komandor Georg Kemper opuścił lornetkę, która pokazywała brązowe klapy samochodów znikających w porannej mgle. Nie wiedział, dokąd zmiierzają, dobrze jednak wiedział, że pięć tysięcy rozwścieczonych Gwardzistów Narodowych stać na wiele.

Eddington, wraz ze sztabem brygady, znajdował się już na południe od King Chalid. Jego formacja Wilczego Stada nie miałyby zapewne szans, żeby dotrzeć na czas, dlatego skierował ją do Al-Artawija, jednego z tych miejsc, które czasami stają się ważne, gdyż prowadzi do nich wiele dróg. Nie był pewien, czy tak zdarzy się i tym razem, chociaż pamiętał, że dla Roberta Lee Gettysburg był przede wszystkim miejscem, gdzie miał nadzieję zarekwirować dla swych żołnierzy trochę butów. Sztabowcy zajęli się swoimi obowiązkami, on zaś zapalił cygaro i obszedł teren, przyglądając się przyjazdowi dwóch kompanii. Postanowił przejść się trochę, podczas gdy żandarmeria kierowała żołnierzy na pośpiesznie przygotowane stanowiska obronne.

Nad głową grzmiały myśliwce. Na pierwszy rzut oka, amerykańskie *F-15*. Nieźle, pomyślał.

Wróg miał gorące dwanaście godzin. Będzie miał teraz nad czym się zastanowić.

— Panie pułkowniku! — Z otwartego wjazdu *Bradleya* salutował sierżant sztabowy.

Ledwie pojazd stanął, Eddington wdrapał się na górę.

— Jak ludzie?

— Nie mogą się doczekać walki. Gdzie oni? — spytał sierżant i zdjął zakurzone gogle.

Eddington zrobił ruch ręką.

— O sto pięćdziesiąt kilometrów stąd w tamtą stronę, a idą w naszą stronę. Samopoczucie w oddziałach?

— Ilu możemy zabić, zanim nas powstrzymają?

— Czołg — zniszczyć. Transporter — zniszczyć. Ciężarówka — zniszczyć. Wszystko, co porusza się po południowej stronie nasypu i ma broń — zniszczyć. Natomiast żadnej przemocy wobec tych, którzy nie stawiają oporu.

— Uczciwe zasady, panie pułkowniku.

— Z drugiej strony, nie ryzykujcie nadmiernie z jeńcami.

— Tak jest, panie pułkowniku.

Reguły geometrii zdecydowały o tym, że na pierwszy ogień miał pójść Czarny Koń, który z miejsca zbiórki podążał na zachód ku King Chalid. Pułkownik Hamm ustawił swoje jednostki w szyku liniowym, szwadrony 1, 2. i 3., każdy pokrywający odcinek długości trzydziestu kilometrów, rozciągając z północy na południe, podczas gdy 4. szwadron powietrzny trzymał się w zanadrzu i tylko kilka helikopterów zwiadowczych kręciło się na przedpolu.

Oddziały zaopatrzeniowe batalionu zmierzały do miejsca, w którym miała powstać wysunięta baza, teraz jednak nie osiągnęły go jeszcze nawet szpice. Hamm znajdował się w czołgu dowódczym, siedząc bokiem do kierunku jazdy, aby zmniejszyć mdłący wpływ kołysania, i uzyskując pierwsze informacje od wysuniętych oddziałów.

SIM miał zostać po raz pierwszy użyty w prawdziwej sytuacji bojowej, chociaż armia ćwiczyła wykorzystanie tego systemu od pięciu lat. Al Hamm czuł satysfakcję, że to jemu przypadnie w udziale owa próba. Na ekranach w swoim *M-4* miał wszystkie potrzebne dane.

Każdy pojazd był ich odbiorcą i zarazem dostarczycielem informacji taktycznych. Na początek szły informacje o rozmieszczeniu „naszych”, dzięki systemowi *GPS* podawane z dokładnością do metra, co miało zapobiec własnemu ostrzałowi. Wystarczył jeden ruch ręki i Hamm widział

położenie każdego ze swych pojazdów bojowych na elektronicznej mapie, pokazującej zarazem wszystkie ważne taktycznie cechy terenu. Z czasem uzyska również precyzyjny obraz rozlokowania przeciwnika i na tej podstawie będzie mógł podejmować decyzje. Na północny zachód od niego znajdowały się 5. i 2. Brygady saudyjskie, które cofały się od granicy z Kuwejtem. Musi przebyć jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów, zanim pojawi się możliwość kontaktu z przeciwnikiem, a przez te mniej więcej cztery godziny będzie można ostatecznie dopiąć system łączności i sprawdzić, czy wszystko właściwie funkcjonuje. Niewiele żywił w tym względzie wątpliwości, ale sprawdzenie było obowiązkiem, najmniejsze bowiem ustępstwa, które ujawniały się dopiero na polu bitwy, okazywały się niezmiernie kosztowne.

Pozostałości saudyjskiej 4. Brygady usiłowały zebrać się na północ od King Chalid. W

sumie stanowiły jakieś dwie kompanie czołgów i transporterów opancerzonych, które przez całą noc prowadziły na pustyni aktywny odwrót. Niektóre przetrwały dzięki łaskawości losu, inne dzięki cechom ujawniającym się w brutalnym procesie selekcji, jakim jest wojna manewrowa.

Najwyższym w tej chwili dowódcą był major, który zaczynał swoją karierę jako podoficer. Jego

podwładni zapłacili wysoką cenę za to, że bez zapału podchodzili do ćwiczenia własnego systemu informacji międzypojazdowej, zdecydowanie preferując strzelanie i wyścigi po pustyni.

Pierwszą czynnością majora jako dowódcy było odszukanie i ściągnięcie pętających się na tyłach pojazdów zaopatrzeniowych, tak aby jego dwadzieścia dziewięć czołgów i pozostałe maszyny mogły uzupełnić paliwo. Udało się nawet trafić na transportery amunicji, której brakowało już co najmniej w połowie wozów. Następnie pojazdy zaopatrzenia skierował do *wadi* — wyschniętego koryta rzeki — na północny zachód od bazy King Chalid, która miała być jego następną pozycją obronną. Po pół godzinie udało mu się nawiązać kontakt z dowództwem i zażądać wsparcia.

Miał pod swymi rozkazami prawdziwą zbieraninę. Czołgi i transportery pochodziły z pięciu różnych batalionów, większość załóg знаła się słabo albo w ogóle, brakowało mu także oficerów. Bardzo szybko uzmysłowił sobie, że w tej sytuacji musi zrezygnować z bezpośredniego udziału w walce. Z niechęcią przekazał czołg sierżantowi, sam zaś przeniósł się do transportera opancerzonego, który miał więcej środków łączności i zapewniał nieco więcej miejsca. Nie była to łatwa decyzja dla człowieka ukształtowanego przez tradycję, w której mężczyzna winien z mieczem w dłoni prowadzić innych jeźdźców do boju, wiele się jednak nauczył w ciągu ostatniej nocy.

Walki rozpoczęły się po okresie bezruchu, który z perspektywy czasu wydawał się czymś w rodzaju przerwy w meczu piłkarskim. Resztki 4. Brygady saudyjskiej uzyskały czas i przestrzeń, aby dokonać przegrupowań i uzupełnić braki z bardzo prostego powodu: Armia Boga musiała dokonać tego samego. Czołgi i transportery opancerzone nabrały paliwa z cystern podążających za nimi, a następnie zrobiły skok do przodu, co zabrało około czterech godzin.

Dowódcy brygad i dywizji ZRI byli jak na razie zadowoleni. W stosunku do planu — plany zawsze okazywały się nazbyt optymistyczne — brakowało im dziesięciu kilometrów i jednej godziny. Pierwszy opór przełamali przy większych stratach własnych niż zakładano, ale tak czy owak nieprzyjaciel został złamany. Ludzie byli zmęczeni, ale żołnierz powinien być zmęczony, a na drzemkę można było wykorzystać czas tankowania. O brzasku Armia Boga przy ryku uruchamianych silników ruszyła znowu na południe.

Pierwsze starcia tego dnia odbyły się w powietrzu. Zaraz po czwartej samoloty sojusznicze zaczęły startować z baz na południu królestwa. Pierwszymi były *F-15 Eagle*, które dołączyły do trzech *E-3B AWACS*, rozlokowanych na wschód i zachód od Rijadu. Wzbily się także myśliwce ZRI, otrzymujące informacje taktyczne od wielkich naziemnych stacji radarowych na terenie dawnego Iraku. Początek przypominał figury złowrogiego menueta. Obie strony chciały wiedzieć, gdzie znajdują się baterie wyrzutni przeciwlotniczych przeciwnika.

Pierwsze boje miały więc rozegrać się na elektronicznej ziemi niczyjej. Wstępne posunięcie wykonał klucz czterech maszyn z 390. Dywizjonu Myśliwskiego, o przydomku Dziki. *Eagle*, zaalarmowane przez kontrolę lotów, że maszyny ZRI zrobiły zwrot na wschód, odbiły na zachód i pomknęły na dopalaczach nad pustynią, zawracając potem ku morzu. Irańskie *F-4* —

pozostałości z czasów szacha — nie zorientowały się w manewrze. Ostrzeżone przez kontrolę lotów zawróciły, ale ich główny problem polegał na błędnej ocenie sytuacji. Przygotowane były na walkę, w której jedna strona odpala pociski, druga robi unik, by potem — jak w średniowiecznym

pojedyńku — mieć prawo do swojego ciosu. Nikt nie uprzedził irańczyków, że Amerykanie nie trzymają się tego wzorca.

Pierwsze oddały salwę *Eagle*, każdy odpalając jeden *AMRAAM*. Były to pociski typu

„wystrzel i zapomnij”, co pozwalało wycofać się po ataku, piloci jednak postąpili inaczej, nadal prując do przodu, co było zgodne tyleż z teorią, co ze stanem ich uczuć po dziesięciogodzinnym przetrwaniu w sobie słów prezydenta. Starcie miało charakter bardzo osobisty. Trzy z celów zostały zniszczone natychmiast, najwidoczniej zaskoczone przez pociski. Czwarty szczęśliwie umknął przeznaczonej mu rakiecie i zrobił nawrót, aby wystrzelić własną, ale na ekranie swego radaru zobaczył odległy o piętnaście kilometrów myśliwiec, który zbliżał się z szybkością dwóch tysięcy kilometrów na godzinę. Przerażony Irańczyk próbował uniku na południe, co było błędem. Pilot *Eagle*, mając skrzydłowego o kilometr za sobą, zredukował ciąg i znalazł się za ogonem przeciwnika. Chciał widzieć jego koniec i to mu się udało. Zbliżając się do swojej ofiary od strony godziny szóstej, wybrał selektorem uzbrojenia działko. Facet był odrobinę za wolny, żeby uciec. W ciągu piętnastu sekund sylwetka *F-4* wypełniła celownik...

— Lis Trzy, mam zestrzelenie!

Także drugi klucz *Eagle* atakował już swoje cele. Kontrolerzy naziemni ZRI byli zaskoczeni szybkością, z jaką rozgrywały się wypadki, polecieli więc swoim pilotom, aby ustawili się naprzeciw nadlatujących Amerykanów i odpaliły sterowane radarem pociski dalekiego zasięgu. Wbrew oczekiwaniom Amerykanie nie uciekali, natomiast ich taktyka polegała na gwałtownym nurkowaniu i, już po zejściu tuż nad ziemię, utrzymywaniu kursu poprzecznego w stosunku do maszyn ZRI. Taki manewr czynił bezużytecznymi dopplerowskie radary przeciwnika. Następnie *F-15* wybrały swoje cele i odpaliły pociski z odległości mniejszej niż dwadzieścia kilometrów, podczas gdy myśliwce ZRI usiłowały zająć pozycję, która umożliwiłaby kolejny atak. Ostrzeżone, że pojawiły się wrogie rakiety, próbowały uciekać, znalazły się jednak zbyt głęboko w polu zasięgu *Slammerów* i wszystkie cztery również zostały zniszczone.

— Ej, chłopcy, tutaj Bronco — rozległ się na kanale ZRI głos z wyraźnym akcentem z Brooklynu. — Podeślijcie nam jeszcze trochę. Jesteśmy głodni jak jasna cholera. — Lotnik przełączył się na częstotliwość *AWACS-a*. — Tu prowadzący Narwał, znajdzie się jeszcze jakaś robota?

— W waszym sektorze na razie pustka.

— Zrozumiałem.

Podpułkownik dowodzący 390. Dywizjonem na chwilę przechylił się na skrzydło; pod sobą widział masę czołgów ZRI, które wyruszały z miejsca postojów, i po raz pierwszy w życiu pożałował, że nie lata na szturmowych *A-10*. Pułkownik Winters pochodził z Nowego Jorku; wiedział, że także tam zaraza zgarnęła swe śmiertelne żniwo, on zaś był tutaj na wojnie z tymi, którzy za to odpowiadali. Nie satysfakcjonowało go to, że jak dotąd zestrzelił dwa samoloty i zabił trzy osoby.

— Prowadzący Narwał, nie zapominajcie o mnie. Sprawdził stan paliwa; niedługo będzie musiał zatankować. Następne pojawiły się na niebie *Strike Eagle* z 391. Dywizjonu, eskortowane przez *F-*

16 uzbrojone w *HARM*. Mniejsze, jednomiejscowe myśliwce uwijały się z włączonymi detektorami opromieniowania radarowego, szukając ruchomych wyrzutni przeciwlotniczych. Tuż za czołowymi oddziałami odkryły ładną kolekcję francuskich *Crotale* i starych rosyjskich *SA-6*

Gainful. Piloci *F-16* znurkowali, aby przyciągnąć ich uwagę, a potem wystrzelili swoje pociski antyradarowe, aby osłonić nadlatujące *F-15*, które przede wszystkim szukały nieprzyjacielskiej artylerii.

Temu samemu zadaniu służyły *Predatory*. Trzy rozbiły się tuż po tym, gdy przestano nimi sterować ze Sztormu i trzeba było kilku godzin, żeby załatać tę lukę w dopływie informacji.

Pozostało dziesięć bezzałogowych samolotów zwiadowczych. W powietrzu były w tej chwili cztery, które na wysokości dwóch kilometrów przemykały niepostrzeżenie nad poruszającymi się dywizjami. Armia ZRI zaufaniem darzyła tradycyjne ruchome działa, które za plecami dwóch zmechanizowanych brygad przygotowywano właśnie do następnej kanonady, mającej być wstępem do kolejnego skoku w kierunku King Chalid. Jeden z *Predatorów* wykrył grupę sześciu baterii. Dane pomknęły do zespołu gromadzącego je, stamtąd do samolotów *AWACS* i dalej, do szesnastu *Strike Eagle* z 391. Dywizjonu.

Formacja Saudyjczyków czekała w napięciu. Czterdzieści cztery pojazdy bojowe rozstawiły się na terenie ośmiu kilometrów, na tyle bowiem zdecydował się dowodzący nimi major, który musiał pogodzić długość frontu z siłą ognia. Znieruchomieli, kiedy powietrze rozdarło wycie, a potem przed ich pozycjami zaczęły eksplodować pociski kalibru 155 mm.

Pierwszy ostrzał trwał trzy minuty, a wybuchy nieubłaganie zbliżały się w stronę pojazdów saudyjskich.

— Tygrysy, wchodzimy! — krzyknął dowódca formacji *Strike Eagle*. Nieprzyjacielska artyleria najwyraźniej oczekiwała, że gdy ruszą czołgi, także i ona przystąpi do ataku. Widać było wyrzutnie pocisków przeciwlotniczych, którymi próbowały się zająć *F-16*. Od formacji oddzieliły się trzy klucze, które z kolei rozpadły się na sześć par. Baterie ustawione były w równych, eleganckich liniach, obok swoich transporterów, zupełnie jak w podręczniku, pomyślał

podpułkownik Steve Berman. Operator systemów uzbrojenia wybrał zasobniki z subamunicją.

— Chłopcy sami się proszą.

Zrzucili dwa zasobniki *BLU-97*, wypełnione czterystoma bombkami wielkości piłki tenisowej. Pierwsza bateria zniknęła w gigantycznej chmurze piasku wymieszanego z kawałkami metalu i ciał obsługi. W chwilę później eksplodowały zasobniki z amunicją.

— Następna.

Pilot zrobił ciasny skręt w prawo. Operator kazał mu zrobić nawrót do następnej baterii, gdy nagle zobaczył... — Działka przeciwlotnicze na dziesiątej.

Okazało się, że jest to *ZSU-23*, samobieżne działko przeciwlotnicze, którego cztery sprzężone lufy

zaczęły posyłać pociski smugowe w kierunku *Strike Eagle*.

Taniec śmierci trwał tylko kilka sekund. Samolot umknął przed ostrzałem i wystrzelił

pocisk *Maverick*, który w chwilę później unicestwił czterolufowe działko, a pilot mógł zająć się następną baterią haubic.

Przez chwilę miał złudzenie, że bierze udział w ćwiczeniach Red Flag. Walczył w Zatoce w 1991 jako kapitan, ale większość czasu spędził na bezowocnych poszukiwaniach *Scudów*.

Ówczesne doświadczenia bojowe nawet się nie umywały do bardzo realistycznych ćwiczeń Red Flag w bazie Sił Powietrznych Nellis. Teraz było trochę inaczej. Otrzymał zadanie tylko ogólnikowo określone. Szukał celów naziemnych w czasie rzeczywistym, a w przeciwieństwie do Nellis, ludzie z ziemi strzelali do niego prawdziwymi pociskami. On z kolei zrzucał na nich jak najprawdziwsze bomby. Kanonada z ziemi nasiliła się. Wyrównał lot maszyny i zaczął

szukać następnego celu.

Kolejnych dwadzieścia czy trzydzieści pocisków wybuchło jakieś sto metrów od pozycji majora. Pół minuty później spadło następnych dziesięć. Po następnych trzydziestu sekundach już tylko trzy. Potem na horyzoncie, daleko za szeregiem właśnie pokazujących się czołgów, wzniosły się chmury kurzu. Po chwili poczuli pod butami, jak ziemia się trzęsie, a potem doleciał

ich odległy łoskot. W kilka sekund wszystko się wyjaśniło. Ciągnąc na południe, pojawiły się myśliwce w zielonym malowaniu Sił Powietrznych USA. Za nimi, wlokąc za sobą smugę dymu, nadleciał samolot mający trudności z utrzymaniem kursu. Nagle zwałił się na skrzydło, a na niebie rozkwitły dwa spadochrony, które opadły kilometr za jego stanowiskami, wcześniej zaś wielka ognista kula wykwitła w miejscu, gdzie maszyna uderzyła o ziemię. Major wysłał pojazd po lotników, sam zaś skupił uwagę na czołgach, znajdujących się wciąż poza zasięgiem jego ognia, a on jak na razie nie mógł wezwać przeciw nim żadnej artylerii.

Cholera, rzeczywiście wszystko wyglądało jak podczas Red Flag, pomyślał pułkownik, z jednym wyjątkiem: tego wieczoru nie spędzi w klubie oficerskim na opowiadaniu lotniczych łgarstw ani nie wymknie się do Vegas na kilka rundek w kasynie. Przy trzecim przejściu dostał

się w strumień pocisków kalibru 23 mm, *Eagle* był zbyt mocno postrzelany, aby mógł go doprowadzić na lotnisko. Powoli opadał pod czaszą spadochronu. W dole zobaczył nadjeżdżający pojazd, z troską myśląc, kto też to może być. Chwilę później miał już wrażenie, że rozpoznaje *Hummera*, który ostro zahamował w twardym piachu o pięćdziesiąt metrów od miejsca jego lądowania. Zwolnił zaciski spadochronu i wyciągnął pistolet, aczkolwiek był pewien, że to nie wrogowie. Jeden z dwóch Saudyjczyków ruszył w jego kierunku, podczas gdy drugi pojechał

Hummerem do stojącego dalej obserwatora.

— Chodź, chodź — niecierpliwie machnął ręką żołnierz saudyjski. Minutę później pojawił się *Hummer* z jego obserwatorem, który skrzywiony trzymał się za nogę.

— Skręciłem kolano, szefie. Wylądowałem na jakichś cholernych skałach — powiedział, robiąc miejsce na tylnym siedzeniu.

Wystarczyło kilka sekund, by pułkownik przekonał się, że wszystko, co słyszał o saudyjskich kierowcach, było prawdą. Przypomniał mu się film z Burtem Reynoldsem, kiedy samochód gnał do bezpiecznego *wadi*, przyjemnie jednak było zobaczyć kształt znajomych pojazdów. *Hummer* podwiózł ich do czegoś, co można było uznać za stanowisko dowodzenia.

Nadal spadały pociski, ale nieprzyjaciel wyraźnie stracił celność, gdyż lądowały o pięćset metrów przed ich pozycjami.

— Kim pan jest? — spytał podpułkownik Steve Berman.

— Major Abdullah.

Mężczyzna zasalutował, a Berman schował pistolet do kabury i rozejrzał się.

— Zdaje się, że to wam mieliśmy pomóc. Nieźle poradziłyśmy sobie z ich artylerią, ale załatwiła nas ich *Szyłka*. Może pan ściągnąć tutaj helikopter?

— Spróbuję. Jest pan ranny?

— Mój obserwator ma rozpieprzone kolano. Z chęcią byśmy się czegoś napili.

Abdullah podał mu manierkę.

— Spodziewamy się lada chwila ataku — powiedział.

— Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli sobie trochę popatrzę?

Sto sześćdziesiąt kilometrów na południe brygada Eddingtona nadal się formowała. Jeden batalion był całkowicie gotowy, pchnął go więc o trzydzieści kilometrów do przodu, aby, zajmąwszy pozycje po obu stronach drogi do King Chalid, osłaniał pozostałe oddziały, nadciągające z Dharhanu. Na nieszczęście artyleria zjechała po pochylniach na nabrzeże niemal na samym końcu, mógł więc na nią liczyć nie wcześniej niż za cztery godziny. Każdy przybywający oddział kierował na miejsce zbiórki, gdzie uzupełniano paliwo. Wraz z czasem potrzebnym na ponowne sformowanie się i dotarcie na doraźne miejsce przeznaczenia, trzeba było liczyć godzinę na kompanię. Drugi batalion mógł już praktycznie ruszać w drogę. Skieruje go na zachód od drogi, co, wraz z symetrycznym manewrem pierwszego batalionu, podwoi szerokość wysuniętej osłony. Niewtajemniczonym trudno było uwierzyć w to, że rozgrywanie bitwy w o wiele większym stopniu polega na sterowaniu ruchem maszyny bojowej niż na zabijaniu ludzi. I na zdobywaniu informacji. Ostateczną walkę można było przyrównać do końcowego aktu baletu, przed którym przez wiele godzin trzeba rozmieszczać tancerzy

we właściwych miejscach sceny. Te dwa elementy: wiedza, gdzie rozlokować oddziały i dostarczenie ich na miejsce, ściśle się ze sobą wiązały, a Eddington nadal nie miał jasnego obrazu sytuacji. Batalionowa sekcja wywiadu dopiero się organizowała, otrzymując wstępne informacje z Rijadu. Najbardziej wysunięty do przodu batalion utworzył szpicę rozpoznawczą z *Hummerów* i *Bradleyów*, w odległości zaś piętnastu kilometrów za nią pojazdy skryły się za nierównościami terenu, żołnierze zaś przepatrywali przez lornetki cały teren, na razie jednak donosili jedynie o pokazujących się od czasu do czasu zza widnokręgu obłokach pyłu i odległych eksplozjach.

Eddingtonowi było to bardzo na rękę, zyskał bowiem czas na przygotowania, a czas jest jedną z tych rzeczy, na których żołnierzowi nigdy nie zbywa.

— Lobo Sześć, tutaj Wilcze Stado Sześć, odbiór.

— Lobo Sześć, słucham.

— Biały Kieł już ruszył. Za godzinę powinien być na lewo od ciebie. Kiedy znajdzie się na twojej wysokości, odsuń się w prawo, odbiór.

— Lobo Sześć, zrozumiałem, panie pułkowniku. Tutaj nic się nie dzieje. Jesteśmy całkiem nieźle rozlokowani.

— Świetnie, informujcie mnie na bieżąco. Koniec.

Ogień artyleryjski nie ustawał i kilka pocisków wylądowało w *wadi*. Dla pułkownika Bermana było to pierwsze doświadczenie tego typu i niezbyt przypadło mu ono do gustu. Teraz dopiero rozumiał, dlaczego pojazdy były rozrzucone tak szeroko, co w pierwszej chwili wydało mu się dziwactwem. Jeden z wybuchów nastąpił o sto metrów od czołgu, za którym przycupnęli z majorem Abdullahem, chwalić Boga, po drugiej stronie. Wyraźnie słyszeli grzechot odłamków o pomalowany na żółto-brązowo pancerz.

— To wcale nie jest zabawne — oznajmił Berman, potrząsając głową, aby pozbyć się chwilowej głuchoty.

— Dzięki, że zajęliście się resztą ich artylerii, bo zaczynało być naprawdę okropnie —

powiedział Abdullah, nie odrywając lornetki od oczu. Nacierające *T-80 ZRI* były jeszcze o ponad trzy kilometry i na razie nie dostrzegły jego *MIA2*.

— Od jak dawna utrzymujecie kontakt bojowy?

— Zaczęło się wczoraj o świcie. To wszystko, co pozostało z Czwartej Brygady.

Informacja ta bynajmniej nie dodała otuchy Bermanowi. Nad ich głowami wieża czołgu drgnęła odrobinę w lewo. W radiu majora rozbrzmiała krótka fraza, na którą odpowiedział

jednym słowem, właściwie wykrzyczanym. Sekundę później czołg po lewej szarpnął się o pół

metra do tyłu, a z lufy wykwitł płomień wylotowy. Na przekór wszelkiej logice Berman wyciągnął szyję. W oddali zobaczył słup dymu, który wzniósł się nad wieżą czołgową.

— Czy mogę skorzystać z jakiegoś radia?

— Niebo Jeden, tutaj Prowadzący Tygrys — usłyszał oficer na pokładzie *AWACS-a*. —

Jestem na ziemi w grupie czołgów saudyjskich na północ od King Chalid. — Berman podał pozycję. — Wali na nas silne natarcie. Czy możecie w czymś pomóc?

— Tygrys, potwierdź swoją tożsamość.

— Do jasnej cholery, wszystkie pieprzone kody zwały się razem z moim *F-15*.

Nazywam się Steve Berman, jestem pułkownikiem w Mountain Home, ale teraz jest ze mnie po prostu kawał wkurwionego lotnika. Niebo, czterdzieści minut temu rozpieprzyliśmy trochę irackiej artylerii, ale teraz czołgi chcą nam wprasować dupy w piasek. Wierzcie, nie wierzcie, ale fajnie nie jest.

Chyba Amerykanin, pomyślał oficer.

— Jak się dokładnie przyjrzyjecie, to zobaczycie, że ich czołgi strzelają na południe, nasze na północ, a my jesteśmy pośrodku. — Tę porcję informacji okraślił odgłos eksplozji. — Zupełnie mi się to nie podoba.

— Dobra — zdecydował kontroler. — Tygrys, czekaj. Prowadzący Diabeł, tutaj Niebo Jeden, mamy dla ciebie robótkę...

Wszystko nie układało się do końca tak, jak planowano, ale zawsze tak było. Powinny napływać cząstkowe rozkazy, które taktyczne siły lotnicze rozdzielałyby na grupy łowieckie, na to jednak za mało było maszyn, a i czasu nie starczało na wyznaczanie grup. Niebo Jeden miało w tej chwili do dyspozycji klucz czterech maszyn, czekający na jakieś „prace ziemne”. No i właśnie się jedna nadarzyła.

Pierwsze czołgi zatrzymały się, aby odpowiedzieć ogniem, ale w obliczu zamontowanego w *Abramsach* systemu sterowania ostrzałem była to czynność samobójcza, a na dodatek Saudyjczycy odbyli już tego dnia zaawansowany kurs strzelecki. Nieprzyjaciel rozpoczął odwrót, rozjeżdżając się na lewo i prawo, i wypuszczając z silników chmury dymu, aby pogorszyć widoczność i tak już ograniczoną przez kopcące wraki znieruchomiałych czołgów. To starcie trwało pięć minut i kosztowało ZRI co najmniej dwadzieścia maszyn — tylu doliczył się Berman

— bez strat po stronie Saudyjczyków. Może ostatecznie nie było jednak tak źle.

Z zachodu nadleciały *A-10* na pułapie dwustu metrów i zrzuciły bomby *Mark-82* w sam środek

formacji przeciwnika.

— Wspaniale! — zawołał po angielsku major Abdullah. Trudno było ocenić, jakie straty poniósł wróg w wyniku nalotu, ale jego podwładni wiedzieli teraz, że nie są zdani tylko na samych siebie.

Jeśli coś się zmieniło na ulicach Teheranu, to stały się one jeszcze bardziej ponure. Tym, co uderzyło Clarka i Chaveza (obecnie: Klierka i Czechowa), było milczenie. Ludzie mijali się bez słowa. Na ulicach zdecydowanie mniej widziało się mężczyzn, rezerwiści zostali bowiem wezwani do centrów mobilizacyjnych, gdzie otrzymali broń i zaczęli się szykować do wymarszu na wojnę, którą ich kraj z ociąganiem ogłosił po deklaracji prezydenta Ryana.

Rosjanie podali im adres domu Darjaeiego, oni zaś mieli się tylko przyjrzeć, co nie było taką prostą sprawą w stolicy kraju, który prowadził wojnę. Szczególnie, jeśli odwiedzało się to miasto bardzo niedawno, bezpośrednio stykając z miejscowymi służbami bezpieczeństwa.

Komplikacji było co niemiara.

Z odległości dwóch przecznic mogli stwierdzić, że Darjaei żył skromnie. Dwupiętrowy budynek stał przy uliczce, nie różniący się od innych, i także on sam niczym się nie wyróżniał, jeśli nie liczyć wartowników przed wejściem i kilku samochodów przy krawężniku. Przy bliższym wejrzeniu okazało się również, że ludzie unikają tej strony ulicy.

— Kto jeszcze tam mieszka? — spytał Klierk rosyjskiego rezydenta, który występował

tutaj jako drugi sekretarz ambasady i wykonywał wiele dyplomatycznych funkcji, aby legenda miała pokrycie.

— Naszym zdaniem, przede wszystkim ochrona. — Siedzieli w kawiarni, popijali kawę i starali się nie spoglądać w kierunku budynku, który ich tak interesował. — Domy po obu stronach zostały opróżnione, ten nabożny człowiek bardzo się bowiem troszczy o swoje bezpieczeństwo. Pod jego rządami ludzie stają się coraz bardziej niespokojni, wygasł już także entuzjazm po zdobyciu Iraku. Sam pan na pewno dostrzega ten nastrój równie wyraźnie jak ja, Klierk. Irańczycy niemal od zawsze żyli pod rządami tyranów, ale są coraz bardziej tym zmęczeni. To było bardzo mądre posunięcie ze strony waszego prezydenta, że ogłosił wojnę, zanim Darjaei to zrobił. Ten szok był skuteczny. Lubię waszego prezydenta — dodał. —

Podobnie jak Siergiej Nikołajewicz.

— Budynek jest całkiem niedaleko, Iwanie Siergiejewiczu — powiedział cicho Chavez, gestem ręki przywołując kelnera, żeby złożyć nowe zamówienie. — Dwieście metrów w prostej linii.

— Co z ubocznymi skutkami? — zaniepokoił się Clark.

— Wy, Amerykanie, za bardzo się przejmujecie takimi rzeczami — zauważył z pewnym rozbawieniem prezydent.

— Towarzysz Klierk zawsze miał miękkie serce — potwierdził Czechow.

W bazie lotniczej w Holloman w stanie Nowy Meksyk ośmiu pilotów zgłosiło się do szpitala, aby zbadano im krew. Nareszcie pojawiły się w dostatecznej ilości zestawy testujące.

Pierwsze partie skierowano przede wszystkim do Sił Powietrznych, które w krótkim czasie dostarczyć mogły więcej siły rażenia niż inne bronie. Odnotowano kilka przypadków zachorowań w pobliskim Albuquerque, którymi zajął się wydział medyczny Uniwersytetu Stanowego Nowego Meksyku. Dwa wydarzyły się także w samej bazie — sierżant i jego żona; on już nie żył, ona była umierająca — a informacja o tym rozeszła się po całej jednostce, wzmagając jeszcze wściekłość żołnierzy. Wyniki badań wszystkich lotników okazały się negatywne, a reakcją było coś więcej niż normalna w tej sytuacji ulga. Wiedzieli już, że mogą się zemścić. Następnie przyszła kolej na personel naziemny i tutaj także wyniki były negatywne.

Wszystkim kazano szykować się do drogi; połowa pilotów zajęła miejsca za sterami niewidocznych dla radaru *F-117 Nighthawk*, druga połowa drogę do Arabii Saudyjskiej odbyć miała na pokładzie *KC-10*, spełniających rolę cystern i transportowców. Informacja lotem błyskawicy rozeszła się po bazie. 366. Skrzydło i *F-16* stacjonujące w Izraelu spisywały się znakomicie, ale nikt nie chciał pozostać na uboczu, zaś lotnicy z Holloman stanowić mieli czoło drugiej fali.

— Czy on czasem nie zwariował?

Z tym pytaniem dyplomata zwrócił się do swego irańskiego kolegi. To właśnie agentom rosyjskiej SWR przypadła w udziale najbardziej niebezpieczna, a w każdym razie z pewnością najbardziej delikatna część zadania.

— Nie wolno tak mówić o naszym przywódcy — odparł urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych ZRI.

Rozmowę prowadzili, przechadzając się ulicą.

— Dobrze zatem; czy wasz uczony i świątobliwy przywódca rozumie, co musi się stać, kiedy ktoś sięga po broń masowego rażenia? — spytał oficer wywiadu. Obaj wiedzieli, że odpowiedź brzmi negatywnie. Od ponad pięćdziesięciu lat żadne państwo nie zdecydowało się na takie posunięcie.

— Być może przeliczył się w swoich rachubach — odpowiedział ostrożnie Irańczyk.

— Istotnie — rzekł Rosjanin i poczekał, aż to słowo dobrze zapadnie rozmówcy w pamięć. Od ponad roku pracował nad tym dyplomata średniego szczebla. — Cały świat wie już teraz o wszystkim. A jakim sprytnym posunięciem było korzystanie z tego samego samolotu. To człowiek szalony i dobrze o tym wiesz. Twój kraj stanie się pariasem...

— Nie, jeśli uda nam się...

— Zgoda. Ale jeśli wam się nie uda? — spytał Rosjanin. — Wtedy będziecie mieć wszystkich przeciwko sobie.

— Czy to prawda? — spytał duchowny.

— Jak najbardziej — odpowiedział gość z Moskwy. — Prezydent Ryan jest człowiekiem honoru. Przez większość swojego życia był naszym bardzo niebezpiecznym wrogiem, ale teraz, kiedy nastał między nami pokój, stał się naszym przyjacielem. Jest bardzo szanowany zarówno przez Izraelczyków jak i Saudyjczyków. Książę Ali ibn Szejk i prezydent Ryan są przyjaciółmi.

Powszechnie o tym wiadomo. — Rozmowa toczyła się w Aszchabadzie, stolicy Turkmenii, nieprzyjemnie blisko irańskiej granicy, szczególnie że poprzedni prezydent zginął w wypadku samochodowym (sprokurowanym, tego Moskwa była pewna) i zbliżały się następne wybory. —

Niech wasza świątobliwość sam sobie zada pytanie, dlaczego prezydent Ryan wypowiedział takie słowa o islamie. Zaatakowano jego kraj, jego dziecko, nawet jego samego, a czy zwraca się przeciwko waszej religii? Nie. Czy tak może postępować człowiek nieszlachetny?

Mężczyzna po drugiej stronie stołu pokiwał głową.

— To możliwe. Cóż cię do mnie sprowadza?

— Bardzo proste pytanie. Czy jako człowiek religijny może wasza świątobliwość pochwalić działania podjęte przez Zjednoczoną Republikę Islamską?

Tamten zareagował oburzeniem.

— Allach brzydzi się zabijaniem niewinnych. Każdy o tym wie.

Rosjanin pokiwał głową.

— Wasza świątobliwość sam musi zatem rozstrzygnąć co ważniejsze: władza polityczna czy wiara.

Sprawa nie była jednak aż tak prosta.

— A co macie nam do zaoferowania? Ludzie oczekują ode mnie, że nie pozwolę im pograć się w nędzy. Samą wiarą nie nakarmię wiernych.

— Większa autonomia, swobodna wymiana handlowa z resztą świata, bezpośrednie połączenia lotnicze z innymi krajami. My i Amerykanie pomożemy związać was liniami kredytowymi z islamskimi państwami znad Zatoki. Oni nigdy wam nie zapomną tego aktu przyjaźni — zapewnił przyszłego premiera Turkmenii.

— W jaki sposób bogobojny człowiek może się posunąć do takich zbrodni?

— Wasza świątobliwość — powiedział Rosjanin, chociaż nie był aż tak do końca przekonany o świętości swego rozmówcy — iluż to ludzi zaczyna od szlachetnych uczynków, a kończy na podłości? To lekcja, którą wszyscy powinniśmy dobrze zapamiętać. Władza to rzecz zabójcza, a najbardziej niebezpieczna dla tych, w których rękach spoczywa. Wasza świątobliwość musi

postanowić, jakiego typu przywódcą chce być i z jakimi przywódcami reszty świata chce się związać.

Gołowko wyprostował się i pociągnął łyk herbaty. Jakimż błędem ze strony jego kraju był

brak zrozumienia dla sprawy religii. Siedzący przed nim człowiek uchwycił się kurczowo islamu, aby w ten sposób przeciwstawić się dawnej władzy, w niezmienności dogmatów i wartości znajdując to, czego brakowało mu w rzeczywistości politycznej. Teraz zaś, gdy wspinał się na szczyty władzy politycznej, czy nie zmieni się gruntownie? To było niebezpieczeństwo, z którym należało się poważnie liczyć. Jego rozmówca nie zastanawiał się chyba nad tym dotąd, teraz jednak musiał. Szef SWR wpatrywał się w człowieka, który dokonywał rachunku sumienia, a więc czegoś, co wedle dogmatów marksizmu nie istniało.

— Nasza religia nakazuje wierność Bogu, a nie zbrodni. Prorok mówi o Świętej Wojnie, ale nie może ona dotyczyć niewinnych. Do czasu, gdy Mahmud Hadzi nie dowiedzie fałszywości postawionych mu zarzutów, nie mogę być jego sojusznikiem, cokolwiek by mi obiecał. A kiedy przyjdzie odpowiedni czas, z chęcią spotkałbym się z prezydentem Ryanem.

O 13.00 czasu miejscowego przypuszczenia zaczęły się potwierdzać. Proporcje okazały się nader niezachęcające, pomyślał Diggs: pięć dywizji przeciw czterem brygadam, na dodatek rozrzuconym. Nie można jednak bezradnie opuszczać rąk.

Brygadzie saudyjskiej udało się przez trzy godziny wytrwać honorowo na swych pozycjach na północ od bazy King Chalid, teraz jednak, zagrożona okrążeniem, musiała się wycofać, niezależnie od pragnień najwyższych sztabowców. Diggs, mówiąc szczerze, nie wiedział nawet dokładnie, kto tam dowodzi, miał jednak niedługo spotkać się z odpowiednią osobą. Na razie najważniejsze było to, jak lata treningów spożytkować do tego, aby jak najwięcej taktycznych korzyści wyciągnąć z zaistniałej sytuacji.

Zgodnie z jego sugestią, ewakuowano King Chalid. Jednym z bolesnych tego kosztów była konieczność rezygnacji z tamtejszych możliwości wywiadowczych. W szczególności zespoły sterujące *Predatorami* musiały się wycofać, same bowiem miały znaleźć się na linii Wilczego Stada na północ od Al-Artawija. Kiedy dobrze się nad tym zastanowić, bitwa okazywała się w istocie podobna do zakrojonych na wielką skalę ćwiczeń w Narodowym Ośrodku Szkoleniowym, tyle że zamiast trzech batalionów miało się przeciw sobie trzy korpusy.

W operacyjnym planie przeciwnika była widoczna luka. Omijając Kuwejt, nie zabezpieczył odpowiednio swego lewego skrzydła, może dlatego, że nie wydawało się to potrzebne, a może chcąc zyskać więcej swobody na początku operacji, aby w jej trakcie załatać dziurę, jak to właśnie czyniono teraz. No cóż, każda operacja wojskowa musi mieć także swoje słabe strony.

Zapewne podobnie rzecz się miała z jego planem operacji SUMTER, tyle że on nie dostrzegł owych słabych stron, chociaż zastanawiał się już nad tym od dwóch godzin.

— Więc jak, panowie, wszyscy się zgadzają? — Obecni w pokoju oficerowie saudyjscy byli wyżsi od niego rangą, ale zeszli się tutaj, aby ocenić logiczną spójność planu. Generałowie pokiwali głowami. Przestali już nawet rozpaczać nad opuszczeniem King Chalid. Bazę zawsze przecież można odbudować. — Zatem o zachodzie słońca rozpoczynamy operację Budford.

Cofali się stopniowo. Pojawiło się kilka samobieżnych dział saudyjskich, które postawiły zasłonę dymną. W chwilę później połowa maszyn majora Abdullaha porzuciła swe stanowiska i ruszyła na południe. Oddziały na flankach już wcześniej zaczęły się przemieszczać, nieustannie odpierając podejmowane przez nieprzyjaciela próby oskrzydlenia.

Nie pojawił się helikopter po Bermana, dla którego to popołudnie, pełne hałaśliwych zdarzeń, okazało się bardzo kształcące. Zobaczył to, czego nie widać było z góry. Cztery razy na jego wezwania pojawiały się z odsieczą samoloty, a efekty tego zapamięta na długo, jeśli uda im się wymknąć z okrążenia.

— Czas na nas, panie pułkowniku — powiedział Abdullah. Razem pobiegli w kierunku wozu dowodzenia, kończąc w ten sposób pierwszą bitwę pod King Chalid.

Rajd Griersona

To, co pokazywała mapa, nie nastrajało optymistycznie. Każdy mógł zobaczyć długie, czerwone strzałki i krótkie strzałki niebieskie. Mapy w wiadomościach porannych nie różniły się od tych, które wywieszane były w Sali Sytuacyjnej, a komentarze, w szczególności „ekspertów”, informowały, że Amerykanie i Saudyjczycy są znacznie słabsi od nieprzyjaciela, a na dodatek zostali niewłaściwie rozlokowani, plecami zwrócenii do Zatoki. Potem jednak nadeszły bezpośrednie reportaże, przekazywane przez satelity.

— Słyszeliśmy opowieści o zacieklej walkach powietrznych na północnym zachodzie

— oznajmił Donner przed kamerą — gdzieś w Arabii Saudyjskiej. Ale żołnierze pułku Czarny Koń jeszcze muszą poczekać na akcję. Nie mogę powiedzieć, gdzie teraz jestem. Mówiąc szczerze, nawet tego nie wiem. Nasz oddział zatrzymał się tutaj, aby uzupełnić paliwo, wlewając tysiące litrów do zbiorników wielkich czołgów *M1 Abrams*. To prawdziwy pożeracz benzyny, powiadają żołnierze. Ich nastrój nie zmienia się. Są wściekli. Nie wiem, co czeka nas za zachodnim horyzontem. Nieprzyjaciel jest gdzieś tam i w wielkiej sile przesuwa się na południe; wkrótce po zachodzie słońca oczekujemy z nim kontaktu. Mówił Tom Donner, pułk Czarny Koń

— zakończył reporter.

— Całkiem nieźle — zauważył Ryan. — Kiedy to idzie na antenę?

Telewizyjne wiadomości przekazywane były bezpiecznymi kanałami wojskowymi. Nie było szans, by wywiad ZRI mógł ustalić, kto i gdzie się znajduje. Tak czy owak, informacja o porażce armii saudyjskiej rozeszła się natychmiast. Rozpuszczona w Waszyngtonie i rozmyślnie nie komentowana przez Pentagon, była powszechnie uważana za prawdziwą.

— Dzisiaj wieczór, może wcześniej — odpowiedział generał Mickey Moore. — Słońce zachodzi tam za trzy godziny.

— Damy radę? — spytał Ryan.

— Tak, panie prezydencie.

Wilcze Stado, czyli 1. Brygada Gwardii Narodowej Północnej Karoliny, była już w pełni sformowana. Śmigłowcem *UH-6 Black Hawk* Eddington obleciał wszystkie swoje wysunięte jednostki. Lobo, jego 1. batalion, lewe skrzydło oparł o drogę prowadzącą z Al-Artawija do bazy King Chalid. Biały Kieł, 2. batalion, rozłożony był po zachodniej stronie szosy. Kojot, 3.

batalion, znajdował się w rezerwie i został przesunięty na zachód, gdyż tutaj Eddington spodziewał się zyskać największe możliwości manewrowe. W celu pokrycia obu skrzydeł, batalion artylerii podzielił się na dwie części, które mogły także zapewnić obronę centrum. Nie dysponował żadnym sprzętem lotniczym i jedynym, co mu się udało uzyskać, były trzy *Black Hawki* dla personelu medycznego. Miał także grupę zwiadu, batalion wsparcia, oddział sanitarny, pluton żandarmerii i

wszystkie inne elementy, które organicznie przynależą do jednostki wielkości brygady. Przed dwoma wysuniętymi do przodu batalionami znajdował się oddział

rozpoznawczy, którego zadaniem było, po pierwsze, dostarczanie informacji, a po drugie —

odciągnięcie uwagi nieprzyjaciela, kiedy ten już się pokaże. Przez chwilę myślał, aby poprosić o kilka szturmowych helikopterów *Apache*, ponieważ jednak wiedział, jaki użytek chce z nich zrobić Hamm, rozumiał, że byłaby to tylko strata czasu. Musiały mu wystarczyć informacje uzyskane od oddziału rozpoznawczego.

Widział z góry, że wszystkie rozstawione z przodu *M1A2* oraz *Bradleye* zajęły odpowiednie miejsca, najczęściej tak ułożone za wydmami i nierównościami terenu, że nie widać było nawet szczytu wież, a ponad wzniesienie wystawała tylko głowa dowódcy czołgu prowadzącego obserwację przez lornetkę. Czołgi były oddalone od siebie o nie mniej niż trzysta metrów, z reguły jednak więcej, co utrudniało skuteczny ostrzał artylerii oraz atak z powietrza.

Powiedziano mu, że o ten ostatni może się nie martwić, on jednak wolał być przezorny.

Dowódcy pododdziałów znali swą robotę na tyle dobrze, na ile jest to możliwe w przypadku rezerwistów. Szczerze mówiąc, cała operacja przypominała zadanie z podręcznika napisanego przez Guderiana, a praktycznie wypróbowanego przez Rommla, następnie zaś przez większość dowódców jednostek pancernych świata.

Odwrót rozpoczął się od piętnastokilometrowego skoku, wykonanego z szybkością wystarczającą, by uciec przed ogniem artylerii — tak przynajmniej wyobrażał sobie to Berman, który dopiero poniewczasie przypomniał sobie, że u podstawy wszystkich jego ocen leży doświadczenie uskakiwania przed ostrzałem z szybkością co najmniej piętnaście razy większą.

Jechali z otwartymi włazami; Berman, oglądając się do tyłu, widział brązowoczarne chmury wybuchów artyleryjskich. Nigdy dotąd nie zdawał sobie sprawy z tego, na czym polega stacjonarna obrona, kiedy jest się przede wszystkim zdany na siebie. Z początku sądził, że zobaczy gromadę pojazdów i ludzi, ale natychmiast przypomniał sobie, co on sam robił na widok takiego skupiska. Doliczył się ponad pięćdziesięciu kolumn dymu, wszystkie z pojazdów zniszczonych przez saudyjską armię. Być może i nie przykładali się specjalnie do ćwiczeń — tak przynajmniej głosiła wieść — ten jednak oddział potrafił stawić czoło przeciwnikowi pięciokrotnie silniejszemu i wytrzymać tak trzy godziny.

Nie obyło się bez strat. Kiedy spoglądał przed siebie, widział zaledwie piętnaście czołgów i osiem transporterów opancerzonych, chociaż miał nadzieję, że może jakieś skryły się jeszcze w chmurach pyłu. Zerknął także w górę. Miał nadzieję, że stamtąd nic już im teraz nie groziło.

I rzeczywiście, nie groziło. W ciągu dnia zniszczonych zostało trzydzieści myśliwców ZRI — wszystkie w bezpośrednich pojedynkach powietrznych — a także sześć amerykańskich i saudyjskich, wszystkie trafione ogniem z ziemi. Przeciwnik nie potrafił sprostać przewadze, którą siłom sojuszniczym zapewniały *AWACS-y*, i udało mu się co najwyżej tyle, że odciągnął te ostatnie od zwalczania oddziałów naziemnych, które w przeciwnym wypadku mogłyby zostać całkowicie

zatrzymane. Bezlądna mieszanina, z reguły przestarzałych amerykańskich, francuskich i rosyjskich myśliwców wyglądała imponująco na papierze i płycie startowej, ale nie w powietrzu. W nocy przewaga aliantów malała. Tylko niewielka grupa *F-15E Strike Eagle* była zdolna do działania we wszelkich warunkach atmosferycznych. Wywiad ZRI zapewniał, że w obszarze działań wojennych nie ma tych maszyn więcej niż dwadzieścia, nie będą więc w stanie wyrządzić wielkich szkód. Nacierające dywizje zatrzymały się w pobliżu King Chalid, aby uzupełnić paliwo i amunicję. Jeszcze jeden taki skok, myśleli dowódcy, i staną w Rijadzie, zanim Amerykanie zdążą się zorganizować. Inicjatywa ciągle była po stronie ZRI, której armia znajdowała się w połowie drogi do ostatecznego celu.

Palma śledziła rozwój sytuacji, przechwytyjąc na południowym zachodzie komunikaty radiowe, ale teraz musiała również zwracać uwagę na zagrożenie, którym stały się irańskie pancerne dywizje nadciągające od północy. Być może wodzowie ZRI sądzili, że kiedy armia królestwa Arabii Saudyjskiej zostanie zlikwidowana albo przynajmniej uwikłana w bardzo ciężkie walki, Kuwejtczyzy poczują się zmuszeni do bierności, ale jeśli tak, byłby to kolejny przykład myślenia życzeniowego. Granicę przekroczyć można w obu kierunkach, a rząd Kuwejtu doszedł do słusznego wniosku, że bezczynność może tylko pogorszyć jego sytuację. I znowu wystarczyłby jeszcze jeden, jedyny dzień, żeby dopiąć wszystko do ostatniej sprzączki. Tym razem jednak to przeciwnikowi zabrakło czasu.

4. szwadron powietrzny 10. pułku kawalerii pancernej, wystartował dwadzieścia minut po wschodzie słońca i skierował się na północ. Granicy powinny tam pilnować lekkie jednostki zmotoryzowane ZRI, które miały być później zluzowane przez oddziały przekraczające właśnie deltę Tygrysu i Eufratu. Na te składały się dwa bataliony żołnierzy w ciężarówkach i lekkich transporterach. Sporo rozmawiali ze sobą przez radio, a dowódcy przesuwali swobodnie jednostki do przodu i do tyłu, zupełnie nieprzygotowani na atak ze strony kraju dziesięć razy mniejszego od ich ojczyzny. Przez następną godzinę wszystkie dwadzieścia sześć śmigłowców szturmowych *Apache* z pułku Bizonów polowało na nie przy użyciu działek i pocisków raketowych, torując w ten sposób drogę kuwejckiej brygadzie zmechanizowanej, której pojazdy zwiadowcze rozjechały się w poszukiwaniu wysuniętych szpic irańskich. Pięć kilometrów za nimi znajdował się batalion pancerny ZRI i pierwsze, a wielkie — gdyż absolutnie nie zapowiadane przez wywiad ZRI — zaskoczenie tej nocy polegało na tym, że rozpoczęło się ono od salwy dwudziestu armat czołgowych, które trafiły piętnaście celów. Pierwszy kontakt z nieprzyjacielem zakończył się sukcesem, oddziały kuwejckie z zapalem kontynuowały więc atak.

Wszystko im sprzyjało. System noktowizyjny funkcjonował bez awarii. Nieprzyjaciel znalazł się na niekorzystnym terenie i nie miał gdzie umknąć.

Przysłuchując się rozmowom radiowym w Palmie major Sabah znowu dowiadywał się o wszystkim z drugiej ręki. Okazało się, że z irańskiej 4. Dywizji Pancerniej przedarła się tylko jedna brygada, zasadniczo formacja odwodowa, która na oślep, pozbawiona oddziałów zwiadowczych, posuwała się wprost pod lufy nadciągających czołgów. Sytuacja, myślał Sabah, zupełnie podobna do tego, co przydarzyło się jego krajowi rankiem 1 sierpnia 1990 roku. W trzy godziny po zachodzie słońca jedyna użyteczna droga prowadząca do południowego Iraku została całkowicie odcięta, a wraz z nią możliwość szybkich uzupełnień dla Armii Boga. Podczas nocy, precyzyjnie nakierowane bomby

inteligentne zniszczą mosty. Była to niewielka walka niewielkiego państwa, niemniej zwycięstwo w niej pozwoliło przygotować scenę dla połączonych sił aliantów. Pododdziały lądowe Bizonów kierowały się już na zachód, podczas gdy szwadron powietrzny powrócił do bazy, aby uzupełnić paliwo oraz amunicję, pozostawiając dzielną armię Kuwejtu, aby strzegąc tyłów, szykowała się do następnego starcia.

1. Korpus ZRI aż do tej chwili pozostawał w odwodzie. Jedną jego część stanowiła irańska 1. Dywizja Pancerna, „Nieśmiertelni”, drugą inną dywizja pancerna, w skład której weszli pozostali przy życiu oficerowie Gwardii Republikańskiej oraz weterani wojny w Zatoce.

2. Korpus przedarł się przez granicę i prowadził teraz w pochodzie na King Chalid. W trakcie walk stracił ponad jedną trzecią stanu osobowego. Posuwając się, zbaczał na lewo, na wschód, aby zrobić miejsce 1. Korpusowi, dotąd nietkniętemu, jeśli nie liczyć kilku nalotów. 2. Korpus miał ochraniać nadciągające siły przed kontruderzeniami, których spodziewano się od strony Zatoki Perskiej. Wszystkie jednostki wraz z zapadnięciem zmroku pchnęły naprzód oddziały zwiadu.

Najdalej wysunięte z nich dotarły na przedpola King Chalid, ale, ku swemu zdziwieniu, nigdzie nie napotkały oporu. Ośmielony tym stanem rzeczy dowódca batalionu rozpoznawczego kazał żołnierzom wkroczyć do bazy, w której nie znaleźli nikogo, mieszkańcy bowiem opuścili ją poprzedniego dnia. Wydawało się to logiczne. Armia Boga nieustępliwie posuwała się naprzód, a chociaż otrzymała kilka ciężkich ciosów, Saudyjczycy w żaden sposób nie mogli jej powstrzymać. Zadowolony dowódca nieco ostrożniej posuwał się wciąż dalej na południe. Tutaj należało się już liczyć z jakimś oporem.

Głównym zadaniem żandarmerii Eddingtona było przetransportowanie na południe mieszkańców King Chalid, aby usunąć ich z drogi nadciągających sił. Wyraz przygnębienia na twarzach Saudyjczyków zmieniał się, kiedy zauważyli, co czeka na nieprzyjaciela pomiędzy King Chalid a Al-Artawija. Ostatnie jednostki żandarmerii saudyjskiej dotarły do szpicy osłonowej o 21.00 czasu lokalnego i poinformowały, że nikogo za nimi już nie ma. Co nie było prawdą.

Z lekkimi pojazdami na przedzie i osłaniającymi tyły czołgami, których wieże były obrócone za siebie, major Abdullah cofał się, chociaż z chęcią spróbowałby pobronić jeszcze jakieś pozycji, dobrze jednak wiedział, że brak mu już sił na przeciwstawienie się nawałnicy.

Jego ludzi byli wyczerpani po dwudziestoczerogodzinnych nieustannych działaniach bojowych, a w największym stopniu dotyczyło to kierowców czołgów. Co rusz zasypiali i budziły ich dopiero okrzyki dowódców, zaniepokojonych zbaczeniem pojazdu. Abdullah niepokoił się również, czy wystarczająco wcześnie rozpoznają ich oddziały sojusznika.

Na ekranach kamer termowizyjnych pojawili się najpierw jako białe plamy poruszające się drogą. Eddington przypuszczał, że mogą jeszcze się zjawić jakieś niedobitki armii saudyjskiej i uprzedził o tym swoich obserwatorów, ale upewniły go o tym dopiero wieczorne przekazy z *Predatorów*. Na obrazach termowizyjnych wyraźnie można było rozpoznać charakterystyczne płaskie wieże czołgów *M1A2*. Informację tę natychmiast przekazał do Kruka, oddziału rozpoznawczego, który w swoich

noktowizorach i tak zaczął już rozpoznawać znajome sylwetki pojazdów. Jednak istniała możliwość, że to nieprzyjaciel nadciąga w zdobycznych maszynach.

Kilku saudyjskich oficerów łącznikowych, przydzielonych do Wilczego Stada, sprawdziło tożsamość przybyłych, których następnie przepuszczono na drugą stronę. Dziesięć minut później w ariergardzie pojawił się major Abdullah, który zeskoczył z *Bradleya* wraz z pułkownikiem Bermanem. Natychmiast otrzymali od amerykańskich gwardzistów wodę i jedzenie, a zaraz potem kawę z żelaznych racji o potrójnej zawartości kofeiny.

— Są za nami z tyłu — poinformował Berman. — Mój przyjaciel ma za sobą pracowity dzień.

Major saudyjski był u kresu sił. Fizycznie i umysłowo czuł się wyczerpany jak nigdy dotąd w życiu. Na chwiejnych nogach dotarł do stanowiska dowodzenia Kruka i, tak dokładnie, jak potrafił, przedstawił wszystko na mapie.

— Musimy ich zatrzymać — powiedział na koniec.

— Majorze, jeśli pojedzie pan piętnaście kilometrów dalej, zobaczy pan największą barykadę, jaką kiedykolwiek ustawiono. Naprawdę, świetnie się pan sprawił — zapewnił

prawnik z Charlotte, a kiedy major odwrócił się i odszedł do swojego czołgu, spytał Bermana: —

Naprawdę było tak ciężko?

— Zniszczyli co najmniej pięćdziesiąt czołgów. Tyle w każdym razie się doliczyłem —

odpowiedział Berman, popijając kawę z metalowego kubka. — Ale nadjeżdża ich o wiele więcej.

— Tak? — ucieszył się prawnik — Nie mamy nic przeciwko temu. W każdym razie, za wami nie ma już nikogo z naszych?

Berman pokręcił głową.

— Już wkrótce zobaczy pan niezwykle interesujące widowisko.

W mundurach pustynnych, z twarzami pomalowanymi pod kewlarowymi hełmami wyglądali jak zjawy. Czerwone, przytłumione światelka paliły się tylko nad mapami.

— Kruk Sześć, tu Dwa Dziewięć.

— Dwa Dziewięć, tu Sześć, co tam?

Dowódca przejął radiotelefon.

— Siedem kilometrów na północ od naszego stanowiska jakieś poruszenie. Na horyzoncie widać

sylwetki dwóch pojazdów.

— Zrozumiałem, Dwa Dziewięć, informujcie nas dalej, koniec. — Teraz do Bermana. —

Na pana już czas, pułkowniku. My mamy tutaj swoją robotę.

Pułkownik Hamm przypuszczał, że nadciągają pojazdy zwiadowcze 2. Korpusu nieprzyjaciela, które śledziły teraz najbardziej wysunięte helikoptery zwiadowcze *Kiowa*. Te wojskowe wersje *Bell 206*, śmigłowców najczęściej używanych w Ameryce do sterowania ruchem drogowym, wyspecjalizowały się w obserwacji z ukrycia. Schowane za pagórkami, wystawiały nad ich szczyt jedynie elektroniczny peryskop, tak że pilot, który utrzymywał

maszynę w zawisie, mógł widzieć, nie będąc widzianym. Obrazy telewizyjne były automatycznie przekazywane do stanowiska dowodzenia. Hamm miał w tej chwili w powietrzu sześciu takich zwiadowców z 4. szwadronu, wysuniętych o piętnaście kilometrów przed jego oddziały lądowe, które zaległy czterdzieści kilometrów na południowy zachód od King Chalid.

Podczas gdy on przyglądał się ekranowi taktycznemu, technicy przekształcali informacje z *Kiowa* w dane, które można było przedstawić graficznie i dostarczyć podległym mu dowódcom pojazdów. Potem napłynęły dane z *Predatorów*. Te obserwowały drogi i bezdroża na południe od porzuconej bazy, a jedna sonda krążyła nad nią samą. Na ulicach pełno było wozów dostawczych i cystern z paliwem.

Siły ZRI poruszały się zbyt szybko na to, aby mogły zachować ciszę radiową. Dowódcy musieli się między sobą porozumiewać, a chociaż wszystko odbywało się w ruchu, to ruchy te można było przewidzieć. Zwierzchnicy nieustannie instruowali swoich podwładnych, dokąd się udać i co robić, odbierali od nich informacje i przekazywali je wyżej. Udało się już namierzyć dwa stanowiska dowodzenia brygad i najprawdopodobniej jedno dywizyjne.

Hamm powiększył obraz na ekranie. Dwie dywizje znajdowały się teraz na południe od King Chalid. Powinien to być 1. Korpus przeciwnika, idący frontem o szerokości piętnastu kilometrów; dwie dywizje poruszające się obok siebie w kolumnach złożonych z brygad: na przedzie brygada czołgów i tuż za nią brygada artylerii. Z lewej znajdował się 2. Korpus, bardziej ściśnięty, aby zapewnić obronę flanki. Jak się wydawało, 3. Korpus pozostawał ciągle w odwodzie. Ustawienie było tradycyjne i łatwe do przewidzenia. Pierwszy kontakt z Wilczym Stadem powinien nastąpić za godzinę, on zaś aż do tej chwili pozostanie cofnięty, pozwalając, aby 1. Korpus przesunął się przed jego frontem z północy na południe.

Nie było czasu na odpowiednie przygotowanie pola bitwy. W jednostkach Gwardii Narodowej brakowało sprzętu saperskiego i min przeciwczołgowych. Nie zdążono też przygotować odpowiednich przeszkód i pułapek. Znajdowali się na miejscu od niecałych dziesięciu godzin, a cała brygada — od jeszcze krótszego czasu. Wszystkim, czym w istocie dysponowali, był plan ogniowy. Na bliską odległość Wilcze Stado mogło strzelać w dowolnym kierunku, ale wszelki daleki ostrzał musiał się kierować na zachód od drogi.

— Mam bardzo ładny obraz, sir — zauważył oficer wywiadu.

— Proszę go przesłać.

Od tej chwili każdy pojazd bojowy Czarnego Konia będzie dysponował tym samym cyfrowym obrazem przeciwnika, który Hamm miał przed swoimi oczyma. Potem sięgnął po radio.

— Wilcze Stado Sześć, tutaj Czarny Koń Sześć.

— Wilcze Stado Sześć, dzięki za dane, pułkowniku — odpowiedział Eddington poprzez cyfrowe radio. Obie jednostki już wiedziały, gdzie znajdują się własne oddziały. — Mniej więcej za godzinę będę miał pierwszy kontakt.

— Gotów do tańca, Nick? — spytał Hamm.

— Al, trudno mi utrzymać chłopaków w ryzach. Pukawka załadowana i zabezpieczona

— zapewnił dowódca Gwardii Narodowej. — Widzę teraz ich wysunięte czujki.

— Wiesz, co masz robić, Nick. Powodzenia. Hamm przestroił radio i wywołał Sumter Sześć.

— Widzę wszystko, Al — zapewnił Marion Diggs, który, bardzo nierad z tego faktu, znajdował się sto sześćdziesiąt kilometrów z tyłu. Nie bardzo mu się to podobało, że miał posyłać do walki ludzi, samemu siedząc na zapleczu.

— Wszystko w porządku, panie generale. Jesteśmy już na stanowiskach. Czekamy tylko, aż wejdą w pułapkę.

— Zrozumiałem, Czarny Koń. Czekam na informacje. Bez odbioru.

Najważniejszą pracę miały teraz wykonać *Predatory*. Operatorzy bezpilotowych pojazdów zwiadowczych, dołączeni do komórki wywiadowczej Hamma, zwiększyli teraz pułap małych szpiegów, aby zminimalizować ryzyko wykrycia. Kamery pokazywały, że Nieśmiertelni znajdują się na lewym skrzydle, a dawna dywizja gwardii irackiej — na prawym, na zachód od szosy. Nieustannie posuwały się naprzód. Za prowadzącą brygadą ulokowała się dywizyjna artyleria, podzielona na dwie części. Na obrazie widać było wyraźnie, że jedna z nich zatrzymała się, aby zapewnić ogniowe wsparcie natarciu, podczas gdy druga część dalej ciągnęła przed siebie. Wszystko jak z podręcznika Akademii Woroszyłowa. Będą na miejscu za mniej więcej dziewięćdziesiąt minut. *Predatory* krążyły nad działami i ustalały ich pozycje na podstawie własnych sygnałów *GPS*, a dane te natychmiast wędrowały do wyrzutni *MLRS*. Wysłano dwa kolejne *Predatory*, aby dokładnie zlokalizowały pojazdy sztabowe.

— Trudno mi powiedzieć, kiedy wszystko się zacznie — mówił Donner do kamery. —

Jestem tutaj razem z kompanią Bravo. Otrzymaliśmy właśnie informacje, gdzie znajduje się nieprzyjaciel. Jest w tej chwili o trzydzieści kilometrów na zachód od nas. Co najmniej dwie dywizje podążają na południe szosą prowadzącą z bazy King Chalid. Wiem, że brygada Gwardii Narodowej Północnej Karoliny ma im zagrozić drogę. Została rzucona do walki wraz z 11.

pułkiem kawalerii. Obie jednostki odbywały rutynowe szkolenie w Narodowym Ośrodku Szkoleniowym.

Jak opisać panujący tutaj nastrój? Żołnierze z pułku Czarny Koń najbardziej przypominają mi lekarzy, jakkolwiek może zabrzmieć to dziwnie. Rozmawiałem z nimi i wiem, że przepełnia ich sprawiedliwy gniew z racji szkód wyrządzonych ich ojczyźnie, ale w tej chwili przywodzą na myśl lekarzy uprzedzonych o nadejściu ambulansu. Właśnie nadeszła informacja, że za kilka minut przesuwamy się na zachód na miejsce, z którego uderzymy.

Chciałbym na koniec dodać osobistą uwagę. Jak wszyscy państwo wiecie, niedawno pogwałciłem zasady mojego zawodu. Postąpiłem źle; zostałem oszukany, ale wina jest moja.

Dzisiaj dowiedziałem się, że to prezydent osobiście nalegał na to, aby wysłano mnie tutaj... może w nadziei, iż już nie wrócę — dorzucił Donner, podkreślając uśmiechem, że nie traktuje tej sugestii poważnie. — Oczywiście, nie o to chodzi. Znalazłem się w sytuacji, o której wręcz marzą wszyscy dziennikarze. Jestem w miejscu, gdzie niedługo rozstrzygać się będzie historia, a otaczają mnie Amerykanie, którzy mają ważne zadanie do wykonania. Jakkolwiek wszystko się skończy, tutaj jest właściwe miejsce reportera. Panie prezydencie, dziękuję za to, że otrzymałem tę szansę. Mówił Tom Donner, na południowy wschód od bazy King Chalid, dołączony do kompanii Bravo, 1. szwadron Czarnego Konia. — Opuścił mikrofon. — Nagrane?

— Tak — odpowiedział oficer łącznościowy szwadronu, a potem rzucił coś do własnego mikrofonu. — W porządku. Poszło właśnie przez satelitę.

— Dobra robota, Tom — powiedział dowódca czołgu i zapalił papierosa. — Chodź tutaj.

Pokażę ci, jak działa *SIM*, a potem... — Przerwał, dociskając ręką hełm, aby słyszeć wyraźnie komunikat radiowy. — Włączaj silnik, Stanley — polecił kierowcy. — Zaczyna się przedstawienie.

Dowódca oddziału rozpoznawczego Wilczego Stada był z zawodu adwokatem w sprawach karnych, który zdecydował się na cywilną karierę po skończeniu West Point. Nigdy jednak nie stracił zamiłowania do wojaczki, chociaż nie wiedział dobrze, dlaczego. Miesiąc temu skończył czterdzieści pięć lat, z których przez ponad trzydzieści miał w tej czy innej formie do czynienia ze służbą mundurową, musztrą i wyczerpującymi ćwiczeniami.

Pojazdy zwiadowcze przeciwnika znajdowały się trzy kilometry przed nim. Jakies dwa plutony — dziesięć pojazdów, rozrzuconych na obszarze pięciu kilometrów. Nie był pewien, czy mają noktowizory, ale musiał założyć, że mają. W świetle promieni podczerwonych wyglądały na wozy rozpoznawcze *BRDM-2*, czterokołowe, uzbrojone w wielkokalibrowy karabin maszynowy lub w wyrzutnię pocisków przeciwczołgowych. Rozpoznał obydwie wersje, ale przede wszystkim poszukiwał pojazdu z czterema antenami radiowymi, w którym powinien się znajdować dowódca plutonu czy kompanii.

— Pojazd dowódcy na wprost — oznajmił celowniczy *Bradleya*, znajdującego się naprzeciw o czterysta metrów na lewo od pułkownika. — Odległość dwa tysiące metrów.

Oficer-prawnik wysunął głowę i przez noktowizor zbadał teren przed sobą. Była to równie dobra pora na początek jak każda inna.

— Kruk, tu Szóstka, zaczynamy za dziesięć sekund. Trójka, przygotujcie się.

— Trójka, gotowa.

Z tego *Bradleya* padnie pierwszy strzał z drugiej bitwy pod King Chalid. Celowniczy wybrał pociski kumulacyjne. *BRDM* nie był na tyle mocny, aby wymagać pocisków przebijających pancerz reaktywny, które również znajdowały się w podzielonym na dwie sekcje pojemniku amunicyjnym działka *Bushmaster*. Naprowadził cel na przecięcie nitek celowniczych, a pokładowy komputer określił odległość.

— Gotów! — powiedział do interkomu.

— Kruk, przygotować się. Otwieramy ogień.

— Ognia! — rozkazał dowódca.

Celowniczy nacisnął spust 25-milimetrowego działka, odpalając trzypociskową serię.

Trzy smugacze zakreśliły linie nad pustynią i wszystkie trzy trafiły. Dowódca *BRDM* zamienił się w ognistą kulę, gdy eksplodował zbiornik benzyny (o dziwo, ten rosyjskiej produkcji pojazd nie miał silnika wysokoprężnego).

— Trafiony! — natychmiast oznajmił dowódca, potwierdzając zniszczenie obiektu. —

Cel po lewej!

— Wykonane! — poinformował celowniczy, zlokalizowawszy obiekt.

— Ognia! — Sekundę później: — Trafiony! Przenieść w prawo, druga godzina, odległość tysiąc pięćset.

Wieżyczka *Bradleya* obróciła się.

— Mam!

— Ognia!

W dziesięć sekund po pierwszym, zniszczony został także trzeci pojazd.

Nie upłynęła minuta, a w ogniu stały wszystkie *BRDM*, które zdołał dostrzec dowódca osłony. Jaskrawobiałe światło sprawiło, że musiał zmrużyć oczy. Po lewej i po prawej stronie jego

stanowiska pojawiły się inne rozbłyśki. Wtedy padł rozkaz:

— Naprzód!

Dwadzieścia *Bradleyów* wyskoczyło z kryjówek, gnając przed siebie, podczas gdy ich wieżyczki obracały się, a celowniczy szukali pojazdów zwiadowczych przeciwnika. Krótki, zażarty, prowadzony w ruchu pojedynki ogniowej, trwał dziesięć minut i rozegrał się na przestrzeni siedmiu kilometrów. Ogień usiłujących oderwać się od Amerykanów *BRDM* był

niecelny. Dwa sterowane pociski przeciwczołgowe *Sagger* nie sięgnęły celu i eksplodowały w piasku, podczas gdy pojazdy, które je wystrzeliły, zostały zniszczone z *Bushmasterów*.

Wielkokalibrowe pociski karabinów maszynowych nie były wystarczająco silne, by przebić przedni pancerz *Bradleyów*. W efekcie wszystkie trzydzieści pojazdów składających się na osłonę przeciwnika zostało zniszczonych, a ten fragment bitwy Kruk rozstrzygnął bezapelacyjnie na swoją korzyść.

— Wilcze Stado, tutaj Kruk; zdaje się, że nikt się nie wymknął. Zwiad przeciwnika zniszczony. Żadnych strat własnych — dodał. Do diabła, z tych *Bradleyów* naprawdę nieźle się strzela, pomyślał.

— Łapię korespondencję radiową, sir — oznajmił siedzący obok Eddingtona radiooperator. — I znowu.

— Proszę o ostrzał artyleryjski — spieszenie wyjaśnił oficer saudyjski.

— Kruk, wkrótce możesz oczekiwać ostrzału — przestrzegł Eddington.

— Zrozumiałem. Kruk przesuwa się do przodu.

Było to bezpieczniejsze posunięcie, niż pozostanie w miejscu czy cofanie się. Na rozkaz, *Bradleye* i *Hummer* skoczyły pięć kilometrów na północ, poszukując resztek zwiadowczego oddziału nieprzyjaciela, które teraz musiały poruszać się ostrożniej, uprzedzone przez dowódców brygady czy dywizji. Pułkownik Gwardii Narodowej wiedział, że była to bitwa oddziałów rozpoznawczych, zaledwie przygrywka do głównych zdarzeń, w ramach której potykali się harcownicy, czekając na nadejście ciężkozbrojnych rycerzy. Rzecz jednak nie sprowadzała się do utarczek, gdyż Eddington przygotowywał zarazem pole bitwy dla Wilczego Stada. Przypuszczał, że natknie się jeszcze na kompanię pojazdów zwiadowczych, za którymi powinny nadciągać czołgi i transportery opancerzone. Przeciw czołgom *Bradleye* zostały uzbrojone w pociski *TOW*, działka *Bushmaster* zaprojektowano z myślą o niszczeniu transporterów opancerzonych. Co więcej, chociaż nieprzyjaciel wiedział już, gdzie znajduje się — czy raczej: znajdowała — osłona rozpoznawcza Niebieskich, oczekiwał, że ta się cofnie, nie zaś ruszy do przodu.

Stało się to oczywiście dwie minuty później, kiedy oczekiwana nawała ogniowa runęła kilometr za poruszającymi się *Bradleyami*. Druga strona rozgrywała wszystko zgodnie z radziecką doktryną. Kruk szybko przesunął się o następny kilometr i zatrzymał, znajdując wygodny ciąg niskich wydm, podczas gdy na horyzoncie znowu pojawiły się ciemne sylwetki pojazdów nieprzyjaciela.

Pułkownik-prawnik sięgnął po mikrofon, aby przez radio poinformować o tym dowódcę.

— Sumter, tutaj Wilcze Stado, mamy kontakt z nieprzyjacielem — poinformował Diggsa Eddington ze swego stanowiska dowodzenia. — Zniszczyliśmy im właśnie oddział rozpoznania.

Nasz zwiad widzi teraz ich wysunięte straże. Zamierzam wciągnąć ich w krótką walkę i odrzucić do tyłu, i na prawo na południowy wschód. Artyleria wroga ostrzeliwuje teren pomiędzy naszym zwiadem a głównymi siłami. Koniec.

— Zrozumiałem, Wilcze Stado.

Na swoim ekranie Diggs widział *Bradleye*, które pokazały się w równej niemal linii, ale w znacznych od siebie odstępach. Na ekranach systemu *SIM* pojawiły się symbole nie zidentyfikowanego nieprzyjaciela.

Dla generała była to wysoce frustrująca sytuacja. Nigdy jeszcze dotąd w dziejach wojen głównodowodzący nie miał takiego przeglądu sytuacji podczas rozwijającej się bitwy. Mógł

każdemu plutonowi z osobna rozkazać, co ma robić, dokąd się skierować i kogo ostrzelać. Znał

zamiary Eddingtona, Hamma i Magrudera, ale jako ich zwierzchnik musiał pozostawić im inicjatywę, ingerując tylko wtedy, gdyby coś zaczęło się źle układać albo też sytuacja rozwinęłaby się w niepożądanym kierunku. Dowódca amerykańskich sił zbrojnych w Arabii Saudyjskiej stał się teraz jedynie widzem.

Szwadrony Hamma poruszały się równolegle do siebie, każdy rozciągnięty na dziesięć kilometrów wszerz, rozdzielone kilometrową przerwą. Na przodzie każdego szwadronu posuwali się zwiadowcy. Każdy szwadron liczył dziewięć czołgów i trzynaście *Bradleyów*, plus dwa pojazdy *M 113* z moździerzami. Naprzeciw nich, teraz w odległości siedmiu kilometrów, znajdowały się brygady 2. Korpusu ZRI, wykrwawione w walkach na północ od King Chalid, osłabione, ale z całą pewnością w stanie pogotowia, nic tak bowiem nie budzi czujności jak nieoczekiwana porażka. Helikoptery zwiadowcze i przekazy z *Predatorów* pozwalały precyzyjnie zlokalizować pozycje przeciwnika. Hamm nakazał helikopterom, by raz jeszcze wykonały przelot na przedpolach najbardziej wysuniętych do przodu jednostek przeciwnika.

Wszystkie inne jego oddziały zastygły w miejscu, a siedemdziesiąt kilometrów za nimi wzbijały się w powietrze śmigłowce szturmowe *Apache* i zwiadowcze *Kiowa*, aby włączyć się do wielkiej bitwy.

Na północy wszystkie *F-15 Strike Eagle* były w powietrzu. Wcześniej tego dnia dwa z nich zostały zestrzelone, w tym jeden należący do dowódcy dywizjonu. Teraz, chronione przez *F-16* uzbrojone w pociski *HARM*, przy użyciu inteligentnych bomb niszczyły mosty i trasy dojazdowe w dolinach obu rzek. Z góry dostrzec mogli na zachód od bagien płonące czołgi, i nietknięte jeszcze maszyny na wschód od nich. W tej pełnej wydarzeń godzinie wszystkie drogi zostały zniszczone w trakcie ponawianych nalotów. Nad King Chalid i w okolicach bazy znajdowały się *F-15C*, naprowadzane przez samoloty *AWACS*. Jedna grupa czterech myśliwców znajdowała się na pułapie dostatecznie wysoko, aby nie mogły ich osiągnąć rakiety przeciwlotnicze, których wyrzutnie podążały w ślad za

piechotą. Miały one za zadanie nie dopuścić do tego, aby w grę wmieszały się samoloty ZRI. Reszta polowała na helikoptery należące do dywizji pancernych. Wprawdzie zestrzelenie śmigłowca było osiągnięciem mniej chwalebny niż zniszczenie myśliwca, jednak osłabiało nieprzyjaciela. Helikoptery były też smakowitym kąskiem także i z tego powodu, że często poruszali się nimi generałowie, ale nade wszystko chodziło o to, że stanowiły część jednostek przeprowadzających rozpoznanie, które, zgodnie z planem, trzeba było przeciwnikowi maksymalnie utrudnić.

Na ziemi niepokojące wiadomości musiały się rozchodzić bardzo szybko. Za dnia zniszczono tylko trzy śmigłowce, ale wraz z nadejściem ciemności ich liczba gwałtownie się zwiększyła. Wszystko wyglądało teraz inaczej niż poprzednim razem; polowanie było całkiem proste. Nacierający nieprzyjaciel nie mógł się schować. To bardzo odpowiadało pilotom *F-15*

Eagle. Jeden z nich, znajdujący się na południe od King Chalid, instruowany przez *AWACS*, zlokalizował śmigłowca na radarze przeczesującym teren poniżej, wybrał selektorem uzbrojenia pocisk przeciwlotniczy *AIM 120* i odpalił go. Śledził jego trasę do momentu, kiedy ognista kula odskoczyła w lewo, a następnie rozlała się szeroko po ziemi. Na tym skończyły się tego wieczoru łowy na helikoptery. Z *E-3B* popłynęła do wszystkich pilotów informacja, że nad polem bitwy pojawiają się śmigłowce sojusznicze, *Eagle* musiały więc teraz działać znacznie ostrożniej.

Mniej niż połowa celowniczych w *Bradleyach* oddziału rozpoznania odpalała kiedykolwiek uzbrojone pociski *TOW*, chociaż każdy z nich wykonywał to setki razy na symulatorach. Kruk czekał, aż wysunięte pojazdy przeciwnika znajdą się w jego zasięgu.

Pierwsze pojazdy zwiadowcze zaatakują ich *Bradleye*, a stosunek siły ogniowej będzie bardziej wyrównany. Dwa *BRDM* znalazły się za linią amerykańskich zwiadowców. Jeden nieomal najechał na *HMMWV*, zalewając wóz terenowy seriami z karabinu maszynowego, zanim działko rozerwało go na strzępy. Opancerzony transporter natychmiast pośpieszył na miejsce, żeby stwierdzić, że z trzyosobowej załogi *Hummera* pozostał tylko jeden ranny. Żołnierze zajęli się nim, podczas gdy dowódca wspinał się na nasyp przeciwczołgowy, zaś celowniczy uruchomił

wyrzutnię *TOW*.

Strzelały teraz wszystkie czołgi z czołowej grupy, wypatrując rozbłysków z luf *Bradleyów* i uruchamiając własne systemy noktowizyjne. Ponownie doszło do krótkiej, zażartej walki na nieoświetlonym pustkowiu. Jeden *Bradley* został trafiony, a w eksplozji zginęła cała załoga. Pozostałe wystrzeliły jeden lub dwa pociski przeciwpancerne i zniszczyły ponad dwadzieścia czołgów do chwili, kiedy dowódca nacierającego oddziału nakazał odwrót, tuż przed rozpoczęciem ostrzału artyleryjskiego. Kruk na polu starcia pozostawił jednego *Bradleya* i dwa *Hummera* — były to pierwsze ofiary amerykańskich oddziałów lądowych w drugiej wojnie w Zatoce, o czym natychmiast powiadomiono dowództwo.

W Waszyngtonie minęła właśnie pora lunchu. Wiadomość o wydarzeniach dotarła do Sali Sytuacyjnej w chwilę po tym, jak prezydent zakończył deser. Nie zdążono jeszcze sprzątnąć talerzy z okruszkami kanapek. Informacja o poległych bardzo go poruszyła, bardziej niż o ofiarach na pokładzie „Yorktown” czy o sześciu zaginionych lotnikach, „zaginionych” bowiem nie musiało oznaczać: „martwych”. Żołnierze, o których teraz chodziło, z całą pewnością nie żyli. Żołnierze

Gwardii Narodowej, przypomniał sobie. Żołnierze-cywilie, którzy najczęściej pomagali ludziom w czasach powodzi czy huraganu...

— Panie prezydencie, czy pan by tam pojechał? — odezwał się generał Moore, zanim Robby Jackson zdążył cokolwiek powiedzieć. — Gdyby pan miał dwadzieścia kilka lat, był

porucznikiem piechoty morskiej i otrzymał rozkaz; pojechałby pan?

— Chyba... nie, to znaczy, na pewno. Musiałbym.

— Tak samo było z nimi, panie prezydencie — oznajmił Mickey Moore.

— To los żołnierza — oznajmił beznamiętnie Robby. — Za to otrzymujemy żołd.

— Racja.

Również Ryan musiał przyznać, iż są rzeczy, za których wykonanie także i on otrzymuje pieniądze.

Cztery *F-117* wylądowały w Al-Karj, zjechały z pasa i pokołowały do hangarów. Tuż za nimi pojawiły się samoloty transportowe, wiozące zapasowe załogi i personel naziemny. Nimi natychmiast zajęli się oficerowie wywiadu z Rijadu, przede wszystkim informując pilotów o wojnie, która właśnie wkraczała w decydującą fazę.

Generał major, który dowodził dywizją Nieśmiertelnych, usiłował w swoim pojeździe zorientować się, co się w istocie dzieje. Aż do tej chwili wydarzenia układały się pomyślnie. 2.

Korpus wykonał zadanie, robiąc wyłom w liniach przeciwnika, którym przewaliły się główne siły. Jeszcze godzinę temu obraz był miły i klarowny. Owszem, wojska saudyjskie nadciągały z południowego zachodu, ale musiały być odległe jeszcze co najmniej o dzień. Do tego czasu powinien się znaleźć na przedpolach stolicy Arabii Saudyjskiej. O świcie 2. Korpus miał

porzucić zamaskowane pozycje po lewej stronie, wykonując pozorowane uderzenie na pola naftowe, co zmyli Saudyjczyków. Dzięki temu powinien uzyskać jeszcze jeden dzień zwłoki, podczas którego, przy łacie szczęścia, weźmie do niewoli cały saudyjski rząd, być może całą królewską rodzinę. Ale nawet gdyby ta uciekła, co było bardzo prawdopodobne, kraj zostałby bez przywódców, co oznaczałoby zwycięstwo ZRI.

Jak dotąd, ponieśli znaczne straty. Aby Armia Boga mogła dotrzeć do miejsca, gdzie się teraz znajdował, 2. Korpus utracił połowę stanu, zwycięstwo jednak nigdy nie przychodziło tanio, a koszty trzeba było płacić w dalszym ciągu. Jego oddział zwiadowczy nagle zniknął z eteru. Informacja o nie zidentyfikowanym przeciwniku, prośba o wsparcie artyleryjskie, a później

— nic. Wiedział, że siły saudyjskie znajdują się gdzieś przed nim. Wiedział, że muszą to być resztki 4. Brygady, którą 2. Korpus zniszczył w znacznym stopniu, chociaż nie całkowicie.

Przeciwnik stawiał silny opór na północ od King Chalid, a potem się wycofał... najpewniej otrzymawszy rozkaz, aby walczyć tak długo, aż baza zostanie ewakuowana. Jak widać, nawet resztki

4. Brygady były wystarczająco silne, aby uporać się z jego oddziałami rozpoznawczymi.

Niezbyt dobrze wiedział, gdzie znajduje się pułk amerykańskiej kawalerii pancernej, prawdopodobnie na wschód od niego. Należało też przypuścić, iż gdzieś jest jeszcze inna amerykańska brygada, najpewniej również na wschodnim skrzydle. Brakowało mu helikopterów, a zupełnie niedawno jeden z nich, z głównym oficerem wywiadu na pokładzie, został zestrzelony przez amerykański myśliwiec. Nie mógł liczyć na żadne wsparcie z powietrza. Jedyne myśliwiec ZRI, którego zobaczył tego dnia, zostawił po sobie dymiącą wyrwę na wschód od King Chalid.

Jakkolwiek jednak dokuczliwi mogli się jeszcze okazać Amerykanie, nie potrafia go powstrzymać. Jeśli zaś znajdzie się w Rijadzie na czas, jego żołnierze zawładną wszystkimi lotniskami saudyjskimi, dzięki czemu będzie można odeprzeć zagrożenie z powietrza. Zgodnie więc z tym, co nieustannie powtarzali dowódcy korpusów, kluczowe znaczenie dla całej operacji miało bezustanne parcie do przodu. Dlatego też najbardziej wysuniętej do przodu brygadzie kazał

posuwać się zgodnie z planem. Napłynęły właśnie informacje, że, nie zidentyfikowany jak dotąd, nieprzyjaciel zaatakował, zadał straty i sam je poniósł, ale po krótkim starciu wycofał się.

Najprawdopodobniej była to jakaś jednostka saudyjska, która usiłowała jeszcze żądlić w odwrocie, a którą po wschodzie słońca dogoni i unicestwi. Wydał odpowiednie rozkazy, poinformował sztab o swoich zamierzeniach, następnie zaś opuścił stanowisko dowodzenia, aby, wzorem wszystkich dobrych generałów, zobaczyć, jak rzeczy układają się na pozycjach frontowych, podczas gdy ze sztabu popłynęły w dół wojskowych struktur rozkazy.

Śmigłowce zwiadowcze *Kiowa* donosiły o posuwających się na południe pojazdach, niezbyt jednak licznych. Najprawdopodobniej zostały silnie pokiereszowane podczas natarcia, uznał pułkownik Hamm. Jednemu ze swych szwadronów polecił wykonać odejście w lewo, kilka minut później wysłał do akcji helikoptery *Apache*. Na ekranach *SIM* widać było wyraźnie pozycje *BRDM*, podobnie jak resztę mocno nadwyrężonego 2. Korpusu.

To samo dotyczyło Nieśmiertelnych. Eddington przypatrywał się, jak wysunięte pododdziały, wraz z sunącymi tuż za nimi głównymi siłami, z szybkością około dwudziestu kilometrów na godzinę wkraczają w zasięg jego armat czołgowych. Połączył się z Hammem.

— Za pięć minut. Powodzenia, Al.

— Wzajemnie, Nick — usłyszał w odpowiedzi.

Wszystko zależało od synchronizacji. Czterdzieści pięć kilometrów dalej, ustawione w kilku grupach, samobieżne działa *Paladin* uniosły lufy i zwróciły je w kierunku obiektów wysledzonych przez *Predatory* oraz przez oddziały zwiadu elektronicznego. Kanonierzy końca XX wieku wprowadzili koordynaty do komputerów tak, aby szeroko rozrzucone działa mogły ostrzeliwać te same cele. Oczy spoczęły teraz na zegarkach, wpatrując się w cyfry, które zmierzały do godziny 22.30.00 czasu miejscowego, 19.30.00 czasu Greenwich, 14.30.00 czasu waszyngtońskiego.

Podobnie rzecz przedstawiała się z wyrzutniami *MLRS*. Żołnierze zamknęli kabiny załogowe,

uruchomili mechanizmy zawieszenia, które miały stabilizować pojazd w trakcie odpalania rakiet, a następnie starannie zabezpieczyli wszystkie otwory, jako że spaliny pocisków mogły być niebezpieczne dla życia.

Na południe od King Chalid czołgiści Gwardii Narodowej Północnej Karoliny wpatrywali się w coraz większe białe plamy w okularach noktowizorów. Celowniczy manewrowali przyciskami laserowych dalmierzy. Najdalej wysunięte jednostki osłonowe znajdowały się teraz o dwa i pół kilometra, a o kilometr dalej posuwały się główne siły złożone z czołgów i transporterów opancerzonych.

Na południowy wschód od King Chalid Czarny Koń poruszał się teraz z szybkością piętnastu kilometrów na godzinę, w kierunku celów, które zaległy na paśmie wydm odległym o cztery tysiące metrów na zachód.

Wykonanie planu nie było perfekcyjne. Kompania Bravo, 11. pułku, niespodziewanie natknęła się na *BRDM* i samodzielnie otworzyła ogień. Błyski płomieni wylotowych zaalarmowały nieprzyjaciela o kilka sekund za wcześnie, co zresztą nie miało większego znaczenia.

Eddington trzymał się planu z absolutną dokładnością. Przez cały wieczór nie mógł zapalić, w obawie, że najlżejszy nawet rozbłysk może zostać dostrzeżony przez nocnego obserwatora. Dlatego wyciągnął zapalniczkę i potarł ją dopiero w chwili, kiedy cyfry 59 zmieniły się na 00. W tej chwili malutkie światełko nie mogło już zwrócić niczyjej uwagi.

Pierwsza rozpoczęła artyleria. Najbardziej widowiskowe były *MLRS*, każda wyrzutnia odpalająca dwanaście pocisków w odstępach dwusekundowych. Płomienie wyrzucane z pojemników oświetlały strugi rozgrzanych gazów na niebie, które wcale nie było już ciemne. O

22.30.30 w powietrzu leciało ponad dwieście pocisków raketowych *M77*.

Noc była jasna i ów świetlny pokaz nie mógł ujść uwagi nikogo, kto znalazł się w promieniu dwustu kilometrów. Znajdujący się na północnym wschodzie piloci myśliwców widzieli start rakiet i uważnie śledzili ich lot, za nic bowiem nie chcieli się znaleźć na ich drodze.

Iraccy oficerowie z pancерnej dywizji gwardyjskiej pierwsi zobaczyli, jak od południa nadlatują pociski i wszystkie kierują się na zachód od drogi, która łączyła King Chalid z Al-Artawija. Wielu z nich, jeszcze jako porucznicy i kapitanowie, poznało już ten widok i wiedziało, co oznacza: nadciągała stalowa ulewa. Niektórzy zastygli sparaliżowani, inny wykrzykiwali rozkazy, chowali się, zamykali włązy i w popłochu rozluźniali szyki.

Artylerzyści nie mieli takiej możliwości. Ich działa były najczęściej holowane, a większość obsługujących je żołnierzy znalazła się na otwartej przestrzeni. Tuż obok nich piętrzyły się stosy amunicji, przygotowane do mającego się rozpocząć ostrzału. Widzieli płomienie silników raketowych, zorientowali się, że lecą w ich stronę, ale pozostawało im tylko czekać. Wszyscy z krzykiem rozpierzchli się i przypadli do ziemi, głowy osłaniając hełmami i modląc się, aby ta straszliwa broń poraziła kogo innego.

Pociski osiągnęły swoje apogeum i zaczęły opadać ku ziemi. Na określonej wysokości czujniki otworzyły nosy i każda rakieta wyrzuciła ze swego wnętrza 644 bombki o masie dwustu gramów, co oznaczało 7.728 sztuk subamunicji dla każdej wyrzutni. Wszystkie przeznaczone były dla artylerii gwardyjskiej, która była najbardziej dalekosiężną bronią przeciwnika i Eddington chciał ją jak najszybciej wyłączyć z gry. Niewielu z irackich żołnierzy spoglądało w górę. Nie widzieli i nie słyszeli, jak nadchodzi śmierć.

Z daleka wyglądać to mogło jak roztańczone sztuczne ognie na chiński Nowy Rok, ale dla tych, którzy znaleźli się na miejscu, oznaczało to zagładę w straszliwym huku, gdy ponad siedem tysięcy sztuk subamunicji eksplodowało naraz na powierzchni dwustu akrów. Pojazdy stanęły w ogniu i eksplodowały, a w ślad za nimi wybuchały nagromadzone pociski, ale większość artylerzystów już nie żyła, jako że czterech na pięciu dosięgła pierwsza salwa. Miały nastąpić jeszcze dwie dalsze. Ponowne ładowanie wyrzutni zajęło około pięciu minut.

Pod tym względem szybsze okazały się działa 155 mm. Także i one wymierzone były w artylerię przeciwnika, a ich ostrzał równie precyzyjny. Była to najbardziej zmechanizowana z czynności żołnierskich. To armata zabijała, a oni ją tylko obsługiwali. W tym przypadku nie widzieli efektów swoich działań, ale nie potrzebowali nawet wysuniętego na przód obserwatora, aby informował ich o skuteczności. Wiedzieli dobrze, że kiedy celowaniem steruje *GPS*, potwierdzenia takie nie są potrzebne.

Paradoksalnie, ostatni otworzyli ogień ci, którzy na własne oczy widzieli zbliżającego się przeciwnika. Czołgiści czekali na rozkaz, którym było rozpoczęcie ostrzału przez dowódców kompanii.

Przy całej swojej morderczej skuteczności, system sterowania ogniem *Abramsów* jest jednym z najprostszych mechanizmów, jakie kiedykolwiek złożono w ręce żołnierzy, na dodatek w warunkach bojowych łatwiejszym do użycia, niż kosztujące miliony dolarów symulatory.

Każdy z celowniczych miał wyznaczony sektor, a pierwszymi pociskami odpalanymi przez dowódców kompanii były pociski przeciwpancerne *HEAT*, które zostawiały bardzo wyraźny ślad. Poszczególne czołgi otrzymywały do ostrzału teren na lewo lub prawo od pierwszego wybuchu. Cele miały większą temperaturę niż otaczająca je pustynia i w podczerwieni zdradzały swoją obecność z taką wyrazistością jak jasno płonące żarówki. Każdy celowniczy wiedział, na którym sektorze się skupić i w nim oczekiwał nadjeżdżającego *T-80*. Gdy ten pojawił się na celowniku, załoga włączała laserowy dalmierz. Promień, odbity od celu, powracał, informując komputer o odległości do obiektu, szybkości, z jaką się porusza, oraz kierunku. Inne czujniki powiadamiały o temperaturze powietrza i amunicji, gęstości powietrza, szybkości i kierunku wiatru, temperaturze lufy, a także o tym, ile wystrzelono do tej pory z niej pocisków. Komputer zbierał te wszystkie informacje, a gdy już je przetworzył, biały prostokąt informował

celowniczego, iż system gotowy jest do wystrzelania pocisku. Teraz wystarczyło już tylko zacisnąć palec wskazujący na spuście. Czołgi podskakiwały, zamki cofały się, a z luf tryskał

oślepiająco jasny płomień, z którego wylatywały pociski, gnając z szybkością prawie dwóch kilometrów na sekundę. Były podobne do grubych strzał, o średnicy pięciu centymetrów, z krótkimi brzechwami, które w trakcie lotu spalały się od tarcia z powietrzem, zostawiając za sobą świetliste ślady. Te pozwalały dowódcy czołgu śledzić przez cały czas tor lotu pocisku.

Cele stanowiły czołgi *T-80*. Były mniejsze od swych amerykańskich odpowiedników, a to głównie za sprawą słabszych silników, a okrojone rozmiary zmuszały do znacznych kompromisów konstrukcyjnych. Z przodu znajdował się zbiornik paliwa, a prowadzący do niego przewód ciasnym kręgiem otaczał wieżę. Pociski umieszczone były w niszach obok zapasowego pojemnika z paliwem, tak że cały czołg „odziany” był w łatwopalne substancje. Ponadto, aby zaoszczędzić miejsce w wieży, zrezygnowano z ładowniczego na rzecz automatycznego systemu, który, po pierwsze, był wolniejszy od człowieka, po drugie, powodował, że przez cały czas znajdował się w wieży gotowy do wystrzelenia naboju. Nie miało to w tym przypadku większego znaczenia, powodowało jedynie bardziej spektakularne eksplozje.

Drugi *T-80* został trafiony przez pocisk w podstawę wieży. Najpierw rozdarł przewód paliwowy, a następnie, drążąc pancerną osłonę, rozpadł się na mnóstwo fragmentów, które z szybkością ponad tysiąc metrów na sekundę rozprysnęły się w małej przestrzeni, a odbite od wewnętrznych powierzchni zmasakrowały załogę. Ta nie żyła już więc, gdy w ślad za pierwszym przygotowanym do strzału nabojem eksplodowała cała amunicja, powodując wybuch paliwa.

Ciężka wieża została wyrzucona w powietrze na dziesięć metrów. W przeciągu trzech sekund piętnaście innych czołgów zostało unicestwionych w ten sam sposób. Wystarczyło kolejnych dziesięć sekund, aby całkowicie zniknęła wysunięta straż dywizji Nieśmiertelnych, a jedyny jej opór polegał na tym, że całe pole bitwy ozdobiła płonącymi stosami.

Ogień natychmiast przeniósł się na główne siły dywizji: trzy bataliony posuwające się w równej linii. Ich ponad sto pięćdziesiąt pojazdów znajdowało się w tej chwili o trzy kilometry od pięćdziesięciu czterech *Abramsów*.

Dowódcy irańskich czołgów, aby lepiej widzieć, najczęściej znajdowali się w otwartych włazach i stali w nich jeszcze, chociaż już wcześniej dostrzegli nadlatujące rakiety. Zobaczyli przed sobą linię białych i pomarańczowych rozbłysków. Oficerowie obdarzeni najszybszym refleksem zdążyli polecić swoim załogom, aby natychmiast wystrzeliły pociski, ale ledwie dziesięciu celowniczych zdążyło wykonać rozkaz. Ponieważ jednak nie mieli czasu, aby ocenić dystans, wszystkie wystrzały chybiły. Ostra dyscyplina sprawiła, że strach nie zdążył zastąpić szoku, niektórzy więc przystąpili do ponownego załadunku, inni mozolili się z ustaleniem odległości i trajektorii pocisku, ale wtedy widnokrąg znowu rozpałił się na pomarańczowo, a niewielu widzów zdało sobie sprawę z przyczyny.

Kolejna salwa pięćdziesięciu czterech pocisków trafiła w pięćdziesiąt cztery cele i w ten sposób w niecałe dwadzieścia sekund od rozpoczęcia bitwy podwoiła się liczba zniszczonych *T-80*.

— Jeden poruszający się cel — oznajmił dowódca czołgu swemu celownicemu. Całe pole bitwy stało teraz w ogniu, a płomień mieszały się z termowizyjnymi obrazami pojazdów.

Tam. Celowniczy ustalił odległość — 3.650 metrów — a kiedy pojawił się biały prostokąt, nacisnął spust. Obraz pociemniał, mimo to widać było biały tor pocisku, a potem...

— Trafiony! — oznajmił dowódca. — Przenieść ogień!

— Zlokalizowany — padła lakoniczna informacja.

— Ognia!

Celowniczy odpalił trzeci pocisk w ciągu pół minuty, a w trzy sekundy później następna wieża *T-80* wyleciała w powietrze.

I tyle tylko trwała pancerna faza bitwy.

Teraz *Bradleye* zaatakowały zbliżające się *BWP*, a ich działka *Bushmaster* łąpczywie poszukiwały swoich celów. W tym przypadku wszystko trwało odrobinę dłużej, ale ostateczny efekt był równie miażdżący.

Dowódca Nieśmiertelnych właśnie zbliżał się do tylnych straży brygady prowadzącej, kiedy zobaczył start rakiet. Kazał zatrzymać się kierowcy i spojrzął w tył, tylko po to, by zobaczyć wtórne eksplozje ginącej właśnie artylerii dywizyjnej, a gdy znowu odwrócił się, dojrzał drugą salwę czołgów Eddingtona. Nie upłynęła minuta, a podległa mu formacja utraciła czterdzieści procent stanu. Zanim w pełni zdał sobie sprawę z tego, co nastąpiło, wiedział już, że wpadł w zasadzkę. Ale przez kogo urządzoną?

Wystrzelone z *MLRS* rakiety, który pozbawiły Nieśmiertelnych artylerii, nadleciały ze wschodu, a nie z południa. Był to prezent Hamma dla Gwardii Narodowej, która, zgodnie z przyjętym planem ogniowym, nie mogła sama uderzyć na artylerię irańską. Kiedy wyrzutnie *MLRS* Czarnego Konia wykonały to zadanie, przeniosły ogień, aby zrobić miejsce dla pułkowych śmigłowców szturmowych *Apache*, które uderzyły głęboko, poza linię 2. Korpusu, w tej chwili uwikłanego w walkę z trzema szwadronami lądowymi.

Podział zadań na placu boju został w istocie narzucony przez wydarzenia poprzedniego dnia. Pierwszym obiektem dla artylerii miała być artyleria, dla czołgów — czołgi, helikoptery zaś miały się zająć unicestwieniem dowództwa. Dwadzieścia minut wcześniej przestało funkcjonować stanowisko dowodzenia dywizji. Na dziesięć minut przed wystrzeleniem pierwszych rakiet, mieszane zespoły *Apache-Kiowa* nadleciały z północy i od tyłu zaatakowały miejsca, z których emitowano sygnały radiowe. W pierwszej kolejności zaatakowano sztaby dywizyjne, potem — brygad.

Sztab Nieśmiertelnych zaczynał się właśnie orientować w napływających informacjach.

Niektórzy z oficerów domagali się ich potwierdzenia albo szczegółów, które były im potrzebne do podjęcia decyzji. Na tym polegał problem stanowisk dowodzenia: były one mózgiami podległych im jednostek, a ludzie podejmujący decyzje musieli być z nimi fizycznie związani.

Z odległości sześciu kilometrów widać było wyraźnie skupisko pojazdów. Cztery wyrzutnie przeciwlotnicze mierzyły na południe, łatwo dawały się też rozpoznać działa przeciwlotnicze. Te

poszły na pierwszy ogień. *Apache* wybrały odpowiednie miejsca i zawisły nad nimi na wysokości trzydziestu metrów, a siedzący na przednich fotelach strzelcy — wszyscy będący młodymi podoficerami -przy użyciu sprzętu optycznego wybrali pierwszą grupę celów, dla których przeznaczali naprowadzane laserowo pociski *Hellfire*. Trzeba trafić, że w chwili odpalania pierwszej salwy jeden z irańskich żołnierzy zobaczył błyski i krzykiem zaalarmował

resztę, którą okręciła działa i zaczęła się ostrzeliwać, zanim wszystkie pociski opuściły wyrzutnie. Rozpętało się piekło. Piloci *Apache* odskoczyli w lewo z szybkością stu kilometrów na godzinę, zaskoczyli jednak w ten sposób operatorów uzbrojenia, którzy musieli odpalić następne rakiety, gdyż pierwsze chybiły. W przypadku sześciu pozostałych *AH-64*, pięć rakiet trafiło w cel. Wystarczyła minuta, aby nie groził już ostrzał przeciwlotniczy, dzięki czemu śmigłowce mogły zbliżyć się do swych ofiar. Piloci widzieli ludzi usiłujących uciekać, chociaż część oddziału chroniącego sztab zaczęła pruć w niebo z karabinów maszynowych. Strzelcy najpierw odpalili rakiety 2,75 cala, potem za pomocą pocisków *Hellfire* unieszkodliwili kilka zdolnych jeszcze do użytku pojazdów pancernych, a potem przesunęli selektory uzbrojenia na działka 30 mm. Śmigłowce nadleciały w warkocie wirników i zawisły, niczym ogromne owady, z wolna się tylko przesuając, podczas gdy strzelcy wyszukiwali żołnierzy na ziemi, którym udało się przetrwać atak cięższych broni. Ci nie mieli się gdzie ukryć, gdyż ich ciała promieniowały w ciemności na tle chłodniejszego gruntu, a strzelcy wyszukiwali ich w grupach, parach, a na koniec pojedynczo, uwijając się po całym terenie niczym żniwiarze śmierci. Podczas narad poprzedzających operację zdecydowano, że, w przeciwieństwie do 1991 roku, w tej wojnie helikoptery nie będą brały jeńców. Członkowie grupy przez całe dziesięć minut poszukiwali jeszcze poruszających się obiektów, ale gdy upewnili się, że wszystkie pojazdy zostały zniszczone, a na ziemi leżą już tylko nieruchome postacie, śmigłowce przerwały ogień i, z opuszczonymi nosami, pofrunęły na wschód do punktów zaopatrzenia.

Przedwczesny atak na jednostki rozpoznawcze 2. Korpusu sprawił, że jeden z elementów bitwy rozpoczął się z wyprzedzeniem w stosunku do planu, co zaalarmowało nietkniętą jeszcze kompanię czołgów.

— Wchodzimy — rozkazał dowódca szwadronu, odpalając swój pocisk, za którym wkrótce pomknęło osiem następnych. Nawet pomimo tak znacznej odległości sześć trafiło w cel i atak Czarnego Konia na 2. Korpus rozpoczął się w istocie jeszcze przed pierwszą salwą *MLRS*.

Następne wystrzały nastąpiły w ruchu; pięć kolejnych czołgów eksplodowało, podczas gdy pociski przez nie wystrzelone nie sięgnęły celu. Teraz odrobinę trudniej było o celność: chociaż armaty były stabilizowane, zawsze mogła się przydarzyć większa nierówność terenu.

Czołgi szwadronu rozrzucone były co pół kilometra i każdy otrzymał tej samej szerokości rejon polowania, a im dalej się posuwały, tym więcej ukazywało się celów. Zwiadowcze *Bradleye* trzymały się sto metrów z tyłu, a ich celowniczy uważnie wypatrywali piechoty, która mogła odpalić pociski przeciwpancerne. Dwie dywizje 2. Korpusu rozciąły się wszerz na dwadzieścia kilometrów, a w głąb zajmowały pas o długości dwunastu; tak przynajmniej wynikało z informacji podawanych przez *SIM*.

W dziesięć minut szwadron przetoczył się przez batalion, który najpierw nadwyrężyli Saudyjczycy, a teraz do reszty zniszczyli Amerykanie. W ciągu następnych dziesięciu minut natrafili na baterię artylerii. *Bradleye* zalały cały teren lawiną pocisków z rdzeniem ze zubożonego uranu z działek 25 mm i przysporzyły nowych kul ognistych, które mogły zrodzić wrażenie, iż nadal trwa zachód słońca, chociaż ten nastąpił cztery godziny wcześniej.

— Cholera — powiedział Eddington głosem wypranym z emocji. Otrzymałszy informacje od dowódców batalionów, stał teraz wyprostowany we włązie *HMMWV*.

— Czy uwierzyłby pan w to pięć minut wcześniej? — zapytał Lobo Sześć. Eddington słyszał w batalionowej sieci łączności kilka głosów ze zdziwieniem powtarzających: „To już wszystko?” Obowiązywała wprawdzie cisza radiowa, ale nie wszyscy potrafili powstrzymać się od okrzyków zdumienia.

Nie można jednak było spocząć na laurach. Eddington wywołał oficera wywiadu brygady.

— Co mówią *Predatory*?

— Nadal dwie brygady posuwają się na południe, ale teraz trochę zwolniły, sir. Są około piętnaście kilometrów od pana, pułkownika.

— Połącz mnie z Sumter — polecił dowódca Wilczego Stada.

Generał major nie ruszył się jeszcze z miejsca, świadom tego, że śmierć znajduje się przed nim i za nim. Uplętnęło ledwie dziesięć minut. Powróciły trzy czołgi i dwanaście *BWP*, zatrzymały się w płytkiej niecce i zajęły stanowiska, czekając na rozkazy. Powracali też pojedynczy żołnierze, ale nie można było z nimi nawiązać kontaktu. Nie potrafił mieć do nich pretensji; prawdopodobnie był w większym szoku niż oni.

Próbował już połączyć się z dywizyjnym stanowiskiem dowodzenia, ale odpowiedzią był

tylko szum. W tej chwili zupełnie bezużyteczne okazały się lata spędzone w mundurze, czas dowodzenia, szkoły, które ukończył, wygrane i przegrane manewry.

Wciąż jednak miał pod swoimi rozkazami więcej niż połowę dywizji. Dwie z jego brygad nadal były nietknięte, a przecież nie przybył tutaj, aby przegrać. Kazał kierowcy zawrócić.

Resztkom prowadzącej brygady polecił czekać na rozkazy. Musiał wykonać manewr. To, co się tu wydarzyło, przypominało zły sen, ale noc musiała się kiedyś skończyć.

— Jakie propozycje, Eddington?

— Chcę przesunąć swoich ludzi na północ, panie generale. Dwie brygady czołgów połąkaliśmy z taką łatwością jak talerz płatków. Artyleria przeciwnika jest w większości zniszczona i mam przed sobą pusty teren.

— W porządku. Bez nadmiernego pośpiechu i uważaj na skrzydła. Powiadomię Czarnego Konia.

— Zrozumiałem, sir. Ruszamy o dwudziestej.

Rozważyli wcześniej tę możliwość i na mapach pojawiły się już zarysy planów. Lobo miał przesunąć się i rozwinąć na prawo, Biały Kieł — podążyć wprost na północ po obu stronach drogi, a nie wykorzystany na razie Kojot odsunąć miał się w lewo, aby później w szyku schodkowym uderzyć od zachodu. Stąd brygada miała się przesunąć na północ. Musieli poruszać się wolno, gdyż było ciemno i nie znali terenu. Operacja otrzymała kryptonim NATHAN, a jej pierwszy etap BULL RUN[11]. Eddington miał nadzieję, że Diggs nie weźmie mu tego za złe.

— Wilcze Stado Sześć do wszystkich Szóstek. Operacja NATHAN. Powtarzam, rozpoczynamy operację NATHAN za dwadzieścia minut. Potwierdzić.

Kilka sekund później napłynęły potwierdzenia od dowódców batalionów.

Diggs pozostawał z nim w stałej łączności, zatem na ekranie *M4* Magruder miał ten sam obraz sytuacji, co generał. Nie był przesadnie zaskoczony, co najwyżej musiał przyznać, że nie docenił gwardzistów. Jeśli już, to bardziej zaskakujące były postępy 10. pułku. Poruszając się ze stałą prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę, znalazł się już głęboko na terytorium dawnego Iraku, gotów teraz do wykręcenia na południe, co zrobił o drugiej w nocy czasu miejscowego. Zostawiwszy szwadron helikopterów do pomocy Kuwejczykom, Magruder czuł

się nieco odslonięty, było jednak ciemno, co miało jeszcze potrwać cztery godziny. Kiedy te miną, on będzie już znowu w Arabii Saudyjskiej. Dowódca Bizonów uważał, że dostał najlepsze zadanie kawaleryjskie. Oto znajdował się na terytorium przeciwnika i to daleko na jego tyłach.

Tak samo postąpił pułkownik John Grierson z Johnny Rebem[12]. Nakazał swym oddziałom, aby rozjechały się szeroko. Zwiad oznajmiał, że nie ma po drodze żadnych przeszkód, gdyż główny trzon sił wroga znajduje się daleko na terenie Arabii Saudyjskiej. Dużo dalej już się nie posuną, a jemu pozostawało teraz tylko zatrzaskać drzwi.

Donner stał w otwartym włazie wozu zwiadowczego za wieżyczką, obok siebie mając wojskowego kamerzystę. Nigdy dotąd nie widział niczego podobnego. Miał nagrany na taśmie atak na baterię artylerii, chociaż nie był pewien, czy będzie z tego jakiś pożytek przy wszystkich tych podskokach i przechylach. Jak okiem sięgnąć, tylko zniszczenia. Na południowym wschodzie widział setkę wypalonych czołgów, ciężarówek i innych pojazdów, a wszystko to rozegrało się w niecałą godzinę. *Bradley* zatrzymał się, on zaś poleciał do przodu, uderzając twarzą o krawędź luku.

— Szyk obronny! — rozkazał dowódca. — Zatrzymamy się tutaj na chwilę.

Bradleye utworzyły krąg mniej więcej kilometr na północ od zniszczonych armat. Dokoła nic się nie poruszało, o czym celowniczy upewnił się, okręcając wieżyczkę. Otworzyła się rampa z tyłu wozu; dwóch żołnierzy najpierw dokładnie rozejrzało się, a potem wyskoczyło z pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału.

— Chodź — powiedział sierżant i wyciągnął rękę. Donner złapał za nią i wdrapał się na wierzch *Bradleya*. — Chcesz zapalić?

Donner pokręcił głową.

— Dziękuję, rzuciłem.

— Ci przestaną palić dopiero za dzień lub dwa — powiedział sierżant, wskazując na pogorzelnisko. Najwidoczniej uważał to za dobry dowcip. Podniósł do oczu lornetkę i raz jeszcze zlustrował teren.

— No i co pan o tym myśli? — spytał Donner.

— Że za to właśnie mi płacą, a idzie nieźle.

— Dlaczego stanęliśmy?

— Za pół godziny dostaniemy paliwo i amunicję. Sierżant opuścił lornetkę.

— Potrzebne nam paliwo? Nie ujechaliśmy zbyt daleko.

— Pułkownik chyba uważa, że niedługo będziemy mieli następną robótkę.

Gotowi i naprzód!

Inicjatywa, czy to na wojnie, czy w innej dziedzinie ludzkich poczynań, sprowadza się z reguły do psychologicznej przewagi. W inicjatywie łączy się poczucie jednej strony, że wygrywa, i drugiej, że coś nie układa się po jej myśli, że musi reagować na działania przeciwnika, zamiast przygotowywać własne posunięcia.

Przed Amerykanami pojawiła się niemiła konieczność krótkiej, ale nieodzownej pauzy.

Najłatwiej powinien na to przystać pułkownik Nick Eddington z Wilczego Stada, tymczasem wcale tak nie było. Jego Gwardia Narodowa przed swoją pierwszą bitwą musiała tylko spokojnie czekać, aż przeciwnik wejdzie w pułapkę o głębokości i szerokości dwudziestu kilometrów. Jeśli nie liczyć pododdziałów zwiadowczych brygady, żołnierze z Północnej Karoliny niemal się nie ruszyli. Teraz wszystko się zmieniło i Eddington zrozumiał, że chociaż z pewnego punktu widzenia jest baletmistrem, manewru musi dokonać przy użyciu czołgów, obiektów ciężkich, masywnych, które poruszać się miały w ciemności po nieznanym terenie.

Pomogła technika. Dzięki radiu mógł powiadomić swoich podwładnych dokąd się mają udać, a dzięki systemowi *SIM* — jak to zrobić. Lobo zaczął się wycofywać ze stanowiska na zboczu, które czterdzieści minut wcześniej oddało im takie usługi, zwracając się na południe i, poprzez wyznaczone z góry punkty nawigacyjne, skierował się na pozycje odległe o piętnaście kilometrów od miejsca, gdzie stoczyli walkę. W trakcie tego manewru wzmocniony batalion rozluźnił szyk. Dzięki *SIM* dowódcy pododdziałów wiedzieli, jaki obszar zostaje im wyznaczony i byli w stanie podzielić go niemal automatycznie, tak że każdy pojazd z dokładnością do metra znał miejsce swego rozlokowania. Pojazdy poruszały się po ziemi niczyjej, z szybkością samochodów w godzinach szczytu. Niemniej wszystko potoczyło się zgodnie z planem i po godzinie od rozpoczęcia operacji NATHAN manewr był zakończony. Brygada, rozciągnięta w formację o czole szerokości piętnastu kilometrów, wykręciła na północ i zaczęła posuwać się z szybkością dwudziestu kilometrów na godzinę, poprzedzana przez jednostki rozpoznawcze, które pośpieszyły zająć pozycje o siedem kilometrów przed głównymi siłami. Zabrało to o wiele mniej czasu niż w podręcznikach. Eddington nieustannie powtarzał sobie, że dowodzi żołnierzami niezawodowymi, którzy odrobinę nazbyt byli zależni od sprzętu elektronicznego, aby mógł się czuć całkiem spokojny. Musiał starannie kontrolować poczynania swych trzech batalionów do chwili, gdy znowu nawiążą kontakt z przeciwnikiem i sytuacja się wyklaruje.

Dla Toma Donnera prawdziwym zaskoczeniem było to, że masywne ciężarówki zaopatrzenia potrafiły dotrzymać tempa jednostkom bojowym. Wcześniej nie zastanawiał się jakoś nad znaczeniem tego faktu, przyzwyczajony raz w tygodniu zajeżdżać na stację benzynową.

Pojawiły się cysterny. *Bradleye* i czołgi podjeżdżały parami, tankowały równocześnie, a następnie powracały na stanowiska, gdzie czekała na nie amunicja. Zauważył, że każdy niemal *Bradley* zaopatrzony był w zakupiony przez celowniczego z własnych pieniędzy klucz nasadowy, który ułatwiał przeładowanie magazynka *Bushmastera*. Działały lepiej niż specjalnie w tym celu zaprojektowane urządzenia. Temat na niezły program, pomyślał z nikłym uśmiechem.

Dowódca oddziału, który z *M1A2* przesiadł się teraz na *HMMWV*, przechodził od pojazdu do pojazdu, sprawdzając stan maszyn i załóg. Dziennikarza zostawił sobie na koniec.

— Panie Donner, wszystko w porządku?

Reporter upił łyk kawy przyrządzonej przez kierowcę *Bradleya* i skinął głową.

— Zawsze tak to wygląda? — spytał młodego oficera.

— Dotąd znałem to tylko z ćwiczeń, ale na razie wszystko przebiega bardzo podobnie.

— A co pan myśli o całej sprawie? — indagował dziennikarz. — No wie pan, pan i pańscy ludzie zabiliście tak wielu nieprzyjaciół.

Kapitan zamyślił się na chwilę.

— Pisał pan kiedyś o huraganie i podobnych wypadkach?

— Tak.

— I pytał pan ludzi, jak to jest, kiedy nagle całe życie zostaje wywrócone do góry nogami?

— Taki jest mój zawód.

— Podobnie jest z nami. Wypowiedzieli nam wojnę, więc z nimi walczymy. Jeśli ich zabolą, może następnym razem się zastanowią. Wie pan, mam wujka w Teksasie, to znaczy wujka i ciotkę. Kiedyś grał zawodowo w golfa, uczył mnie trzymać kij i robić zamach, potem pracował

dla Cobry, firmy produkującej sprzęt do golfa. Tuż przed naszym wyjazdem z Fort Irwin zadzwoniła matka, że oboje złapali tego pieprzonego wirusa ebola. Chce pan naprawdę wiedzieć, co o tym myślimy? — spytał oficer, który tej nocy zniszczył pięć czołgów. — Pora się zbierać, panie Donner. Czarny Koń rusza o dziesiątej. Przed świtem powinniśmy mieć kontakt. — Na horyzoncie pojawił się przytłumiony blask, a po długiej chwili doleciał do nich odległy grzmot.

— *Apache* zaczynają wcześniej.

Trzydzieści kilometrów na północny zachód, zniszczone zostało właśnie stanowisko dowodzenia 2. Korpusu.

Operacja rozwijała się pomyślnie. 1. szwadron Czarnego Konia miał teraz zrobić zwrot i przetoczyć się na północ przez resztki 2. Korpusu. 3. szwadron powinien napotkać na mniejszy opór, gdy iść będzie na południe, by w ten sposób uzupełnić siły pułku przed pierwszym atakiem na lewe skrzydło 2. Korpusu. W odległości jedenastu kilometrów Hamm przesunął artylerię, aby ta dopomogła w dobieciu 2. Korpusu, którego dowództwo właśnie wyeliminowały śmigłowce *Apache*.

Eddington nieustannie musiał upominać sam siebie, że najważniejsza jest prostota.

Niezależnie od lat studiów i nazwy, którą wybrał dla swojej formacji, nie był Nathanielem Bedfordem Forrestem, a pole bitwy było o wiele za duże, aby mógł sobie pozwolić na improwizację, jak często robił ten rasistowski geniusz podczas wojny secesyjnej.

Kruk był teraz rozciągnięty szczególnie płytko, gdyż w ciągu ostatnich dziewięćdziesięciu minut czoło brygady poszerzyło się niemal dwukrotnie, co zmniejszyło tempo jej marszu. Może to i nieźle, myślał pułkownik. Musiał zachować ostrożność. Siły wroga nie mogły wykonać zbyt głębokiego manewru na wschód w obawie, że zderzą się z lewym skrzydłem Czarnego Konia —

jeśli założyć, że w ogóle wiedzieli o jego istnieniu — z kolei teren na zachodzie był zbyt trudny, aby pozwolić na szybki manewr. Najeźdźcy próbowali środkiem i dostali lanie, logicznym przeto posunięciem ze strony 1. Korpusu ZRI byłoby wykonanie ograniczonego manewru oskrzydającego, najpewniej z głównymi siłami przesuniętymi na wschód. Obrazy dostarczane przez *Predatory* zaczynały to potwierdzać.

Dowódca Nieśmiertelnych nie mógł już skorzystać z prawdziwego stanowiska dowodzenia, dlatego musiał zadowolić się tym, co pozostało po 1. Brygadzie. Płynęła z tego bezpośrednia nauka, że musi nieustannie uciekać. Najważniejsze było w tej chwili ponowne nawiązanie kontaktu z dowództwem 1. Korpusu, co nastroczało sporo trudności, ono bowiem właśnie przemieszczało się, gdy na drodze do Al-Artawija wpadł w zasadzkę Amerykanów.

Teraz 1. Korpus z pewnością organizował stanowisko dowodzenia sztabu armii. Udało mu się połączyć z trójgwiazdkowym irańskim generałem, któremu, najszybciej jak potrafił, przekazał wiadomości.

— To najwyżej jedna brygada — zapewnił go zwierzchnik. — Co teraz zamierzacie, generale?

— Skupię siły, które mi pozostały i przed świtem zaatakuję z obu skrzydeł — odparł

dowódca dywizji. W gruncie rzeczy nie miał zbyt wielkiego wyboru, o czym obaj dobrze wiedzieli. 1. Korpus nie mógł się cofnąć, gdyż wywołałoby to tylko gniew przywódcy, który posłał go do boju. Pozostanie w miejscu oznaczało czekanie na oddziały saudyjskie, które sunęły od granicy z Kuwejtem. Trzeba było zatem odzyskać inicjatywę, z zaskoczenia atakując blokujących drogę Amerykanów. Do tego właśnie celu przeznaczone były czołgi, a pod swoimi rozkazami miał ich ciągle ponad czterysta.

— Aprobuję. Zapewnię wam wsparcie artylerii korpusu. Jeśli przełamiacie obronę nieprzyjaciela, przed zmrokiem powinniście stanąć w Rijadzie.

Jeśli Allah pozwoli, dopowiedział w duchu dowódca Nieśmiertelnych. Nakazał 2.

Brygadzie, aby zwolniła tempo, co pozwoliło 3. dogonić ją, przeformować się i wykonać manewr na wschód. Zwierciadlaną operację powinni na zachodzie przeprowadzić Irakijczycy. 2. Brygada zaatakuje przeciwnika z boku, podczas gdy 3. zajdzie go od tyłu.

Centrum pozostanie puste.

— Zatrzymali się. Prowadząca brygada stanęła. Są o trzynaście kilometrów na północ —

oznajmił S-2 brygady. — Za kilka minut powinniśmy otrzymać potwierdzenie od Kruka, który będzie ich miał w zasięgu wzroku.

Wiedział, co robi nieprzyjaciel. Grupa zachodnia, nieco cofnięta, posuwała się wolno, najwyraźniej w oczekiwaniu na rozkazy, które zmienią jej rozlokowanie. Nieprzyjaciel potrzebował czasu na zastanowienie.

Eddington nie mógł na to pozwolić.

Jedyny prawdziwy problem z *MLRS* polegał na tym, że przy minimalnym zasięgu wyrzutnia była o wiele mniej precyzyjna niż przy maksymalnym. Po raz drugi tej nocy wyrzutnie, które nie zmieniły w ogóle swej pozycji, włączyły stabilizatory i podniosły platformy z kasetami, sterowane wyłącznie informacjami elektronicznymi. Po raz drugi tej nocy ciemność rozdarły smugi pocisków, tyle że tym razem poruszających się po o wiele bardziej płaskich trajektoriach. Tak samo postąpiła klasyczna artyleria, przy czym obie formacje uwagę skupiły przede wszystkim na oddziałach brygady wroga, które znalazły się po lewej i po prawej stronie szosy.

Chodziło przede wszystkim o efekt psychologiczny. Subamunicja przenoszona w głowicach rakiet nie mogła zniszczyć czołgu. Przy odrobinie szczęścia uszkodzić mogła silnik, bądź też przebić ścianę transportera opancerzonego, ale szansę na to były niewielkie.

Najważniejsze było zatem to, aby lawiną stali oszołomić przeciwnika, ograniczyć jego możliwość obserwacji, a także myślenia. Oficerowie, którzy z dowódczych czołgów udali się na naradę, rzucą się do swych wozów, przy czym niektórzy z nich zostaną zabici lub ranni. Ci, którzy bezpiecznie schronią się za pancernymi płytami, usłyszą przecież łomot odłamków i niespokojnie będą wyglądać przez peryskopy, czy ostrzał nie jest aby wstępem do natarcia. Mniej liczne pociski 155 mm stanowiły poważniejsze zagrożenie, tym bardziej, że nie wybuchały w powietrzu, a dopiero po zetknięciu z przeszkodą. Rachunek prawdopodobieństwa wskazywał, że podczas gdy 2. Brygada będzie czekać, aż 3. Brygada przesunie się po jej lewej stronie, niektóre z pojazdów zostaną zniszczone. Nie mogąc zmienić miejsca, ani — z racji braku artylerii —

odpowiedzieć ogniem. Żołnierze będą musieli kulić się w pojazdach, spoglądając bezsilnie na deszcz bomb i pocisków.

Zgodnie z planem, 1. szwadron 11. pułku ruszył na północ. Prowadziły zwiadowcze *Bradleye*, kilometr za nimi sunęły czołgi, gotowe rzucić się do walki na pierwszą wiadomość o kontakcie z przeciwnikiem. Dla Donnera było to niezwykle przeżycie. Człowiek inteligentny, bynajmniej nie domator, nawykły do wędrówek po Appalachach, starał się najwięcej, jak mógł

zobaczyć z *Bradleya*, a przecież nie potrafił się połapać w tym, co się działo. Pokonał w końcu skrępowanie i przez interkom spytał dowódcę, jak tamten może się orientować, w odpowiedzi na co został przywołany na przód pojazdu, gdzie na trzeciego skulił się w przestrzeni obliczonej dla dwóch osób.

— Jesteśmy tutaj — wyjaśnił sierżant sztabowy, dotykając palcem ekranu *SIM*. —

Poruszamy się w tym kierunku. W pobliżu nie ma nikogo. Nieprzyjaciel — obraz się zmienił — jest tutaj, a my jedziemy wzdłuż tej linii.

— Jak daleko?

— Jeszcze jakieś dwadzieścia kilometrów, a powinniśmy go zobaczyć.

— Na ile wiarygodne są te informacje? — spytał Donner.

— Jak dotąd doprowadziły nas aż tutaj, Tom.

Zaskakujący był rytm jazdy, który odrobinę przypominał dziennikarzowi rwany rytm samochodów na zatłoczonej autostradzie w piątkowe popołudnie. Wozy bojowe przeskakiwały

— nigdy szybciej niż trzydzieści kilometrów na godzinę — od jednej przeszkody terenowej do drugiej, badały okolicę przed sobą i znowu robiły skok. Sierżant wyjaśnił, że w równiejszym terenie przemieszczałyby się bardziej płynnie, ale w tej części pustyni było mnóstwo wzgórków i grzbietów, za którymi mógł czatować wróg. *Bradleye* trzymały się parami. Każdy *M3* miał

„skrzydłowego” — termin zapożyczony z lotnictwa.

— A jeśli na kogoś się natkniemy?

— Będą do nas strzelać — odparł sierżant. Celowniczy nieustannie poruszał wieżyczką to w lewo, to w prawo, szukając ciepłego obiektu. Donner zorientował się, że, dzięki noktowizorom, w nocy widzieli nawet lepiej, co wyjaśniało, dlaczego Amerykanie preferowali łowy po ciemku.

— Stanley, skręć w lewo i zatrzymaj się za tym garbem — polecił dowódca kierowcy. —

Gdybym ja się miał zasadzić, spodobałoby mi się to miejsce po prawej. Będziemy ubezpieczać Chucka, kiedy podjedzie do tych skał. — Wieżyczka poruszyła się i zatrzymała, wycelowana w duży grzbiet, za który wjechał „skrzydłowy”. — W porządku, Stanley, dalej!

Zlokalizowanie ścisłego dowództwa Armii Boga okazało się bardzo trudne. To zadanie Hamm powierzył dwóm helikopterom zwiadowczym, a koordynowała jego wykonanie komórka zwiadu elektronicznego, dołączona do dowództwa 2. szwadronu. Misji nadali nazwę ENCHILADA. Kiedy rozbije się najwyższe dowództwo, anarchia ogarnie siły nieprzyjaciela.

Przydzieleni do oddziału zwiadu elektronicznego saudyjscy oficerowie wywiadu wsłuchiwali się w komunikaty. Najwyżsi dowódcy ZRI przesyłali między sobą zaszyfrowane meldunki radiowe, ale to pozwalało porozumiewać się tylko osobom posiadającym ten sam sprzęt, czym niżej więc na szczeblach dowodzenia, tym prędyj wróg musiał zacząć przemawiać zrozumiałym językiem.

Uderzono na stanowiska dowodzenia korpusu i dywizji, dwa niszcząc doszczętnie, jedno poważnie uszkadzając. Co więcej, z grubsza wiedziano, gdzie znajduje się 3. Korpus, a szefowie Armii Boga musieli zacząć się z nim komunikować, była to bowiem ostatnia nietknięta — jeśli nie liczyć kilku uderzeń z powietrza — formacja. Nie musieli znać treści komunikatów, chociaż skądinąd byłoby to pożyteczne. Znali częstotliwość, na której nadawało najwyższe dowództwo, a kilka minut wystarczyło na lokalizację dostatecznie precyzyjną, aby do dzieła mogły przystąpić helikopterowe formacje.

Kodowane informacje radiowe brzmiały jak normalne szумы w eterze. Podporucznik dowodzący sekcją zwiadu elektronicznego uwielbiał nasłuch, brakowało mu jednak odpowiedniego sprzętu. Trzeba więc było szczególnego talentu, by przeglądając różne częstotliwości — co właśnie robili jego podwładni — odróżnić naturalne szумы atmosferyczne od sztucznych.

— Bingo! — zawołał jeden z nich. — Trzy-zero-pięć, syczy jak wąż. Jakkolwiek chaotyczne mogły wydawać się dźwięki, były za głośne na statykę.

— Jaka pewność? — spytał podporucznik.

— Dziewięćdziesiąt procent, panie poruczniku. — Drugi pojazd, sprzężony elektronicznie z pierwszym, był odległy o dwa kilometry, aby umożliwić namiar triangulacyjny.

— Tutaj. — Na ekranie komputera pojawiła się lokalizacja. Podporucznik połączył się z dowódcą 4. szwadronu.

— Co tam się dzieje?

Mahmud Hadzi nie znośił korzystać z tej radiotelefonicznej prowizorki, a zresztą samo połączenie z dowódcą Armii Boga nastęrczało mnóstwo problemów.

— Na południe od King Chalid napotkaliśmy na opór. Właśnie go przełamujemy.

— Proszę spytać, wasza świątobliwość, o charakter tego oporu — spytał szef wywiadu.

— A może to wasz gość, wasza świątobliwość, odpowiedziałby na to pytanie? —

zareagował z oburzeniem generał. — Staramy się rozpoznać siły nieprzyjaciela.

— Amerykanie nie mogą mieć tam więcej niż dwie brygady — upierał się szef wywiadu.

— Najwyżej jeszcze oddziały z Kuwejtu w sile brygady, ale to wszystko!

— Doprawdy? W ciągu ostatnich trzech godzin straciłem całą dywizję, a ciągle nie wiem, z kim mam do czynienia. Drugi Korpus został paskudnie poharatany. Pierwszy nadal walczy.

Tylko trzeci jest na razie nienaruszony. Mogę kontynuować natarcie na Rijad, ale muszę mieć lepsze informacje!

Dowódca Armii Boga, sześćdziesięcioletni generał, nie był głupcem i czuł, że zwycięstwo wciąż jest w jego zasięgu. Nadal dysponował siłą uderzeniową czterech dywizji, tylko że trzeba ją było odpowiednio wykorzystać. Szybko wyciągał wnioski z porażek. Zniknięcie trzech stanowisk dowodzenia sprawiło, że zaczął myśleć o własnym bezpieczeństwie. Znajdował się teraz o kilometr od aparatury radiowej zamontowanej na jego *BWP-1*; słuchawki z mikrofonem wisiały na końcu długiego, rozciągniętego przewodu. Otaczający go żołnierze udawali, iż nie zauważają zdenerwowania w głosie dowódcy.

— Ej, spójrz tylko na te wyrzutnie przeciwlotnicze — powiedział przez radio obserwator *Kiowa*, oddalony o dziesięć kilometrów na północ. Pilot połączył się ze sztabem, podczas gdy obserwator liczył pojazdy wroga.

— Prowadzący, tutaj Maskotka Trzy. Mamy chyba ENCHILADĘ.

— Trójka, tutaj prowadzący, dawaj — padła niecierpliwa odpowiedź.

— Sześć transporterów opancerzonych, dziesięć ciężarówek, pięć samobieżnych wyrzutni przeciwlotniczych, dwa pojazdy radarowe i trzy *ZSU-23*. Zalecane podejście od zachodu, powtarzam, od zachodu.

Skupienie środków przeciwlotniczych było zbyt wielkie, aby mogło chodzić o coś innego niż ruchome stanowisko dowodzenia Armii Boga. Wyrzutniami były *Crotale* produkcji francuskiej, a ich obsługa musiała być niezłe wystraszona. Dowódca obrony powinien zdecydowanie wybrać inne miejsce. Była to jedna z tych sytuacji, w których lepiej znajdować się na otwartym, czy nawet podniesionym terenie, aby radary wyrzutni przeciwlotniczych miały lepsze warunki do pracy.

— Trójka, tu prowadzący, czy możecie poświecić?

— Jasne. Powiedzcie nam tylko kiedy. Na początek pojazdy radarowe.

Dowódca *Apache*, kapitan, leciał tuż nad ziemią z szybkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i zbliżał się właśnie do czegoś, co wydawało się krawędzią wąwozu. Powoli, powoli...

najpierw niech wynurzy się tylko maszt czujnika.

— Tutaj chyba najlepiej się zatrzymać, panie kapitanie — powiedział z przedniego fotela strzelec.

— Maskotka trzy, tu prowadzący, zaczynamy koncert — oznajmił pilot.

Kiowa uruchomił laserowy znacznik celów i niewidzialne promienie oświetliły pierwszy z pojazdów radarowych. *Apache*, podziękowawszy za pomoc, uniósł nos i odpalił pierwszy z pocisków *Hellfire*, a w pięć sekund później drugi.

Generał usłyszał ostrzegawczy okrzyk z odległości tysiąca metrów. Funkcjonował w tej chwili tylko jeden z pojazdów radarowych, a i on z przerwami, aby zminimalizować niebezpieczeństwo wykrycia. Niestety, pracował właśnie w chwili, kiedy wystrzelono pocisk.

Jedna z wyrzutni zdążyła wystrzelić pocisk, ale kiedy *Hellfire* znurkowały, *Crotale* nieszkodliwie poszybował w niebo. Samobieżny radar eksplodował chwilę później, a po następnych sześciu sekundach drugi. Naczelny dowódca Armii Boga zamilkł, ignorując gniewne słowa napływające z Teheranu. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to przypaść do ziemi i modlić się.

Cztery *Apache* czekały, aż ich dowódca odpali swoje *Hellfire*. Zrobił to w odstępie pięciu sekund, a *Kiowa* naprowadził pociski na cele. Potem przysła kolej na wyrzutnie przeciwlotnicze, a następnie na samobieżne systemy przeciwlotnicze bliskiego zasięgu *Szyłka*. Teraz nie pozostało już nic, co mogło ochronić transportery opancerzone.

Wszystko odbyło się z absolutną bezwzględnością. Żołnierze usiłowali strzelać, ale w pierwszej chwili nie wiedzieli, do czego. Rozglądali się, machali rękami. Niektórzy rzucili się do ucieczki, większość została, aby się bronić. Pociski, jak się wydawało, nadlatywały z zachodu.

Generał dostrzegł żółtobiałe strugi z silników raketowych, ale nic i nikt nie potrafiło im przeszkodzić, więc jeden po drugim ginęły środki obrony przeciwlotniczej, *BWP*, a wreszcie ciężarówki. Dopiero po dwóch minutach pojawiły się sylwetki śmigłowców. Stanowiska dowodzenia broniła kompania piechoty. Żołnierze byli wprawdzie uzbrojeni w wielkokalibrowe karabiny maszynowe i przenośne wyrzutnie pocisków raketowych, ale widmowe cienie znajdowały się zbyt daleko. A potem pojawiły się pociski smugowe i na terenie, oświetlonym teraz płonącymi pojazdami, wynajdowały tu oddział, tam jego fragment, gdzie indziej jakieś dwie postacie. Żołnierze starali się uciekać, ale helikoptery strzelały z odległości kilkuset metrów, z bezlitosną konsekwencją polując na swe ofiary. Generał przypatrywał się temu wszystkiemu, zapomniawszy zdjąć z głowy głucho teraz słuchawki.

— Prowadzący, tu Dwójka, na wschodzie jest jakaś grupa — poinformował pilot dowódcę formacji *Apache*.

— Zlikwidować — krótko polecił dowódca i jeden ze śmigłowców szturmowych obrócił się w kierunku tego, co pozostało ze stanowiska dowodzenia.

Nic nie można było zrobić, ani nigdzie nie można było uciec. Trzech żołnierzy, którzy zostali u boku generała, usiłowало się ostrzeliwać. Inni próbowali umknąć, ale były to beznadziejne próby.

Helikoptery reagowały na każde poruszenie. Amerykanie. To musieli być oni. Rozwścieczeni tym, co usłyszeli o epidemii wirusa ebola, a co, pomyślał generał, mogło być całkowitą prawdą...

— Każcie mu się wycofać! — wykrzyknął Darjaei do słuchawki. Znajdujący się obok szef wywiadu nie odezwał się ani słowem. Doszedł właśnie do wniosku, że nigdy już nie zobaczą dowódcy Armii Boga. Najgorsza była niewiedza. Jego ocena siły Amerykanów była bez wątpienia poprawna. Tego był pewien. W jaki sposób tak nieliczny wróg mógł zadać tak straszliwe straty?

— Mieli tam tylko dwie brygady, mam rację? — spytał Ryan, wpatrzony w ostatni obraz, który zastygł na ekranie w Sali Sytuacyjnej.

— Tak. — Generał Moore skinął głową. Z niejaką satysfakcją zauważył, że nawet admirał Jackson milczy. — Mój Boże, ci gwardziści są naprawdę niezli.

— Panie prezydencie — odezwał się Ed Foley — jak długo będzie trwała ta operacja?

— Czy ktoś ma jakieś wątpliwości, że to Darjaei jest odpowiedzialny za wszystkie te decyzje?

Ryan wiedział, że to dosyć głupie pytanie. Mimo wszystko musiał je zadać i wszyscy zgromadzeni w Sali Sytuacyjnej dobrze o tym wiedzieli.

— Nie — odpowiedział dyrektor CIA.

— A więc musimy to doprowadzić do samego końca, Ed. Czy Rosjanie będą współdziałać?

— Tak, panie prezydencie. Myślę, że będą.

Jack pomyślał o zarazie, właśnie dogasającej w Stanach Zjednoczonych, tysiącach niewinnych osób, które zmarły i które jeszcze miały umrzeć. Pomyślał o żołnierzach, marynarzach i lotnikach, których jego rozkazy narażały na śmierć. Pomyślał nawet o żołnierzach ZRI, walczących pod niewłaściwymi sztandarami i w imię niewłaściwych celów, tylko dlatego, że nie mieli możliwości wybrać sobie kraju i przywódców, a teraz płacili cenę za nieszczęście urodzenia się tam, a nie gdzie indziej. Nawet jeśli nie byli absolutnie niewinni, nie byli do końca winni, ponieważ w większości tylko wykonywali otrzymywane rozkazy. Przypomniał sobie także spojrzenie żony w chwili, kiedy Katie dostarczono helikopterem na Południowy Trawnik.

Zdarzały się chwile, kiedy, niezależnie od potęgi, która znajdowała się w jego ręku, był człowiekiem takim jak inni.

— No to do roboty — powiedział zimno prezydent.

W Pekinie był właśnie słoneczny poranek. Adler wiedział więcej niż pozostali uczestnicy rozmowy. Nie były to informacje nazbyt szczegółowe, jedynie najważniejsze kwestie, których zapis przedstawił attaché wojskowemu, o których całkowitej wiarygodności zapewnił go pułkownik Armii. Na razie znał je jednak tylko ograniczony krąg osób. Reportaże telewizyjne musiały przejść przez sieć wojskową, a ze względu na porę w Ameryce, poinformowały zaledwie o rozpoczęciu walk. Jeśli

przywódcy ChRL współpracowali z Darjaeim, mogli wierzyć, że ich dalecy sojusznicy biorą górę. Warto to sprawdzić, pomyślał sekretarz stanu, pewien, że zyskałby w tym względzie poparcie Ryana.

— Z radością widzimy pana ponownie, panie sekretarzu. — Minister spraw zagranicznych skłonił się grzecznie. I znowu w pokoju oprócz niego znalazł się Żeng, jak przedtem milczący i tajemniczy.

— Dziękuję.

Adler zajął to samo miejsce co poprzednio, nawiasem mówiąc, nie tak wygodne jak w Tajpej.

— To ostatnie wystąpienie prezydenta Ryana... czy można mu w pełni wierzyć? — spytał gospodarz.

— Takie jest oficjalne stanowisko mojego prezydenta i mojego kraju — odpowiedział sekretarz stanu.

Należało je zatem traktować z całkowitą powagą.

— Czy macie dostateczne siły, aby chronić swe interesy w tym regionie?

— Panie ministrze, nie jestem specjalistą od spraw wojskowych i dlatego to pytanie wolę pozostawić bez odpowiedzi — rzekł Adler.

I to było prawdą, ale ktoś, kto czułby się pewnie, najprawdopodobniej udzieliłby innej odpowiedzi.

— Byłoby bardzo niefortunne, gdybyście okazali się za słabi — zauważył Żeng.

Interesujące byłoby zapytać, jakie jest stanowisko Chińskiej Republiki Ludowej w tej sprawie, ale odpowiedź byłaby najpewniej obojętna i wymijająca, podobnie jak w kwestii obecności lotniskowca „Esenhower” czy lotów patrolowych nad międzynarodowymi wodami Zatoki Tajwańskiej. Sztuka polegała na tym, aby zmusić ich do powiedzenia czegoś bardziej konkretnego.

— Sytuacja światowa od czasu do czasu zmusza do dokładnego przemyślenia stanowiska kraju w podstawowych kwestiach, a pośród nich znajdują się problemy przyjaźni i sojuszków.

Na odpowiedź przyszło Adlerowi czekać około pół minuty.

— Nasze kraje pozostają w przyjaźni od czasu, kiedy prezydent Nixon zdobył się na odwagę, aby nas odwiedzić — odezwał się wreszcie minister spraw zagranicznych. —

Niezależnie od wszelkich nieporozumień, nic się pod tym względem nie zmieniło.

— Z przyjemnością to słyszę, panie ministrze. Powiada się u nas, że prawdziwych przyjaciół poznaje

się w biedzie.

Namyślcie się teraz nad tym chwilę. A może doniesienia są prawdziwe? Może wasz przyjaciel Darjaei wygra? I znowu na kilkanaście sekund zapadła cisza.

— W rzeczy samej, jedyną przyczyną nieporozumień między nami jest kwestia, którą pański prezydent niefortunnie nazwał „dwoma państwami chińskimi”. Jeśli tylko udałoby się rozwiązać tę sprawę...

Minister zawiesił głos.

— Tłumaczyłem już panu, że w stresującej sytuacji prezydent usiłował jak najlepiej przekazać swoje intencje dziennikarzom.

— Czy zatem jego słowa możemy uznać za niebyłe?

— Stany Zjednoczone Ameryki niezmiennie uważają, że tylko pokojowe rozwiązanie tego lokalnego problemu może służyć interesom wszystkich stron.

Był to powrót do *status quo ante*, stanowiska zajętego przez silną, pewną siebie Amerykę, któremu Chiny nie mogły jawnie się sprzeciwić.

— Pokój jest zawsze lepszy od wojny — odezwał się Żeng — ale jak długo jeszcze mamy wykazywać swoją bezgraniczną cierpliwość? Ostatnie wypadki szczególnie wyraźnie ukazały drażliwość tej kwestii.

Zaczyna się presja, pomyślał Adler, a głośno powiedział:

— Szanuję pańskie stanowisko, obaj jednak wiemy, że cierpliwość jest najwyższą z cnót.

— Jest jednak taki punkt, w którym cierpliwość zamienia się w pokorę. — Minister sięgnął po filiżankę z herbatą. — Z wielką wdzięcznością powitalibyśmy bardziej zdecydowane oświadczenie ze strony Ameryki.

— Czyżby chodziło panu o zmianę w naszej dotychczasowej polityce zagranicznej?

Sekretarz stanu wątpił, aby Żeng włączył się jeszcze do dyskusji, kiedy rozmowa zmieniła odrobinę nastrój.

— Chodzi nam jedynie o to, abyście dostrzegli logikę sytuacji, co przyjaźń między naszymi narodami uczyniłoby bardziej trwałą. Przecież w końcu dla krajów tak wielkich jak nasze jest to kwestia dość bagatelna.

— Rozumiem — powiedział Adler.

I rzeczywiście rozumiał. Teraz wszystko było jasne. Gratulował sobie, że udało mu się zmusić ich do wyłożenia kart. Decyzja w tej kwestii zostanie podjęta w Waszyngtonie, jeśli założyc, że będzie

jeszcze cokolwiek innego do zrobienia oprócz wypowiedzenia wojny.

10. pułk kawalerii pancерnej wkroczył ponownie na terytorium saudyjskie o trzeciej trzydziści czasu miejscowego. Bizony rozciągnięte teraz były na froncie o długości pięćdziesięciu kilometrów. Za godzinę obsadzą po obu stronach linię zaopatrzeniową wojsk ZRI.

Poruszali się teraz szybciej, robiąc prawie pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Pojazdy zwiadowcze napotkały jedynie kilka patroli, najczęściej pojedynczych pojazdów, które bezzwłocznie zniszczono. Teraz pojawi się ich znacznie więcej. Najpierw będą to jednostki żandarmerii — czy jak tam nazywał je nieprzyjaciel — wyznaczone do kierowania ruchem drogowym. W kierunku King Chalid musiała się toczyć wielka liczba pojazdów z paliwem i to one były pierwszym celem.

Nieśmiertelni znajdowali się pod ostrzałem od godziny, kiedy rozkazano im przesunąć się do przodu. Dowodzący dwugwiazdkowy generał znajdował się teraz na zapleczu 3. Brygady, bardziej słuchając, niż mówiąc, dziwiąc się i dziękując losowi, że nie nęka go amerykańskie lotnictwo. Pojawiła się artyleria korpusu i zajęła stanowiska, na razie nie otwierając ognia, aby nie zdradzać swojej obecności. Nie będzie mógł zbyt długo liczyć na to wsparcie, ale cieszył się z niego. Po tej stronie szosy nie mógł mieć naprzeciwko siebie całej brygady, więc byli silniejsi od przeciwnika, a nawet gdyby był on liczniejszy, jego sojusznicy iraccy, znajdujący się po przeciwnej stronie, z pewnością mu pomogą, tak jak i on postąpiłby na ich miejscu. Przez radio, ciągle w ruchu, aby uniknąć ataku ze strony śmigłowców, bądź artylerii, nakazał podległym mu dowódcom zwiększyć napór na przeciwnika, a sam ruszył ich śladem w otwartym włązie wozu bojowego. Teraz, jeśli tylko wróg trzyma się stanowisk, które okazały się dla niego tak korzystne przy pierwszym natarciu, nie powinno być źle...

Lobo ukończył fazę BULL RUN z dwudziestominutowym opóźnieniem, ku tłumionej wściekłości pułkownika Eddingtona, który uważał, że zarezerwował dostatecznie wiele czasu na wykonanie manewru. Niemniej teraz ów cholerny prawnik, który dowodził Krukiem, dobrze go już wyprzedzał, osłaniając prawe skrzydło.

— Wilcze Stado Sześć, tutaj Kruk Sześć, odbiór.

— Słucham, Kruk — odpowiedział Eddington.

— Nadchodzą, panie pułkowniku, dwie brygady w jednej linii, bardzo ściśnięte.

— Jak blisko są, pułkowniku?

— Trzy tysiące metrów. Wycofuję swoich ludzi. Wyznaczono w tym celu ustalone trasy odwrotu i dowódca Kruka miał nadzieję, że wszyscy pamiętają, gdzie one się znajdują.

— W porządku. Proszę oczyścić pole, mecenasie.

— Zrozumiałem, profesorze Eddington. Kruk odfruwa — padła odpowiedź. — Bez odbioru.

Kierowca, w cywilu fanatyk wyścigów samochodowych, z niekłamanym entuzjazmem przyjął polecenie, aby pokazał, jak szybko potrafi jechać w ciemności.

Podobna wiadomość napłynęła cztery minuty później z lewego skrzydła. Jedna brygada musiała stawić czoło czterem. Trzeba było nieco zniwelować tę dysproporcję. Artyleria batalionowa przeniosła ogień. Dowódcy czołgów i *Bradleyów* najpierw dokładnie przepatrzyli horyzont, a następnie trzy zmechanizowane bataliony potoczyły się na spotkanie nadciągającego nieprzyjaciela. Dowódcy kompanii i plutonów pilnowali, aby odstępy były odpowiednie.

Dowódca batalionu znajdował się w czołgu na lewym skraju linii. Oficer operacyjny był na prawym skrzydle. Jak zwykle *Bradleye* trzymały się nieco z tyłu za pięćdziesięcioma czterema *Abramsami*, a ich zadaniem było unieszkodliwienie piechoty i pojazdów wspomagających.

Nikt tutaj nie myślał o rycerskich pojedynkach, pole bitwy było nazbyt rozległe. Starcie w istocie bardziej przypominało morską bitwę rozgrywaną pośród żywiołu skał i piasku, który był

nie mniej nieprzyjazny ludziom niż woda. Eddington pozostał wraz z Białym Kłębem, który stał się wysuniętym odwodem z chwilą, kiedy okazało się, że wróg naciera z obu skrzydeł, w centrum pozostawiając nie więcej niż dziesięć procent sił.

— Kontakt! — w kompanijnej sieci łączności rozległ się meldunek dowódcy jednego z plutonów. — Pięć tysięcy metrów przed sobą mam pancerne pojazdy nieprzyjaciela. — Raz jeszcze przyjrzał się ekranowi *SIM*, aby się upewnić, że to nie sprzymierzeńcy. W porządku.

Kruk wycofał się. Przed sobą mieli już tylko wroga.

Wszedł księżyc w nowiu, dostatecznie jednak jasny, aby czołowe pododdziały Nieśmiertelnych mogły dostrzec ruch na widnokręgu. Żołnierze 2. Brygady wrzeli gniewem, rozwścieczeni ostrzałem, na który zostali wystawieni, gdy czekali na rozkaz do natarcia. Sporo czołgów dysponowało laserowymi dalmierzami, na których widać było przeciwnika w odległości dwa razy większej od zasięgu skutecznego strzału. Informacje pomknęły w górę, a ze szczebli dowodzenia nadszedł rozkaz, aby zwiększyć prędkość natarcia i jak najszybciej zbliżyć się do przeciwnika, w ten sposób wychodząc też spod bezpośredniego ostrzału artyleryjskiego.

Celowniczy skupili uwagę na obiektach, które za dwie, trzy minuty powinny się znaleźć w ich zasięgu. Czuli, że wzrasta tempo, słyszeli nakazujące czujność rozkazy dowódców. Liczebność przeciwnika była naprawdę niewielka; Nieśmiertelni mieli niewątpliwą przewagę; musieli ją zresztą mieć.

Tylko dlaczego tamci jechali przed siebie, zamiast uciekać?

— Otworzyć ogień z czterech tysięcy metrów — rozkazał swoim załogom dowódca kompanii. *Abramsy* były rozciągnięte na pięć kilometrów w dwóch postrzępionych liniach.

Dowódcy znikali we wnętrzu czołgów, aby uruchomić własne systemy ostrzału.

— Mam jednego — rozbrzmiał meldunek celowniczego. — *T-80*, odległość cztery-dwa-pięć.

— Namierzony? — spytał dla formalności dowódca czołgu.

— Podkalibrowym. Aż do odwołania same przeciwpancerne.

— Zrozumiałem — odpowiedział celowniczemu ładowniczy. — Tylko ty czegoś nie spieprz.

— Cztery jeden — sapnął celowniczy. Poczekał jeszcze piętnaście sekund, by, jako pierwszy z kompanii, wystrzelić. I to śmiertelnie. Sześćdziesięciodwutonowy czołg zatrzęsł się i mknął dalej.

— Trafiony, przerwać ogień. Nowy cel: czołg na jedenastej — rozkazał dowódca.

Celowniczy nacisnął pedał, otworzył drzwiczki, z których wyskoczył pocisk, który ładowniczy wepchnął do komory płynnym ruchem, zamykając za nim zamek.

— Gotowe! — krzyknął.

— Namierzony! — oznajmił celowniczy.

— Ognia!

— Jest!

— Trafiony, przerwać ogień. Nowy cel: czołg na pierwszej. Ładowniczy: — Gotowe!

Celowniczy: — Namierzony!

Dowódca: — Pal!

— Jest!

Celowniczy w ciągu jedenastu sekund wystrzelił trzy pociski.

Dowódca batalionu, zbyt zaabsorbowany obserwacją, aby sam mógł pomyśleć o strzelaniu, miał wrażenie, że to nie dzieje się naprawdę. Zupełnie jakby widział wzbierającą falę.

Najpierw rozleciał się prowadzący *T-80*, potem kilka chybień, skorygowanych pięć sekund później, kiedy pojawiła się następna linia pojazdów nieprzyjacielskich. Te zaczęły odpowiadać ogniem, który okazał się jednak nieszkodliwy. Salwa przeciwnika, takżeznaczona pociskami smugowymi, okazała się za krótka. Niektóre z *T-80* zdążyły jeszcze wystrzelić powtórnie, żadnemu nie udało się to po raz trzeci.

— Sir, proszę mi pozwolić — błagał celowniczy.

— Sam sobie wybierz cel — zgodził się dowódca.

— Tak jest! — z pasją krzyknął żołnierz i odpalił pocisk kumulacyjny, który trafił z odległości nieco ponad czterech kilometrów. Bitwa nie potrwała nawet minuty. Linia amerykańska nieustępliwie posuwała się do przodu. Niektóre z *BWP* wystrzeliły pociski, ale natychmiast musiały się zająć obroną przed *M-1* i *Bradleyami*. Trysnęły eksplozje, w niebo wzbily się ognie i dymy. Widać było pojedyncze postacie, niektóre próbujące organizować obronę, a ponieważ załogi *Abramsów* nie widziały już żadnych większych celów, więc przeszły na ostrzał z karabinów maszynowych. *Bradleye* wyrównały front z czołgami i przyłączyły się do polowania.

Nie minęły cztery minuty od pierwszego strzału, kiedy *Abramsy* wjeżdżały między dymiące wraki dywizji Nieśmiertelnych.

Dowódca Nieśmiertelnych wysiadł ze swojego pojazdu i nakazał podwładnym, aby uczynili to samo. Na jego polecenie złożyli broń na ziemi i czekali. Nie trwało to długo. Słońce wstawało. Na wschodzie pojawiła się pomarańczowa łuna, która zapowiadała nowy dzień, jakże odmienny od poprzedniego.

Pierwszy konwój, trzydzieści cystern z paliwem, przejechał tuż przed nimi; kierowcy najpewniej uznali, że poruszające się na południe pojazdy należą do ich armii. Pierwsza seria z działka *Bushmaster* zapaliła pięć pojazdów. Reszta stanęła, dwa usiłowały zawrócić i same eksplodowały, gdyż kierowcy w pośpiechu zwalili się w rów. Załogi, ignorując pojedyncze postacie, niszczyły cysterny pociskami uranowymi, a potem podążyły na południe obok zaszokowanych przeciwników, miotających się w morzu płonącego paliwa.

Odnalazł ich jeden z *Bradleyów*, który zatrzymał się w odległości pięćdziesięciu metrów.

Generał, dwanaście godzin wcześniej dowodzący pełną dywizją pancerną, stał nieruchomo i, nie próbując żadnego oporu, spoglądał na czterech żołnierzach, którzy z bronią gotową do strzału, wyskoczyli z *M2A4*, zapewniającego im ochronę.

— Na ziemię! — rozkazał kapral.

— Sam to powtórzę ludziom, którzy nie rozumieją po angielsku — powiedział generał, a potem wydał polecenie w farsi. Żołnierze posłusznie wykonali rozkaz, on dalej stał, może w nadziei, że zginie.

— No to podnieś rączki, pomocniku!

Kapral w cywilu był policjantem. Nieprzyjacielski oficer — nie wiedział jeszcze, jakiej rangi, ale, sądząc po naszywkach, wysokiej — posłuchał. Kapral podał *M-16* jednemu z kolegów, a sam z pistoletem w ręku podszedł i, mierząc w skroń tamtego, fachowo go obszukał.

— W porządku, kładź się. Jeśli nie będziecie się wygłupiać, nic wam się nie stanie.

Powtórz to swoim. Jeśli będziemy musieli, zabijemy ich, ale nie jesteśmy mordercami, jasne?

— Powtórzę.

Z nadejściem świtu Eddington w pożyczonym helikopterze obleciał pole bitwy. Wkrótce było jasne, że jego brygada rozniosła dwie kompletne dywizje pancerne. Kazał przesunąć się oddziałom osłonowym i połączył się z Diggsem, aby uzyskać instrukcje w sprawie jeńców.

Zanim ktokolwiek się zorientował, wylądował już helikopter z Rijadu, niosący na pokładzie ekipę telewizyjną.

Jak zwykle w krajach, gdzie nie ma wolnej prasy, plotka wyprzedziła oficjalne informacje. W rezydencji rosyjskiego ambasadora odezwał się telefon. Była wprawdzie siódma, a on jeszcze spał, ale już po kilku minutach siedział w samochodzie i cichymi ulicami jechał na spotkanie z człowiekiem, który zdecydował się ostatecznie na współpracę z SWR.

Rosjanin potrzebował jeszcze dziesięciu minut, żeby się upewnić, iż śledzić go mogła tylko jakaś niewidzialna istota. Służby specjalne ajatollaha musiały mieć teraz wiele innych zajęć.

— Tak? — spytał na powitanie, gdyż nie było czasu na formalności. Ani potrzeby.

— Miałeś rację. Nasza armia została w nocy rozbita. O trzeciej wezwano mnie na posiedzenie, abym ocenił intencje Amerykanów. Wtedy wszystkiego się dowiedziałem.

Utraciliśmy łączność ze swymi jednostkami. Dowództwo armii po prostu wyparowało. Minister spraw zagranicznych jest przerażony.

— Nic dziwnego — powiedział dyplomata. — Mogę cię powiadomić, że przywódca Turkmenii...

— Wiemy. Zadzwoił wczoraj do Darjaeiego, pytając, czy to prawda z zarazą.

— I co on na to?

— Powiedział, że to łągarstwo niewiernych. Jak myślisz, co innego mógł zrobić? —

Chwila przerwy. — Ale nie zabrzmiało to chyba zbyt przekonywająco. Nie wiem, co mu powiedzieliście, w każdym razie chce zachować neutralność. Usłyszałem, też, że Indie nas zdradziły. Z Chińczykami jeszcze nie wiadomo.

— Jeśli wierzysz, że będą trzymać waszą stronę, musisz być pijany, wbrew nakazom swojej religii. Także i mój rząd poprze Amerykanów. Zostaliście zupełnie sami — poinformował

Rosjanin. — Potrzebuję pewnych informacji.

— Jakich?

— Gdzie znajduje się laboratorium produkujące zarazki. Muszę to wiedzieć jeszcze dzisiaj.

— Na północ od lotniska.

Tak łatwo? — zdziwił się Rosjanin.

— Na pewno?

— Sprzęt kupiliśmy u Niemców i Francuzów. Byłem wtedy w delegacji handlowej.

Łatwo to sprawdzić. W końcu, jak wiele jest instytutów naukowych strzeżonych przez wojsko?

— spytał rozmówca.

Rosjanin pokiwał głową.

— Sprawdzimy. Ale na tym nie koniec kłopotów. Jeszcze chwila, a twój kraj znajdzie się w stanie wojny z Ameryką i to wojny totalnej. Będziemy mogli zaproponować pomoc w zawarciu jakiegoś porozumienia. Jeśli wiesz, co szepnąć do jakich uszu, nasz ambasador jest do dyspozycji, a będzie to z pożytkiem dla całego świata.

— Z tym nie powinno być trudności. Około południa spróbujemy jakoś się z tego wszystkiego wykaraskać.

— Przy obecnych władzach to niemożliwe. Nie ma mowy.

Głos Rosjanina nie pozostawiał żadnych złudzeń.

Doktryna Ryana

Na ogół nie ma wątpliwości co do tego, kiedy wojna się rozpoczęła, mniej precyzyjnie można określić jej koniec. O świcie 11. pułk kawalerii pancерnej panował niepodzielnie na polu kolejnej bitwy, zniszczywszy do reszty jedną z dywizji 2. Korpusu ZRI. Druga z dywizji korpusu musiała teraz stawiać czoło rozpoczętym o świcie atakom Drugiej Brygady saudyjskiej, podczas gdy Amerykanie uzupełniali paliwo i amunicję przed natarciem na 3. Korpus, który nie włączył

się jeszcze w całości do walki.

Co jednak nie miało potrwać długo. Wszystkie samoloty Sił Powietrznych USA poświęciły teraz swą uwagę owym dwóm dywizjom. Na początek przyszła kolej na jednostki obrony przeciwlotniczej. Każdy włączony radar stał się przedmiotem zainteresowania *F-16*, wyposażonych w pociski przeciwradarowe *HARM* i po dwóch godzinach nic już nie groziło pilotom amerykańskim i saudyjskim. Myśliwce ZRI usiłowały bronić zagrożonych oddziałów, ale żadnemu nie udało się przedrzeć przez ochronną zasłonę stworzoną przez samoloty sojuszników, a w trakcie daremnej próby sześćdziesiąt z nich zostało zestrzelonych. Łatwiej przychodziło im atakować brygady kuwejskie, które śmiało natarły na znacznie większego i silniejszego sąsiada. Niewielkie lotnictwo Kuwejtu przez większość czasu było zdane tylko na własne siły, a stoczona bitwa powietrzna bardziej była wyrazem obopólnej nienawiści niż strategicznej konieczności. Także i tutaj zwycięstwo przypadło Kuwejtowi, aczkolwiek nie obyło się bez strat własnych i za każde trzy stracone maszyny przeciwnika Kuwejtczyki zapłacili jedną swoją. Znaczenie tej batalii nie było może wielkie, ale dla małego kraju, który dopiero uczył się sztuki wojennej, stało się jednym z tych zdarzeń, o których opowiada się przez lata, a każda kolejna wersja jest bardziej rozbudowana i barwna.

Kiedy obrona przeciwlotnicza 3. Korpusu przestała istnieć, uwaga pilotów amerykańskich zwróciła się ku jego siłom naziemnym. Na terenie Arabii Saudyjskiej znalazło się sześć tysięcy czołgów, osiem tysięcy transporterów opancerzonych, ponad dwa tysiące dział samobieżnych i holowanych, a także trzydzieści tysięcy żołnierzy. *F-15 Strike Eagle* krążyły na wysokości trzech kilometrów, ledwie utrzymując równowagę przy minimalnej prędkości, podczas gdy operatorzy systemów uzbrojenia wybierali kolejno cele dla naprowadzanych laserowo bomb. Powietrze było czyste, słońce jasne, a teren walki pozbawiony nierówności. Zadanie było łatwiejsze od któregośkolwiek z ćwiczeń w bazie Nellis. *F-16* przyłączyły się z raketami *Maverick* i konwencjonalnymi bombami. Około południa trzygwiazdkowy generał, który całkiem słusznie uznał się za najstarszego stopniem oficera na polu bitwy, nakazał odwrót, zbierając wszystkie ciężarówki dostawcze, które zgromadziły się w King Chalid. Bombardowany z powietrza, zagrożony od wschodu przez nadciągającą saudyjską Piątą Brygadę, a na tyłach przez Amerykanów, skierował się na północny zachód w nadziei, że uda mu się wrócić na ojczyście terytorium w miejscu, gdzie z niego wyszedł. Wszystkie pojazdy pancerne postawiły gigantyczną zasłonę dymną. Generał miał nadzieję, że uda mu się ująć z dwiema trzecimi swoich sił. Paliwo nie stanowiło problemu, gdyż miał teraz do dyspozycji wszystkie cysterny, które przygotowano z myślą o Armii Boga.

Diggs zrobił pierwszy postój, aby przyjrzeć się brygadzie Eddingtona. Już wcześniej dotarł do niego fetor: z racji przewożonych ilości amunicji i paliwa, czołgi potrafią się palić bardzo długo, czasami dwa dni, a odór ropy i substancji chemicznych mieszał się ze swądem spalonego ludzkiego ciała.

Uzbrojony nieprzyjaciel jest obiektem, który należy zniszczyć; nieżywy — budzi współczucie, szczególnie gdy śmierć zgarnia tak straszliwe żniwo jak teraz.

Stosunkowo niewielu żołnierzy ZRI zginęło bezpośrednio z ręki Karolińczyków; ci, którzy się poddali, zostali rozbrojeni, zebrani w jednym miejscu, policzeni i skierowani do pracy, przede wszystkim przy chowaniu zwłok swoich towarzyszy.

— Co dalej? — spytał Eddington z cygarem w zębach. Zwycięzcy przeżyli cały ciąg zmiennych nastrojów. Zjawili się w pośpiechu i pełni niepokoju, stanęli naprzeciwko nieznanego przeciwnika z tajonym lękiem, rzucili się do walki z determinacją — a przynajmniej z takim gniewem, jakiego dotąd nigdy jeszcze nie odczuwali — a po druzgoczącym zwycięstwie zaczęli pojmywać groźbę zniszczenia i współczuli nieprzyjacielowi. Ale cykl wojenny rozpoczął się od nowa. Większość zmechanizowanych jednostek przeformowała się w ciągu ostatnich kilku godzin i była ponownie gotowa do walki, podczas gdy przybywająca żandarmeria, własna i saudyjska, brała pod swoją pieczę zgromadzonych za linią frontu jeńców.

— Siedź i czekaj — odparł Diggs ku rozczarowaniu, ale i uldze Eddingtona. — Ich niedobitki czmychają tak szybko, że z trudem mógłbyś ich dogonić, a nie otrzymaliśmy rozkazu wkroczenia na terytorium ZRI.

— Zaatakowali nas w ten sam stary sposób — powiedział pułkownik Gwardii Narodowej, przypominając sobie Wellingtona — a my zatrzymaliśmy ich w ten sam stary sposób. Ale numer.

— Pamiętasz Bobby'ego Lee i Chancellorsville[13]?

— Ach, tak. On także był w porządku. Wiesz, Diggs, tych ostatnich kilka godzin, organizowanie wszystkiego, manewrowanie batalionami, gromadzenie informacji i ich analizowanie... — Pokręcił głową w niedowierzaniu. — Nigdy dotąd czegoś takiego nie przeżyłem.

— „Dobrze, że wojna jest tak straszliwa, inaczej bowiem nazbyt zaczęlibyśmy się nią upajać”. Ciekawe, że tak łatwo się o tym zapomina. Biedne sukinsyny — mruknął generał, przyglądając się pięćdziesiątce jeńców, których pakowano właśnie do ciężarówki. — Wyszukuj swoje oddziały, pułkowniku. Nie należy wykluczyć, że przyjdzie rozkaz, żeby ruszać dalej, chociaż wątpię w to.

— Trzeci Korpus?

— Nie zajdą daleko, Nick. „Depczemy im po brudnych piętach”, a oni wleczą wprost na Dziesiąty.

— Miło słyszeć, że znasz powiedzonka Bedforda Forresta. „Deptać przeciwnikowi po brudnych piętach” — tak brzmiała jedna z ulubionych maksym dowódcy Konfederatów. Nie pozwolili odpocząć uchodzącemu nieprzyjacielowi, nękać go, zmuszać do kolejnych błędów —

nawet wtedy, kiedy nie miało to już znaczenia strategicznego.

— Moja praca doktorska dotyczyła Hitlera jako manipulatora politycznego, ale nie mogę powiedzieć, że bym specjalnie za nim przepadał. — Diggs uśmiechnął się i zsalutował. —

Świetnie się spisaliście. Cieszę się, że znalazłeś się tutaj.

— Byłbym niepokieszony, gdyby mnie to ominęło.

Samochód miał rejestrację dyplomatyczną, ale zarówno kierowca, jak i pasażer dobrze wiedzieli, że immunitet nie zawsze był honorowany w Teheranie. Auto zatrzymało się; kierowca sięgnął po lornetkę, a pasażer po aparat fotograficzny z teleobiektywem. Nie ulegało wątpliwości, że wokół eksperymentalnej stacji botanicznej pojawił się kordon wartowników, co nie było normalne. Sprawa okazała się w końcu banalnie prosta. Samochód zawrócił i podążył w kierunku ambasady.

Napotykali już tylko maruderów. Czarny Koń podążał teraz w maksymalnym tempie, a jednak pościg okazał się nader długi. Amerykańskie pojazdy były na ogół szybsze od wozów przeciwnika, zawsze jednak łatwiej jest uciekać niż gonić. Ścigający musieli się liczyć z możliwością zasadzek, a pasję bojową hamował lęk przed śmiercią w wojnie i tak już wygranej.

Chaos w szeregach wroga pozwolił 10. pułkowi zewrzeć szeregi, jednostki z prawego skrzydła były więc już teraz w radiowym kontakcie z nadciągającymi Saudyjczykami, którzy likwidowali opór ostatnich kilku batalionów 2. Korpusu i szykowali się do wydania walnej bitwy Trzeciemu.

— Cel: czołg — odezwał się jeden z dowódców. — Godzina dziesiąta, cztery tysiące sto.

— Namierzony — oznajmił celowniczy, a *Abrams* zatrzymał się, aby ułatwić strzał.

— Nie strzelać — nieoczekiwanie rozkazał dowódca. — Może uciekają. Dajmy im kilka sekund.

— Zrozumiałem.

Także celowniczy widział, że armata *T-80* odwrócona jest w przeciwnym kierunku. Kiedy jednak wieża zaczęła się obracać, dowódca mógł zrobić tylko jedno.

— Bierz go.

— Tak jest! — Zamek odskoczył, czołg szarpnął się, a pocisk wyleciał z lufy. Trzy sekundy później w powietrze poleciała kolejna wieża czołgowa.

— Trafiony. Przerwać ogień. Kierowca: ruszać!

Zaliczyli dwunasty pojazd przeciwnika. Załoga zastanawiała się, jaki będzie rekord jednostki, podczas gdy dowódca oznaczał na ekranie *SIM* dokładne położenie zniszczonego czołgu, aby jednostka zabezpieczająca wiedziała, gdzie szukać ewentualnych rannych nieprzyjaciół. Nacierająca kawaleria zostawiała ich w spokoju, gdyż żołnierze ani nie chcieli marnować amunicji, ani nie mieli serca dobijać pokonanych, nigdy jednak nie można było wykluczyć tego, że ci znienacka zaczną strzelać w plecy albo porywać się na inne szaleństwa.

— Opinie? — spytał Ryan.

— Panie prezydencie, to byłby pewien precedens — powiedział Cliff Rutledge.

— Na razie to tylko pomysł — mruknął Ryan.

Jako pierwsi oglądali film wideo z pola bitwy. Dokładnie widać było okropności wojny: szczątki ciał tych, którzy zginęli w straszliwych eksplozjach, zwłoki tych, których trafiła pojedyncza kula bądź seria pocisków, ręka wystająca z kopającego się nadal transportera... Coś przyciągało ludzi z kamerą do takich obrazów. Ryan myślał jednak, że śmierć zawsze pozostaje śmiercią, a ginący są ofiarami. Ci żołnierze, z dwóch poprzednio samodzielnych państw o wspólnej kulturze, stracili życie z ręki uzbrojonych Amerykanów, ale zostali posłani na śmierć przez człowieka, którego rozkazów musieli słuchać, a który przeliczył się w swych rachubach, ich losów zaś użyć chciał jak żetonów w wielkiej maszynie hazardowej. To nie powinno się tak zakończyć. Władza niosła ze sobą także odpowiedzialność. Jack wiedział, że, podobnie jak George Bush w 1991 roku, on także będzie musiał wysłać własnoręczny list do rodziny każdego z poległych Amerykanów, a to z dwóch przyczyn. Po pierwsze, być może przyniesie to jakąś pociechę ludziom dotkniętym wielkim smutkiem. Po drugie, każdy z listów będzie stanowił dla człowieka, którego rozkaz posłał innych na pole bitwy, przypomnienie, że byli to żywi, konkretni ludzie. W tłumie rysy ludzkie rozplývają się, ale życie każdego człowieka jest niepowtarzalne i stanowi dla niego największą wartość. Ryan musiał wystawić istnienia ludzkie na niebezpieczeństwo, a chociaż wiedział, że nie mógł inaczej postąpić, musiał pamiętać, przynajmniej tak długo, jak będzie mieszkał w Białym Domu, co kryło się za bezosobowymi cyframi. I na tym właśnie polega różnica, pomyślał. Ja znam swoją odpowiedzialność. Darjaei do swojej się nie poczuwa. Ciągłe żyje w przeświadczeniu, że to on wymaga od innych, nie zaś odwrotnie.

— To polityczny dynamit, panie prezydencie — powiedział van Damm.

— Więc?

— Pojawia się także problem prawny — wtrącił Pat Martin. — Byłoby to pogwałcenie dekretu, który wydał prezydent Ford.

— Myślałem już o tym — zapewnił Ryan. — Kto wydaje dekryty?

— Najwyższa władza wykonawcza.

— Przygotuj odpowiedni projekt.

— Co to za smród?

Zatrzymani w motelu w stanie Indiana kierowcy wylegli przed budynek, aby dokonać codziennej operacji przesunięcia pojazdów. Wszyscy mieli już dosyć tego miejsca i gorąco pragnęli, żeby nareszcie można było ruszyć w drogę. Jeden z nich zatrzymał właśnie swego Macka obok wielkiej betoniarki. Wiosna była coraz cieplejsza, a metalowe konstrukcje ciężarówek zamieniały wnętrza w piekarniki. W przypadku betoniarki przynosiło to efekty nieprzewidziane przez właścicieli.

— Masz, bracie, jakiś przeciek? — spytał Holbrooka i zajrzał pod samochód. — Nie, nic nie widać.

— Może zalatuje od pomp — zasugerował Człowiek z Gór.

— Za daleko. Trzeba sprawdzić. Widziałem jak kiedyś Volvo spaliło się, bo mechanik coś tam spieprzył. Facet nie zdążył ruszyć się z za kółka. To było w osiemdziesiątym piątym na międzystanówce 40. Straszny widok. — Kierowca Macka obszedł betoniarkę. — Gdzieś musi ci jednak przeciekać, koleś. Sprawdźmy pompę paliwową. — Natręt zaczął dobierać się do maski.

— Ej, zaraz, poczekaj chwilę...

— Nic nie pękaj, znam się na gratach. Rocznie oszczędzam co najmniej pięć patoli, bo sam reperuję swojego. — Maskę została podniesiona, tamten zajrzał pod nią i poruszył kilkoma przewodami. — Nie, wszystko w porządku. — Teraz przyjrzał się wtryskiwaczom, coś dokręcił, raz jeszcze zajrzał pod wóz. — Cholera, ani kropelki — powiedział, prostując się. Przez chwilę medytował nad wiatrem... Zapach był na pewno stąd i raczej nie diesel, kiedy się teraz nad tym zastanowił.

— Jakiś problem, Coots? — spytał, podchodząc, inny z przymusowych lokatorów motelu.

— Czujesz?

Obaj mężczyźni węszyli przez chwilę niczym ogary.

— Bak komuś puścił?

— Nie widać ani kropelki. — Pierwszy z kierowców spojrział na Holbrooka. — Słuchaj, nic nie mam do ciebie, ale kapujesz, to mój grat i lekko się o niego denerwuję. Odstaw swoje pudło trochę na bok, a potem niech ktoś zajrzy do środka, dobra?

— Nie ma sprawy.

Holbrook wdrapał się do szoferki, zapuścił silnik i powoli odtoczył wóz w pusty kąt parkingu. Dwóch mężczyzn patrzyło na ten manewr.

— Cały smród odjechał razem z nim, nie, Coots?

— Co za pieprzone pudło.

— Cholera z nim. Zaraz wiadomości; chodź.

Jeszcze pod drzwiami jadalni usłyszeli gwar i pomruki. Telewizor nastawiony był na CNN; obraz na ekranie przywodził na myśl popisy specjalistów od efektów specjalnych, ale był

jak najbardziej prawdziwy.

— Panie pułkowniku, co wydarzyło się ubiegłej nocy?

— No cóż, Barry, przeciwnik nadział się na nas dwa razy. Za pierwszym — mówił

Eddington, zarazem pokazując dłonią, w której tkwiło cygaro — ukryliśmy się za tym grzbietem, tam w tyle. Za drugim jechaliśmy na siebie, a spotkaliśmy się mniej więcej tutaj... — Kamera obróciła się i pokazał dwa czołgi jadące drogą, obok której pułkownik udzielał wyjaśnień.

— Coś mi się zdaje, że lubią jeździć w tych pudełkach — odezwał się Coots.

— I postrzelać sobie też lubią — dorzucił ktoś z głębi sali.

Obraz się zmienił. Pod kurzem pokrywającym dobrze już znaną widzom twarz reportera widać było zmęczenie.

— Mówi Tom Donner z ekipy telewizyjnej przydzielonej do 11. pułku kawalerii pancernej. Jak opisać noc, którą przeżyliśmy? Byłem w pojeździe wraz z załogą *Bradleya*, który, podobnie jak cała reszta szwadronu, w ciągu ostatnich dwunastu godzin unicestwił mnóstwo nieprzyjaciół. Zeszłej nocy w Arabii Saudyjskiej rozegrała się „Wojna Światów”, w której my byliśmy Marsjanami. Siły ZRI, połączonych armii Iraku i Iranu, usiłowały się przeciwstawić, ale nic nie były w stanie zrobić...

— Cholera, szkoda, że nie posłali naszego oddziału — powiedział policjant, który zasiadł

do tradycyjnej kawy na rozpoczęcie patrolu. Zdążył się już zaznajomić z niektórymi kierowcami.

— Jesteś w Gwardii Narodowej Ohio? — spytał Coots.

— Tak, w kawalerii pancernej. Chłopaki z Karoliny miały wielką noc, nie ma co.

Policjant pokręcił głową i zobaczył w lustrze mężczyznę nadchodzącego od strony parkingu.

— Nieprzyjaciół znajduje się teraz w pełnym odwrocie. Słyszeliście państwo przed chwilą dowódcę brygady Gwardii Narodowej, która pokonała dwie dywizje pancerne...

— Dwie dywizje? Niemożliwe! — wykrzyknął z niedowierzaniem i zazdrością policjant, i pociągnął łyk kawy z filiżanki.

— ...podczas gdy Czarny Koń rozbił trzecią. Można by pomyśleć, że coś takiego zdarza się tylko w kinie: zupełnie jakby mistrzowie zawodowej ligi futbolu starli się z drużyną szkolną.

— Dobrze daliście im popalić, chłopaki! — wykrzyknął w kierunku ekranu Coots.

— Ej, to twoja ta wielka betoniarka? — zapytał policjant Holbrooka, który skierował się ku jedzącemu śniadanie przyjacielowi.

— Tak — odrzekł zapytany.

— Sprawdź ją dobrze, żeby ci się nie rozpieprzyła za plecami — mruknął Coots, nie odrywając wzroku od telewizora.

— Co tutaj robi betoniara aż z Montany? — powiedział gliniarz i spojrzał pytająco na Cootsa.

— Ma jakiś problem z paliwem — poinformował kierowca Macka. — Poprosiliśmy, żeby się trochę odsunął. Swoją drogą, dzięki. Chyba się nie obraziłeś, co?

— Ani trochę. Trzeba ją rzeczywiście sprawdzić dla porządku.

— Aż z Montany? — głośno zastanawiał się policjant.

— Tanio tam dało się kupić i jechaliśmy do siebie, jak nas tutaj dopadł ten zakaz.

— Mhm.

Uwagę policjanta ponownie pochłonął telewizor.

— Właśnie tak, posuwali się na południe, a my uderzyliśmy prosto na nich — mówił

innemu reporterowi oficer kuwejcki, jednocześnie klepiąc lufę czołgowej armaty z taką czułością, jak by to była szyja ukochanego rumaka.

— Słyszeć coś, kiedy będzie można wrócić do roboty? — odezwał się Coots.

Policjant z drogówki pokręcił głową.

— Wiemy tyle samo co wy. Zaraz objadę posterunki blokujące drogi.

— Sporo forsy z mandatów przeleci ci koło nosa — zachichotał kierowca.

— Ja tam się nie skarżę. Ale aż z Montany? — Ta jedna myśl nie dawała policjantowi spokoju. Ci dwaj faceci nie pasowali zresztą do innych. Dokończył kawę. — Swoją drogą, nie pamiętam żeby ktoś kiedyś ukradł tak wielkie bydlę.

— Ani ja. O, kuuurczę! — wykrzyknął Coots. Na ekranie widać teraz było efekty działania inteligentnych bomb. — Przynajmniej człowiek długo się nie męczy.

— Czołem wszystkim — powiedział policjant w drodze do wyjścia. Chciał już ruszyć patrolowym Chevroletem na autostradę, ale w ostatniej chwili pomyślał, że rzuci okiem na betoniarkę. Może jednak coś nie w porządku; a gdyby rzeczywiście ją gwizdnęli? Potem smród poczuł także i on. Tyle że na pewno nie diesel, raczej... amoniak? Zapach taki zawsze kojarzył

mu się z wytwórnią lodów, gdzie pracował raz przez całe lato... a także z wonią paliwa w oddziale Gwardii Narodowej. Zaintrygowany, zawrócił do motelu.

— To wasz wóz stoi w rogu parkingu, tak?

— Tak, a o co chodzi? — spytał Brown. — Coś nie w porządku? Zdradziło go drżenie rąk. W policjancie obudziła się teraz czujność: coś tutaj wyraźnie było nie w porządku.

— Pozwólcie ze mną.

— Zaraz, może najpierw skończę śniadanie, dobra?

— Śniadanie nie zając. Chcę się dowiedzieć skąd taki zapach, jasne?

— Potem się tym zajmiemy.

— Zajmiemy się tym teraz. — Głos policjanta stał się o ton ostrzejszy. — Proszę przede mną.

Gliniarz wsiadł do samochodu i wolno ruszył śladem dwóch mężczyzn, którzy z ożywieniem o czymś rozprawiali. Coś się nie zgadzało. Policjant nie miał zbyt wiele do roboty w tym momencie; instynkt podpowiedział mu, żeby połączyć się z centralą i poprosić o dodatkowy wóz do pomocy, a także o sprawdzenie numerów wozu. Potem wysiadł z samochodu i obejrzał

betoniarkę.

— Możecie obrócić nią parę razy?

— Jasne.

Brown wskoczył za kierownicę i zapuścił hałaśliwy silnik.

— Chciałbym także obejrzeć wasze dokumenty — zwrócił się policjant do Holbrooka.

— Co tutaj się dzieje? O co chodzi?

— O nic. Chcę obejrzeć dokumenty i tyle.

Pete Holbrook wyciągał portfel, kiedy nadjechał drugi wóz policyjny. Z wysokości kierownicy zobaczył go także Brown; Holbrook trzymał w ręku portfel, a gliniarz położył dłoń na kaburze. Gliniarze często przybierają taką pozę, ale Brown poczuł panikę. Żaden z Ludzi z Gór nie miał przy sobie broni. Trzymali ją w pokoju, ale do głowy im nie przyszło, żeby zabierać na śniadanie. Policjant wziął od Pete'a prawo jazdy, następnie poszedł do swego wozu, sięgnął po mikrofon...

— Nie ma żadnej informacji o kradzieży — poinformowała go paniąka z centrali.

Policjant zaskoczony poderwał głowę, kiedy betoniarka nagle drgnęła. Krzyknął do kierowcy, żeby się zatrzymał, drugi radiowóz zablokował drogę. Wielka masa żelaza znieruchomiła. O tak, coś było bardzo nie w porządku.

— Wyłaź! — zawołał policjant, w którego ręku pojawiła się broń. Drugi funkcjonariusz nie miał

pojęcia, o co chodzi, ale zajął się Holbrookiem. Brown zeskokczył na ziemię i natychmiast wylądował z rękami na masce. — Gadajcie co jest w tej betoniarce?

Wyjaśnianie tego zabierze kilka godzin, a potem dla zebranych w motelu kierowców nadejdzie czas barwnych opowieści.

Pozostał mu już tylko wrzask, chociaż zdradzanie emocji było do niego tak niepodobne.

Tasma wideo nie kłamała, a on w żaden sposób nie mógł zatrzymać audycji, która szła właśnie na cały świat. Włącznie z jego krajem. Anteny satelitarne posiadali nie tylko zamożni; często składała się na nie grupka sąsiadów. Co miał teraz zrobić? Nakazać odwrót?

— Dlaczego nie atakują?! — wrzasnął Darjaei.

— Nie ma łączności z dowódcą armii ani z żadnym dowódcą korpusu. Czasami udaje się nawiązać łączność z dwiema dywizjami. Wedle meldunków, jedna z dywizji podąża na północ, mając tuż za sobą nieprzyjaciela.

— I?

— Nasze siły zostały rozbite — odważył się w końcu powiedzieć szef wywiadu.

— W jaki sposób?

— Czy to teraz ważne?

Szli na północ, podczas gdy Bizony posuwały się na południe. 3. Korpus ZRI nie miał

pojęcia, co się przed nim znajduje, a dowiedział się: wczesnym popołudniem. 1. szwadron Magruder'a zdążył do tego czasu wyeliminować ponad sto wrogich cystern z paliwem. Jedynym teraz pytaniem było to, jak silny opór zechce stawiać przeciwnik. Dzięki informacjom zwiadu lotniczego dobrze znał jego położenie, siłę, rozlokowanie i kierunek ruchu. Wszystko było teraz znacznie łatwiejsze, niż za poprzednim razem.

Pierwsza kompania pełniła rolę czujki, druga i trzecia znajdowały się pięć kilometrów z tyłu, w odwodzie pozostała jeszcze jedna kompania. Po straszliwych ciosach, jakie otrzymała armia ZRI, postanowił zrezygnować ze wstępnego ostrzału artyleryjskiego. Nie było sensu ostrzegać przeciwnika o bliskości czołgów. Kiedy do kontaktu pozostawało już tylko dziesięć minut, Magruder przesunął pierwszą kompanię na prawo. W przeciwieństwie do pierwszej — i jak dotąd jedynej — bitwy w swojej karierze, tej miał nie oglądać, lecz jedynie się jej przysłuchiwać.

Kiedy nieprzyjaciel znalazł się w zasięgu, pierwsza kompania otworzyła ogień z armat czołgowych i pocisków *TOW*, siejąc zniszczenie w pierwszej linii pojazdów. Zaatakowawszy przeciwnika w szyku skośnym od lewej, dowódca ocenił, że ma do czynienia co najmniej z batalionem. Należał on do irackiej ongiś dywizji i odskoczył w przeciwną stronę, nieświadom tego, że odsłania się przed dwiema innymi jednostkami kawalerii.

— Tutaj Proporzec Sześć, zwrot w lewo — rozkazał ze swego pojazdu Magruder. Druga i trzecia kompania zrobiły zwrot na wschód i zatrzymał się po trzech kilometrach i się zatrzymały.

Dokładnie w tej samej chwili Magruder rozkazał artylerii ostrzelać drugą linię przeciwnika.

Teraz nie chodziło już o efekt zaskoczenia, lecz o zadanie nieprzyjacielowi możliwie jak największych strat. Wystarczyło kilka minut, aby uzyskać pewność, że 1. szwadron Bizonów walczy co najmniej z brygadą, ale stosunek liczbowy sił miał teraz równie niewielkie znaczenie jak poprzedniej nocy.

Po raz już ostatni rozegrał się mechaniczny horror. Wystrzały z dział były mniej jaskrawe za dnia. Jak zakładano, przeciwnik znowu odskoczył od atakujących drugiej i trzeciej kompanii i zawrócił w nadziei, że znajdzie jakąś lukę pomiędzy nacierającymi. Natrafił jednak na czternaście *M1A2*, rozstawionych co dwieście metrów. I jak poprzednio, sunąc na wroga, Proporzec najpierw niszczył czołgi, a potem transportery piechoty. W pewnej chwili zatrzymał

się, gdyż nie zaatakowane dotąd pojazdy także znieruchomiały, a załogi wyskakiwały z nich i rzucały się do ucieczki. Magruder w słuchawkach usłyszał, że tak samo dzieje się wzdłuż całej linii. Zaskoczeni żołnierze, w rozsypce, nie mając gdzie się wymknąć ze swoimi wozami, uznali, że wszelki opór może mieć tylko fatalne skutki, dlatego też trzecia (i ostatnia) bitwa pod King Chalid skończyła się po trzydziestu minutach.

Trochę inaczej rzecz się przedstawiała tam, gdzie nacierały oddziały Arabii Saudyjskiej, które, nareszcie uzyskawszy pełny kontakt z przeciwnikiem, doszczętnie zmiażdżyły całą brygadę, tym razem irańską. Do zachodu słońca, wszystkich sześć dywizji ZRI, które napadły na ich kraj, zostało doszczętnie zniszczonych. Tam, gdzie u pokonanych nie wygasł jeszcze duch walki, wyżsi oficerowie nakazywali kapitulację, aby nie sprowokować czyhającego z trzech stron przeciwnika do ostatecznych decyzji.

I znowu jeńcy byli największym problemem logistycznym, tym gorszym, że zaczynały zapadać ciemności. Dowódcy donosili, że trzeba będzie co najmniej dnia, aby uporać się z tym zmartwieniem, na szczęście jednak żołnierze ZRI mieli w większości własne racje wody i jedzenia. Rozbrojeni, byli trzymani pod strażą, chociaż istniało niewielkie niebezpieczeństwo, aby przy takiej odległości od domów zaryzykowali ucieczkę pieszo.

Godzinę po zmroku Clark i Chavez opuścili ambasadę rosyjską. Na tylnym siedzeniu znajdowała się walizka, której zawartość nikomu nie wydałaby się specjalnie złowroga, szczególnie, że nie kłóciła się z ich rzekomą profesją dziennikarską. Zadanie, jak zgodnie uznali, było dość wariackie, co nieco zatroskało starszego z dwójki, Dinga jednak wprawilo w stan podniecenia. Na zaplecze zamkniętej już kawiarni zajechali bez żadnych problemów. Światła uliczne były wygaszone, okna zasłonięte, samochody jednak poruszały się z zapalonymi reflektorami, wolno też było — co im sprzyjało — korzystać ze światła elektrycznego w domach.

Bez trudu poradzili sobie z zamkiem w drzwiach. Chavez lekko je uchylił, rozejrzał się i wślizgnął

do środka, a za nim wsunął się Clark z walizką w rękę. Cicho zamknęli za sobą drzwi.

Byli już na piętrze, kiedy usłyszeli głosy. Okazało się, że to właściciele kawiarni, małżeństwo pod pięćdziesiątkę; oglądali telewizję.

— Dobry wieczór — odezwał się Clark. — Proszę nie podnosić żadnych krzyków.

— Kim...?

— Nie zrobimy wam żadnej krzywdy — oznajmił John, podczas gdy Ding rozglądał się po pokoju; tak, kontakty elektryczne powinny pasować. — Proszę położyć się na podłodze.

— Co...?

— Przed wyjściem rozwiążemy was — obiecał John w farsy. — Ale jeśli będziecie nam przeszkadzać, możemy stać się brutalni.

Małżeństwo było sparaliżowane lękiem przed dwoma mężczyznami, którzy nagle pojawili się w ich mieszkaniu. Clark skrępował im przeguby i kostki, niezbyt mocno, ale skutecznie. Chavez dał kobiecie napić się wody, zanim ją zakneblował.

— Sprawdź, czy mogą oddychać — polecił Clark, tym razem po angielsku. Raz jeszcze sprawdził węzły, zadowolony że nawet po trzydziestu latach nie opuściły go umiejętności żeglarskie. Potem poszli na górę.

Pora na założenie stanowiska łączności. Chavez otworzył walizkę i zaczął wydobywać jej zawartość. Z płaskiego dachu wyraźnie widać było podobny budynek trzy przecznice dalej. Z

tego też względu musieli pracować skuleni. Najpierw Ding wyciągnął mały dysk anteny.

Podpierał ją ciężki trójnóg na ostrych kolcach, które pozwoliły pewnie osadzić go na dachu.

Teraz trzeba było odpowiednio ustawić antenę, aby docierała do niej fala nośna z satelity.

Zamknął zacisk i unieruchomił dysk. Następnie przyszła pora na kamerę, także ustawioną na trójnogu. Zamontowawszy ją, Chavez skierował obiektyw na środek interesującego ich budynku, a następnie sprawdził połączenia z nadajnikiem, który pozostawili w walizce.

— Wszystko gotowe, John.

Najgorsze było to, że mieli tylko jednokierunkową łączność. Mogli nadawać do satelity, ale nie otrzymywali sygnału zwrotnego.

Do tego potrzebne byłyby dodatkowe urządzenia, którymi nie dysponowali.

— Mamy obraz — oznajmił Robby Jackson w Narodowym Centrum Sił Zbrojnych.

— Widzę — potwierdziła Mary Pat Foley. Wybrała numer amerykańskiej ambasady w Moskwie, skąd połączyła się z rosyjskim Ministerstwem Spraw Zagranicznych, dalej z rosyjską ambasadą w Teheranie, a stąd z telefonem komórkowym, który tkwił w rękę Johna. — Iwan, słyszysz mnie? — spytała po rosyjsku. — Tu Folejewa. — Po nieskończonej długiej sekundzie nadeszła odpowiedź.

— Ach, Mario, jak przyjemnie znowu cię usłyszeć. — Niechaj Bóg błogosławi towarzystwom telefonicznym, pomyślał John. Także miejscowemu.

— Mam twoje zdjęcie na biurku — powiedziała Pat.

— Byłem wtedy o tyle młodszy...

— Jest na miejscu i wszystko w porządku — oznajmiła zastępczyni dyrektora CIA.

— Dobrze — powiedział z innego aparatu Jackson. — Zaczynamy. Powtarzam, zaczynamy. Potwierdź, odbiór.

— Operacja KLATKA rozpoczęta — oznajmił Diggs z Rijadu.

Cały system irańskiej ochrony przeciwlotniczej był w stanie najwyższego pogotowia. Na razie nie zaatakowano terytorium Iranu, ale operatorzy radarowi z napięciem wpatrywali się w ekrany. Widzieli maszyny patrolujące wybrzeża Arabii Saudyjskiej i Kuwejtu, ale te trzymały się linii brzegowej.

W odstępnie sekundy Rozbójniki 521 i 522 zakończyły pobieranie paliwa z tankowców powietrznych. Piloci niewidzialnych dla radaru samolotów *F-117* często operowali w parach, aczkolwiek zasadniczo maszyny przeznaczone do samodzielnych zadań. Obie oddzieliły się od swoich *KC-10* i wykręciły na północ, aby rozpocząć godzinny lot w odległości trzystu metrów od siebie. Samoloty-cysterny pozostały na stanowiskach, do stałych ich zadań należało bowiem uzupełnianie paliwa myśliwcom odbywającym rutynowe loty patrolowe nad granicami Arabii Saudyjskiej. Oddalony o siedemdziesiąt kilometrów samolot *AWACS* śledził wszystkie, a właściwie prawie wszystkie poruszenia: *E-3B* też nie potrafił wykryć obecności *F-117*.

— Często się ostatnio spotykamy — z wymuszonym uśmiechem powiedział prezydent do charakteryzatorki.

— Wygląda pan na bardzo zmęczonego — odparła Mary Abbot.

— Bo i jestem — przyznał Ryan.

— Drżą panu ręce.

— Za mało snu — skłamał.

Clark dostrzegł, że niektórzy z wartowników palili. Marna dyscyplina albo ostrzeżenie pod adresem przechodniów.

— John, nie wydaje ci się, że ta robota jest czasami odrobinę zbyt emocjonująca?

— Chcesz się wysiusiać?

Nawet u nich była to normalna reakcja.

— Tak.

— Ja także. — Jamesowi Rondowi nigdy nie przytrafiło się nic podobnego. — Cholera, nie pomyślałem o tym.

Clark przycisnął słuchawki, gdyż jakiś głos oznajmiał, że prezydent będzie na wizji za minutę. Pewnie gospodarz studia telewizyjnego, pomyślał. Z walizki wydobyl dwa ostatnie elementy potrzebne do przeprowadzenia operacji.

— Rodacy, chciałbym zapoznać was z najświeższymi informacjami na temat sytuacji na Bliskim Wschodzie — rozpoczął prezydent. — Mniej więcej cztery godziny temu siły Zjednoczonej Republiki Islamskiej, które najechały królestwo Arabii Saudyjskiej, przestały stawiać zorganizowany opór. Działając wspólnie, wojska saudyjskie, kuwejskie i amerykańskie pokonały sześć dywizji agresora w bitwie, która trwała jedną noc i jeden dzień.

Teraz mogę już poinformować, że nasz kraj rzucił do walki 10. i 11. pułk kawalerii pancерnej, a także Brygadę Gwardii Narodowej Północnej Karoliny oraz 366. Skrzydło z bazy lotniczej w Mountain Home w Idaho. Na południe od bazy King Chalid została stoczona wielka bitwa, której szczegóły mogliście obejrzeć na ekranach telewizorów. Niedobitki jednostek ZRI próbowały uciekać na północ, odcięto im jednak drogę i po krótkich walkach poddały się. Jak na razie, walki lądowe ustały.

Nie bez przyczyny jednak powiedziałem przed chwilą: „Jak na razie”, albowiem była to wojna niepodobna do żadnej z tych, których byliśmy świadkami w ciągu ostatniego półwiecza.

Zaatakowano nas bezpośrednio na naszym terytorium, atak ten zaś podjęto przy użyciu broni masowego rażenia. Pogwałcono w ten sposób tak wiele norm prawa międzynarodowego, że nie starczyłoby teraz czasu na ich wyliczenie, ale błędem byłoby stwierdzić, że atak ten przypuściła na Stany Zjednoczone Ameryki ludność Zjednoczonej Republiki Islamskiej.

To nie narody rozpętują wojny. Decyzja zostaje najczęściej podjęta przez jednego człowieka. Czy będzie to wódz plemienia, książę czy król, przez cały bieg dziejów o wojnie postanawia ten, kto sprawuje władzę, a decyzja o napaści na innych nigdy nie jest efektem demokratycznych procesów.

My, Amerykanie, nie mamy żadnych powodów do waśni z mieszkańcami Iranu i Iraku.

Ich religia może być różna od naszej, ale przecież nasza ojczyzna jest krajem, który strzeże wolności wyznania. Ich język może być odmienny, ale przecież Ameryka gościnnie wita ludzi, którzy mówią najróżniejszymi językami. Jeśli Ameryka dowiodła czegoś światu, to jest tym prawda, iż wszyscy ludzie są równi, a jeśli dać im te same swobody i te same możliwości, będą rozwijać ukryte w nich talenty.

W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin uśmierciliśmy co najmniej dziesięć tysięcy żołnierzy ZRI; prawdopodobnie znacznie więcej i najpewniej nigdy nie dowiemy się dokładnie, ilu naszych przeciwników poniosło śmierć w tej wojnie. Przez cały jednak czas musimy pamiętać, że ludzie ci nie wybrali swojego losu, lecz został on narzucony im przez innych, a ostatecznie przez jedną jedyną osobę.

Ryan złączył dłonie, niczym do modlitwy, w geście, który wielu widzom wydał się dziwnie nie na miejscu.

— Jest — mruknął Chavez, wpatrzony w maciupunki ekran kamery. — Zaczynamy koncert.

Clark wcisnął guzik laserowego znacznika celu. W wizjerze zobaczył, że kropka spoczęła na gzymsie budynku.

— Ostatnia kontrola — powiedział w Rijadzie Diggs.

— Rozbójnik Pięć Dwa Jeden — usłyszał w odpowiedzi.

— Pięć Dwa Dwa.

— Przez całe wieki królowie i książęta dla własnego kaprysu posyłali ludzi na śmierć.

Dla władców byli tylko mięsem armatnim, wojny zaś środkami na pomnożenie bogactwa i władzy, czy nawet narzędziami rozrywki, a kiedy się kończyły, niezależnie od wyniku, królowie i książęta pozostawali dumnie na swoich tronach. Aż po obecny wiek bez zastrzeżeń przyjmowano, że władca państwa ma prawo wypowiedzieć wojnę. Jednak po drugiej wojnie światowej zadaliśmy w Norymberdze kłam temu przeświadczeniu, stawiając przed sądem i wykonując wyrok na niektórych z winowajców. Zanim jednak można było pojmać tych zbrodniarzy, życie straciło dwadzieścia milionów Rosjan, sześć milionów Żydów, a ogólnej liczby ofiar historycy nie potrafią dokładnie ustalić...

Ryan spojrzał w kierunku Andrei Price. Miała twarz skupioną i napiętą. I dała mu znak.

Laserowy znacznik celu stanowił tylko dodatkowe zabezpieczenie. Zasadniczo mogliby się obyć i bez niego, ale wybranie określonego budynku w mieście było rzeczą trudną, a organizatorzy operacji KLATKA chcieli za wszelką cenę uniknąć ofiar wśród niewinnych obywateli Iranu. Poza tym, dzięki owej dodatkowej pomocy, samoloty mogły zwolnić bomby na znacznej wysokości. Proste urządzenia balistyczne gwarantowały celność w granicach stu metrów, udoskonalone systemy optyczne redukowały granice rozrzutu do jednego metra.

Dokładnie w tej samej chwili dwa Rozbójniki (była to półoficjalna nazwa, jaką przyjęli dla swych maszyn piloci niewidzialnych myśliwców) otworzyły drzwi komór uzbrojenia. Każdy z nich niósł jedną dwustupięćdziesięciokilogramową bombę, najmniejszą, jaka mogła być zastosowana w systemie naprowadzania *Paveway*, którego czujniki wyszukiwały teraz zmodulowanego sygnału laserowego. Oba wykryły kropkę laserową i powiadomiły o tym pilotów, którzy zwolnili bomby, a potem — co nigdy dotąd nie wydarzyło się podczas operacji z użyciem *F-117* — wykrzyknęli:

— Rozbójnik Pięć Dwa Jeden, bomba w drodze!

— Pięć Dwa Dwa, bomba jedzie!

— W dziejach ludzkości każda idea, dobra czy zła, rodzi się najpierw w głowie jednego człowieka, a wojny rozpoczynają się, gdyż ktoś uznaje, że morderstwo i kradzież mu się opłaca.

Tym razem napadnięto na nas w sposób szczególnie okrutny. Tym razem wiemy dokładnie, kto był autorem napaści.

Na całym świecie, na ekranie każdego włączonego odbiornika, który podłączony był do anteny satelitarnej lub do kabla, zamiast Gabinetu Ovalnego w Białym Domu pojawił się dwupiętrowy budynek przy jakiejś ulicy. Większość widzów uznała, że to pomyłka, nagła przebitka z jakiegoś filmu...

Tylko niewielu wiedziało, że to żadna pomyłka. Także Darjaei oglądał wystąpienie Ryana; nieustannie zadawał sobie pytanie, co to właściwie za człowiek. Za późno poznał

odpowiedź.

— To tutaj mieszka on, Mahmud Hadzi Darjaei, człowiek, który rzucił zarazę na nasz kraj, chciał porwać moją córkę, usiłował zabić mnie, wysłał do walki armię, tym samym skazując ją na zagładę. Tutaj mieszka człowiek, który pogwałcił nakazy swej religii oraz prawa ludzkie i międzynarodowe. Panie Darjaei, oto odpowiedź Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Głos prezydenta zamilkł, w sekundę czy dwie później umilkli tłumacze na całym świecie, a oczy wszystkich wpatrzyły się w czarno-biały obraz zupełnie zwyczajnego budynku. Teraz jednak wszyscy już wiedzieli, że za chwilę zdarzy się coś niezwykłego. Najważniejsi dostrzegli może, jak w jednym z okien zapala się światło i otwierają się drzwi wyjściowe, ale nawet jeśli ktoś — trudno powiedzieć kto — usiłował uciekać, była to próba daremna. Obie bomby jednocześnie ugodziły w dach budynku i w setne części sekundy później eksplodowały.

Huk był straszliwy. Obaj mężczyźni wpatrywali się w dzieło zniszczenia, jakby niepomni ryzyka. Do echa eksplozji dołączył się w promieniu kilometra brzęk tłuczonych szyb.

— Nic ci się nie stało? — spytał Ding.

— Nic. Czas się zwijać, kolego.

— Zadanie wykonane na piątkę, panie C.

Najszybciej jak potrafili zeszli na piętro. Chavez przeciął większość węzłów, przypuszczając, że skrępowanym potrzeba będzie jakichś pięciu minut na uwolnienie się do reszty. Wycofali się bocznymi uliczkami, słysząc syreny zawodzące na głównych arteriach Teheranu. Pół godziny później byli w bezpiecznym schronieniu ambasady rosyjskiej.

Zaproponowano im wódkę i propozycja została przyjęta. Chavez nigdy dotąd nie był jeszcze tak zdenerwowany. Clark był. Wódka pomogła w obydwu przypadkach.

*

— W imieniu obywateli Stanów Zjednoczonych Ameryki do mieszkańców Zjednoczonej Republiki Islamskiej zwracam się z następującymi słowami:

Po pierwsze, wiemy gdzie znajduje się zakład, w który hoduje się śmiertelne zarazki.

Na naszą prośbę pomogła nam to ustalić Federacja Rosyjska. W tym starciu kraj ten pozostaje neutralny, niemniej gotów był podzielić się z nami wiedzą na temat tej straszliwej broni. Zespół ekspertów znajduje się w drodze do Teheranu. Kiedy wylądują, zawieziecie ich bezzwłocznie do tego zakładu, aby nadzorowali jego unieszkodliwienie. Będą im towarzyszyli dziennikarze, aby mogli zaświadczyć, że zagrożenie zostało zlikwidowane. Jeśli tak się nie stanie, za dwanaście godzin od tej chwili z pokładu myśliwców *stealth* zrzucimy na wspomniane miejsce bombę nuklearną. Nie łudźcie się złą nadzieją, że w razie potrzeby zawaham się przed wydaniem takiego rozkazu. Stany Zjednoczone Ameryki nie mogą się zgodzić na istnienie równie zbrodniczej placówki. Okres dwunastu godzin rozpoczął się w tej sekundzie.

Po drugie, wszyscy wasi żołnierze wzięci do niewoli będą traktowani zgodnie z międzynarodowymi konwencjami, które w tym przypadku zgodne są z wymogami islamu. Jeńcy zostaną uwolnieni, kiedy wydacie Stanom Zjednoczonym wszystkie osoby, które związane były z przygotowaniem i realizacją wojny biologicznej przeciw naszemu krajowi, a także te, które związane były z zamachem na moją córkę. W tej sprawie nie ma mowy o żadnych kompromisach.

Po trzecie. Wasz kraj ma tydzień na ustosunkowanie się do tych żądań. Jeśli się na nie nie zgodzicie, USA wypowie Zjednoczonej Republice Islamskiej wojnę totalną. Mogliście zobaczyć, czego potrafimy dokonać, a muszę was zapewnić, że to tylko mała część naszych możliwości.

Wybór należy do was.

Na końcu zwracam się do wszystkich państw, które mogą życzyć nam źle: Stany Zjednoczone Ameryki nie będą tolerować żadnych ataków na swój kraj, własność i obywateli.

Począwszy od dzisiaj, ktokolwiek przeprowadzi czy nakaże taki atak, spotka się z naszą odpowiedzią, kimkolwiek by był, gdziekolwiek chciałby się ukryć i jakkolwiek długo trzeba będzie

poczekać z zemstą. Przysięgałem przed Bogiem, że będę rzetelnie wypełniał swoje obowiązki prezydenta. Od tego nie odstąpię. Naszym zaś przyjaciołom powiadam: nigdzie nie znajdziecie wierniejszego niż my sojusznika. O tym także muszą pamiętać nasi potencjalni wrogowie.

Rodacy! Był to ciężki czas dla nas, niektórych z naszych sprzymierzeńców, także dla naszych nieprzyjaciół. Odparliśmy jednak agresję, ukaraliśmy osobę najbardziej odpowiedzialną za straszliwą śmierć, która nawiedziła nasz kraj, policzymy się także z tymi, którzy ulegle wykonywali jego polecenia, pozostałym jednak chcielibyśmy powtórzyć słowa Abrahama Lincolna: „Nie chowając w sercu złości do nikogo, ze współczuciem dla wszystkich ludzkich istot, z nieugiętą wolą obstawania przy dobru, które Bóg pozwala nam rozpoznawać, we wspólnej pracy dokonamy opatrywania narodowych ran... aby móc radować się tym, co zapewnić może sprawiedliwy i trwały pokój między nami i wszystkimi narodami”.

Żegnaj państwa i życzę owocnego dnia.

Epilog. Pokój Prasowy

— ...i wreszcie, wystąpię do Senatu z propozycją, aby na stanowisko Naczelnego Lekarza Kraju wyznaczył profesora Pierre’a Alexandre’a. Profesor Alexandre, po oddaniu wielkich zasług Wojskowemu Korpusowi Medycznemu Stanów Zjednoczonych, przeniósł się na Wydział

Medyczny Uniwersytetu imienia Johna Hopkinsa, gdzie kontynuował badania nad chorobami zakaźnymi. Okazał się niezwykle pomocny w chwili, kiedy wybuchła epidemia wirusa ebola.

Jako znakomity klinicysta i naukowiec, profesor Alexandre będzie kierował realizacją kilku zaprojektowanych przez niego programów badawczych, przewodząc także federalnemu komitetowi nadzorującemu poszukiwania lekarstwa na AIDS. Mało w tym będzie biurokracji, a zasadniczym celem jest stworzenie systemu, który maksymalnie ułatwi wymianę obserwacji pomiędzy praktykującymi lekarzami i naukowcami. Mam nadzieję, że Senat szybko zaaprobuje moją rekomendację. To już koniec oficjalnego wystąpienia — powiedział Jack. — Czas na pytania. Tak, Helen?

— Panie prezydencie, jak rozumieć pańskie wstępne słowa dotyczące Chin?

— Wydawało mi się, że wszystko powiedziałem jasno. W nieoficjalnych rozmowach z Republiką Chińską uznaliśmy, że przywrócenie pełnych stosunków dyplomatycznych będzie najlepiej służyło interesom obu krajów. Byłoby to niezgodne z zasadami polityki Stanów Zjednoczonych, gdybyśmy dyskryminowali kraje, które opierają swój ustrój na zasadzie wolnych wyborów. Do ich grona należy Republika Chińska i fakt ten trzeba potraktować z pełnym szacunkiem.

— Co na to Chiny kontynentalne?

— To ich sprawa. Chińska Republika Ludowa i Stany Zjednoczone są suwerennymi państwami, podobnie jak Tajwan, i czas już skończyć z udawaniami, że jest inaczej.

— Czy ma to jakiś związek z zestrzeleniem samolotu pasażerskiego?

— Ta kwestia nadal jest uważnie analizowana. Następne pytanie?

— Panie prezydencie, wedle wiarygodnych informacji tymczasowy rząd irański zabiega o nawiązanie stosunków dyplomatycznych z naszym krajem. Jaka będzie nasza odpowiedź?

— Z pewnością pozytywna — odpowiedział Jack. — Nie znam lepszego sposobu na to, by z wroga uczynić przyjaciela, niż otwarte rozmowy i wspólne interesy. W ostatnich dniach mamy niewątpliwe świadectwa współpracy z tej strony. Wciąż mamy w Teheranie budynek ambasady, chociaż, zdaje się, trzeba będzie zmienić zamek w drzwiach. — Sala buchnęła śmiechem. — Słucham, Tom. Nawiasem mówiąc, ładna opalenizna. Witaj w domu.

— Dziękuję, panie prezydencie. Jeśli chodzi o demontaż pod Teheranem zakładu zajmującego się hodowlą zarazków, jedynymi dziennikarzami, którzy mogli się temu przypatrywać z bliska byli dwaj Rosjanie, wyznaczeni przez ich ambasadę. Jak możemy być pewni...?

— Tom, rosyjscy eksperci, którzy nadzorowali całą sprawę, to naprawdę znakomici specjaliści. Na taśmie wideo mamy wszystko dokładnie zarejestrowane i ani ja, ani moi doradcy nie mamy żadnych zastrzeżeń. Ed?

— Panie prezydencie, wymiana jeńców została zakończona. Jak odpowiemy na prośby o kredyty, z jakimi zwrócili się do nas Irańczycy i Irakijczycy?

— W przyszłym tygodniu sekretarze Adler i Winston lecą do Londynu na rozmowy z przedstawicielami obu rządów.

— Panie prezydencie, w nawiązaniu do tej samej sprawy: czy możemy w związku z tym liczyć na preferencyjne ceny ropy naftowej, a jeśli tak, to na jak długo?

— Ed, to właśnie będzie przedmiotem rozmów, ale spodziewam się, że otrzymamy jakieś propozycje w zamian za zgodę na kredyty. Szczegóły jednak muszą dopiero zostać uzgodnione, a my mamy naprawdę dobrych specjalistów,

— A co ze specjalistkami? — rozległ się kobiecy głos.

— Także i ich nam nie brakuje, Denise, włącznie z panią. Przy okazji, jeśli nie dotarła jeszcze do was ta wiadomość, chciałem poinformować, że agentka Andrea Price — Ryan zrobił

gest w kierunku drzwi po swojej prawej stronie — przyjęła oświadczyzny. Małżeństwo odbędzie się do pewnego stopnia w rodzinie, narzeczony bowiem, inspektor Patrick O’Day, jest agentem FBI. Młodej parze życzę wszystkiego najlepszego, aczkolwiek będę musiał chyba rozejrzeć się za nowym szefem ochrony osobistej. Tak, Barry? — powiedział Jack, wskazując na seniora dziennikarza CNN.

— Panie prezydencie, jest pewne pytanie tak poważne, że nikt go dzisiaj jeszcze nie postawił, a...

Ryan podniósł dłoń.

— Tak, wiele jest rzeczy, którymi trzeba się niezwłocznie zająć, żeby zapewnić normalną pracę administracji po wszystkich tych...

— Panie prezydencie, proszę wybaczyć, ale nie dam się zbyć wykrętami.

Uśmiech. Westchnienie. Kiwnięcie głowy na znak kapitulacji.

— Odpowiedź na twoje pytanie, Barry, brzmi: „Tak, będę kandydował”.

— Dziękuję, panie prezydencie.

KONIEC

1 Dowódca oddziałów kawalerii Konfederacji podczas wojny secesyjnej (przyp. red.).

2 James Ewell Brown Stuart (Jeb Stuart) — słynny dowódca kawalerzystów Konfederacji (przyp. red.).

3 Statek transportowy typu roll-on, roll-off (przyp. red.).

4 Nieformalna nazwa Pierwszej Dywizji Piechoty Armii USA (przyp. red.).

5 Weapon Officer — oficer odpowiedzialny za uzbrojenie na okręcie (przyp. red.).

6 Nazwa fortu zdobytego przez Konfederatów w 1861 roku (przyp. red.).

7 (dosł.) Wysmołowane Pięty — pogardliwe określenie mieszkańców Północnej Karoliny (przyp. red.).

8 W żargonie radarowców Marynarki USA określenie pocisków przeciwokrętowych (przyp. red.).

9 Żargonowe określenie maszyn nieprzyjaciela (przyp. red.).

10 Kodowe określenie czasu Greenwich (przyp. red.).

11 Nazwa strumienia w Wirginii, nad którym armia Unionistów poniosła klęskę z rąk Konfederatów generała P. G. T. Beauregarda (przyp. red.).

12 Określenie nadane żołnierzom Konfederacji przez Unionistów (od rebel — buntownik) (przyp. red.).

13 2 maja 1863 rok Robert E. Lee w bitwie pod Chancellorsville pokonał oddziały Unionistów, dowodzonych przez generała Josepha Hookera (przyp. red.).